

MYŚL

WSPÓŁCZESNA

CZASOPISMO NAUKOWE

6-7

Łódź

listopad—grudzień

1946

BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDANSKU

KOLEGIUM REDAKCYJNE

DR CHAŁASIŃSKI JÓZEF,
prof. UŁ

DR FIEDLER FRANCISZEK,
DR GAŚSIOROWSKA NATALIA,
prof. UE

DR KOTARBIŃSKI TADEUSZ
prof. UW, rektor UŁ

DR KRAUZE BRONISŁAW,

DR SCHAFF ADAM,
prof. UŁ

DR SZYMANOWSKI ZYGMUNT,
prof. UE

DR UŁASZYN HENRYK,
prof. UŁ

ŻÓŁKIEWSKI STEFAN,
przew. Komisji Oświatowej KRN

CZŁONKOWIE KORESPONDENCI

DR KORANYI MAREK,
prof. UT (Toruń)

DR MANTEUFEL TADEUSZ,
prof. UW (Warszawa)

DR SKOWRON STANISŁAW,
(prof. UJ Kraków)

DR TOMASZEWSKI TADEUSZ,
prof. UMCS (Lub in)

DR WYKA KAZIMIERZ,
prof. UJ (Kraków)

REDAKTORZY DZIAŁÓW

DR EHRLICH STANISŁAW
prof. UŁ

DR BARSKI JERZY

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY

PROF. DR SZYMANOWSKI ZYGMUNT
prof. UŁ

MYŚL WSPÓŁCZESNA

C Z A S O P I S M O N A U K O W E

ŁÓDŹ

LISTOPAD—GRUDZIEŃ

1946

Dla nawiązania ściślejszego kontaktu z wszystkimi ośrodkami uniwersyteckimi w Polsce, Redakcja „Myśli Współczesnej” pozwoliła sobie zaprosić do Komitetu Redakcyjnego w charakterze członków - korespondentów przedstawicieli poszczególnych ośrodków.

Komitet Redakcyjny żywi nadzieję, że rozszerzenie składu Redakcji przyczyni się do podniesienia poziomu czasopisma i ułatwi zrealizowanie postulatu od pierwszej chwili wysuniętego przez Komitet Redakcyjny, a mianowicie, by „Myśl Współczesna” stała się prawdziwie ogólnopolskim czasopismem naukowym.

BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDANSKU

Józef Chalasiński

Tworzenie legendy i naukowe zadania historii*)

Uwagi socjologiczne z powodu dwóch nowych książek o Lelewelu¹⁾

„Nie mów o wyzwoleniu, bo człek nie był
nie jest twój, byś go wyzwalał“.

Joachim Lelewel

I. WIEDZA I INTUICJA HISTORYCZNA

W swoim „Rodzie ludzkim“ Stanisław Staszic pisał:

„Zapominam ród, nie mam stanu, ni ojczyzny:
Z przesądów (!) za usilną otrząsam się pracą.
Ten jedyny głos tylko w mojem sereu słyszę,
żem człekiem...“.

Lelewel, mając na myśli ten kosmopolityzm Staszica, skądinąd, jak wiadomo, jednego z wielkich patriotów polskich pisał: „Zawołano niebacznie, że (historyk) wyzuć się ze wszystkiego bezwarunkowo winien: nie mieć ojczyzny, nie mieć religii, przywieść się do zupełnej obojętności, wyzuć ze wzruszeń i ludzkiego uczucia“. Zdaniem Lelewela, historyk, przeciwnie, „ma się napawać najżywiej uczuciami, które mu określać wypada: musi czuć dostojność własnej religii, unosić się miłością ojczyzny i narodowości, żeby był mocen oceniać uczucia, z którymi najwięcej jest w dziejach do czynienia“²⁾.

Czy Lelewel był większym patriotą niż Staszic? Tak sformułowane pytanie byłoby nonsensem. Problem patriotyzmu nie da się ująć w katego-

* Odczyt, wygłoszony na naukowym zebraniu Polskiego Instytutu Socjologicznego w Łodzi, dn. 8 października 1946 r.

¹⁾ Ignacy Chrzanowski: Joachim Lelewel, „Czytelnik“, 1946 r. str. 197. Zanna Kormanowa: Joachim Lelewel, „Książka“, 1946 r. str. 95.

²⁾ J. Lelewel: Historyka, W-wa 1862, str. 192 — 193. Cyt. według I. Chrzanowskiego: Romantyzm i idea narodowości, „Kultura i Wychowanie“, R I, z. 3, str. 255, odnośnik.

riach wymiernih. Nie ulega natomiast wątpliwości, że formy uzewnętrzniania patriotyzmu są różne w różnych epokach, różne w różnych krajach, warstwach, środowiskach. Są one społecznie uwarunkowane i zależne od typu kultury i społeczeństwa. Staszic był wielkim patriotą, dawał temu wyraz w różnych dziedzinach swojej rozległej działalności, ale poezję pisał w kosmopolitycznym stylu oświecenia. Taki styl obowiązywał poezję oświecenia i on jako poeta dostosowywał się do niego. Romantycy zerwali z tą konwencją artystyczną. Stworzyli styl nowy. Poezja romantyczna stała się nie tylko wyrazem płomiennego patriotyzmu, ale pod względem jasności form wyrazu usunęła w cień wszystkie inne dziedziny patriotycznej działalności człowieka. Nie zatrzymuję się tutaj nad społeczno-historycznymi czynnikami tego zjawiska.

A więc styl? Styl życia, styl kultury, styl epoki. Każdy historyk dobrze zna te terminy. Każdy się nimi posługuje świadomie czy nieświadomie. Bez nich nie ma w ogóle historii. Nawet ci, którzy mają do czynienia z historią gospodarczą, nie są w stanie tego uniknąć. Kapitalizm to przecie pewna całość społeczno-gospodarcza o określonym stylu. To nie chaotyczne zestawienie faktów, lecz konstrukcja, której znamię jest hegemonia techniki i gospodarstwa. Przeciwną konstrukcją jest socjalizm.

Struktura całości — styl — oto z czym każdy historyk ma do czynienia, z czym musi mieć do czynienia i to go czyni socjologiem. Historyk stoi wobec problemu uchwycenia i określenia stylu epoki, tego całokształtu stosunków, z których tylko część staje się tematem szczegółowego, faktycznego opracowania. Comte mylił się może, twierdząc o społeczeństwie, że całość jest naszymu myśleniu bardziej dostępna niż część, i że należy postępować od ogółu do szczegółu, a nie na odwrót. Comte nie mylił się jednak twierdząc, że część w oderwaniu od całości jest absolutnie nie do poznania.

Wysoko cenię historię gospodarczą. Uważam, że jest to ta dziedzina historii, która może historię zabezpieczyć przed nieodpowiedzialną i złą samowolą idealistycznej interpretacji dziejów w stylu Hegla. Historia gospodarcza umożliwia nauce historycznej trzymanie się realnego gruntu. Nadaje jej empiryczny charakter. Z drugiej strony jednakże nie da się obrócić poglądem prowadzącym historię społeczną do historii gospodarczej. Nie da się także dowieść metodologicznej samostarczalności historii gospodarczej. Każdy fakt gospodarczy jest elementem całości, która nie jest tylko gospodarstwa. Ta całość nie da się ująć w kategoriach wymiernih i jest w znacznej mierze sprawą tej nieuchwytniej instancji poznawczej, którą Stanisław Zakrzewski, jak i inni historycy nazywają historyczną intuicją¹⁾. Zwracając uwagę na ten istotny element historycznego poznania, podkreślamy równocześnie najbardziej istotny układ metodologiczny romantycznej koncepcji nauki historycznej — wkład Lelewela.

Dla Lelewela zadanie historii nie sprowadzało się do badań szczegółowych. Według niego zadaniem historyka jest ujęcie narodu jako całości w jego „duchu narodowym“. Leleweł mówił także o „duchu czasu“. Ten „duch czasu“ jest w nauce niepokojący. Wynika on z „ducha czasu“ ide-

¹⁾ Patrz St. Zakrzewski: Zagadnienia historyczne t. I, str. 7 i nast. 1936 r.

alizmu. Zapomnijmy jednak o związkach pokrewieństwa, jakie łączyły Lelewela z idealizmem, a okaże się, że jego periodyzacja historii dzieli historię na epoki z punktu widzenia historyczno-socjologicznego.

Przygotowując kurs historii polskiej w 1813 r. Lelewel ujął ją w cztery okresy: 1) Polska podbijająca — samowładztwo, 2) Polska w podziałach — możnowładztwo, 3) Polska kwitnąca — gminowładztwo szlacheckie, 4) Polska upadająca — nieład.¹⁾

Taka periodyzacja jest możliwa niezależnie od historiozoficznego punktu widzenia. Mógłby ją akceptować zarówno idealista, jak i materialista. A jednak za tym kryje się wilczy dół metafizyki i epistemologii. Bo cóż to jest ostatecznie Polska — wszystko jedno podbijająca czy upadająca. Jest to państwo albo naród. A więc jakaś całość, której się nie da określić w kategoriach wymiernych. Całość ta zmienia się w ciągu historii w sposób nie dający się wyrazić całkowicie w terminach gospodarczych. Cała koncepcja historii narodowej opiera się na tym dość nieuchwytnym pojęciu narodu.

Nie mniej trudności i wątpliwości nastęrcza pojęcie historii powszechnej. Nie wszyscy wiedzą o tym, że „geneza pojęcia historii powszechnej jest... średniowieczna, więcej nawet, można powiedzieć jest teologiczna“²⁾.

Co odpowiedzieć Lelewelowi, który powiada, że historyk „ma się napawać najżywiej uczuciami, które mu określać wypada“. Czy można Lelewelowi przeciwstawić taką metodę poznania dziejów narodu, która by całkowicie eliminowała pierwiastek intuicji. Czy to jest możliwe w jakiegokolwiek nauce humanistycznej?

Rosyjski historyk M. Pokrowskij przedstawił historię Rosji w ekonomicznych kategoriach, podzieloną na epoki ekonomicznego rozwoju. Ale skąd wziął Rosję jako tę całość, która historię tworzyła, której historię on pisał. Ta całość nie da się sprowadzić do ekonomicznych kategorii. Pokrowskij w istnienie Rosji, w istnienie narodu rosyjskiego nie wątpił, ono się rozumiało dla niego samo przez się, ponieważ czuł się Rosjaninem. Później historiografia sowiecka nie tylko rehabilitowała rolę idei i osobowości w historii, ale także odrzuciła koncepcję Pokrowskiego, zarzucając mu, że nie uwzględniał współczynnika epoki.

Poruszyłem tu kilka zasadniczych problemów nauki historycznej. Chciałem bowiem, zanim przejdę do dalszych rozważań, nie tylko określić swoje stanowisko, lecz także zwrócić uwagę na niektóre zasadnicze trudności poznania historycznego w ogóle.

2. INTUICJA HISTORYCZNA A ZAGADNIENIE SYNTEZY W HISTORII I ROLA INDYWIDUALNOŚCI

Zwróciłem uwagę na znaczenie tzw. intuicji historycznej w konstruowaniu strukturalnych całości, takich jak epoka, naród, kapitalizm czy romanizm. Intuicja historyczna bierze udział nie tylko w określeniu charakteru

¹⁾ K. Chodynicki: Lelewel na emigracji. „Pamiętnik Warszawski“ z. 4/1929 r. str. 17.

²⁾ St. Zakrzewski: Zagadnienia historyczne, t. I, str. 62.

tych całości, lecz także w czasowym umiejscowieniu ich historycznego ukształtowania. Kiedy w Polsce kończy się romantyzm a zaczyna pozytywizm? A może w ogóle rozgraniczenie tych epok jest sztuczne i nieuzasadnione? Może niesłusznie etapy historii europejskiej przenosi się bezkrytycznie na Polskę? Nie tylko w zakresie historii literatury? Może wyolbrzymia się europejskość naszej historii społecznej i kulturalnej, a nie docenia jej partykularyzmu? Co decyduje o odpowiedzi na te i wiele innych pytań podobnych? Niewątpliwie historyczna wiedza. Na wiedzy tej ciąży jednak tak zwana intuicja historyczna. Do czego ostatecznie sprowadza się „syntetyczne“ ujęcie historii polskiej przez Bobrzyńskiego? Skąd się bierze, że Bobrzyński widzi historię Polski inaczej niż Korzon? Czy w tych odrębnościach ostatecznego głosu nie ma historyczna intuicja?

Tak zwana synteza w historii opierała się dotychczas na historycznej intuicji. Była bardziej dziełem artysty i talentu, intuicji i indywidualności, publicystyki i polityki, niż nauki i uczonego. Klasyczny przykład to „Zarys dziejów Polski“ Bobrzyńskiego.

„Większość wybitnych historyków — pisał Stanisław Zakrzewski — zaczynała od poezji — prawda. Prawda, że poetami byli przeważnie bardzo kiepskimi. Wspomnę Naruszewicza, Szajnochę, Szujskiego, Bielowskiego i wielu innych. To paranie się z poezją nie tyle świadczy o tym, żeby w nich tkwił prawdziwy talent poetyczny, ile w ogóle stwierdza istnienie wybitnej fantazji twórczej i dużego napięcia uczuć. Kierowane na pole poezji nie przynoszą plonu i dopiero zwrócone w stronę badań historycznych objawiają się w formie szczególnego związku pokrewieństwa między poezją a historiografią w ścisłym słowa znaczeniu, cechującym rozwój naszej myśli historycznej.

Nie tylko zresztą u nas. Podobne objawy odnajdujemy w istotnych cechach twórczości niektórych dziejopisarzy niemieckich, że tu wspomnę Droysena.

I odwrotnie. Szereg poetów zaczynał od powieści historycznych, a najwięksi, jak Mickiewicz i Słowacki, byli obdarzeni tak ogromną intuicją historyczną, że pierwszy kompozycją kursu literatur słowiańskich osiągnął znaczne rezultaty, a drugi miał formalne wizje przeszłości, których może mu pozazdrościć najwybitniejszy fachowy historyk.“¹⁾

Buntując się przeciwko poezji i publicystyce w historii, niektórzy historycy ograniczają zadanie historii do szczegółowych monograficznych opracowań. Takie stanowisko, przestrzegane konsekwentnie, gdyby to było możliwe, zabezpieczałoby wprawdzie gruntownie i ostatecznie przed samowolą intuicji, ale równocześnie likwidowałoby historię. Problem syntetycznego ujęcia występuje bowiem nie tylko wtedy, gdy ktoś sam zamierza pisać syntezę, lecz także przy wszelkim szczegółowym, monograficznym zagadnieniu. Każde szczegółowe zagadnienie historyczne ma sens tylko w odniesieniu do większej całości. Każde zagadnienie historii Polski ma sens tylko w odniesieniu do Polski. A Polska to już — synteza.

Stanisław Zakrzewski, polemizując ze stanowiskiem Bernheima, we-

¹⁾ St. Zakrzewski: Zagadnienia historyczne t. I, str. 12 — 13.

dług którego przedmiotem badania historycznego powinien być człowiek społeczny, typowy, zbiorowy, podkreśla, że człowiek typowy to jest zaprzeczenie historii. Historia bowiem oznacza zmienność, a typ to niezmiennosc, stan trwania. Zakrzewski podnosi podstawowe znaczenie twórczej indywidualności ludzkiej w procesie historycznym. „Wątek wypadków historycznych — pisze Zakrzewski — rozwija się tam, gdzie węzeł przyczynowy, łączący je wzajemnie, posiada źródło w świadomości człowieka... Jeden więc tylko jest prawdziwy czynnik w dziejach, a tym czynnikiem sam człowiek¹⁾).

I oto znówu zagadnienie syntezy, bo czyż człowiek to nie jest jedna z najbardziej skomplikowanych syntez, leżąca u samej podstawy historii.

Niewątpliwie, twórcza indywidualność ludzka jest tym czynnikiem, który, wymykając się z całkowitej regulacji społecznej, stanowi ostateczne źródło zmian społecznych. Gdyby społeczeństwo polegało na absolutnie doskonałym dostosowaniu się człowieka do jego wymagań, to trwałoby wiecznie w niezmiennym stanie, zmieniałoby się tylko pod wpływem mechanicznego oddziaływania czynników zewnętrznych. Gdyby wszyscy ludzie słuchali władzy, to nie tylko władza stałaby się w końcu niepotrzebna, ale społeczeństwo zamarłoby w застоju. Racja bytu władzy tkwi w tych, którzy jej nie słuchają, a nie w tych, którzy jej słuchają. Władza potrzebuje buntowników. Dlatego historycy uprawiają równocześnie kult wielkich władców i kult wielkich buntowników.

Szukając genezy, śledząc za początkowymi ogniwami łańcucha wydarzeń historycznych, historycy skupiają uwagę zarówno na tych, którzy inicjowali nowe rzeczy, jak i na tych, którzy, łamiąc indywidualność innych, nowe rzeczy upowszechniali, pozwalając im się zestarzeć. Jednych i drugich historia traktuje jako wielkich ludzi, to jest takich, którzy, wyrastając ponad normę, przełamywali świadomie lub nieświadomie zamknięcie społeczeństwa, wyzwalając nowe aspiracje człowieka i nowe siły społeczne i otwierając nowe drogi rozwoju. Klasyczny przykład to Napoleon, buntownik i władca równocześnie, którego imię wiąże się nie tylko z takimi inowacjami, jak kodeks Napoleona, lecz także z rozwojem świadomości narodowych — i z historyczną ideą Europy jako całości.

Postacie buntowników i władców, postacie wielkich ludzi, wykraczających poza normę społeczną i odbiegających od typu, nie dają się określić inaczej, jak w stosunku do normy, do typu. Stefan Czarnowski słusznie zwraca uwagę na to, że to, co indywidualne, daje się ująć tylko w stosunku do tego, co typowe, typ zaś jest konstrukcją myślową, opartą na faktach indywidualnych. W rzeczywistości bowiem nie ma typów, są tylko fakty indywidualne, ale myślenie o rzeczywistości jest niemożliwe bez pojęcia typu.

3. HISTORYK JAKO KODYFIKATOR WIELKOŚCI I TWÓRCA LEGENDY.

Typ i indywidualność. Jaka jest metoda rozgraniczenia jednego od drugiego. Napoleon, mówimy, to wielka indywidualność. A jednak Napoleon miał poprzedników. Napoleon stosował się do pewnego historycznego ty-

¹⁾ Zakrzewski: Op. cit. str. 51 — 53.

pu buntownika i do pewnego historycznego typu władcy. W Napoleonie jako wielkim buntowniku i wielkim władcy nie wszystko jest oryginalne i indywidualne. Co jest oryginalne, a co należy do historycznego typu władcy? Z drugiej strony Napoleon stworzył wzór wielkości — napoleońską chorobę. Władca jak i buntownik, to nie tylko indywidualność, to także ucieleśnienie pewnego typu historycznego, pewnej normy. Nie ma metody, która by umożliwiała ścisłe ustalenie granicy pomiędzy tym, co indywidualne, a tym, co typowe — społeczne.

Z tego, co powiedziałem, wynika, że zainteresowanie historią dla wielkich ludzi wynika z samej istoty historii. Nie ma zmian historycznych bez udziału wielkich indywidualności, jakkolwiek są one uwarunkowane społecznie i jakkolwiek nie można ich badać w oderwaniu od społeczeństwa. Historyczne wyjaśnienie wymaga wzięcia pod uwagę indywidualności ludzkiej.

Ale nie tylko stąd płynie zainteresowanie historyka dla wielkości historycznych. Historyk nie tylko uwzględnia wielkich ludzi w wyjaśnianiu historycznym. On nie tylko wyjaśnia wielkość, lecz także, a może przede wszystkim, wielkość ustala. Historyk jest kodyfikatorem wielkości. Kronika Galla powstała na dworze Bolesława Krzywoustego; Kazimierz Sprawiedliwy wpływał bezpośrednio na Wincentego Kadłubka; promotorem i inicjatorem dzieła Długosza był Zbigniew Oleśnicki; Naruszewicz pisał historię Polski z polecenia Stanisława Augusta¹⁾. Wszyscy wymienieni należeli do typu historyków dworskich, których interesowało nie tylko znaczenie wielkości w historii, ale przede wszystkim jej ustalenie. To zagadnienie wielkości nie znika i później, gdy historia przestaje być dworska, a staje się narodowa. Występuje wyraźnie u Lelewela. Zmieniają się tylko konwencjonalne kryteria wielkości. Dawniejszy historyk dworski, który był kodyfikatorem wielkości dynastycznej, ustępuje miejsca kodyfikatorowi wielkości narodowej. Tu i tam historyk jako kodyfikator wielkości jest rodzajem kapłana, który stoi na straży wielkości i nad nią czuwa. „Całą usilnością zamieniający się historyk w jestestwo najwyższej moralności — pisał Lelewel — cnymi uczuciami doda pięknej barwy historycznym zatrudnieniom swoim...“²⁾. Lelewel, to nie tylko kodyfikator, ale i gloryfikator wielkości narodu polskiego. „Wszystkie dzisiejsze apoteozy przeszłości Polski — Artura Górskiego czy Chołoniewskiego — błędą wobec słów Lelewela“³⁾.

Jako kapłan i kodyfikator wielkości Polski, Lelewel nie przedstawiał historii szlacheckiej Polski, taką jaką ona była. Jego teoria gminowładztwa szlacheckiego, jako okresu rozkwitu Polski, była wyrazem jego ideału gminowładztwa. Ta teoria zrodziła się u Lelewela nie z samych

¹⁾ Zakrzewski: Op. cit. t. I, str. 40.

²⁾ Cyt. Chrzanowski: Op. cit. 74.

³⁾ Chodynicki: Op. cit. 27.

faktów historycznych, lecz także z jego ludowej koncepcji narodu. Ta zaś ludowa koncepcja narodu zrodziła się jako odpowiedź na problemy, które nasuwała Lelewelowi, i ówczesnej demokratycznej publicystyce, współczesna rzeczywistość społeczna a nie przeszłość. W taki sam sposób, na kanwie teorii silnej władzy centralnej, powstała historyczna synteza Bobrzyńskiego w „Zarysie dziejów Polski” — krańcowe przeciwieństwo teorii gminowładztwa Lelewela.

Kolizje pomiędzy historykiem-naukowcem a historykiem-kapłanem są oczywiste. Kolizje te wynikają nie tylko z moralizatorskich (a nie poznawczych) obowiązków kapłana, lecz także, a nawet przede wszystkim, z zasadniczej odmienności historycznego problemu kapłana i historycznego problemu naukowca. Kapłan wychodzi z zapotrzebowania, jakie ma współczesny ruch społeczny, do jakiego sam należy. On zapytuje, czym jest przeszłość dla jego współczesności. W przeszłości szuka on moralnych wzorów dla teraźniejszości, a czasem, gdy chodzi o kapłanów nowych religii społecznych, w przeszłości, w wielkich postaciach historycznych szukają oni moralnego uzasadnienia i uświęcenia dla tych ruchów. Szukają czcigodnych przodków, którzy by świadczyli o starożytności ruchu. Historyk-kapłan kształtuje wielką postać historyczną, taką, jaką ona powinna być z punktu widzenia teraźniejszego zapotrzebowania, podczas gdy zadaniem historyka-naukowca jest przedstawienie wielkiej postaci historycznej z punktu widzenia tego, czym ona była dla jej współczesności.

Duszpasterstwo historyczne zmienia charakter zainteresowania historyka dla wielkiej indywidualności. W przeszłości szukają oni sankcji moralnej i wzniesienia dla dążeń i aspiracji teraźniejszości. Duszpasterze-historycy interesują się także buntownikami, ale przeważnie jako wzorami do uległego i biernego naśladowania, a nie jako przykładami na to, że bunt indywidualności ludzkiej przeciw krępującym ją więzom — to drożdże historii. Każdy kapłan jest przedstawicielem swojego kościoła i ma tendencję do tego, aby wielkiego człowieka zrobić świętym swojego kościoła. Z natury kapłaństwa wynika, że kapłani zazwyczaj nie widzą różnicy pomiędzy buntem przeciw sekciarstwu, a tworzeniem nowej sekty. Scieśnić wielkość indywidualności, a podnieść wielkość swojego kościoła, anektując wielkość dla kościoła — to metoda, przy pomocy której wielkie postacie historyczne oddaje się w służbę teraźniejszości. W ten sposób przekreśla się prawdziwy historyczny sens wielkości człowieka.

Wielkość historyczna człowieka polega na przewyciężaniu społecznych tendencji do zamykania się grup w sobie, do kastowości, do sekciarstwa. A tymczasem, jakże często duszpasterstwo historyczne szuka w wielkości sankcji dla sekciarstwa, dla izolacji, dla sztucznych granic dzielących człowieka od człowieka.

W polskim przekładzie znanej książki Ewy Curie o jej matce Marii Curie-Skłodowskiej opuszczone zostały ustępy świadczące o jej wolnomyślności zgodnie z wzorem, wedle którego wielka Polka nie powinna być wolnomyślna.

4. DWA PORTRETY LELEWELA — WSPÓLNY TYP BIOGRAFII

Typ — żywoty świętych.

Uwzględniając fakt, że mowa ludzka jest narzędziem porozumiewania się, systemem symbolów i schematów wspólnych dla całej zbiorowości, zrozumiemy, jak trudno oddać to, co w człowieku jest indywidualne, niepowtarzalne, jedyne. Trudność ta wynika z samego mechanizmu mowy i z samego mechanizmu współżycia. Aby coś było dostępne dla innych i zrozumiałe, musi się dać wypowiedzieć w języku wspólnych symbolów. Każda jednostka ludzka, uczestnicząca we współżyciu, jest schematycznie definiowana przez współtowarzyszów w taki sposób, że się ją podciąga pod jakiś typowy wzór osobowy. Mechanizm tego zjawiska jest niezmiernie skomplikowany, ale nie mniej istotny.

Ten sam mechanizm schematyzacji według pewnych wzorów występuje w odniesieniu do wielkich postaci historycznych. Zilustruję to na przykładzie dwóch książek o Lelewelu, które, dając dwa różne jego portrety historyczne, należą jednak do jednego typu biografii.

Dwie książki o Lelewelu, które będą tematem dalszych rozważań, wyszły spod pióra historyków różnej orientacji. Chrzanowski bliższy jest idealistyczno-romantycznego kierunku, Kormanowa reprezentuje kierunek materializmu marksistowskiego. Gdybyśmy jednak o tym nie wiedzieli, to z porównania, pod kątem widzenia metodologicznym, ich studiów o Lelewelu nie moglibyśmy się tego domyśleć. Metoda tych studiów jest identyczna. Obydwa studia dają nam artystyczną rzeźbę postaci Lelewela na podstawie faktów odpowiednio dobranych. W analizie faktów szczegółowych posługują się naukową metodą. W montażu całości — wyobraźnią artystyczną i intuicją historyczną — metodą szkoły romantycznej.

W obydwu studiach intuicję historyczną wspiera, a także ogranicza, pewna konwencja społeczna, pewien model myślenia o przeszłości. Różnica pomiędzy obu autorami dotyczy tej konwencji. Chrzanowski pokazuje nam Lelewela widzianego oczyma współczesnego tradycjonalisty, a Kormanowa oczami — współczesnego postępowca. Z tego oczywiście nie wynika, że Chrzanowski jako całkowity człowiek i indywidualność twórcza jest tylko tradycjonalistą, a Kormanowa tylko postępowcem. Tradycja ma przeciwieństwo w odniesieniu do postępu, a postęp w odniesieniu do tradycji. Obydwe kategorie współlistnieją i muszą współlistnieć nie tylko w każdym nowoczesnym społeczeństwie, lecz także w każdym nowoczesnym człowieku.

Rzecz najciekawsza jednak, że obydwaj autorzy, jakkolwiek różne są ich stanowiska ideologiczne, stosują się do wspólnego socjologicznego typu biografii, typu, który jest naukową odmianą żywotów świętych.

Pod presją społecznej tradycji gubi się granica pomiędzy tworzeniem legendy a popularyzacją nauki. Zasadnicza funkcja społeczna historyka polega na kształtowaniu społecznej pamięci narodu. Tworzenie legendy należy do tej funkcji (choć jej nie wyczerpuje całkowicie) i wiąże się z olbrzymim znaczeniem, jakie legendy i legendarne postacie wiel-

kich ludzi odgrywały i odgrywają w historii społeczeństw. Wiąże się to również z faktem sakralizacji bohaterów grupowych. W legendach nie tylko bohaterowie grupowi występują jako święci, lecz także początek grupy nabiera sakralnego charakteru. Ten rys, na który zwróciła uwagę socjologiczna szkoła Durkheima, jest tym bardziej ciekawy, że można go odkryć w biografjach historycznych, które są obce tendencjom teologicznym. Ten rys jest, jak zobaczymy, zupełnie niezależny od historiozoficzno-ideologicznego stanowiska historyka. Dlatego dwie najnowsze biografie o Lelewelu są dla socjologa tak interesujące.

Zacniemy od opisu śmierci bohatera, gdyż opis śmierci w biografjach-legendach odgrywa zasadniczą rolę. Z nim wiąże się zarówno wprowadzenie bohatera do areopagu świętych grupy, jak i szczególne podkreślenie jego wierności dla wartości i ideałów grupy. Plastyczność i drobiazgowość opisu śmierci bohatera, podkreślanie momentów dramatycznych oraz uwypuklenie okoliczności wiążących bohatera z grupą sprawia, że biografia staje się namiastką obrzędu, w którym uczestniczy cała grupa społeczna.

Zapytujemy, jak umierał Lelewel Chrzanowskiego i jak umierał Lelewel Kormanowej?

Opis śmierci.

Lelewel, jak pisze Chrzanowski, nie został wprawdzie „pokrzepiony pociechami religii“, ale tylko „dlatego, że zaprzyjaźnione z nim dwa cerbery masonskie pilnowały, aby choć na chwilę nie został sam na sam z księdzem i mimo oporu chorego starca przetransportowały go z Brukseli do Paryża, gdzie po dwóch czy trzech dniach wyzionął ducha.

Przed wyjazdem jednak zdążył Lelewel prosić o trzy msze żałobne za swoją duszę... I „ta prośba ostatnia — jak się wyraził ks. Prusinowski — to ostatnie słowo Lelewela, słowo do polskiego Kościoła, do polskiego narodu wyrzeczone. Przez całe życie Lelewel — pracy nas uczył i wołał: pracuj!; — umierając, jakoby z drugiego świata wołał: i módl się!“¹⁾ Na krótko przed śmiercią — dodaje Chrzanowski — Lelewel własnoręcznie napisał następujące słowa: „nie wiem, jaki będzie mój koniec, czy zostanę pokrzepiony pociechami religii, czy ich będę pozbawiony; ale oświadczam, że urodzony i wychowany w Kościele rzymsko-katolickim, byłem i jestem wierny temu Kościołowi.“²⁾

Scena, jak widzimy, jak gdyby wyjęta z mitologii greckiej. Bohater walczy z cerberami masonskimi, które czyhają na jego duszę. Udaje mu się jednak zakupić trzy msze żałobne za swoją duszę.

Przechodzimy do opisu śmierci Lelewela u Kormanowej. Oto opis wizyty dra Gałęzowskiego, chyba jednego z „cerberów“.

„Nadchodziła śmierć.

W końcu maja dr Gałęzowski przybył znów do Brukseli, niespokojny o Lelewela. Zastał go wspartego o łóżko, odkorkowującego z trudem bu-

¹⁾ Ignacy Chrzanowski: Lelewel, str. 56.

²⁾ Ignacy Chrzanowski: Lelewel, str. 55.

telkę lichego piwa. Pościel w wielkim zaniedbaniu, niedopita od kilku dni filiżanka mleka, nieład w pokoju: wszystko świadczyło, że starzec umiera, jak żył: samotnie i cicho, nie trując nikogo posługą, choćby najchętniejszą. Tętno zwiastowało, że życie dogasa. Gość rozpoczął rozmowę o przeszłości, o pracy naukowej, o uniwersytecie wileńskim: tętno chorego wyrównało się, oczy nabrały wyrazu, siły wróciły. Lelewel opuścił łóżko, zjadł z apetytem śniadanie, wypił kilka kieliszków wina. Bez przerwy snuł wspomnienia, mówił swobodnie, nawet żartował. Gdy go dr Gałęzowski znów namawiał zaczął, by udał się z nim do Paryża, Lelewel tym razem przystał. 26 maja, żegnany przez gminę polską w Brukseli, przez deputacje miasta i uniwersytetów: Brukseli, Gandawy i Leodium, Lelewel opuścił Belgię. Gdy pociąg mijał majowy las, Lelewel zauważył, że od trzynastu lat nie widział lasu.

W Paryżu umieszczono chorego w komfortowej klinice prywatnej dra Dubois na Faubourg St. Denis 200. Gdy starzec ujrzał wielki pokój, mahoniowe meble, dywany, wspaniałe łóżko, rozgniewał się, zdenerwował i stukając laską, krzychał: „Wyrzucacie przez okno pieniądze“.

Z tej kosztownej wygody Lelewel korzystał bardzo krótko. 29 maja 1861 r. o godzinie 8 rano Joachim Lelewel życie zakończył.

W testamencie wyraził życzenie, by „ciało wywieźć na cmentarz jednym tylko koniem“, by je „wrzucono w jamę“¹⁾.

Przytoczyłem ten piękny opis przedśmiertnych chwil Lelewela. Opis wolny jest od elementów treści religijnej. Nie ma w nim cerbera czyhającego na duszę bohatera. Umiera człowiek w sposób prosty, naturalny, w taki sam, w jaki żył. Pierwiastek osobistego heroizmu zawiera się tutaj nie w walce z cerberami, wysłannikami piekła, lecz w surowości życia, w pomniejszeniu samego siebie wobec świata i ludzi — w całkowitym oddaniu się idei. Opis, przedstawiony w terminach świeckich, utrzymany jest w podniosłym tonie religijnym — laickiej religijności.

Wobec śmierci tego wielkiego człowieka, tułacza i bezdomnego starca czytelnik staje w skupieniu, jak wobec tajemniczego misterium życia. W obliczu wspólnej tajemnicy śmierci i życia czytelnik jednoczy się z bohaterem opisu, z jego autorem i z jego czytelnikami — ludźmi. Z punktu widzenia psychologiczno-socjologicznego mamy tu do czynienia z takimi samymi przeżyciami, które wywołuje obrzęd religijny, jednoczący ludzi w obliczu śmierci we wspólnej afirmacji wspólnych społeczno-religijnych wartości i ideałów życia. Opis ten przenosi nas w płaszczyznę ponad historyczną — wieczną.

To jest jeden socjologiczny aspekt tego opisu. Jest również inny. Czytelnik zapytuje, dlaczego z prawdziwych szczegółów przedśmiertnych chwil Lelewela Chrzanowski podaje inne szczegóły, a Kormanowa inne, pomijając tamte. Czy to czysty przypadek? Bynajmniej. Dwie książki o Lelewelu, wydane równocześnie, są właśnie pod tym względem bardzo interesujące. Obydwie należą do typu biografistyki historycznej, której społeczna funkcja polega na dostarczaniu narodowi wielkich postaci świętych bohate-

¹⁾ Z. Kormanowa: Lelewel, str. 86.

rów. Obydwie legendy wielkości są pisane identyczną metodą. A różnica polega na tym, że jeden historyk robi z Lelewela — świadomie lub nieświadomie — świętego katolicko-narodowego, a drugi świętego postępowego. W tym tkwi wyjaśnienie odmiennej selekcji faktów historycznych z życia Lelewela. Święty postępowy nie może przecież umierać w ten sam sposób, w jaki umiera święty katolicko-narodowy.

Elementy religijności i świeckości.

Chrzanowski kształtował postać Lelewela taką, jaką ona powinna być z punktu widzenia światopoglądu katolicko-narodowego, Kormanowa stylizuje postać Lelewela według tego, jaką ona powinna być z punktu widzenia światopoglądu postępowego. Kormanowa robi Lelewela takim, jakim go potrzebuje polski ruch postępowy w jego obecnej fazie historycznej. Oczywiście obydwaj Lelewele są mniej lub więcej mitycznymi postaciami; obydwaj autorzy — po trochu mitotwórcami. A zadaniem mitu, jak to słusznie podkreśla Bronisław Malinowski, jest uświęcanie, uwznioślanie, stwarzanie sankcji moralnej, a nie wyjaśnianie rzeczywistości.

Gdy się przyjrzymy bliżej szczegółom pominiętym u Kormanowej, a występującym u Chrzanowskiego, to zauważymy, że szczegóły te dotyczą pewnego pierwiastka grupowego — wierności Lelewela dla Kościoła katolickiego. Przytoczoną deklarację Lelewela o wierności dla Kościoła, zaopatrzył Chrzanowski następującą uwagą od siebie: „I oto deista, którym był Leleweł, i mason umarł w Lelewelu — przed śmiercią człowieka... To wolne sumienie pozwoliło — jemu, który żartował sobie z cudów zdziałanych przez Najświętszą Pannę, odmawiać, jak to wyznał księdzu Deschamps, nie tylko Ojciec Nasz, ale i Zdrowaś Maria“¹⁾). Wielki Leleweł Chrzanowskiego, to nie tylko człowiek osobiście religijny, ale i praktykujący katolik, wierny członek Kościoła, człowiek obrządku kościelnego.

Z portretu wielkiego Lelewela Kormanowej usunięty został nie tyle moment osobistej religijności, ile moment wierności dla Kościoła — pierwiastek obrzędowości kościelnej. Wielki Leleweł Kormanowej utrzymany jest w stylu świeckim i postępowym. Tym bardziej interesujące jest, że mimo zasadniczej tendencji świeckości i postępowości, Kormanowa kończy swoją biografię Lelewela akordem kazalniano-religijnym, podobnie jak Chrzanowski. Oba autorzy są tu w zgodzie z klasycznym wzorem biografii świętych bohaterów. Zgodnie z tym wzorem w obydwóch biografiiach szczególne miejsce zajmuje opis śmierci bohatera świętego. „Bohaterowie — pisze Czarnowski — w książce o kulcie św. Patryka — nie zaznaczają się tylko przez cnoty swego życia i przez moc swoich relikwii. Nawet ich śmierć różni się od śmierci ludzi zwykłych. Ona ma społeczną doniosłość“²⁾

¹⁾ Chrzanowski: Leleweł, str. 55.

²⁾ St. Czarnowski: Le Culte des Heros, str. 25.

Opis śmierci Lelewela w ujęciu obydwóch autorów ma dowodzić wierności wielkiego bohatera ideałom, jakie wcielał w swym życiu. W opisie śmierci Kormanowej umiera szlachcic w robotniczej bluzie, który „zerwał wszelkie związki z obozem reakcji, stanął twardo i wiernie przy postulacie zupełnej demokracji, w szeregach ludzi pracy, w walce o wolność polityczną i sprawiedliwość społeczną“ (89).

Chrzanowski zamyka swoje studium o Lelewelu następującymi słowami:

„A jeżeli i myśliciele nasi epoki romantyzmu, jak Trentowski, Cieszkowski, Libelt, poczytali narodowość w ogóle, a polską w szczególności, za wielkie dzieło boże, jeżeli i do dziś dnia jedni wierzymy, a inni powinniśmy wierzyć, że Polska to, jak powiedział Wyspiański, „wielka rzecz“, zawdzięczamy to nie tylko naszym poetom romantycznym, ale i Lelewelowi“ (str. 178).

A oto zamknięcie studium Kormanowej o Lelewelu.

„...Dziwna harmonia towarzyszyła obchodowi żałobnemu“, pisze naczynny świadek: „Nauka, praca i wolność sumienia, trzy rzeczy, którymi przez długie swe życie zajmował się Joachim, pokazały się na jego grobie. Jedna w członku Instytutu, druga w wyrobniku, trzecia w Żydzie uosobniona, i wszystkie trzy złożyły hold jego pamięci“.

„Obchód paryski odbył się 1 czerwca 1861 r. Wiadomość o zgonie Lelewela dociera do kraju bardzo szybko; już 7 czerwca odbywa się skromna msza żałobna u reformatów, a 8-go w synagodze na ul. Daniłowiczowskiej kaznodzieja Jastrow przemówił po polsku do licznie zgromadzonych Polaków i Żydów porównując Lelewela do Mojżesza, który także wiódł swój naród z niewoli egipskiej tyranii ku światowi wolności. Wśród licznych obchodów żałobnych, urządzonych w dniach najbliższych, warto wspomnieć mszę u dominikanów, zamówioną w dniu 10 czerwca przez robotników fabryki żelaza Evansa.

Nad grobem Lelewela zabrakło jedynie głosu chłopca polskiego. Pozbawiony praw i własności, nie mógł jeszcze podziękować temu, kto w ciągu całego swego długiego życia walczył o naprawienie wiekowej krzywdy rolnika, kto, choć sam szlachcic, piętnował i chlostał przewiny szlacheckie, kto zerwał wszelkie związki z obozem reakcji, stanął twardo i wiernie przy postulacie zupełnej demokracji, w szeregach ludzi pracy, w walce o wolność polityczną i sprawiedliwość społeczną“ (str. 88 — 89).

Jakże charakterystyczny jest religijny ton, jakim obydwaj historycy zamykają swoje biografie Lelewela. Jakże charakterystyczne jest u Kormanowej zbratanie się wszystkich odłamów narodu w kulcie dla świętej postaci Lelewela, jako symbolu całości narodowej.

Wielki Lelewel w ujęciu obydwóch autorów, mimo odrębnych akcentów społecznych utrzymany jest w ramach tego samego klasycznego wzoru świętego bohatera narodowego, któremu Stefan Czarnowski poświęcił znane studium w języku francuskim pt. „Kult bohaterów i jego warunki społeczne. Święty Patryk, narodowy bohater Irlandii¹⁾“.

¹⁾ St. Czarnowski: Le Culte des Héros et ses conditions sociales. 1919.

D e k l a r a c j a w i e r n o ś c i .

Z zachowaniem ogólnych ram wzoru biografii świętego bohatera narodowego wiąże się inny rys konstrukcji biografii. Zauważyłem już, że w kazalniano - religijnym zakończeniu portretu Lelewela u Chrzanowskiego występuje wyraźnie: 1) wprowadzenie Lelewela do areopagu świętych narodowych, którzy jak pisze Chrzanowski „poczytali narodowość w ogóle, a polską w szczególności, za wielkie dzieło boże“ (178), oraz 2) deklaracja wierności dla kościoła katolickiego.

Zwróciłem również uwagę na to, że pierwszy rys występuje w studium Kormanowej. Kormanowa zamyka życiorys Lelewela biblijną metaforą, przytaczając porównanie kaznodziei, który przyrównał Lelewela do Mojżesza „który także wiódł swój naród z niewoli egipskiej tyranii ku światłu wolności“ (88).

A co z drugim elementem życiorysu — z deklaracją wierności? Czy nie ma jej u Kormanowej? Owszem jest. Kormanowa nie mogła powtórzyć deklaracji wierności kościołowi, ponieważ nie byłaby ona zgodna z wzorem świętego postępowego. Ale jakże w biografii świętego nie miałyby być tego istotnego elementu, jakim jest deklaracja wierności dla określonej grupy społecznej, czy dla określonego ruchu społecznego. „Lelewel — pisze Kormanowa — stał się za życia pomnikiem i symbolem“ (str. 84). Jego wierność dla reprezentowanych przez niego wartości społecznych, to podstawowy element jego wielkości. Tę trudność rozwiązała Kormanowa w sposób bardzo interesujący. Przede wszystkim z duchowego żywota Lelewela opuściła okres od 1848 r. do śmierci w 1861 r. Ten trzy-nastoletni okres potraktowała autorka jako okres upadku sił i zbliżającej się śmierci, toteż opisy śmierci i pogrzebu najwięcej tu miejsca zajmują. Reszta duchowych perypetii Lelewela tego okresu nie nadawała się do obrazu postępowego Lelewela. W tym okresie bowiem Lelewel z postępowego myśliciela, z masona stał się znowu katolikiem i wiernym członkiem kościoła. Z tym okresem postąpiła Kormanowa tak, jak Chrzanowski postąpił z okresem poprzednim od 1831 r. do 1848 r., w którym to okresie Lelewel kumał się z najbardziej radykalnymi, czerwonymi ruchami emigracji polskiej i Europy. Chrzanowski opuścił ten okres, bo nie odpowiadał on wzorowi świętego katolicko - narodowego, a Kormanowa uwzględniła szczególnie obszernie właśnie ten okres, a opuściła następny. Kormanowa wyraźnie pisze, że wielki Lelewel kończy się znacznie wcześniej, na kilkanaście lat przed śmiercią cielesną i przed pogrzebem. Mianowicie zaraz po 1848 r. „Rok 1848 — pisze Kormanowa — jest datą przełomową w życiu Lelewela. Odtąd linia jego życia, wystrzeliwszy pięknym łukiem wysoko i daleko od ciasnych jednostkowych pragnień, od egoizmu szlacheckich postulatów, a nawet — od zacieśnionej do polskiego środowiska walki narodowej, spada stromo w dół“ (str. 83).

Dlaczego, zapytajmy, Kormanowa przyjmuje rok 1848 za przełomową datę biografii Lelewela, za szczytowy moment jego wielkości. Odpowiedź jest prosta. W tym roku następuje największe zbliżenie Lelewela do ko-

munistów. „Kulminacyjnym punktem — pisze Kormanowa — zbliżenia „Związku Komunistów“ i polskiej emigracji demokratycznej, skupionej wokół Lelewela, staje się obchód drugiej rocznicy powstania krakowskiego, odbyty 22 lutego 1848 r... Na obchodzie brukselskim występował Marks, wybrany do prezydium obchodu. Uczestniczy w nim również i przemawia przyjaciel i towarzysz walki Karola Marksa, Fryderyk Engels“.. (str. 79 — 80).

Marks i Engels w swoich przemówieniach podkreślali wielkie znaczenie powstania krakowskiego 1846 r., przez które Polska wysunęła się na czoło rewolucyjnych ruchów świata. Engels poza tym podkreślił rolę Lelewela w powstaniu listopadowym. Engels mówił: „Czy należy wymienić imię tego genialnego człowieka, który ułożył tak obszerny a zarazem prosty plan (działania)? To Lelewel“.. (str. 81). Na innym miejscu pisze autorka od siebie, że Lelewela „publicznie nazwał «genialnym człowiekiem» umysł tak wytrawny i krytyczny, tak wszelkiej apologetyce obcy, jak Fryderyk Engels“.. (str. 94). W ten sposób wielkość Lelewela znalazła ostateczne potwierdzenie w najwyższych autorytetach ruchu komunistycznego — u samych twórców tego ruchu.

„Z życiem Lelewela — pisze Kormanowa — wiąże się w lutym 1848 r. jeszcze jedna karta polskiej myśli demokratycznej. W końcu lutego ukazał się w Londynie napisany przez Marksa i Engelsa „Manifest Komunistyczny“, mała broszura, która stała się wyznaniem wiary międzynarodowego ruchu robotniczego. Wśród wielu podpisów pod „Manifestem Komunistycznym“ były i polskie podpisy. Miał tam być również podpis Joachima Lelewela. Rzecz źródłowo sprawdzona nie jest. Po latach, w roku 1880 na słynnym obchodzie genewskim półwiekowej rocznicy powstania listopadowego, Karol Marks wznosząc hasło: „Niech żyje Polska“ i podkreślając zasługi Polaków w walce o wolność, wspominał również udział Polski w tajnym kongresie londyńskim 1847 r., na którym został uchwalony „Manifest Komunistyczny“ «Na tym kongresie — ciągnął mówca — Polska miała swoich przedstawicieli, a na publicznym mityngu w Brukseli rezolucje kongresowe poparł znakomity Lelewel i jego towarzysze»... Aczkolwiek Lelewel — pisze dalej Kormanowa — nie stanął nigdy całkowicie na gruncie naukowego socjalizmu — na to był zanadto romantykiem i idealistą — tym niemniej był zdecydowanym, bojowym, ludowym demokratą i sojusz z obozem rewolucji socjalnej traktował bardzo na serio i z gorącym przekonaniem. Podpis Lelewela pod tekstem „Manifestu Komunistycznego“ byłby tylko tego sojuszu przypieczętowaniem i uroczystym stwierdzeniem“.. (str. 81 — 82).

Autorka chce powiedzieć, że jeżeli podpis Lelewela pod „Manifestem Komunistycznym“ nie był złożony w sensie materialnym, to jednak był on złożony w sensie duchowym. Marks mówił, że rezolucje kongresu, na którym był uchwalony „Manifest Komunistyczny“, poparł „znakomity Lelewel i jego towarzysze“. W tym podpisie Lelewela pod „wyznaniem wiary

międzynarodowego ruchu robotniczego“ — zawiera się deklaracja wierności, która była w żywocie Lelewela u Chrzanowskiego, a której pozornie brakło nam u Kormanowej.

Element obrzędowy.

W tej deklaracji wierności u Lelewela zwraca naszą uwagę interesujący rys socjologiczny. To nie jest deklaracja prywatna. Opis Kormanowej uwypukla publiczny charakter tej deklaracji. Nosi ona charakter niemal obrzędowy. Jest to złożenie podpisu pod „Manifestem“. W opisach Lelewel uczestniczy w zebraniach, na których przemawia i przewodniczy wódz komunizmu, Karol Marks. Autorka podkreśla, że Engels nazwał Lelewela genialnym człowiekiem „publicznie“. Tak samo publicznie Marks mówił o znakomitym Lelewelu. Opisy odtwarzają plastycznie, obrazowo te konkretne sytuacje, w których wielki Lelewel brał udział w zbiorowych wystąpieniach ruchu robotniczego. Dawniej odtwarzanie takiej sytuacji z historii grupy społecznej, a zwłaszcza jej powstania, odbywało się na drodze inscenizacji, w których brała udział cała grupa. Stanowi to istotę społeczno-religijnego obrzędu. Obecnie biografie wielkich ludzi, a zwłaszcza twórców ruchów społecznych, zastępują taki obrzęd. Dlatego też obfitują w obrzędowe elementy.

Od 1848 r. linia życia Lelewela „spada stromo w dół“, jak pisze Kormanowa. W tym okresie Lelewel zbliża się z powrotem ku kościołowi, a oddala od dawnych związków z ruchem komunistycznym. Według Kormanowej oznaczało to, że „linia życia spada stromo w dół“, według Chrzanowskiego strzelała prosto w górę.

Z punktu widzenia socjologicznego interesujące jest, że autorka na ten okres odstępstwa od komunizmu przenosi również upadek fizycznych sił Lelewela, jakkolwiek nie wiadomo dokładnie czy nerw kulszowy i uremia i upadek sił fizycznych, o których wspomina autorka jako o cierpieniu tego okresu, nie zaczęły trapić Lelewela już przed „Manifestem Komunistycznym“.

Podstawą chronologizacji życiorysu Lelewela nie jest jego fizjologia, ale jego społeczna rola. Fizjologię dostosowuje się tutaj do potrzeb społecznego obrazu jednostki. Lelewel Kormanowej starzeje się fizjologicznie, ponieważ starzeje się społecznie, a nie na odwrót. Fizjologiczne symptomy starczości przenosi autorka na okres, który z punktu widzenia swoich kryteriów społecznych uważa za starczość w sensie społecznym. Dlatego nerw kulszowy i uremię umieszcza po 1848 r., choć nie wiadomo, czy choroby te nie wystąpiły wcześniej.

Inna musi być chronologizacja życia, gdy za podstawę bierze się rolę Lelewela w stosunku do narodu i kościoła, jak u Chrzanowskiego, a inna gdy się bierze za podstawę jego rolę w międzynarodowym ruchu robotniczym, jak u Kormanowej. Życie osobiste ma tu wartość ze względu na publiczną rolę. Uwypukla się walory cielesne, jak również pierwiastki osobistego heroizmu, pozostające w wiernej służbie dla grupy i jej ideałów.

Spoleczne funkcje biografii i legendy historycznej.

Przejdźmy obecnie do społecznego zadania, jakie ma spełnić legendarny Lelewel. Na początku powiedzieliśmy, że biografię wielkich ludzi pisze się po to, aby stanowiła drogowskaz dla żyjących. Gdy Chrzanowski w usta umierającego Lelewela wkłada słowa „pracuj i módl się“, skierowane do polskiego kościoła i do polskiego narodu, to wezwanie to ma wyraźny sens społeczny. Jest to głos tradycji, nawołujący do kontynuowania linii życia nakreślonej przez wspólną tradycję narodu i kościoła i strzeżonej przez ich historyczne autorytety.

Ale co ma do powiedzenia współczesnym Lelewel postępowy? Ten Lelewel wskazuje drogę postępu społecznego. Kormanowa cytuje ustęp z Lelewela, w którym Lelewel uzasadnia konieczność reformy rolnej i pisze „bez tego Polska nie powstanie“.

„Współczesna demokratyczna myśl polska, przekonana o konieczności przebudowy ustroju agrarnego — pisze Kormanowa — sformułowała postulat reformy rolnej w lipcowym manifestie PKWN (Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego), powtarzając z głęboką wiarą za Lelewel: „Bez tego Polska nie powstanie“. Zgodni z Lelewel, szczęśliwsi jesteśmy od niego. Dane nam było dożyć chwili realizacji jego marzeń...

Nic tedy dziwnego, że jak wówczas jej hasło, tak teraz jej realizacja w większym jeszcze stopniu mobilizuje wszelkie najczarniejsze moce wstecznicstwa, wszystkie bastiony reakcji“ (91).

Lelewel na czele krucjaty przeciwko „najczarniejszym mocom wstecznicstwa“, przeciwko „wszystkim bastionom reakcji“ naszych czasów. Czy tak jest rzeczywiście? Czy można Lelewela traktować jako wodza postępu naszych czasów, odrywając go od epoki? Przecież dzisiejsi przeciwnicy reformy rolnej wychodzą właśnie z lelewelowskiej koncepcji reformy. To, że Lelewel widział konieczność reformy rolnej, to dopiero połowa prawdy historycznej. Druga połowa dotyczy tego, jak sobie Lelewel wyobrażał przeprowadzenie tej reformy. Sięgamy do książki Lelewela pt. „Polska, dzieje i rzeczy jej rozpatrywane“ wydanej w 1855 r. i czytamy w tej sprawie: „Zrobić operację gwałtownie, przemocą, wydrzyć panom i oligarchom na rzecz włościan: jaki skutek? Co za odmęt, co za upadek; co za elementa, co za heterogena poruszone?... Głównym do wszystkich dróg ubitym, a na zawsze otwartym traktem jest braterstwo z bliźnim... Nie mów o wyzwoleniu, bo człek nie był i nie jest twój, byś go wyzwalał... Rób z nim uczciwy rachunek i rozwiązuaj uciążliwe węzły posiadłości jego z twoją... Czyń to bez przesady, bez wymusu, szczerze, dobrą wiarą: zaufanie i braterstwo duszę jego i twoją wskrósź przenikną; serca prawe nieraz rozejdą się i zbliżą rzewnym przejętę wzruszeniem; otworzą się ścieżki do rodzinnych węzłów, które jedynie zapewnić mogą przyszłą narodu pomyślność“¹⁾

Jak widzimy, ta lelewelowska koncepcja reformy rolnej z 1855 r. była

1) J. Lelewel: Polska, dzieje i rzeczy jej rozpatrywane. Tom III. 1855. Str. 17 — 23.

bliska koncepcji Czartoryskiego z 1814 r., który uznawał „stopniowe osiągnięcie bytu niezależnego“ przez włościan, ale „bez najmniejszego ubliżenia prawom właścicieli“.¹⁾ „Bez krzywdy, bez narzekania“, reforma rolna oparta na dobrej woli właścicieli. Taka reforma, aby nie były „heterogena poruszone“. Czy to jest obecna reforma rolna?

Była w Polsce reforma rolna zgodna z duchem Lelewela, reforma, w której nie były „heterogena poruszone“. To była reforma uchwalona w 1919 r., która nie doszła do skutku dlatego, że zrodził ją duch Lelewela, dlatego, że liczyła się z dobrą wolą właścicieli. Obecna reforma nie wyrosła z ducha Lelewela, lecz z przewyciężenia tego ducha. Leleweł ze swoją doktryną reformy rolnej „bez krzywdy i bez narzekania“ jest przeciwieństwem „reakcji“, a nie rewolucji.

PKWN szedł za tradycją lelewelewską, domagając się reformy rolnej i uważając za Lelewelem, że „bez tego Polska nie powstanie“. Ale koncepcja reformy rolnej PKWN nie była koncepcją Lelewela i pod tym względem PKWN nie szedł z tradycją Lelewela i, dążąc do realizacji reformy rolnej, pójść nie mógł. Co więcej, PKWN zrywał również z tradycją Lelewela w ogólniejszym znaczeniu, ponieważ zrywał z koncepcją liberalnej demokracji Lelewela, zrywał z romantyczną koncepcją demokracji utopijnej z okresu Wiosny Ludów.

Aktualizacja postaci Lelewela ma swoje granice, których naukowiec przekroczyć nie może. Leleweł był człowiekiem epoki, w swoim czasie także człowiekiem partii. Ten Leleweł zaktualizować się nie da. Jego koncepcje reformy rolnej były koncepcjami jego epoki. Równocześnie jednak Leleweł wznosił się ponad swoją epokę i był symbolem, ucieleśnieniem odwiecznych ideałów człowieczeństwa i sprawiedliwości. W tym Lelewelu odnajdują swoje ideały zarówno tradycjonalista, jak i postępowiec: Chrzyszowski i Kormanowa. Ten Leleweł jest wciąż aktualny, gdyż jest wieczny. Ten Leleweł wciela ideał człowieczeństwa i sprawiedliwości, towarzyszący człowiekowi od początku ludzkiej kultury. Społeczno-historyczna funkcja tego Lelewela polega na tym, że łączy ludzi, a nie dzieli. Tym, którzy walczą ze sobą, różniąc się w pojmowaniu dróg realizacji, Leleweł przypomina i wskazuje wspólny ideał człowieczeństwa, który obowiązuje walczące strony. Ideał człowieczeństwa ucieleśniany w wielkich ludziach typu Lelewela, stanowi pomost pomiędzy różnymi epokami historii. Oznacza on przewyciężenie historycznego relatywizmu. Ustalanie, utwierdzanie i upowszechnianie kultu wielkości tego typu ludzi stanowi podstawowe zadanie historycznej legendy. Stąd wynika, że w obydwóch biografjach Leleweł został ujęty nie jako historyczny człowiek epoki, lecz jako człowiek wieczny ponad historyczny. Wobec historycznego relatywizmu i zmienności biografiści wnoszą postać Lelewela

¹⁾ Świętochowski: Historia chłopów t. II, str. 132.

jako wartość absolutną, jako niezmienny drogowskaz społeczno-moralny dla zmiennych czasów. Gdyby było inaczej, gdyby Lelewel był ujęty tylko w naukowych historycznych kategoriach jako człowiek swojej epoki, to nie mógłby być autorytetem dla naszych czasów. Lelewel z 1846 czy 1848 r., Lelewel Wiosny Ludów może być autorytetem społeczno-moralnym dla 1946 r. tylko ze względu na wartości społeczno-moralne, nieprzemijające — wieczne. Takie niehistoryczne ujęcie postaci Lelewela nie wynika z naukowych zadań, lecz z potrzeb historycznego duszpasterstwa.¹⁾ Ono wynika z socjologicznej struktury i społecznej funkcji żywotów świętych. Stąd wniosek, że w studiach Chrzanowskiego i Kormanowej mamy dwa różne portrety Lelewela, należące jednak do wspólnego socjologicznego typu — świętego żywota.

Jeżeli chodzi o Lelewela, to analogia do „żywota świętego“ dotyczy nie tylko formy biografii, lecz także samej postaci bohatera. Epoka romantyzmu i mesjanizmu dostarczyła nam całego areopagu świętych narodowych, którzy przemawiali do narodu językiem biblijnym. „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego“ Mickiewicza, to nie było zjawisko odosobnione, to był klasyczny wzór przemawiania do narodu przez jego świętych. Z tymi świętymi narodu wiąże się głęboki przełom w historii kultury narodowej. Od nich, od tych świętych zaczyna się koncepcja narodu polskiego jako mistycznej wspólnoty narodowej — początek nowego narodu polskiego.

Święci ci przemawiali do narodu językiem ideałów, które wiecznie aktualne, nigdy się w pełni nie realizują. Takim językiem przemawiał i Lelewel pisząc: „Nie mów o wyzwoleniu, bo człek nie był, nie jest twój, byś go wyzwalał. Rób z nim uczciwy rachunek i rozwiązuj uciążliwe węzły posiadłości jego z twoją“.²⁾

Reasumując naszą analizę, otrzymujemy następujące elementy tego typu biografii: 1) utrzymanie biografii w podniosłym tonie z wyraźnymi akordami kazalniano-religijnymi; 2) deklaracja wierności wartościom grupy społecznej, której bohater jest symbolem; 3) elementy obrzędu społeczno-religijnego; 4) chronologizacja życia odpowiadająca etapom historii grupy, którą bohater symbolizuje; 5) ujęcie bohatera w kategoriach niehistorycz-

1) Z tendencji do szukania w Lelewelu drogowskazu dla naszych czasów wynika również inny charakterystyczny przykład niehistorycznej argumentacji w studium Kormanowej. Wspominając o tym, że w 1813 r. Lelewel „żąda ponadto rozciągnięcia Konstytucji i na «prowincje zabrane», na Litwę i Ruś, jako na części tej politycznej całości, która pod mianem Rzeczypospolitej Polskiej istniała“ Kormanowa wyjaśnia, że to „żądanie Lelewela było natenczas postulatem postępowym, demokratycznym. Władczy Litwę i Ruś w dobrodziejstwa konstytucyjne, rozszerzył zachodnią szczylinę w obręczy carskiego autokratyzmu, znaczyło to pójść z pomocą podskórnym, wywoleńczym ruchom w samej Rosji i użyć doli ludu na Litwie i na Rusi“.⁽⁴⁵⁾ Czy z punktu widzenia ówczesnej epoki potrzebuje wyjaśnienia fakt, że Polacy myśleli o Polsce kategoriami granic przedrozbiorowego państwa polskiego. W „Protestacji przeciwko traktatom rozszarpującym Polskę“, (Paryż 1832, str. 8), wydanej przez Towarzystwo Demokratyczne, czytamy: „Chcemy wrócenia dawnych granic Polski...“ także samo stanowisko występuje w licznych enuncjacjach Tow. Dem. z lat późniejszych (patrz St. Piłgosiński: Zręby nowej Polski, 1938). Jednostki mogły mieć poglądy odmienne, ale linia podziału nie szła pomiędzy „reakcjonistami“, a „postępowcami“, gdyż i jedni i drudzy myślać kategoriami swojej epoki, stali wtedy na stanowisku granic państwa polskiego przedrozbiorowego.

2) Cyt. Chodynicki: Op. cit. str. 25.

nych, absolutnych, wiecznych, mających symbolizować absolutność i wieczność ideałów i wartości, a czasem nawet grupy, którą reprezentuje, 6) podporządkowanie ogólnoludzkich wartości bohatera — jego wierności dla określonej grupy społecznej.

5. ŚWIĘTY LELEWEL I ŚWIĘTY MICKIEWICZ

Lelewel nie jest pierwszym świętym polskim, którego interpretacje były krańcowo przeciwstawne.

Klasycznym przykładem jest Mickiewicz. «Wzniesiono Mickiewiczowi pomnik — pisał Boy Żeleński — uczyniono zeń rodzaj „trzeciego maja“ przeciw pierwszemu majowi, sztandar przeciw socjalistom. Mickiewicz — to była tradycja, kontusz, wiara, ład i porządek. To była „reakcja“. Ale pomału zaczęli się pod niego podbierać socjaliści i mówić „on jest nasz“, i też pielgrzymować pod jego pomnik. Zaczęto ogłaszać jego paryskie pisma: jak dalece te pisma były nie na rękę, świadczy fakt, że pewien konserwatywny polityk wystąpił przeciw odgrzewaniu zapomnianych artykułów Mickiewicza(!). Dziś Emil Haecker robi poetę jawnie socjalistą, cytując słowa Władysława Mickiewicza, jeszcze z roku 1870.

„Mój ojciec nie obawiał się przybrać miana socjalisty w tym czasie, kiedy ta nazwa ściągała na siebie obelgi i cały gniew społeczeństwa rządowego“.

Socjalista? To za słabe! Bolszewik, gdyby wierzyć Zygmunтови Krasieńskiemu. „Za naszych dni — pisał Krasieński — bywają zbrodnie druku, warte dawnych zbrodni zabójstwa, ojcobójstwa, zdrady ojczyzny itd.... Gadają jak natchnieni, czynią i postępują jak galerniki!... Dopierom teraz się przekonał, jak głęboko upadł Mickiewicz... Wiedźże raz na zawsze, że cały skład *T r y b u n y* z samych łajdaków był złożon, że im w głowie był rabunek i rzeź!...“ To wszystko — to opinie Krasieńskiego o *T r y b u n i e* *L u d ó w* w listach do Augusta Cieszkowskiego.¹⁾

O co chodzi w tym sporze? Czy o ostateczną odpowiedź nauki, do jakiej sekty Mickiewicz lub Lelewel należał? Czy był towiańczykiem czy masonem? Wielkość Mickiewicza czy Lelewela polega właśnie na tym, że w ramach żadnej sekty zamknąć się ona nie da. Mickiewicz był socjalistą, ale jakim? Posłuchajmy, co pisał o socjalizmie w „Trybunie Ludów“.

„Uczucie socyalne może dopiero wtedy stać się zapałem (passion), czynem i prawdą, gdy wybuchnie w duszy prawdziwych i patryotycznych usposobionych ludzi. Uczucia religijne i patryotyczne są podstawą socjalizmu... Zgadzaemy się z socjalizmem, ilekroć występuje jako rozwinięcie uczucia religijnego i politycznego. Pozostawiamy teologom i filozofom zawodowym rozbiór teoryi“.²⁾

„Socjalizm, jako zasadę, przyjąć mogą tylko ludzie religijni i patryotycznie usposobieni... Wyniki ostatnich posiedzeń Zgromadzenia narodowego, mamy nadzieję, pouczą socjalistów o tym, o czym byliśmy zawsze przeko-

1) Boy: Ludzie żywi, str. 179 — 180.

2) A. Mickiewicz: Trybuna Ludów, Dzieła wszystkie Wyd. I Piniego t. 9, str. 168.

nani, mianowicie, że ludzie, którzy po wszystkie czasy zwalczali wszelkie uczucia religijne i odrzucali wszelkie poczucia narodowe francuskie, są naturalnymi wrogami socjalizmu. Trzeba szukać innego sposobu nawrócenia ich“¹⁾)

Taki był socjalizm Mickiewicza i bardzo pokrewny był „komunizm“ Lelewela, który pisał: „nie mów o wyzwoleniu, bo człek nie był, nie jest twój, byś go wyzwalał“.

Pewien historyk, który lubi dokładność historyczną, tak pisze o Lelewelu: „Omawiając niedawno książkę Ignacego Chrzanowskiego o Lelewelu w tygodniku „Odrodzenie“²⁾ nazwaliśmy go prekursorem materializmu historycznego w Polsce. Zanna Kormanowa z pełną racją widzi w nim przedstawiciela romantycznej historiografii... Prawdopodobnie ta ocena utrzyma się. Niewątpliwie też jest, że Leleweł żywił wiele przekonań idealistycznej historiozofii. Ale miłośnik statystyki (polityczno-społeczna arytmetyka) i poszukiwacz prawidłowości w zjawiskach historycznych, krążył około twórczych idei, które dojrzewały w najlepszych głowach, a dojrzały w umysłach Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. W Polsce wyprzedził ich znakomity Leleweł“³⁾)

Rozumiem to w ten sposób, że Leleweł był prekursorem materializmu historycznego w Polsce, ponieważ jako idealista i romantyk krążył około twórczych idei, które dojrzewały nie w jego głowie, ale w najlepszych głowach Marksa i Engelsa — i dlatego był znakomity i genialny. Trudno byłoby ująć rzecz bardziej precyzyjnie.

Tu nie chodzi tylko o poglądy Mickiewicza i Lelewela i o wykazanie, jak daleko są od materializmu historycznego. Chodzi o problem ogólniejszy: czy pierwiastek religijności nie należy do podstawowych elementów kształtowania się społeczeństw historycznych? Czy nie dlatego historycy, niezależnie od tego, czy są idealistami czy materialistami, piszą legendy świętych narodowych i w ten sposób biorą udział w tworzeniu historii. Bo legenda, która się przyjmie w społeczeństwie, staje się historyczną rzeczywistością — potężnym czynnikiem kształtowania życia zbiorowego.

Marks i marksizm stoją na stanowisku, że taką funkcję spełnia nauka teoria ruchu społecznego, narzędzie, jakim posługuje się świadomie rozum ludzki. Nie lekceważę znaczenia takiej teorii. Interesuje mnie jednak fakt socjologiczny, że ludzie, wyznający ten pogląd, sami równocześnie tworzą historyczne legendy typu religijnego .

6. LELEWEL NA TLE PROBLEMÓW EPOKI

Historyka-duszpasterza interesuje Leleweł wieczny, historyka naukowca Leleweł historyczny, człowiek swojej epoki. Jako człowiek epoki Leleweł był wyrazicielem prądów i problemów nurtujących społeczeństwo, do którego należał. Był jak soczewka, która przyjmuje promienie i rozpala ogień. Jeżeli Leleweł tak wielką wagę przywiązywał do sprawy właszcze-

¹⁾ A. Mickiewicz: jak wyżej, str. 171

²⁾ Patrz „Odrodzenie“ z dnia 26 maja 1946 r.

³⁾ „Kuznica“ z dnia 9.IX.46 r. str. 10. „Głosy o Lelewelu“.

nia, to nie było to zagadnienie odosobnione. Nie było to również oderwane zagadnienie postępu społecznego. Dla Lelewela, podobnie jak dla demokratycznej emigracji, był to centralny problem narodu polskiego. Spory, jakie się toczyły między emigracją na ten temat, dotyczyły terminu i sposobu przeprowadzenia reformy rolnej, a nie jej konieczności. Gdy Mochnacki, zbliżając się wyraźnie w tej sprawie do obozu Czartoryskiego, przychylił się do tezy, że najpierw wyzwolenie polityczne, a potem wywłaszczenie, to większość Towarzystwa Demokratycznego zajmowała przeciwne stanowisko: najpierw uwłaszczenie, potem powstanie.

W 1840 r. w Towarzystwie Demokratycznym dyskutowano nad tym „Jakie ludowi złożyć rękojmie, iż sprawa powstania jego będzie sprawą?“ W radykalnym programie „równie duchowego jak materialnego usamowolnienia ludu“, przyjęto wtedy, że to pełne usamowolnienie, wraz z uwłaszczeniem, musi nastąpić od razu „z pierwszym okrzykiem: do broni!“ Uwłaszczenie powinno być przy tym bezwarunkowe, to jest bez odszkodowania.

We wnioskach z tej dyskusji czytamy: „I tak, uwłaszczenie, jeżeli ma zamierzony skutek sprawić, powinno być bezwarunkowe i w pierwszej chwili ogólnego ruchu dokonane. Jeżeli będzie prostą tylko obietnicą, lud obietnicom niewierzący, nie powstanie; jeżeli będzie warunkowe, to jest z jakimkolwiek rodzajem wynagrodzenia dzisiejszym właścicielom, można być pewnym równegoż skutku. Pierwsze jest samo przez się jasne; dla przekonania się o drugim dosyć pomyśleć, że k a ż d y w a r u n e k o d j ą ł b y u w ł a s z c z e n i u n a j w a ż n i e j s z ą c e c h ę, c e c h ę w i e l k i e j, n a r o d o w e j, p o w s z e c h n e j s p r a w i e d l i w o ś c i, a p r z e z t o z w s z e l k i e g o o b n a ż y ł b y j e u r o k u. W r z e c z y ż a ś s a m e j c i ęż a r w y n a g r o d z e n i a s p a d ł b y z a w s z e p o ś r e d n i o l u b b e z p o ś r e d n i o n a l u d; a z d r o w y j e g o r o z s ą d e k, n i e u f n o ś c i ą j e s z c z e p o d s y c a n y, ł a t w o b y m u o d k r y ł z a s t a w i o n e n a Ń s i d ł a... U w ł a s z c z e n i e w i ę c b e z w a r u n k o w e, z p i e r w s z y m d o b o j u w e z w a n i e m o g ł o s z o n e i w ż y c i e w p r o w a d z o n e, j e ś t n a j w a ż n i e j s z ą, n a j d o t y k a l n i e j s z ą, n a j ł a t w i e j s z ą r ę k o j m i ą, j a k i e p r z y s z ł e p o w s t a n i e l u d o w i z ł o ż y ć m o ż e“.)

Mowa była o nadaniu chłopom tej ziemi, która już była w ich użytkowaniu, a nie o parcelacji gruntów dworskich. Sprawa uwłaszczenia nie występowała tutaj, tak samo jak u Lelewela, w formie parcelacji i wywłaszczenia „obszarników“.

Wśród tych, co mieli poważne zastrzeżenia wobec tak postawionej formuły uwłaszczenia znajdowali się: Mochnacki i Lelewel. Mochnacki nie chciał zrażać szlachty do powstania, gdyż, jak pisał, ta „jedna klasa ma tam najwięcej wpływu i najwięcej w różnych okolicach Polski charakteru narodowego“.)

A Lelewel? Lelewel w „Polsce odradzającej się“ (1836), w książeczce przeznaczonej dla polskich dzieci pisał: „czyż tedy można, aby się ten lud

1) Heltman W.: Demokracja polska na emigracyi, str. 162 — 163. 1866 r.

2) Cyt. Piłgoń: Zręby nowej Polski, str. 40

ustawicznie bił o carskie lub pańskie panowanie, a nigdy za swoje własne, swobody i niepodległość“ (Chrzanowski, 129). Ale, jak już wspomniałem, co do sposobu uwłaszczenia, co do uwłaszczenia bez odszkodowania nie był zdecydowany.

Chłopi a zagadnienie narodu polskiego.

W kwestii uwłaszczenia Lelewel nie wyprzedzał swojej epoki, on był jej wyrazem. Polska emigracja demokratyczna w problemie chłopskim widziała problem polskiego narodu.

Omawiając książkę Chrzanowskiego o Lelewelu, wytknąłem jej, że się zajmuje osobistą wielkością Lelewela, zaniedbując go zupełnie jako człowieka epoki. Zwróciłem uwagę na to, że Lelewela, ojca historii polskiej, należy traktować pod kątem widzenia centralnego problemu jego epoki. A ten problem to wprawdzie nie początki narodu polskiego, jak chcą niektórzy, ale tak głębokie przeobrażenia kultury narodowej, że stanowią one epokę przelomową historii Polski. „Szlachciże XVIII w. — pisał Al. Świętochowski w «Genealogii teraźniejszości» — w rozumieniu patriotyzmu i obywatelstwa ogólnonarodowego, Polakami nie byli. Oni byli albo „królewętami“, albo ich poplecznikami i pachotkami. Byli Polakami etnograficznie, ale nie politycznie“.¹⁾

Ignacy Chrzanowski w pracy „Romantyzm i idea narodowości“ pisał: „Kto czytał uważnie drugie i trzecie „Kazanie Sejmowe“ Skargi, któremu zawdzięczamy najpiękniejsze uzasadnienie patriotyzmu, na jakie się zdobyła dusza staropolska, ten spostrzeżł zapewne, że jest to patriotyzm nie narodowy, tylko państwowy“.²⁾

Czy wiek XVIII wyszedł poza to stadium? Naród polski musiał przeżywać „uprzywatnione państwo“, jak pisał Świętochowski, oraz sarmacki katolicyzm, aby mógł stać się nowoczesnym narodem. Wiek XVIII zaledwie zapoczątkował ten proces. Do narodu polskiego w nowoczesnym rozumieniu było jeszcze daleko. Poczucie bezsilności państwowej i brak poczucia godności narodowej razi nas u wielu wybitnych szlacheckich przedstawicieli XVIII w. Król Stanisław August Poniatowski przodował pod tym względem, a za nim szli inni. Dumny pan, książę „Panie Kochanku“, ukorzywszy się przed Katarzyną, pisał do Repnina: „że będzie zawsze należał do partii rosyjskiej, że we wszystkich czynnościach będzie się stosował do woli dworu petersburskiego, że z uszanowaniem i uległością przyjmie wszystkie rozkazy tego dworu i wykonywać je będzie bez najmniejszego sprzeciwiania się“.³⁾

Ignacy Krasicki — pisze o nim Aleksander Świętochowski — „dostawszy się po pierwszym podziale, jako biskup warmiński, pod panowanie pruskie, rozkoszował się pałacem i ogrodami w Heilsbergu, biesiadował z gro-

1) Świętochowski: Genealogia teraźniejszości, str. 199.

2) „Kultura i wychowanie“. R. I. 1934. zes. III. Str. 256.

3) W. Kalinka: „Ostatnie lata“. Str. CXXV. według A. Świętochowski: Genealogia str. 90.

madą gości, raczył ich i siebie ostrygami, jeździł na kilka dni do Berlina jako gość Fryderyka II, jadł z nim obiady i — jak donosi w listach do brata — «starał się, o ile możliwości, bawiąc go, oświadczyć mu wdzięczność». Dostojnik literatury polskiej bawił Fryderyka II, mordercę Polski, przezwanego «największym łotrem XVIII w.» i wyrażał mu wdzięczność¹⁾

„Uznany za najznakomitszego poetę XVIII w. Trembecki tak apoteozował Katarzynę

Cóż opuścił wielkiego umysł jej wspaniały.
Którego jej rodzaju nie przysądzić chwały.
Który kąt świata leży w tak zapadłym cieniu,
Zeby o jej uwielbionym nie słyszał imieniu.
..... My nadzieję mamy,
Ze nam od niej gorące popłyną balsamy,
Wyznaje cała ziemia, że w monarchiń rzędzie
Nad nią większej nie było i nigdy nie będzie.

Noszę wiecznie w umyśle jej konterfekt żywy
Niech ją raz jeszcze widzę, a umrę szczęśliwy.

Ze pieśniarz, sławiący rozmaitych łotrów — pisze Świętochowski — napisał odę do Repnina, którą po ostatnim rozbiorze śpiewali w Grodnie jego podkomendni oficerowie, a w której tak chwali pierwszego i najokrutniejszego mordercę Polski:

Rzadko je w jednej osobie
Niebo swe dary rozdziela
Tym cnotom, książę, złączonym w tobie,
Winniśmy nasze wesela.
Zniszczyłeś smutki, zgoiłeś rany,
Twą rozłopnością przedziwną.

Sprawco radości, przyjm nas w twe łono...

że tak zdolny był napisać Trembecki, ten panegirysta z ambicją „pieska“ — to nas nie dziwi, ale że do tegoż Repnina mógł pisać nawet „śmiało“ wiersze i uważać go «w gruncie serca za uczciwego człowieka» Karpiński — to już trudniej pojąć²⁾. „Jalowy to grunt, a dusza mała“ — pisze o Karpińskim prof. Pigoń³⁾.

Spojrzymy na te sprawy kategoriami historii Lelewela. „Dostojne osoby — pisał Lelewel — których dzieje znamienite sprawy głoszą, świecą innym polyskiem, innymi napojone widzeniami, sadowią się w stanowiskach niezgodnych z gminnymi zasadami: ten szuka sławy i obcych zaszczytów,

1) Al. Świętochowski: Genealogia, str. 94 — 95.

2) Al. Świętochowski: Op. cit. str. 93 — 94.

3) St. Pigoń: Małoduszność „śpiewaka Justyny“. Myśl Narodowa, W-wa (29. VIII. 1937 r. str. 547.

inny kardynalskiego pragnie kapelusza i dmie wysoką godność swą, ów prze-
możnością nadęty zwie się magnatem itd. itd., ale wszyscy niezdolni stawić
czoła prądowi l u d u i gminnemu porządkowi“.¹⁾ Polsce magnackiej
i arystokratycznej Leleweł przeciwstawiał ludową koncepcję narodu pol-
skiego.

„Czyn i siła jest w ludz ie — pisał Leleweł — pojedyn-
czych osób działanie z widni dziejów niknie, myśl polityczna, towarzyska,
powoduje tłumy, a powieść współczesna nie umie wymieni ć przywódców
tłumu“.²⁾

Leleweł sygnalizował nową epokę historii narodowej, w której o na-
rodzie zadecydują nowe klasy społeczne. Dokładnie przed 50 laty w 1896 r.
St. Zakrzewski w „Rysie naukowej działalności Joachima Lelewela“ („Kry-
tyka“, Kraków 1896) pisał, że „przewaga danej klasy warunkuje w jego po-
glądach istnienie danej epoki“.³⁾ Z tego punktu widzenia Leleweł jest bar-
dziej nowoczesny niż wielu historyków późniejszych.

Kormanowa wiele miejsca poświęca kontaktowi Lelewela z międzyna-
rodowymi ruchami, zwłaszcza z międzynarodowym ruchem robotniczym.
Ta część książki Kormanowej stanowi nowy i poważny wkład autorki do
historii Lelewela. Bluza robotnicza, jakiej Leleweł używał, ma jednak zna-
czenie zupełnie symboliczne. Leleweł ujmował wprawdzie epoki historycz-
ne z punktu widzenia dominującego stanu, ale nie wyszedł w swej historii
poza konflikt szlachecko - chłopski. W historii nie widział nie tylko klasy
robotniczej, której zresztą nie było jeszcze w historii polskiej, ale nie
widział również mieszczaństwa, jakkolwiek sam był jego produktem. Kor-
manowa podaje nam opinię Marksa i Engelsa o Lelewelu, ale, niestety, nie
mamy nigdzie opinii Lelewela o Marksie i Engelsie i o jego własnym sto-
sunku do międzynarodowego ruchu robotniczego i do komunizmu. Stosu-
nek do komunizmu był wśród emigracji tematem ożywionych dyskusji. No-
we informacje Kormanowej w tym względzie nie zmieniają zasadniczo sta-
nowiska dotychczasowych biografów Lelewela, dla których kontakty z mię-
dzynarodowym ruchem komunistycznym posiadały charakter epizodyczny.
W świetle dotychczasowej wiedzy o Lelewelu
nie ulega wątpliwości, że postać Lelewela jest
zrozumiała na tle swoistej łączności szlachec-
ko-inteligenckiej emigracji z chłopskim na-
rodem, a nie na tle międzynarodowego ruchu
robotniczego. W kontaktach, jakie Leleweł utrzymywał z przy-
wódcami ruchów wolnościowych Europy, uderza nie tylko międzynarodo-
wość aktywności Lelewela, którą podkreśla Kormanowa. Uderza jej cha-
rakter narodowy i europejski równocześnie: Młoda Polska jako czł on Mł o-
dej Europy.

¹⁾ K. Chodynicki: Leleweł na emigracji, „Pamiętnik Warszawski“ 1929, z. IV, str. 25 — 26.

²⁾ K. Chodynicki: Loc. cit. str. 26.

³⁾ St. Zakrzewski: Zagadnienia historyczne, t. I. str. 134.

Narodowa koncepcja historii.

Głęboki przełom przynosi epoka romantyzmu. Z romantyzmem wiąże się rozwój polskiej idei narodowej. „Bóg chciał mieć narody jak ludzi, indywidualnymi“, mówił Kazimierz Brodziński w słynnej mowie „O narodowości Polaków“, wygłoszonej na uroczystym posiedzeniu „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“, dnia 3 maja 1831 r. Idea narodu przenika cały romantyzm. Mochnacki, mając na uwadze ten fakt, pisał, że dopiero literatura romantyczna była literaturą narodową. Z tym prądem romantyzmu związany był Lelewel tak dalece, że uważa się go za twórcę romantycznego kierunku w historii. Historia w ujęciu Lelewela przestaje być nie tylko dworska, ona przestaje być historią państwa, a staje się historią narodu, której przedmiotem jest „działanie ludzkie, czyli kultura ludzka we wszystkich szczegółach swoich“, „wszystkie stosunki, jakie w towarzyskim ludzi poźyciu zachodzić mogą“. Na tej drodze Lelewel wziął sobie za zadanie główne „...rozpoznać różnicę... spraw i rzeczy polskich ...od spraw innych ludów, aby wydobyć własny narodowy żywioł, odróżniając go od cudzoziemskiego“.

„Zapamiętali głosiciele kosmopolityzmu — pisał Lelewel — nie baczą, że przygotowują czasy imperium rzymskiego; a najprzód nastanie zobojętnienie na to, co swoje, i obcy przewodzić zaczną, a potem oziębłość na to, co się dzieje, i żi ludzie panować i uciskać zaczną, a wreszcie barbarzyńiec przyjdzie, znikczemnionych, złych i dobrych kosmopolitów pochłonie“¹⁾).

Przytoczone wyjątki dostatecznie ilustrują miejsce Lelewela i jego koncepcji historycznej w ramach romantyzmu. Są to rzeczy dobrze znane. Ujmowanie Lelewela z punktu widzenia jego miejsca w romantyzmie nie wyczerpuje jednak całego społeczno - kulturalnego tła epoki. Romantyzm to był tylko jeden z jej elementów. Przełom dokonujący się w strukturze narodu polskiego nie dokonywał się tylko w sferze ideologicznej. Omawiając książkę Chrzanowskiego zwracałem uwagę na to, że Chrzanowski zajęty psychologiczno-morałną rzeźbą Lelewela, nie widział zupełnie tego, że w Lelewelu mamy do czynienia z symptomatycznym zjawiskiem socjologiczno - historycznym.

Pierwszy historyk-inteligent.

Zjawisko to polega na tym, że historyk-dworzanin ustępuje miejsca historykowi-inteligentowi. Lelewel jawi się nam jako przedstawiciel nowego społecznego typu historyka. Naruszewicz był jeszcze historykiem dworzaninem, Lelewel jest pierwszym polskim historykiem inteligentem. I rzecz zrozumiała, że Lelewel jako przedstawiciel tego nowego typu historyka rodzi się razem z narodzinami inteligencji polskiej. Musiało się coś w społeczeństwie szlachecko - ziemiańskim zmienić, jeżeli ten nowy typ stał się możliwy. Wytwarzają go nowe warunki społeczne. Wytwarzał go nie dwór magnacki, ale — miasto... Warszawa Lelewelów, Lindów, Kolber-

¹⁾ Cyt. Chrzanowski: Romantyzm i idea narodowości, str. 261.

gów, Elsnarów, Chopinów itp., ciesząca się sławą jednej z najmuzykalniejszych stolic świata obok Wiednia, Lipska, Drezna i Paryża, nie była jeszcze wówczas miastem w nowoczesnym znaczeniu. Wieś wchodziła omal w jej środek... Ta Warszawa starego Staszica, a młodocianego Chopina, ta Warszawa z czasów, kiedy Nowosilcow likwidował wspaniały rozkwit Uniwersytetu Wileńskiego, a sławny profesor tego Uniwersytetu Joachim Lelewel zjeżdżał do Warszawy powtórnie (1824 r.), ta Warszawa z punktu widzenia przemysłowego — to było miasto szewców. Mieszczanstwo polskie odgrywało jeszcze znikomą rolę...

A mimo to, to miasto szewców, stolica rządu szlachecko - ziemiańskiego, odgrywała już wtedy bardzo istotną rolę w kształtowaniu się narodu polskiego — właśnie jako miasto. Tu formowały się pierwociny inteligencji narodowej nie dworskiej. Z tego gruntu wyrastali inteligenci: Lelewel, Brodziński, Mochnicki, a nie dworzanie jak Trembecki, a nawet Karpiński. Lelewel, twórca historii polskiej, jako przedstawiciel typu pisarza inteligenta, jest niezrozumiały, jeżeli się go ujmuje poza tym procesem społeczno - historycznym. Trudno go zrozumieć jako zjawisko historyczno-socjologiczne, gdy czyta się studium Chrzanowskiego.

Pod tym względem trudno go także zrozumieć, gdy się czyta studium Kormanowej.

Zwracając uwagę na zarysowujący się problem inteligencji, nie miałem ambicji wyczerpywać zagadnienia. Chciałem tylko zwrócić uwagę na to, że przelomu, jaki dokonywał się w strukturze narodu polskiego w przejściu od XVIII do XIX w., nie można sprowadzać do zagadnienia romantyzmu. Samo zagadnienie romantyzmu należy również rozpatrywać w historycznej perspektywie bardziej ogólnej. Romantyzm to nie było tylko duchowe przewyciężenie oświecenia, to nie była tylko duchowa nacjonalizacja literatury, to nie było tylko wejście ludu do poezji i literatury w charakterze uczuciowo ujmowanej sprawy narodowej — to była także sprawa europeizacji Polski. Romantyzm to nie było tylko idea narodu, lecz także idea Europy. Romantyzm to nie tylko św. Trójca naszych wiešczów, lecz także Mazzini, młoda Europa i — Wiosna Ludów.

Europeizacja Polski.

Kormanowa, przedstawiając ściśle przyjacielskie stosunki Lelewela z Mazzinim, Lafayettem i innymi czołowymi postaciami ruchów wolnościowych ówczesnej Europy, dotyka szlaków, dzięki którym ówczesna Polska należała do ówczesnej Europy. Centralnego historycznego problemu, jaki się tutaj nasuwa, autorka nie omawia. A problem ten polega na tym, że europejskość Polski przed Lelewel, za Lelewela i po Lelewela, wyrażała się w tym, że mieliśmy w Europie zawsze pol-

ską emigrację faktyczną lub duchową — a polski naród chłopski znajdował się poza Europą.

Europeizacja to centralny problem kształtowania się nowoczesnych narodów. Nie jest to rzecz przypadku, że proces narodzin nowoczesnego społeczeństwa polskiego w dobie wielkich reform końca XVIII stulecia dokonywał się pod znakiem przemożnego wpływu kultury obcej — francuskiej. Inaczej być nie mogło. Naród szlacheckiego sarmatyzmu mógł się stać narodem nowoczesnym tylko na drodze europeizacji. W ten sam sposób, przez wielką akcję europeizacji, zapoczątkował Piotr Wielki rozwój narodu rosyjskiego. Aby się stać narodem nowoczesnym, trzeba było z europeizować się.

Szlachta polska, która reformowała państwo polskie za Stanisława Augusta i kształtowała naród polski, przestawała być polską szlachtą. Zaczynała myśleć o Polsce kategoriami polskiego obywatela zachodnio-europejskiego typu, a nie polskiego szlachcica z XVII w. Twórcy konstytucji 3 maja debatowali podobno między sobą po francusku. Ten renesans polskiego narodu nie wyrastał z ducha szlacheckiego sarmatyzmu, lecz, przeciwnie, był mu wyraźnie wrogi. On wyrastał z przewyciężenia sarmatyzmu na drodze wkraczania Polski do kulturalnej wspólnoty Europy.

Jeden z publicystów obozu narodowego przed wojną pisał, że szlachecka, dogmatyczna i katolicka Polska XVII w. jest mu — a zdaniem jego i całemu polskiemu nacjonalizmowi — bliższa od liberalnie wolnomyślicielskiej Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego. Ale, kontynuował ów publicysta, „ideał katolicki czasów saskich zgubiono i skompromitowano w obskurantyzmie politycznym, dzięki czemu duch naprawy narodowej znalazł się po innej stronie i szepił z inną ideologią. Raz oddzielony od właściwego podłoża, nie mógł się już doszukać wspólnej z Kościołem drogi, a sfiliowany z międzynarodową rewolucją schodził co trochę na bezdroża. Doszło więc do paradoksu, że duch narodu znalazł się w obozie międzynarodówki i ten nienaturalny paradoks wiele nas klęsk i niepowodzeń kosztował“¹⁾.

Przytoczyłem tę opinię publicysty katolicko - narodowego z 1934 r., aby uniknąć zarzutu tendencyjności tezy, że drogi europeizacji Polski, a więc drogi przekształcania się Polski w naród nowoczesny w ciągu XIX stulecia nie prowadziły przez katolicyzm. Obskurantyzm polskiego katolicyzmu uniemożliwiał europeizację Polski, gdyż izolował Polskę od prądów europejskich.

„Trybuna Ludów“ Mickiewicza, to pismo „z samych lajdaków złożone“, jak pisał Krasiński, czy przejawy twórczości pisarskiej Lelewela, nie interesują nauki jako legitymacja partyjna. Nie jest rzeczą nauki prowadzenie ewidencji członków partii politycznych. Historia jako nauka to nie kancelaria parafii, ani urząd gminny, w którym się wystawia metryki i świadectwa moralności. Jeżeli nauki społeczne interesują się przynależnością grupową badanych przez siebie postaci, jeżeli posługują się metrykami i świa-

¹⁾ K. S. Frycz: Traktat Wersalski. Myśli Narodowa, 8.VII. 1934. str. 415.

dektwami moralności, to traktują je jako materiały i pomocnicze narzędzia w badaniu ogólnych zagadnień państwa i narodu, społeczeństwa i kultury.

Naukowe dochodzenie związków Mickiewicza czy Lelewela z różnymi ruchami społecznymi ma znaczenie pomocnicze dla problemu bardziej ogólnego. Poprzez kontakty społeczno-kulturalne przodujących umysłów Polski badamy kulturalne związki Polski z Europą. Szukamy szlaków europeizacji Polski, szlaków, na których z sarmackiej Polski kształtował się polski naród jako członek kulturalnej wspólnoty Europy. Taki jest centralny problem historyczno-socjologiczny Mickiewicza, Lelewela i całej wielkiej emigracji.

Z tego punktu widzenia „Trybuna Ludów“ Mickiewicza ma znaczenie naukowe, nie jako legitymacja partyjna Mickiewicza, ale jako dokument historycznego szlaku, na jakim dokonywała się europeizacja Polski w XIX w.

W pierwszym numerze „Trybuny Ludów“ z 14 marca 1849 r. w artykule pt. „Nasz program“ czytamy: „Położenie Europy jest tego rodzaju, iż niepodobieństwem jest na przyszłość, by jakiś naród (un peuple) mógł w odosobnieniu od innych kroczyć po drodze postępu, jeśli nie chce sam siebie narazić na zgubę i przez to zaszkodzić sprawie ogólnej... Zakładamy organ ludowy europejski, „Trybunę Ludów“. Zdecydowani głosić i bronić praw Francji, o ile zgadzają się z interesami sprawy ludowej w Europie, wzywamy wszystkie narody do wystąpienia z całą swobodą słowa na tej Trybunie... Będąc zwolennikami rewolucji lutowej, solidaryzujemy się również z Wielką Rewolucją co do jej dążności, a z okresem napoleońskim, co do sposobu ich urzeczywistnienia. Napoleon bowiem istotnie urzeczywistniał zasadę rewolucyjną, gdy jako zbrojny posłannik przechodził fazę republikańską swego życia... Tyle na wewnątrz. Na zewnątrz śmiało poruszać będziemy sprawy nas obchodzące: sprawy Włoch, Polski, Niemiec, Danii, Hiszpanii, krajów słowiańskich, Węgier, prowincji naddunajskich.

Na wewnątrz i na zewnątrz — polityka chrześcijańska, solidarność ludów“¹⁾. „Trybuna Ludów“ to był szlak europejskości Polski.

Tragedią Polski było, że ten szlak jej europejskości, to był szlak emigracji — i że ta europeizacja dokonywała się w jednostronnej płaszczyźnie prądów społeczno-literackich, a nie na drodze realnego i materialnego uczestnictwa narodu polskiego w życiu Europy.

Kormanowa, poświęcając wiele miejsca kontaktom Lelewela z najwybitniejszymi przedstawicielami postępowo-radykalnych ruchów europejskich, i przedstawiając oddźwięk, jaki sprawa polska znajdowała w tych ruchach, wzbogaca już istniejące dowody na to, że tędy, przez międzynarodowe ruchy postępowo-radykalne, prowadził wtedy szlak europeizacji Polski. Autorka nie zaznaczyła jednak, że na tym właśnie polega znaczenie tych kontaktów, że to jest właśnie centralny problem społeczno-narodowy emigracyjnej historii Lelewela, jak w ogóle emigracji polskiej. A przecież o to właśnie chodzi. K o n t a k t L e l e w e l a z m i ę d z y n a r o d o -

¹⁾ Mickiewicz: *Loc. cit.* 28, str. 75 — 78.

wymi ruchami jest ważny nie sam przez się, ale pod kątem widzenia związków Polski z Europą, pod kątem widzenia europejskości narodu polskiego. Z tego punktu widzenia problem Lelewela na emigracji jest wciąż dla nas aktualny. Jest to problem europeizacji i europejskości narodu polskiego, problem miejsca Polski w Europie, oraz charakteru jej związków z Europą.

Z tego punktu widzenia — dzisiaj centralny problem Polski jest ten sam, wobec którego stała Polska Mickiewicza, Lelewela czy Mochnackiego. Jest to ten sam problem, z powodu którego Mochnacki pisał, że „nas zapewne nie uratuje na wół spróchniała i butwiejąca Europa, lecz ta Europa, której moc i dzielność coraz się zwiększa i pomnaża“.

Józef Chałasiński

Kazimierz Ajdukiewicz

○ tzw. neopozytywizm

KOŁO WIEDENSKIE

Neopozytywizmem nazywa się pospolicie kierunek filozoficzny reprezentowany przez nieistniejące już dziś tzw. Koło Wiedeńskie (Wiener Kreis). Członkowie tego Koła sami siebie nazywali we wcześniejszej fazie neopozytywistami. W miarę jednak rozwoju swoich poglądów nazwę neopozytywistów odrzucili, gdyż sądzili, że różnice pomiędzy nimi a pozytywizmem w wersji Hume'a lub Milla są większe niż podobieństwa i że nazwa „neopozytywizm“ niedostatecznie uwydatnia to, co za najistotniejsze dla siebie uważali. Proponowali, by kierunek, który reprezentują, nazywać logizującym empiryzmem. Nazwa ta istotnie dokładniej zdaje sprawę z zasadniczych rysów poglądów i metod właściwych członkom Koła Wiedeńskiego. Dlatego też artykuł niniejszy należałoby może raczej zatytułować „O logizującym empiryzmie“ niż o neopozytywizmie. Ponieważ jednak ta ostatnia nazwa często pojawia się na łamach polskich pism periodycznych, a termin „logistyczny empiryzm“ miałby zapewne dla większości czytelników brzmienie obce, zdecydowałem się na tytuł kompromisowy.

Zacznijmy nasze sprawozdanie od krótkiej historii Koła Wiedeńskiego. Powstało ono na początku okresu międzywojennego, gdzieś około r. 1922, kiedy to prof. Moritz Schlick objął katedrę filozofii na Uniwersytecie Wiedeńskim. Schlick był pierwotnie fizykiem i do filozofii przeszedł od badań nad podstawami i metodami fizyki. Do koła Schlicka skupił się szereg innych uczonych, którzy podobną jak i on przeszli ewolucję. Byli to przeważnie matematycy (R. Carnap, H. Hahn, K. Menger, K. Gödel), których kryzys, jaki powstał w matematyce w związku z wykryciem tzw. antynomii teorii mnogości, skierował ku badaniu podstaw matematyki; dalej znaleźli się wśród nich fizycy (Philipp Frank), których do zagadnień filozofii doprowadził przewrót, jakiego na terenie fizyki dokonała teoria względności i teoria kwantów, byli i socjologowie (Otto Neurath), słowem naukowcy specjaliści, których kryzysowa sytuacja ich specjalności skierowała ku badaniom podstaw i w ogóle ku refleksji nad nauką, a więc do badań z pogranicza teorii poznania i metodologii. Pierwszych członków Koła je-

dnoczy nie tylko wspólna dziedzina zainteresowań, lecz również wspólna im wszystkim postawa badawcza, z której zdają sprawę we wspólnej publikacji, brzmiącej jak manifest i program, wydanej w r. 1929 pt. „Die wissenschaftliche Weltauffassung. Der Wiener Kreis“. W publikacji tej deklarują się członkowie Koła jako kontynuatorzy linii myślowej empiryzmu i pozytywizmu, biegnącej od Hume'a poprzez encyklopedystów francuskich, Comte'a, J. St. Milła, Awenariususa i Macha, jako kontynuatorzy badań nad podstawami nauk ścisłych, prowadzonych w tym samym duchu, co badania Helmholtza, Riemanna, Macha, Poincarégo, Duhema, Enriquesa, Boltzmana, Einsteina, deklarują się dalej jako zwolennicy badań logistycznych, idący w ślady Leibniza, Peany, Fregego, Schrödera, B. Russella, Whiteheada, Hilberta. W myśl tego manifestu rozwijają członkowie Koła ożywioną działalność odczytową i wydawniczą w Wiedniu, nawiązują stosunki z pokrewną im grupą berlińską (Gesellschaft für empirische Philosophie), na której czele stoi Hans Reichenbach, zdobywają dla swego kierunku organ w postaci kwartalnika „Erkenntnis“, którego redaktorami zostają Carnap i Reichenbach. Z kolei przystępują do działalności na terenie międzynarodowym. Pierwszy krok w tym kierunku stanowiła zwołana w r. 1934 przez Koło Wiedeńskie Międzynarodowa Konferencja obradująca w Pradze tuż przed otwarciem VIII Międzynarodowego Kongresu Filozoficznego, na której dochodzi do kontaktu z reprezentantami pokrewnych kierunków w Ameryce, Francji i Polsce. Odtąd co roku odbywają się międzynarodowe kongresy pod hasłem jedności nauki (w latach 1935 — 1939 kolejno w Paryżu, Kopenhadze, Cambridge w Anglii i Cambridge w Massachusetts w U. S. A.), w których uczestniczą coraz szersze koła nie tylko filozofów, ale i wybitnych i najwybitniejszych przedstawicieli nauk szczegółowych wszystkich krajów. W r. 1938 zaczyna się pojawiać Encyklopedia dla Jedności Nauki (International Encyclopedia of Unified Science), dzieło zamierzone na miarę Wielkiej Encyklopedii Francuskiej, której członkowie i sympatycy Koła przypisują równie wielką doniosłość dla rozwoju nauki, jak ta, jaką miała jej wielka poprzedniczka. Mnożą się publikacje seryjne, mnożą się wielojęzyczne książki pisane w duchu logizującego empiryzmu, pozyskane zostaje dla tego kierunku w USA nowe czasopismo pt. „Philosophy of Science“, słowem kierunek reprezentowany przez Koło Wiedeńskie staje się prądem przepływającym szerokim nurtem przez wszystkie kraje kulturalne na obu półkulach, w których panuje wolność słowa i myśli.

Podczas gdy logizujący empiryzm poczyna zataczać w świecie coraz szersze kręgi, Koło Wiedeńskie, jako zespół ludzi lokalnie z Wiedniem związany, przestaje istnieć. Moritz Schlick ginie w r. 1936 z ręki jednego ze swych uczniów, opanowanego manią przesądową. Inni członkowie Koła, przeważnie ludzie o poglądach społecznie radykalnych, musieli opuścić Wiedeń Dolfussa i Schuschnigga, podobnie jak ich berlińscy przyjaciele musieli opuścić hitlerowskie Niemcy, i rozproszyli się po świecie. Najwybitniejsi z nich, Carnap i Reichenbach, objęli katedry w Stanach Zjednoczonych. Neurath, główny organizator ram zewnętrznych, w jakich rozwijała się i rozpowszechniała się w świecie ideologia „Wiener Kreis'u“,

osiadł w Holandii, gdzie również zainstalowało się wydawnictwo czasopisma „Erkenntnis“ (dla którego w Niemczech hitlerowskich nie było miejsca), przyjmując nową nazwę „The Journal of Unified Science“. Z Holandii uszedł Neurath przed hitlerowską inwazją do Londynu, gdzie zmarł w bieżącym roku.

EMPIRYZM

Po przedstawieniu tych paru szczegółów, dotyczących zewnętrznego życia Koła Wiedeńskiego, przejdźmy do zaprezentowania jego poglądów.

Myśliciele zrzeszeni w Kole Wiedeńskim przeszli do zagadnień filozoficznych od nauk szczegółowych. Z tych też nauk wynieśli swoją zasadniczą postawę empirystyczną. Empiryzm swój wyrażają „Wiedeńscy“ w różnych sformułowaniach. Najczęściej używana przez nich formuła empiryzmu brzmi następująco: wiedzę o rzeczywistości można zdobyć wyłącznie przez doświadczenie. Nie znaczy to, żeby nie istniała wiedza aprioryczna. Owszem, istnieje i taka wiedza, ale ta niczego nam o rzeczywistości nie mówi. Zdanie głoszące „to a to jest niebieskie“ daje nam wiedzę o rzeczywistości — mówi Carnap — albowiem zależnie od tego, jak się rzeczy naprawdę mają, zdanie to będzie prawdziwe lub fałszywe. Podobnie i zdanie głoszące „to a to jest niebieskie lub czerwone“ dostarcza nam wiedzy o rzeczywistości, bo i jego prawdziwość zależy od tego, jak się rzeczy naprawdę mają. Informację jednak, jakiej każde z tych zdań dostarcza, mogą zdobyć wyłącznie na podstawie doświadczenia. Niezależnie od doświadczenia mogą natomiast stwierdzić „to a to jest niebieskie lub nie jest niebieskie“. Zdanie powyższe mogą stwierdzić nie powołując się na doświadczenie. Ale też zdanie to niczego nam o rzeczywistości nie mówi. Jakakolwiek byłaby bowiem barwa jakiegoś przedmiotu, zdanie stwierdzające, że jest on niebieski, lub że nie jest niebieski — będzie zawsze prawdziwe. Prawdziwość tego zdania będzie zachowana jakakolwiek byłaby rzeczywistość, zatem zdanie to niczego o rzeczywistości nie głosi. (Por. Carnap: *Physikalische Sprache als Universalsprache der Wissenschaft*. Erkenntnis II, str. 433).

Zdania aprioryczne, to znaczy zdania, które możemy stwierdzić nie odwołując się do doświadczenia, mają charakter tautologii. Jakież to bowiem zdania możemy bez apelu do doświadczenia stwierdzać? Możemy a priori np. stwierdzić, że kwadrat ma cztery boki, że promienie koła są wszystkie sobie równe, że, jeżeli x jest większe od y , to y jest mniejsze od x , itp. Wszystkie te zdania możemy a priori, to znaczy nie czekając na świadectwo doświadczenia stwierdzić dlatego, ponieważ, gdybyśmy im zaprzeczyli, dowiedlibyśmy tym samym, że nie rozumiemy występujących w tych zdaniach wyrazów tak, jak je trzeba rozumieć, gdy się nimi posługujemy w tym znaczeniu, jakie tym wyrazom w języku polskim przysługuje. Istotnie kto by zaprzeczał zdaniu „Kwadrat ma cztery boki“ i zaprzeczał mu nie tylko słownie, ale przeczył mu z przekonaniem, ten dowiódłby tym samym, że nie rozumie tych wyrazów zgodnie z językiem polskim.

Czego bowiem trzeba na to, aby, mówiąc pewnymi wyrażeniami, mówić po polsku? Nie dość jest budować te wyrażenia z wyrazów zaczerpniętych z zapasu słów języka polskiego. Trzeba nadto przestrzegać praw polskiej składni, tzn. trzeba pojedyncze wyrazy łączyć ze sobą w odpowiedni sposób. Reguły składni polskiej są charakterystycznymi dla języka polskiego regułami normującymi sposób formowania zdań. Ale to jeszcze nie wystarcza na to, by mówić po polsku. Aby mówić po polsku, trzeba jeszcze z wyrazami łączyć stosowne znaczenia, trzeba je rozumieć po polsku. Kto mówi „brak jest much“ i myśli przy tym, że much zabrakło, ten mówiąc tak mówi po polsku. Kto jednak mówi „brak jest much“ i myśli przy tym, że małżeństwo zjada muchy,¹⁾ używa wprawdzie wyrazów ze słownika polskiego i stosuje się do prawideł składni polskiej, mówi jednak po rosyjsku a nie po polsku. Otóż właściwe językowi polskiemu rozumienie wyrazów nakłada na nas obowiązek uznawania pewnych zdań zbudowanych z tych wyrazów, a przynajmniej obowiązek powstrzymywania się od tego, aby tym zdaniom zaprzeczać. Przytoczone wyżej przykłady ilustrują to, co w tej chwili powiedzieliśmy. Istotnie, rozumiejąc po polsku wyrazy „każdy“, „kwadrat“, „ma“, „cztery“, „boki“, nie można na serio zaprzeczać zdaniu „każdy kwadrat ma cztery boki“. Jest chyba oczywiste, że ten, kto by temu zdaniu zaprzeczał, musiałby przez wyraz „kwadrat“ albo przez inne wyrazy, wchodzące w skład powyższego zdania, rozumieć co innego, niż to, co przewiduje język polski, bo przecież „czworoboczność“ należy do treści wyrazu „kwadrat“. Tak więc na to, aby mówić po polsku, nie tylko trzeba używać wyrazów polskiego słownika i nie tylko trzeba się stosować do reguł składni, tzn. reguł formowania zdań, lecz nadto trzeba się stosować do reguł dotyczących uznawania zdań.

Zdania, którym nie można w żadnych okolicznościach zaprzeczać, jeśli się je w sposób właściwy dla danego języka rozumie, stanowią aksjomaty, czyli pewniki danego języka. Owe aksjomaty języka są zdaniem, które możemy stwierdzić nie oglądając się na doświadczenie, tzn. a priori. Ale te aksjomaty nie dostarczają nam żadnej wiedzy o rzeczywistości, lecz są tylko wynikiem takiego a nie innego sposobu rozumienia wyrazów. Weźmy raz jeszcze pod uwagę zdanie „Każdy kwadrat ma cztery boki“ i zapytajmy, czy świat mógłby być tak urządony, aby zadać kłam temu zdaniu, czy można spotkać na świecie taki przedmiot, o którym powiedzielibyśmy: tak, to jest kwadrat, ale nie ma on czterech boków. Jest rzeczą jasną, że taki wypadek nie mógłby się zdarzyć, bo, gdybyśmy stwierdzili, że ów napotkany przedmiot nie ma czterech boków, nie nazwalibyśmy go kwadratem. Skoro więc owo do znudzenia często powtarzane zdanie o kwadracie zachowuje moc obowiązującą, jakkolwiek byłby świat urządzony, nie jest ono żadną informacją o rzeczywistości, lecz tylko zdaniem obowiązującym na mocy zwyczaju językowego, jest tautologią. Aby mówić poprawnie po polsku, nie wolno zaprzeczać zdaniu „kwadrat ma cztery boki“, tak samo jak na to, żeby poprawnie mówić po polsku, nie wolno mówić „kwadrat ma czterech boków“. Drugi zakaz płynie z reguły składni, a pierwszy z reguł uznawania zdań.

¹⁾ „brak“ (ros.) — małżeństwo; „jest“ (ros.) — je, zjada (Przyp. red.).

Jedne i drugie reguły mają tę samą sankcję: zwyczaj językowy. Racjonalści sądzili, że pierwszy z powyższych zakazów płynie z zupełnie innego źródła. Miała nim być jakaś tajemnicza zdolność umysłu ludzkiego do poznawania świata *à priori*, tzn. niezależnie od doświadczenia. Nazywano tę zdolność rozumem i przeciwstawiano ją zmysłom lub doświadczeniu, wynosząc rozum ponad doświadczenie, jako źródło poznania pewnego i niezachwianego, w przeciwieństwie do zmysłów, które tylko niepewnego i chwiejnego poznania dostarczają. Empirycy demaskują ów „rozum“ jako mit, tzw. poznanie płynące z rozumu to nie innego, jak tylko zdania, których uznania domaga się zwyczaj językowy.

Staralem się w powyższych wywodach zreferować „własnymi słowami“ istotną myśl empiryzmu Koła Wiedeńskiego. Nie sądzę, aby przeciwnik tego empiryzmu był tymi wywodami przekonany. Znane jest wszakże od czasów Kanta przeciwstawienie tzw. zdań analitycznych i syntetycznych. Kant definiował właśnie zdania analityczne jako takie, których orzeczenie zawiera się w treści podmiotu (zdanie „każdy kwadrat ma cztery boki“ mogłoby służyć jako przykład zdania analitycznego). Przeciwnik empiryzmu zgodziłby się może na wszystko, co się wyżej o zdaniach apriorycznych powiedziało, ale dodałby zapewne, że stosuje się to tylko do zdań analitycznych. Zgodziłby się może na to, że sankcji dla zdań analitycznych dostarcza zwyczaj językowy. Twierdziłby jednak, że prócz zdań analitycznych *à priori* istnieją jeszcze zdania syntetyczne *à priori*, tzn. zdania, które stwierdzić mamy prawo niezależnie od doświadczenia, a które bynajmniej przez samo znaczenie wszystkich użytych w nich wyrazów nie są jeszcze zdeterminowane. Logistyczni empiryści — o ile wiem — z takim zarzutem się nie rozprawiali. Po czyjej jednak stronie leży w tym wypadku onus probandi? Racjonalści twierdzą, że istnieją sądy syntetyczne *à priori*. Empirycy temu przeczą. Jak mogliby racjonalści swego twierdzenia dowieść? Najprościej, przytaczając przykłady. Istotnie przykłady takie przytaczali. I tak np. Kant uważał, że geometria i arytmetyka obfitują w takie właśnie twierdzenia syntetyczne *à priori*. Dyskusja jednak, która później została przeprowadzona na ten temat (por. choćby Couturat: *Principes des mathematique*) wykazała, że Kant był w błędzie. Inne rzekome zdania syntetyczne *à priori* przytaczane przez Kanta, jak np. zasada przyczynowości lub zasada zachowania substancji, okazały się zdaniami bez określonego sensu, bądź też twierdzeniami fałszywymi. Jest rzeczą wysoce pouczającą śledzić, w jaki sposób rozwój nauk ścisłych krok za krokiem obala lub dezawuuje jako zdania analityczne zasady wysuwane w historii myśli ludzkiej na piedestał niewzruszonych prawd syntetycznych *à priori*. Warto wspomnieć, że dla Pitagorejczyków było taką zasadą, że ciała niebieskie muszą krążyć po kołach, a dla Arystotelesa, że ciała „z natury swej“ dążą zawsze na dół. — Jakkolwiekby jednak było, nie można twierdzić, żeby empirycy dowiedli swej negatywnej tezy, obalając argumenty swych przeciwników. Stąd, że nie znaleziono dotąd neodpartego przykładu zdania syntetycznego *à priori*, nie wynika wszakże jeszcze, że takich zdań nie ma. Przyznać należy, że logizujący empiryści nie podali też dowodu, jakoby każde zdanie aprioryczne musiało być analityczne (w sensie kan-

towskim), a więc tym samym stanowić tylko wyraz zwyczaju językowego. Sądzę jednak, że przeprowadzić taki dowód nie byłoby trudno. Trzeba by tylko w tym celu sprecyzować lepiej pojęcie zdania apriorycznego.

LOGICZNA SKŁADNIA JĘZYKA

Wróćmy jednak do naszego sprawozdania. Referując poglądy Wiedeńców „własnymi słowami“, powiedziałem, że wedle nich, każdy język posiada prócz reguł składni inne jeszcze reguły, które nazwałem regułami uznawania zdań (nie jest to termin Wiedeńców, lecz termin mój własny, którym się dla jasności wykładu posłużyłem). Powiedziałem, że reguły te wyróżniają pewne zdania zakazując im zaprzeczać we wszelkich okolicznościach, jeśli się je ma w sposób właściwy dla danego języka rozumieć. Zdania w ten sposób wyróżnione stanowią aksjomaty języka. Reguły uznawania zdań nie ograniczają się jednak tylko do wyróżnienia aksjomatów. Wyznaczają one jeszcze pewne sposoby wnioskowania. Aby na te reguły zwrócić uwagę rozpatrzmy przypadek następujący: Oto ktoś uznaje zdanie „Jan jest starszy od Pawła“, uznając jednak to pierwsze zaprzecza zdaniu „Paweł jest młodszy od Jana“. Wydaje się oczywiste, że nie może tak postąpić, jeśli jedno i drugie zdanie rozumie we właściwy językowi polskiemu sposób. Tak samo nie może ktoś, kto odnośne zdania należycie po polsku rozumie, uznawać zdanie „żadna sól nie jest kwasem“ a równocześnie odrzucać zdanie „żaden kwas nie jest solą“.

Przytoczone przykłady świadczą o tym, że oprócz reguł języka, zakazujących odrzucać pewne zdania we wszelkich okolicznościach, istnieją jeszcze reguły języka zakazujące odrzucać pewne zdania nie we wszelkich okolicznościach, ale wtedy, gdy się równocześnie pewne inne zdania uznaje. Reguły te można by nazwać regułami wnioskowania, albowiem zobowiązują nas one w sytuacji, w której się pewne zdania uznaje, do uznawania odpowiedniego innego zdania, o ile się chce względem tego zdania w ogóle jakąś postawę zając (tzn. uznać wzgl. odrzucić), a mianowicie zobowiązują nas do tego pod groźą, że postępując inaczej musieliśmy te zdania rozumieć nie tak, jak tego dany język wymaga.

Owe właściwe językowi reguły wnioskowania przyporządkowują pewnemu zdaniu, jako przesłance, pewne inne zdanie, jako wniosek, przy czym zawsze tak bywa, że ów wniosek można uzyskać z odpowiedniej przesłanki przez pewne zewnętrzne jej przekształcenie. Tak np. z przesłanki „żadna sól nie jest metalem“ otrzymuje się wniosek „żaden metal nie jest solą“ przez przedstawienie wyrazów „sól“ i „metal“ przy równoczesnym dostosowaniu końcówek stosownie do reguł składni. Z tego powodu logizujący empiryści nazywają owe reguły wnioskowania regułami przekształcania zdań. Idą jednak dalej i tę samą nazwę nadają też regułom wyznaczającym aksjomaty. Zamiast więc użytego przeze mnie terminu „reguły uznawania zdań“ u logizujących empiryków występuje termin „reguły przekształcania zdań“. Okoliczność, dzięki której można reguły wnioskowania nazwać regułami przekształcania zdań, odgrywa w poglądach logizujących empiryków doniosłą rolę. Zobaczmy to niebawem.

Dodajmy tymczasem, że logizujący empirycy w wypadku, gdy reguły wnioskowania właściwe danemu językowi zabraniają przy uznawaniu zdania A odrzucić zdanie B, powiadają, że zdanie B wynika w owym języku bezpośrednio ze zdania A.

Posługując się tą terminologią logizujący empirycy na pytanie, czego trzeba dla scharakteryzowania jakiegoś języka odpowiadają: Dla scharakteryzowania jakiegoś języka potrzeba i wystarcza: 1) podać jego słownik 2) podać reguły formowania zdań z pojedynczych wyrazów (reguły składni gramatycznej 3) wymienić jego aksjomaty 4) podać reguły określające, kiedy z jednego zdania drugie bezpośrednio wynika.

Otóż wszystkie cztery warunki można spełnić, ograniczając się do zewnętrznego opisywania brzmień wyrazów (lub ich kształtów, jeśli idzie o mowę pisaną), a nie apelując do ich znaczenia. Co do podania słownika sprawa nie ulega wątpliwości. Reguły składni można też w zasadzie podać nie apelując do znaczenia wyrazów (dla języków naturalnych natrafia to na pewne, choć nie zasadnicze trudności, w językach symbolicznych udaje się to zupełnie łatwo). Wymienić aksjomaty można również, przytaczając je i nie apelując do ich znaczenia. Reguły bezpośredniego wynikania wreszcie wymagają wyliczenia przekształceń prowadzących do bezpośredniego następstwa zdania przekształcanego. I to też dąże się zrobić bez odwoływania się do znaczenia wyrazów.

Składnia gramatyczna języka zajmuje się tylko drugim z czterech wymienionych punktów. Aby dać pełną teorię języka trzeba jednak wypełnić zadania wymienione we wszystkich czterech punktach. Naukę, która zadanie to spełnia, nazywają logizujący empirycy logiczną składnią (syntaks) języka. Nauka ta ustala słownik języka, reguły formowania zdań oraz reguły przekształcania, tzn. reguły pozwalające wymienić aksjomaty języka i ustalić pojęcie bezpośredniego wynikania. Na tych pojęciach buduje ona pojęcia dalsze i dowodzi twierdzeń wynikających z definicji tych pojęć. Ta logiczna składnia języka ma wedle poglądów logizujących empirystów być tą nauką, która w ramach swych pomieści to wszystko, co z tradycyjnego programu filozofii da się w ogóle jako nauka utrzymać. O tym będzie mowa za chwilę.

Tymczasem chciałbym jednak zauważyć, że wprawdzie nazwa „logiczna składnia języka“ jest nazwą wymyśloną przez Wiedeńczyków (w szczególności przez Carnapa), sama jednak nauka, której tę nazwę nadano, nie została przez nich stworzona. Uprawiali ją z dużym powodzeniem przede wszystkim logicy spod znaku logiki matematycznej, w czym jedno z czołowych miejsc zajęli logicy polscy, którzy na wiele lat przed Wiedeńczykami osiągnęli w tej dziedzinie pierwszorzędne wyniki, rozstawiające logikę polską w świecie. Czołowymi postaciami byli w tym okresie prof. Stanisław Leśniewski, prof. Jan Łukasiewicz i dr Alfred Tarski, którzy na tym polu odegrali pionierską rolę; dla tych swych dociekań obrali oni jednak inną nazwę, mianowicie nazywali je badaniami metalogicznymi,

jako że dociekania te poświęcone były badaniom symbolicznego języka logiki. W doborze tej nazwy wzorowali się na znakomitym matematyku niemieckim Hilbercie, który dla analogicznych, również wysoce wartościowych i doniosłych swych badań nad językiem matematyki, obrał nazwę: *meta* *matematyka*.

LOGISTYCZNY EMPIRYZM I FILOZOFIA

Aby przedstawić pogląd logizujących empiryków na filozofię, zacznijmy od pewnego podziału wypowiedzi. Wszelkie wypowiedzi można podzielić na dwie klasy. Jedną z nich stanowią będą wypowiedzi dotyczące tworów językowych, a więc zdań, nazw itp., drugą wszystkie pozostałe wypowiedzi. Ze względu na to, że te pozostałe traktują przeważnie o przedmiotach różnych od tworów językowych, nazwijmy je — za przykładem Carnapa — wypowiedziami przedmiotowymi. Te zaś wypowiedzi, które traktują o tworach językowych, nazwiemy wypowiedziami logicznymi. A więc np. zdanie „słowo «mysz» jest jednozgłoskowe“ będzie wypowiedzią logiczną, zaś zdanie „mysz gryzie książkę“ będzie wypowiedzią przedmiotową.

Otóż rozglądając się wśród wypowiedzi zaliczanych do filozofii, wyróżnić można zarówno wypowiedzi przedmiotowe, jak również i wypowiedzi logiczne. Niektóre z tych przedmiotowych wypowiedzi filozoficznych zawierają takie nazwy, których w naukach szczegółowych się nie spotyka (np. „rzecz sama w sobie“, „zasada bytu“, „wartość etyczna“ itp.). Niektóre zawierają same tylko takie nazwy, które także w naukach szczegółowych występują. Działem filozofii, w którym szczególnie obficie pojawiają się nazwy obce naukom szczegółowym jest metafizyka.

Otóż rozpatrując liczne przykłady wypowiedzi zaczerpniętych z metafizyki dochodzą Wiedeńczycy do drugoczącej jej oceny. Nie twierdzą bowiem, jak to czynili inni przeciwnicy metafizyki, jakoby jej twierdzenia były fałszywe, gdyż stoją w sprzeczności z danymi doświadczenia. Nie twierdzą też, żeby twierdzenia metafizyki były nieuzasadnione, ponieważ zagadnienia metafizyczne przekraczają granice ludzkich zdolności poznawczych. Nie zarzucają też metafizyce, żeby była jałowa i bez znaczenia dla praktyki życiowej. Sąd Wiedeńczyków o metafizyce jest jeszcze bardziej potępiający. Twierdzą oni mianowicie, że wypowiedzi metafizyki są po prostu pozbawione sensu, że wypowiedzi metafizyki w ogóle nie są zdaniami.

Aby wykazać, że wypowiedzi metafizyki są pozbawione sensu, trzeba sobie zdać wpierw sprawę, jakim warunkom musi wypowiedź czynić zadość, aby była zdaniem sensownym. Otóż warunkiem niezbędnym na to, iżby jakaś wypowiedź była zdaniem sensownym jest, aby poszczególne wyrazy, z których się wypowiedź ta składa, posiadały jakieś znaczenie, a nadto jeszcze, aby wyrazy te zestawione były ze sobą wedle reguł składni; składniowo nieprawidłowe bowiem zestawienie sensownych nawet wyrazów, ale w niewłaściwej roli użytych, daje całość pozbawioną sensu. Ale po czym poznać, czy pojedynczy wyraz posiada znaczenie czy też nie? Otóż w tym punkcie zwracają logizujący empiryści uwagę na to, że pojedynczy wyraz jeszcze niekoniecznie wyposażony jest w znaczenie, gdy u ludzi

znających język, do którego wyraz ten należy, wiąże się on z poczuciem zrozumienia. Wszak to poczucie towarzyszy często wyrazom, do których używania przywykliśmy, choć wyrazy te naprawdę nic nie znaczą. Cóż zatem o sensowności danego wyrazu stanowi? Weźmy np. sensowny wyraz „czerwony“ i przeciwstawmy go bezsensownemu jakiemuś wyrazowi np. „czerkowy“. Dla wyrazu „czerwony“ ustalone są przez język kryteria jego używania, tzn. każdy kto zgodnie z językiem polskim wyraz „czerwony“ rozumie, ten jest w posiadaniu metody, która w stosownych warunkach pozwoli mu rozstrzygnąć o jakimś przedmiocie, czy ma doń nazwę „czerwony“ zastosować, czy też ma mu tej nazwy odmówić. Natomiast wyraz „czerkowy“ jest dlatego w języku polskim bezsensownym, ponieważ język ten nie ustala kryteriów jego stosowania. Osoba znająca na wskroś język polski nie potrafi o żadnym przedmiocie przy najszcześniejszym zbiegu wypadków rozstrzygnąć, czy ma mu nazwę „czerkowy“ przyznać, czy też ma mu jej odmówić.

Poszczególne wyrazy są więc dopiero wiedzy na gruncie jakiegoś języka sensowne, gdy w języku tym ustalone są kryteria pozwalające rozstrzygnąć zdania, zawierające ów wyraz w najprostszym dlań kontekście. Ten pogląd, wedle którego o sensie poszczególnych wyrazów decyduje istnienie kryteriów pozwalających rozstrzygnąć najprostsze zdania, w których wyrazy te występują, ma dawną tradycję. Już Leibnitz zwalczając Newtonowską koncepcję absolutnego (a nie tylko względnego) ruchu mówił, iż termin „ruch absolutny“ jest pozbawiony sensu, albowiem zagadnienie, czy jakieś ciało absolutnie się porusza, a nie tylko porusza się względem innych ciał, jest ze względów zasadniczych nierozstrzygalne, gdyż żadne doświadczenie nie potrafi zadecydować o tym, czy jakieś ciało porusza się względem absolutnej przestrzeni, lecz pozwoli nam zawsze stwierdzić tylko ruch jednego ciała względem innych ciał. Wspomnieć też należy, że taki sposób rozumienia sensowności terminu, który ją wiąże z posiadaniem kryteriów dotyczących jego stosowania, wystąpił z całą wyrazistością u Einsteina i stał się punktem wyjścia jego krytyki klasycznego pojęcia czasu. Zwraca on mianowicie uwagę na to, iż dla terminu „równoczesny“ nie posiada fizyka klasyczna kryteriów, które by pozwalały rozstrzygnąć czy dwa zdarzenia odległe od siebie pod termin ten podciągnąć, tzn. czy nazwać je „równoczesnymi“, i oświadcza, że wobec tego termin „równoczesny“ pozbawiony jest w ogóle znaczenia.

Otóż Wiedeńczycy przyłączając się do tego poglądu na warunki sensowności wyrazów twierdzą, że zdania, którymi posługują się metafizycy, są z reguły pozbawione sensu bądź dlatego, że zawierają wyrazy, dla których w języku nie są ustalone kryteria ich stosowania, bądź też z tego powodu, że posługują się sensownymi zresztą wyrazami w niewłaściwy składniowo sposób, stawiając np. na miejscu podmiotu wyraz, który ze względu na swą wartość składniową do roli podmiotu się nie nadaje, że słowem enuncjacji metafizyków stanowią niespójne zestawienie wyrazów, gwałcące reguły składni.

Tezę tę przeprowadzają na licznych przykładach biorąc pod uwagę po-

szczególne wypowiedzi metafizyków i wykazując in concreto, że nie czynią one zadość bądź jednemu bądź drugiemu z wyżej wymienionych warunków sensowności zdania. Analizują z tego punktu widzenia tezy Hegla, Schopenhauera i innych dawniejszych koryfeuszy metafizyki; ze współczesnych zaś poświęcają szczególną uwagę Heideggerowi, twórcy tzw. filozofii egzystencjalnej.

Brak miejsca nie pozwala nam zreferować tych istotnie wnikliwych i ciekawych analiz. Zainteresowany czytelnik znajdzie je np. w pracy Carnapa pt. „Überwindung der Metaphysik durch logische Analyse der Sprache“ zamieszczonej w czasopiśmie „Erkenntnis“ tom II str. 219 i nast.

Rzecz jasna, że na drodze krytykowania poszczególnych wynurzeń metafizyków nie można uzasadnić ogólnego potępienia metafizyki jako zbiorowiska zdań bez sensu. Spotykamy się jednak u logizujących empirystów z krytyką zasadniczą, godzącą w metafizykę w ogóle.

Istnieją tylko dwa rodzaje metod pozwalających rozstrzygnąć o prawdziwości zdań, metoda aprioryczna i metoda empiryczna. Ale — jak to z empirystycznej tezy Wiedeńczyków wynika — na drodze apriorycznej można rozstrzygnąć tylko o prawdziwości zdań analitycznych (oraz ich negacji). Zdania te jednak niczego nam o rzeczywistości nie mówią. Metafizyka nie chce jednak ograniczać się w swych twierdzeniach do zdań analitycznych (ani do ich negacji), bo chce coś mówić o rzeczywistości. Z drugiej strony nie chce metafizyka znaleźć się wśród nauk stosujących kryteria empiryczne. Wobec tego nie może metafizyka korzystać ani z kryteriów apriorycznych, ani z kryteriów empirycznych przy rozstrzygnięciu jej zdań, to zaś skazuje ją na posługiwanie się wyrazami bez sensu.

Odmawiając wypowiedziom metafizyki wszelkiego znaczenia nie odmawiają jej jednak Wiedeńczycy wszelkiej wartości. Metafizyka składa się ze zdań pozornych, które nic nie znaczą i niczego nie stwierdzają. Mimo to zdania te są wyrazem pewnych przeżyć filozofów, którzy je wygłaszali, są mianowicie wyrazem ich poczucia życiowego (Lebensgefühl). Spełniają tę samą funkcję jak poezja liryczna, podobną jak muzyka.

Ten ujemny sąd o metafizyce jako nauce przenoszą logizujący empirycy również na etykę i estetykę normatywną, tzn. na taką etykę i taką estetykę, które oceniają pewne rzeczy jako dobre, względnie jako piękne. I one wygłaszają wedle logizujących empiryków wtedy, gdy ferują oceny etyczne wzgl. estetyczne — zdania bez sensu. Uzasadnienie tej tezy brzmi podobnie jak to, które poznaliśmy w związku z metafizyką.

Co sądzić o tym pogromie metafizyki i normatywnych dyscyplin filozoficznych? Czy krytyka, którą poznaliśmy jest słuszna? Głównym filarem, na którym się krytyka ta wspiera jest empiryzm, jaki wyznają logizujący empirycy, a w szczególności ta jego teza, która zaprzecza, jakoby istniały zdania aprioryczne, które by coś głosiły o rzeczywistości, lub innymi słowy zaprzecza jakoby istniały sądy syntetyczne a priori (w rozumieniu Kanta). Drugim filarem tej krytyki jest pogląd na metafizykę, który wyklucza istnienie empirycznej metafizyki. Kto chciałby się z krytyką tą rozprawić, musiałby albo zarzucić koncepcję metafizyki apriorycznej, albo też obalić zasadniczą tezę empiryzmu naszych Wiedeńczyków. Jakkolwiek by

się z tym rzecz miała, uważam za bardzo cenne zwrócenie uwagi na kryterium sensowności wyrażenia, które uzależnia tę sensowność od posiadania metody rozstrzygania zdań, w których wyrażenia te występują. Za niewątpliwą zasługę należy poczytać rozprawienie się krytyczne z rozmaitymi rzekomymi terminami metafizycznymi, w którym wykazano, że terminy te nie czynią zadość warunkowi sensowności.

Nauki filozoficzne, pozostałe po odrzuceniu metafizyki, etyki i estetyki normatywnej, składają się po części ze zdań przedmiotowych, po części ze zdań logicznych. Zdania logiczne występują przede wszystkim na terenie logiki i teorii poznania. Wśród zdań przedmiotowych, występujących poza odrzuconymi już dyscyplinami filozoficznymi, napotkać można pełnowartościowe zdania empiryczne, o treści psychologicznej, socjologicznej itp., jak również wypowiedzi, które wzięte dosłownie są tylko pseudo-zdaniami, gdyż nie spełniają one warunków sensowności. Przy głębszej jednak analizie dla wielu spośród tych pseudozdań przedmiotowych można znaleźć zupełnie poprawne zdania logiczne, które we właściwy sposób wypowiadają właśnie to, co nieudolnie próbowano wyrazić za pomocą owych pseudozdań przedmiotowych. Tak np. spotyka się często w pismach filozofów wypowiedzi, w których występuje termin „cecha istotna“ i termin przeciwstawny „cecha przypadkowa“. Filozofia nie zdobyła się jednak dotąd na zadowalającą definicję terminu „cecha istotna“, która by pozwalała w konkretnych wypadkach rozstrzygać, czy ma się do czynienia z „cechą istotną“, czy też z „cechą przypadkową“. Wskutek tego każde zdanie posługujące się terminem „cecha istotna“, a więc np. zdanie „czworoboczność jest istotną cechą kwadratu“, jako zawierające termin pozbawiony znaczenia jest bez sensu. Jednakże łatwo zauważyć, że to, co się chce wyrazić wypowiedzią „czworoboczność jest istotną cechą kwadratu“, nie dotyczy wcale czworoboczności ani kwadratu, ale odnosi się do nazwy „czworoboczny“ i do nazwy „kwadrat“. Kto wypowiada zdanie „czworoboczność jest istotną cechą kwadratu“, temu idzie o to, że wyraz „czworoboczny“ można orzec o wyrazie „kwadrat“ w zdaniu analitycznym, albo inaczej idzie mu o to, że zdanie „kwadrat jest czworoboczny“ jest zdaniem analitycznym, tzn. zdaniem dającym się z aksjomatów języka wyprowadzić wedle reguł wnioskowania (przekształcania), właściwych dla tego języka.

Takie przejście od wypowiedzi przedmiotowych, dotyczących naprawdę lub z pozoru tylko czegoś od twórców językowych różnego, do wypowiedzi o wyrażeniach języka nazywa się przejściem od treściowego do formalnego sposobu mówienia (*inhaltliche und formale Redeweise*). Otóż Wiedeńczycy stwierdzają, że w ogromnej ilości wypadków zagadnienia filozoficzne, przedstawiające się beznadziejnie dopóki występują w sformułowaniu treściowym, zyskują zupełnie precyzyjne sformułowanie i stają się dostępne naukowemu rozwiązaniu, gdy się dokona ich parafrazy na formalny sposób mówienia. Do takich zagadnień, które przeniesione z płaszczyzny rzeczowej na płaszczyznę językową zostają dopiero należycie postawione i zbliżają się ku rozwiązaniu, zaliczają Wiedeńczycy liczne od wieków pokutujące zagadnienia filozoficzne, jak np. zagadnienie przedmiotów intencjonalnych (*ens rationis*), zagadnienia przedmiotów ide-

alnych takich jak cechy, stosunki, liczby, w tym rzędzie również zagadnienie idei platońskich, czyli uniwersaliów, zagadnienia filozoficzne przestrzeni i czasu, zagadnienie przyczynowości i wiele innych. Wszystkie pozostałe rzeczowe (a więc niejęzykowe) zagadnienia filozoficzne, które nie mają charakteru zagadnień rozstrzygalnych na drodze empirycznej, a także nie mają charakteru zagadnień, których rozstrzygnięcie byłoby zdaniem analitycznym (w kantowskim znaczeniu), podlegają temu samemu wyrokowi, co metafizyka — są zagadnieniami bez sensu, zagadnieniami pozornymi.

Z całego repertuaru filozofii pozostają więc tylko zdania traktujące o wyrażeniach językowych oraz te wypowiedzi z pozoru traktujące o czymś od wyrażen językowych różnym, które można z treściowego sposobu mówienia przetłumaczyć na formalny, a więc również na zdania o języku. Wszystko więc, co z filozofii się ostało przed krytyką logistycznych empiryków, to zagadnienia traktujące o języku, zagadnienia poświęcone logicznej analizie nauki, jej twierdzeń, terminów, teorii, dowodów itd. Zespół tych zagadnień nazywają Wiedeńczycy logiką nauki (Wissenschaftslogik). Zatem twierdzą: filozofia, o ile ma być nauką, może być tylko logiką nauki.

Nie wdając się w ocenę tej tezy, o której należało by powtórzyć to samo co poprzednio powiedziało się o wyroku logizujących empiryków wydanym na metafizykę, chciałbym jedną rzecz podkreślić jako szczególnie cenną. Jest nią zwrócenie uwagi na parafrazowanie zagadnień z treściowego na formalny sposób mówienia. Przez tę parafrazę zagadnienia, stanowiące odwieczny balast filozofii, na których terenie od starożytności i średnio-wiecza do obecnej chwili trudno mówić o postępie, znajdują drogę do bezspornego rozwiązania. Jest to rezultat ogromnej wagi. Należy jednak zaznaczyć, że autorem pomysłu tej parafrazy i jego stosowania do licznych zagadnień był Polak, prof. St. Leśniewski, i że na terenie filozofii polskiej pomysł ten na wiele lat przed Wiedeńczykami był używany dla rozwiązywania licznych trudności.

POJĘCIE PRAWDY I SEMANTYKA

Filozofia sprowadza się — wedle logizujących empiryków — do logiki nauki. O logice nauki wiemy jednak tylko tyle, że jej twierdzenia dotyczą twórców językowych. Carnap precyzuje jednak dokładniej, czym jest logika nauki. Logika nauki ma być tym samym, co logiczna składnia języka naukowego. A więc cała filozofia sprowadza się wedle Carnapa do logicznej składni języka naukowego. Logiczna składnia języka opiera jednak cały swój aparat pojęciowy na pojęciach odnoszących się do kształtów wyrażen i stosunków zachodzących między wyrażeniami z uwagi na ich kształt. Takim jest np. pojęcie aksjomatu, pojęcie wynikania, pojęcie teorematu, pojęcie zdania analitycznego, syntetycznego i w. i. Carnap stara się wykazać, że także i inne pojęcia należące do nauki o języku, jak np. pojęcie znaczenia, na pozór tak mało zależne od kształtu wyrażenia, sprowadza się również do pojęć składniowych, a więc odnoszących się tylko do zewnętrznego wyglądu wyrażen.

Na trudności natrafiało jednak sprowadzenie do pojęć syntaktycznych takich pojęć jak np. klasyczne pojęcie prawdy i pojęcie oznaczania. Dla pojęć tych jest charakterystyczne, że dotyczą one stosunków między tworem językowym z jednej strony a rzeczywistością pozajęzykową z drugiej strony. Pojęcie oznaczania dotyczy np. stosunku, jaki zachodzi np. między nazwą „Giewont“ a tym, co ona oznacza, tzn. górą Giewont. Pojęcia tego rodzaju nazywa się pojęciami semantycznymi, w odróżnieniu od pojęć syntaktycznych, tj. pojęć odnoszących się tylko do wyrażeń językowych i stosunków zachodzących między wyrażeniami ze względu na ich kształt. Wszelkie próby zbudowania definicji pojęcia prawdy w klasycznym rozumieniu, tzn. z grubsza mówiąc, prawdy jako zgodności zdania z rzeczywistością, natrafiały na nieprzewidywane trudności. Wszelkie takie próby prowadziły mianowicie do antynomii w rodzaju klasycznej antynomii kłamcy. Dlatego też logizujący empirycy skłonni byli odrzucić klasyczne pojęcie prawdy jako zgodności zdania z rzeczywistością i przyjąć inne pojęcie prawdy. Na drodze długiego rozwoju doszli oni (głównie Neurath) do sformułowania relatywistycznego pojęcia prawdy, wedle którego nie można po prostu powiedzieć o jakimś zdaniu, że jest ono prawdziwe, lecz trzeba koniecznie relatywizować to pojęcie do tzw. zdań protokolarnych. Zdaniem protokolarnymi nazywają logizujący empirycy zdania zawierające jak najprostsze sprawozdanie z danych doświadczenia. Zdanie jakieś można mianowicie nazwać prawdziwym ze względu na pewne zdania protokolarne, jeżeli jego następstwa w dostatecznej mierze pokrywają się z tymi właśnie zdaniem protokolarnymi. Wśród Wiedeńczyków panował spór co do tego, czy zdania protokolarne są niewzruszalne i ostateczne, czy też mogą podlegać dalszemu sprawdzaniu przez konfrontację z innymi zdaniem protokolarnymi i zostać w razie ujemnego wyniku tej konfrontacji odrzucone. Carnap i Neurath odmawiali zdaniom protokolarnym charakteru zdań niewzruszalnych i ostatecznych; Schlick stał na stanowisku przeciwnym. Większość Koła podzielała stanowisko Carnapa i Neuratha. Wedle opinii tej większości nie można by więc o żadnym zdaniu powiedzieć po prostu, że jest ono prawdziwe, lecz można by tylko mówić, że jest ono prawdziwe ze względu na dotychczas uzyskane i przyjęte dane doświadczenia, wyrażone w zdaniach protokolarnych. Tę relatywną prawdziwość przypisywałoby się mianowicie zdaniom (hipotezom, prawom, teoriom) wówczas, gdyby były przez dotychczasowe wyniki doświadczenia potwierdzone. Takie stanowisko prowadzi do skrajnego relatywizmu, w myśl którego to samo zdanie, które ze względu na dzisiejsze wyniki doświadczenia byłoby prawdziwe, mogłoby się stać fałszywe ze względu na wyniki jutrzejszych doświadczeń.

Tymczasem w r. 1933 w Sprawozdaniach Towarzystwa Naukowego Warszawskiego pojawiła się praca dra Tarskiego pt. „Pojęcie prawdy w językach nauk dedukcyjnych“. Praca ta wydana następnie w r. 1935 w języku niemieckim w czasopiśmie „Studia Philosophica“, redagowanym w językach światowych przez Polskie Towarzystwo Filozoficzne we Lwowie, spowodowała zasadniczy zwrot w całej dyskusji. Dr Tarski wykazuje mianowicie w tej pracy, że klasyczne pojęcie prawdy, rozumiane jako

zgodność z rzeczywistością daje się poprawnie zdefiniować, tylko że definicja tego pojęcia musi zostać sformułowana w języku obszerniejszym, niż ten język, do którego definiowane pojęcie prawdy się odnosi. To znaczy, jeśli chcemy zdefiniować, co znaczy „zdanie prawdziwe w języku J”, musimy prócz wyrażen języka J posługiwać się wyrażeniami, których język J już nie obejmuje.

Praca dra Tarskiego wykazała, że pojęcia takie, jak pojęcie prawdy, pojęcie oznaczania, a więc pojęcia odnoszące się do stosunku między wyrażeniami języka a przedmiotami z rzeczywistości pozajęzykowej, dają się poprawnie zdefiniować. Takie pojęcia nazywają się, jak o tym była mowa, pojęciami semantycznymi. Nie są to zaś pojęcia mało ważne, z których logika języka naukowego, owa przez Wiedeńczyków za spadkobierczyńią filozofii uznana dyscyplina, mogłaby bez szkody zrezygnować. Wynik osiągnięty przez Tarskiego zmusił więc Wiedeńczyków do odwrotu na dwu odcinkach. Po pierwsze musieli zrezygnować ze swego relatywistycznego pojęcia prawdy, po drugie musieli przestać utożsamiać logikę nauki z syntaksą (składnią) logiczną i uznać obok syntaksy jeszcze i semantykę jako pełnoprawną gałąź logiki nauki.

ZAGADNIENIA LOGIKI NAUKI

Zagadnienia, które logizujący empirycy przydzielają logice nauki, nie są zagadnieniami nowymi. Zajmowano się nimi od dawna, nazywając je zagadnieniami podstaw nauk. Od dawna uprawiane są badania nad podstawami nauk dedukcyjnych (tj. logiki formalnej i matematyki) jak również badania nad podstawami (tj. nauk indukcyjnych (przyrodniczych)). O niektórych zagadnieniach podstaw nauk dedukcyjnych mówiliśmy już w związku z omawianiem logicznej syntaksy.

Problematyka badań nad podstawami nauk dedukcyjnych wyrosła z kryzysu, jaki się ujawnił z końcem XIX stulecia na terenie matematyki. Nauka ta krocząca triumfalnie w budowaniu wzwyż gmachu swoich twierdzeń zaniedbała troskę o jego podstawy. Na przełomie XIX i XX wieku pokazały się w obrębie matematyki sprzeczności, tzw. antynomie teorii mnogości. Antynomie te skierowały umysły głębsze ku szukaniu źródeł tych sprzeczności w podstawach matematyki. Badanie tych podstaw zmierza do wykorzenia zła i domaga się rekonstrukcji całego gmachu matematyki od fundamentów, jednak takiej rekonstrukcji, która by dawała gwarancję, że żadna sprzeczność nie pojawi się już w przyszłości jako rysa w tej budowie.

W zakresie tych badań nad podstawami nauk dedukcyjnych, które tylko w małej części zapisać można na dobro zwolenników logizującego empiryzmu, zasługują na wyróżnienie wyniki osiągnięte przez K. Gödla, jednego z najdawniejszych członków Koła Wiedeńskiego. W badaniach tych zasadniczą rolę odgrywa dociekanie związków wynikania pomiędzy zdaniami. Jak o tym była już mowa, związek wynikania jest zdefiniowany jako stosunek zachodzący pomiędzy zdaniami ze względu na ich kształt, czyli — jak to się przyjęło nazywać — stosunek wynikania został sformalizowany.

Otóż K. Gödel wykorzystując tę formalizację stosunku wynikania zastosował do badania związków logicznych pomiędzy zdaniami arytmetykę. Zasadniczy jego pomysł wygląda następująco. Przyporządkowuje on mianowicie w sposób wzajemnie jednoznaczny poszczególnym kształtom zdań pewne liczby (numery). Każdemu kształtowi zdania przynależy więc pewna określona liczba (numer). Wobec tego, określonym stosunkom między kształtami zdań odpowiadać będą określone stosunki między przyporządkowanymi tym kształtom liczbami (pomiędzy numerami tych kształtów). Pewien określony stosunek między liczbami będzie więc odpowiadał także stosunkowi wynikania. Jeśli więc chcemy zbadać, czy z jakiegoś zdania A wynika zdanie B, wystarczy rozpatrzyć, czy pomiędzy liczbą (numerem) przyporządkowaną strukturze zdania A a liczbą (numerem) przyporządkowaną strukturze zdania B zachodzi stosunek odpowiadający stosunkowi wynikania. Rozwiązanie zagadnienia metodologicznego sprowadza się do rozwiązania pewnego zagadnienia arytmetycznego. Ta arytmetyzacja logiki, dokonana po raz pierwszy przez Kurta Gödela, stanowi rezultat pierwszorzędnej wagi dla badań nad nauką. Nie to dziwnego. Widzimy wszak na całym szeregu nauk jak gwałtownie poczynają się one rozwijać i kwitnąć od chwili, gdy nauczono się w nich stosować analizę matematyczną, tzn. gdy nauczono się rozwiązywać zagadnienia tych nauk rachunkiem. Dość tutaj wspomnieć o rozwoju geometrii, zawdzięczanemu kartezjuszowskiemu odkryciu geometrii analitycznej. Tak prosty w zasadzie chwyt myślowy Gödela, wprowadzający do badań metodologicznych analizę matematyczną, można porównać do wielkiego dzieła Descartesa.

Dzięki arytmetyzacji logiki sam Gödel osiągnął fundamentalne wyniki. I tak dowiódł on twierdzenia, że jeżeli jakiś system dedukcyjny jest niesprzeczny i dość bogaty, aby w jego ramach zbudować arytmetykę liczb naturalnych, to za pomocą środków dowodowych tego systemu nie daje się przeprowadzić dowód jego niesprzeczności. W ogóle niemożliwą jest rzeczą przy pomocy części logiki i matematyki udowodnić niesprzeczność całej matematyki. Przeciwnie dla dowodu niesprzeczności jakiejś części systemu trzeba się oprzeć na systemie bogatszym. Wykazał on dalej, że jeżeli jakiś system dedukcyjny jest niesprzeczny i zawiera arytmetykę liczb naturalnych, to na pewno istnieje w tym systemie twierdzenie prawdziwe, które w ramach tego systemu nie daje się rozstrzygnąć; natomiast daje się ono rozstrzygnąć w systemie o bogatszych środkach ekspresji. Np. w arytmetyce liczb naturalnych musi istnieć prawdziwe twierdzenie, nierozstrzygalne w tym systemie, ale dające się rozstrzygnąć, gdy w dowodzie posłużymy się twierdzeniami operującymi pojęciem liczby rzeczywistej. W arytmetyce liczb rzeczywistych będą również twierdzenia w ramach tej teorii nierozstrzygalne, ale rozstrzygalne w ramach teorii szerszej. W ogóle żadna niesprzeczna część matematyki, zawierająca arytmetykę liczb naturalnych, nie daje się w sposób zupełny zaksjomatyzować; zawsze znajdują się w niej zdania na podstawie aksjomatyki tej części matematyki nierozstrzygalne. Te wyniki Gödela stanowią fundament, na którym opiera się syntaksa Carnapa. Również twierdzenia semantyki Tarskiego opierają się na twierdzeniach Gödela.

Badania nad podstawami nauk przyrodniczych obejmują problematykę niemiernie bogatą, której ramy wyznaczyli ludzie o takich nazwiskach jak Helmholtz, Riemann, Mach, Poincaré, Duhem, Boltzmann, Einstein, Planck i inni. Brak miejsca nie pozwala chociażby szkicowo zająć się przedstawieniem tej problematyki. Ograniczymy się więc tylko do wzmianki o tych zagadnieniach, którym logizujący empirycy głównie swe badania poświęcali. Jednym z nich jest zagadnienie zdania empirycznego, tzn. zagadnienie, jakim warunkom musi uczynić zadość zdanie, by można je uważać za zdanie oparte na doświadczeniu. Powszechnie przyjęta odpowiedź brzmi: muszą one bądź same być zdaniami spostrzeżeniowymi, lub — jak Wiedeńscy mówią — zdaniami protokolarnymi, tzn. zdaniami zdającymi w najwierniejszy i najprostszy sposób sprawę z tego, co ktoś widzi, słyszy, czuje itp., bądź też pozostawać w związku logicznym ze zdaniami protokolarnymi.

Wyłaniają się tu jednak od razu dwa pytania: 1) jakie zdania można uważać za zdania protokolarne, 2) jaki związek logiczny musi zachodzić między zdaniem danym a zdaniami protokolarnymi, aby zdanie dane mogło zostać uznane za zdanie empiryczne. Wiedeńscy różnią się wyraźnie między sobą w sposobie odpowiadania na oba te pytania. Łączy się z tą sprawą drugie zagadnienie, mianowicie zagadnienie empirycznej bazy poznania. Wspomnieliśmy o nim już wyżej, zdając sprawę z różnych perypetii, jakim ulegały poglądy Wiedeńczyków na istotę prawdy. Idzie w nim o to, czy istnieją zdania tak silnie ufundowane na obserwacji, że nie wymagają już żadnego potwierdzenia przez nowe obserwacje i nie mogą zostać przez nie obalone.

Drugą grupę zagadnień z dziedziny podstaw nauk przyrodniczych stanowią zagadnienia indukcji i prawdopodobieństwa. W tej dziedzinie szczególnie godne uwagi są prace Poppera i Reichenbacha. Ważne też są badania Ph. Franka nad zagadnieniem przyczynowości.

Prócz tych zagadnień ogólnych poświęcają logizujący empiryci wiele uwagi analizom metodologicznym poszczególnych nauk empirycznych. Wymienić tu należy badania Reichenbacha nad teorią względności, której nadaje on postać systemu dedukcyjnego, badania Carnapa nad teorią przestrzeni i czasu, badania Poppera nad indeterminizmem teorii kwantów.

Mniej uwagi poświęcają Wiedeńscy naukom biologicznym, zdołali jednak pozyskać dla swego kierunku wybitnego biologa Woodgera, który niezadowolony ze stanu w jakim znajduje się aparat pojęciowy nauk biologicznych, napisał — przy pomocy dra Tarskiego — książkę, poświęconą próbie rekonstrukcji tego aparatu przy pomocy pojęć i metod logiki matematycznej. W duchu logistycznych empiryków pracuje również nad podstawami nauk biologicznych francuski badacz Lecomte de Nuy.

Podstawami psychologii zajmuje się Brunswig; badaniom nad podstawami socjologii poświęcił kilka dzieł O. Neurath.

Czytelnik zechce wybaczyć dysproporcję, z jaką to sprawozdanie traktuje badania nad podstawami różnych dziedzin nauk. Dysproporcja ta tłumaczy się m. in. tym, że wchodzące w treść sprawozdanie z badań nad biologią,

socjologią, psychologią wymagałoby wprowadzenia zupełnie nowego aparatu pojęciowego. Tłumaczy się ona też tym, że w badaniach Wiedeńskich badania nad matematyką i fizyką są najbardziej rozwinięte.

JEDNOŚĆ NAUKI I FIZYKALIZM

Na zakończenie chciałbym omówić hasło jedności nauki (Einheitswissenschaft, Unity of science), które występuje w Kole Wiedeńskim niemal od początku jego istnienia, zmieniając i precyzując z biegiem czasu swą mglistą zrazu treść i wysuwając się coraz bardziej jako sztandar na czoło całego ruchu.

W fazie pierwotnej hasło jedności nauki było protestem przeciwko różnorodności tych samych terminów w różnych dziedzinach wiedzy. Zdarsza się bowiem, że ten sam termin występując w różnych naukach posiada w każdej z nich inne znaczenie. Różnica tych znaczeń nie jest przy tym dostatecznie wielka, aby nie mogła stać się przyczyną nieporozumień, te zaś nieporozumienia prowadzą do złudnych rozumowań popełniających błąd ekwiwokacji. Tylko dzięki takim nieporozumieniom mogło dojść np. do tego, że indeterminizm teorii kwantów służy niektórym za argument, dowodzący wolności ludzkiej woli. Szło więc w hasło jedności nauki o ujednoczenie terminologii naukowej. Obiecywano sobie dokonać tego ujednoczenia przez sprowadzenie całego systemu terminów naukowych, przy pomocy definicji, do pewnego stosownie obranego zbioru terminów pierwotnych.

Do tego motywu, skłaniającego do systematycznej redukcji całego aparatu terminologicznego nauk, dołączał się motyw drugi. Szło o to, aby każdy termin właściwy naukom głoszącym coś o rzeczywistości wykazać się mógł swoim empirycznym rodowodem. Mówiąc dokładniej, szło o to, aby w naukach realnych zatrzymać tylko takie terminy, które posiadają sens empiryczny, tzn. takie terminy, dla których istnieje empiryczne kryterium ich stosowalności w konkretnych wypadkach. Aby to osiągnąć przez system definicji, wyprowadzający wszystkie terminy ze wspólnej podstawy, trzeba było jako terminy podstawowe obrać takie terminy, których empiryczna sensowność nie budziłaby żadnych wątpliwości. Za takie terminy, niewątpliwie w empiryczny sens wyposażone, uważali zrazu Wiedeńczycy nazwy tzw. bezpośrednich danych, a więc jakości zmysłowych („biały“, „jasny“, „żółty“, „głośny“, „cichy“ itp.).

W tym stadium uważali się Wiedeńczycy, pozostający podówczas pod silnym wpływem Macha, za spadkobierców pozytywizmu, pojmanego na modłę Hume'a lub empiriokrytyków. Wszakże i Hume w podobnym sensie domagał się od każdej „idei“, by mogła się wykazać rodowodem wywodzącym ją od jakiejś „impresji“. Nazywali się wtedy Wiedeńczycy sami neopozytywistami. Realizacji tego „pozytywistycznego“ programu poświęcona jest książka Carnapa pt. „Der logische Aufbau der Welt“.

W dalszym ciągu rozwoju zaczęto od terminów naukowych wymagać nie tylko tego, aby posiadały sens empiryczny, lecz nadto jeszcze, by posiadały sens intersensualny i intersubiektywny. Wyrażenia posiadają sens

intersensualny, jeśli zdania z wyrażen tych zbudowane posiadają konsekwencje, dające się w zgodny sposób sprawdzić na podstawie danych nie jednego tylko zmysłu. Wyrażenia mają sens intersubiektywny, jeżeli zdania z nich zbudowane posiadają konsekwencje, które zgodnie sprawdzić może w zasadzie każdy, a nie tylko jeden osobnik.

Jeżeli język nauki ma być intersensualny i intersubiektywny, to baza terminów pierwotnych, od których zacząć się ma definiowanie terminów nauki, musi się składać sama z terminów o sensie intersensualnym i intersubiektywnym. Takiej niewątpliwie w sens empiryczny, intersensualny i intersubiektywny wyposażonej bazy definicyjnej dostarcza język fizyki. Dlatego hasło ujednoczenia terminologii naukowej, lub inaczej pierwotny postulat jedności nauki przyjmuje nowe znaczenie. Program jedności nauki przeradza się w program fizykalizacji. Program fizykalizacji nauki ma ziścić projektowana encyklopedia jedności nauki. Program fizykalizmu, domagający się sprowadzenia wszystkich terminów naukowych za pomocą definicji do języka fizykalnego, doznaje później pewnej modyfikacji. Z powodów, które tu przemilczymy, Wiedźniczcy rezygnują ze sprowadzania terminów naukowych za pomocą definicji języka fizyki, a zadowolają się swobodniejszą formą tego sprowadzenia, w którym metodą nie musi być zwyczajna, pełna definicja, lecz może nią być tzw. definicja częściowa, nazywana także redukcją.

Tyle o programie występującym pod nazwą jedności nauki. Lecz „jedność nauki“ to nie tylko nazwa pewnego programu, to także nazwa pewnej tezy. Teza jedności nauki głosi mianowicie, że program jedności nauki daje się zrealizować, tzn. że terminy wszystkich nauk (n. b. empirycznych) dają się sprowadzić przez definicję lub redukcję do języka fizykalnego. Teza ta przyjmuje czasem i inne sformułowanie: każde zdanie naukowe (n. b. empiryczne) daje się przetłumaczyć na język fizyki. Znaczenie pierwszego sformułowania tezy jedności nauki, którą Wiedźniczcy nazywają również tezą fizykalizmu, jest jasne i nie wymaga komentarzy. W drugim jednak sformułowaniu wymaga komentarza wyraz „przetłumaczyć“.

Otóż Carnap — główny obok Neuratha rzecznik fizykalizmu, do którego, nawiasem mówiąc, nie przyłączył się Schlick, obstający przy pierwotnym „pozytywistycznym“ sformułowaniu hasła jedności nauki — używa terminu „przekład“ w swoistym znaczeniu. Wiąże się ono z poglądem Wiedźniczków na sensowność terminów i zdań w ogóle, a zwłaszcza na ich empiryczną sensowność. Temat ten poruszaliśmy już wyżej. Zdanie posiada sens empiryczny, gdy istnieje metoda pozwalająca sprawdzić je na drodze doświadczenia. Metoda taka zaś polega na tym, że się z tego zdania wysnuwa konsekwencje dopóty, aż nie dojdzie się do takich, które w odpowiednich warunkach mogłyby się stać zdaniami zdającymi sprawę z tego, co się widzi, czuje, słyszy, mówiąc dokładnie: aż nie dojdzie się do takich konsekwencji, które są (możliwymi) zdaniami protokolarnymi. Stąd już jeden krok tylko do przyjęcia, że dwa zdania empiryczne są dla siebie nawzajem przekładami, jeżeli oba zdania dają się sprawdzić przy pomocy

tych samych zdań protokołarnych. W świetle tej definicji teza fizykalizmu (w drugim sformułowaniu) nabiera mniej jaskrawego charakteru. Głosi ona mianowicie, że każde zdanie empiryczne daje się sprawdzić za pomocą tych samych zdań protokołarnych, co jakieś zdanie należące do języka fizykalnego.

Teza ta może się wydać najbardziej sporna w odniesieniu do zdań psychologicznych. Jak łatwo zauważyć, w zastosowaniu do psychologii godzi ona w introspekcyjną metodę sprawdzania twierdzeń psychologicznych, gdyż jest rzeczą jasną, że twierdzeń fizykalnych nie można sprawdzać metodą introspekcyjną. Co do tej metody zwraca Carnap uwagę, że nie posiada ona waloru intersubiektywnego i dlatego nie spełnia wymagań stawianych metodom naukowym. Zdania psychologiczne sprawdzać się więc muszą, tak samo jak zdania fizykalne, na zdaniach protokołarnych, ekstraspekcyjnych, które same należą do języka fizykalistycznego, a przeto zdania psychologiczne — zgodnie z przyjętą definicją przekładu — dają się przetłumaczyć na język fizykalistyczny. Jeżeli, idąc za Carnapem, przyjmiemy jeszcze jako definicję, że dwa zdania, z których jedno jest przekładem drugiego, są zdaniami równoznacznymi, dojdziemy do konsekwencji, że zdania psychologiczne znaczą to samo, co pewne zdania fizykalistyczne.

Ta konsekwencja fizykalizmu posiada brzmienie zatracające mocno o materializm. Podaliśmy ją w tzw. formalnym sposobie mówienia, tzn. jako zdanie głoszące coś o wyrażeniach. Carnap przytacza jednak również jej parafrazę w treściowym sposobie mówienia, która brzmi: Wszystkie zdania psychologii mówią o procesach fizycznych (a mianowicie o fizycznych procesach zachodzących w ciele, a w szczególności w centralnym systemie nerwowym danego podmiotu). Jako treściowy odpowiednik tezy o sprowadzalności terminów psychologicznych za pomocą definicji do terminów fizykalnych, podaje Carnap zdanie: Każdy termin psychologiczny oznacza pewną fizykalną własność ciała.

Mogliby się w świetle tych sformułowań wydawać, że fizykalizm jest materializmem i to tzw. materializmem wulgarnym, utożsamiającym zjawiska psychiczne ze zjawiskami fizycznymi. Utożsamienia takiego dokonowali najradykałniejsi materialści XIX w. jak Büchner i Vogt. Dialektyczny materializm to utożsamienie — jak wiadomo — odrzuca. W istocie jednak tezy fizykalistycznej nie można identyfikować z materialistyczną. Teza materialistyczna (np. Büchnera) utożsamia zjawiska psychiczne, rozumiane jako zjawiska dane w introspekcji, z przebiegami fizycznymi. Fizykalista uważa, że o tak rozumianych zjawiskach nie może niczego w sposób odpowiedzialny powiedzieć (tzn. w sposób dający się empirycznie i intersubiektywnie sprawdzić). Teza fizykalistyczna domaga się od psychologii tylko tego, aby nadawała swoim terminom sens fizykalny, gdyż inaczej nie będzie intersubiektywnie ważną nauką. Gdy fizykalista mówi, że każdy termin psychologiczny oznacza coś fizycznego, to należy to twierdzenie rozumieć jako postulat głoszący: każdy termin psychologiczny powinien oznaczać coś fizycznego, jeśli ten termin ma być terminem naukowym, tj. takim, dla którego istnieje intersubiektywne kryterium sło-

sowania. Fizykalizm zbliżony jest więc do metodologicznego behawioryzmu a daleki od behawioryzmu rzeczowego i od materializmu.

Sądzę, że fizykalista nie podpisałby tezy materialistycznej, o ile ta posługuje się terminami o sensie introspekcyjnym, ale uznałby każdą taką tezę za nienaukową, jako niedostępną intersubiektywnemu sprawdzeniu. Materializm posiada wiele wcale nierównoznacznych sformułowań. Istnieją i takie sformułowania materializmu, w których terminy o sensie introspekcyjnym nie występują. Takim np. mogłoby być jedno ze sformułowań materializmu, które stwierdza, że życie psychiczne wyłoniło się w przyrodzie w jednym z późniejszych etapów dziejów materii. Przeciwno tej tezie fizykalista nie podnosiłby żadnego sprzeciwu, o ile naturalnie życia psychicznego nie rozumiałoby się w niej w sposób introspekcyjny, lecz — powiedzmy — w sposób behawiorystyczny. Nie byłaby to jednak teza fizykalizmu, gdyż ten jest częścią nauki o nauce, lecz po prostu jedna z tez którejs z nauk przyrodniczych.

Jeżeli fizykalista nie podpisałby żadnej tezy materializmu, zawierającej terminy o sensie introspekcyjnym, to nie dlatego, żeby tezę taką uważał za fałszywą i przychylił się do stanowiska przeciwnego. Jego sąd o nienaukowości tezy materialistycznej, posługującej się terminami introspekcyjnymi stosowałby się również i do tej negacji, a więc do wszelkich idealizmów, dualizmów i innych „izmów“, które by introspekcyjnie rozumianym zjawiskom psychicznym przyznawały, że są czymś od zjawisk fizycznych zasadniczo różnym. I o nich fizykalista nie powiedziałby, że są fałszywe, lecz razem z materializmem (zawierającym terminy introspekcyjne) i razem z całą metafizyką zaliczyłby do pseudozdań, do wypowiedzi pozbawionych sensu intersubiektywnego.

Jeżeli jednak terminy psychologiczne byłyby wzięte w sensie fizykalistycznym, a więc ekstraspekcyjnym, wówczas fizykalista uznałby za pewno tezę, że zjawiska psychiczne są zjawiskami rozgrywającymi się na podłożu ciała, a więc w szczególności, że to ciało człowieka cieszy się, martwi, myśli itp. Twierdzenia te byłyby również pewne, jak twierdzenie, że to ciało człowieka porusza się, oddycha, je itp., boć przecież przy nie-introspekcyjnym rozumieniu terminów psychologicznych znaczą one tyle, co terminy oznaczające procesy fizyczne, nazywane zazwyczaj korelatami zjawisk psychicznych. Przy takim rozumieniu tezy materialistycznej uważać ją można za konsekwencję stanowiska fizykalistycznego.

Nie należy też fizykalizmu wiązać np. z tzw. mechanizmem na terenie biologii. W sporze między mechanizmem a witalizmem idzie o to, czy prawa biologii dają się wywieść z praw fizyki, czy też są między nimi prawa nieprzywiedne (swoiste). Fizykalizm twierdząc, że pojęcia wszystkich nauk, a więc i biologii, dają się sprowadzić do pojęć fizykalnych, nie przesądza jeszcze, czy prawa biologii (a tym mniej prawa psychologii lub socjologii) dają się wywieść z praw fizyki, nie przesądza więc sporu na rzecz mechanizmu.

LOGIZUJĄCY EMPIRYZM LIKWIDATOREM FILOZOFII?

Ze strony „prawdziwych filozofów“ zarzucano logizującemu empiryzmowi, że odmawia on filozofii prawa istnienia, likwidując klasyczną jej problematykę, jako złożoną z zagadnień rzekomo tylko pozornych. Zarzut ten, który — nawiasem mówiąc — przynosiłby ujmę logizującemu empiryzmowi, gdyby z nim w parze szła skuteczna obrona zaatakowanej problematyki, nie jest w całej swej rozciągłości słuszny. Logizujący empiryzm nie potępia przecież całej tradycyjnej filozoficznej problematyki; uznaje wszak za pełnoprawne te klasyczne zagadnienia filozoficzne, które się mieszczą w ramach współczesnej logiki formalnej, metodologii nauk i psychologii empirycznej. Do tych klasycznych zagadnień filozoficznych, które odnaleźć można w ramach współczesnej logiki formalnej, należy spora część tego, co Arystoteles zaliczał do „pierwszej filozofii“, przezwaną później metafizyką. Odnajdzie się tam mianowicie tzw. ontologia formalna, omawiająca pojęcia takie, jak ogólne pojęcie przedmiotu, istnienia, cechy, stosunku itp. Odnajdzie się ona przy tym w formie o wiele precyzyjniejszej niż to bywa u „prawdziwych filozofów“ i tak wzbogacona, że wystarczy już dla oparcia na niej całego pojęciowego aparatu matematyki. Prof. St. Leśniewski nazwał nawet zasadniczą część swego systemu logiki „ontologią“ dla zaznaczenia, że jest ona opracowaniem tych samych zagadnień, którym poświęcona była ontologia Arystotelesa. Niemiecki logistyk H. Scholz, niedawno zmarły profesor uniwersytetu w Münster, przyjaciel polskich logików i gorący sympatyk logizującego empiryzmu, wydał w czasie ostatniej wojny książkę pt. „Metaphysik“, nadając tę nazwę pewnym partiom logiki matematycznej, które istotnie na nazwę tę zasługują, o ile się ją bierze w pierwotnym jej znaczeniu.

Tak więc poważna część klasycznych zagadnień filozoficznych nie zostaje przez logizujących empiryków odrzucona, lecz jest z pełnymi honorami nadal uznawana. Poza tym spora część klasycznych zagadnień filozoficznych zostaje przez logizujących empiryków „naprostowana“ i następnie do wszelkich praw przywrócona. Mam tu na myśli te zagadnienia, o których logizujący empirycy utrzymują, że niewłaściwie je stawiano w płaszczyźnie rzeczowej (w treściowym sposobie mówienia), gdy tymczasem właściwe ich miejsce jest w płaszczyźnie językowej (w formalnym sposobie mówienia). Ogromna ilość klasycznych zagadnień filozoficznych, w ich rzędzie nawet zagadnienie idealizmu i realizmu, po ich sparafrazowaniu na formalny sposób mówienia, odzyskuje pełny szacunek.

Tak więc nie można ze słusnością twierdzić, jakoby logizujący empiryzm dokonywał likwidacji całej filozofii, gdyż spora jej część nie podlega jego krytyce. Mimo to przyznać należy, że logizujący empiryzm dokonuje poważnej amputacji na ciele tradycyjnej filozofii. Odciętej części odmawia charakteru naukowego, zaliczając ją do tzw. poezji myślowej (Gedankendichtung), przy czym jednak przyznaje jej poważną funkcję kulturalną.

Godząc się w znacznej mierze z tym zabiegiem, można mieć jednak

wątpliwości, czy nóż chirurgiczny logizującego empiryzmu nie tnie zbyt głęboko, czy nie wycina z organizmu filozofii także zdrowej tkanki.

Wątpliwości te łączą się ze sposobem, w jaki logizujący empiryzm pojmuje robotę naukową. Robotą naukową jest według niego badanie empiryczne i budowanie systemów dedukcyjnych. To ostatnie polega na formułowaniu aksjomatów i wysnuwaniu z nich konsekwencji. Jednakże przed sformułowaniem aksjomatów musi już zostać wykonana poważna praca myślowa, która nie polega ani na badaniu empirycznym, ani na dedukcji. Zanim myśl nasza osiągnie ten stopień precyzji, który pozwala na wyraźne sformułowanie aksjomatów, ma się już jakoś daną tę koncepcję, której rozwinięciem będzie ów system aksjomatyczny, daną w sposób mętny i niewyraźny. Aby się z tych mętów wydobyć, trzeba poważnego wysiłku myślowego, którego żadną miarą poezją myślową nazwać nie można. Praca filozofów w znacznej mierze leży w tej właśnie przedaksjomatycznej dziedzinie. Można jej nie nazywać robotą naukową, nie można jej jednak odmawiać wartości dla naukowego poznania.

Kazimierz Ajdukiewicz

Jan Szczepański

Interpretacja i rozumienie ludzkiego zachowania¹⁾

Empiryczna podstawa zdań o związkach społecznych. Elementarnym faktem społecznym jest związek łączący dwóch ludzi. Faktami społecznymi złożonymi są stosunki zachodzące między członkami zbiorowości, i określony całokształt tych stosunków nazywamy skrótowo więzią społeczną. Pozostawiając w tej chwili na boku pytanie o dokładną definicję więzi społecznej i rozważania dotyczące natury, cech i rodzajów związków międzyludzkich, postawimy jako główny temat roztrząsań zagadnienie p o z n a w a l n o ś c i związków społecznych. Jako przykłady faktów społecznych mogą posłużyć: prośba, ukłon, znajomość, braterstwo, przyjaźń, miłość, małżeństwo, poddaństwo itp. Niektóre z tych faktów są prostymi zdarzeniami, inne złożonymi procesami. Bardziej złożonymi układami faktów są: grupa, społeczeństwo, naród, państwo itp.²⁾ W życiu codziennym na każdym kroku spotyka się wypowiedzi dotyczące tych faktów, orzeczenia o nich, klasyfikacje i wartościowania, dokonywane ze względu na różne cele i potrzeby praktyczne. Istnieją specjalne dziedziny nauki oraz gałęzie filozofii, zajmujące się istotą tych faktów, prowadzące nad nimi rozległe badania i konstruujące nie-raz kunsztowne teorie. W życiu potocznym przyjmuje się swoisty n a i w n y realizm, jako milczące założenie orzeczeń o tych faktach. Związki i stosunki międzyludzkie traktuje się jako coś konkretnego i dostrzegalnego, orzeczenia o małżeństwie i narodzie są wypowiedziane z niemniejszą pewnością i przekonaniem niż orzeczenia o chlebie i węglu.

Nauki postępują ostrożniej. Pełno tam hipotez dotyczących natury tych faktów. Niektórzy widzą w nich swoisty rodzaj przedmiotów i chcieliby tworzyć specjalną o n t o l o g i ę s p o ł e c z n ą.³⁾ Dla innych są

¹⁾ Skrócony wyjątek większej rozprawy poświęconej metodologicznym zagadnieniom socjologii. Podany tutaj fragment omawia rolę interpretacji i rozumienia w ustalaniu faktów społecznych, nie dotykając spraw ustalania zależności między faktami.

²⁾ Myśl, że społeczeństwo jest układem faktów społecznych wypowiedział R. Maunier: Wprowadzenie do socjologii.

³⁾ Por. C. Znamierowski: O przedmiocie i fakcie społecznym. Przegl. Filoz. r. 1921.

to nazwy pozorne. Nie istnieje żaden przedmiot postrzegalny, który mogli-
byśmy nazwać więzią społeczną, zatem orzeczenia o tych faktach należy
traktować szczególnie ostrożnie, należy szukać przedmiotów empirycz-
nych, którym można by te orzeczenia jakoś przyporządkować. Najczęściej
spotykany w naukach, zwłaszcza socjologii amerykańskiej, typ postępo-
wania metodycznego, charakteryzuje się milczącym przyjęciem pewnych
modyfikacyj potocznego realizmu, jako założeń wyjściowych, i badaniami
statystycznymi operującymi materiałem opisującym postrzegalne zacho-
wanie się ludzkiego.

W każdym razie zdania o faktach społecznych, o związkach między-
ludzkich nie są zdaniami spostrzegawczymi w ścisłym
tego słowa znaczeniu. Zdania takie jak: „A prosi B“, „A kłania się B“,
„A jest przyjacielem, mężem, rodakiem itd. B“ — ogólnie — „między A
i B zachodzi związek R“ — nie są zdaniami spostrzegawczymi.¹⁾ Poniż-
sze rozwiązania poświęcone będą próbie zbadania drogi poznawczej, jaka
prowadzi od spostrzeżeń do zdań o związkach między ludźmi.

Od dawna zauważono przemożną rolę, jaką w związkach społecznych
grają elementy psychiczne: uczucia, popędy, zainteresowania i bardziej
złożone postawy.²⁾ Ponieważ te elementy cudzego życia psychicznego
nie są dostępne bezpośredniemu poznaniu, zatem badanie ich możliwe jest
tylko przez badanie objawów ściśle związanych z ich przebiegiem. I cho-
ciaż dzisiaj zdajemy sobie sprawę z faktu, że elementy psychiczne mogą
być wprawdzie elementami dominującymi, lecz nie są wyznaczającymi ele-
mentami faktów społecznych, uważamy, że podstawą empiryczną
socjologii i nauk społecznych są spostrzeżenia z zachowań się
z e w n ę t r z n y c h jednostki, spostrzeżenia własnych przeżyć
(stanów wewnętrznych) oraz spostrzeżenia utrwalonych wytworów
i ś l a d ó w zachowań się (działań) człowieka. Wszelkie orzeczenia
o związkach społecznych opierają się zatem na interpretacjach pewnych —
jak mówi prof. Z n a m i e r o w s k i — „zachowań dostrzegalnych“.

Punktem wyjścia na drodze do uzyskania zdań o faktach społecznych
są spostrzeżenia zachowania się p o j e d y n c z e g o osobnika. Tzw.
zachowanie się zbiorowości jest w pewnym sensie tylko wyrażeniem skró-
towym, opisującym złożony proces zachowywania się poszczególnych
osobników w zbiorowościach. (Nie znaczy to, że zdanie to zakłada z ko-
niecności jakąś atomistyczną teorię zbiorowości). Co spostrzegamy, ujmu-
jąc zachowania się i czynności naszych bliźnich? Spostrzeżenia ujmują
ruchy, mimikę, dźwięki i utrwalone ślady i wytwory zachowań. Obserwu-
jąc zachowanie się ludzi, spostrzegamy szereg ruchów, słyszymy szereg
dźwięków, które „ujmujemy“ jako „sprzeczkę“, „powitanie“ lub „rozmo-
wę“. Jak dochodzimy do tego ujęcia? „Powitanie“ jest to pewna synteza,
dokonana przez przyporządkowanie pewnych zachowań do pewnej kon-
wencji, przyjętej w określonej zbiorowości. Przyporządkowanie to może

¹⁾ Por. co pisze B. M a l i n o w s k i o „Faktach niewidzialnych“. Coral Gardens na Their Magic.
Tom I, str. 317 — 340.

²⁾ Por. G. S i m m e l: Die Probleme der Geschichtsphilosophie, rodz. I.

się dokonać tylko dzięki pewnej właściwości zachowań, mianowicie tej, że w pewnym sensie są one znakami, przejawami, objawami, uzewnętrznieniami i wyrażeniami posiadającymi określone znaczenia. Uogólniając możemy powiedzieć, że całkowite zachowanie się osobnika jest jednym złożonym systemem znaków i objawów, nad którego „odczytaniem“ mozoli się cały szereg nauk.

Znaczenie ludzkich zachowań. Wyobrażamy sobie, że jakiś olbrzym, niezauważony przez ludzi, obdarzony zupełnie inną strukturą umysłu niż nasza, obserwuje pochylony nad miastem życie ludzkie, tak jak młody chłopiec z miasta, który nigdy nic o mrówkach nie słyszał, obserwuje mrowisko. Zachowanie się ludzi jest dla niego nieprzerwanym szeregiem ruchów i dźwięków. Nie odróżni on ani pojedynczych wyrazów, ani zdań. Nie pozna, gdzie kończy się jedna czynność a zaczyna druga, nie uchwyci powiązań między ruchami i kompleksami ruchów. Krótko mówiąc, nie ustali żadnych związków łączących ludzi, nie ustali ani jednego faktu społecznego. Cały ten nieprzerwany, chaotyczny potok ruchu nie posiada dla niego żadnego „znaczenia“.

Etnolog, rozpoczynający swoje badania wśród jakiegoś dotychczas zupełnie mu nieznanego plemienia, znajduje się w nieporównanie korzystniejszej sytuacji. Zasadnicze podobieństwo struktury umysłu pozwala mu na przyporządkowanie przynajmniej do niektórych zachowań się krajowców określonych znaczeń i na tych elementarnych podstawach może on dojść do wiedzy, pozwalającej mu na uchwycenie znaczeń ich całkowitego zachowania.

Zachowania się ludzkie są systemem znaków **z r o z u m i a l n y c h**. Niektóre z nich znaczą coś, inne tylko coś wyrażają, coś przejawiają, inne jeszcze posiadają tylko „ważność“ lub „doniosłość“, co nazwę tu łącznie (obrażając uszy semantyków) „znaczeniem społecznym“ zachowań. W zachowaniach ludzkich szczególną rolę spełniają „zachowania się językowe“, czyli po prostu posługiwanie się określonymi językami. Mówiąc o językach mam tu na myśli nie tylko różnicę języków etnicznych, lecz i różnicowania w ramach jednego języka etnicznego. Wyróżniamy tu język potoczny, języki naukowe, język religii, język magii, języki zawodowe itp.

Elementy języka — wyrażenia — znaczą swoje **znaczenia językowe**. Nie będę się wdawał w rozważania na trudny temat znaczeń językowych — nie jestem semantyką. Ogólnikowo możemy powiedzieć, w pewnym przybliżeniu prawdziwie, że znaczenia językowe są pewną właściwością wyrażen, nabytą ze względu na strukturę języka, w którym występują. Lecz wyrazy nie tylko znaczą, lecz i **w y r a ż a j ą**. Wyrażają pewne myśli, przeżycia wypowiedającego. Wyrażają **znaczenia psychologiczne**. Sprawa znaczeń psychologicznych wydaje się być prostszą niż znaczeń językowych. Do czasu ogłoszenia „Logische Untersuchungen“ E. Husserla w rozważaniach nad wyrażeniami przyjmowano rozróżnienie: fizycznej strony wyrażenia (napis, dźwięk artykułowany) oraz pewnej sumy psychicznych przeżyć, które asocjacyjnie ze znakiem powiązane, czynią go wyrażeniem czegoś. Prze-

życia te przeważnie nazywano sensem lub znaczeniem wyrażań. Husserl w swoich analizach starał się wykazać, że znaczenie jest czymś różnym od przeżycia. W każdym razie odróżnienie znaczeń językowych od psychologicznych okazało się użyteczne. Zaslugą Husserla było zwrócenie uwagi na niesłuchanie ważną funkcję spełnianą przez wyrażenia, mianowicie funkcję komunikacyjną. Spełniają ją wyrażenia wtedy, gdy coś oznajmiają, komunikują, innymi słowy, gdy występują jako narzędzia porozumiewania się. Husserl podkreślił wyraźnie, że funkcję komunikacyjną spełniają wyrażenia tylko w porozumiewaniu się z innymi, natomiast nie występuje ona w naszym życiu wewnętrznym.¹⁾ Uświadomiono sobie, że ten użytek komunikacyjny posiada szczególną doniosłość dla prób zbudowania teorii znaczenia. „Krótko mówiąc, do istoty znaczenia należy wzgląd na intencję komunikacyjną, na to, co chce się komu przy pomocy danego zwrotu oznajmić, co się chce komu przy pomocy danej nazwy np. o czymś orzec“.²⁾ Słusznie wskazał St. Ossowski, że wzgląd na funkcję komunikacyjną wyrażań sprowadza rozważania nad znaczeniem do socjologii³⁾.

Wyrazy posiadają również swoją „ważność i doniosłość“ społeczną, krótko — swoje znaczenie społeczne, opierające się częściowo na spełnianej przez nie funkcji komunikacyjnej. Istnieją ustalone wzory społeczne, dopuszczające używania określonych wyrazów w określonych sytuacjach ze względu na ich ważność dla danej sytuacji. Można by jeszcze kwestionować to postawienie sprawy, wskazując, że ta społeczna ważność słów jest tylko refleksem ważności pewnych stanów psychicznych. Zbiorowość wymaga, żeby jej członkowie w pewnych sytuacjach żywili takie a nie inne uczucia i przekonania, i wyrażali je odpowiednimi słowami. Nacisk położony pierwotnie na uczucia i postawy członków zostaje przeniesiony na słowa wyrażające „konwencjonalnie“ dane uczucia i postawy. Zatem do znaczeń językowych i psychologicznych dodajemy jeszcze znaczenia społeczne wyrazów, jakie posiadają one wtedy, gdy komunikują pewne konwencjonalnie wymagane w danej sytuacji postawy. (Życzenia, kondolencje itp.). Znaczenia społeczne są więc nadawane wyrażeniom przez obiektywną sytuację społeczną. Mówimy, że wyraz *znaczy* swoje znaczenie językowe, *wyraża* znaczenie psychologiczne i *posiada* znaczenie społeczne. Posiada ze względu na możliwość użycia społecznie określonej sytuacji.

Lecz nie tylko wyrazy artykułowane wyrażają znaczenia psychologiczne i posiadają znaczenia społeczne. „Warczenie psa wyraża jego gniew“ — pisze prof. Kotarbiński. Uderzenie pięści w stół wyraża gniew człowieka. „Spojrzenie“ może wyrazić miłość lub nienawiść, śmiech wyraża radość, lecz równocześnie może być „nietaktem“. Wszystkie inne rodzaje zachowań się, a więc gesty, mimika, dźwięki nieartykułowane mogą wyrażać pewne przeżycia i posiadać znaczenia społeczne. Jest rzeczą konieczną dla nianieki i psychologów umieć przyporządkować możliwie

¹⁾ Por. M. Ossowska: *Słowa i myśli*. Przegląd Filoz. Tom 3 — 4, str. 217.

²⁾ T. Kotarbiński: *Elementy...* str. 110.

³⁾ Por. St. Ossowski: *Analiza pojęcia znaku*.

jednoznacznie poszczególne przejawy i zachowania się dziecka określonym przeżyciom, przez te zachowanie wyrażonym.

Znaczenia społeczne. Max Weber, twórca socjologii rozumiejącej, położył nacisk na konieczność ujmowania sensu działań ludzkich.¹⁾ Działaniem nazywał takie zachowanie się, z którym działający wiąże pewien subiektywny sens. Weber szczególnie podkreślał subiektywność tego sensu. „Nicht etwa irgendein objektiv «richtiger» oder ein metaphysisch ergründeter «wahrer» Sinn“²⁾. Ten przez Maxa Webera wskazany „subiektywny sens“ można pojmować różnie. Przede wszystkim jako wyróżnione powyżej znaczenie psychologiczne, lecz nie tylko to. Słowa współczucia wypowiedziane znajomemu, dotkniętemu nieszczęściem, wyrażają nie tylko moje współczucie, lecz są również społeczną koniecznością sytuacyjną. Są to dwie różne sprawy: znaczenie jakiegoś zachowania się w subiektywnym poczuciu działającego i znaczenie tego zachowania w ramach obiektywnej struktury. Max Weber nie interesuje się tymi drugimi znaczeniami. Jemu chodzi tylko o te pierwsze, których odkrycie, jego zdaniem, pozwala socjologowi wytłumaczyć i zrozumieć działającego. Znaczenie społeczne sprowadza się, według intencji zawartych w wywodach Webera, do psychologicznego. Wyrazy współczucia wyrażają nie tylko moje współczucie, ale i moje przekonanie, że w danej sytuacji wypada, żebym je wypowiedział. Zawsze zatem znaczenie społeczne sprowadza się do znaczenia psychologicznego.

Oczywiście w ten sposób rzeczywiście można redukcję taką przeprowadzić, lecz należy pamiętać o różnicy zachodzącej między tymi znaczeniami. Pierwsze przeżycie, „współczucie“ jest spontaniczną reakcją, drugie jest wynikiem sytuacji społecznej. Każde wyrażenie wyraża pewne przeżycie psychiczne oraz pewne przedstawienie oczekiwanej interpretacji tego wyrażenia, które moglibyśmy nazwać psychologicznym znaczeniem odzwierciedlonym, zapożyczając termin Cooleya. Każdy zachowujący się człowiek „liczy się“ z reakcjami środowiska na swoje zachowanie, stąd więc te znaczenia odzwierciedlone grają w życiu społecznym ważną rolę. Co znaczy liczy się? Znaczy tyle, że w doborze środków ekspresji kieruje się ich społecznym znaczeniem. Istnieją pewne zwyczajowe dyrektywy, społeczne definicje sytuacji, określające dopuszczalność użycia pewnych słów, gestów, mimiki itp.

Rozpatrzmy taki przykład: zachowanie się kapłana czy czarodzieja wymawiającego zaklęcia i dokonyującego ustalonego obrzędu. Jego gesty i słowa nie wyrażają jego pryncypów, nie są jednakże bezsensowną grą ruchów i słów. Słowa, używane przez niego, mogą nawet być pozbawione znaczenia językowego. A jednakże zachowanie się tego kapłana wyposażone jest znaczeniem społecznym, które w braku lepszego określenia nazwiemy sytuacyjnym.

Dążąc do jakiegoś celu, ludzie na ogół starają się dobrać środki ze względu na ten cel, starają się dostosowywać swoje zachowania do tego

1) Max Weber: *Wirtschaft und Gesellschaft*. Str. 1.

2) Tamże, str. 1.

celu. Często pytamy, jaki sens ma czyjeś działanie, gdy chcemy zapytać o cel jego działania, zwłaszcza wtedy, gdy podejrzewamy, że jego działanie nie zbliża go do celu zamierzonego i że względu na dany cel jest bezsensowne. Tę ważność zachowania, ze względu na osiągnięcie jakiegoś celu, nazwiemy tu znaczeniem praktycznym zachowań.

Spotykamy również takie sytuacje, kiedy pytamy o ważność pewnych zachowań ze względu na przewidywany dalszy bieg zdarzeń. Na przykład ktoś obraził swojego przełożonego, wtedy pytamy, jakie znaczenie będzie miał dla niego ten postępek, mając na myśli dalsze skutki i konsekwencje, jakie ten postępek będzie miał w dalszym jego życiu. Taką ważność zachowań będziemy nazywali znaczeniami odniesionymi. Zachowanie to bowiem nabiera znaczenia przez odniesienie do struktury zbiorowości czy procesu. Dopiero przez umiejscowienie tego zdarzenia w szerszym szeregu zdarzeń nabiera ono właściwego znaczenia.

Rozróżniłem trzy rodzaje znaczeń społecznych: sytuacyjne, praktyczne i odniesione, kierując się przede wszystkim względami użyteczności tego podziału w ustalaniu zależności między ludźmi. Zachowanie się dostrzegalne jest źródłem informacji o tych zależnościach i tylko „odczytując” skomplikowane „pismo” ludzkich zachowań, dowiadujemy się o stosunkach społecznych. Nic dziwnego zatem, że dla wielu socjologów tak złożone wytwory społeczne, jak naród, państwo i kościół, są tylko pewnymi „krystalizacjami” wzajemnych oddziaływań (Simmel), zagęszczeniami elementarnych procesów (Wiese), lub „szansą” zachodzenia pewnych działań (M. Weber).

Dotychczas uświadomiliśmy sobie, że empiryczną podstawą zdań o faktach społecznych są spostrzeżenia zachowań, że zachowania te posiadają pewne znaczenia, pozwalające na ich „odczytywanie”. Co rozumiem przez tę metaforę?

Interpretacje zachowań. Obserwując większe zebranie czy publiczność, po pewnym czasie dokładniejszej obserwacji mogę mniej więcej orzec, kto tu tworzy pary przyjaciół, zakochanych, zwierzchników i podwładnych itp. Dochodzę do tego przez interpretację i rozumienie tych zachowań. Czy należy odróżniać interpretację od rozumienia? Sądzę, że tak. Może być, że psychologicznie są one powiązane ściśle w jednym procesie, jednakże interpretacja danych doświadczenia jest w nauce wyraźnie wyodrębnionym krokiem postępowania metodycznego. Interpretacja polega na próbach przypisywania różnych znaczeń określonym znakom, oznakom, przejawom, wyrażeniom itp. Rozumienie jest ostatecznym „uchwyceniem” i „ujęciem” tych znaczeń. Przyjrzemy się bliżej pojęciu interpretacji.

„Mówiąc w... szerokim sensie o interpretacji, mam na myśli pewien stosunek obserwatora do postrzeganego przedmiotu, stosunek polegający na wprowadzeniu do postrzeżenia pewnych czynników, które nie są wyznaczone przez fizyczne własności podmioty ani organów zmysłowych.”¹⁾ Takie szerokie określenie interpretacji jest słuszne i użyteczne. Interpretacja

¹⁾ St. Ossowski: U podstaw estetyki. Str. 5.

jest próbą dodania przedmiotom postrzeganym „czegoś“, co zostało zaczerpnięte z istniejącego już systemu wiedzy.¹⁾ I tylko przez dodanie tego elementu wiedzy możemy zdania o spostrzeżonym przedmiocie włączyć do tego istniejącego już systemu wiedzy, a zatem je zrozumieć. Ossowski rozróżnia interpretację semantyczną i asemantyczną, zwracając uwagę na niesłuchanie ważny moment, mianowicie wielostopniowość interpretacji semantycznych.

Nie będę się zajmował tu sprawą interpretacji asemantycznych. Grają one wielką rolę w postrzeżeniach i ujmowaniu przedmiotów. Jest sprawą epistemologii i psychologii zbadanie, jak dokonywują się „syntezy“ doznań i jakości w postrzeganiu przedmiotów. Niewątpliwie socjolog nie może ignorować poglądów, jakie w tej sprawie urabia sobie psycholog²⁾, lecz nie widzę powodu, dlaczego sam miałby przeprowadzać tu prace badawcze. Zajmiemy się zatem interpretacjami semantycznymi wyższych stopni, które występują wtedy, gdy zaczynamy naukowo, względnie praktycznie zajmować się przedmiotami postrzeżonymi.

Interpretacje grają w nauce wielką rolę. Nie tylko w naukach humanistycznych, lecz i w naukach przyrodniczych. Na ich doniosłość w ustalaniu faktów naukowych wskazywał w krytyczny sposób H. Poincaré³⁾, w jasny sposób wskazał ich ważność J. Metallmann⁴⁾ „Ustałenie faktu jest tedy wypadkową spostrzeżenia lub spostrzeżeń, jak i pewnej już próby interpretacji, tj. ujęcia znaczenia tego, co jest spostrzegane“.⁵⁾ Ustałenie faktu i mierzenie jest wynikiem „opracowania“ naukowego danych spostrzeżeniowych w oparciu o istniejącą już teorię. „Pierwszy podział zapłodnionego jaja żaby, czyli tak zwane bruzdkowanie, widział już Jan Swammerdam (XVII w.), widział, a jednak nie umiał tego faktu „odczytać“, a więc opisać, ponieważ nie umiał w tym co widział dopatrzeć się żadnego znaczenia“⁶⁾. Wiedza posiadana przez obserwatora głęboko przenika określanie faktów przez niego obserwowanych. Dla socjologii posiada to szczególną doniosłość. Znamy wiele ślepych zaułków, do których wciągnęły naszą naukę błędne teorie uniemożliwiające właściwą interpretację obserwowanych zdarzeń. Organicyści interpretowali niektóre procesy społeczne jako objawy funkcjonowania organizmu społecznego, co oczywiście zasłaniało im właściwe ujęcie rzeczywistego przebiegu zdarzeń, wypaczało nie tylko próby ustalania faktów, lecz i zależności między faktami. Gdyż interpretacja, jak słusznie zauważył Metallmann, przenika całą naukę na wszystkich stadiach postępowania, od postrzegania do zbudowania teorii.

W dziedzinie życia społecznego ujmowanie znaczeń zachowania ludzkiego jest prostą koniecznością życiową. Dla socjologa właściwa interpretacja zachowań jest warunkiem koniecznym, bez którego nie ma poznania

¹⁾ F. Z n a n i e o k i : Method of Sociology. Str. 83.

²⁾ Por. np. G. F. S t o u t : Zarys psychologii I. wyd. Str. 78 — 95 oraz 155 — 177.

³⁾ Wartość nauki: Fakt surowy i fakt naukowy, str. 141 i n.

⁴⁾ Wprowadzenie do zagadnień filozoficznych, str. 33 i n.

⁵⁾ Str. 34.

⁶⁾ Str. 34.

faktów społecznych. Odróżnić musimy interpretację potoczną i interpretację naukową. Interpretacja potoczna nastawiona jest na przypisywanie znaczeń praktycznych zachowaniom i tłumaczenie ich, ze względu na określone potrzeby praktyczne, przez przyporządkowanie ich znanym „motywow” psychologicznym lub zbiorowo ustalonym i zdefiniowanym sytuacjom. Interpretacja potoczna zmierza do zdobycia jakiejś wiedzy wymaganej przez aktualną sytuację praktyczną, niezależnie od tego, że dokonywana jest stale i na każdym kroku życia codziennego. Celem interpretacji naukowej jest próba przypisania zachowaniom znaczeń odniesionych jako pierwszy krok na drodze do ustalenia faktu zależności człowieka od człowieka lub zbiorowości. Zagadnienie interpretacji socjologicznej zarówno w życiu potocznym jak i w nauce wiąże się z zagadnieniem poznawania i rozumienia cudzych przeżyć psychicznych. Można by sądzić, że interpretacja cudzych zachowań polega na przyporządkowaniu tym zachowaniom określonych stanów i dyspozycji psychicznych i dopiero ustalenie takiego przyporządkowania staje się podstawą ustalenia faktu społecznego. Sądzę jednakże, że możemy interpretować cudze zachowania przez przyporządkowanie ich sytuacjom i że taka interpretacja „obiektywna” jest właściwą interpretacją socjologiczną.

Psychologowie i estetycy poświęcali dużo miejsca zagadnieniom interpretacji i rozumienia cudzego zachowania, traktując je jako poznawanie cudzego życia psychicznego. Zachowanie się człowieka, jego ruchy, mimika, gesty, wytwory i ślady jego czynności zostają ujęte jako szereg objawów, przedmiotów fizycznych, które „są mniej lub więcej stale przyporządkowane pewnym przedmiotom psychicznym”¹⁾. M. Wallis podaje²⁾ przegląd całej obszernej dziedziny objawów. Podobne przeglądy podają W. Witwicki³⁾ i St. Ossowski⁴⁾ z tym, że Ossowski posługuje się terminem „oznaka ekspresyjna”. Problem psychologiczny jest w pewnym sensie problemem węższym od socjologicznego. Zagadnienie poznania cudzych przeżyć, równoważne, jak sądzę, zagadnieniu uchwycenia znaczeń psychologicznych cudzych zachowań, będące problemem centralnym dla psychologa, na terenie socjologii posiada tylko ważność wtórną i niejako pomocniczą do ustalenia jakiegoś mniej lub więcej stałego przyporządkowania cudzego zachowania określonym sytuacjom społecznym, czyli ujęcia ich znaczeń społecznych.

Interpretacje socjologiczne. Związki społeczne, łączące ludzi, poznawalne są na drodze interpretacji ludzkich zachowań. Nasuwa się tu pytanie niezmiernej doniosłości, dotyczące nierozstrzygniętego dotychczas zagadnienia stosunku elementów społecznych do elementów psychicznych. Każdy fakt społeczny jest zespołem elementów fizjologicznych, psychicznych, społecznych i kulturalnych. Niewątpliwie w stosunkach społecznych, np. w małżeństwie, uczucia i postawy partnerów grają ważną rolę, lecz stosunek małżeński kształtowany jest również elementami środo-

1) M. Wallis: *Wyraz i życie psychiczne*. Wilno 1939. Str. 6.

2) Tamże, str. 11 — 12.

3) *Psychologia*, tom II, str. 19 — 58.

4) *U podstaw estetyki*, str. 190 — 195.

wiska społecznego i kulturalnego. Małżeństwo nie sprowadza się do uczuć i postaw dwojga osób, lecz jest instytucją społeczną o ustalonym zakresie funkcji wychowawczych, gospodarczych, religijnych itp.¹⁾ Zatem ustalenie, że dwie osoby znajdują się w związku małżeńskim, sprowadza się nie tylko do poznania ich życia psychicznego, lecz przede wszystkim do poznania ich sytuacji społecznej. Nie zachodzi stały i konieczny związek przyporządkowujący sytuacje psychologiczne sytuacjom społecznym. Podobieństwa sytuacji psychologicznych mogą istnieć w radykalnie różnych sytuacjach społecznych. Stąd zatem ustalenie znaczeń psychologicznych, rozumienie i ujęcie cudzego życia psychicznego nie jest miarodajne dla rozumienia socjologicznego i ustalenia faktu społecznego.

Posługujemy się tu terminem *sytuacja* w jego potocznym znaczeniu, rozumiejąc przez niego określony układ przedmiotów (rzeczy i zdarzeń). Sytuacja społeczna jakiegoś osobnika to jego „położenie“ względem innych ludzi jego środowiska społecznego. Czasami mówimy o sytuacji wytworzonej szczególnym biegiem zdarzeń. Lecz istnieją pewne sytuacje typowe, określone definicjami, zbiorowymi²⁾ i pewne zachowania się są w określonych kręgach społecznych i kulturowych jednoznacznie powiązane z sytuacjami nadającymi im określone znaczenia społeczne.³⁾

Interpretacja socjologiczna polega zatem na przypisaniu znaczeń sytuacyjnych, praktycznych i odniesionych. Gdy obserwujemy grę sportową, to doszukujemy się znaczeń praktycznych poszczególnych ruchów, gdy słuchamy mowy „wodza narodu“ — doszukujemy się znaczeń odniesionych poszczególnych słów i zdań. Istnieją stałe wzory społeczne, umowy, konwencje, reguły itp., ustalające pewne przyporządkowania między zachowaniem a sytuacją. Znajomość tych wzorów i konwencji jest warunkiem właściwej interpretacji socjologicznej. Moglibyśmy powiedzieć, że istnieją określone *dyrektywy interpretacji*, którymi posługujemy się na każdym kroku zarówno w życiu codziennym, jak i w nauce. Niewątpliwie wiele interpretacji dokonywujemy spontanicznie przez odniesienie do własnych, subiektywnie pojętych i przeżytych sytuacji. „Interpretacja, jaką nadaje jednostka zachowaniu innych, jest w ostatecznej instancji oparta na własnych jej subiektywnych przeżyciach“⁴⁾. Widząc dwóch ludzi na ulicy, którzy zbliżają się do siebie, podnoszą kapełusze, pochylają głowę i wymawiają jakiś zwrot, dokonywujemy: 1. interpretacji tych ruchów przypisując im znaczenie społeczne *ukłon*, opierając się przy tym na wiedzy o wzorach obyczajowych, obowiązujących w definicjach sytuacji i konwencjach przyjętych w kręgu społecznym i kulturowym, do którego oni należą, a równocześnie, dokonawszy takiej interpretacji tych ruchów, zrozumiawszy ich znaczenie społeczne, *ustalam*: 2. związek zachodzący między nimi, tj. stwierdzam, że są oni co najmniej *znajomi*.

1) Por. B. Malinowski: *Życie seksualne dzikich*.

2) Por. W. I. Thomas and R. F. Park: *Americanization Study*; oraz F. Znaniecki: *Social Actions*, str. 43 i n.

3) Por. F. Znaniecki: *Method of Sociology*. Str. 177 — 186.

4) G. F. Stout: *Zarys psychologii*. Str. 167.

m y i. Wiem bowiem, że zachowanie, zwane ukłonem, przyporządkowane jest całemu szeregowi związków społecznych, których pierwszym stopniem jest „znajomość“. Widzimy zatem, że jest sprawą pierwszorzędną doniosłości dla metodologii socjologii wypracowanie pewnych ogólnych dyrektyw interpretacji, pozwalających na mniej lub więcej jednoznaczne przyporządkowanie zachowań do związków między ludźmi. W życiu potocznym dyrektyw takich, wytworzonych w ciągu narastania doświadczeń społecznych, moglibyśmy odnaleźć bardzo wiele.

Wskażę pokrótce próbę ustalenia dyrektyw interpretacji zachowań, jaką dał Znaniecki, opracowując metodologiczną zasadę współczynnika humanistycznego.¹⁾ Zachowania ludzkie w sensie określonych czynów społecznych są klasą przedmiotów kulturalnych. Przedmioty kulturalne różnią się od przedmiotów naturalnych pewnym znaczeniem, posiadany ze względu na doświadczenia i czynności ludzi, którzy posługują się nimi w tworzeniu określonych systemów kulturalnych (język, prawo, państwo, sztuka itp.). Czynny społeczne są elementami konstytutywnymi bardziej złożonych systemów społecznych. „For social actions are the simplest kind of social date: they constitute the background of mores and laws, of personal roles and of group organisation; they may be said to be the stuff out of which all the more complex and elaborate social realities are made“.²⁾ Poszczególne elementy zachowań, słowa, mimika, ruchy itp. są elementami składowymi poszczególnych czynów, spełniając w nich rolę określonych narzędzi. Właściwa interpretacja zachowań polega zatem na przypisaniu im znaczeń, jakie posiadają w „doświadczeniu podmiotów działających, oraz ustaleniu, w jakim złożonym systemie społecznym te czyny występują. Zasada współczynnika humanistycznego orzeka zatem, że: 1. zachowania ludzkie są przedmiotami postrzegalnymi, wyposażonymi znaczeniem, 2. znaczenia te nadawane są im przez określoną zbiorowość, 3. istnieją w danej zbiorowości ustalone wzory społeczne, wiążące pewne znaczenia z określonymi zachowaniami, 4. nie wolno zatem w badaniach nad zachowaniem rezygnować z ujęcia tych znaczeń, nadawanych im przez zachowujących się ludzi.

Przedstawione tu ujęcie zasady współczynnika humanistycznego jest pewną metodologiczną interpretacją koncepcji Znanieckiego ze świadomym wyeliminowaniem idealistycznych założeń, na jakich Znaniecki opiera swoją teorię rzeczywistości humanistycznej. Wszystkie tu rozwinięte rozważania, dotyczące roli interpretacji i rozumienia w ustalaniu faktów społecznych, wywodzą się z lektury dzieł Diltheya, Rickerta, Maxa Webera i Znanieckiego, przy czym najwięcej zawdzięczam śmiałym i twórczym koncepcjom Znanieckiego. Starłem się tylko koncepcję tę sprowadzić na grunt konsekwentnego empiryzmu, rozważyć zagadnienia znaczenia interpretacji i rozumienia nie tracąc ścisłego kontaktu z przedmiotami postrzegalnymi: fizycznymi i psychicznymi.

1) Znaniecki wyłożył swoją koncepcję w następujących dziełach: *Cultural Reality*, *Wstęp do socjologii*, *Socjologia wychowania* t. II, *The Method of Sociology* i *Social Actions*.

2) *Social Actions*, str. 2.

Dyrektywa współczynnika humanistycznego nakazuje szukać znaczeń, nadawanych przez doświadczenia podmiotu działającego. Pojęcie doświadczenia, niezupełnie jasno wyłożone przez Znanieckiego, może często prowadzić do nieporozumień, sugerując, że chodzi tu przede wszystkim o znaczenia psychologiczne. Trudności tej unika sformułowana przez B. Malinowskiego dyrektywa „kontekstu“, nakazująca szukania znaczeń, wynikających z „funkcji“ danych zachowań i wytworów, spełnianych w określonym kontekście kulturalnym.

Interpretacja socjologiczna polega przede wszystkim na przypisywaniu pewnym zachowaniom znaczeń odniesionych. Jest ona podstawowym elementem poznania socjologicznego. Interpretacja może być właściwa lub niewłaściwa (trafna lub nietrafna). Zagadnienie kryterium trafności interpretacji jest jednym z najtrudniejszych do rozwiązania. Drogę do ustalenia kryterium trafności interpretacji widziałbym w pewnych obiektywnie ustalonych prawach strukturalnych, dotyczących związków między zachowaniem jednostki a zbiorowością i kulturą. Próby podejmowane w tym kierunku dalekie są na razie od zadowalających wyników.¹⁾ Jedynym zatem kryterium trafności interpretacji jest kryterium praktyczne. Interpretacja zawsze związana jest z pewnym przewidywaniem zachowań. Zachowania stanowią systemy o swoistej strukturze i, jeśli traktujemy zinterpretowane zachowanie postrzegalne, mamy pewną możliwość przewidywania jego dalszego przebiegu. Jeśli zatem nasze przewidywania się „sprawdzą“, wynika stąd z pewnym prawdopodobieństwem, że interpretacja nasza była trafna.

Rozumienie zachowań. Interpretacja jest czynnością poznawczą „szukania“ znaczenia pewnych zachowań, rozumienie polega na „ujęciu“, „uchwyceniu“ tego znaczenia. Pojęcie rozumienia występowało w nauce w wielu znaczeniach, odgrywając podstawową rolę w metodologii nauk humanistycznych. Przyjrzyjmy mu się zatem bliżej.

Kazimierz Ajdukiewicz nawiązując do wielkiej tradycji, wywodzącej od Diltheya, charakteryzuje nauki humanistyczne „jako takie, w których w charakterze ostatecznych przesłanek dopuszczone są, obok twierdzeń apriorycznych i twierdzeń opartych na doświadczeniu, również twierdzenia oparte (bezpośrednio) na rozumieniu cudzych wypowiedzi“.²⁾ Metodologia humanistyki, zwłaszcza niemiecka, poświęciła pojęciu rozumienia wiele miejsca i czasu.³⁾

M. Wallis charakteryzuje rozumienie psychologiczne następująco: „rozumieć czyjś stan psychiczny (mówimy również wniknąć, wczuć się, wżyć się w czyjś stan psychiczny), znaczy umieć wytworzyć w sobie stan

1) Por. K. Young: A. Handbook of Social Psychology.

2) Logiczne podstawy nauczania. Str. 68.

3) O tych tendencjach i wysiłkach metodologicznych informują w naszej literaturze między innymi: M. Wallis: Obrona humanistyki metodologii współczesnej. Przegl. Filoz. 1922. B. Suchodolski: O przebudowie nauk humanistycznych. Przegl. H'ist. 1928. A. Stawarski: Z zagadnień filozofii humanistyki. Przegl. Współcz. 1932. L. Blaustein: O przedmiocie nauk humanistycznych: Ruch Filoz. tom XIII.

choćby w przybliżeniu podobny do tego stanu¹⁾ Cytuje on również jeszcze inne znaczenia pojęcia rozumienia: „1. rozumienie cudzych stanów psychicznych w sensie genetycznym: rozumiem czyjeś zadowolenie, gdy wiem, że jest ono skutkiem spełnienia się pewnego jego pragnienia; 2. rozumienie przeżyć jako ujmowanie ich sensu lub znaczenia (Spranger); 3. rozumienie czyli tłumaczenie (Deutung) stanów psychicznych, np. marzeń sennych w sensie zdawania sobie sprawy ze znaczenia symbolicznego tych stanów (Freud); 4. rozumienie czyjegoś postępowania w sensie usprawiedliwiania tego postępowania²⁾ J. Metallmann określa rozumienie jako bezpośrednie wnikanie i ujmowanie swoistego sensu faktów³⁾ Rozumienie psychologicznie określa prof. Znamierowski: „Ulegamy.. złudzeniu, że można przeniknąć poza powłokę cielesną innej osoby, do jej niematerialnego, duchowego wnętrza. W istocie rzeczy jest tak, że zachowanie dostrzegalne drugiej osoby budzi w nas, drogą oddźwięku, własne przeżycia w cudzysłowie, urojenia. I bezpośrednio wglądamy w nasz własny komentarz do cudzych ruchów, myśląc, że docieramy do cudzej świadomości. Niemniej — i to nawet lepiej, intymniej — wiemy, co się dzieje, gdy się ktoś raduje lub smuci, niż co się dzieje, gdy jedno ciało przyciąga inne⁴⁾”

Próba stworzenia socjologii rozumiejącej (Die verstehende Soziologie), podjęta przez M. Webera⁵⁾ i Sombarta⁶⁾ była wysiłkiem do zastąpienia pojęcia wyjaśniania przez pojęcie rozumienia. Koncepcja ta dotyczy przede wszystkim działań społecznych, rozumienia wyjaśniającego. Cały nacisk zostaje położony nie na rozumienie „a k t u a l n e“, lecz na rozumienie „w y j a ś n i a j ą c e“ lub „m o t y w a c y j n e“, będące w gruncie rzeczy rozumieniem psychologicznym.

Rozumienie jest pewnym stanem psychicznym⁷⁾ Nie będę się tu wdawał w jego analizę. Głos należy do psychologów i semantyków, lecz ich słowa na ten temat pełne są powściągliwości⁸⁾ Zrozumienie wypowiedzi czy zachowania połączone jest z pewnym psychicznym poczuciem ulgi i zaspokojenia i stąd zapewne pochodzi to położenie nacisku na rozumienie jako niezwykle ważne dla poznania i odczytania ludzkich postępowania, podczas gdy nacisk ten powinien być raczej położony na interpretację.

Na czym polega rozumienie socjologiczne i jego rola w ustalaniu faktów społecznych? Jest ono pewną nadbudową nad rozumieniem znaczeń językowych i psychologicznych, nad opierającym się na nich rozumieniem znaczeń sytuacyjnych, praktycznych i odniesionych. Rozumienie socjologiczne jest uchwyceniem związku danego zachowania się z daną sytuacją społeczną. Związek między zachowaniem się a sytuacją jest określony przyjętym wzo-

1) Wyraz i życie psychiczne. Str. 76.

2) Tamże str. 77.

3) Wprowadzenie do zagadnień filozoficznych. Str. 99 — 103.

4) C. Znamierowski: Analiza oceny moralnej. Myśl. Współcz. z. 3 — 4.

5) Wirtschaft und Gesellschaft II wyd. 1925, oraz Über einige Kategorien der verstehenden Soziologie. Gesammelte Aufsätze zur Wissenschaftslehre Str. 403 — 450.

6) W. Sombart: Soziologie. 1923. Str. 13.

7) K. Ajdukiewicz: Op. cit. Str. 9 i 68/70.

8) Por. T. Kotarbiński: Elementy. Str. 121 — 122, oraz M. Ossowska: Słowa i myśli. Str. 55 (odbitka).

rem obyczajowym. Rozumiemy zachowanie wtedy, jeśli jest przyporządkowane sytuacji zgodnie z obowiązującym wzorem lub konwencją. Słuchając przemówienia na wiecu przez rozumienie znaczeń odniesionych ustalając przynależność partyjną mówcy i związek jego przemówienia z pewnymi dokonywanymi się procesami społecznymi. Rozumienie jest następnym krokiem poznawczym po interpretacji zachowania dostrzegalnego w drodze do uzyskania orzeczeń o związkach społecznych. Rozumienie jest przede wszystkim aktem ujęcia owego „d o d a t k u i n t e r p r e t a c y j n e - g o“, pochodzącego z gotowego dorobku teoretycznego, i możliwe jest tylko na gruncie pewnej teorii. Dlatego uważam, że interpretacja, angażująca istniejącą już teorię do współpracy przy dokonywaniu spostrzeżeń, jest d a l e k o w a ż n i e j s z ą czynnością metodologiczną niż subiektywne rozumienie, będące tylko stwierdzeniem dokonanej interpretacji.

Związki społeczne nie są jakimiś tajemniczymi, mistycznymi sznurkami, wiążącymi ludzi, i zdania o związkach dotyczących ludzi są zdaniami o tych ludziach w pewnej sytuacji, a nie o tych niewidzialnych połączeniach. Stosunek społeczny, więź społeczna nie jest magicznym dodatkiem do ludzi, lecz to są ci ludzie, ich przeżycia i pewne elementy ich środowiska, które tworzą więź społeczną. Zatem orzeczenia o więzi społecznej, zdania socjologiczne, uzyskujemy na drodze koniunkcji logicznej z d a ń s p o s t r z e g a w - c z y c h i pewnych „z d a ń i n t e r p r e t a c y j n y c h.“

Jan Szczepański

Stefan Jędrzychowski

Z problematyki Organizacji Handlu Międzynarodowego

Na 16 października br. została zwołana w Londynie konferencja przygotowawcza, która ma rozpatrzyć amerykańskie propozycje, dotyczące stworzenia Organizacji Handlu Międzynarodowego. (International Trade Organisation). Do udziału w konferencji zaproszone zostały przez Stany Zjednoczone — Wielka Brytania, Związek Radziecki, Francja, Belgia, Luksemburg, Holandia, Czechosłowacja, Australja, Nowa Zelandia, Kanada, Afryka Południowa, Indie, Chiny, Brazylia i Kuba.

Dobór państw zaproszonych na konferencję przygotowawczą musi budzić poważne zastrzeżenia, jako przypadkowy. Intencją Rządu Stanów Zjednoczonych było według wszelkiego prawdopodobieństwa zgromadzenie państw, reprezentujących największy potencjał w dziedzinie handlu międzynarodowego. Istotnie, jeśli pominięcie państw nieprzyjacielskich, jak Niemcy, Włochy i Japonia, oraz państw, które sympatyzowały w czasie wojny z faszystowską koalicją, jak Hiszpania i Argentyna uznać za zrozumiałe samo przez się, jeżeli — aczkolwiek z większymi trudnościami — da się uzasadnić pominięcie b. neutralnych — Szwajcarii i Szwecji, linia podziału pomiędzy większością zaproszonych a niezaproszonymi dałaby się przeprowadzić w sposób logiczny. Spośród państw europejskich zaproszone zostały te, które w 1929 r. (a więc w momencie największego rozwoju handlu zagranicznego w okresie międzywojennym) miały obrót towarowy z zagranicą powyżej 900 milionów dolarów. (Dania miała w 1929 r. obrót 892,6 mil. dolarów, Polska z W. M. Gdańskiem — 664,8 mil. dolarów). Zaproszenie małego Luksemburga można usprawiedliwić jego unią celną z Belgią, jakkolwiek trudno ten fakt uważać za dostateczny dla zapewnienia równego udziału w obradach, w których uczestniczy tylko 16 państw świata. Temu kryterium nie odpowiadałby już jednak udział Brazylii (obrot zagraniczny w 1929 r. 883,2 milionów dolarów) i Południowej Afryki (871,2 mil. dol.), a tym bardziej Kuby (488,6 mil. dolarów) lub Nowej Zelandii (492,8 mil. dolarów).

Pominięcie Polski przy jednoczesnym uwzględnieniu wszystkich dominiów brytyjskich z wyjątkiem małej Nowej Funlandii oraz Kuby świad-

czy o tendencji do zapewnienia grupie państw anglosaskich zdecydowanej przewagi na konferencji. Gdyby jednak nawet kryterium przedwojennego udziału w handlu międzynarodowym zostało przeprowadzone dokładnie, uznaczy należało wzięcie za punkt wyjścia przedwojennego „status quo“, a nie obecnych możliwości rozwojowych, za wsteczne i w szczególności w stosunku do Polski, która w nowych granicach reprezentuje zupełnie inny, znacznie większy potencjał ekonomiczny, za niesłuszne i krzywdzące.

To pominięcie Polski jest tym bardziej niesłuszne, że jednocześnie, udzielając Polsce pożyczki 50-milionowej na zakup sprzętu z demobilu armii amerykańskiej i 40-milionowej na zakup taboru kolejowego i urządzeń dla transportu kolejowego i dla górnictwa, rząd Stanów Zjednoczonych zażądał od nas uznania ogólnych zasad propozycji amerykańskich w sprawie handlu międzynarodowego i uznanie to uzyskał.

Jak wiadomo propozycje amerykańskie ogłoszono 6 grudnia 1945 r. łącznie z układem o pożyczce amerykańskiej dla Wielkiej Brytanii i obok Polski jedynie Wielka Brytania i Francja zadeklarowały oficjalnie swoją zgodę z ogólnymi zasadami propozycji amerykańskich.

Tak czy inaczej, Polska została pominięta i w konferencji przygotowawczej w Londynie bierze udział jedynie przez obserwatora.

Przechodząc do merytorycznego omówienia propozycji amerykańskich, należy przede wszystkim stwierdzić, że są one owocem myśli politycznej i gospodarczej zmarłego, wielkiego prezydenta Stanów Zjednoczonych F. D. Roosevelta i jego najbliższego otoczenia. Pomijając w tej chwili to specyficzne piętno, jakie na propozycjach amerykańskich wywarły konkretne interesy amerykańskiego kapitalizmu i w końcu amerykańskiego imperializmu, trzeba przyznać, że w podłożu tych propozycji leży wiara w możliwość pokojowego współżycia narodów w powojennym świecie, pokojowego załatwiania narastających konfliktów i pokojowego współistnienia i współpracy różnych systemów gospodarczych i społecznych.

Już w pierwszym punkcie wstępu do propozycji mówi się: „Zarządzenia kolektywne, przeznaczone dla ochrony ludów świata, muszą opierać się nie tylko na maszynierii międzynarodowej, zajmującej się sporami i mającej przeszkadzać agresji, ale również na współpracy międzynarodowej dla usuwania przerostów i niedorostów gospodarczych i społecznych oraz dla podnoszenia dobrobytu gospodarczego“.

Ustęp ten wskazuje na ścisły związek tej próby międzynarodowego regulowania zagadnień handlu zagranicznego z próbą zapobieżenia wojnie i pokojowego regulowania sporów pomiędzy narodami, jaką stanowi Organizacja Narodów Zjednoczonych. Jest jasne więc, że powodzenie tych obydwu prób jest wzajemnie od siebie uwarunkowane. W intencjach prezydenta Roosevelta i jego współpracowników niewątpliwie leżało stworzenie międzynarodowego instrumentu dla łagodzenia przeciwnieństw gospodarczych i politycznych, mogących rodzić przyszłe konflikty międzynarodowe. Ostatnie tendencje zagranicznej polityki amerykańskiej, reprezentowanej przez Byrnesa, i jej praktyczne przejawy w łonie Organizacji

Narodów Zjednoczonych i na konferencji pokojowej odbiegły jednak daleko od tej podstawowej koncepcji prezydenta Roosevelta i, w miejsce tworzenia instrumentu dla łagodzenia przeciwieństw światowych, zdają się wskazywać na grę na zaostrzenie przeciwieństw, a w szczególności — podstawowego przeciwieństwa pomiędzy światem kapitalizmu i światem socjalizmu.

W tych warunkach proponowana organizacja handlu międzynarodowego pod wpływem reakcyjnych tendencji polityki mocarstw anglosaskich mogłaby łatwo przekształcić się z próby międzynarodowego regulowania handlu światowego w próbę izolacji gospodarczej Związku Radzieckiego i państw z nim zaprzyjaźnionych. Takie wypaczenie zasadniczej myśli oznaczałoby całkowite bankructwo pierwotnej koncepcji. W tym wypadku proponowana Organizacja Handlu Międzynarodowego w najlepszym razie stałaby się połączonym blokiem dolarowo-szterlingowym, skierowanym swym ostrzem przeciwko reszcie świata. Ze niebezpieczeństwo takiej wypaczającej interpretacji propozycji amerykańskich istnieje, świadczy o tym niedawny protest rządu amerykańskiego przeciwko zawarciu układu handlowego radziecko-szwedzkiego, przewidującego wzajemne dostawy towarów i świadczenia na przeciąg kilku lat. Jednakże należy sądzić, że twórcy projektu dalecy byli od tego rodzaju wypaczającej interpretacji.

Propozycje amerykańskie w sprawie handlu międzynarodowego stanowią człon swojego rodzaju międzynarodowego „New Dealu“, którego dwoma innymi członami są umowy, zawarte w Bretton Woods, a mianowicie umowa o Międzynarodowym Funduszu Walutowym i umowa o Międzynarodowym Banku Odbudowy i Rozwoju. Jak wiadomo Polska umowy te podpisała i ratyfikowała i bierze czynny udział w pracach obydwu instytucji międzynarodowych. Ścisły związek pomiędzy amerykańskimi propozycjami w sprawie handlu międzynarodowego a umowami finansowymi został podkreślony w rozdziale III, (Ogólna polityka handlowa) sekcja F, (Ograniczenia dewizowe w propozycjach amerykańskich) przewidującym, że Organizacja Handlu Międzynarodowego i Międzynarodowy Fundusz Walutowy winny posiadać wspólne członkostwo.

Idee Międzynarodowego Funduszu Walutowego można wyrazić krótko jako dążenie do przywrócenia światowego parytetu walut w oparciu formalnie o złoto, w rzeczywistości o dolara amerykańskiego, czyli inaczej mówiąc, do przywrócenia automatyzmu waluty złotej w jej nowym dolarowym wydaniu. Do zabezpieczenia funkcjonowania tego automatyzmu Międzynarodowy Fundusz Walutowy ma zmierzać poprzez podtrzymywanie w pewnych granicach przy pomocy środków kredytowych bilansów płatniczych, których równowaga została naruszona. Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju ma natomiast służyć odbudowie światowego ruchu kapitałów, a tym samym — inwestycjom w skali międzynarodowej. Podobnie Organizacja Handlu Międzynarodowego ma służyć odbudowie i wzrostowi międzynarodowych obrotów towarowych.

Punktem wyjścia wszystkich trzech projektów są te zjawiska w dziedzinie międzynarodowych stosunków gospodarczych, które wystąpiły jako

rezultat światowego koniunkturalnego kryzysu gospodarczego w latach 1930 — 1932 i później, a mianowicie:

1) odejście od światowego parytetu walut i naruszenie międzynarodowej jedności walutowej skutkiem załamania równowagi bilansu płatniczego szeregu państw;

2) zamarcie międzynarodowego ruchu kapitałów;

3) ostry spadek obrotów handlu światowego.

Wszystkie trzy projekty, konsekwentnie wiążące się ze sobą, stanowią próbę międzynarodowego przeciwdziałania skutkom i objawom światowych kryzysów koniunktury, jak również zapobiegania tym objawom na przyszłość. Z natury rzeczy nie mogą one jednak sięgnąć do źródeł kryzysów koniunkturalnych i usunąć ich przyczyn tkwiących w samej istocie kapitalistycznego sposobu produkcji. Nie mogą one też usunąć przyczyn wyjątkowej ostrości i głębokości kryzysów koniunkturalnych, tkwiących w powszechnym kryzysie kapitalizmu, otwartym przez pierwszą wojnę światową.

Tym niemniej stanowią one interesującą próbę łagodzenia przebiegów i skutków kryzysu, będąc poniekąd przeniesieniem na płaszczyznę międzynarodową metod rooseveltowskiego „New Dealu“.

Tak więc projekty amerykańskie za punkt wyjścia biorą czysto kapitalistyczne stosunki produkcji i stanowią usiłowanie osiągnięcia pewnej stabilizacji w ramach ustroju kapitalistycznego. Wszystkie projekty cechuje dążenie do przywrócenia wolnej gry sił rynkowych, właściwej ustrojowi kapitalistycznemu. Twórcy projektów zdają sobie jednak sprawę, że właśnie wolna gra sił rynkowych w konsekwencji doprowadziła do kryzysu i jego skutków i że przez proste stworzenie z powrotem warunków dla działania wolnej gry rynku, nie podobna uniknąć tych objawów. Dlatego też projekty te przewidują międzynarodowe regulowanie działania wolnej gry sił rynkowych. Jest to więc nic innego jak próba zastąpienia polityki interwencjonistycznej, stosowanej przez poszczególne państwa kapitalistyczne, przez międzynarodową politykę interwencjonistyczną.

Jednak twórcy amerykańskich projektów międzynarodowego regulowania stosunków gospodarczych nie mogli pominąć tego faktu, że dziś o jedności gospodarki światowej nie można mówić bez znalezienia formy współlistnienia i współpracy odrębnych układów społeczno - gospodarczych, jakie stanowią ustrój kapitalistyczny z jednej strony i ustrój socjalistyczny, reprezentowany przez Związek Radziecki — z drugiej strony.

Autorzy amerykańskich propozycji próbowali znaleźć kłamrę, spinającą te dwa ustroje, w postaci punktu 3 (Całkowity monopol handlu zagranicznego) sekcji E. (Handel państwowy), w rozdziale III propozycji, dotyczącym ogólnej polityki handlowej.

Ze względu na wyjątkowe znaczenie tego punktu zacytujemy go w całości:

„Jako wzajemne ustępstwo za zniżki taryfowe i inne działania, skierowane ku rozwijaniu handlu wielostronnego, członkowie, stosujący całkowity monopol państwowy w handlu zagranicznym, winni

zakupywać rocznie od innych członków produkty ocenione na nie mniej niż pewną sumę ogólną. Taki układ o globalnym zakupie winien podlegać periodycznym przystosowaniom do zmiany sytuacji“.

Trudno byłoby twierdzić, że to jedno zdanie — organicznie mało wiążące się z resztą projektu — wyczerpuje problem stosunków gospodarczych pomiędzy państwem socjalistycznym a kapitalistyczną resztą świata. Stanowi ono jednak próbę, dokonaną od strony interesów świata kapitalistycznego, stabilizacji stosunków handlowych z państwem socjalistycznym i tym samym — złagodzenia ujemnych dla gospodarki kapitalistycznej skutków wyjścia ZSRR z orbity rynku światowego. Niewątpliwie w tym sformułowaniu tkwi też pewne ostrze antyradzieckie, polegające na przeciwstawieniu państwu socjalistycznemu świata kapitalistycznego, jako solidarnej całości, podczas gdy korzystniejsze dla państwa socjalistycznego byłoby, być może, mieć do czynienia z poszczególnymi partnerami z osobna.

Robiąc miejsce w swoich propozycjach dla państwa socjalistycznego autorzy propozycji amerykańskich zapomnieli o tym, że po drugiej wojnie światowej obok państw kapitalistycznych i socjalistycznych istnieją państwa trzeciego, pośredniego typu, że istnieje to, co nazywamy dziś polskim modelem gospodarczym, a co w mniejszym stopniu odnosi się i do innych państw Europy Środkowej i Wschodniej. Być może, że to przeoczenie jest zresztą prostym rezultatem tego faktu, że w okresie, kiedy propozycje amerykańskie były opracowywane, nasz model gospodarczy, model gospodarczy demokracji ludowych, nie był jeszcze tak skryształizowany jak dzisiaj.

Jakie charakterystyczne cechy modelu gospodarczego demokracji ludowej mają znaczenie dla formy handlu zagranicznego? Przede wszystkim przejęcie na własność państwa wielkiego i średniego przemysłu oraz uspołecznienie w formie spółdzielczej części średniego i drobnego przemysłu, jak również znacznej części handlu wewnętrznego — stwarza podstawę do faktycznej przewagi przedsiębiorstw handlowych, państwowych i spółdzielczych w obrotach handlu zagranicznego. Z drugiej strony jednak nie ma państwowego monopolu handlu zagranicznego. Istnienie gospodarstwa indywidualnego w rolnictwie i znaczny udział sektora prywatnego w drobnym przemyśle i handlu stwarza przesłankę dla udziału przedsiębiorstw prywatnych w handlu zagranicznym. Z drugiej strony jednak prowadzenie gospodarki planowej, opartej między innymi i o plan importu i eksportu, stwarza konieczność państwowej kontroli handlu zagranicznego.

Propozycje amerykańskie tej specyficznej sytuacji naszych krajów nie uwzględniają. Wprawdzie w tejże samej sekcji E. (Handel państwowy) — znajdujemy sformułowanie odnoszące się do pewnych form handlu wykonywanego przez państwo. Znajdujemy tu ustęp odnoszący się do monopolu państwowych na poszczególne produkty, który głosi:

„Członkowie, którzy utrzymują monopol państwowy, winni ustalić przez rokowania w sposób przewidziany dla taryf celnych maksy-

małą marżę ochronną pomiędzy wyznaczoną ceną produktu i ceną, po której sprzedawany on jest na rynku wewnętrznym. Nowoustanowione monopole nie powinny korzystać z większej marży ochronnej, niż wynoszą już ustalone w drodze rokowań taryfy celne. O ile produkt nie jest racjonowany, monopol winien zaspokajać pełne zapotrzebowanie krajowe“.

Jest jasne, że ten ustęp stosuje się do typowych monopolii skarbowych jak formy wyjątkowej we wszystkich krajach kapitalistycznych.

Jest jeszcze i drugi, bardziej ogólny ustęp, odnoszący się do handlu państwowego:

„Członkowie, którzy stosują handel państwowy w jakiegokolwiek jego formie, winni traktować wszystkich innych członków równorzędnie. Winni oni zobowiązać się, że zagraniczne zakupy i sprzedaż ich przedsiębiorstw handlu państwowego będą dokonywane wyłącznie pod wpływem względów handlowych, jak ceny, jakość, możliwości zbytu, transportu oraz warunków zakupu lub sprzedaży“.

Ustęp ten, którego poprawności nie można nic zarzucić, stosuje się jednak nie do całości handlu zagranicznego krajów naszego modelu gospodarczego, a tylko do tej jego części, która przypada na przedsiębiorstwa sektora państwowego. Natomiast do pozostałej części handlu zagranicznego musiałyby być stosowane ogólne postanowienia propozycji, odnoszące się do prywatno-kapitalistycznego modelu gospodarczego. Oczywiście jest, że takie rozerwanie jedności polityki gospodarczej w zakresie handlu zagranicznego jest niemożliwe i sprzeczne z zasadą gospodarki planowej.

Niewątpliwie znalezienie właściwej formuły dla krajów o modelu gospodarczym demokracji ludowej jest konieczne, o ile propozycje amerykańskie mają stanowić podstawę naszych stosunków handlowych ze światem. W przeciwnym razie konieczne byłoby przystosowanie do specyficznej sytuacji naszych krajów ogólnych formuł, co niewątpliwie musiałoby być połączone z dużymi trudnościami.

Jak widzimy, tendencja do pewnej stabilizacji stosunków w obrębie świata kapitalistycznego spotyka się w propozycjach amerykańskich z próbą znalezienia dogodnej dla świata kapitalistycznego formuły jego stosunków handlowych z państwem socjalistycznym. Obok tego jednak tendencja ta przeplata się często z inną tendencją, wynikającą ze specyficznej sytuacji specyficznych interesów amerykańskiego kapitalizmu.

Typowy splot tych tendencji znajdujemy w ujęciu problemu zatrudnienia.

We wstępie do propozycji mówi się:

„Uznaje się, że:

- a) wysoki i stały poziom zatrudnienia jest głównym warunkiem dla osiągnięcia zadowolającego poziomu życia,

- b) osiągnięcie i utrzymanie przybliżonego pełnego zatrudnienia jest istotne dla ekspansji handlu międzynarodowego i dla liberalnych umów międzynarodowych w sprawach polityki handlowej, zagadnień towarowych, praktyk ograniczających w handlu, stabilizacji pieniężnej i inwestycji“.

Punkt wyjścia niewątpliwie zgodny z postępowymi ideami ludzkości, jakkolwiek w dużej mierze przesiąknięty specyficzną dla Stanów Zjednoczonych obawą przed powtórzeniem się pamiętnej klęski bezrobocia z okresu poprzedniego kryzysu.

Jednakże propozycje amerykańskie nie rozpracowują tego ciekawego problemu w szczegółach, ograniczając się jedynie do ogólnych zaleceń, aby każdy sygnatariusz podjął „akcję dla utrzymania pełnego zatrudnienia poprzez zarządzenia zgodne z jego instytucjami“ i aby żaden naród nie stosował „zarządzeń, mogących stworzyć bezrobocie w innych krajach, albo takich, które nie są do pogodzenia z ekspansją handlu międzynarodowego i inwestycji“.

Jest jasne, że problem „pełnego zatrudnienia“ został poruszony jedynie w formie deklaratywnej dla uzasadnienia praktycznych zaleceń w dziedzinie handlu zagranicznego. Niemniej, jako punkt wyjścia, jest on ważny i nie jest bez znaczenia, jaką treść wkłada się w pojęcie „pełnego zatrudnienia“. Pojęcie to może oznaczać w wąskiej interpretacji jedynie likwidację jawnego bezrobocia w wysoce uprzemysłowionych krajach wielkokapitalistycznych (np. Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Niemcy, Japonia). Taka wąska interpretacja, potraktowana programowo, oznaczałaby jednak petryfikację wynikającą z nierównomiernego rozwoju dysproporcji między narodami i utrwalenie zacofania krajów mniej zaawansowanych w rozwoju techniki produkcyjnej. Pojęcie „pełnego zatrudnienia“, jeśli ma stać się ideą najbardziej postępową, musi być rozszerzone na likwidację również tzw. przeludnienia agrarnego w krajach zacofanych w rozwoju, to jest ukrytej formy bezrobocia, jak również likwidację niskiej wydajności pracy, wywołanej zacofaniem w rozwoju sił wytwórczych. Przedsięwzięcia międzynarodowe, zmierzające do zachowania „pełnego zatrudnienia“ w krajach wielkokapitalistycznych, są dla krajów zacofanych w rozwoju, agrarno-surowcowych i kolonialnych do przyjęcia o tyle, o ile nie hamują, lecz pobudzają ich własny rozwój w kierunku uprzemysłowienia i unowocześnienia techniki produkcji. Z tego zasadniczego punktu widzenia oceniać też należy praktyczne znaczenie szeregu zaleceń, zawartych w propozycjach amerykańskich w zakresie handlu międzynarodowego.

Zalecenia te wychodzą wszystkie z zasady wolności handlu. Tu znów punkt widzenia „międzynarodowy“ nierozzerwalnie spleta się z punktem widzenia amerykańskiego kapitalizmu. W wieku XIX szermierzem zasady wolnego handlu była Anglia, jako najpotężniejsze państwo kapitalistyczne. Dziś tej roli podjęły się Stany Zjednoczone. W warunkach największej swobody handlu wygrywa w walce konkurencyjnej najsilniejszy— to jest ten, który dzięki najnowocześniejszej technice potrafi produkować najtaniej, a dzięki potężnym zasobom finansowym potrafi osiągnąć domi-

nującą pozycję na rynkach. Toteż zalecenia, zmierzające do usunięcia przeszkód w rozwoju handlu światowego, mają podwójne znaczenie. Mają one przyczynić się do ogólnego zwiększenia wolumenu obrotów handlowych, a jednocześnie utorować drogę amerykańskiemu eksportowi.

Do przywrócenia wolności handlu światowego, tj. wolnej gry procesów rynkowych w obrocie towarowym, propozycje amerykańskie zmierzają poprzez: a) dążenie do obniżenia barier celnych, b) dążenie do usunięcia ilościowej reglamentacji handlu zagranicznego, c) zwalczanie tzw. „dumpingu“ i premij eksportowych, d) dążenie do usunięcia różniczkowego traktowania poszczególnych krajów, e) ograniczenie kartelizacji międzynarodowej.

W dążeniu do obniżania barier celnych propozycje amerykańskie nie idą jednak zbyt daleko. Mówi się wprawdzie, że członkowie organizacji „winni doprowadzić do znacznego obniżenia cel i do usunięcia preferencji celnych“, jednakże w charakterze pierwszego kroku w usuwaniu preferencji celnych, zaleca się niezwiększanie istniejących i niewprowadzanie nowych cel preferencyjnych oraz wykorzystanie zniżek w taryfach celnych, podlegających klauzuli największego uprzywilejowania dla automatycznego zmniejszania lub usuwania preferencji. Propozycje wypowiadają się przeciw preferencyjnym cłom wywozowym, ale w zakresie samych cel wywozowych nie posuwają się dalej ponad żądania, aby cła te były „otwarte dla rokowań na równi z cłami przywozowymi“. Poza tym zaleca się uproszczenie procedury celnej, zwolnienie tranzytu od opłat celnych i tranzytowych oraz zobowiązanie członków „do wprowadzenia w życie ustalonych zasad w zakresie ocen taryfowych, opartych na rzeczywistych wartościach handlowych dla wymierzania cel oraz do wypracowania standardowych procedur dla ocen“. Wszystkie te zalecenia nie zapewniają ani efektywnego obniżenia istniejącego poziomu barier celnych, ani nie gwarantują przed ich zwyżką. Operując hasłem „wolności handlu“ kapitalizm amerykański nie chce jednak wyrzec się tego instrumentu walki o rynki, jakim jest system celny. Co więcej, propozycje zawierają zobowiązanie członków „do zgodzenia się na ogólną definicję, wedle której mogłyby być stosowane do importów od innych członków cła antydumpingowe“. Oznacza to wprawdzie ujednoczenie, ale zarazem i utrwalenie najostrejszej formy ochrony celnej, jaką są cła antydumpingowe. Poza tym propozycje przewidują tzw. klauzule katastrofalne, tj. przejściowe cofanie zniżek celnych, dla zapobieżenia nagłym i rozległym szkodom dla producentów — postanowienie ultra - protekcjonistyczne.

Polska wyrzekła się cel jako instrumentu ochrony rynku. Zainteresowani w niskich cenach importowanych surowców, artykułów inwestycyjnych i środków konsumpcji, jak również w usunięciu trudności dla naszego eksportu, jesteśmy gorącymi zwolennikami efektywnego obniżenia barier celnych. Cła wywozowe znieśliśmy, a przejściowe pobieranie cła przywozowego jest w ogóle zawieszono, a jeśli cła będą przywrócone, to tylko jako instrument fiskalny i handlowo-negocjacyjny.

Łagodnie w stosunku do protekcjonizmu celnego propozycje amerykańskie ostrzej wypowiadają się przeciwko ilościowej reglamentacji handlu zagranicznego, a więc kontyngentom, powszechnym zakazom przywozu

itp., jednak i w tej dziedzinie przewidują cały szereg wyjątków. Tak więc na okres w zasadzie trzyletni po wojnie przewiduje się prawo utrzymania zakazów lub ograniczeń służących a) dla wydatnego wykorzystania tonażu przewozowego, b) dla osiągnięcia słusznego podziału towarów znajdujących się w niedostatecznej podaży, c) dla pomagania uporządkowanej likwidacji nadwyżek pozostałych z wojny. Punkty a) i c) są związane ze specyficzną sytuacją Stanów Zjednoczonych. Dalej propozycje dopuszczają ograniczenia wywozowe, zmierzające do ulżenia niedostatkowi żywności lub innych istotnych produktów w kraju wywożącym, do ograniczeń wynikających z przepisów standaryzacyjnych oraz kontyngentów, nałożonych w myśl międzynarodowych umów towarowych. Bardzo ciekawy wyjątek stanowi przepis, zezwalający na wprowadzenie kontyngentów przywozowych na produkty rolne, dla wsparcia zarządzeń, mających na celu ilościowe ograniczenie podobnej produkcji krajowej lub wyzbycie się nadwyżki produktów krajowych na rzecz konsumentów krajowych darmo lub poniżej cen bieżących. Ten wyjątek, stanowiący instrument protekcyjnistyczny dla walki z nadprodukcją rolną w Stanach Zjednoczonych, stanowi jaskrawy wyłom w konstrukcji propozycji amerykańskich i godzi w interesy krajów agrarnych. Wreszcie pod pewnymi warunkami propozycje amerykańskie dopuszczają przejściowe wprowadzenie ograniczeń dla ochrony bilansu płatniczego, a raczej w celu odbudowy jego równowagi.

Ten rozdział propozycji w sprawie handlu międzynarodowego bardziej niż jakikolwiek inny ujawnia nieuwzględnienie naszego modelu gospodarczego, w którym bezpośrednia reglamentacja ilościowa nie jest instrumentem ograniczenia rozmiarów obrotów towarowych, różniczkowania lub choćby tylko ochrony bilansu płatniczego, lecz podstawowym narzędziem planowego regulowania importu i eksportu. Toteż odpowiednie przystosowanie postanowień, dotyczących reglamentacji ilościowej, do naszej struktury gospodarczej jest warunkiem umożliwienia nam przystosowania się do zasad międzynarodowej organizacji handlu.

Zwalczanie dumpingu i premii eksportowych znajduje wyraz w sekcji D („Subsydia“). „Członkowie — mówi się tam — nie powinni wywozić jakiegokolwiek produktu po cenie niższej niż cena rynku wewnętrznego z uwzględnieniem warunków sprzedaży, opodatkowania i innych różnic, wpływających na porównywalność cen“.

Propozycje przewidują jednak trzyletnią kadencję z możliwością jej przedłużenia w szczególnych wypadkach. Ponadto przepisy dopuszczają stosowanie premii wywozowych w wypadku, gdy chodzi o towar, znajdujący się w nadmiernej podaży i gdy nie udało się osiągnąć międzynarodowego porozumienia w celu zwiększenia spożycia lub ograniczenia produkcji. Jednak premie te nie mogą służyć do zwiększenia udziału danego państwa na rynku światowym w porównaniu z poprzednim okresem. Podobnie jak premie eksportowe potraktowane są pośrednie formy subsydiowania eksportu.

Realizacja tego punktu propozycji amerykańskich wymaga przystosowania struktury cen wewnętrznych do cen światowych i — co za tym

Idzie — szeregu procesów przystosowawczych w dziedzinie płac i innych kosztów produkcji, a w wielu wypadkach przeprowadzenia technicznej racjonalizacji produkcji, warunkującej zdolność konkurencyjną przemysłu na rynkach światowych. Zakaz ten uderza przede wszystkim w gospodarstwo zacofanych i nieprzystosowanych. Skutkiem dysproporcji w rozwoju gospodarczym Polska już na szereg lat przed ostatnią wojną musiała uciekać się do stosowania premii eksportowych głównie w formie „zwrotów cel” jak również opłat wyrównawczych. Dziś dysproporcja ta została powiększona przez dysproporcję zniszczeń wojennych. Likwidacja tych dysproporcji wymaga czasu oraz przeprowadzenia szeregu inwestycji i wiąże się nierozzerwalnie z zagadnieniem dopływu kredytów zagranicznych. W zasadzie jednak jesteśmy dalecy od zamierzenia forsowania eksportu przy pomocy metod dumpingowych i jesteśmy skłonni do wprowadzenia jak najrychlej w życie tej części propozycji.

Dążenia do usunięcia różniczkowego traktowania poszczególnych krajów wiążą się z amerykańską teorią o wyższości tzw. handlu multilateralnego w porównaniu z tzw. umowami bilateralnymi. W szczególności wrogo odnoszą się propozycje amerykańskie do umów kontyngentowych i clearingowych. Daje się tu wyraz podejrzeniom, że przy zawieraniu umów tego typu względy polityczne mogą odgrywać silniejszą rolę niż gospodarcze. W istocie Stany Zjednoczone w systemie umów clearingowych i kontyngentowych upatrują przeszkodę dla ekspansji amerykańskiego eksportu, gdyż poszczególne kraje otrzymując w clearingu w zamian za swój eksport towary a nie wolne dewizy, nie mają za co kupować amerykańskich towarów. Jest to jednak odwrócenie zagadnienia. Umożliwić import amerykańskich towarów może tylko taka struktura bilansu handlowego i płatniczego Stanów Zjednoczonych, która będzie oznaczała: a) odpowiednio wielki import towarowy Stanów Zjednoczonych, b) odpływ środków płatniczych amerykańskich do krajów trzecich w postaci kredytów, zapłaty za usługi itp.

System umów clearingowych i kontyngentowych zajął miejsce wielostronnego handlu dewizowego w następstwie załamania się równowagi bilansu płatniczego szeregu krajów, które było między innymi skutkiem ograniczenia importu amerykańskiego i przeszkód w dopływie kredytów. Próba wyjścia z błędnego koła jest niewątpliwie przywrócenie jedności waluty światowej przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy i odbudowa ruchu kapitałów przez Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju. Przedtem odejście od systemu umów kontyngentowych i clearingowych jest niemożliwe dla żadnego poszczególnego kraju, a zwłaszcza dla kraju jak Polska, nie rozporządzającego zasobem wolnych dewiz. Należy zresztą zaznaczyć, że Stany Zjednoczone protestując np. przeciwko dwustronnej umowie rosyjsko-szwedzkiej, jednocześnie same zawierają dwustronną umowę z Kubą o wybitnie preferencyjnym charakterze.

Zasada nieróżniczkowania znajduje w propozycjach amerykańskich wyraz m. in. w następującej formule:

„W wypadku kontyngentów członkowie winni ogłaszać całkowitą ilość lub wartość zezwolonych przywozów w ciągu oznaczonego

okresu przyszłościowego. Każdy przydział kontyngentów winien być proporcjonalny do przywozów danego produktu dostarczanego przez kraje członkowskie w jakimś poprzednim okresie bazowym“.

Przebija tu wyraźna tendencja do zafiksowania interesów amerykańskiego eksportu poprzez „status quo“. Prawdopodobnie przy tym spodziewano się, że okresem bazowym będzie okres bezpośredniej powojennej ekspansji eksportu amerykańskiego, gdy inne eksportujące kraje przemysłowe nie będą jeszcze zdolne do rozwinięcia ofensywy eksportowej. W wielu wypadkach utrwalenie „status quo“ nie służyłoby zasadzie handlu wielostronnego, a przeciwnie przyczyniałoby się do utrwalenia przypadkowego układu stosunków na danym etapie. W innych wypadkach takie utrwalenie „status quo“ oznaczałoby zamknięcie drzwi dla eksportu krajów takich jak Polska, które muszą przez pewien czas odbudowywać się ze zniszczeń wojennych i nie są w stanie od razu w pełni rozwinąć swych możliwości eksportowych.

Zasada „nieróżnicowania“ znalazła też wyraz w cytowanych już przez nas postanowieniach dotyczących handlu państwowego.

W zwalczaniu kartelizacji międzynarodowej, jako przeszkody w handlu światowym, propozycje nie idą zbyt daleko. Zaleca się tylko, iż „ze strony członków organizacji powinny mieć miejsce indywidualne lub skoordynowane wysiłki w kierunku ograniczenia takich praktyk handlowych ograniczających wolny obrót, które by były w stanie unicestwić zadania organizacji w kierunku poparcia rozwoju produkcji i handlu, jednakowego dostępu do rynków i surowców i utrzymania we wszystkich krajach wysokiego poziomu zatrudnienia i dochodowości“.

Jako takie praktyki projekt wymienia: kombinacje i układy co do zafiksowania cen lub warunków sprzedaży, podział rynków i krajów odbiorczych, ograniczenie produkcji lub eksportu, utrudnienia w ujawnianiu postępów technologicznych lub wynalazków, wykluczenie przedsiębiorstw od poszczególnych miejsc zbytu lub bojkot czy upośledzenie poszczególnych firm. Propozycje zawierają dość skomplikowaną i mało uchwytną procedurę rozpatrywania skarg na takie praktyki i zachętę do zwalczania ich przy pomocy ustawodawstwa poszczególnych krajów.

Naszym zdaniem zasady Organizacji Handlu Międzynarodowego wygrałyby na większej konkretyzacji i zaostreniu tych antykartelowych postanowień. Prywatno-kapitalistyczne monopole winny być wyeliminowane z handlu międzynarodowego.

Ustosunkowując się zasadniczo krytycznie do kartelizacji prywatnej, propozycje amerykańskie przeciwstawiają jej kartelizację międzypaństwową, zwłaszcza w zakresie artykułów pierwszej potrzeby w postaci tzw. międzynarodowych porozumień towarowych. Międzynarodowe porozumienia towarowe zajmują poważne miejsce w amerykańskich propozycjach, jako główny — poza Międzynarodowym Funduszem Walutowym i Bankiem Odbudowy i Rozwoju — instrument międzynarodowego interwencjonalizmu gospodarczego. Międzynarodowe porozumienia towarowe mają przeciwdziałać kryzysom nadprodukcji poprzez ograniczenia produkcji lub eksportu oraz obsypanie rynków w skali międzynarodowej — dla umożli-

wienia przestawienia się na inny rodzaj wytwórczości. Charakterystyczne jest, że propozycje pomijają możliwość międzynarodowych porozumień towarowych dla finansowania konsumpcji, jak również tworzenia międzynarodowych rezerw danych towarów na wypadek zwiększenia zapotrzebowania lub zmniejszenia produkcji skutkiem np. klęsk żywiołowych itp. Rozszerzenie w tym kierunku projektu byłoby niewątpliwie w interesie krajów zacofanych i kolonialnych — często nie mogących z powodu trudności płatniczych pokryć własnego zapotrzebowania lub też okresami cierpiących na niedostatek pewnych towarów.

Polska wyraziła zgodę na ogólne zasady amerykańskich propozycji co do handlu międzynarodowego, podobnie jak i przystąpiła do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rozwoju, ponieważ pragnie przyczynić się do ugruntowania pokoju i bezpieczeństwa światowego, poprzez międzynarodową współpracę gospodarczą. Polska pragnie jak najrozleglejszych stosunków handlowych zarówno ze Wschodem, jak i Zachodem i jest żywo zainteresowana w tym, aby międzynarodowe porozumienia stworzyły warunki dalszej współpracy gospodarczej i ożywionych stosunków handlowych pomiędzy światem kapitalistycznym, państwem socjalistycznym i demokracjami ludowymi Środkowej i Wschodniej Europy. Polska pragnie takich międzynarodowych stosunków gospodarczych, które umożliwiłyby jej planowy, systematyczny rozwój i wyrównanie zacofania dziejowego, nie naruszając nic z jej suwerenności gospodarczej i politycznej oraz z jej modelu ustroju społeczno-gospodarczego. W szczególności Polska zainteresowana jest w uzyskaniu kredytów inwestycyjnych z zagranicy. Polska popiera wszelkie propozycje zmierzające do ułatwienia i rozszerzenia wymiany międzynarodowej, jednocześnie zainteresowana jest w usunięciu wszelkich monopolistycznych form tej wymiany lub też w pohamowaniu dążeń poszczególnych państw imperialistycznych do bezwzględnego narzucenia swej przewagi w walce o rynki.

Kierując się tymi zasadami Polska — przy zasadniczym pozytywnym stosunku do ogólnych zasad proponowanej Organizacji Handlu Międzynarodowego — winna dążyć do modyfikacji poszczególnych ich sformułowań i punktów w duchu wolności każdego narodu do rozwoju ustroju społeczno-gospodarczego, jaki ten naród sobie wybrał, w duchu demokracji i postępu.

Stefan Jędrzychowski

Janusz Jeżewski

ZSRR jako potęga przemysłowa

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich zajmuje $\frac{1}{6}$ powierzchni globu ziemskiego i jako jednolite terytorium jest pierwszym państwem świata pod względem wielkości.

W stosunku do obszaru ZSRR jest rzadko zaludniony, ale zajmując przodujące miejsce w świecie pod względem przyrostu naturalnego liczy obecnie blisko 200 milionów ludności, podczas gdy w 1920 r. liczył 134 miliony.

W skład ZSRR wchodzi szesnaście republik, mianowicie: Karelo-fińska, Estońska, Łotewska, Litewska, Białoruska, Mołdawska, Ukraińska, Gruzińska, Azerbejdżańska, Armeńska, Kazachska, Turkmeńska, Uzbecka, Tadżycka i Kirgiska oraz największa z republik związkowych — Rosyjska Radziecka Federacyjna Socjalistyczna Republika.

Wewnątrz wielu republik związkowych znajdują się obszary zamieszkałe przez odrębne narodowości, w tych przypadkach utworzone są autonomiczne republiki lub autonomiczne prowincje. Ogółem grup takich, liczących ponad 50 tysięcy ludzi, jest 40. Mniejsze grupy narodowe, niejednokrotnie rozsiane na dużej przestrzeni, posiadają również swe samorządy lub rady. Grupy te tworzą tzw. obszary narodowe.

Możność korzystania przez każdą republikę lub grupę narodową z pełni praw kulturalnych i gospodarczych oraz bezpośredni lub pośredni udział w rządach Związku stwarza sytuację, w której tzw. „problem mniejszościowy“ w ogóle nie istnieje.

Aczkolwiek okręgi gospodarcze niejednokrotnie są poprzecinane granicami narodowościowymi, to jednak wewnątrz obszarów narodowościowych pielęgnowane i rozwijane są, w ramach dopuszczalnych dla dobra całego Związku, rodzime przemysły oraz regionalne gałęzie rolnictwa i hodowli. Rozwój rolnictwa i przemysłu wśród poszczególnych narodów radzieckich przyczynił się bardzo do imponującego wzrostu bogactw ZSRR jako całości.

Dzisiaj ZSRR jest jedną z produujących potęg przemysłowych na świecie. Niżej podane cyfry produkcji odnoszą się przeważnie do lat przedwojennych, gdyż dane z okresu 1941—1945 nie ilustrowałyby dokładnie normalnego stanu rzeczy, ze względu na dysproporcje i przesunięcia wywołane potrzebami wojny i zniszczeniami przez nią spowodowanymi.

Pomimo nieprzebranych zasobów surowcowych przemysł Rosji przed rokiem 1917 nie stał na poziomie proporcjonalnym do swoich możliwości. Ograniczał się do europejskiej części Rosji: w okręgu Petersburga i Moskwy oraz w Zagłębiu Donieckim i na Kaukazie. Wytwórczość węgla i żelaza była wyjątkowo niska. Przed pierwszą wojną światową Wielka Brytania produkowała 30 razy więcej węgla i 7 razy więcej żelaza na głowę ludności niż Rosja carska.

WĘGIEL

Przed 1917 r. blisko 90% węgla pochodziło z Zagłębia Donieckiego, którego zapasy oceniane są na 90 miliardów ton. W zachodniej stronie Zagłębia znajduje się węgiel koksujący, a we wschodniej — bogate pokłady antracytu. Grubość pokładów węgla nie jest tutaj znaczna, gdyż przeciętnie sięga do 1/2 m, co oczywiście podraża produkcję. Pokłady te położone są jednak w najgęściej zaludnionej części Rosji i są odległe zaledwie o 400 km od kopalń żelaza w Krzywym Rogu i Kerczu. Około 3/4 produkcji surówki żelaznej było wytwarzane w Zagłębiu Donieckim, aczkolwiek ze względu na brak odpowiednich fabryk na tym obszarze nie była ona zużytkowana w należyty sposób. Przemysł żelazny skupiał się w środkowej i północno-zachodniej części Równiny Wschodnio-Europejskiej, na obszarach, które przetwarzały mniej niż 5% ogólnej produkcji surówki żelaznej i tylko 10% produkcji węgla. Było to oczywiście spowodowane nieracjonalnym i niewystarczającym systemem transportowym.

Dzisiaj węgiel i koks doniecki zaopatrują szereg nowych ośrodków ciężkiego przemysłu na południu Rosji Europejskiej, a produkty uboczne koksowni używane są przez ukraińskie fabryki chemiczne.

W Rosji carskiej 10 do 15% węgla z Zagłębia Donieckiego przewożono na odległości sięgające nieraz do 2000 km, pochłaniając wskutek tego około 40% zdolności przeładunkowej kolei rosyjskich. Węgiel ten był używany na Uralu, podczas gdy złoża miejscowe i Zagłębia Kuźnieckiego pozostawały nieeksploatowane. Był on transportowany do odległych republik azjatyckich, gdzie złoża węglowe Karagandy mogły z łatwością zaspokoić miejscowe potrzeby. Same parowozy podczas drogi do Turkiestanu używały 20% przewożonego ładunku.

Eksploatacja nowych terenów węglowych w okresie po rewolucji 1917 r. nie tylko zwiększyła ogólną produkcję węgla, ale umożliwiła również racjonalne wykorzystanie miejscowych artykułów, ułatwiając ich transport.

W Rosji Europejskiej najwyższy gatunek węgla pochodzi z Zagłębia Donieckiego dając z 1 kg węgla 7000 kalorii. Jednak w okręgach po-

łożonych daleko od kopalń koszty transportu mogą zanulować korzyści osiągane z wysokiego gatunku węgla. Inne gatunki węgla, np. z kopalń moskiewskich, dające 3500 kalorii z 1 kg i posiadające dużą zawartość popiołu, są całkowicie nieopłacalne przy transporcie. Są więc one zużywane przez przemysł lokalny, a otrzymywane przy tym produkty uboczne przeznacza się dla przemysłu chemicznego. Natomiast przy okręgach węglowych budowane są elektrownie rozprowadzające prąd po kraju i zaszczędzające w ten sposób wydatków, związanych z rozwożeniem gorszych gatunków węgla na wielkie odległości. Przemysłowy okręg leningradzki zużywał dawniej 4 i 1/2 do 5 milionów ton węgla sprowadzanego z Zagłębia Donieckiego. Obecnie wykorzystuje się w znacznym stopniu lokalne pokłady węgla brunatnego. Podobnie i okrąg moskiewski w dużej mierze zaspokaja swe potrzeby węglem z miejscowego zagłębia. Niemniej jednak duże ilości węgla wysokogatunkowego są stale dowożone do Leningradu, Moskwy i m. Gorkij z Zagłębia Donieckiego i Baku.

Złoże węglowe koło Kuźniecka w Zachodniej Syberii są znacznej grubości, posiadają węgiel doskonale koksujący, o wysokiej wartości kalorycznej i małej zawartości popiołu. Złoże znajduje się na nieznacznej głębokości, przez co są tańsze w wydobyciu niż pokłady donieckie. Zapasy węglowe oblicza się tutaj na 45 milionów ton, co czyni je jednymi z najbogatszych złóż świata. Obecnie kopalnie te zaopatrują w węgiel kombinat Uralsko-Kuźniecki. W czasach carskich nie były one prawie wcale eksploatowane. Już na początku pierwszej pięcioletki roczne wydobycie węgla wynosi tutaj 2 miliony 307 tys. ton, tj. trzy razy więcej niż pod koniec pierwszej wojny światowej.

Wydajność roczna w 1942 r. wynosiła 20 milionów ton. Poza Zagłębiem Kuźnieckim pokłady w rejonie Krasnojarska obliczane są na 67 miliardów ton i są tylko w niewielkim zakresie eksploatowane. Złoże węglowe Zachodniej Syberii obejmują 40% znanych dotychczas zapasów tego surowca w ZSRR.

Trzeci najważniejszy obszar węglowy w Rosji to Zagłębie Karagandy, oceniane na 50 miliardów ton. Zaopatruje ono w węgiel koksujący Ural i Republiki Azjatyckie oraz dostarcza opału dla kolei i dla fabryk przemysłu metalowego w Kazachstanie. Produkcja tego Zagłębia w 1940 r. wyniosła 4 i 1/2 miliona ton.

Ostatnio uruchomiono cały szereg mniejszych kopalń węgla w Zagłębiu Peczory na płn. Rosji Europejskiej, na Kaukazie, w Azji Środkowej, w Kańsku i Czeremchowie w Środkowej Syberii, w Zagłębiu Amurskim oraz na Sachalinie. Na Uralu węgiel wydobywa się obecnie w Kizelu i koło Czelabińska. Wydajność kopalń węgla Republiki Kirgiskiej w Azji Środkowej wynosi około 2 milionów ton rocznie. Kopalnie jakuckie produkują przeszło 60 tys. ton rocznie zaopatrując w węgiel kopalnie złota w Aldanie oraz statki na Lenie i okręty na arktycznych drogach morskich. Złoże Burejskie w Zagłębiu Amurskim ocenia się na 1 miliard ton węgla koksującego. Obecnie kopalnie tamtejsze zaopatrują huty stalowe w Chabarowsku. Chociaż wydajność wielu z tych okręgów węglowych jest jeszcze stosunkowo mała, jednakowoż zasoby ich są nieprzebrane. Zagłębie

Tunguskie np. ma posiadać najbogatsze zasoby węgla kamiennego na świecie.

Obecnie 42 okręgi zaspokajają swe zapotrzebowanie węgla z własnych terenów w porównaniu z 10 w 1929 roku.

W rezultacie racjonalizacji przemysłu węglowego roczna wydajność węgla wzrosła z 29,1 milionów ton w 1913 roku do 132,9 milionów ton w 1938 roku, przy czym w Rosji carskiej 87% pochodziło z Zagłębia Donieckiego, podczas gdy obecnie udział tego zagłębia w ogólnej produkcji wynosi tylko 60%. W 1940 roku ogólna produkcja węgla w ZSRR wyniosła 164,6 milionów ton.

W 1936 roku zastosowano w ZSRR podziemną gazyfikację węgla, polegającą na spalaniu węgla pod ziemią przy wypompowywaniu powietrza z zewnątrz. Gaz i produkty uboczne są odprowadzane na powierzchnię przez system rur, wpuszczanych do pokładów węglowych. W ten sposób zużytkowuje się w blisko 90% pokłady węglowe, podczas gdy przy normalnym systemie eksploatacji zużytkowanie wynosi tylko 60%. System ten został zastosowany w 1940 r. w kopalniach moskiewskich, donieckich i na zachodniej Syberii.

ROPA NAFTOWA

W światowej produkcji ropy naftowej Rosja stoi na drugim miejscu po Stanach Zjednoczonych AP i posiada źródła na Kaukazie, w Banku, Dagestanie, Groźnym i Majkowie, na wschodnim wybrzeżu Morza Kaspijskiego, w pobliżu Krasnowodzka, na nowoprzyłączonych terenach koło Borysławia, Drohobycza i Stanisławowa oraz w Estonii.

Poza nowoodkrytymi terenami na Uralu i w Azerbejdżanie źródła ropy znajdują się również na północnym Sachalinie, na Kamczatce oraz koło Katangi, na północy Syberii.

Pomimo posiadanych tak wielkich zapasów ropy, zapotrzebowanie na ten surowiec jest ogromne. Zarówno bezprzykładowy w swych rozmiarach i w tempie wzrost przemysłu radzieckiego, jak i wciąż postępująca mechanizacja w rolnictwie, wymagają nieprzebranych ilości paliwa i materiałów pędnych. Poza tym zniszczenia wojenne na rosyjskich terenach naftowych były bardzo znaczne. Ucierpiały tu nie tylko pola naftowe, ale przede wszystkim znacznym uszkodzeniom uległy maszyny i wyposażenie wiertnicze. Wskutek tego zrozumiwały jest chwilowy spadek produkcji, który na terenach dostarczających przed wojną 2/3 wytwórczości ZSRR sięga do 50%.

Rosja ma na uwadze, że światowe zapasy ropy są niepomiarne mniejsze niż rezerwy węglowe, podczas gdy fakt, że nafta jest objętościowo dużo wydajniejsza od węgla i nie wymaga tak wielkiego nakładu pracy przy produkcji, zapewnia państwu ją posiadającym silne stanowisko gospodarcze na świecie. Dzięki zastosowaniu chemii w procesie przeróbki nafty stała się ona niezbędnym surowcem przy wytwórczości całego szeregu produktów syntetycznych, mających kolosalne znaczenie w przemyśle zarów-

no w czasie wojny, jak i w czasie pokoju. Toteż w nowym planie gospodarczym ZSRR produkcja ropy naftowej otoczona jest specjalną opieką, aby w możliwie najkrótszym czasie zrównoważyć szkody i pokryć rosnące zapotrzebowanie bez uciekania się do rabunkowego nadwężenia istniejących zapasów.

Produkcja ropy w ZSRR wynosiła 31 milionów ton w 1940 r. (por. 27,8 milionów ton w 1937 r.); według planu ma ona wzrosnąć do 1960 r. o 93% czyli do 60 milionów ton. W porównaniu z projektowanym, trzykrotnym wzrostem wytwórczości węgla, żelaza i stali, nie jest to wiele, ale dowodzi, że — wbrew niektórym opiniom — Rosji bardziej zależy na równowadze na długiej fali poszczególnych elementów w gospodarce niż na rekordach cyfrowych.

Według czwartego planu pięcioletniego przewidziano m.in. pięciokrotne zwiększenie produkcji samochodów osobowych i ciężarowych oraz budowę licznych linii lotniczych. Będzie to wymagało ogromnych ilości ropy naftowej, która winna być dostarczona pomimo chwilowych trudności, jakie w rezultacie wojny powstały w ZSRR. (W ciągu ostatnich 10 lat przed wojną ilość traktorów w ZSRR wzrosła czterynastokrotnie, a ilość pojazdów mechanicznych na drogach radzieckich powiększyła się z 57 tysięcy w 1930 r. do 810 tysięcy w 1940).

Nowe zdobycze terytorialne i utrzymywanie armii okupacyjnej w Niemczech zwiększa jeszcze zapotrzebowanie materiałów pędnych, a zniszczenie wielu kopalń węgla i stacji siły wodnej w Rosji Europejskiej oraz braki w wyposażeniu wiertniczym stwarzają trudności, jakie należy w pierwszym rzędzie pokonać.

Gdy ZSRR dojdzie w 1960 r. do wytwórczości 60 milionów ton ropy, będzie to stanowić 1/4 obecnej produkcji Stanów Zjednoczonych, przy 1/4 tony zużycia na 1 mieszkańca (wobec 1 i 1/2 tony obecnej konsumpcji w USA). To porównanie wskazuje z jednej strony, jak produkcja może się rozwinąć przy gwałtownym wzroście stopy życiowej, jaki ma miejsce w USA, ale z drugiej strony jest groźnym memento szybkich możliwości wyczerpania zapasów ropy Stanów Zjednoczonych. Dziś USA produkuje cztery razy więcej ropy niż ZSRR planuje, że będzie produkować w 1960 r., ale czy za lat czternaście wytwórczość rosyjska nie przekroczy znacznie produkcji wyczerpanych źródeł naftowych w Stanach Zjednoczonych?

Rosja tymczasem robi wszelkie wysiłki w celu postawienia swego przemysłu naftowego na najlepszej drodze oraz zabezpieczenia sobie źródeł dowozu z zewnątrz. Pragnąc możliwie nie wyczerpywać swych zapasów ropy w centrum kraju oraz zaoszczędzić sobie wielkich wkładów kapitałowych Rosja chce pokrywać swe zapotrzebowanie na ropę naftową z obszarów nadgranicznych lub z krajów sąsiednich.

W ramach spłat reparacyjnych Rumunia ma dostarczyć ZSRR w okresie sześcioletnim około połowy swej produkcji która obecnie wynosi 9 milionów ton rocznie. Dla eksploatacji pól naftowych na Węgrzech i w Austrii powstają towarzystwa powołane przez rządy obu państw i rząd radziecki. Pola te łącznie dostarczyły w 1944 r. około 2 milionów ton ropy.

Produkcja roczna terenów estońskich wynosiła przed wojną około 200 tys. ton, a zagłębia naftowe Borysławia i Stanisławowa, włączone obecnie do Rosji, wyprodukowały w 1938 r. 371 tys. ton.

Główne szyby naftowe Rosji znajdują się na półwyspie Apszeron, koło Baku, gdzie pierwsze wieże wiertnicze zostały założone 1871 r. Pola naftowe tego okręgu produkują około połowy ogólnej wydajności ropy naftowej w ZSRR. Tereny naftowe Baku zajmują dotychczas pierwsze miejsce, Zagłębie Baku, chociaż jedno z najstarszych pól naftowych świata, wciąż posiada ogromne możliwości produkcyjne, w szczególności przy wierceniach na większych głębokościach, ale i te tereny wymagają znacznych wkładów kapitałowych, aby utrzymać wytwórczość na dotychczasowym poziomie.

Ważny okręg naftowy położony jest na północnym zboczu Gór Kaukaskich, koło Groźnego, Majkowa, w Makacz-Kała oraz przy ujściu Kury. Ropa znajduje się również koło Krasnodaru Naftogorska. Okrąg Groźnego jest drugim po Baku producentem ropy w ZSRR, przy czym ropa ta posiada największą wydajność benzyny. W 1934 r. zostały uruchomione nowe szyby w Małgobeku, które obecnie wytwarzają około 35% całej produkcji okręgu Groźnego. Groźny jest wielkim centrem przemysłu naftowego, produkując nie tylko ropę, ale posiadającym również i fabryki, wytwarzające maszyny dla tego przemysłu oraz chemikalia z produktów ubocznych, otrzymywanych z miejscowych rafinerii. Rurociągi prowadzą z Makacz-Kała, na wybrzeżu Morza Kaspijskiego, do portu Tuapse nad Morzem Czarnym oraz do Rostowa nad Donem i Nikitowa. Ten rurociąg jest obecnie przedłużany do przemysłowego okręgu Dniepropetrowska. Szyby północnego Kaukazu (Groźny, Majkow, Makacz-Kała, Małgobek i Nadieźdyńsk) produkują rocznie około 5 milionów ton ropy (1939) czyli 16% wytwórczości pól naftowych całego Kaukazu.

Rafinerie połączone rurociągami z Groźnym, Makacz-Kała, Armawirem, Krasnodarem i Tuapse posiadają ogólne możliwości produkcyjne ponad 10 milionów ton rocznie.

Z Tuapse nafta i jej produkty są eksportowane za granicę, a z Armawiru posyła się je na Ukrainę i do okręgów przemysłowych centralnej Rosji Europejskiej. Przed wojną szyby naftowe zostały uruchomione na nowo odkrytych terenach ropośnych w Izerbaszu. Inne szyby naftowe położone są na stepach Szyraku.

Ostatnie badania natrafiły na ogromne zasoby ropy naftowej w trójkącie Syzrań — Tuimazy — Krasnokamsk na Uralu oraz w Azerbejdżanie, a nawet pod dnem Morza Kaspijskiego, gdzie w pobliżu brzegu zakładane są już obecnie wieże wiertnicze, a badania prowadzi się niejednokrotnie na głębokości 4000 m. Wielkie ilości ropy są przewożone Morzem Kaspijskim do Astrachania, a potem w górę Wołgi do różnych rafinerii. Rurociągi odprowadzają naftę z Baku do Batum, głównego ośrodka handlu eksportowego. Rafinerie znajdują się zarówno w Baku jak i w Batum i mają łącznie możliwości produkcyjne do 18,5 milionów ton rocznie. Tereny naftowe Baku, Majkowa i Groźnego produkują razem około 85% ogólnej wy-

twórczości ZSRR. Jednak tylko 29% sowieckich rezerw ropy naftowej znajduje się na Kaukazie. Tak więc wielkie możliwości otwierają się przed nowouruchomionymi szybami naftowymi na Uralu, w okręgu Środkowej Wołgi, na północnych brzegach Morza Kaspijskiego i w innych częściach ZSRR.

Obszary położone między Wołgą a Uralem w tzw. drugim zagłębieniu Baku posiadają nieprzebrane zapasy ropy naftowej, lecz podniesienie produkcji wymaga tu bardzo głębokich wierceń na rozległych terenach. Na razie produkcja wynosi tu około 7 milionów ton ropy rocznie. Jednak według kompetentnych opinii „drugie Baku“ będzie produkować więcej nafty niż wszystkie szyby kaukaskie.

Szyby naftowe w Kazachstanie znajdują się niedaleko rzeki Emba. Tworzą one trzeci najważniejszy okręg naftowy ZSRR. Wydajność tego okręgu w 1940 r. wyniosła około 1 miliona ton. Szyby połączone są rurociągiem długości 880 km z rafineriami w Orsku koło Czkałowa. Rurociągi prowadzą również do Czapajewa i Dossor-Rakusza. Szyby naftowe zakładane są również w okręgu Aktiubińska.

W Republice Kirgiskiej szyby naftowe mieszczą się w dolinie Fergany, koło Buchary w Uzbekistanie oraz w Nefte-Dag, na wybrzeżu Morza Kaspijskiego. Roczna produkcja terenów naftowych Uzbekistanu przekracza 700.000 ton, z czego połowa jest rafinowana na miejscu.

Nafta znajduje się na północ od Chusowska niedaleko Permu oraz w Baszkirskiej Republice na południe od Iszymbajewa (w 1936 r. szyby Iszymbajewa wyprodukowały 1 milion ton nafty).

Ropa naftowa wydobywana w północnej Estonii (jako olej skalny ze skał łupkowych) używana jest jako opał w fabrykach, do centralnego ogrzewania, na kolejach oraz w cementowniach w porcie Kunda i w Azeri. W Kotła przerabia się naftę opałową. Produkcja ropy w Estonii w 1939 r. wynosiła 200 tys. ton.

Okręgi naftowe Drohobycza i Stanisławowa, które w 1938 r. wyprodukowały 371 tys. ton ropy podniosły w dwójnasób swą produkcję w latach 1939 i 1940. Przed pierwszą wojną światową w 1913 r. tereny te przyniosły 1.047.000 ton ropy.

Ropa została odkryta w Katandze, na płd.-zachód od Nordwiku, co będzie miało wielkie znaczenie dla zaopatrywania floty rybackiej w paliwo na północnych wybrzeżach Syberii. Odkrycie źródeł ropy na Kamczatce przyczyniło się wielce do rozbudowania tamtejszego przemysłu. Obecnie szyby naftowe pracujące na wschodnim wybrzeżu wraz z nowouruchomionymi kopalniami węgla na północy półwyspu zaopatrują przemysł Zagłębia Amurskiego i okręgu Władywostoku.

Na Sachalinie, na północnym krańcu w Oka, tereny naftowe przynoszą około 360 tys. ton rocznie. Do 1944 r. ropa sachalińska była eksploatowana przez Rosję i Japonię wspólnie systemem szachownicowym, na podstawie koncesji udzielonej Japonii w 1925 r. w celu równego i sprawiedliwego podziału terenów roponośnych. Szyby naftowe są połączone rurociągiem z portem w Moskalewo na zachodnim wybrzeżu.

Północna część Sachalinu należy do ZSRR — południowa do końca obecnej wojny należała do Japonii.

W 1875 r. na podstawie traktatu z Japonią Rosja uzyskała władanie nad całą wyspą, podczas gdy Japonia otrzymała Kurylle. Po wojnie japońsko-rosyjskiej w 1905 r. Japonia znowu przejęła południową część wyspy.

Znaczenie gospodarcze wyspy polega jednak głównie na źródłach naftowych w północnej jej części. Koncesja udzielona Japonii w 1925 r. na okres 15 lat została w marcu 1944 r. cofnięta przez Moskwę.

Ulepszone metody wydobywania ropy wraz z otwarciem nowych pól naftowych zwiększyły roczną produkcję ZSRR z 9,25 milionów ton 1913 r. do 31 milionów ton 1940 r.

Radziecki przemysł rafineryjny został zrationalizowany. Rafinerie znajdują się zarówno w pobliżu szybów naftowych w Baku, Groźnym, Arma-wirze jak i w okręgach przemysłowych, gdzie nafta jest zużywana, a więc w Orsku, Zagłębiu Donieckim, Moskwie, Iwanowie, Gorkim, Saratowie, Stalingradzie, Leningradzie itd. oraz w portach eksportowych w Baku i Tuapse. W Chabarowsku na Dalekim Wschodzie znajdują się nowe, ogromne rafinerie ropy. W ten sposób Chabarowsk stał się ośrodkiem zaopatrzenia Dalekiego Wschodu w naftę, skąd jest ona dostarczana do okręgów przemysłowych Południowej Syberii.

W ZSRR zwraca się baczną uwagę na racjonalne rozmieszczenie przemysłu naftowego. W Rosji carskiej nafta dowożona była tysiącami kilometrów do ośrodków przemysłowych i do konsumentów. Jeszcze w 1937 r. 15% ropy kaukaskiej było transportowane ponad 1500 km. Dzisiaj uruchomienie szybów na nowoodkrytych polach naftowych redukuje konieczny transport.

Pomimo wielkiego wzrostu wytwórczości ropy naftowej w ZSRR zapotrzebowanie na ten surowiec rośnie niepomierne więcej. Toteż wywóz nafty spadł z 6,2 milionów ton w 1934 r. do 0,5 milionów ton w 1940 r. W 1937 r. eksport produktów ropy naftowej ZSRR wynosił 35% całego wywozu.

W świetle powyższych wywodów staje się zrozumiałe zainteresowanie ZSRR terenami roponośnymi w północnym Iranie, które powinny być naturalnym uzupełnieniem zagłębia naftowego Baku zarówno pod względem gospodarczym jak i strategicznym.

Jest rzeczą zrozumiałą, że Rosja nie chce dopuścić do tego, aby tuż pod jej bokiem, w pobliżu ważnych ośrodków gospodarczych, ulokowało się w jakiegokolwiek formie jakiegokolwiek obce mocarstwo. Przemawiają za tym względy nie tylko polityczne, ale i gospodarcze. Historia rozwoju stosunków irańsko-sowieckich w przeciągu ostatnich 25 lat skłania rząd ZSRR do ostrożności. Na zasadzie układu z 26. II. 1921 r. rząd sowiecki zrzekł się pretensji do wszelkich koncesji mineralnych, naftowych, transportowych i innych, które swego czasu otrzymał od rządu perskiego. Ze swej strony rząd perski zobowiązał się nie udzielać żadnych koncesji jakiegokolwiek stronie trzeciej. Mimo to jednak już w tym samym roku parlament

irański uchwalił ustawę udzielającą koncesji amerykańskiemu towarzystwu naftowemu Standard Oil Company na okres pięćdziesięciu lat. Na skutek energicznego protestu posła ZSRR w Teheranie, powołującego się na układ z 26. II. 1921 r., rząd perski cofnął swe zobowiązanie wobec Standard Oil Company. Rząd Iranu udzielał jednak w dalszym ciągu szeregu koncesyj naftowych towarzystwom zagranicznym w grudniu 1923 r., w styczniu 1937 r. i w marcu 1939 r. tłumacząc swe postępowanie brakiem potrzebnych środków finansowych i wykwalifikowanych sił technicznych.

Kiedy we wrześniu 1944 r. rząd sowiecki zwrócił się do rządu irańskiego z ofertą w sprawie koncesji naftowej w północnym Iranie, spotkał się z odmową. Wreszcie jednak w wyniku pertraktacji rząd perski zgodził się w marcu 1946 r. na utworzenie towarzystwa persko-radzieckiego, któremu została oddana eksploatacja terenów naftowych w północnym Iranie na okres lat pięćdziesięciu. W czasie pierwszych 25 lat udział ZSRR wynosić będzie 51%, a po latach — 25 do 50%. Ochrona terenów naftowych należeć będzie wyłącznie do policji irańskiej. Sprawa ta będzie przedłożona do ratyfikacji parlamentowi irańskiemu, który zostanie powołany w drodze wyborów, mających się odbyć w najbliższym czasie.

Produkcja ropy naftowej i gazoliny w ZSRR w tysiącach ton

Okręg	1913	1933	1938
ZSRR	9.234,1	22.458,0	23.230,8
Baku	7.669,1	15.981,5	23.980,0
Groźny	1.208,2	5.053,0	2.763,6
Wołga-Ural	—	36,3	1.298,4
Krasnodar	86,8	766,0	2.250,3
Daleki Wschód	—	196,4	360,9
Turkmenia	129,5	154,7	436,7
Uzbekistan	13,2	33,8	225,3
Tadżykistan	9,7	15,9	—
Kazachstan	117,6	198,1	652,0

Udział % w ogólnej produkcji ropy

	1913	1938
Kaukaz	97,1	90,0
Wołga-Ural	0	4,0 *)
Daleki Wschód	0	1,1
Azja Środ. i Kazachstan	2,9	4,1 **)

TORF

Ważne uzupełnienie źródeł siły napędowej ZSRR stanowi wydobywanie torfu. Pola torfowe, największe na świecie, są położone głównie na póln.-za-

*) W 1942 r. udział wyniósł 14,7%.

***) The USSR a geographical survey. James S. Gregory and D. W. Shaw. London 1945.

chodzie Równiny Wschodnio-Europejskiej. Roczna produkcja w 1938 roku wyniosła 26,5 milionów ton. Torf nie oplaca się przy transporcie i używany jest w fabrykach i elektrowniach blisko miejsca wydobycia. Stanowi on niemal jedyne źródło opału dla przemysłów Leningradu, Moskwy, Iwanowa i Jarosławia. Pierwsza elektrownia na świecie poruszana całkowicie torfem znajduje się w ZSRR. Zapasy torfu w Rosji oceniane są na blisko 150 miliardów ton. Żaden kraj na świecie nie rozporządza tak bogatymi pokładami torfu.

ELEKTRYFIKACJA KRAJU

Najbardziej charakterystyczną cechą nowoczesnej gospodarki sowieckiej jest na szeroką skalę przeprowadzona elektryfikacja kraju, obsługiwana przez liczne elektrownie, spośród których wiele jest poruszanych siłą wodną i posiada ogromne rozmiary jak np. sławny Dnieprostroj. Elektrownie Dalekiego Wschodu i w obszarze arktycznym są przykładami doskonałej elektryfikacji kraju. Wokół elektrowni powstają okręgi przemysłowe. Np. elektrownia w Tułomie jest jedną z wielu przeznaczonych do zaopatrywania w prąd obszarów arktycznych i półwyspu Kola, gdzie poza apatytem wydobywane są cenne rudy żelazne, tytan, molibden oraz minerały zawierające wanadium, które stanowią cenny dodatek przy fabrykacji stali. Planuje się dowozić węgiel do tego okręgu z kopalń Peczory tworząc w ten sposób nowy ośrodek produkcji stali.

W 1913 roku przeciętna produkcja prądu elektrycznego w Rosji carskiej wyniosła tylko 1945 milionów kwh, chociaż ogólne rezerwy siły napędowej, jak węgiel, ropa, oleje ziemne, torf, siła wodna itp. były nieprzebrane, jak wynika z poniższej tablicy. Pod względem zapasów węgla i ropy naftowej ZSRR zajmuje drugie miejsce na świecie. Na pierwszym miejscu stoi natomiast pod względem obszarów leśnych, zapasów torfu i siły wodnej. Zasoby te zostały wykorzystane przy produkcji prądu elektrycznego, co widać z gwałtownie wzrastającej wydajności z 1945 milionów kwh w 1913 r. do 25.9 miliardów kwh w 1935 r. i 39.6 miliardów kwh w 1938.

Moskiewski system energii elektrycznej o rocznej wydajności przeszło 4 miliardy kwh (1936—37) jest jednym z największych na świecie (Niagara — Hudson — 5,9 miliardów kwh, Ontario — 4,6 miliardów kwh).

Szybkiej elektryfikacji kraju towarzyszyło jak najszerze zastosowanie energii elektrycznej w przemyśle. Tak więc na robotnika w przemyśle ZSRR przypada 3440 kwh. (W Niemczech w 1930 liczba ta wynosiła 3000 kwh). Elektryczność zastosowana jest również w rolnictwie. Już w 1935 r. około 3 milionów ha ziemi zostało obsługane przez elektryczne młocarnie.

Charakterystyczną cechą dla systemu elektryfikacyjnego ZSRR jest szerokie wykorzystanie miejscowych źródeł opału, a więc torfu, olejów skalnych, miału węglowego, antracytu itp. Tak więc elektrownia Szatura —

na węglu brunatnym z Zagłębia Moskiewskiego. W okręgu przemysłowym nadwołżańskim głównym źródłem energii elektrycznej jest olej skalny wydobywany z pobliskich skał łupkowych. Siła wodna również jest w dużym stopniu wykorzystywana w ZSRR. Między 1926 a 1940 r. 34 nowych elektrowni wodnych zostało uruchomionych z łączną wydajnością 11 miliardów kwh rocznie. Zakłady te nie tylko zaopatrują w prąd przemysł i gospodarstwa domowe okręgu, lecz stanowią one część szeroko zakrojonego planu ulepszenia żeglugi śródlądowej oraz odwodnienia wielkich obszarów na wzór zirygowanych pól dolnej Wołgi.

PRZEMYSŁ MINERALNY

ZSRR jest bogato wyposażony w rudy mineralne, które w Rosji carskiej stosunkowo mało były eksploatowane. Pierwszy rozwinął się przemysł żelazny. Ruda żelazna była wydobywana m.in. na Uralu, gdzie znajdowały się również huty. Lecz tam, podobnie jak i w innych częściach kraju, metody produkcji były przestarzałe, co powodowało małą wydajność. Przemysł żelazny i stalowy w Zagłębiu Donieckim (Donbas), stosunkowo późno założony z pomocą obcych kapitałów, posługiwał się już koksem zamiast węgla drzewnego, używanego początkowo przy procesie wytapiania.

Przemysł ten osiągnął wyższy poziom techniczny w Zagłębiu Donieckim niż na Uralu, gdzie po części z powodu braku węgla nastąpił rychły jego upadek. Proces wytapiania przy pomocy węgla drzewnego ograniczał rozmiary produkcji, co uniemożliwiało konkurowanie z nowoczesnymi zakładami Donbasu.

Wraz z rozwojem nowych kopalń rudy żelaznej na Uralu oraz później w Zachodniej Syberii w okręgu Kuźniecka roczna wytwórczość rudy żelaznej w ZSRR wzrosła do 28 milionów ton (w 1940 r.) 2/3 tej produkcji pochodziło z kopalń Krzywego Rogu na Ukrainie. Kopalnie uralskie produkują około 8 milionów ton rudy rocznie.

Ruda żelazna znajduje się na Uralu na północ od Nadieżdyńska, rudy magnetytu na południe w Górach Magnetycznych. Na płn.-zachodzie są pokłady Zygazińska, a na płn. Bajkału wysokoprocentowe rudy, równające się tylko rudom szwedzkim. Ogólne zapasy ZSRR oceniane są na 1600 milionów ton wysokoprocentowej rudy. Węgiel koksujący jest dowożony 2000 km na wschód z Zagłębia Kuźnieckiego oraz z kopalń Karagandy.

W latach przedwojennych (1937) produkcja surówki żelaza w ZSRR wzrosła do 14,5 miliona ton. Powstało wiele ośrodków przemysłu metalurgicznego jak np. Magnitogorsk na Uralu oraz na Syberii w Zagłębiu Kuźnieckim. Na Uralu — obecność niklu, chromu, wolframu itp. wraz z wysokogatunkowymi rudami, a w Zagłębiu Kuźnieckim — świetnie koksującego węgla, przyczyniła się do rozwoju wielkiej specjalizacji w produkcji wysokogatunkowej stali i stopów. Huty kuźnieckie zaopatrywane były początkowo prawie wyłącznie w rudy z Uralu. Obecnie dowożone są tam rudy z okręgu górskiego Szoria na pld.-wschód od Stalińska, gdzie zapasy

są obliczane na 300 milionów ton rudy¹⁾. Kombinat metalurgiczny im. Stalina sam produkuje około 1,7 milionów ton surówki i 2,1 milionów ton stali rocznie. Niedawno uruchomione kopalnie rudy żelaznej w dolinie Angary i w Zagłębiu Amurskim zaopatrują fabryki wschodniej Syberii²⁾. Huty żelazne w republice Jakuckiej mają roczną wydajność surówki żelaza 50.000 ton, a huty Komsomolska w Zagłębiu Amurskim wytwarzają 60.000 ton produktów stalowych rocznie.

W tych nowych ośrodkach ciężkiego przemysłu, podobnie jak w dawnych na Ukrainie, na Krymie, w okręgu Rostowa, gdzie używają przy produkcji węgla doniecki oraz żelazo z Kercza i Krzywego Rogu, zastosowane są obecnie najnowocześniejsze metody produkcji. Dzięki zgrupowaniu poszczególnych przemysłów w wielki koksowo-metalurgiczno-chemiczny kombinat stworzono jednostkę gospodarczą, wykorzystującą w pełni wszystkie produkty uboczne.

W Zaporozu produkuje się wysokogatunkową stal i stopy przy pomocy prądu z Dnieprostroju, żelaza z Krzywego Rogu i rudy manganowej z Nikopola.

W środkowej Rosji Europejskiej przemysł żelazny i stalowy rozmieszczony jest w pasie od Brańska do m. Gorkij. Centralnymi okręgami są tu rejony m. Gorkij, Woroneża i Tuły, gdzie zużywana jest miejscowa ruda. We wszystkich trzech okręgach produkowane są głównie części maszyn.

ZSRR jest szczególnie bogato wyposażony w metale nieżelazne używane przy wyrobie wysokogatunkowej stali i stopów. W produkcji manganu Rosja zajmuje pierwsze miejsce na świecie. W 1938 r. wydobyto w ZSRR 2,75 mil. ton rudy manganowej z kopalń okręgu dniprzańskiego, Gruzji, Kazachstanu, Środkowego Uralu i Środkowej Syberii. Magnez używany przy konstrukcji samolotów wydobywa się w Solikamsku na Uralu i z bogatych złóż na wyspie Olkon na jeziorze Bajkałskim. Rudy żelazne z zawartością tytanu i domieszką wanadium znajdują się w Kuznieńsku na Uralu i na półwyspie Kola. Nikiel dobywa się z rud znajdujących na środkowym i południowym Uralu, na półwyspie Kola, przy ujściu Jenissej w Norylsku i w Kazachstanie.

Pierwsze fabryki niklu wzniesiono niedaleko Czelabińska w 1934 r. W Aktiubińsku znajduje się połowa zapasów rud niklowych ZSRR. W 1937 r. produkcja niklu wyniosła 6.000 ton.

Związek Radziecki produkuje 20% wytwórczości światowej rud chromowych wydobywając przeszło 250 tys. ton rocznie, z czego 25% pochodzi z kopalni na Uralu na płn.-zachód od Swierdłowska. Molibden znajduje się na Kaukazie, w rejonie jeziora Bajkałskiego, w Karelii, w Kazachstanie i na Dalekim Wschodzie. Pierwsza huta dla wytopienia molibdenu powstała w 1940 r. w Kazachstanie na brzegach jeziora Balkasz.

1) Podczas wojny przemysł Zagłębia Kuźnieckiego zwiększył produkcję przeszło trzykrotnie; dwukrotnie zwiększyło się w latach wojennych wydobywanie węgla koksującego. Zagłębie Kuźnieckie dostarczyło metalu do produkcji 50 tys. czołgów, 45 tys. samolotów i 120 mil. pocisków. W 1944 r. trzecia część kuźnieckiej produkcji przemysłowej pochodziła z fabryk nowozbudowanych podczas wojny lub ewakuowanych z obszarów przyfrontowych

2) Pomiędzy Szelką a rzeką Amur wydobywa się żelazo, węgiel brunatny, cynk, ołów, cynę, molibden i inne rzadkie kopaliny.

Rudy wolframu, potrzebnego przy fabrykacji narzędzi, wydobywane są na południe od Swierdłowska, na Uralu, w Transbajkalii i na Dalekim Wschodzie. Jedne z największych pokładów tego cennego pierwiastka znajdują się w Mongolii Buriackiej w Kombinacie Dżidyńskim. Przy wolframie wydobywa się ubocznie złoto, srebro i molibden.

Głównym ośrodkiem wydobywania miedzi jest Kazachstan, koło jeziora Bałkasz. Pirytowe rudy miedzi znajdują się na Uralu, w Armenii i w Azerbejdżanie oraz na płn. jeziora Bajkał. Kombinat miedziany Środkowego Uralu jest drugim Magnitogorskiem dla przemysłu metali nieżelaznych. W 1938 r. ZSRR wyprodukował 103.200 ton miedzi. W 1941 r. jedna huta w Kazachstanie wytopiła 100.000 ton miedzi. Na Kaukazie, we Wschodniej Syberii, na Uralu, w Azji Środkowej i na Dalekim Wschodzie znajdują się pokłady rud zawierających cynk i ołów wraz z srebrem i złotem.

Na Kaukazie w Sadon wydobywa się rocznie około 20.000 ton ołowiu i 10.000 ton cynku. Kopalnie ołowiano-cynkowe znajdują się głównie na Ałtaju, na południowym Uralu, w Zagłębiu Kuźnieckim, w republikach Kirgiskiej i Kozackiej. Największym producentem ołowiu w ZSRR jest Kazachstan, a cynku Kaukaz.

Związek Radziecki zajmuje trzecie miejsce na świecie w produkcji aluminium. Przemysł aluminiowy opiera się głównie na mało wydajnych pokładach bauksytu w Tichwinie, na wschód od Leningradu. Elektryczna woda w Wołkowie dostarcza prądu koniecznego przy produkcji aluminium. Część rud tichwińskich wysyłana jest do fabryk położonych niedaleko zapory na Dnieprze. Wysokogatunkowe rudy aluminiowe znajdują się koło Swierdłowska, na środkowym Uralu koło Nadieżdyńska, Alpajewska i Kamieńska, podczas gdy wielkie pokłady nefelinu na półwyspie Kola mogą również dostarczyć aluminium. Ogólna produkcja bauksytu w ZSRR wynosi 175.000 ton, a aluminium 56.800 ton.

Produkcja platyny w ZSRR równa jest wytwórczości Kanady, która zajmuje pierwsze miejsce na świecie: w produkcji złota Rosja zajmuje drugie miejsce po Unii Południowo-Afrykańskiej wydobywając około 145 ton kruszcza rocznie, głównie w dorzeczu Leny.

Produkcja cyny w ZSRR nie pokrywa wewnętrznego zapotrzebowania (12.000 ton w 1937 r.). 65% wytwórczości cyny pochodzi z okręgu Chity. Kopalnie cyny znajdują się również koło Wierchojańska w dolinie Jany, gdzie znajduje się także nikiel, molibden, ołów i srebro. Kombinat cynowy Zachodniego Wierchojańska zatrudnia ponad 5.000 robotników. Ponieważ produkcja jest niewystarczająca, pewne ilości cyny Rosja jest zmuszona importować.

PRZEMYSŁ CHEMICZNY

Ponad 2 miliony ton apatyty (fosforan wapnia), pół miliona ton nefelinu wydobywa się rocznie na półwyspie Kola wraz ze znacznymi ilościami molibdenu i siarczanu żelaza używanego w produkcji kwasu siarkowego. Nefelinu używa się w przemyśle aluminiowym i ceramicznym, a otrzymywany

przy tym potaż ma zastosowanie przy produkcji nawozów sztucznych. Apatyt używany jest do produkcji nawozów fosforowych w wielkich fabrykach nawozów sztucznych w Leningradzie. Te nawozy mineralne posiadają ogromne znaczenie dla rolnictwa ZSRR. Poza wielkimi pokładami wspomnianych kopalń na półwyspie Kola spotyka się je również w wielu miejscach Równiny Rosyjskiej, np. w okręgu Kirowa oraz Wiatki. Poza tym w rejonie Moskwy koło Woskriesieńska, m. Gorkij, w okręgu Kurska, na Ukrainie koło Konstantynowa, pod Aktiubińskiem oraz w Kazachstanie w Kara Tau ZSRR posiada ponad 63% zapasów fosforytów na świecie produkując 18% wytwórczości światowej.

Ważnym minerałem dla rolnictwa są związki potasowe. W 1929 r. odkryto na zachodnim Uralu około Solikamska duże pokłady soli kamiennej z zawartością potasu i sol magnezjowej. Sole potasowe znajdują się również w zachodnim Kazachstanie. ZSRR posiada pokładów tych na około 27,7 miliardów ton. Kopalnie soli potasowych koło Solikamska dostarczają surowiec do największego kombinatu chemicznego w Rosji w Bereznikach, gdzie wyrabiane są nawozy potasowe i azotowe. Węgiel dostarczany jest z Kizelu, a rzeka Kama ułatwia spław ich do Wołgi.

Nawozy azotowe produkuje się także w Stalinogorsku przy pomocy węgla z Zagłębia Moskiewskiego, w Zagłębiu Donieckim, Kuźnieckim oraz w Górlówce na Ukrainie, w okręgu m. Gorkij w Czernoreczeńsku, gdzie azot otrzymywany jest z powietrza.

Przemysł chemiczny ZSRR zaopatruje także w zasadnicze artykuły takie, jak soda, kwas siarkowy, kwas azotowy, związki chloru, amoniak itp. inne przemysły, jak np. mydlarski, farbiarski, papierniczy, kauczukowy, zapalczany itd.

Wiele fabryk chemicznych tworzy część ogromnych kombinatów przemysłowych, w których wszelkie produkty uboczne i odpadki są w pełni wykorzystywane. Np. wióry drzewne z tartaków zużywa się przy produkcji celulozy, jedwabiu sztucznego, spirytusu drzewnego itd. Nieprzebrane zapasy węgla, ropy, torfu, drzewa, fosfatów, chlorków sodu, potasu, siarki, rudy chromowej itd. tworzą podstawę surowców dla przemysłu chemicznego. Przed rewolucją 1917 r. 60% tego przemysłu grupowało się wokół Leningradu a 16% w okręgu Moskwy, a obydwa miasta były bardzo oddalone od głównych źródeł surowca.

Ogromne ilości chlorku sodu znajdują się wokół jezior Baskunczak i El-ton w pobliżu dolnej Wołgi oraz w innych częściach Kazachstanu, na Ukrainie oraz w republice Jakuckiej, na Uralu i w okręgu Irkućka.

Tani transport oraz opał znajdujący się na miejscu są ważnymi czynnikami w produkcji sody, a pod tym względem fabryki na Uralu zajmują uprzywilejowaną pozycję, gdyż węgiel dowożony jest tu z kopalń Kizelu, a rzeka Kama stanowi dogodną drogę transportu.

Wielkie pokłady siarczanu sodu zajmujące obszar blisko 12 tys. km² na wschodnim brzegu Morza Kaspijskiego w zatoce Kara Bogaz Gol posiadają wielkie znaczenie dla przemysłów papierniczego, farbiarskiego, szklarskiego i metalowego. Są one używane przy produkcji artykułu zastępczego dla kwasu siarkowego. Siarczan miedzi z Uralu i Kazachstanu oraz

siarczany z republik środkowo-azjatyckich używane są w produkcji kwasu siarkowego.

Duży nacisk kładzie się w ZSRR na produkcję syntetycznego kauczuku. Rosja nie posiada plantacji drzew kauczukowych i chcąc uniezależnić się od zagranicy w przemyśle elektrycznym i samochodowym pod względem zaopatrzenia się w ten surowiec musi szukać dróg dla zdobycia go we własnym zakresie. Między innymi z rośliny zwanej kok-sagiz otrzymuje się blisko 350 kg z jednego ha. W 1935 r. w Leningradzie wyprodukowano 200 tys. ton kauczuku z alkoholu etylowego otrzymywanego z ziemniaków. Syntetyczny kauczuk wyrabiany jest również ze zboża, z etylenu oraz z karbidu, a w Erywanii — z gazu otrzymywanego przy rafinowaniu ropy naftowej w kaukaskich rafineriach.

Karbid używany jest przy produkcji kauczuku syntetycznego w fabrykach Magnitogorska na Uralu i Czeremchowa we wschodniej Syberii.

Wydajność zakładów produkcji syntetycznego kauczuku na Uralu, w Woroneżu, Jarosławiu i Jefremowie posiada zasadnicze znaczenie. W 1940 r. 80% kauczuku zużytego przez ZSRR pochodziło z tych fabryk lub było otrzymanych z plantacji kok-sagizu.

PRZEMYSŁ DRZEWNY

ZSRR posiada największe na świecie rezerwy drzewne. Od 1917 roku wielkie połacie dziewiczych lasów zaczęto użytkować. Brakowi rąk roboczych, spowodowanemu odległością obszarów leśnych od zamieszkałych terenów, zaradzano przez zastosowanie mechanizacji przy wyрубie i transporcie drzewa. Zbudowano ponad 15.000 km dróg wodnych dla spławu drzewa, a około 200 tartaków i fabryk przetwarzało surowiec drzewny w standardowe części domów itp. W Kombinacie Drzewnym w Archangielsku, Permie, Kirowie i w Swierdłowsku, w Republice Karelskiej, Republice Komi, na Syberii i na Dalekim Wschodzie wszystkie stadia produkcji są ściśle z sobą powiązane. Głównym ośrodkiem handlu eksportowego drzewem jest Archangielsk.

Prawie połowa produkcji drzewa i papieru w ZSRR pochodzi z północnych i północno-zachodnich części Rosji Europejskiej. Około 1/4 papieru wytwarza okręg leningradzki. Wielkie papiernie znajdują się również w Kondopodze w Karelii, w Sokole koło Wologdy, w dolinie górnej Kamy, na zachodnim Uralu, w m. Gorkij, w Moskwie, w rejonie Penzy, koło Rżewa i na Białorusi oraz na terenach zachodnich, ostatnio przyłączonych do ZSRR.

PRZEMYSŁ METALOWY

Konstrukcja maszyn, głównie obrabiarek, tokarni i precyzyjnych instrumentów jest podstawą każdego przemysłu. W Rosji carskiej maszyny były głównie importowane z zagranicy. Fabryki budowy maszyn ograniczały się przeważnie do produkcji parowozów i wagonów. Większość

tego przemysłu znajdowała się w Środkowej Rosji, oddalona od hut Ukrainy, gdzie było tylko kilka fabryk.

Nowe ośrodki przemysłu maszynowego zostały założone po rewolucji, jak np. fabryki maszyn rolniczych w Rostowie i w Saratowie lub fabryki włókiennicze w Taszkencie. Obrabiarki, tokarnie i instrumenty precyzyjne są wyrabiane w Moskwie, Lenigradzie i w m. Gorkij. Największe fabryki traktorów znajdują się w Charkowie, Czelabińsku i Stalingradzie, gdzie obecnie wykończa się ich odbudowę. Samochody są dziś masowo produkowane w zakładach im. Stalina w Moskwie i fabryce im. Mołotowa w m. Gorkij, samochody ciężarowe są wyrabiane głównie w Jarosławiu. — Motory Diesla pod Moskwą, w Leningradzie i w m. Gorkij, a turbo-generatory w największych warsztatach mechanicznych w ZSRR, w Charkowie.

W Nowokramatorsku i Swierdłowsku wyrabiane są maszyny dla kopalń i dla przemysłu metalowego, instrumenty precyzyjne — w Złotouście, Czelabińsku i Swierdłowsku.

Fabryki parowozów i wagonów znajdują się w Woroszyłowgradzie i Niżnym Tagilu na Uralu. Daleki Wschód zaopatrzony jest w sprzęt kolejowy przez warsztaty w Ulan Ude w Buriackiej Mongolii. Poza tym warsztaty kolejowe i fabryki parowozów i lokomotyw mieszczą się w m. Gorkij, Kolumnie, Ordżonikidze, w Briańsku, Charkowie, Nowoczerkasku i Orsku na Uralu.

Stocznie okrętowe znajdują się w Lenigradzie, Nikołajewie, Sewastopolu i Władywostoku. Statki rzeczne są budowane w Komsomolsku nad Amurem, w stoczniach Sormowskich w m. Gorkij, koło Kazania, w Permie, Krasnoarmiejsku pod Stalingradem, w Kijowie oraz w Tjumenie nad Irtyszem.

Rozwój przemysłu konstrukcyjnego i maszynowego w ZSRR idzie w parze ze starannym szkoleniem fachowców, inżynierów, majstrów i mechaników, przy czym podstawą rozwoju tych przemysłów i centrum szkoleniowym pozostały zawsze Moskwa i Leningrad. Tam dokonuje się eksperymentów z nowymi wynalazkami, których późniejsza budowa jest wykonywana w innych częściach Rosji. Stamtąd wychodzą doświadczeni specjaliści dla szkolenia pracowników w całym Związku Sowieckim.

Moskwa i Leningrad są również ośrodkami produkcji obrabiarek, maszyn elektrycznych, maszyn do liczenia, zegarków itp. wyrobów wymagających wysokich umiejętności a stosunkowo niewiele surowca metalowego.

PRZEMYSŁ WŁOKIENNICZY

Przemysł włókienniczy był jedynym zmechanizowanym i stosunkowo znacznie rozwiniętym przemysłem w Rosji carskiej. Wyroby szły głównie za granicę. Eksportowano do Iranu, Afganistanu i Chin. Przemysł ten był prawie wyłącznie skoncentrowany w okręgach Moskwy i Iwanowa oraz Petersburga i bardzo oddalony od głównych źródeł surowca. Około połowy

surowej bawełny przychodziło ze Stanów Zjednoczonych, a druga połowa z Kaukazu i Środkowej Azji.

Po rewolucji otworzono cały szereg fabryk włókienniczych w pobliżu źródeł surowca w Barnaule, w Zachodniej Syberii, w Taszkencie i Aschabadzie w Środkowej Azji, w republikach kaukaskich oraz w okręgu środkowej Wołgi.

Fabryki jedwabiu, mieszczące się dawniej prawie wyłącznie w Moskwie, obecnie znajdują się w Leningradzie, Kijowie, na Ukrainie, w Azji Środkowej, w okręgu środkowej Wołgi, w Tjumenie, w Omsku, w Alma Ata i Semipałatyńsku.

Kombinaty uprawy lnu i produkcji płótna powstały na Białorusi, w Zachodniej Syberii, w okręgach Kalinina, m. Gorkij i Kirowa.

Okręg Iwanowa produkuje około 75% sowieckiej produkcji płótna. Pozostałe 25% wytwarzają okręgi: leningradzki, witebski i swierdłowski. Nowe fabryki powstały w Barnaule, Głazowie, Orszy, Smoleńsku i w Wołogdzie. Przędzę lnianą wytwarzają w Moskwie, w Orle, Tambowie, na północnym Kaukazie, w okręgu dolnej Wołgi, w Kazachstanie, w Republice Kirgiskiej i w Zachodniej Syberii.

Centrum przedziałniczym i tkackim dla bawełny jest Iwanowo. 2/3 robotników tekstylnych ZSRR są zatrudnione w produkcji tkanin bawełnianych, która stanowi najważniejszą gałąź radzieckiego przemysłu włókienniczego. Nowe fabryki przeróbki bawełny powstają obok terenów plantacyjnych w Środkowej Azji, Południowym Kazachstanie, Północnym Kaukazie i Zachodniej Syberii.

PRZEMYSŁ SPOŻYWCZY

Przemysł spożywczy w carskiej Rosji zajmował również poczesne miejsce, na równi z przemysłem włókienniczym koncentrował się przeważnie koło ośrodków konsumpcji, lecz stał na dość prymitywnym stopniu rozwoju. Dzisiaj miejskie młyny i prymitywne zakłady spożywcze zastąpione są wielkimi zmechanizowanymi kombinatami. W Moskwie, Leningradzie i w Baku znajdują się nowoczesne zakłady przemysłu mięsnego.

Wielkie kombinaty mięsne położone są zarówno w ośrodkach miejskich jak również w obszarach rolniczych Kazachstanu, Azji Środkowej, w dorzeczu Wołgi, na południowym Urału i we Wschodniej Syberii.

Kombinat w Ułan Ude wytworzył w 1940 r. 25 milionów ton mięsa konserwowego. Przemysł konserwowy rozwija się głównie na Ukrainie, północnym Kaukazie i w dorzeczu Wołgi, w okręgach bogatych w jarzyny, w owoce, oleje roślinne i ryby. Mleko w proszku i mleko kondensowane produkuje się w mlecznych obszarach Wołogdy, Baszkirii i Syberii. Wytwórnice syropu z ziemniaków i kukurydzy koncentrują się na Ukrainie, Białorusi i na północnym Kaukazie.

Rozwój przemysłowy Rosji nastąpił w ciągu 24 lat planowej gospodarki radzieckiej, która zamieniła zacofany kraj rolniczy w jedną z przodujących potęg przemysłowych świata. 80% produkcji przemysłowej ZSRR zostaje wytwarzane w zakładach zbudowanych między 1927 a 1937 rokiem. Na naukowych podstawach oparta racjonalizacja w gospodarce radzieckiej pozwala maksymalnie wykorzystać istniejące zasoby bogactw naturalnych i siły roboczej przy zastosowaniu najdalej idącej oszczędności.

Wspaniały rozwój przemysłu i rolnictwa ZSRR idzie w parze z podniesieniem poziomu kulturalnego ludów Związku. W Rosji carskiej przeszło 70% ludności nie umiało czytać i pisać. Dzisiaj analfabetyzm nawet w najodleglejszych republikach sowieckich należy do rzadkości. Narody radzieckie biorą czynny udział i odgrywają przodującą rolę w lokalnych rządach swych krajów. Ten rozwój ekonomiczny, cywilizacyjny i kulturalny narodów Związku stwarza nierozzerwalne więzy ich solidarności.

Braterstwo ZSRR wystąpiło w całej pełni w epokowym zwycięstwie nad najeźdźcą germańskim, występuje ono i dziś we wspólnej pracy nad odbudową i podniesieniem stopy życiowej wszystkich obywateli radzieckich.

Janusz Jeżewski.

ZRÓDŁA:

- 1) The USSR a geographical survey. J. S. Gregory and D. W. Shawe London, 1945.
- 2) The Soviet Asia R. A. Davis and A. J. Steiger, Gollanez, 1943.
- 3) S. P. Turin, The USSR An economic and social survey Menthen, 1944.
- 4) „Nasza strana“, artykuły Nr 11 1940; F. Laksowski i Kożewnikow — „Kuzbass“; N. Inickij — „Kuznieckij basen“.
- 5) Mirowoje choziajstwo i mirowaja politika.

Kazimierz Wyka

Czas jako element konstrukcyjny powieści

Zagadnienie, które zamierzam omówić w niniejszych uwagach stanowi wycinek problemu znacznie szerszego, a mianowicie roli czasu w gatunkach literackich. Dopuszczalne w danych warunkach rozmiary pracy nie pozwolą na to, bym mógł w sposób bardziej szczegółowy wejść w różnice pomiędzy czasem powieściowym a czasem innych gatunków literackich. Z góry to zaznaczam, albowiem dopiero na tle pełnego omówienia problemu czasu w odniesieniu do wszystkich gatunków literackich, ten trójdzielny, jaki proponuję, wygląd czasu powieściowego nabiera całkowitej wyrazistości, jak również dopiero w zestawieniu z nim czasy innych gatunków literackich zarysowują się w swym odrębnym wyglądzie.

Mimo to pewne ogólne uwagi wstępne są konieczne.

Przy teraźniejszej znajomości gatunków literackich wszelkie dawniej stosowane sposoby ich obiektywnego rozróżniania są nieaktualne i przestarzałe. Ostatnim prądem, dla którego gatunki literackie stanowiły rzeczywistość godną sporu i normy, był pseudoklasycyzm i jego poetyka normatywna. Przewiduje ta poetyka, że wielki temat bohaterski rozwiązywać może tylko tragedia, kategorię wzniosłości lirycznej tylko oda itd. Innymi słowy — gatunki literackie powstają z przydatności pewnych tematów i kategorii estetycznych do pewnych, niejako z góry przewidzianych dla nich form, a nieprzydatności dla form innych. Jeżeli to wspominam, to nie dlatego, by wyważać wrota dawno wywalone. Wiadomo, że rozwiązanie pseudoklasyków jest błędne. Natomiast nie jest błędem sama dążność do jasnego określania gatunków, tyle że całkiem gdzie indziej należy szukać jego kryteriów. Bo nie wystarczy również, wzorem późniejszych estetyków i samych twórców, granic i podstaw gatunków upatrywać w tym, jakoby wyłącznie liryka mogła być subiektywna zaś proza winna być obiektywna, jakoby wyłącznie dramatowi sądzone było operować działaniem, zaś prozie — relacją o rzeczach dokonanych etc. Wiemy doskonale, że właściwości estetyczne, przynależne zasadniczo pewnym gatunkom, wdzierają się w gatunki inne. Dramatyczną lub liryczną stawać się może powieść, realistycz-

nym ma'owidłem bywa dramat: Zeromski jest powieściopisarzem, a Nowaczyński dramaturgiem.

Z tych późniejszych zastrzeżeń co do stanowiska pseudoklasyków nie wynika jednak konieczność odmawiania mu wszelkiej słuszności. Przeciwnie, należy przyznać, że istnieją właściwości artystyczne całkiem nieprzenośne. Skrupulatna analiza psychologiczna, dobra w prozie, nieokreślona liryczność, dobra w poezji — zawsze się będą spierały z formą dramatu. I Przybyszewski zawsze pozostanie złym dramaturgiem. Dlatego to, chcąc ująć należycie podstawy gatunków, trzeba się rozglądać pośród takich ich właściwości, które nie determinując kategorii estetycznych, zawartych w danych rodzajach literackich, pojawiać się jednak muszą w ich strukturze i to w sposób odrębny w każdym gatunku literackim.

Jedną z tych właściwości jest stosunek do czasu jako elementu konstrukcyjnego. Możliwość takiego zużytkowania czasu w teorii gatunków literackich przeczuwał R. Ingarden w przypisie kończącym rozdział poświęcony „Czasowi przedstawionemu i perspektywie czasowej“ w dziele „Das literarische Kunstwerk“. Ponieważ uwagi moje w tym punkcie pracy będą w pewnej mierze po prostu rozwinięciem owego przypisu, pozwolę go sobie przypomnieć: „Wydaje mi się, że z analizy przedstawionego czasu dają się wyprowadzić istotne różnice pomiędzy prawdziwą liryką, epiką i dramatem, chociaż naturalnie różnice pomiędzy tymi gatunkami literackimi nie wyczerpują się na tym“ (str. 245 — 6).

W dawniejszych, klasycznych dziełach z teorii powieści (Spielhagen, Dibelius) wysuniętego obecnie problemu w ogóle się nie porusza. Nie napotykały go także w mogących wejść tutaj w rachubę wyznaniach samych pisarzy (listy Flauberta, Zola). Rzecz dziwniejsza — nie znaleźliśmy go również tam, gdzie sam temat zdaje się go narzucać: np. książka Käthe Friedemann „Die Rolle des Erzählers in der Epik“. Prekursorskie znaczenie posiada natomiast bardzo mało znana, a znakomita rozprawa Tadeusza Zielińskiego, oświecająca stosunek do czasu w eposie starożytnym — „Die Behandlung gleichzeitiger Ereignisse im antiken Epos“. Dopiero w latach międzywojennych „Rola czasu w rodzajach literackich“ stała się tematem tak nazwanego szkicu J. Kleinera. Kleiner ustalił „listę pełną rodzajów literackich opartą na uwzględnieniu czasowości“ — przy czym główne rodzaje literackie: epika, liryka i dramat zostały ujęte jako poezja przeszłości, teraźniejszości i dążenia w przyszłość. Ujęcie takie wydaje się jednak za mało sprecyzowane (jak słusznie zwracał uwagę T. Witwatowski w recenzji zamieszczonej w „Ateneum“, maj 1939), przede wszystkim z racji pominięcia powieści, ponadto z racji niedostatecznego określenia o jaką sferę czasu chodzi przy tych rozróżnieniach.

Najgłębiej w problem czasu sięgnął R. Ingarden w rozdziałach książki „O poznawaniu dzieła literackiego“, poświęconych „Zjawiskom perspektywy czasowej“ oraz „Perspektywie czasowej w konkretyzacji dzieła literackiego“. Na konkretnych analizach ukazał Ingarden, w jaki sposób sztuka powieściowa wyzyskuje zachodzące w naszym przeżywaniu czasu zjawiska perspektywy czasowej, tzn. skracanie lub wydłużanie się w wspomnieniu

faz przeżytych, zmienność dynamiki tych faz, zmienność ocen tego, cośmy przeżyli zależnie od przeżyć późniejszych itd.

Ingarden zwraca wreszcie uwagę, że rola czasu w dziele literackim jest podwójna: „z jednej strony zdarzenia i procesy przedstawione w dziele przejawiają się w takich lub innych perspektywach czasowych, z drugiej zaś fazy konkretyzacji tych części dzieła (we wszystkich jego warstwach), które już przeczytaliśmy, również występują w tych perspektywach“. Z jednej strony zatem dzieła literackie zużytkowują czas jako pewien składnik konstrukcyjny, z drugiej same jako całość podległe są przy czytaniu działaniu czasu.

Mając w pamięci to rozróżnienie, do którego zaraz powrócimy, wejdźmy od razu in medias res. Na ilu i na jakich płaszczyznach czasu rozgrywa się powieść?

Stawiając takie pytanie, wykluczam od razu, dla jasności sprawy, te perspektywy czasowe, które nie powinny tu wchodzić w rachubę. Przede wszystkim zakładamy, jak gdyby płaszczyzny czasowe powieści odślaniały się czytelnikowi bez udziału skrótów czasowych, wywoływanych samym faktem czytania (druga część cytowanych zdań Ingardena). Jest to wprawdzie założenie trochę dowolne, ale przy apercypowaniu powieści perspektywy czasowe, jakie narzuca sam układ utworu, posiadają taką przewagę nad tymi, jakie stwarza fakt czytania, zapamiętywania, względnie zapominania, skracania się akcji w miarę lektury, iż przy badaniu obiektywnego wyglądu czasowego powieści ten drugi moment możemy spokojnie pominąć. Pomijam również różnice pomiędzy ogólnymi czasami narracji i zdarzeń, a czasami poszczególnych postaci powieściowych, ponieważ te pierwsze posiadają przewagę podobnego rodzaju.

Po drugie: czasowej perspektywy powieści nie rozumiem według wskazówek Ingardena i dlatego to posługuję się raczej określeniem „płaszczyzn“ czasowych niż perspektywy. Ingarden mianowicie przez perspektywę czasową pojmuje to, że dzieło literackie może realizować wiele zjawisk zachodzących w fenomenalnym przeżywaniu czasu. Nie chodzi mu zatem o kategorie specjalnie artystyczne, przynależne dziełom literackim, ale o zgodność wyglądown tych dzieł z ogólnymi kategoriami czasu. Zgodność podczas ich odczytywania. Za pośrednictwem zaś jakich, tylko w prozie pięknej użytkowanych metod, osiągają dzieła literackie ową zgodność, ten problem nie pojawia się u Ingardena. Ja zaś, mówiąc o płaszczyznach czasowych powieści mam na myśli właśnie te sposoby konstruowania czasu, które spotykamy tylko w literaturze: narracja, akcja, przemiany środowiska.

Ingarden powtarza wielokrotnie w „Das literarische Kunstwerk“, że czas istniejący w dziele literackim stanowi tylko Analogon czasu rzeczywistego, intersubiektywnego bądź subiektywnego, analogon pozbawione tej ustawicznej ciągłości, jaką posiada czas rzeczywisty. Zamierzam moim jest na przykładzie powieści ukazać, w jaki sposób, z jakich środków właściwych tylko dziełom literackim, buduje powieść ów układ analogiczny. Tym to jest konieczniejsze, że, jak Ingarden zaznacza, fakt — cytuję — „że jedno

i to samo wydarzenie może być poniekąd równocześnie przedstawione z dwóch różnych stanowisk orientacji czasowej“, ten podstawowy dla sztuki narracyjnej fakt — cytuję znów — „podwójnej orientacji czasowej możliwy jest tylko w świecie przedstawionym“. (str. 243). W żadnej sferze, nie tylko rzeczywistości, ale i sztuki, niemożliwe jest to najprostsze we współczesnej powieści zjawisko, że o pewnym wydarzeniu opowiadają w jakiś czas po nim dwie, trzy osoby, z autorem włącznie.

Po trzecie — mam zamiar mówić tylko o czasie, jako elemencie konstrukcyjnym powieści, a nie o czasie jako elemencie ewokatywnym w powieści. Posłużę się pewnym przykładem. W poznańskim dwutygodniku „Życie literackie“ ogłosił niedawno Adam Podkowiński szkic pt. „Sztuka Conrada“. Czytamy tam takie zdania: — „w przeciwieństwie np. do dwóch wielkich, mniej więcej współczesnych mu prozaików, jak Proust i Tomasz Mann, dla których czas jest zasadniczym elementem kompozycji, jakby samym tworzywem twórczości... dla Conrada czas nie odgrywa właściwie żadnej roli... Conrad nie czuje czasu“.

Jest to kompletna bzdura, jeżeli chodzi o rolę konstrukcyjną czasu u Conrada. Conrad bowiem jest w tej mierze największym mistrzem w literaturze świata. Ale czas, chociaż tak wybitną gra rolę w powieściach Conrada, stanowi u niego zawsze tylko element budowy utworu. Conrad nie stara się w sposób jak najwierniejszy psychologicznie odtworzyć strumienia czasu w tych jego nieoczekiwanych kształtach, jakie napotykamy w naszym przeżyciu. Conrad nie ewokuje czasu, lecz nim się posługuje. Proust natomiast właśnie zmierza do tego, by ów strumień nakreślić we wszystkich jego kaprysach, niespodziankach, w jego zmianach tempa. Dzieło Prousta uległe jest wobec tych niespodzianek, stara się za nimi nadążyć, ukazać nieoczekiwany bieg wspomnień, nakładanie się przeżyć, wydłużanie się momentów, kiedy intensywnie przeżywamy teraźniejszość. Proust nie posługuje się czasem, lecz ulega mu, ewokuje go nie bacząc, jakie stąd wynikną skutki dla konstrukcji dzieła. U Conrada konstrukcja skończona i zwarta jest celem, któremu również i czas służy.

W tym to sensie wprowadzam rozróżnienie pomiędzy konstruktywną a ewokatywną rolą czasu w powieści, ograniczając swoje uwagi wyłącznie do pierwszej. Na marginesie jedynie zaznaczę, że różniczne uwagi na temat czasu powieściowego, które spotykamy u nowszych krytyków i badaczy, odnoszą się prawie wyłącznie do pomijanej teraz przeze mnie ewokatywnej roli czasu. Dlatego też o nich nie wspominać.

Na ilu, tak ograniczonych, płaszczyznach czasu rozgrywa się powieść?

Powieść wraz z całą literaturą należy do sztuk pełniących sobą czas, w przeciwieństwie do sztuk pełniących przestrzeń, jak np. malarstwo czy architektura. W terminologii niemieckiej *Zeit* i *Raumkunst*. Powieść wszakże zapełnia czas na sposób odmienny, aniżeli jej krewniacy. Różnicy owej, a zarazem dwoistości czasowej powieści nikt nie ujął celniej od pisarza, znakomicie wyzyskującego te problemy we własnej twórczości. Jest nim Tomasz Mann; odnośny cytat pochodzi z IV tomu „Czarodziejskiej góry“:

„W tym właśnie, jako się rzekło, podobną jest muzyka do powieści, że w przeciwieństwie do dzieł malarskich lub plastycznych, obecnych równocześnie w całości i tylko jako materia z mijaniem powiązanych, muzyka jest wyłącznie kolejnym następstwem, objawić się może nie inaczej, jak w ciągłym ruchu, a gdyby nawet chciała każdej chwili skostnieć w odrębną całość, to i tak do skryształizowania się potrzebuje czasu.

To jest jasne jak na dłoni. Niemniej istnieją wszakże pewne różnice. Element czasowy muzyki jest jednorodny; ot, zwykły sobie wycinek ludzkiego czasu, w który się wlewa muzyka, aby go podnieść na nieznaną wyżynę i uszlachetnić. Opowieść ma natomiast czas dwojaki; po pierwsze czas własny, realnie muzyczny, który warunkuje jej przebieg, jej kształt właściwy, po wtóre czas własnej treści, ujęty perspektywnie i to w sposób tak różnorodny, że czas wyobrażeniowy i muzyczny opowieści mogą się z sobą niemal, a nawet zupełnie pokrywać, lub też oddalać się od siebie o cale niebo. Utwór muzyczny pt. „Walc pięciominutowy“ trwa pięć minut — na tym, a nie na czym innym polega jego stosunek do czasu. Opowieść, której czas trwania ze względu na treść wynosi minut pięć, trwać może faktycznie tysiąc razy dłużej na skutek niezwykłej skrupułałości w zapełnieniu tych pięciu minut treścią — a przy tym „czas może przy jej czytaniu mknąć szybko“, choć w porównaniu z czasem formalnym wlecie się w nieskończoność. Możliwe jest również, że czas treściowy opowieści rozciąga w nieskończoność drogą skrótów jej czas formalny“.

Ogólny czas powieści daje się zatem podzielić na dwie płaszczyzny: czas narracji i czas zdarzeń powieściowych. U Manna — czas realnie muzyczny, narracji, i czas własnej treści, akcja. Przez czas narracji rozumiem tę płaszczyznę umownego czasu wewnątrz utworu, na której pisarz umieszcza swoją relację. Pisarz bowiem albo opowiada o zdarzeniach, „właśnie“ w chwili opowiadania zachodzących, albo o zdarzeniach, które się już odbyły w mniejszym lub większym dystansie od czasu narracji. Przez czas zdarzeń powieściowych rozumiem tę płaszczyznę czasu, na której pisarz każe się rozwijać zdarzeniom poddanym relacji.

Czas narracji i czas zdarzeń mogą się ze sobą pokrywać, i to nieraz tak ściśle, że w zwykłym czytaniu całkiem nie odczuwamy ich równoczesnej a dwoistej obecności. Czasy te mogą się również rozszczepiać na całkowicie samodzielne płaszczyzny artyzmu. Ta możliwość rozszczepienia świadczy o zjawisku, które przy pozornym zespoleniu czasu narracji i czasu zdarzeń nie występuje na jaw: czas narracji posiada prymat przed czasem zdarzeń. Posiada go w tym sensie, że nawet wówczas, kiedy czas narracji nie wyodrębnia się wyraźnie, zdarzenia powieściowe są od niego „dawniejsze“, bardziej zanurzone w przeszłość. Gdyby nie ten prymat idealny, istniejący nawet wtedy, kiedy nie staje się widoczny w tekście, byłoby rzeczą nie do pojęcia, dlaczego czas narracji może się ukształtować w medium całkiem odrębne zdarzeniom objętym narracją, narzucające swój dystans czasowy i zmiany tego dystansu.

Nawet jednak tam, gdzie nie dokonano się jeszcze ukształtowanie odrębnego medium narracji, prymat czasu narracji nad czasem zdarzeń daje się dostrzec przy uważniejszym czytaniu.

„W końcu listopada, w odwilż, o godzinie 9 rano, pociąg drogi petersbursko-war-szawskiej całą siłą pary dochodził do stolicy. Była taka wilgoć i mgła, że z trudnością światło; o dziesięć kroków na prawo i lewo od toru kolejowego nie sposób było cośkolwiek bądź dojrzeć z okien wagonu. Między pasażerami było paru powracających z zagranicy; przedziały klasy III były najbardziej zapchane ludem, jak zawsze, prostym, trudniącym się interesami, ludem z pobliskich okolic... W jednym z wagonów III klasy od świtu siedzieli naprzeciw okna dwaj pasażerowie, obaj ludzie młodzi, obaj niezbyt elegancko, trochę może za lekko ubrani, obaj o dosyć niepospolitych twarzach i obaj skłonni do nawiązania rozmowy“.

Oto pierwsze zdania „Idioty“ Dostojewskiego. Przeczytajmy z kolei początek „Braci Karamazow“.

„Aleksy Federowicz Karamazow był trzecim synem obywatela naszego powiatu, Fedora Pawłowicza Karamazowa, którego tragiczny i niewyjaśniony zgon był w swoim czasie, tj. dokładnie trzynaście lat temu, szeroko omawiany (i dziś jeszcze zresztą wspomina się o tym w naszym partykularzu). Do owego tragicznego faktu wróć jeszcze w stosownym miejscu, tymczasem zaś zajmę się osobą samego „ziemianina“, jak Fedora Pawłowicza nazywano, mimo że większą część życia spędził poza swym majątkiem. Chwilowo powiem tylko tyle, że był to dziwny typ, dosyć zresztą rozpowszechniony, typ osobnika nie tylko wyużdanego i nikczemnego, ale i w dodatku znikowanego“.

Te dwa urywki relacji powieściowej na pozór niczym się między sobą nie różnią. Nie ma w nich przede wszystkim tego wyraźnego rozszczepienia czasu zdarzeń i narracji, jakie znajdować będziemy u Conrada i jego poprzedników. Mimo to wyraźną różnicę w stosunku tych relacji do sprawy czasu stwierdzimy stawiając proste pytanie: w którym z tych urywków czas narracji zdaje się zupełnie nie istnieć jako odrębna płaszczyzna?

Niewątpliwie w urywku z „Idioty“ dzieje się to dlatego, ponieważ wzięte przez narratora zdarzenia tak są bliskie, tak są „równoczesne“, że jakakolwiek odległość pomiędzy nimi a narracją przestaje być odczuwana. Autor może mówić wprost o zdarzeniach, nie ujawniając specjalnie, że właściwie mówi, że właściwie referuje. Natomiast w ustępie drugim sprawy wzięte za przedmiot narracji tak są wobec niej „odległe“, więcej zanurzone w przeszłość, o tyle mniej ważne ze stanowiska rychłych zdarzeń powieściowych, że natychmiast nad zdarzeniami prymat uzyskuje narracja. I czujemy doskonale, że przy pierwszej metodzie jesteśmy bardziej w medium czasowym zdarzeń powieściowych, przy drugiej bardziej w medium czasowym narracji.

Przymiotniki „dawniejszy“, „odległy“, „równoczesny“ kładę stale w cudzysłowie. Czynię tak dlatego, ponieważ nie określiliśmy dotąd miejsca w strukturze powieści, do którego się odnoszą te określenia. Wobec czego odległy, z czym równoczesny?

Czas narracji i czas zdarzeń można porównać do dwóch wykresów, których amplitudy nie układają się bynajmniej wobec siebie równolegle, lecz bądź zbliżają się ku sobie tak ściśle, że zdaje się zanikać wszelka odległość pomiędzy nimi, bądź odbiegają od siebie bardzo daleko. Amplituda zda-

rzeń nigdy jednak nie może przekroczyć amplitudy narracji. Co najwyżej, poczyna się bardzo ku niej zbliżać, nakrywając się tylko w rzadkich momentach narracji całkiem dramatycznej, kiedy pisarz posługuje się czasem terazniejszym.

„Oto nasz dobry znajomy, oto Hans Castorp. Poznaliśmy go już z daleka po bródce, której urósć pozwolił, gdy siedział jeszcze przy złym stole rosyjskim. Płonie, choć przemoczony do nitki, jak wszystkie. Biegnie ociężałymi od grud nogami, w zwłajającej pięści polyska bagnet. Patrzcie, nastąpił na rękę koledze, który padł — wdeptuje podkutymi butami tę dłoń głęboko w błotnisty, okruciami konarów pokryty grunt. On to jest, mimo wszystko”. („Czarodziejska góra“, IV, 271).

Jednak i w tym wypadku zupełna zbieżność czasu narracji a czasu zdarzeń jest dosyć pozorna. Jest to bowiem tylko zbieżność gramatyczna, funkcjonalnie odczuwana jest ona całkiem inaczej. Sama nazwa podobnego postępowania gramatycznego — praesens historicum — świadczy, że tę rzekomą równoczesność relacji i faktu odczuwano zawsze jako wtęret i zastępstwo formy właściwej, historycznej. Tak więc nawet przy zupełnej bliskości amplitud trwa pewien dystans wywołany samym użyciem czasu przeszłego.

Ta najcieńsza linia dzieląca jeszcze zdarzenia od narracji naruszana bywa rzadko, a już nie sposób wyobrazić sobie powieści napisanej całkowicie w praesens historicum. Byłby to dziwoląg niedopuszczalny głównie dlatego, ponieważ czas przeszły narracji jest ostatnim, ale już niezastąpionym śladem obecności narratora w jego funkcji utrzymywania prymatu nad zdarzeniami. Czas przeszły narracji nie wskazuje, wobec jakiego to dokładnie momentu zdarzenia opowiadane są przeszłe, wskazuje jedynie, że są przeszłe, co dla narracji wystarczy.

Analizowaną tu odległość amplitud czasowych możemy wymierzać na każdym urywku powieści i do niej to, do owej odległości zmiennej, odnoszą się terminy — bliski, odległy. Bliski — wobec danego właśnie momentu narracji; daleki — od tego a nie innego urywka narracji; zawsze po linii prostopadłej, tnącej nasze idealne amplitudy. Przekrojów, których dokonywaliśmy na początkach powieści, dokonywać można w każdym jej miejscu i zawsze terminy oznaczające tę względną rozpiętość będą się odnosić do danego jedynie punktu.

Na czym właściwie polega podobnie ujmowany stosunek czasu narracji do czasu zdarzeń? Zasada się on na różnicy między względnymi długościami obydwu czasów. Czas narracji wobec czasu zdarzeń może posiadać trzy rodzaje długości względnej. W pierwszym wypadku może się formalnie pokrywać całkowicie (praesens historicum), albo prawie całkowicie (czas przeszły zwykłej relacji) z czasem zdarzeń. Wówczas to, jak w urywku z „Braci Karamazow“ nie czujemy jego obecności, ponieważ nie czujemy, czy stęszcza on sprawy czasowo rozległe, stając się od nich względnie krótszym, albo też czy przystaje nad fazami względnie krótkimi, stając się od nich

dłuższym. Wówczas niejako zanurzamy się w medium zdarzeń bezwzględnym, albowiem nie jesteśmy przyciągani ku żadnej z obydwu ewentualności. Czas zdarzeń i narracji biegną jak dwa pociągi poruszające się równoległe do siebie z tą samą szybkością i nie czujemy przez to różnicy ich ruchu.

Czas narracji może być jednak pozornie krótszy od czasu zdarzeń — możliwość druga:

„Ojciec jego, pan Karol Dionizy Bartłomiej Bovary, dawny pomocnik sztabowego chirurga, skompromitowany około 1812 roku w sprawach rekruczkich i zmuszony wskutek tego służbę opuścić, skorzystał w tym samym czasie z osobistych swoich zalet i w lot pochwyił posag 60.000 franków, który mu się nawinął w postaci córki czapnika, rozkochanej w jego powabach. Piękny mężczyzna, blagier, miał zwyczaj brzęczeć głośnie ostrogami, nosił faworyty połączone z węsami, na palcach pełno pierścieni i ubierał się w jaskrawe barwy, co wszystko nadawało mu pozór marsowy, przy łatwym obejściu podróży komisarza. Ożeniwszy się, żył kilka lat kosztem żony, dobrze jedząc, dobrze się wysypiając, paląc tytoń z wielkich porcelanowych fajek, powracając do domu dopiero po teatrze i przesiadując po kawiarniach“. („Pani Bovary“).

W cytacie powyższym Flaubert streścił wiele lat poprzedzających rozpoczęcie właściwej akcji powieści. Ale czas narracji — możliwość trzecia — zwłaszcza kiedy się wyodrębni w ramach relacji bezpośredniej, stawać się może niepomiaralnie dłuższy od czasu objętych nim zdarzeń. Dzieje się to bardzo często przy ewokatywnym traktowaniu czasu, jak np. w słynnym rozdziale „Czarodziejskiej góry“, zatytułowanym „Śnieg“, jak w przeróżnych partiach Prousta czy Joyce'a, przede wszystkim jednak, jak dopiero co zaznaczyliśmy, zachodzi przy narracji wyodrębnionej: w „Lordzie Jimie“ stosunek licznych relacji do samego czasu katastrofy „Patny“, w „Zazdrości i medycynie“ stosunek ich do czasu operacji Rebeki.

Czyżby więc owa względna długość układała się w sposób całkiem dowolny? Czyżby każda z tych możliwości posiadała równe znaczenie dla czasowej konstrukcji powieści? Bynajmniej. Na postawione pytanie odpowiemy rozpatrując przede wszystkim, która z tych trzech możliwości jest najmniej dla powieści przydatna. Uważniejsza lektura takiego tekstu, jak początek „Pani Bovary“, wskazuje, że chociaż czas narracji może być krótszy pozornie od czasu zdarzeń, ale zasadniczo biorąc użytek artystyczny takiej metody jest tylko uboczny. Powieść może wprawdzie posługiwać się szybką informacją, w jednym zdaniu streszczać całe lata, musi nawet niekiedy przy sprawach ubocznych w taki sposób postępować, jako całość artystyczna nie powstałaby jednak nigdy przy podobnym stosunku czasu narracji do czasu zdarzeń. Powieściopisarz, który by w podobny sposób, jak w cytacie z „Pani Bovary“, usiłował napisać całą powieść, napisze najwyżej streszczenie, referat, ale nigdy nie osłagnie konstrukcji artystycznej. Czas narracji krótszy od czasu zdarzeń jest ze stanowiska powieści zjawiskiem małoważnym, drugorzędnym.

Jeżeli zatem taki stosunek nie jest specjalnie przynależny do sfery artyzmu powieściowego, skąd się on bierze? Czas narracji, tutaj należałoby

ściślej powiedzieć — czas wypowiedzi nie liczący się z tym, jak rozległe w czasie zjawiska obejmuje on i streszcza, stanowi normalną właściwość mowy, jako funkcji streszczania zjawisk i zmiennych formacji czasu. „Minało pięć lat“, „przeminięły wieki“, to normalne zwroty porozumiewawcze języka codziennego, w których nie pytamy o stosunek czasu wypowiedzi do czasu objętego daną wypowiedzią. Słowo bowiem w swojej roli znaku porozumiewawczego nie akcentuje specjalnie tego stosunku. Słowu ograniczonemu do tej roli wystarczą same kategorie gramatyczne, a nie pyta ono o stosunek tych kategorii do zawartych w nich oznaczeń czasowych. „Minał dzień“, „minął rok“, „minęła wieczność“ — powiedzenia takie ze stanowiska ich funkcji porozumiewawczej są do pewnego stopnia identyczne. Nie oznaczamy innym „minął“ wieczności, innym „minął“ dnia. Powieść nie może niekiedy obejść się bez podobnego postępowania, musi je zapożyczać wprost z języka przedartystycznego. Wszelako konieczność ta nie posiada wagi, jeżeli oceniamy ją z punktu widzenia świadomości artystycznej konstrukcji czasowej.

Tak więc z trzech przedstawionych możliwości czas naracji, krótszy pozornie od czasu zdarzeń, okazuje się zjawiskiem, które nie jest jakąś specjalną właściwością powieści. Typowe dla powieści jako gatunku literackiego stosunki pomiędzy czasem narracji a zdarzeń są więc inne. Typowym zjawiskiem jest albo powieść całkowicie zbudowana z medium czasowego zdarzeń, albo też w odpowiedni sposób układająca czas narracji i czas zdarzeń. Czas artystycznej narracji powieściowej nie jest więc nigdy, poza bardzo krótkimi wstawkami informacyjnymi, krótszy od czasu objętych nią zdarzeń. Co najwyżej jest równy: powstaje wówczas ujęcie dramatyczne, także niestosowane w powieści w dłuższych partiach, najczęściej jednak bywa ten czas dłuższy. Dlatego to właśnie czas narracji może się wyodrębnić w osobną płaszczyznę, dlatego również, nawet nie wyodrębniając się wyraźnie, posiada idealny prymat nad czasem zdarzeń.

To wymierzanie względnej długości zachodzącej pomiędzy konstruktywnymi czasami powieści stanowi pewną próbę nazwania zjawisk, które zachodzą w jej budowie. Stosunki pomiędzy czasem narracji a czasem zdarzeń dają się w ten sposób najprościej ująć, ale zdajemy sobie sprawę, że nawet tak je ujmując — nie tłumaczymy jeszcze pocierodzenia niewątpliwej przewagi czasu narracji nad innymi warstwami czasu powieściowego.

Objaśnijmy rzecz na cytowanym już przykładzie.

„W jednym z wagonów III klasy od świtu siedzieli naprzeciw okna dwaj pasażerowie, obaj ludzie młodzi“. Zapomnijmy, że jest to zdanie powieściowe. Ilekroć je powtórzymy, za każdym powtórzeniem posiada takie zdanie dwa aspekty czasowe: jeden aspekt zawarty jest w samej formie gramatycznej, drugi wynika z okoliczności, że właśnie teraz, aktualnie dane zdanie wygłaszamy, względnie odczytujemy. Na jakiś więc sposób, niezależnie od tego, jak by aspekt formalno-czasowy w sobie mieściło, zdanie podobne przynależy do naszej aktualnej teraźniejszości, stanowi jej część, uczestnicząc tym samym we wszystkich cechach, jakie ona posiada. Jest przeszłe czy przyszłe, dokonane czy niedokonane — o tym decyduje jego

forma gramatyczna; zarazem przecież jest terazniejsze, ilekroć do niego powracamy.

W tym ostatecznie mieści się, jak sądzę, wyjaśnienie prymatu czasu narracji nad pozostałymi czasami powieści, prymatu, który schematyzujemy we względną długość czasów. Na powyższe wyjaśnienie naprowadza rozprawa H. Conrad-Martius „Die Zeit“ (niestety w Krakowie mi niedostępna), tak że posługuję się tymi wnioskami i wskazówkami, jakie z niej przytacza i rozwija R. Ingarden w „Das literarische Kunstwerk“. Cytuje: «wszelka terażniejszość rzeczywistego czasu (zarówno intersubiektywne, co, jak subiektywnego) posiada wyraźną wyższość (Vorzug) ontyczną nad „rzeczywistą“ przeszłością oraz w jeszcze wyższym stopniu nad wszelką przyszłością. Zarówno wszelkie teraz, jak i to, co jest rzeczywiście dane w momencie terażniejszym, wyróżnia się dobitną aktualnością, której nie posiada ani przeszłość ani przyszłość. Tej aktualności nie należy rozumieć w sensie jakiegś specjalnej żywotności czy dokuczliwości, aczkolwiek i te momenty również charakteryzują terażniejszość, lecz tylko w sensie „in actu esse“. To „in actu esse“ jest w ścisłym sensie właściwością tylko terażniejszości i tego, co w terażniejszości realnie istnieje».

Czyli innymi słowy, stosując tę przenikliwą obserwację do naszych zdań: sam fakt mowy, szczególnie zapisanej, ilekroć jest ona odtwarzana, odczytywana czy wygłaszana, uczestniczy w charakteryzującym terażniejszość „in actu esse“ i przez to podobnie jak każdy fakt umieszczony w terażniejszości, nabiera swoistej przewagi nad faktami o innej przynależności czasowej. Ta wyższość i przewaga posiadają w powieści specjalną perspektywę, niespotykaną nigdzie prócz aktualizującego się wspomnienia. Z jednej bowiem strony forma gramatyczna wskazuje na przeszłość; mimo to — z drugiej strony sam fakt terażniejszego, aktualnego wygłaszania, względnie odczytywania posiada w tego rodzaju zestawieniu temporalnym swoisty prymat, swoistą przewagę. Szczególnie jest to widoczne w powieści. Dwaj młodzieńcy w wagonie III klasy nigdy nim rzeczywiście nie jechali, jadą zaś tylko dlatego, ponieważ przez użycie czasu przeszłego i przez wmontowanie go w rozległą konstrukcję opowieści — teraz, aktualnie o tym się opowiada. I odbywają tę podróż tyle razy, ilekroć odcytujemy odnośne zdania.

Stąd dalsza uwaga. Ingarden stwierdza z pełną słusnością, że czas przynależny do niwy realnego świata dzieł literackich stanowi tylko analogon czasu rzeczywistego. W dziele literackim możliwe jest tylko złudne „in actu esse“, pozorna terażniejszość, przeszłość i przyszłość. Jest to słuszne dla wszelkich płaszczyzn czasu powieściowego z jednym wszakże wyjątkiem: samego aktu narracji. Akt narracji, ilekroć go odtwarzamy, uczestniczy w naszej aktualnej terażniejszości, nabierając tym sposobem właściwej jej wyższości ontycznej. W tej wyższości, by wrócić do początku przeprowadzanej teraz dygresji, zawiera się powód, dlaczego różnicę w powieściowej wartości czasów możemy również wyrażać na inny sposób, mianowicie w kategoriach względnej długości czasów.

Istnieje zatem w akcie narracji podwójna perspektywa czasowa: odnośząc się swoją zawartością czasową do okresu minionego, narracja dzięki

owładnięciu terażniejszością czytelnika powołuje niejako przeszłość do aktualnego istnienia. Taki wygląd czasowy dzieli akt narracji z jednym zjawiskiem: z funkcją wspomnienia. Wspominając, podobnie stawiamy się na podwójnej płaszczyźnie. Wywołujemy przeszłość i jej treści. Dlatego wiąże te sprawy, ponieważ funkcja wspomnienia stanowi jeden z najważniejszych czynników w powstawaniu i budowie dzieła sztuki — chociażbyśmy nawet tej roli nie stawiali tak wysoko, jak to czyni E. Abramowski.

Wspominanie z narracją w swoisty sposób łączą się i uzupełniają. Łączą się przez podobną dwoistość planu czasowego, istniejącą w narracji i we wspomnieniu, nigdzie zresztą poza tym. Uzupełniają się natomiast w tym znaczeniu, że narracja, jako rzutująca w terażniejszość, stanowi przeciwwagę dla wspomnienia, które jest bardziej wymierzone w przeszłość. Wspomnienie stara się znieść krępujące je zakotwiczenie w terażniejszości, która, nawet gdy wspomniamy, prześwieca jakąś wyższą prawdą i dobitniejszą realnością. Dlatego też wspomnianie tak chętnie przechodzi w marzenie; marząc, znosimy dokuczliwą obecność rzeczy terażniejszych, marząc, przenosimy się fikcyjnie w to, co minione. Funkcja wspomnienia, będąc więc dwuplanową w czasie, zmierza przede wszystkim ku planowi minionemu. Akt narracji, też będąc dwuplanowym, zmierza przede wszystkim ku planowi terażniejszemu, odtwarzającemu, unoczniającemu. Tak więc w organizacji dzieła literackiego niedobory czasowej gospodarki jednej z omawianych funkcji całkowicie rekompensuje druga.

Powróćmy obecnie do dalszej szczegółowej analizy czasu powieściowego.

Czas narracji i czas zdarzeń rozpatrywaliśmy dotąd — nie pytając, czy pomiędzy tymi płaszczyznami czasu a czasem fizycznym i psychologicznym zachodzą związki i jakiego gatunku być one mogą. Powieść ustanawia własne początki czasu, a iluzja powieściowa jest zbudowana na domniemanym istnieniu pewnego wycinka czasu, który rozpoczyna płynąć od miejsca określonego przez autora i wciąga nas w swoje łóżysko. Poczyna płynąć tak, jak gdyby przed tymi początkami nic się nie działo. Sam idealny punkt czasu, od którego poczyna się rozwijać czas powieściowy, ważny jest jedynie ze względu na zdarzenia, które nastąpią w ramach powieści. Jego miejsce w czasie obiektywnym jest tylko z pozoru określone. „W końcu listopada, w odwilż, o godzinie 9-ej rano, pociąg drogi etc”. —

„W niedzielę, o wpół do ósmej rano, Lipecki wyjechał z Warszawy na wieś do swoich krewnych, państwa Sieszyńskich, u których spędzała wakacje jego żona z dzieckiem”. (Perzyński: „Nie było nas, był las”).

Ze to dokładne oznaczenie godziny w listopadzie, godziny w niedzielę jest fikcją wobec realnego, astronomicznego przebiegu czasu, dowodzić nie potrzeba. Co więcej — fikcyjny charakter czasu powieściowego występuje tym silniej, im dokładniej jest oznaczony ten pierwszy moment, od którego zaczynają się nakładać kulisy czasowe wydarzeń i narracji. Jeżeli Lipecki jakiegoś niedzieli jakiegoś tam roku o wpół do ósmej rano wyjechał, to niedokładność tego oznaczenia spycha w pod-

świadomość odbiorcy pytanie, w jakim czasie obiektywnym rozpoczyna się narracja. Pozorna natomiast dokładność danych informacyjnych ujawnia właśnie i podkreśla, że moment zawiązania akcji pojmowany być musi tylko w ramach konstrukcji czasowej utworu. Najdokładniejsze zazębie-
nie z czasem realnym posiada najgłośniejszą wymowę pozoru:

„Aż do dnia 22 września 1912, godzina 10, 0 min. 16 sek. czas pastora Hubiny płynął powoli i, jak się to mówi, normalnie. Dopiero w tym momencie nastąpił nagły i niespodziewany przybór zdarzeń i w ciągu kilku minut zmieniło się wszystko“. (Koniński, „Straszny czwartek w domu pastora“).

Czyżby zatem ogólny czas powieści nie nakładał się na żaden czas inny, bardziej obiektywny? Zanim na to pytanie odpowiemy, musimy się najpierw uporać z jeszcze jedną trudnością. Znow sięgnijmy do przykładu. Na pierwszych dwóch stronicach „Młodości“ Conrada czytamy: „Siedzieliśmy wokoło mahoniowego stołu, wsparci na łokciach; gładki blat odbijał butelkę, kieliszki z czerwonym winem i nasze twarze. Był tam dyrektor różnych towarzystw, buchalter, prawnik, Marlow i ja... Marlow opowiedział nam historię, a raczej kronikę pewnej podróży“. Natychmiast potem rozpoczyna się opowiadanie Marlowa. Zacytowane zdania wyznaczają pewien, bliżej nieokreślony czas narracji. Marlow zaś w jednym z pierwszych ustępów swojej opowieści mówi: „Stawiłem się nazajutrz. Działo się to przed dwudziestu laty; i miałem okrągłe lat dwadzieścia. Jak ten czas leci“. Te znow słowa wyznaczają dokładnie czas zdarzeń, wymierzają jego odległość od czasu narracji, chociaż nie mówią nic na temat stosunku tych zdarzeń do określonego czasu fizycznego. Nie dowiadujemy się, w którym roku kalendarzowym Marlow liczył lat dwadzieścia.

Na pozór wszystko w porządku. Tymczasem, kiedy się zastanowić nad krótkim urywkiem „Młodości“ (a z nią każdej podobnej noweli), który ustala czas narracji, nie trudno dojść do wniosku, że realizują się w nim wszystkie właściwości dystansu pomiędzy narracją a zdarzeniami, jakie co dopiero przedstawiliśmy. Istnieje dystans czasowy, jaki wprowadza użycie formy gramatycznej czasu przeszłego, istnieje również swoisty czas narracji i swoisty czas zdarzeń. Siedzieliśmy wokół stołu, siedzieliśmy kiedyś, a nie teraz.

Czy to oznacza, że przeprowadzoną dotychczas, dwuwarstwową budowę powieści należy pomnożyć o jeszcze jedną, dodatkową warstwę? Trudność tę rozwiązuję inaczej. Każda relacja narracyjna, bez względu na jej miejsce w konstrukcji utworu, zawiera rozpięty wokół formy gramatycznej dystans czasowy, ponieważ należy to do jej istoty. Posiada ją wobec tego również zapowiedź poprzedzająca opowiadanie Marlowa. W konstrukcji wszakże całego utworu nie ten fakt oczywisty nas zajmuje, lecz stosunek czasu tej zapowiedzi do czasu zdarzeń, które nastąpią w opowiadaniu Marlowa. W takim zaś wymiarze zapowiedź owa wyznacza czas narracji dla zdarzeń i mamy wobec tego prawo traktować ją wyłącznie jak płaszczyznę czasu narracji. Wprowadzenie nowej warstwy czasowej jest zbędne, fragment poprzedzający opowieść Marlowa określa

jedynie czas wygłaszania tej opowieści i na tym się jego rola w całości utworu wyczerpuje.

Powróćmy obecnie do zaniechanego przed chwilą pytania. Czyżby ogólny czas powieści nie nakładał się na żaden czas inny, więcej obiektywny? Nic podobnego. Zakres umowności i fikcji posiada w układzie czasu powieściowego swoje granice, które tylko dlatego bywają niedostrzegalne, ponieważ pisarze bardzo rzadko je przekraczają.

Z dwóch wchodzących w rachubę płaszczyzn czasu tylko stosunek czasu zdarzeń do dalszego tła czasu (na razie go nie nazywamy) stanowi problem godzien uwagi. Stosunek czasu narracji do czasu fizykalnego, tzn. pytanie czy narracja, która np. w utworze obejmuje jeden wieczór, mogła się rzeczywiście pomieścić w godzinach jednego wieczoru — nie stawia przed naszym problemem żadnych, naprawdę ważnych trudności. Taka czy inna postać rzeczzonego stosunku niczego nie przesądza o wewnętrznym prawdopodobieństwie czasowym utworu. Ma przeto rację pisarz, który na zarzuty w tej mierze odpowie jak Conrad w przedmowie do „Lorda Jima“. Opowiadanie Marlowa jest „nieprawdopodobne“, albowiem za długie? „Należy przypuszczać, że owego wieczoru podawano jakieś orzeźwiającej napoje — na przykład szlanke wody mineralnej od czasu do czasu — co ułatwiało Marlowowi opowiadanie“.

Inaczej z czasem zdarzeń. Weźmy przykłady. Pierwsze wiersze „Lalki“.

„W początkach roku 1878, kiedy świat polityczny zajmował się pokojem san-stefańskim, wyborem nowego papieża, albo szansami wojny europejskiej, warszawscy kupcy, tudzież inteligencja pewnej okolicy Krakowskiego Przedmieścia niemniej gorąco interesowała się przyszłością galanteryjnego sklepu pod firmą J. Mincel i S. Wokułski“.

Na pozór mamy układ całkowicie umowny, podobny analizowanym początkom z powieści Dostojewskiego i Perzyńskiego. Dokonajmy jednak w tym urywku niewielkiej zmiany: „W początkach roku 1878, kiedy świat polityczny zajmował się pokojem san-stefańskim, wyborem nowego papieża, albo szansami europejskiej wojny, warszawscy kupcy, tudzież szlachta, która poczęła się zjeżdżać na elekcję nowego króla, oraz inteligencja pewnej okolicy Krakowskiego Przedmieścia niemniej gorąco interesowała się przyszłością galanteryjnego sklepu pod firmą J. Mincel i S. Wokułski“.

Dokonajmy takiej samej próby w przeciwnym kierunku: „Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia. — Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanej ilości wyroiła się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich“. („Ogniem i mieczem“). Ale: „Rok 1647 był to dziwny rok.. Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosną samoloty wyroiły się w niesłychanej ilości z lotnisk u Dzikich Pól“.

„Gdy Sobieski był sultanem, wtedy Bismarck z konia spadł“ — jak w fantazyjnej piosence znanej naszym urwiszom. Rozpatrzmy jednak obydwu przykłady na poważnie. Skąd w czytelniku powstaje wrażenie fantastyki, graniczącej z rozmyślnie bzdurną igraszką?

Stańmy najpierw na stanowisku, że rzeczywiście dla zrozumienia czasowej konstrukcji powieści wystarczą czas narracji i czas zdarzeń oraz że ich układ jest całkowicie dowolny, a to w tym sensie, że narracja, posiadając prymat nad zdarzeniami, może mieścić w sobie wszystko, czego zapagnie. W obydwu wypadkach mamy do czynienia ze zdarzeniami, bądź historycznie, bądź współcześnie „prawdziwymi“; jeżeli zatem wystarczałby założony układ czasów, realność zdarzeń nie powinna się zachwiać. Przenicowane przykłady byłyby równie uprawnione, jak przykłady właściwe, a czytelnik nie posiadałby prawa do śmiechu i poczucia fantastyki.

Tak jednakowoż nie jest, oczywistość sprzeczna się z tą konsekwencją. Wrażenie realności upadło nie dlatego, by cokolwiek się zmieniło pomiędzy czasem narracji a czasem zdarzeń. Upadło dlatego, ponieważ zburzony został pewien określony stosunek między czasem zdarzeń a jakimś głębszym tłem czasu, innym od czasu narracji i zdarzeń. Autentyczne początki „Lalki“ i „Ogniem i mieczem“ nie szokują czytelnika, albowiem stosunek ów — ciągle jeszcze nie precyzujemy go słownie — jest zachowany, chociaż czytelnik jego obecności nie przeczuwa. Początki zmienione uderzają, ponieważ został jaskrawo naruszony. Widocznie więc realność narracji opiera się na jego zachowaniu.

Jakież to stosunek? W pierwszym wypadku (tekst właściwy „Lalki“ i „Ogniem i mieczem“) realność przedstawienia nie zostaje zachwiana, albowiem zdarzenia zawarte w powieściowym czasie zdarzeń „mogą się“ również pomieścić w tym czasie głębszym. Skoro rok 1878 — to rzeczywiście wybór papieża Leona XIII. W wypadku drugim (teksty fikcyjne) zdarzenia, które dzięki prymatowi czasu narracji mogą się pomieścić w jednym i tym samym czasie zdarzeń powieściowych, w tym czasie głębszym absolutnie się nie mieszczą. Układem swoim przekraczają miary jakiegokolwiek możliwego czasu, prócz swobodnego, autonomicznego i samowolnie rządzącego się czasu narracji. W wypadku zatem pierwszym „pojemność“ zdarzeń powieściowych nie przekracza „pojemności“ tego czasu głębszego, leżącego u podstawy dzieła, w wypadku drugim — tak. Bo jeżeli rok 1878, to nie szlachta na Woli, jeżeli rok 1647, to nie samoloty. Owszem, może być szlachta i mogą być samoloty, lecz tylko na prawach Sobieskiego jako sultana, a nie na prawach czasu zdarzeń, odnoszącego się do jakiegokolwiek innej płaszczyzny czasu, prócz czasu narracji.

Pod czasem narracji i czasem zdarzeń istnieje zatem w powieści trzecia płaszczyzna czasu. Nazwiemy ją czasem środowiska, niżej objaśniając dokładnie, dlaczego ten właśnie termin wybieramy. Czy jednak wprowadzając ową trzecią płaszczyznę nie przekraczamy przypadkiem

granic perspektywy czasowej, jakie są immanentnie zawarte w powieści i czy nie wkraczamy w zjawiska, będące pewnymi koniecznościami powieściowego tworzywa? Niewątpliwie czas ten formuje się na pograniczu między prawami tworzywa a zasadą twórczej konstrukcji. Powieść nie jest swobodna w jego stwarzaniu, lecz zdeterminowana w wyborze. Może się wprawdzie spod tej determinacji wyłamać, ale wówczas zmienia się w ogóle typ powieści, przechodząc na stronę baśni i fantastyki, gdzie stosunek do czasu jest zupełnie specjalny. Czas środowiska sięga zatem w niezależną konstrukcję czasową powieści i jego wygląd artystyczny jest zależny od pozostałych czasów powieści, ale czas środowiska z tej konstrukcji się nie wywodzi i swoboda powieści wobec niego jest ograniczona.

Każda powieść odwija zdarzenia wstecz w tym sensie, że czasy psychologiczne postaci i czas zdarzeń pisarz nakłada na tę przestrzeń czasu środowiska, poprzedzając rozpoczęcie pisania, która albo we własnym przeżyciu, albo w żywej relacji jest mu znana. Każda powieść stanowi interpretację zawartych w niej zdarzeń, nawiązującą do tego punktu czasu środowiska, który jeszcze jest dostępny pisarzowi. Czasy narracji i zdarzeń wyglądają w powieści jak kalka, narzucona przez pisarza na czas przez niego przeżywany, kalka która co najwyżej sięga doby, w jakiej pisarz tworzy, ale prawie nigdy nie wybiega przed nią w przyszłość. Wyobraźnia wypełnia zdarzeniami ramy podawane jej przez czas społeczny, ale wypełnia je zawsze w sposób zdeterminowany biegiem tego czasu, pozbawiony możliwości zupełnie swobodnego wybiegania w przyszłość. Szczególnie wyraźnie ujawnia się to przy przełomowych ogniwach czasu. Powieść np. ujmująca zdarzenia 1939 roku z perspektywy czerwca — lipca tegoż roku, będzie czymś absolutnie innym, aniżeli powieść widząca te same zdarzenia z perspektywy lipca 1940 i tak dalej.

Wyjaśnia to, dlaczego wybraliśmy termin „czas środowiska“, a nie inny. Podkreślamy w tej nazwie, że ramę ogólną, którą wyzyskują i do której się stosują wewnętrzne czasy powieści tworzą przede wszystkim przemiany zbiorowe i historyczne środowisk. Ponadto w terminie „środowisko“ uwydatniamy, że z wielu możliwych, a zależnych od przeżywających je grup ludzkich, warstw czasu — pisarzowi najbardziej dostępna jest tylko jedna warstwa, związana z jego środowiskiem tak społecznym, jak lokalnym.

Pisząc to, mam na myśli nie tylko znany fakt, że każdy twórca powieści obyczajowej czy realistyczno-psychologicznej obiera instynktownie jako podstawę powieści to środowisko, jakie zna bezpośrednio, i w tym czasie, w jakim w jego przemianach uczestniczył lub przynajmniej na zrozumiałych mu faktach psychologicznych mógł śledzić. Reymont nie przenosi akcji do dworów, lecz umieszcza ją w znanych mu środowiskach. Żeromski nie pisuje powieści chłopskich. Na myśli mam coś więcej. Oto nawet wówczas, kiedy wydaje się na pozór, że czas danej powieści został całkowicie wyabstrahowany ze związków realnych, przedstawiony wyłącznie w sposób zgodny ze specjalną wrażliwością danego pisarza, nawet wówczas jego związki z czasem środowiska trwają, kto wie czy nawet nie silniej, niż przy realistycznym stosunku do tego czasu.

„Sanatorium pod klepsydrą“ Schulza to tylko z pozoru jakaś mitologia czasu całkowicie wyabstrahowanego. W istocie jest to czas małego miasteczka prowincjonalnego (nie tylko o temat w takim wypadku chodzi), czas jego wiosen, świat i jesieni; mitologii tego czasu absolutnie nie byłby zdolny zbudować pisarz, dla którego najpierwszym doświadczeniem jest czas zniw, orki i młócki. W swej fantastyce jest to czas środowiska bardziej mieszczński, aniżeli byłby przy wyłącznie realistycznym ujęciu, bo nieobjuczony ciężarem obserwacji drugorzędnych ze stanowiska powiętego przez pisarza zamiaru. W „Zazdrości i medycynie“, chociaż rozgrywa się w Zakopanem, też na pewno ów czas nie jest czasem górala, lecz przyniesionym czasem urbanistycznym; wystarczy z tą powieścią porównać np. „Bajdę o Niemrawcu“ Pawlikowskiego, by od razu dostrzec, jak odmiennie wygląda czas tej książki, zaczerpnięty rzeczywiście ze świata wyobraźni i doświadczeń góralskich. Czas równie niezwykły i niesamowity, co u Choromańskiego, a przecie różny o całą odmienność utajonych w tych dwu utworach doświadczeń.

Innymi słowy, czas środowiska stanowi w powieści socjologicznej wy-danie czasu fenomenalnego i jak ten, nie mierzy się żadnymi miarami fizycznymi. Znajdujemy natomiast, nawet w utworach pozornie od tego dalekich, psycho-socjalne zastosowanie miary czasu, z czasem pokoleń na pierwszym miejscu. (Czas pokoleń służy ustalaniu historycznego charakteru powieści, por. rozprawę piszącego „Czas powieściowy“, w „Inter arma“). Zbiór prac ofiarowanych prof. Kazimierzowi Nitschowi, Kraków, 1946, str. 125—126).

Na to, że w powieści istnieje czas środowiska naprowadziło nas zamącenie „normalnego“ stosunku pomiędzy czasem zdarzeń a jego jakimś dalszym tłem czasowym. Czas środowiska jest również niezbędny, jeżeli chcemy ukazać różnice pomiędzy czasem powieściowym a czasem innych gatunków literackich. Bez tego pojęcia różnice owe nie dają się obiektywnie przeprowadzić. Obecnie musimy przedstawić jakiś konkretny, a nie fikcyjny i jaskrawy przykład wspomnianego zamącenia, dowodzący że czas środowiska jest przecie realnym składnikiem czasu powieściowego. Proporcja tych czasów bywa instynktownie tak przestrzegana, że z powieści, w których pisarze pragnęli za wielką „pojemność“ czasu zdarzeń wmieścić w zbyt ciasną „pojemność“ czasu środowiska, umiem na razie wskazać tylko dwie: „Jan Krzysztof“ Romain Rollanda oraz „Wyprawa o zmierzchu“ Juliusza Żuławskiego. Być może, że takich powieści istnieje więcej, nie udało mi się jednak poza tymi dwoma przykładami na nie natrafić. Jako okaz znacznie ciekawszy wybieram do analizy „Jana Krzysztofa“.

Przypomnijmy daty. „Jan Krzysztof“ ukazuje się w „Cahiers de la Quinzaine“ od roku 1906 do 1912. Całość dzieła gotowa jest w roku 1912, czyli że czas środowiska, jakim Romain Rolland rozporządza, by w nim zmieścić żywot Kraffta, sięga najwyżej wymienionego roku. O wieku, w jakim Krafft umiera, nie dowiadujemy się dokładniej nigdzie. Słyszymy wiele razy, że jest stary, porównując zaś jego wiek z otoczeniem nie sądzimy, by przeżył więcej niż maksimum 60 lat. Wynikałoby zatem, że uro-

dzony około 1850 roku młodość swoją spędza gdzieś jeszcze w Niemczech przedcesarskich. Środowisko niemieckie przedstawione jest jednakowoż w tych jego właściwościach, jakie poczęły w nim górować po klęsce Francji, i nie słyszymy, by jakiegokolwiek z wczesnych przeżyć Jana Krzysztofa ocierało się wyraźnie o rok 1870. Mimo to czytelnik przy lekturze tej partii powieści nie odczuwa większej dysharmonii w budowie jej perspektywy czasowej.

Otwiera się ona z chwilą przyjazdu Kraffta do Paryża. Przybywa doń jako człowiek młody, najwyżej trzydziestoletni. Porę przyjazdu nie trudno określić na podstawie występujących w akcji aluzji do ówczesnych wydarzeń muzycznych. Przyjaciele prowadzą go do Opery Komicznej (II, 395—8) na rozpalające świeżo umysły przedstawienie „Pelleasa i Melisandy” Maeterlincka z muzyką Debussy'ego. Jesteśmy zatem w roku 1902, a ponieważ Jan Krzysztof opuszcza Niemcy jesienią (II, 291), być może iż w roku 1903. Rokiem przyjazdu pozostanie jednak 1902 i biegnącą od niego połączą czasu rozporządza Romain Rolland, by na niej rozsunąć przygody powieściowej muzyka. Nie sprzecząją się z tą datą inne aluzje do czasu środowiska: gdy Krzysztof już dobrze wrósł w grunt francuski, dowiadujemy się (II, 151, 168), że sprawa Dreyfusa jest czymś minionym od kilku lat, a jeszcze nie słyszymy o jej rewizji. Jesteśmy zatem gdzieś około 1904—5 w całkowitej zgodzie z wyobrażeniem czytelnika o ilości lat, które Krzysztofowi musiały być potrzebne do zupełnej aklimatyzacji we Francji.

Dopóki przebywa on w Paryżu, przypuszczalne lata jego żywota, konieczne by tyle przeżyć, ile R. Rolland w nie wkłada, i lata środowiska biegną równoległe. Aluzje do roli armii francuskiej w okresie przeprowadzania rozdziału kościoła od państwa (rok 1907 — III, 259), czy do nieporozumień francusko-niemieckich (układ petersburski, lato 1909 — III, 285) nie kłócą się z czasem zdarzeń. Rozpiętość przedstawionych na tym odcinku lat, dająca się odczytać z wieku postaci, również nie burzy tego poprawnego stosunku. I tak np. Grazia Buontempi, którą w pierwszym okresie paryskim Krzysztofa poznajemy jako 13—14 letnią dziewczynkę (II 504), pod koniec tego obytu, a więc po roku 1910, jako hrabina Berény liczy 22 lata (III, 494).

Z chwilą jednak, gdy po tragicznej śmierci Oliviera Krzysztof opuszcza Paryż, z płaszczyznami czasowymi powieści poczynają się dzieć rzeczy bardzo dziwne, i jakby rozmyślnie skonstruowane dla naszej tezy. Porę wyjazdu znamy doskonale: „Wyjechali z Paryża... W podobny wieczór, przed dziesięciu laty, Krzysztof przybył do Paryża”. (IV, 99). Zatem rok 1912. Na krótko przed tym odjazdem Krzysztof jest jeszcze świadkiem „dziwaczego, a jednak nieuchronnego zbliżenia... między rojalistami z Action Française i syndykalistami z C. G. T.” (IV, 20), a więc roku 1910—1911. Roku 1912 nie da się przeto na żaden sposób przesunąć wstecz, zwłaszcza że różnorodność przeżyć Krzysztofa sprawia, iż lata konieczne na przyjaźń, małżeństwo i ponowną samotność Oliviera Jeanna z trudem dalyby się pomieścić w okresie krótszym od dziesięciolecia. Skoro tak, cały dostępny pisarzowi postaw czasu środowiska pokrył się

deseniem zdarzeń powieściowych i obaczymy jak sobie R. Rolland z tym poradził. Pytanie nie byłoby może tak ciekawe, gdyby realnie dające się osądzić losy Krzysztofa urywały się kiedy indziej, a nie... na dwa lata przed pierwszą wojną światową. Krzysztof na kartach książki pożyje jeszcze bardzo długo, ale samej tej wojny w rozdziałach ukończonych latem 1912 roku z natury rzeczy być nie mogło.

Przede wszystkim Rolland przenosi Krzysztofa do Szwajcarii. Wyjazd ten zostaje oczywiście uzasadniony w akcji, ale jego przyczyną konstrukcyjną jest co innego: Żywot Krzysztofa nie znajduje już wolnej kanwy w czasie francuskiego środowiska i przeniesiony być musi w środowisko inne, jeżeli ma płynąć dotychczasowym rytmem przeżyć. Inaczej natychmiast ujawniłyby się konsekwencje, o których zaraz pomówimy. Krzysztof więc staje się podobny pociągowi, który po tym samym torze mija rzekomo wciąż nowe stacje lat, ale w istocie został przestawiony na tor równoległy i mija wciąż te same stacje.

Na „Krzaku gorejącym“ urywa się zachowywany dotąd rytm przeżyć i lat, które tom ostatni — „Nowy dzień“ — układa już w rytm całkiem odmienny. Okresy życia Krzysztofa poczynają biec bardzo szybko i nie podaje się ich dat. „Krzysztof nie liczy już mijających lat“ (IV, 231). Ale my te lata według jego wieku i wieku innych postaci policzymy, by ukazać, dlaczego to ostatnim czasom życia muzyka nagle, na starość, urosły skrzydła. Swoją schyłkową miłość Grazię Berény spotyka Krzysztof zaraz na początku tomu z dziećmi liczącymi „sześć do ośmiu lat“ (IV, 236). Widzieliśmy ją przy nadziei (III, 50) gdzieś około 1910 roku. Wynikał by zatem gdzieś rok... 1918. Krzysztof wraca do Paryża, już „w sławie, „po dziesięciu latach niebytności“ (IV, 299). Czyli... 1922. Spotkanie z Emanuelem (IV, 297) ujawnia, że u młodego poety upłynęło na tym dystansie czasowym również dziesięć lat. Wiek Jerzego, syna Oliviera również zgadza się z tymi datami. Chłopak liczy 14 lat (IV, 308); pamiętamy, kiedy to jego ojciec przyjaźnił się z Krzysztofem, pamiętamy, że Jerzy istotnie był dzieckiem w chwili śmierci Oliviera w roku 1912. Powieść toczy się szybko. Krzysztof już jest „stary“ (IV, 368, 373) i jak on zwalczał ongiś, tak dzisiaj jego zwalczają młodzi. Jeszcze szybciej płyną lata innym postaciom. O to małżeństwo Jerzego i Alurory, córki Grazi Berény. „Miała lat osiemnaście, Jerzy o pięć lat więcej“ (IV, 402). Zatem... rok 1933. I tego to roku, obliczonego oczywiście według wieku postaci, Krzysztof dopiero umiera.

Wszystkie te lata, niedość że płyną nieproporcjonalnie szybko w zestawieniu z resztą powieści, ale dla uważnego czytelnika płyną zgoła nierealnym nurtem czasu. Płyną w jakiejś próżni socjologicznej, wypełnionej jedynie czasami występujących postaci. O ile do pory przyjazdu Krzysztofa z Paryża orientowaliśmy się dokładnie, gdzie znajdujemy się w czasie środowiska, czas ten zaś, zestawiony z biegiem lat postaci, nie wykazywał sprzeczności, to obecnie i zawiera ich niemało i nie pozwala na żadną orientację; ponadto ogólny czas powieści wypełnia się wewnętrznymi przeżyciami przedstawionych osób, a rzadko czymś ponad to.

Ale właśnie stąd, że niekiedy pisarz te wydzielone przeżycia i zdarzenia osnute wokół nich próbuje nałożyć na jakiś czas środowiska, wynikają wyżej wspomniane, przedziwne niekonsekwencje. Kontynuując ich listę: oto Krzysztof spotyka Grazię według wszelkich innych wskazówek powieści około roku 1918 (IV. 236), a tymczasem w tej samej epoce poznaje on, jako ludzi nowych i przebojowych, a więc na pewno nie w ich latach ostatnich — grupę Voce, wydające pismo pod tym tytułem w latach 1908 — 1915.. Po raz trzeci to już Krzysztof, rzekomo na nowym torze, a na prawdę po torze równoległym, przejeżdża te same paryskie lata, tyle że obecnie we Włoszech, a nie w Szwajcarii.

Ale najkapitałniejszą niekonsekwencję znajdziemy na krótko przed opisem ślubu Jerzego i Aurory, a więc niby to około roku 1933. Czytajmy:

„Pożar tlejący w lesie Europy zaczynał buchać. Zgaszony tu, powstawał ówdzie; z kłębami dymu i deszczem iskier przeskakiwał z miejsca na miejsce i spałał suche krzaki. Na wschodzie starcia przednich straży były już przygrywką do wielkiej Wojny Narodów. Cała Europa, wczoraj jeszcze sceptyczna i apatyczna, jak sucha kłoda padła pastwą ognia. Żądza walki opętała wszystkie dusze. Lada chwila wojna mogła wybuchnąć. Tlumiona, odradzała się. Najbardziej przerażającym widokiem dla niej był pokarmem. Świadczył się na lasce przypadku, który rozpoczął miał walkę. Czekał. Na największych zwolennikach pokoju ciążyło poczucie konieczności, a ideologowie, kryjący się w potężnym cieniu cyklopa Proudhona, sławili wojnę, jako najpiękniejszy tytuł szlachectwa ludzkiego...” (IV. 393).

Ależ to opis nastrojów ostatnich lat przed pierwszą wojną światową, z najwyraźniejszym przypomnieniem wojny bałkańskiej. Czyli po dwudziestu latach akcji powieściowej znajdujemy się, jeżeli chodzi o czas środowiska, wciąż w tym samym miejscu, co w przeddzień wyjazdu Krzysztofa do Szwajcarii. Przeczytajmy dla porównania stronicę, która według akcji powieści jest od cytowanej wcześniejsza o lat dwadzieścia i odnosi się bezpośrednio do roku 1912:

„Po fetyszowym kulcie liczby, po pobożnym optymizmie, który wierzył w święte większości i oczekiwał po nich postępu ludzkiego, powiał duch gwałtu; niezdolność większości do rządzenia sobą, jej sprzedajność, słabość, jej niski i tchórzliwy wstręt do wszelkiej wyższości, jej ciemięska podłość wznicyły bunt; energiczne mniejszości — wszystkie mniejszości powoływały się na siłę... Młodzi intelektualści, pyszni małomieszczanie stawali się rojalistami lub rewolucjonistami, wskutek urażonej miłości własnej lub nienawiści do równości demokratycznej. A bezinteresowni teoretycy, filozofowie gwałtu, jak pocziwe chorągiewki sterczeli nad nimi, niby sztandary burzy”. (IV. 20—21).

Przecież tych dwu obserwacji nic nie dzieli: Czyli innymi słowy, w chwili kiedy czas zdarzeń w „Janie Krzysztofie” rzekomo ciągle dąży w przód, czas środowiska tej powieści zatrzymał się w miejscu, na ostatnim społecznym i ideologicznym etapie, który był jeszcze dostępny przeżyciu autora. Romain Rolland usiłuje w ostatnim tomie kreślić pozorne przemiany środowiska, czyni to jednak w sposób ogólnikowy, ilekroć zaś pragnie uczynić realniej, okazuje się, że naprawdę ciągle tkwimy w roku 1912. Inaczej być nie mogło. Ażeby przewidzieć istotne tło życia Kraffa po tym czasie, pisarz musiałby być pełnym prorokiem. Albo też musiałby — wzorem powieści Witkiewicza — całkowicie zmienić gatunek swojego utworu, two-

zrząc dla jego zdarzeń skończenie fikcyjny, arealny czas środowiska. Romain Rollandowi tymczasem chodzi o to; by do ostatniego momentu akcji zachować pozór powieści realnie osadzonej w środowisku. Dlaczego tak się dzieje, dlaczego R. Rolland po prostu nie cofnął przyjazdu Jana Krzysztofa do Paryża tak, by całe jego życie pomieściło się w czasie środowiska do roku 1912, to już sprawa całkiem odmienna, w którą obecnie nie wchodzi, przekracza ona ramy formalnej konstrukcji jego cyklu.

Analiza występującego w omawianej powieści zakłócenia prawideł, których powieściopisarze instynktownie przestrzegają, jasno dowodzi tego, że czas środowiska jest całkowicie realną płaszczyzną czasu powieściowego. Zlekceważenie jej mści się na całej konstrukcji powieściowej, nie pozwalając na pełny rozwój, skazując na uwiąd. W przedstawionym tutaj wypadku został czas środowiska naciągnięty przez to, że jego wyraźnie określoną pojemność pisarz usiłował nieprawnie poszerzyć, aby dorównała pojemności zdarzeń koniecznych dla zaokrąglenia i zamknięcia akcji. Pojemność czasu środowiska nie daje się bezkarnie przymusić do podobnej operacji.

Problem czasu środowiska nie wyczerpuje się na przedstawionych dotąd możliwościach. Domaga się on nadto usunięcia pewnych wątpliwości dotyczących pochodzenia tego czasu. Stwierdziło się wyżej, że czas środowiska powstaje na pograniczu między samym twórcyem a konstrukcją artystyczną powieści, a zatem nie należy on w sposób tak wyłączny do konstrukcji czasowej powieści, jak należą do niej czas narracji i zdarzeń. Ponadto czas środowiska występuje w sposób naprawdę dobitny tylko w powieści realistycznej i obyczajowej, odwołującej się do konkretnego środowiska w jego powszechnie znanych przemianach i w takiej to powieści śledziliśmy jego zamącenie. W powieściach innego typu, przede wszystkim fantastycznych, nie występuje on tak jaskrawo. Czyżby więc czas środowiska był jedynie pewną właściwością tworzywa, czerpaną przez pewne typy powieści wprost z rzeczywistości, a nie immanentnym składnikiem czasowej budowy powieści?

Czas środowiska, nie przestaje być elementem umownego układu dzieła — p o g r a n i c z n y m c z a s e m utworu powieściowego. Podobnie też jak czas narracji czerpie on pewne swoje właściwości z rzeczywistości istniejącej poza dziełem literackim. Czas narracji czerpał z niej kategorie gramatyczne, wpływające jak widzieliśmy, na jego wygląd nawet wówczas, kiedy w całości dzieła pełnił on tylko rolę wstępnej relacji. Ten pierwszy czas pograniczny powieści graniczy bowiem ściśle z funkcją porozumiewania się za pośrednictwem języka.

Czas środowiska, nie przestając być elementem umownego układu czasowego powieści, styka się jako czas pograniczny z przemianami życia w ogóle. Posiada on przeto dwa oblicza: jedno zwrócone ku wnętrzu dzieła, drugie na zewnątrz. Oblicze zwrócone ku wnętrzu zawsze zależy tylko od intencji pisarza i bez względu na typ powieści nie ulega zmianom. Każda powieść stwarza swoje środowisko, realne lub fikcyjne, i poddaje je przemianom w czasie. Natomiast oblicze skierowane poza dzieło może posiadać wygląd dwojaki. Albo bywa zgodne z przemianami rzeczywisto-

ści, wydając wówczas typy powieści, jakie z tą rzeczywistością mogą być porównywane, albo też ku tej zgodzie zupełnie nie zmierza, poprzestając na charakterze całkiem fikcyjnym. Czy jednak oblicze skierowane na zewnątrz ma posiadać wygląd fikcyjny, czy też przymierny do rzeczywistości zależy to wyłącznie od intencji artystycznej wyrażającej się na tym stopniu wyborem takiego czy innego czasu środowiska. Czas środowiska nie jest zatem właściwością tworzywa niezależną od konstrukcji czasowej powieści, ale przez tę konstrukcję jest wyznaczany. Może być wyznaczony zgodnie lub niezgodnie z realnym czasem środowisk, ale z chwilą kiedy został wyznaczony zgodnie, zgoda ta musi być konsekwentna i nie może ustępować innej zasadzie.

Posiadamy obecnie obraz całej budowy czasowej powieści. Powieść — a wraz z nią wszelkie dzieła narracyjne, od eposu po nowelę — posiada trzy warstwy czasu: czas narracji, czas zdarzeń powieściowych i czas środowiska. Stosunek wzajemny wymienionych warstw polega na tym, że narracja na kanwie czasu środowiska snuje podległe jej zdarzenia powieściowe, które o tyle są fikcyjne, że nie wydarzyły się w żadnym środowisku minionym, o tyle zaś realne, że nie mogą przekraczać możliwości określonego czasu, określonego środowiska. Jeżeli przekraczają, a powieść usiłuje zachować pozory prawdopodobieństwa, próba się nie udaje — dopiero całkowita zmiana typu przejścia w fantastykę pozwala na swobodę również wobec czasu środowiska.

Porównanie z jednym przynajmniej z pozostałych gatunków literackich konieczne jest w zamknięciu tych uwag, by wskazać, że dopiero wprowadzając trójdzielny układ czasu powieściowego jesteśmy w stanie określić różnice pomiędzy czasem powieści a dramatu czy liryki oraz, aby poprzez to porównanie zyskać dodatkowy dowód uzasadniający, że istotnie powieść posiada aż trzy płaszczyzny czasu. Dla zamierzonego porównania wybieramy dramat z tej przyczyny, że zagadnienie czasu lirycznego jest znacznie odleglejsze od problemów czasu powieściowego, aniżeli zagadnienie czasu dramatycznego. Zresztą sprawa czasu lirycznego jest dość skomplikowana i bez specjalnych wywodów, w sposób schematyczny, trudno się nią zajmować.

Jak wygląda czas dramatu?

„Rzeczywistym w sensie dramatycznym jest bieg zdarzeń, który właśnie się odbywa, którego świadkami jesteśmy, w którego rozwoju w przyszłość uczestniczymy. Rzeczywistym w sensie epicznym jest przede wszystkim nie tyle opowiedziany bieg zdarzeń, ile samo opowiadanie. Czy narrator pragnie wzbudzić w nas przekonanie, że chodzi o rzeczy, które rzeczywiście zaszły, czy też pozwala dostrzec słuchaczom, że przedstawia im wymysły swoje — w ostatecznym wyniku wychodzi na jedno, że tylko on jest dla nas wiarogodny, a że sprawy, które opowiada, okazują się tym, czym pozwoli im się okazać, w każdym jednak wypadku czymś, co już w przyszłości znalazło koniec” — tak tę sprawę ujmuje K. Friedemann w książce „Die Rolle des Erzählers in der Epik”.

Tego prymatu narracji nie zna dramat. Czyli w przyjętych przez nas terminach: struktura czasowa dramatu jest dwuwarstwowa, z wykluczeniem czasu wszechobecnego w powieści. Dramat mianowicie nie zna różnicy pomiędzy czasem narracji

a zdarzeń, lecz cały przebiega w bezpośrednio i postępowo aktualizującym się czasie zdarzeń. Informacje o przeszłości postaci lub konfliktu, a więc miejsca, gdzie zarysowuje się dystans między narracją a zdarzeniami, należą w dramacie do martwych punktów, których dramat rasowy w miarę możliwości unika. Informacja o sprawach zaszłych przed początkiem akcji lub dziejących się poza naszymi oczyma, najnormalniejsze zjawisko, jeżeli chodzi o powieść, w dramacie staje się kulą u nogi. Przykładem tragedii greckiej w tych swoich partiach, które rozgrywają się poza sceną i o których widz jest informowany w sposób narracyjny.

W tym miejscu musimy usunąć pewne nieporozumienie, wprowadzające do dramatu okreśną drogą nieobecny w nim czas narracji. Jedyny teoretyk niemiecki, który przy opisie gatunków literackich zajął się ich formą czasową, Ernest Hirt, przyjmuje, że czas utworu dramatycznego dzieli się na czas działania, który jest idealny, trwać może lata, i na czas przedstawienia, który jest realny, ograniczony, trwa dwie, trzy godziny. (Por. „Das Formgesetz der epischen, dramatischen und lyrischen Dichtung“, str. 10,88). Czy czas przedstawienia dramatycznego jest rzeczywiście tym samym, co czas narracji w utworze powieściowym, czy zatem dramat posiada jednak swój czas narracji? Bo do takiego twierdzenia prowadzi rozróżnienie Hirta.

Na popełniony przez niego błąd naprowadza zastosowany przezeń podział czasu w gatunkach epickich. Ów czas składa się według niego również z czasu działania, który może być idealny i trwać całe lata, oraz z czasu opowiadania lub czytania (Erzählezeit, Lesezeit), który jest rzeczywisty i nieograniczony. Otóż czas czytania a czas opowiadania, narracji są to dwa absolutnie różne zjawiska. Immanentnym czasem konstrukcji czasowej utworów epickich jest tylko czas narracji, natomiast czas czytania, to po prostu nasz czas fenomenalny, rzeczywisty, który wypełniamy czytaniem, ale równie dobrze wypełniać możemy wszelkim innym zajęciem. Realny czas przedstawienia dramatycznego jest tym samym: jest naszym czasem życiowym, który się napełnia słuchaniem dramatu, ale mógłby się napełnić oglądaniem obrazu, snem czy jedzeniem. Czas lektury i czas przedstawienia nie są czasami zawartymi w konstrukcji gatunków, a wobec tego istnienie czasu przedstawienia nie jest identyczne z istnieniem czasu narracji w obrębie dramatu. Dramat zatem czasu narracji nie posiada.

Dlaczego jednak dramat nie posiada w ogóle czasu narracji? Powróćmy musimy do tych związków pomiędzy aktualną terażniejszością a aktem narracji, które rozpatrywaliśmy uprzednio. Powróćmy również musimy do pierwszego zdania Friedemanna: „Rzeczywistym w sensie dramatycznym jest bieg zdarzeń, który właśnie się odbywa, którego świadkami jesteśmy“. Chodzi o takie pytanie: Kiedy bieg zdarzeń dramatycznych naprawdę się odbywa? — czy wówczas, kiedy czytamy napisany, czy wówczas, kiedy oglądamy realizowany na scenie dramat? Albo jeszcze inaczej: na który z tych dwu przebiegów nastawiona jest forma dramatyczna? Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nastawiona jest na bieg zdarzeń realizowanych scenicznie.

Musimy pamiętać, że pomiędzy napisaną formą dramatu a dramatem rzeczywistym zachodzi stosunek podobny, chociaż bezsprzecznie bliższy i intymniejszy, co pomiędzy znakiem nutowym a dźwiękiem muzycznym. Nuta jest znakiem umownym; dźwiękiem muzycznym staje się dopiero jej realizacja na tle całkiem innej grupy faktów, aniżeli kartka papieru, poliniowana i pokryta dziwnymi rysunkami. Jeżeli bowiem u początku wszelkiej sztuki narracyjnej napotykamy rapsoda, gęźbiarza, który opowiada, snuje narrację o minionym, jeżeli zatem w najbardziej prymitywnej praformie zawsze ten gatunek literacki zachowuje zasadnicze podobieństwo ze swoimi rozwiniętymi wyglądami, inaczej rzecz się ma w dramacie. Praforma dramatu, zarówno jeżeli będziemy pamiętać o jego genezie u Greków, jak też o jego komórkach zarodkowych, które stale spotykamy także i dzisiaj (dramatyzacja, inscenizacja spraw rzeczywistych), ta jego praforma jest właśnie samym działaniem, samym bezpośrednim następstwem zdarzeń, tyle że zdarzeń odprawianych w odrębnej atmosferze: uroczystej, obrzędowej, albo „na niby“. Tekst dramatyczny nie jest praformą gatunku, podobnie jak znak nutowy nie jest praformą muzyki.

Rzeczywistym w sensie dramatycznym nie jest bieg zdarzeń czytany ale spełniany scenicznie i na taki przebieg nastawia się forma dramatyczna. Nastawia się zatem na pewną zamkniętą, skończoną złudę aktualnej terażniejszości, rozgrywającą się przed naszymi oczyma, podobnie jak wszelka inna terażniejszość. Dramat przeto w stopniu najwyższym ze wszystkich gatunków literackich uczestniczy w tych cechach aktualnej terażniejszości, które opisywaliśmy uprzednio. „In actu esse“ jest jego bezpośrednio i swoicie konkretyzującą się właściwością i dlatego dramatuwemu całkiem jest niepotrzebna odrębna warstwa narracji. Jeżeli chodzi o stosunek do czasu, dramat uczestniczy w naszym życiu na prawach każdej, przeżywanej przez nas terażniejszości. Stąd, nawiasem mówiąc, posiada dramat tę dociekliwą siłę, tę moc wyrażania, w której nie równają się z nim inne gatunki literackie.

Jeżeli mimo to dramat nie staje się samym życiem, jeżeli oglądając dramat wyróżniamy go z terażniejszości rzeczywistej, nie dzieje się to bynajmniej z racji jego budowy czasowej. Daje się to sprawdzić w sposób bardzo prosty. Jeżeli znajdziemy się wśród zwykłego otoczenia, np. w kawiarni lub na ulicy, gdzie równocześnie obok nas jest nagrywana pewna scena filmu, o której jednak nie wiemy, że jest tylko nagrywana, absolutnie nie wyróżniamy tej sceny jako fikcyjnej. Skoro bowiem uczestniczymy w niej przez obserwację, a żadne nasze uboczne wiadomości jej nie wyróżniają, jest tak samo rzeczywista, jak dziejące się wokół nas życie. Przypominam ponadto zachowanie się w czasie widowisk widza prymitywnego, pozbawionego wiedzy wyodrębniającej dramat spośród innych form bieżącej terażniejszości. Przypominam kapitalną scenę z „Pamiętników“ Paska. Odrębność zatem dramatu od terażniejszości aktualnej nie mieści się w samym wyglądzie czasowym gatunku, bo gdyby się w nim mieściła, musiałaby być zważona również w wymienionych wypadkach, a tak nie jest. Ta odrębność zależy od innych czynników, dla których musi się znaleźć odpowiednie miejsce w pełnej teorii gatunków literackich; co do mnie

— wskazuję w tym punkcie granicę, na której kończy się związek problemów czasu z zagadnieniem konstrukcji gatunków literackich, ale granicy tej nie przekraczam.

Tę trudność odróżniania konstrukcji czasowej dramatu od wyglądu aktualnie rozwijającej się terażniejszości wzmagają jeszcze fakt, że różnica pomiędzy czasem zdarzeń a czasem środowiska, która już w powieści bywa nieraz prawie niedostrzegalna, jeszcze bardziej utajona jest w dramacie. Skutkiem tego dramat czyni wrażenie gatunku całkowicie pozbawionego wewnętrznych warstw czasu, podobnie jak tych warstw pozbawiony jest każdy przebieg zdarzeń rzeczywistych przez nas obserwowany. Stąd nawet u tych teoretyków, którzy dostrzegają rolę czasu w budowie dzieła literackiego, jak wspomniany Hirt, dramat opisywany jest jako gatunek o jednolitym wyglądzie czasowym. „Jedność czasu jest immanentnym postulatem formy dramatycznej” — powiada on rozumiejąc przez to żądanie, że realny czas przedstawienia powinien się jak najbardziej pokrywać z idealnym, jak on to zwie, czasem działań. Rozumieć przez to należy, że dramat tym czystsze jako gatunek czyni wrażenie, im bardziej bezpośrednio realizuje się przed naszymi oczyma, im mniej w nim wyjaśniających wybieżek w przeszłość czy poza scenę. W ten sposób stare prawo normatywne pseudoklasyków i tragedii greckiej znajduje potwierdzenie w świetle obiektywnej analizy praw rządzących formą dramatyczną.

Dwuwarstwowy układ oraz antypatie czasowe dramatu tłumaczą wręcz, dlaczego dramat bywa określany jako „poezja dążenia w przyszłość” (Kleiner). Określenie podobne wydaje się czymś całkowicie paradoksalnym, skoro mowa np. o dramacie historycznym, a przecież nie jest zasadniczo błędne, tyle że musi być dokładniej sprecyzowane. Dążenie w przyszłość — ale z jakiego stanowiska?

Dramat jest dążeniem w przyszłość tylko w sensie wewnętrznej konstrukcji swych płaszczyzn czasowych. O wrażeniu tym decyduje nieobecność czasu narracji. Narracja bowiem, dzięki swojej podwójnej perspektywie, aktualizując przeszłość, równocześnie odsuwa ją wstecz. Choćby utwór co dopiero został rozpoczęty, już w pewnej mierze — dzięki medium narracji — mieści się w przeszłości. Natomiast nieobecność narracji sprawia, że zdarzenia biegą tak, jak gdyby były nam współczesne. A wszelkie zdarzenia współczesne biegą zawsze w przyszłość. W tym sensie ma całkowitą rację Hirt, kiedy powiada, że postulat jedności czasu dramatycznego prowadzi w praktyce do postulatu rozwijającej się przed siebie terażniejszości.

Zdarzenia dramatu biegą jednak w przyszłość tylko pozornie, jeżeli ich następstwo widzieć na tle czasu obiektywnego. W tym czasie dramat równie jest zamknięty, co powieść. I równie — jak ona — wpisany w określony czas środowiska. Dramaturg nie pisze na podstawie innych doświadczeń i na innym tle czasu, niż to, jakie przeżył do chwili rozpoczęcia pracy — całkiem podobnie jak powieściopisarz. Czas środowiska zaś równie mocno, jak od innej strony czas narracji, zanurza powieść w przeszłości. Tymczasem dramat, chociaż mógłby tak samo do połowy zatonać w mi-

nionym, utrzymuje się jednak na powierzchni bieżącego czasu. Jak to wyjaśnić?

Oto czas środowiska jest nie tylko czymś autonomicznie determinującym i niezależnym. Równie dobrze posiada go dramat jak i powieść, mimo to wyniki są różne, albowiem zależne od obecności innych płaszczyzn czasu w danym gatunku. Kiedy jest ich trzy, dopiero wówczas czas środowiska może potęgować przeszłościowy, zamknięty charakter konstrukcji. Jeśli są tylko dwie, jak w dramacie, obecność czasu środowiska bynajmniej nie przeszkadza rozwijającemu się w kierunku przyszłości charakterowi utworu. Głównym czynnikiem nadającym powieści przeszłość jest więc czas narracji. Dlatego to w dramacie mówić możemy o czasie akcji, jako paśmie zupełnie jednolitym, na którym relacja nie odziera się od zdarzenia.

A jednak, chociaż nie w perspektywie konstrukcji czasów, akcja dramatu wiąże się z czasem środowiska w sposób podobny jak w powieści. Gdy pojemność-akcji dramatycznej przekroczy pojemność czasu środowiska, następuje — tak jak w powieści — przemiana typu artystycznego, przejście w baśń i fantastykę. Jeżeli przypomnimy np. którąkolwiek ze scen „Ubu króla“ Alfreda Jerry, dostrzegamy, że efekt fantastyki wywołany został podobnym powołaniem do życia fikcyjnego czasu środowiska, jakiego i myśmy spróbowali w urojonych początkach „Lalki“ wzgl. „Ogniem i mieczem“. Ten sam rodzaj zamącenia świadczy, że czas środowiska jest tak dla powieści jak dla dramatu wspólną i fundamentalną podstawą, na której budują się inne czasy wymienionych gatunków.

Tak dobiegamy do końca tych bardzo schematycznych, tylko najważniejsze wyglądy zagadnienia poruszających rozważań. Widzimy, że z roli czasu jako elementu konstrukcyjnego gatunków literackich dadzą się istotnie wyprowadzić obiektywne różnice sięgające w samą strukturę tych gatunków. Przypominam cytowany na początku przypis Ingardena. Fakty, że powieść posiada czas narracji, czas zdarzeń oraz czas środowiska, dramat natomiast tylko czas akcji i czas środowiska, należą do obiektywnych właściwości tych gatunków, bardziej obiektywnych aniżeli te, jakie zazwyczaj w poetykach oznacza się jako cechy, wyróżniające gatunki literackie. Rola czasu w organizacji utworu literackiego należy nadto do czynników, które dają się ściśle określić w swoich estetycznych skutkach. Powieść odrzucająca medium narracji, cała rozegrana w praesens historicum, jest dziwołogiem nie do wyobrażenia, podobnie jak dramat martwo ustawiający zdarzenia w tle narracji, informujący o nich, a nie wprawiający ich w ruch. Wymieniam wypadki krańcowe, ale i w sytuacjach mniej jaskrawych właściwe lub niewłaściwe użycie płaszczyzn czasowych równie obiektywnie determinuje jakość estetyczną utworu. Determinując, pozwala równocześnie nie w jakiś zewnętrzny i narzucony sposób, ale na podstawie opisu istniejących dzieł dotrzeć do pewnych norm, które gatunki literackie muszą wypełniać, ażeby dawały zadowolenie estetyczne. Kilka tych norm, dotyczących np. budowy powieści oraz narracji bezpośredniej, udało mi się dostrzec i opisać w rozważaniach, których częścią jest ten artykuł. Nie wymieniam ich tutaj, ponieważ przekra-

czwałyby ogólne, tylko prosty zarys zagadnienia wyznaczające ramy niniejszego szkicu. Stara tęsknota poetyki starożytnej i pseudoklasyków za czystością i jasnością gatunków nie jest tęsknotą mylną. Powracamy do niej nie poprzez zewnętrzną i narzuconą formę, lecz przez odczytanie zasad, które w gatunkach literackich realizują się same z siebie.

Nie twierdzą, jakoby czas jako element konstrukcyjny powieści był najważniejszym i jedynie obiektywnym składnikiem gatunków literackich. Twierdzą jedynie, że przykład czasu wskazuje, jak postępować, by dotrzeć do nowoczesnej, sprawdzalnej zarówno na wyglądzie tekstów, jak na ich związku z wartością artystyczną, teorii gatunków literackich.

Kazimierz Wyka

Jerzy Teissier

Tłum. Adam Czartkowski

Mechanizm ewolucji

Poważni biologowie, zajmujący się naukowo tą sprawą, nie wątpią, że ewolucja świata organicznego jest faktem. Liczni jednak, nie badający tej dziedziny zjawisk, z jak najlepszą wolą utrzymują, że mechanizm jej wciąż jest nieznany. Ale są i tacy, którzy, poddając się nie dającym się obronić przesądom, idą jeszcze dalej i głoszą, że mechanizm ewolucji nie może być poznany, gdyż „siły ewolucyjne“, które niewątpliwie działały w odległej przeszłości, od dawna przestały działać w zestarzałym świecie.

Nic jednak nie usprawiedliwia tego nieracjonalnego stanowiska, ani nie tłumaczy owego systematycznego pesymizmu. Pytanie o pochodzeniu gatunków bez wątpienia będzie wymagało jeszcze wielu usiłowań i zabiegów w kierunku jego rozwiązania, zanim będziemy mogli stwierdzić, że istotnie znaleźliśmy właściwą odpowiedź, ale w zasadzie nie różni się ono od innych zagadnień biologicznych i to, co dotychczas poznaliśmy w tej dziedzinie, jest już bardzo poważnym osiągnięciem. Posiadamy zwartą teorię, której każdy punkt jest popierany przez liczne fakty, zgodne ze sobą, lub przez rozstrzygające doświadczenia, a nawet zdołaliśmy już wytworzyć kilka gatunków równie autentycznych jak te, które opisywał Linneusz. Z tego, co podam niżej, czytelnik przekona się, w jaki sposób fakty, ustalone w okresie piętnastu mniej więcej ostatnich lat, zupełnie naturalnie zmieściły się w ramach doktryny, mającej 75 lat życia za sobą, oraz dlaczego darwinizm w obecnej chwili jest bardziej żywotny niż kiedykolwiek indziej.

W pierwszej części mego szkicu daję tradycyjne przedstawienie teorii ewolucyjnych, starając się jedynie o jak najbardziej ścisłą analizę konsekwencji zasad ustalonych przez Darwina. W drugiej części zamieszczam doświadczenia usprawiedliwienie twierdzeń podanych w części pierwszej i wreszcie w zamknięciu daję szkic mechaniki ewolucji.

Właściwie należałoby rozszerzyć część traktującą o faktach, usprawiedliwiających całą argumentację; trzeba byłoby podać większą ilość przykładów, a zwłaszcza bliżej zanalizować każdy z ustalonych, lecz taki wykład wydałby się większości czytelników zbyt techniczny. Trzeba byłoby w szczególowszy sposób omówić cudowny aparat genetyki ewo-

lucyjnej, najbardziej współczesnej postaci darwinizmu, lecz musiałem, niestety, liczyć się z miejscem mi przydzielonym...

**

Przeszkody, jakie napotyka od samego początku badanie ewolucji, wynikają z samej natury zagadnienia: z jakiegokolwiek punktu będziemy je rozpatrywali, posiada ono zawsze wymiar nieskończenie większy niż jakikolwiek inny problem biologiczny.

Pierwszą i zasadniczą trudność przedstawia samo trwanie ewolucji, która rozpoczęła się przed dwoma czy trzema miliardami lat i trwa w dalszym ciągu. Aczkolwiek sposoby były zmienne zależnie od tego, w jakiej grupie się ta ewolucja odbywała, można powiedzieć, przywiązując do liczb tylko względne znaczenie, że gatunek trwa zwykle przez kilka setek tysięcy pokoleń! W skali długości życia ludzkiego ewolucja odbywa się niezwykle powoli i nie mamy żadnych danych, które pozwalałyby twierdzić, że kiedykolwiek odbywała się w szybszym tempie. Przyrodnik przeniesiony do ery mezozoicznej czy paleozoicznej miałby to samo wrażenie, jakie odbiera i obecnie przyglądając się gatunkom w przyrodzie: zawsze wydaje się, że są one stałe. Człowiek może bezpośrednio obserwować ewolucję w równym stopniu jak istota żyjąca kilka sekund zaledwie, a chcąc obserwować zmiany pór roku. W najlepszym razie w ciągu 25 czy 30 tysięcy dni swego życia człowiek może bezpośrednio dokonać obserwacji zaledwie na kilku dziesiątkach czy setkach pokoleń danego gatunku i ma minimalne szanse po temu, by mógł uchwycić ewolucję, że tak powiem — na gorącym uczynku, w momencie, gdy się dokonała. Oprócz tego, tym trudniej jest zaobserwować bardzo rzadkie zmiany, które zachodzą podczas naszego życia w państwie zwierzęcym czy roślinnym, że nie posiadamy przecież kompletnego inwentarza fauny i flory. Na przykład znamy 10 tysięcy gatunków ryb i prawdopodobnie co jakiś czas — raz na dziesięć, dwadzieścia czy pięćdziesiąt lat — zjawia się jakiś istotnie nowy gatunek. W jaki sposób możemy to zaobserwować, jeżeli specjaliści co roku dają nam opis zaledwie kilku setek nieznanych nam jeszcze gatunków, niewątpliwie od dawna już istniejących?

Drugą trudnością, trzeba przyznać dość zastraszającą, jest długość fali ewolucji, która — poprzez niezliczone formy — szła od istoty ultramikroskopowej wielkości, o prostszej budowie niż najprostszy drobnoustrój, do istot tak złożonych w swej budowie i tak zasadniczo różnych, jak obecnie istniejące jeżowce, osmiornice, pszczoły i ludzie. W zestawieniu z tą olbrzymią skalą zmian budowy — te nieliczne zmiany, które człowiek zaobserwował lub które wywołał, stanowią bardzo mały odcinek całości ewolucji; pomimo to musimy wierzyć, że gdyby te minimalne zmiany zostały całkowicie wyjaśnione, byłibyśmy bliscy rozwiązania zagadnienia ewolucji.

Jedną z największych zasług twórców transformizmu jest właściwie to, że przyjąwszy raz tę zasadę zrozumieli, iż nie można ograniczyć zakresu ewolucji i że winna ona albo wyjaśnić wszystko, albo nic. Ale tę

śmiałą koncepcję przyjęły ze strachem umysły mniej odważne i starały się pogodzić wstydliwie ukrywane przekonanie o stałości gatunków — z ewolucjonizmem pozbawionym najważniejszych swoich właściwości. Jest to stanowisko jak najmniej racjonalne, gdyż nie możemy wyobrazić sobie, by ewolucja, która może zmieniać gatunki, nie mogła przełamać granic typu, klasy, rzędu, rodziny czy rodzaju. Granice grup systematycznych, które dla wyznawców transformizmu ograniczonego są nieprzekraczalne, nie mają w rzeczywistości obiektywnej podstawy i przegrody, jaką pewni uczeni chcą umieścić pomiędzy typami — lub inni między rodzinami czy rodzajami, są równie iluzoryczne w jednym jak i w drugim wypadku. Aby się o tym przekonać, wystarczy porównać spisy rzeczy dwóch podręczników zoologii współczesnej, napisanych przez autorów należących do odmiennych szkół naukowych: jedną i tę samą rodzinę znajdziemy tam umieszczoną w dwóch odmiennych rzędach, sam rząd zaś zaliczony do odmiennych klas lub nawet typów. Te różnice zdań nie są wynikiem indywidualnej fantazji, lecz wyraźnym dowodem trudności, które stają przed każdym przyrodnikiem z chwilą, gdy ma do czynienia z niektórymi organizmami, tzw. „zagadkowymi”. Faktem jest przecież, że np. *Balanoglossus* ma postać robaka, rozwój szkarłupnia, a liczne szczegóły budowy — prastrunowca, tj. prawie kręgowca. Faktem jest również, że pratchawiec łączy typowe cechy robaków z typowymi cechami stawonogów. Faktem jest, że praptak był w równej mierze gadem jak ptakiem. Gdzie umieścić te organizmy przejściowe, posiadające cechy paru grup systematycznych, tak liczne wśród form już wymarłych, które spotykamy jeszcze w otaczającej nas przyrodzie? Rozwiązanie, na którym zatrzymuje się zoolog, jest bez względu na wynik — zawsze w znacznym stopniu arbitralne; współcześnie panujące dążenie do łączenia typów w działy („clades”) i coraz częściej występujące dążenie do zwiększenia klas i rzędów — podkreślają tylko rosnącą przed klasyfikatorami trudność. Te sprzeczności i te niepewności są nie uniknione, ponieważ ściśle granice, stanowiące podstawę każdej klasyfikacji, nie istnieją w przyrodzie. Nie pomniejsza to wartości ani zoologii, ani botaniki, które starają się pracować jak najwydatniej, wiedząc, że ich twór — choć z konieczności niedoskonały — wykazuje całkowitą bezwartościowość wszelkiej teorii, przyjmującej tylko częściowo ewolucję. Nie ma ani „makroewolucji” ani „mikroewolucji”, dających się wyjaśnić w odrębny sposób i z których jedna ma na zawsze pozostać nie wyjaśnioną. Istnieje tylko jeden rodzaj ewolucji, która daje się poznać.

Dzieje się w biologii to, co w swoim czasie miało miejsce w geologii. Nauka o skorupie ziemi stała się prawdziwą nauką dopiero wówczas, gdy zrozumiano, że wszystkie przemiany, którym uległa w przeszłości, dają się wytłumaczyć na zasadzie zjawisk obserwowanych obecnie. Zdajemy sobie sprawę z tego, że olbrzymie łańcuchy gór wzniosty się, uległy starciu i zostały zastąpione przez inne, które z kolei zanikły — wskutek działania tych samych sił, jakie w obecnym okresie rzeźbią powierzchnię skorupy ziemskiej. Podobnie, aby zagadnienie, którym się zajmujemy obecnie, uczynić naukowym, musimy ustalić, że w zasadzie

nigdy nie istniały inne „siły ewolucyjne“ niż te, które w naszych czasach działając z niezwykłą powolnością wywołują przemiany otaczających nas organizmów. Podczas okresu życia człowieka daje się zauważyć najwyżej powstanie pewnej ilości nowych ras, ale przyczyny powodujące utworzenie się tych ras niewątpliwie są te same, które działając podczas setek czy tysięcy wieków wywołały i jeszcze wywołują tworzenie się licznych nowych gatunków i rodzajów. Musimy nawet przyjąć, że podczas długich okresów tysiącletnich następujących po sobie te same przyczyny mogły wytworzyć rządy, klasy, a nawet typy, tak różniące się między sobą, jak te, które żyją obecnie na powierzchni ziemi.

Tak daje się ująć w skali sił ludzkich wielkie zagadnienie ewolucji.

Pierwszym zadaniem najpilniejszym do rozwiązania, które powinno dać podstawę do zrozumienia mechanizmu największych przeobrażeń, jest ścisła analiza czynników wywołujących przemiany ras. Ta analiza, oczywiście, musi być dokonana przy pomocy metod używanych w naukach doświadczalnych. A więc winna ona wykluczyć z góry nie tylko — jak już powiedzieliśmy — istnienie w przeszłości czy współczesności jakichkolwiek tajemniczych czynników ewolucyjnych, lecz nawet interpretacje lamarckistowskie, którym zarówno w zasadzie jak i w konsekwencjach zaprzeczyły jak najdobitniej doświadczenia. Jedynym tłumaczeniem dopuszczalnym jest to, które podaje i rozwija Darwin w swym dziele „O powstaniu gatunków“.

Ci, którzy studiują ewolucję z książek lub na okazach w muzeach, mają do niej najróżnorodniejsze podejście. Dopiero darwińscy badają ją przy pomocy metod biologicznych, nie zaś anatomicznych, dopiero oni zrozumieli, że gatunek, to nie seria okazów zebranych w pudełku ani nawet zbiór czystych hodowli w probówce, lecz zbiorowisko ruchome organizmów rodzących się i umierających.

I. ZASADY DARWINIZMU

Wszyscy poprzednicy Darwina i bardzo znaczna część jego następców szukali wyjaśnienia ewolucji w nie dających się sprawdzić hipotezach. Darwin szukał go w wynikach doświadczeń. Osobiście dokonał niezliczonych kontroli szczegółów i sprawdził w każdym razie, gdy się to dało uczynić, fakty, które wydały mu się dostępne dla bezpośredniego badania, ale przede wszystkim zrozumiał z nieporównaną jasnością umysłu w całym zakresem — znaczenie doświadczenia, które zostało wykonane przez całą ludzkość.

Nie można sobie wyobrazić większego i piękniejszego doświadczenia w dziedzinie ewolucji nad to, które wykonali nieznani rolnicy i hodowcy, i dzięki któremu otrzymaliśmy niezliczone rasy zwierząt domowych i roślin uprawnych. Doświadczenie to rozpoczęte zostało w najwcześniejszym okresie cywilizacji i trwa dotychczas. Nasze pola, nasze ogrody, nasze stadniny, nasze kurniki są kartami książki, w której rok za rokiem są notowane wszystkie jego wyniki dodatnie i ujemne. Darwin pierwszy

potrafił przeczytać tę księgę i w tym, co z niej wyciągnął, nic zasadniczo nie uległo dotychczas — po 75 latach — zmianie.

Czy to rośliny, czy zwierzęta — wszystkie gatunki zostały udoskonalone przy pomocy jednego i tego samego sposobu. Wytworzenie nowej rasy zostało osiągnięte w trzech tych samych etapach.

1. W pierwszym etapie mamy do czynienia z przypadkiem. Pewnego dnia w danej hodowli zjawia się osobnik posiadający cechę, która z jakiegokolwiek względu użytkowego czy estetycznego — wydaje się zasługującą na zachowanie. Tą cechą dodatnią — oczywiście dla hodowcy — może być jakiś szczegół już istniejący u hodowanej rasy, ale u danego osobnika szczególnie rozwinięty, albo — co zdarza się znacznie rzadziej — zupełnie nowy.

2. Okaz z ową wyjątkową cechą zostaje użyty jako reproduktor i wśród jego potomków w pierwszym, drugim, trzecim itd. pokoleniu wyszukuje się osobniki posiadające cechę, którą chce się utrwalić. Jeśli się ją znajdzie — co nie zawsze bywa — używa się ich, usuwając wszystkie inne, tej cechy nie posiadające, do dalszej reprodukcji w celu utrwalenia zmiany. W ten sposób dokonuje się selekcji, którą powtarza się jak najściślej w dalszych pokoleniach i która stanowi zasadniczy akt tworzenia nowej rasy. Idąc tą drogą metodycznego wyboru dochodzimy wreszcie do wyodrębnienia linii, w której wszystkie osobniki posiadają — w mniejszym lub większym stopniu — wyraźną przewodnią cechę selekcyjną.

3. Ta linia jest stała. Wystarczy zachować ją w stanie czystym zabezpieczając od wszelkiego skrzyżowania, które mogłoby wywołać w niej zaburzenie przynosząc krew obcą. Utworzona w ten sposób rasa różni się od tej, która dała jej początek, nie tylko cechą przewodnią selekcji, lecz również — i to najczęściej — innymi drobniejszymi cechami budowy, które uległy selekcji jednocześnie obok cechy głównej, aczkolwiek o tym nikt nie myślał.

Każdy zabieg udoskonalenia jakiegokolwiek gatunku zwierzęcego czy roślinnego musi koniecznie przejść przez te trzy etapy. Wytworzenie nowej rasy może być trudniejsze lub łatwiejsze, może dokonać się prędzej czy powolniej, ale zawsze musi naprzód powstać wariacja, następnie musi być przeprowadzona selekcja osobników, u których ta wariacja występuje, i wreszcie, gdy rasa zostanie otrzymana w linii czystej, należy ją izolować. Są to dane, z których Darwin zdawał sobie sprawę całkowicie.

Skoro technika hodowlana jest jedyną, która tworzy nowe rasy, trzeba albo wyrzec się badań w tym kierunku, albo zastosować do wyjaśnienia przemian w świecie zwierzęcym (i roślinnym) te same mechanizmy, które człowiek potrafił wykryć i zużytkować dla swej korzyści. Nie można nie doceniać znaczenia tych mechanizmów. Jeśli w czasie naszego życia wywołują one nie tylko minimalne zmiany w postaci organizmów, dla wyjaśnienia najdalej idących transformacji wystarczy przyjąć, że te zmiany powtarzają się wielokrotnie w olbrzymim okresie czasu.

Jedna generacja ludzka niewątpliwie nie mogłaby otrzymać z psa dzikiego, tak podobnego do wilka, istot, tak różniących się od niego i między

sobą, jak jamnik, dog i wyżeł. Jeśli te rasy istnieją, jeśli zabiegi „udokonalenia“ psa doprowadziły do tych wyników i innych niemniej godnych podziwu, stało się to dzięki temu, że nasi przodkowie przed dwunastu czy piętnastu tysiącami lat rozpoczęli pracę, którą obecnie w dalszym ciągu prowadzą nasi hodowcy. Nic nie stoi na przeszkodzie przekonaniu, że ta praca nigdy nie zostanie zakończona i że nie ma granicy dla zmienności gatunków. Owszem — odwrotnie — im więcej ras jakiegoś gatunku istnieje w naszym czasie, tym liczniejsze, bez wątpienia, są rasy, które mogą jeszcze powstać, rytm ich powstawania staje się coraz bardziej przyspieszony. Te najdziwniejszych istot moglibyśmy wytworzyć, gdybyśmy nie mieli wyznaczonego tak małego okresu czasu. Pomimo to w tej dziedzinie, jak i w innych, człowiek pracuje prędzej niż przyroda: gdy formy dzikie pozostają stałymi w ciągu tysiącleci, te, które człowiek chce przekształcić, zmieniają się z dziesięciolecia na dziesięciolecie. Ale przyroda nie potrzebuje się cieszyć: tysiące lat w dziejach rozwoju świata organicznego znaczy mniej niż jeden dzień w naszym życiu. Aczkolwiek stosuje ona z bezgraniczną powolnością te same zabiegi co człowiek, otrzymuje wyniki, o których nie może nawet marzyć najśmielszy z naszych hodowców.

W ten sposób zarysowuje się racjonalne wyjaśnienie powstawania gatunków. Ale jest ono jeszcze niezupełne i nie stanie się całkowite, dopóki nie znajdziemy w przyrodzie ekwiwalentu ludzkiej techniki wytwarzania ras. Dla pierwszego i trzeciego etapu nie jest to trudne. Wszyscy godzą się na to, że zmienność gatunków, znajdujących się w stanie dzikim, w zasadzie nie różni się od zmienności zwierząt domowych i roślin uprawnych. Liczne mechanizmy, niezależne od siebie, ale w jednakowym stopniu skuteczne, mogą zapewnić — poza wolą ludzką — płciową izolację rasy w stanie tworzenia się. Ale jakież to mechanizm może zastąpić ten akt woli ludzkiej, jakim jest selekcja dokonywana przez hodowcę wśród progenitury posiadającej cechy przewodnie? Sławę Darwina stanowi właśnie to, że zrozumiał logiczną konieczność istnienia selekcji naturalnej — doboru naturalnego — pozbawionego jakiejkolwiek celowości — oraz to, że wykrył jego mechanizm.

**
**

Wyżej przytoczone wystarcza, aby zrozumieć pochodzenie i sens zasad, na których opiera się teoria Darwina — i na razie nie ma potrzeby mówić o tym obszerniej. Wiadomo z jakim zacietrzewieniem — z powodów nie mających nic wspólnego z nauką — były prowadzone spory o darwinizm, którego kamieniem węgielnym jest dobór naturalny. Jedne z argumentów przytaczanych w tych polemikach straciły już swą wartość, inne jednak zarówno za jak i przeciw teorii — jak gdyby ją jeszcze zachowały. Żaden jednak z nich — odrębnie wzięty — nie jest w stanie doprowadzić do ostatecznego wniosku. Większość jest pozbawiona tego rygoru logicznego, którego mamy istotnie prawo wymagać, gdy chodzi o zagadnienie tak poważne — i ani jeden prawie nie może być sprawdzony przez do-

świadczenie dobrze ujęte i starannie wykonane. Toteż nie należy się dziwić, że przy ciągle na nowo rodzących się kontrowersjach, których darwinizm był obiektem lub powodem, nie dało się osiągnąć rozstrzygnięcia nie polegającego zarzutom. Aby wyjść z tego impasu musimy sięgnąć po nowe argumentacje, inną niż te, którymi musieli się zadowalać nasi poprzednicy. Sięgnijmy po nie do genetyki¹⁾.

Genetyka stanowi obecnie — niezaprzeczalnie najżywotniejszą gałąź biologii współczesnej. Żadna inna nie wykazuje postępu tak szybkiego, uderzającego i tak obiecującego. I żadna inna nie może udzielić pomocy bardziej skutecznej badaniu zagadnienia ewolucji, ponieważ ewolucja nie może mieć miejsca bez zmienności i bez dziedziczenia zmian, a właśnie te dwa zjawiska są przedmiotem bardzo ścisłych dochodzeń genetycznych. Jakkolwiek ta pomoc jest bardzo poważna, dzięki niej samej nie można jednak rozwiązać zagadnienia ewolucji i pierwsi genetycy, którzy właśnie myśleli inaczej, w niemalym stopniu przyczynili się — mimo woli zresztą — do odżycia twierdzenia o stałości gatunków. Doktryna, którą wytworzyli i rozpowszechnili pod nazwą „mutacjonizmu“, w istocie tylko kodyfikuje zasady genetyki, wyjaśniając powstanie nowych ras jedynie za pomocą nie dających się zbadać przypadków. Stąd już zaledwie krok od twierdzenia, że ewolucja, której nie zdołali wyjaśnić, w ogóle nie daje się wyjaśnić i liczni biologowie współcześni, niestety, nie zawahali się tego kroku uczynić.

Dopiero w ostatnich czasach poznano przyczyny — zresztą zupełnie oczywiste — tej pomyłki i kilku genetyków przyszło do przekonania, że gdy tradycyjny darwinizm częściowo zawiódł, gdy mutacjonizm okazał się bezpłodny — do owocnego wyniku mogłaby doprowadzić genetyka oddana na usługi myśli darwinowskiej. I z tej współpracy narodziła się najnowsza teoria ewolucji.

Jest ona tworem anonimowym całej ostatniej generacji. Skonstruowana bez udziału jakiegokolwiek dogmatu filozoficznego, na fundamentach

¹⁾ Nie może tu być mowy o przytoczeniu, chociażby sumarycznym, zasad stanowiących podstawy genetyki i musimy zadowolić się jedynie ustaleniem terminologii, której będziemy używali w celu zrozumienia kilku definicji. — Cechy dziedziczne są wynikiem obecności pewnych cząstek materialnych zwanych genami, mieszczących się na chromozomach, stanowiących z kolei części składowe jądra każdej komórki. Nauka o dziedziczności pokrywa się obecnie prawie całkowicie z genetyką, nauką badającą geny, ich przeobrażenia, ich skupianie się i analizującą konsekwencje, które występują u osobnika czy gatunku na skutek rozmaitych kombinacji genów.

Każdy gen może występować w rozmaitych stanach, tzw. allelomorficznych; przejście z jednego stanu w drugi stanowi mutację. Każda komórka danego osobnika zawiera geny tego samego rodzaju, przy czym każdy występuje w dwóch egzemplarzach w każdej z nich z wyjątkiem komórek płciowych czyli gamet, które posiadają tylko jeden kompleks genów. Tak więc dwóm stanom allelomorficznym **A** i **a** odpowiadają dwa typy komórek płciowych **A** i **a** i trzy kategorie genetyczne **AA**, **Aa** i **aa**. Kategorie **AA** i **aa** wydają gamety jednakowego rodzaju — w pierwszym wypadku **A**, w drugim **a**, wskutek czego zwą się one homozygotami, trzecia kategoria nosi nazwę heterozygoty, ponieważ wydaje w jednakowej ilości gamety **A** i **a**. Aby otrzymać linię czystą i stałą, trzeba dokonać skrzyżowania pierwotnego osobników **AA** lub **aa**. Jeśli zostaną skrzyżowane osobniki innych kategorii, w pierwszym lub drugim pokoleniu wystąpi zjawisko rozszczepienia się cech, wskutek czego — zgodnie z prawami Mendla — zjawiają się genotypy **AA**, **aa** i **Aa**. Każdy z nich może posiadać odmienny wygląd zewnętrzny, ale najczęściej zdarza się, że heterozygota **Aa** nie różni się niczym np. od homozygoty **AA**; w danym razie gen **A** jest dominującym nad genem **a**, który zwiemy recesywnym.

racjonalnych i naukowych, nie posiada właściwej tylko sobie zasady czy hipotezy i wciela się całkowicie w wielki prąd myślowy, któremu początek dał Darwin. Genetyka dała temu prądowi nie tylko niezliczoną ilość faktów dotyczących zmienności, dziedziczności i czynników wywołujących izolację płciową, lecz również — i to przede wszystkim — metody techniczne i ścisłość ducha doświadczalnego. Dzięki tym metodom można było rozpocząć na nowo badania doboru naturalnego — i to z zupełnie nową precyzją; — stanowi ono nowy rozdział genetyki, genetykę ewolucyjną, która — aczkolwiek zaledwie rozpoczęła swój żywot — wykazuje już właściwą jej głęboką oryginalność. Żadna inna gałąź biologii nie wymaga tak jak ona współdziałania ludzi bardziej odmiennych specjalności; jej rozwój zależy od wspólnych wysiłków morfologów, eksperymentatorów i matematyków. W następnej części przedstawię tymczasowy bilans tej zbiorowej pracy.

II. DOBÓR NATURALNY

Logiczne podstawy hipotezy

Zjawiskiem rządzącym biologią naturalnych populacji jest niewiarygodna wprost zdolność rozrodcza istot żywych. Bez względu na to, czy uznaje się, czy się odrzuca teorię doboru naturalnego, dla którego to zjawisko stanowi punkt wyjściowy, zawsze trzeba pamiętać o tym, że jakikolwiek gatunek weźmiemy pod uwagę, zawsze ilość przychodzących na świat osobników znacznie przewyższa ilość tych, które osiągną dojrzałość. W warunkach naturalnych nawet u najbardziej żywotnych gatunków ilość osobników, zdolnych do wydawania potomstwa, wynosi zaledwie dziesiątą część ogólnej ilości przychodzących na świat. Najczęściej jednak stosunek ten wynosi 1 : 100 albo 1 : 1000. U większości roślin, u wielu zwierząt morskich i prawie u wszystkich pasożytów okresu dojrzałości dosięga jeszcze mniejsza ilość i bynajmniej nie są rzadkie wypadki, gdy pozostaje przy życiu dosłownie jeden osobnik na kilka milionów. Ta eliminacja znacznej większości młodych jest warunkiem niezbędnym, aby w świecie organizmów zachowała się równowaga, gdyż — skoro tylko jakaś przyczyna wywoła dla jednego z gatunków zmianę na jego korzyść — natychmiast ten gatunek zaczyna zagłuszać inne. Wyćpienie wielkich drapieżników często wywoływało nadmierne rozmnożenie się trawożernych. Zwierzęta przeniesione przez człowieka — świadomie czy przypadkowo — do krain, gdzie napotykają mało wrogów, mnożą się tam gwałtownie; dość wymienić konie w Ameryce Południowej, wróble w Stanach Zjednoczonych, króliki w Australii, albo liczne owady szkodliwe, które w nowym kraju nie napotykają pasożytów, hamujących ich rozmnażanie w kraju rodzinnym.

Gdyby jakiś cud powstrzymał wymieranie młodego potomstwa jakiegoś gatunku, rychło zabrakłoby miejsca na powierzchni ziemi dla każdego innego. Potomstwo jednej bakterii w ciągu kilku dni mogłoby zapełnić oceany, masa potomstwa jednej muchy w ciągu roku przewyższyłaby

masę słońca. Nie biorąc przypadków tak jaskrawych dość przytoczyć, że w ciągu dziesięciu lat potomstwo jednej pary wróbli wyniosłoby kilka milionów osobników, pary królików — kilka miliardów. Nawet w wypadku słońi, które — jak wiadomo — mnożą się niezwykle powoli i których płodność jest bardzo słaba, potomstwo jednej pary w ciągu 500 lat osiągnęłoby liczbę 15.000.000. A trzeba zaznaczyć, że niewątpliwie nigdy na ziemi nie istniało jednocześnie więcej nad kilka dziesiątków tysięcy słońi.

Nie bez pożytku chyba będzie podanie tych kilku przykładów, gdyż sam Darwin wyznaje, że trudno mu było zawsze pamiętać o fakcie, który one ilustrują. Żadne prawo biologiczne nie jest tak powszechne, jak to, że — jakikolwiek weźmiemy gatunek — zawsze przedwczesna śmierć jest regułą, a dojście do wieku dojrzałości płciowej — wyjątkiem. Żadne też prawo nie ma poważniejszych konsekwencji, jeśli chodzi o zasiedlenie ziemi, i na tym też prawie opiera Darwin cały mechanizm ewolucji.

**
*

Teoria doboru naturalnego przyjmuje, że niszczenie niezliczonej ilości młodzieży, zachodzące nieuniknienie w każdej generacji każdego gatunku, nie jest dziełem przypadku, lecz że osobniki pozostające przy życiu posiadają najczęściej pewne własności, których brak wszystkim innym skazanym na zagładę. Te osobniki bardziej żywotne lub bardziej przystosowane niż ich rodzeństwo, mają niekiedy szanse przekazania swoim potomkom tych własności, które zapewniły im życie. W ten sposób w każdej generacji odbywa się przesiewanie i oddzielanie osobników najlepszych i ten dobór powtarzany bez przerwy wywołuje stopniowo zmianę gatunku.

Ta idea „przeżywania najbardziej przystosowanego“, w której się streszcza zasada darwinizmu, była przedmiotem tylu glos tendencyjnych, że bardzo jasny sens, który posiadała u Darwina i który tylokrotnie był przez niego z całym naciskiem podkreślany, często zatracał się całkowicie. Dla Darwina, jak również dla tych jego następców, którzy mogą się jako tacy wylegitymować, określenie „najbardziej zdolny do życia“ ma znaczenie tylko w tych warunkach, w których znalazły się zwierzęta konkurujące ze sobą. Własności, o których mówi się, są oczywiście różne dla odmiennych gatunków i w wypadku danego gatunku zasadniczo zależą od okoliczności. Dla gatunku, u którego zimno niszczy większą część potomstwa, odporność na zimno jest własnością najbardziej korzystną. W wypadku gatunku, którego większość młodych ginie w paszczy drapieżców, „najbardziej zdolnymi“ są osobniki najruchliwsze, bądź posiadające zabarwienie, dzięki któremu są mniej widoczne, bądź jeszcze te, które mają szczególną zdolność ukrywania się — ta lista nie wyczerpuje bynajmniej innych możliwości. Te własności korzystne niekiedy nie są związane z jakimiś oznakami widocznymi i może się wydawać, że dwa osobniki są identyczne, a jednak mogą one zupełnie odmiennie np. reagować na ostrą zimę. Ale równie mogą te własności być uzależnione od pewnych szczegółów organizacji czy budowy: dla zwierzęcia wystawionego na działanie zimna nie

jest obojętne, czy posiada ono sierść gęstsza czy rzadsza — a kształt nóg nie jest bez znaczenia, gdy chodzi o szybkość ruchów. Jeśli tedy hipoteza doboru naturalnego jest słuszna, może się zdarzyć, że osobniki, które mają przetrwać, będą różniły się od osobników, które mają zginąć, jakimiś cechami morfologicznymi lub fizjologicznymi.

Chodzi właśnie o to, abyśmy się dowiedzieli, czy hipoteza ma podstawy, czy istnieje dobór naturalny — a jeśli tak, to czy ma on to kapitalne znaczenie, które przypisywał mu Darwin.

Dobór zachowujący i dobór odnawiający

Posiadamy możność — jak to zobaczymy dalej — poddać dobór naturalny badaniom doświadczalnym, ale badania te są trudne, trwają długo i wykonano ich dotychczas bardzo mało. Wyniki ich — z konieczności dotyczące drobnych szczegółów — są jeszcze zbyt niedostateczne, abyśmy mogli spodziewać się, że zadecydują one o losach doktryny, która dotyczy wszystkich gatunków i jak najbardziej różnych sposobów doboru. Niewątpliwie w przyszłości będzie inaczej, ale tymczasem motywów ostatecznych rozstrzygnięć należy szukać gdzie indziej; musimy starać się o zebranie jak największej ilości informacji, o ile tylko jest możliwe — drogą obserwacji. W celu znalezienia drogi w chaosie faktów zastosujemy tę samą metodą, która doprowadziła do idei doboru naturalnego — i postaramy się zbadać, czy przyjmując hipotezę darwinowską — znajdziemy w świecie żywych istot pewne własności, które nie występowałyby, gdyby hipoteza była nieuzasadniona.

Przede wszystkim każdy gatunek z konieczności wykazuje dostateczne przystosowanie do warunków, w jakich żyje — przystosowanie bez którego zginąłby natychmiast w obecności gatunków bardziej przystosowanych. Równowaga, wynikająca z tego, że utrzymują się na pewnym poziomie liczne cechy fizjologiczne takie np., które czynią gatunek odpornym na choroby i niepogody, które pozwalają mu wykorzystywać pożywienie, czynią go płodnym, dzięki którym jego młodzież jest silna — nie daje się zachować przy jakiejś zmianie w konstytucji gatunku. Przy organizacji tak złożonej każda zmiana przypadkowa ma największe szanse zaszkodzenia gatunkowi. I rzeczywiście wiemy, że prawie wszystkie mutanty są albo mniej płodne, albo słabsze niż typ, który je wydał; wobec tego musimy od razu spodziewać się, że dobór usunie rychło te niebezpieczne nowości i utrzyma przy życiu osobniki, posiadające dotychczasowe cechy specyficzne. Cóż by to za szczególnie widok przedstawiała przyroda, gdyby nie istniał dobór naturalny i gdyby pozostawały przy życiu wszystkie odmiany każdego gatunku w takiej ilości, jaką za zgodą człowieka wytwarzają zwierzęta domowe lub rośliny uprawne. Bez doboru naturalnego nie mogłyby istnieć ani gatunki, ani rasy i świat istot żywych byłby tylko chaosem odrębnych osobników. Wszyscy ogólnie godzą się na istnienie tego doboru zachowującego, aczkolwiek nie wszyscy z jego stronników zdają sobie ściśle sprawę, że istnienie tego doboru pociąga za sobą konsekwencje, wśród których najważniejszą jest konieczność istnienia

doboru odnawiającego. Nie można przecież bez logicznej sprzeczności uznawać doboru za owocny czynnik, zachowujący przeciętne własności danej rasy, i jednocześnie zaprzeczać temu, że w innych okolicznościach ten sam czynnik może wywoływać głębokie przemiany pewnych zasadniczych cech gatunku. Fakt, że prawie wszystkie mutanty są usuwane przez dobór naturalny, nie wyklucza bynajmniej możliwości powstawania od czasu do czasu jakiejś mutacji zdolnej do utrzymania normalnego typu gatunku. Ale taka ewentualność jest tym mniej prawdopodobna, im dłuższą przeszłość ma za sobą gatunek, im większa ilość mutacji została już wypróbowana, im większa ilość zmian korzystnych miała czas na utrwalenie się.

Tu, z innego punktu widzenia, bliższego zagadnieniu ewolucji, kryje się znaczenie faktu, który już został wyżej przypomniany; prawie wszystkie mutanty w mniejszym stopniu są zdolne do życia niż osobniki należące do formy, od której mutanty pochodzą. Tu mamy również wyjaśnienie faktu, jak najbardziej uderzającego, ustalonego przez paleontologię. Gdy ewolucja, zwykle gwałtowna w pierwszym okresie istnienia powstałej grupy, następnie szybko staje się powolniejszą z chwilą osiągnięcia przez tę grupę pewnego stanowiska, dzieje się to nie dlatego, że siły ewolucyjne wyczerpują się, lecz wprost wskutek tego, że każda nowa zmiana ma tym mniejsze szanse utrzymania się, im więcej udoskonalień dokonało się przedtem w organizmie pozostającym w niezmiennych warunkach jego istnienia. Wypadki więc zastąpienia formy typowej przez mutantą w jej otoczeniu muszą być bardzo rzadkie. I w dodatku, nigdy się nie jest pewnym, czy zaobserwowany wypadek tego rodzaju nie zdarzył się w rzeczywistości na skutek zmiany środowiska, której jeszcze w danym razie nie potrafiono ustalić. Istotnie fakt tego rodzaju najlepiej znany, dotyczący miernikowca nabrzożaka — *Amphidasis betularia* — który dał około 1860 r. mutację czarną (ab. *doubledayaria*) jawnie dążącą do zastąpienia formy normalnej i rzeczywiście zwycięską w niektórych regionach, nie może być prawdopodobnie uznany za zjawisko prostego zastąpienia, gdyż występowanie formy ciemnej w miejsce jasnej szło dla danego i dla innych gatunków — z reguły — równoległe z rozwojem przemysłowym okręgów, w jakich to miało miejsce — rozwojem, któremu przecież towarzyszą zawsze poważne zmiany we florze i faunie.

**
*

Zmiany w środowisku otaczającym, czy — co w istocie jest tym samym — zmiany miejsca zamieszkania, niewątpliwie odegrały znaczną rolę w zjawisku wyodrębniania się gatunków. Jasne jest przecież, według rozumowania, którym posługiwaliśmy się dotychczas, że gdy zmienia się środowisko, zmieniają się również „walory selekcyjne“ przystosowań istniejących i możliwych. Dane przystosowanie, które — biorąc pod uwagę możliwości genetyczne gatunku i warunki zewnętrzne — było najlepsze, nie będzie odpowiednie w nowych warunkach życia; inne, które nie mogło się zrealizować, ponieważ było niedostateczne, obecnie weźmie nad owym

pierwszym górę i będzie właściwie faworyzowane przez dobór. Jakaś cecha fizjologiczna, która dotychczas posiadała znaczenie podrzędne, może się stać czynnikiem decydującym w sensie dodatnim: np. wytrzymałość na zimno z nastaniem okresu lodowcowego albo zdolność wytwarzania odpowiednich antytoksyn przed lub z chwilą wybuchu epidemii.

Ten wpływ środowiska nie jest przez kogokolwiek podawany w wątpliwość i wszyscy wyznawcy transformizmu zgodnie przyjmują, że odegrał on wielką rolę w ewolucji. Różne różnice w poglądach występują dopiero wówczas, gdy zachodzi potrzeba sprecyzowania tej roli. Przez dłuższy czas efektem działania warunków zewnętrznych usprawiedliwiano teorie lamarkistowskie, lecz obecnie wydaje się ustalonym, że jedynym efektem, zresztą kapitalnym, jaki może mieć zmiana warunków zewnętrznych, jest danie możności objawienia się tym możliwościom, które dotychczas potencjalnie mieściły się w gatunku. Chodzi o sprecyzowanie istoty tych drzemiących możliwości.

Według niektórych mutacjonistów, gdy zmiana środowiska pozwala nowym cechom wykazać ich pożyteczność, w rzeczywistości występują na zewnątrz właściwości już istniejące, ale ukryte dotychczas, ponieważ w warunkach, w których bytował dotychczas gatunek, były one zbędne lub obojętne. Tak np. ciernik (*Gasterosteus aculeatus*) posiada szczególną własność, bardzo wyjątkową, możności życia normalnie w wodzie słodkiej zaledwie zasolonej oraz do życia w wodzie bardzo słonej, w którym to środowisku wykazuje pewne szczególne cechy. W tym wypadku, jak również w mniej lub bardziej analogicznych, musimy wyjaśnić sobie nie genezę tego lub innego rodzaju cechy przystosowania, lecz genezę preadaptacji. Jest to zjawisko w niektórych razach mające wielkie znaczenie fizjologiczne, ale jasne jest, że z punktu widzenia zagadnienia, które nas obecnie zajmuje, nie posiada ono żadnej wartości wyjaśniającej.

Darwiniści nie myślą zaprzeczać istnieniu preadaptacji, która pozwala większości gatunków ulegać — bez jakiegokolwiek zmiany ich genotypów — znacznym zmianom w ich warunkach bytowania, ale twierdzą, że własności nowe, które występują pod wpływem zmian warunków bytowania w najszerszym zakresie, istnieją tylko potencjalnie, podobnie, jak wiele innych w aparacie dziedziczności gatunku. Przypadek w kombinacjach mutacyjnych pozwala wystąpić genom, warunkującym te nowe właściwości u kilku osobników, które będąc wskutek tego bardziej niż ich współpochodne przystosowane do nowego środowiska, w którym się znajdują, same pozostają przy życiu i dają początek nowemu gatunkowi, posiadającemu nowe cechy. Zmiana tedy środowiska lub klimatu może dać możność nowym sposobom doboru kierowania nowymi ewolucjami. Te trwają tak długo, aż zostaną wypróbowane wszystkie możliwości genetyczne gatunku i skończy się oddzielanie lepszych od gorszych. Dobór, który przez pewien czas był odnawiającym, stanie się znowu zachowującym.

W ten sposób pogłębiając zasady, które stanowią podstawę darwinizmu, dochodzimy do wniosku bardzo szczególnego: dobór naturalny, o ile istnieje, musi być jednocześnie czynnikiem, który wywołuje przemianę gatunku i zarazem utrzymuje jego stałość. Dwa aspekty doboru, które

na pierwszy rzut oka wydają się sprzeczne, są obecnie dla nas uzupełniającymi się; jeden i ten sam mechanizm może kolejno zmieniać i zachowywać formy, konserwować i niszczyć kombinacje genów. Ale jeszcze więcej! Oto bardzo często muszą się odbywać jednocześnie procesy — zachowujący i odnawiający jednego i tego samego typu doboru, ponieważ w każdej chwili wybór, który się odbywa, ułatwia zmiany zmierzające tylko w kierunku uprzywilejowanym — i bez litości niszczy wszelkie inne próby przypadku. W ten sposób dzięki ograniczeniom, stawianym zmianom gatunku, dobór naturalny staje się prawem, które nie pozwala światowi istot żywych pograżyć się w anarchii. Ewolucja, którą to prawo rządzi, jest więc ewolucją kierowaną, która zmierza nieustannie ku przymierzu, nigdy jednak nie zrealizowanemu w całej pełni, działania każdej żywej istoty i środowiska, w którym umieściły ją dzieje jej rasy.

Błędy stronników stałości gatunków

„Świat z doborem naturalnym“, którego szkic podaliśmy wyżej i w którym gatunki, wyraźnie oddzielające się w każdym okresie, ulegają zmianie dopiero wówczas, gdy zmieniają się warunki ich istnienia, jest bardzo podobny do tego, w którym żyjemy. Nie bez pożytku będzie podkreślenie w danym miejscu uwagi, którą uczyniliśmy z powodu doboru zachowującego, a mianowicie, że „świat bez doboru naturalnego“ przedstawiałby całkowity chaos. Świat, w którym każdy osobnik każdego gatunku miałby te same szanse przeżycia, byłby zadziwiająco urozmaicony pod względem osobników, ale nie podlegałby ewolucji istotnej.

Ponieważ ilość form genetycznie możliwych jest nieskończenie większa od ilości mieszańców, których może wyżywić ziemia w każdej generacji, pewne kombinacje znikająby, inne pozostawałyby przy życiu. Te zmiany, zawsze przypadkowe w swym ślepym kaprysie, dawałyby po sobie¹⁾ i mogłyby doprowadzić pewne linie — po długim błędzeniu po manowcach — do pierwotnego punktu wyjścia. Oczywiście, nikt nie może bronić koncepcji, która w swych ostatecznych konsekwencjach doprowadza do obrazu świata pozostającego w bezładzie. Toteż naszkicowaliśmy tu ten obraz tylko w tym celu, aby tym absurdem dowieść, że wszyscy przyrodnicy muszą — chcą czy nie chcą — zgodzić się na zasadę doboru naturalnego — i że ci, którzy twierdzą, że tej zasady nie uznają, szukają samych siebie. Od czasu, w którym poznaliśmy z absolutną pewnością, że u wszystkich gatunków mogą tworzyć się mutacje dotyczące wszystkich dających się pomyśleć właściwości i że liczne z tych mutantów są oczywiście zdolne do życia i całkowicie płodne, nie można już w żaden sposób zaprzeczać istnieniu doboru zachowującego. A skoro się przyjdzie do tego przekonania, w żaden sposób — racjonalnie — nie można zaprzeczać istnieniu doboru odnawiającego. Tymczasem zaś faktem jest, że dyskusja wywołana przez ukazanie się „Powstawania gatunków“ wciąż nie jest jeszcze zamknięta — po 75 latach kłótni — i że pewni przyrodnicy, i to bynajmniej nie ostatniego

¹⁾ rozwój lub uwstecznienie.

rzędu, wciąż uparcie odmawiają znaczenia doborowi naturalnemu — a raczej nie chcą uznać istnienia doboru odnawiającego.

Trwanie tej dyskusji w znacznej części jest spowodowane nieporozumieniem: słowo „dobór“ nie dla wszystkich, którzy je używają, ma to samo znaczenie. Spodziewam się, że czytelnik już zauważył, iż używam go w jak najszerszym znaczeniu. Najczęściej mówiąc o doborze naturalnym ma się zanadto na względzie walkę o byt, w znaczeniu jak najbardziej brutalnym bezpośredniej konkurencji o miejsce do życia i o pożywienie. Ta walka istnieje i jej znaczenie w pewnych warunkach może być bardzo znaczne, ale zimno i upał, nadmiar suszy i wilgoci, bynajmniej nie są czynnikami doboru niższego rzędu. W miejscu normalnego bytowania danego gatunku nie ma takiego czynnika żyjącego czy martwego, fizycznego czy chemicznego, który w odpowiednich okolicznościach nie mógłby się przyczynić w mniejszym lub większym stopniu do doboru zachowującego. I każdy z tych czynników w razie jakiejś nieprzewidzianej zmiany może spowodować dobór odnawiający. Gdyby o tych — zresztą bardzo prostych pewnikach — pamiętano zawsze, rozbieżności w poglądach na mechanizm ewolucji byłyby niewątpliwie znacznie mniejsze. Ponieważ jednak te rozbieżności istnieją i koncepcje darwinowskie wciąż mają zdecydowanych przeciwników, musimy stawić czoło zarzutom, które oni czynią, i wykazać, że nie mogą one być przeciwstawiane współczesnej teorii ewolucji.

Zdaniem naszych przeciwników przypadek jedynie decyduje w każdej generacji o tym, które osobniki spośród wszystkich żyjących będą mogły utrzymać przy dalszym istnieniu dany gatunek. Z tej loterii, w której stawkę stanowi nadzieją pozostawienia potomstwa, któremu przekaże się wszystkie swe dodatnie i ujemne cechy, są wykluczone tylko osobniki słabe, okaleczone i potworne, które są przesądzonymi ofiarami doboru zachowującego. Wszystkie inne osobniki są równe wobec śmierci i darwinisci — zdaniem ich przeciwników — popełniają ciężki błąd twierdząc, że przesiewanie dokonywane przez nią w każdym pokoleniu nie jest czynione na ślepo, lecz z uwzględnieniem w pewnym stopniu charakterystycznych cech każdego osobnika. Skoro zostaną usunięte osobniki nienormalne, śmierć już nie bierze więcej ofiar.

Ta teza prawowiernych mutacjonistów jest popierana klasycznym argumentem. Z milionów główaczy żabich, które roją się na wiosnę w stawach i strumykach, zaledwie nieznaczna ilość dosięga stanu dojrzałości płciowej.

Zwierzęta, które na nie polują, ani tym bardziej słońce, które wysusza błota, nie zwracają uwagi na najrozmaitsze właściwości, które posiadają główacze, ani też — tym bardziej — na te, które wykażą one jako osobniki dorosłe. Skoro pozostaje przy życiu jeden osobnik na tysiąc czy też jeszcze mniejsza ilość, czyż można wierzyć, że ten osobnik zawdzięcza swój los własnym wartościom — i dlaczego nie przyjąć po prostu, że ma on więcej szans do przedłużenia istnienia gatunku od innych, które mogłyby mieć je równie dobrze, gdyby przypadek okazał się dla nich bardziej łaskawy?

Na ten argument z łatwością można odpowiedzieć, że wystarczy chować pewną ilość głowaczy w akwarium, by się przekonać, że pomimo wszystko nie są one identyczne. Jedne rosną szybciej od innych; gdy woda ulega zepsuciu, niektóre osobniki pozostają znacznie dłużej przy życiu od innych, słowem stwierdzamy obecność właściwości indywidualnych, które niewątpliwie mają znaczenie dla szczęśliwego czy nieszczęśliwego zakończenia żywota larwalnego. Ale — nawet gdybyśmy się zgodzili, wbrew oczywistości, na to, że śmierć głowacza jest zawsze wynikiem przyczyn przypadkowych — pod jakim względem ten fakt zaprzeczyłby słuszności hipotezy o istnieniu doboru naturalnego?

Między końcem okresu przemian głowaczy i chwilą, w której powstałe z nich dorosłe żaby powracają do życia w wodzie, gatunek musi zapłacić śmierci jeszcze ciężki podatek, ale ten podatek niewątpliwie nie różni się od tego, jaki nakłada natura żabom egzotycznym, bardziej przystosowanym do życia na lądzie, a które składają zaledwie od 10 do 20 jaj? Ta śmiertelność jest dostatecznie wielka, by mogły interweniować własności indywidualne pożyteczne czy niepożyteczne i by mógł odbyć się dobór między osobnikami posiadającymi praktycznie już budowę dorosłych. Mutacjonisci mają oczywiście słuszność, gdy zapewniają, że głowacz nie dlatego ma szanse przetrwania niebezpieczeństw okresu larwalnego, że może stać się żabą skaczącą dalej niż jego rodzeństwo, ale nie mają słuszności, gdy nie uznają, że tylko te żaby mają szanse przetrwania i dojścia do pełnoletności płciowej, które podczas dwóch czy trzech lat życia na lądzie okazały się bardziej zdolne do ucieczki przed wrogami i że przekażą one swoim potomkom przynajmniej część swych właściwości. Błąd rozumowania, który stwierdziliśmy przed chwilą, jest pouczający z tego względu, że wykazuje, iż bezgraniczna rozrzutność, z jaką pewne gatunki wydają zarodki, ma zaledwie małe znaczenie w ewolucji. Wskutek tej rozrzutności odbywają się wielkie masakry, które uderzają naszą imaginację i powodują powstanie w naszym umyśle przesadnego wyobrażenia o rozpiętości „doboru naturalnego“, wyobrażenia jednak cokolwiek nie odpowiadającego rzeczywistości. Istotnie te masowe zagłady nie mają niewątpliwie większego znaczenia selekcyjnego niż eliminacja bardziej dyskretna, ale stała, która odbywa się długo jeszcze po „niebezpiecznych“ etapach rozwojowych.

Jeśli uwagi powyższe wystarczają, by wykazać małą wartość demonstracyjną tego klasycznego przykładu, nie wynika z tego jednak, że przypadek nie gra żadnej roli przy wyborze ofiar, ale tu — jak i gdzie indziej — nie należy używać bezkrytycznie słowa „przypadek“.

Nikt nigdy nie twierdził, że los zwierzęcia, które się urodziło, jest już z góry określony i że poznawszy jego właściwości genetyczne i fizjologiczne moglibyśmy się dowiedzieć, czy ten osobnik przeżyje, czy zginie. Ten los zależy bezwzględnie od warunków, w których osobnik się znajdzie. Ważne jest natomiast, czy konstytucja fizyczna daje każdemu osobnikowi danego gatunku i we wszelkich warunkach jednakową możliwość zachowania się przy życiu — czy na odwrót — możliwości zachowania się przy życiu są różne dla każdego osobnika, przynajmniej w pewnych okolicz-

nościach, zależnie od konstytucji genetycznej każdego z nich. Mówiąc inaczej, czy w partii, którą nieustannie prowadzą geny ze śmiercią, gra dla wszystkich jest jednakowa, w sensie, który temu słowu nadają matematycy? Wszystkie doświadczenia, wykonane starannie, dały jednakową odpowiedź na to pytanie — i to zdecydowanie dobitną: szanse rozmaitych allelomorfów nie są równe, jak tego wymaga teoria doboru naturalnego. W tych warunkach łatwo wykazać, że wyjątkowo, w pewnych populacjach rozbieżnych, może się zdarzyć, iż przypadek okazuje się łaskawy dla jednego z genów, który a priori miał mniejsze szanse przeżycia swoich rywali, ale że normalna ewolucja populacji polega na stopniowym zastępowaniu genów mniej wartościowych przez geny o większej wartości selekcyjnej. Ustaliśmy też, raz jeszcze, że większa wartość, o którą nam chodzi, nie jest absolutna, lecz stosunkowa, zależna od pewnych warunków istnienia i od pewnego typu konkurencji. Gdy wszystkie warunki są ściśle określone, wartość selekcyjna danego genu może być przynajmniej w zasadzie — wymierzona precyzyjnie pod względem prawdopodobieństwa przeżycia.

**

Podana wyżej przekonywująca — jak nam się zdaje — krytyka argumentu jakoby decydującego — „śmierci niewyróżnicowanej“ pozwoli nam krótko rozprawić się z drugim twierdzeniem, równie jak pierwsze niedostatecznie uzasadnionym, aczkolwiek opiera się ono na fakcie zupełnie ustalonym.

Cechami najbardziej odróżniającymi u gatunków, rodzajów i rodzin prawie zawsze są te, które same przez się na pewno nie mają żadnego znaczenia pod względem selekcyjnym. Dość zajrzeć do jakiegokolwiek „Flory“ lub „Fauny“, by to stwierdzić. Istotnie trudno powiedzieć, dla czego fakt występowania takiego lub innego kształtu płatków, albo takiej czy innej postaci pokryw może być dla gatunku bardziej korzystny lub niebezpieczny. W jaki sposób dobór może wywołać powstawanie gatunków, jeśli cechy odróżniające je między sobą są ogólnie bez wartości? Na to łatwe pytanie transformiści dawniejsi starali się odpowiedzieć wyszukując dla drobnych szczegółów anatomicznych jakiegokolwiek znaczenie korzystne. Ich starania nie zawsze były daremne, ale często nadmiar ich prowadził do stwierdzenia istnienia jakiegoś przystosowania szczególnie subtelnego tam, gdzie prawdopodobnie go nie było, i przeciwnicy z łatwością mogli wyśmiewać ich bujną fantazję. Transformiści współcześni nie dają się wciągnąć w podobne polemiki tam, gdzie twierdzenia są równie pienne jak ich zwalczanie. Zadowalają się uczynieniem uwagi, że argument nieposiadania znaczenia przez cechy specyficzne może być podtrzymywany tylko przez tych, którzy uważają, że zwierzę może być studiowane dopiero po wystawieniu go w witrynie lub w pudle i którzy znają rośliny tylko z zielnika. Transformiści współcześni proponują swym przeciwnikom, by zechcieli otworzyć podręczniki zootechniki lub rolnictwa, albo chociażby dobrze ułożony katalog ogrodniczy i stwierdzić, że zasadniczymi właściwościami danej rasy nie są — ogólnie biorąc — te, przy któ-

rych pomocy ją odróżniamy. Ani barwy, ani kształty, służące do określania, nie nam nie mówią o stopniu odporności na mróz czy suszę, na pasożyty czy choroby, a tym bardziej o stopniu płodności, szybkości wzrostu lub zdolności mniej lub większej spożytkowania środków spożywczych środowiska, w którym ta rasa przeżywa. A tymczasem właśnie te cechy są daleko ważniejsze od tych, które z taką starannością i ścisłością rejestruje botanika czy zoolog: opisowa. To, co wynika z porównania dwóch ras dotyczy również dwóch gatunków — i jeżeli różnice fizjologiczne, mogące istnieć między nimi, są na ogół nieznaczne, nigdy nie mamy prawa twierdzić, że są one bez znaczenia.

Właściwości, które człowiek starał się utrwalić w hodowli zwierząt czy roślin, są po większej części rzędu fizjologicznego — a pomimo to rasy, które wytworzył, różnią się zewnętrznie. Dobór cech bez znaczenia prawie zawsze towarzyszył doborowi cech korzystnych, z którymi tamte są związane. I na odwrót, genetyk izolujący organizm, różniący się od rodzeństwa obecnością większej czy mniejszej ilości szczecin lub odcieniem barwy, dobiera jednocześnie właściwości, których nie można widzieć, ale które mogą mieć znaczenie zarówno pod względem płodności czy długości życia, jak śmiertelności w stanie larwalnym czy odporności na działanie trucizny albo bakterii chorobotwórczych. To, czego dokonuje dobór sztuczny, może dokonać oczywiście również dobór naturalny i dokonuje w istocie. Jeśli człowiek nie zawsze rozumie znaczenia wyników tego doboru, dzieje się to dlatego, że wygląd zewnętrzny gatunku nie pozwala wnioskować prawie niczego o właściwościach dodatnich czy ujemnych tego gatunku, podobnie jak różnice w kształcie i barwie nie pozwalają człowiekowi, który nigdy nie jadł winogron, odróżnić cech naprawdę ciekawych dzielących „aramon“ od „chasselas“ czy muskatu.

**
*

Fakt, że cechy, które same w sobie nie są ani szkodliwe, ani korzystne, mogą być obiektem czynnego doboru, ponieważ są związane z cechami ukrytymi, ale mającymi znaczenie, odejmuje oczywiście całą siłę argumentowi obojętności cech specyficznych. Z tego nie wynika jednak, że należy w nowej postaci popełniać błędy transformistów dawniejszych i chcieć twierdzić stanowczo, że jakiś szczegół morfologiczny jest zawsze bądź bezpośrednio korzystny, bądź koniecznie związany z jakąś właściwością korzystną. Znamy dziś aż zanadto dużo wypadków ewolucji bezsprzecznie ujemnych, abyśmy mogli jeszcze wierzyć, że dobór koniecznie prowadzi świat organizmów żywych do doskonałości pod jakimkolwiek względem. Stwierdzając w ten sposób z całą wolą — niedoskonałość świata istot żywych, darwinista zdaje sobie sprawę, że nie dostarcza swym przeciwnikom argumentów tak ciężkich, jak ci sobie to wyobrażają. Analiza jednego chociażby przykładu, zresztą klasycznego, wystarczy, aby wykazać, że ten argument jedyny, który może być względnie przeciwstawiony teorii doboru naturalnego, nie jest bynajmniej nie dającym się przewyciężyć.

W licznych grupach ssących, samce posiadają broń, rogi czy inne narządy obronne bardziej rozwinięte niż u samic, które niekiedy są ich nawet pozbawione. Paleontologia stwierdza, że w pewnej ilości rodzin ewolucja dokonała się w tym samym kierunku i że samce stopniowo uzyskiwały tę broń coraz większą. U gatunków najmłodszych w każdej serii, które również są największymi pod względem wymiarów ciała, rogi czy inne narządy obronne są tak wielkie i tak skomplikowane, że niewątpliwie sprawiały one ich posiadaczom znaczne trudności. Niezwykle rozrośnięte i rozgałęzione rogi wielkich kopalnych jeleni, a nawet współczesnych, są jako narządy i jako broń tworami mniej skutecznymi od bardziej prostych i znacznie mniejszych, które posiadali ich przodkowie. Jak więc możemy wytłumaczyć, że w tylu wypadkach przyroda realizowała — jak gdyby wykonując plan powzięty z góry, ale pozbawiony sensu — te absurdalne „ortogenezy“¹⁾. Zbadanie tego zagadnienia pozwoli nam wykazać perwersję doboru, która wystąpiła zapewne również w wielu innych razach, a która tłumaczy się konfliktem między interesem jednostki a interesem gatunku.

Kiedy warunki istnienia są trudne, kiedy konkurencja pod względem żywności jest wielka i kiedy znaczna płodność ma w nieuchronnej konsekwencji zagładę znacznej ilości potomstwa, każda mutacja, wyraźniej sprządzająca zmniejszenie się prawdopodobieństwa pozostania przy życiu osobników, które ją posiadają, z konieczności zostaje eliminowana. Lecz, gdy populacja pozostaje przez dostatecznie długi okres swych dziejów w warunkach dość sprzyjających nie potrzebując się bać głodu, ani obawiać wrogów znacznie mocniejszych, gdy śmiertelność młodzieży jest mała, może ona odbywać pewne typy ewolucji, które nie mogłyby mieć miejsca, gdyby konkurencja była bardziej ostra. „Dobór naturalny“ taki, jak go przedstawił Darwin, jest wynikiem prawdopodobnie pewnych ewolucji, które faworyzują pewne osobniki kosztem innych, chociaż gatunek niekoniecznie ma jakąś korzyść z tych przemian.

U wielkich ssaków, o których mówiliśmy przed chwilą, zdarza się często, jeśli nie stale, że samce odbywają walki w okresie ru. Samce najsilniejsze, największe, najlepiej uzbrojone oczywiście mają więcej od swych rywali szans wyjścia jako zwycięzcy z tych zapasów i pozostawienia potomstwa. Ponieważ właściwości fizyczne są zawsze częściowo natury genetycznej, a więc mogą być przekazywane dziedzicznie, dzięki temu odbywa się z konieczności dobór sprzyjający powiększaniu się ciała i narządów napaści czy obrony, albo tylko u samych samców, albo jednocześnie u samców i u samic. Ale ewolucja w tym kierunku nie jest koniecznie sprzy-

1) Paleontologia wykazała, że w wielu liniach rozwojowych różnice postaci, budowy i wielkości, które odróżniają występujące po sobie gatunki, nie są dowolne, lecz wydaje się, że są one wytwarzane w pewnym określonym kierunku. A więc np. w serii przodków konia powiększaniu się wielkości ich ciała towarzyszy redukcja ilości palców u nóg, zmiana w uzębieniu i kształcie czaszki. Te następstwa w zmianach, z których każda późniejsza jest jak gdyby zaakcentowaniem poprzedniej, noszą nazwę „ortogenezy“. Jest faktem szczególnym, że w niezależnych seriach ewolucyjnych nieraz występują ortogenezy równoległe. Zjawisko, o którym tu mówimy, jest jednym z najbardziej dobitnych przykładów występowania w linii bardzo rozmaitych skłonności do gigantyzmu i do nadmiernego rozwoju rogów czy innych narządów obronnych.

jająca i dobór właściwości mniej efektywnych prawdopodobnie zapewniły lepszą przyszłość grupie, która tej ewolucji podlega. Większa odporność na niepogodę i na choroby, większa wytrzymałość na głód i pragnienie, a przede wszystkim dostateczna płodność są dla przyszłości gatunku czynnikami znacznie bardziej decydującymi niż siła i odwaga, i tylko brak konkurentów poważniejszych pozwala populacji na bezkarny rozwój uciążliwego przepychu i na wykuwanie broni coraz to skuteczniejszej w walce samców. Wydaje się nawet, że taka ewolucja musi doprowadzić prawie fatalnie do katastrofy grupę, która rozwija się w tym kierunku.

Ustalono już w naszych czasach, że dwa objawy charakteryzujące ortogenezy, które chcemy tu wyjaśnić, nie są niezależne. A więc rozrost ogólny ciała gatunków następujących po sobie sprawia, że jednocześnie rozrastają się, stają się mocniejszymi i bardziej skomplikowanymi pod względem kształtu narządy walki, które u nich występują. Bardzo ogólne prawo rozwojowe sprawia istotnie, że „odmiany płciowe“, jakimi są narządy walki, właściwe tylko samcom, albo bardziej rozwinięte u samców niż u samic, rosną w większym stopniu niż całe ciało ich nosicieli i rosnąc komplikują swój kształt. W tych warunkach gatunki o wymiarach ciała dostatecznie wielkich w rezultacie mają narządy walki o wielkości nieproporcjonalnej do wielkości całego ciała i bezpożytecznie skomplikowane. Paleontologia stwierdza niezbicie, że w licznych rodzinach gatunki stojące na szczycie rozwoju, te, których występowanie zapowiada wygaśnięcie grupy, przekroczyły stadium, w którym narządy napaści i obrony dosięgły optimum swego rozwoju. Wyjaśnienie tego faktu, przez dłuższy czas wydającego się tajemniczym i przez licznych uczonych uznawanego za decydujący argument przeciw darwinizmowi, zostało dane przed dziesiętkiem lat przez głębsze matematyczne badania praw doboru naturalnego. Wiemy już od dawna, że we wszystkich albo prawie wszystkich wypadkach właściwości ilościowe takie, jak np. wymiary ciała, zależą od kombinacji większej ilości genów i że takie populacje są heterozygotyczne. Gdy dobór idzie w kierunku rozrostu ciała, stara się wyeliminować geny, które zmniejszają wielkość zwierzęcia — i zwiększyć ilość tych genów, które sprowadzają powiększenie się. Otóż można wykazać, że gdy dobór trwa podczas dostatecznie długiego okresu czasu, ewolucja idąca w tym kierunku nie może nagle zakończyć się. Nawet gdy dobór ustanie, nawet gdy warunki środowiska zmieniły się, kierunek, w którym szedł dotychczas rozwój — tzn. stopniowe zwiększanie się rozmiarów ciała — tym niemniej zostanie przez czas jakiś zachowany i rozrost przekroczy z konieczności optimum, w którym dobór ustaje. Ortogenezy wywołujące gigantyzm i nadmierny rozrost broni u samców w ten sposób zostają wytłumaczone przez „bezwład ewolucji“ — zjawisko, którego należy się spodziewać w wypadku, w którym właściwość podlegająca doborowi jest wywołana obecnością wielkiej ilości genów.

**
*

Zaznaczmy, nie zatrzymując się dłużej na tym, że Darwin podał jeszcze drugi typ doboru płciowego, mniej brutalny od tego, który poznaliśmy

wyżej — a to dla wyjaśnienia pochodzenia właściwości występujących u samców, wyraźnie nie przynoszących jakiegokolwiek pożytku. Do takich właściwości należy melodyjny śpiew słowika, który ma służyć do podboju niemej samicy i jaskrawe zabarwienie samca bażanta, które ma uwodzić szarą bażanicę.

Trudno jest wykazać słuszność tego wyjaśnienia, ale w obecnej chwili jest ono bardziej prawdopodobne niż wówczas, gdy je Darwin podał. Nie ulega wątpliwości, że u zwierząt wyższej organizacji, a u ptaków w szczególności, dobieranie się par nie jest pozostawione tylko przypadkowi, lecz że odbywa się przynajmniej w części na skutek wyboru jednego osobnika przez drugiego innej płci. Jakkolwiek słaby jest udział tego wyboru, wystarcza, aby mógł dokonywać się dobór jednocześnie pod względem właściwości występujących u jednej płci, jak również u drugiej wobec preferencji okazanej przez nosicieli tych cech. Wynikiem tego podwójnego doboru może być ewolucja niezwykle gwałtowna, z chwilą gdy jakaś mutacja pozwoli na zmiany w tym kierunku właściwości podlegającej wyborowi. Podobnie jak w wypadku narządów do walki u ssaków i wskutek tych samych przyczyn ewolucja może przekroczyć swój cel i w końcu zaszkodzić gatunkowi, u którego występuje.

Nie jest pewne, ani nawet prawdopodobne, że wszystkie ortogenezy mogą być wyjaśnione za pomocą mechanizmu, który podaliśmy. Ale najświeższy sukces współczesnego darwinizmu pozwala spodziewać się, że wkrótce znikną ostatnie przeszkody na drodze do jednogłośnego uznania słuszności doboru naturalnego.

Jerzy Teissier

Koniec części pierwszej.

Ocena umów monetarnych w Bretton Woods

WSTĘP

Pieniądz jest zasłoną, poza którą odbywają się skomplikowane procesy gospodarcze i nie jest rzeczą łatwą zrozumieć siły motoryczne tych procesów.

W zwykłym biegu zdarzeń na ogół przecenia się znaczenie pieniądza, ale gdy występują okresy wyjątkowe, gdy wartość pieniądza ulega zmianom, to kwestia kalkulowania produkcji i zysków oraz wymiany zagranicznej stoi pod bezpośrednim wpływem wartości pieniądza.

Słowem, w pewnych okresach zagadnienie pieniądza staje się centralnym problemem ekonomicznym. Ale w tej dziedzinie nie można zagadnienia upraszczać i uogólniać. Oczywiście są przesadzone poglądy Fr. Simianda, który łączy przebieg wypadków historycznych od takiego czy innego stanu rezerw kruszcowych.

Literatura pieniężna przed 1914 r. wynosiła kilkanaście tysięcy pozycji. Po pierwszej wojnie światowej liczba tych pozycji na pewno uległa znacznemu powiększeniu. Pojawiło się wiele monografii i rozpraw, wiele wzajemnie sprzecznych teorii, ale mimo to zagadnienia pieniężne ani nie stały się bardziej jasne, ani nie rozwiązano wielu problemów. Trudno się oprzeć wrażeniu, ale dzieła poświęcone pieniądzu z pierwszej połowy XIX wieku były formułowane bardziej syntetycznie, no i zdaje się, bardziej głęboko niż monografie współczesnych nam autorów.

Może to się wydać sceptycyzmem, ale literatura pieniężna początków XX w. wysunęła tylko jedną pozytywną propozycję — finansowanie przez rząd wielkich robót publicznych.

Jeśli ograniczymy nasze spostrzeżenia do zagadnienia waluty złotej, to takie zagadnienia, jak rola pieniędzy zdawkowych i bilonu w ustroju pieniężnym, znaczenie obiegu monet złotych lub sterylizacji złota i jego tezauryzacji, wreszcie ruchów złota w większości swych wcale nie były gruntownie opracowane i zbadane.

Dużo się pisało po 1918 r. o oszczędzaniu złota, jego braku lub złej dystrybucji, nawet o perspektywach produkcji tego kruszcu — ale, obecnie już wszyscy wiemy, jak powierzchowne i fałszywe były te poglądy.

Międzynarodowi eksperci Ligi Narodów (Komitet Złota) nie wniósł też trwałych i pewnych wiadomości w dziedzinie monetarnej.

W latach 1924—1931 restytuowana została waluta złota w wielu krajach, ale w znacznie zmienionej formie w porównaniu z 1914 r. Nie powrócono do obiegu monet złotych, wprowadzono w wielu krajach zakazy wywozu złota, a zatem nie stosowano wolnego obrotu złotem w obu kierunkach, punkty złote przestały odgrywać swą rolę, do pokrycia kruszcowego obiegających banknotów powszechnie dopuszczono dewizy itd.

Mimo tych doniosłych przeobrażeń literatura pieniężna z owych czasów nie dotykała zasadniczych reguł waluty złotej.

To dziwne sprzysiężenie ekonomistów przerwał prof. Karol Rist, ogłaszając w 1938 r. dzieło pt. „Histoire des doctrines économiques relative au crédit à la monnaie“ (Paris, éd. Sirey). Zagadnienia monetarne są i pozostaną natury specjalnie delikatnej. Używanie w sferze pieniężnej zabiegów prostych i bezpośrednich nie prowadzi do zamierzonych celów, gdyż oddziaływanie pieniądza na przebieg zdarzeń ekonomicznych odbywa się w sposób niesłychanie skomplikowany, drogą powikłanych procesów. Chciałoby się powiedzieć za pewnym filozofem: „o jakże wszystkie rzeczy proste są skomplikowane“.

Kryzysy pieniężne zdarzały się bowiem zarówno podczas niskiej jak i bardzo wysokiej produkcji złota, np. w latach 1857 i 1907.

Stany Zjednoczone Ameryki i W. Brytania, najwięksi obecnie posiadacze i producenci złota, stanęły w obliczu ołbrzymiej odpowiedzialności za losy międzynarodowej waluty złotej, za cenę a zatem przyszłość złota, za uregulowany handel światowy i perspektywy kredytu długoterminowego.

Nie wystarczy bowiem posiadać złoto, trzeba wiedzieć, co z nim należy robić.

§ 1. PERSPEKTYWY HANDLU ŚWIATOWEGO

Reforma ustroju monetarnego, nawet w skali światowej, nie może być uważana za operację udaną, jeśli nie nastąpią głębokie przeobrażenia w handlu międzynarodowym. Wyraźnie zdawał sobie sprawę z tego Keynes, uważając projekt Międzynarodowego Funduszu Monetarnego tylko za część większej całości. Pogląd ten został przyjęty przez U.S.A., które zgłosiły „propozycje“ odnośnie podstaw, na jakich ma się opierać przyszła wymiana międzynarodowa.

„Propozycje“ amerykańskie nie są integralną częścią składową Międzynarodowego Funduszu Monetarnego, ale kraje, które chcą uzyskać obecnie kredyty z Ameryki, są zmuszone je przyjąć i aprobować.

W celu zrealizowania tych propozycji Stany Zjednoczone zamierzają powołać do życia Międzynarodową Organizację Wymiany, której zadaniem ma być uzgadnianie posunięć polityki gospodarczej w zakresie produkcji i obrotu surowcami oraz popieranie i ułatwianie handlu międzynarodowego przez podniesienie zatrudnienia i dobrobytu członków.

Proponowana organizacja zamierza:

- 1) całkowicie eliminować ograniczenia ilościowe importu i eksportu;
- 2) wydatnie zniżyć taryfy celne i znieść preferencje celne;
- 3) zwalczać dumping i ujednostajnić formalności celne;
- 4) zapewnić równe traktowanie towarów importowanych i pochodzenia krajowego.

Organizacja ta jednak jeszcze nie została powołana do życia.

Przeprowadzenie tych zamierzeń oczywiście przyczyni się do zniesienia tych uciążliwych i niezdrowych praktyk handlowych, które tak bujnie rozwinęły się na świecie po 1930 r.

Już dawniej, bo przed drugą wojną światową, ceniony ekspert Ligi Narodów prof. G. Haberler zauważył, że znacznie szkodliwsze dla rozwoju handlu światowego są kon-

tyngenty przywozowe niż najwyższe nawet mury celne i wydaje się, że ta część propozycji amerykańskich jest najkorzystniejsza.

Organizacja wymiany dopuszcza jednak przejściowo stosowanie ograniczeń importowych oraz zasadniczo subsydiowanie importu i eksportu po uzgodnieniu z tą organizacją.

Sformułowania zatem są elastyczne, gdyż zachodzi obawa, że po znacznej niższej taryf celnych szereg gałęzi produkcji może pracować nierentownie w krajach, które wymienione propozycje zrealizują.

Aby ocenić te propozycje musimy rozważyć przyszłość handlu międzynarodowego.

W latach 1924—1925 działała Królewska Komisja Ankietowa w Anglii, która poświęciła wiele pracy dla zbadania handlu zagranicznego, od którego rozwoju zależał w owych czasach dobrobyt Anglii. Z prac tej Komisji wynikały dwa ważne wnioski:

- 1) obroty handlu zagranicznego właściwie stanowią nikły procent produkcji i handlu krajowego (5—15% dochodu społecznego);
- 2) największe obroty handlowe Anglia miała z wysoko uprzemysłowionymi krajami Europy Zachodniej, a nie z przeludnionymi a ubogimi krajami Wschodu, np. Indle i Chiny.

Na podstawie obserwacji Japonii można wyciągnąć ponadto wniosek, że kraje, które realizują program industrializacji gwałtownymi skokami, powiększają zarówno dochód społeczny jak i obroty handlu zagranicznego.

Po 1870 roku największy rozkwit handlu światowego przypadł na dziesięciolecie poprzedzające wybuch pierwszej wojny światowej.

Po 1918 roku obroty handlu światowego spadały prawdopodobnie z paru przyczyn, jak np. złamanie przez naukę monopolów niektórych surowców, względy na bezpieczeństwo militarne itp.

Ale w istocie rzeczy perspektywy handlu światowego zależą od uporządkowania bilansów płatniczych dwóch największych potęg gospodarczych tj. Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii¹⁾. Bilansom obu tych państw grozi poważny brak równowagi.

Rozważmy przede wszystkim w krótkości bilans płatniczy Stanów Zjednoczonych, tak precyzyjnie obliczany. Na porządku dziennym amerykański bilans płatniczy wykazuje ogromne wahania — różnice w saldzie bieżących pozycji o 300 lub 500 mil. \$. z roku na rok, w dół lub w górę, są zwykłym zjawiskiem. W ciągu 8 lat w okresie 1930/37 saldo ujemne wystąpiło w pięciu latach, dodatnie w trzech, a saldo za cały okres wyniosło 23 mil. \$. na niekorzyść Stanów Zjednoczonych.

Słabym punktem polityki Stanów było to, że dodatni bieżący bilans płatniczy był nieraz tak wielki, że międzynarodowy rynek kapitałowy nie mógł sobie z nim dać rady. W ciągu 20 lat przeciętna roczna nadwyżka dochodziła do 733 mil. \$., a przeciętna roczna udzielonych kredytów tylko 542 mil. \$.

Zarzut ekonomistów europejskich, że Ameryka „za dużo sprzedaje a za mało kupuje“ nie jest ścisły, ale może za to bliższe jest prawdy spostrzeżenie Anglików, że istnieje kraj na świecie, który tak mało potrzebuje od reszty świata, ale od którego ta reszta potrzebuje tak wiele.

Jakie są widoki handlu Stanów po drugiej wojnie światowej? Wszystko przemawia za tym, że największy kraj wierzycielski będzie miał czynny bilans płatniczy, co sta-

¹⁾ patrz „Przyszłość handlu międzynarodowego“ — artykuł w *Ekonomiście Polskim*, Londyn Nr.9/1944 str. 85 — 87.

nowi paradoksalną sytuację. A zatem zaopatrzenie świata w dolary jeszcze się pogorszy, co utrudni i opóźni odbudowę.

A może Stany Zjednoczone zdobędą się na wielką akcję kredytową w stosunku do zagranicy? Potrzeba byłoby na ten cel około 1½ miliarda dolarów pożyczek rocznie. Jest wątpliwe, aby tego rodzaju gigantyczna akcja mogła być przeprowadzona w Ameryce, mimo jej niezmiernych bogactw.

Przejdźmy z kolei do bilansu płatniczego Anglii, który począwszy od 1930 r. wykazywał deficyt w wysokości 40 mil. £ rocznie, pokrywany przez sprzedaż walorów zagranicznych. Niewidoczne pozycje bilansu płatniczego Anglii dadzą po wojnie prawdopodobny ubytek 200 mil. £ rocznie — stąd wywodzi się hasło powojenne W. Brytanii wzmoczenia eksportu o 50% w porównaniu z rokiem 1939. Wiemy, że obecnie hasło to jest w tym kraju energicznie realizowane. Ale nie należy zapominać, że aktualnie realizowana tam polityka pełnego zatrudnienia niechybnie wzmocze przywóz, co może skompensować zyski podwyższonego eksportu i jest wątpliwe czy w czasie wojny silnie zmodernizowany przemysł angielski coś ulży w tej trudnej sytuacji.

Krótko powyżej przeprowadzona analiza perspektyw handlu zagranicznego dwóch największych partnerów handlu światowego przekonywa nas jak trudna i skomplikowana jest sytuacja w dziedzinie tego handlu. Ale nie na tym polega cała trudność.

Kontyngenty przewozowe i ograniczenia dewizowe uważane są powszechnie za największe przeszkody utrudniające rozwój handlu międzynarodowego.

Profesor J. Viner z Chicago, specjalista od zagadnienia handlu zagranicznego, bilansu płatniczego i dumpingu, opublikował w 1934 roku jako ekspert Ligi Narodów pracę pt. „Trade relations between free market and controlled economies“.

Po starannej analizie prof. Viner dochodzi do wniosku, że system kontyngentowania handlu zagranicznego jest bardziej elastyczny i okazał się skuteczniejszym instrumentem polityki handlowej niż cła. Natomiast reglamentacja dewizowa w latach trzydziestu została spowodowana zahamowaniem międzynarodowej działalności kredytowej oraz załamaniem się waluty złotej. I wreszcie, że planowanie w ramach polityki państwowej nie jest bez ograniczeń dewizowych możliwe.

Z wywodów tych zdaje się wynikać, że powszechne obniżenie taryf celnych będzie operacją stosunkowo łatwą i prawdopodobnie będzie mogło być nawet zrealizowane w skali światowej.

Jeśli zaś chodzi o system kontyngentowania importu, to nawet gdyby niektóre kraje zgodziły się chwilowo na zakazanie tej procedury, to taka zgoda nie będzie miała cech trwałych, w szczególności dla krajów o gospodarce planowej, gdyż w tych krajach są one niezastąpionym instrumentem polityki handlowej.

A czy w krajach o upaństwowionym przemyśle można wyeliminować zupełnie i na stałe ograniczenia dewizowe?

Międzynarodowa waluta złota funkcjonowała dobrze i prawie automatycznie przed 1914 r. w klimacie międzynarodowego podziału pracy, czyli gdy handel światowy był skrępowany stosunkowo niskimi barierami celnymi, a nie znał ani kontyngentów przywozu, ani ograniczeń dewizowych, a wolny rynek złota w Londynie przy olbrzymim obiegu trat funtowych, umożliwiał technicznie rozdział złota wszystkim krajom stosownie do potrzeb i siły handlu zagranicznego. Wydaje się, że te czasy bezpowrotnie minęły. W jednym pokoleniu świat przeżył dwie wojny światowe. W szczególności po drugiej z nich zniszczenia wojenne przybrały takie rozmiary, że kraje biedne bez wprowadzenia gospodarki planowej nie są w stanie rychło się odbudować, stąd wynika konieczność

wprowadzenia gospodarki planowej, która znów pociąga za sobą powyżej opisane konsekwencje w dziedzinie zewnętrznej polityki handlowej.

Wiele krajów uległo głębokim przeobrażeniom struktury społeczno-gospodarczej. Czyż Ameryka zamyka oczy na te przemiany ustrojowe? Czy nie stara się „par force” wskrzesić dawny, już może częściowo przebrzmiały liberalizm handlu światowego.

Amerykańskie „propozycje” w dziedzinie handlu zagranicznego dziwnie przypominają w swym ogólnym tenorze manifest bankierów anglosaskich z 1926 r., w którym ci bankierzy ubolewali, że po pierwszej wojnie światowej powstało w Europie za wiele państw narodowych, o odrębnych obszarach cełnych, stanowiących znaczną przeszkodę w obrotach międzynarodowych i, że jedynym wyjściem z sytuacji są unie celne.

Ale nie o to chodzi. Sedno sprawy polega na tym, że nie widać pewności, aby nawet chwilowo zrealizowane „propozycje” amerykańskie mogły się na dalszą metę utrzymać.

Stany Zjednoczone są, zdaje się, w przymusowej sytuacji. Zgromadziwszy 75% światowych zapasów monetarnych złota, dzięki brakowi śmiałej polityki gospodarczej w okresie między dwoma wojnami światowymi — obawiają się, że świat porzuci złoto jako podstawę pieniądza, a wtedy one pozostaną z bezwartościowym wówczas zapasem żółtego metalu, więc trzeba ratować te zakumulowane skarby, trzeba przywrócić złotu dawne jego znaczenie, co jest tylko możliwe przez wskrzeszenie światowego rynku towarowego, którego najwybitniejszym wyrazem była waluta złota.

Wydaje się, że obawa przed spadkiem wartości złota leży u podstaw wyżej wymienionych „propozycji” amerykańskich i, aby to zrozumieć, nie trzeba posiadać specjalnej przenikliwości.

§ 2. OGÓLNE WARUNKI GOSPODARCZE PO ZAKOŃCZENIU DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ.

Stworzenie Międzynarodowego Funduszu Monetarnego jest zapowiedzią reformy walutowej w skali światowej, ale tego rodzaju zabieg nie może abstrahować od podłoża gospodarczego ani sytuacji gospodarczej w danej chwili. Któryś bowiem z ekonomistów zwracał w swoim czasie uwagę, że zdarzają się reformy, które, aczkolwiek logicznie przeprowadzane, nie udają się. Dramatyczne losy waluty odrodzonego Państwa Polskiego po 1918 r. mogą być ilustracją tego rodzaju nieudanych reform.

Rozpatrując ogólne warunki gospodarcze wielu krajów po zakończeniu drugiej wojny światowej możemy stwierdzić następujące cechy charakterystyczne obecnego położenia gospodarczego:

- 1) powszechny głód towarowy,
- 2) potworne zniszczenia wojenne wielu krajów,
- 3) deficyty budżetowe, jako chorobę nagminną,
- 4) rozdęte niezwykle obiegi pieniężne.

Do tych generalnych zjawisk należy dołączyć reglamentację cen wewnętrznych — jako cechę najbardziej może charakterystyczną czasu, w którym żyjemy.

Oczywiście, że w tych warunkach nie ma cen światowych, tym bardziej, że światowe giełdy towarowe nie funkcjonują, a pierwsze aukcje towarowe na niektóre surowce światowe dopiero jesienią 1946 roku mają być w Anglii wznowione (np. na wełnę).

Przed 1939 r. panowała zgodna opinia wielu teoretyków pieniądza, że wszelkie reformy walutowe muszą być poprzedzone pewnym okresem czasu, w którym pieniądź podlegający reformie jest stabilizowany, gdyż tylko w tych warunkach możliwe jest ustalenie siły nabywczej tego pieniądza zarówno wewnątrz kraju, jak i w stosunku do

zagranicy. Cichym założeniem tej stabilizacji jest nieskrępowany ruch cen wewnątrz kraju.

Przepisy Funduszu Stabilizacyjnego wymagają od państw, członków Funduszu Monetarnego, określenia parytetu ich walut. Właśnie w październiku 1946 roku w Waszyngtonie mają być te parytety ustalone. W tym stanie rzeczy powstaje pytanie, jakie trwałe znaczenie może mieć ustalenie w tych warunkach, już teraz, parytetów walutowych, gdy brakuje z jednej strony ceny światowej na ważniejsze surowce i artykuły i gdy na świecie obowiązuje, włącznie z Ameryką, reglamentacja cen krajowych? Czy można stabilizować na długą metę kursy walut, gdy świat nie jest nasycony towarami i gdy wszelkie wskaźniki cen dają na razie fałszywy obraz sytuacji? Daleko nam jeszcze do normalnego strumienia towarów.

Wprawdzie natychmiastowe ustalenie kursu kładzie tamę d'a inflacji pieniądza, ale czy ten zabieg może być podstawą reformy walutowej, gdy kraje nie są nasycone w towary bieżącej konsumpcji i gdy wytwórczość dóbr w większości krajów nie osiągnęła poziomu przedwojennego?

Dalszy przepis Funduszu Monetarnego ustala, że zgłoszony parytet staje się wiążący w ciągu 90 dni po zgłoszeniu, a ma być oparty na podstawie rzeczywistych kursów, jakie przeważały w ciągu ostatnich 60 dni przed wejściem w życie uchwały o Funduszu.

W języku potocznym „rzeczywisty“ kurs oznacza albo kurs czarnej giełdy, albo kurs danej waluty na wo'nych giełdach światowych np. w Londynie, Nowym Jorku lub Zurychu.

Powstaje jednak pytanie czy druga połowa 1946 r. daje dobrą podstawę do określenia kursu walut, gdy międzynarodowa sytuacja polityczna była i jeszcze nadal jest zagnatwana, a wo'ne giełdy znajdują się pod dominującym wpływem różnego rodzaju wojennych pogłosek.

§ 3. SYTUACJA STANÓW ZJEDNOCZONYCH JAKO KRAJU WIERZYCIELSKIEGO

Gustaw Cassel w swej słynnej książce „The Downfall of the Gold Standard“ stara się udowodnić tezę, że latem 1933 r., a więc w kilkanaście miesięcy po załamaniu się funta angielskiego, można było walutę złotą restaurować. Miało to być przeprowadzone na Światowej Konferencji Ekonomicznej, która w lipcu 1933 r. obradowała w Londynie. Jak wiadomo konferencja ta została storpedowana orędziem prezydenta Roosevelta, w którym oświadczył, że Stany Zjednoczone nie mają zamiaru powracać do dawnego parytetu do'ara, nie mają też zamiaru opierać swej waluty na złocie, holdują one bowiem srebru, którego jako pieniądza używają miliony Azjatów. — Następstwem tego orędzia była amerykańska polityka popierania produkcji srebra, która nie dała żadnych pozytywnych rezultatów, prócz poparcia dla chybionych postulatów farmerów amerykańskich.

Dolar został zdewa'uowany o 41% swej wartości.

Przebieg tych wypadków atoli ujawnił inny zgoła aspekt, a mianowicie zależność sytuacji walutowej Stanów Zjednoczonych od depozytów europejskich oraz udziału Starego Kontynentu w finansowaniu giełdowej spekulacji amerykańskiej.

Przypominamy sobie z owych czasów przyjazd do Genewy specjalisty od amerykańskiego rynku pieniężnego R. Burguessa, który prosił publiczność europejską, aby nie ulegała popłochowi i nie wycofywała swych depozytów ze Stanów Zjednoczonych.

Fakt ten wykazał słabość amerykańskiego systemu finansowego i skomplikowaną

niesłuchanie maszynię wysokich finansów międzynarodowych. Istotnie ta maszyna jest niezwykle delikatnym instrumentem.

Tak jak nie ma banku, który by w każdej okoliczności był wypłacalny, tak też nie ma nawet najpotężniejszego rynku pieniężnego, który by nie obawiał się niespodzianek.

Stany Zjednoczone w toku pierwszej wojny światowej dzięki ogromnemu wywozowi zmieniły swój charakter kraju dłużniczego na kraj wierzycielski. Eksport kapitałów amerykańskich do końca 1930 r. osiągnął sumę 30 miliardów dolarów, ale po tej dacie nadwyżka bieżących pozycji bilansu płatniczego Stanów Zjednoczonych jest mniejsza niż w poprzedniej dekadzie lat, natomiast wzrasta gwałtownie dopływ złota.

W szczególności w latach 1935 — 1940 dopływ zagranicznych kapitałów do Stanów Zjednoczonych doszedł do poziomu 5,7 miliardów dolarów.

Rok 1940 był przełomowym dla finansowej sytuacji zagranicznej Stanów Zjednoczonych, gdyż na przełomie 1940/1941 kraj ten nie posiadał już w pełni charakteru wierzycielskiego. Wprawdzie za 1940 rok Departament Handlu ogłosił ostatni z publikowanych bilansów zagranicznych wierzycielności i zobowiązań i wprawdzie statystycznie była wykazana nadwyżka aktywów nad pasywami zagranicznymi w wysokości 1 1/2 miliarda dolarów, ale gdy wprowadzi się do wzmiankowanego powyżej zestawienia aktywów i pasywów niezbędne poprawki na faktyczne, a nie ksiązkowe inwestycje bezpośrednie w Europie i Azji oraz wycenienie portfela walorów nie według nominalnej, ale giełdowej wartości — to dochodzi się do wniosku, że w końcu 1940 roku bilans należności i zobowiązań Stanów Zjednoczonych był bliski zeru¹⁾

Ponieważ od marca 1941 roku weszła w życie umowa Lend-Lease to należy dojść do wniosku, że Stany Zjednoczone już nie czerpią dodatkowych nadwyżek ze swych obrotów kapitałowych z zagranicą, a ponieważ większa część obrotów towarowych Stanów Zjednoczonych po przystąpieniu do wojny była dokonywana w ramach tej umowy, przeto bieżące obroty kasowe dla Stanów Zjednoczonych kształtowały się biernie.

Ilustrację tego stanu rzeczy przedstawia poniższa tabelka:

Ruch kapitałów krótko i długoterminowych w U. S. A. w stosunku do zagranicy
(w milj. dol. obiegowych)

R o k	Ruch kapitałów netto do U S A					Krótkoterminowe	
	Razem	Powiększenie zagr. fund. w U. S. A	Zmniejsz amort. fund. bank za granicą	Walory		Zobowią- zania	Należ- ności
				zagr.	krajowe		
				powót fun. usz. am. usz.	przyływ fun. usz. zagraj.		
1935	1 441	632	361	125	317	1 301	779
1936	2 677	990	432	316	917	1 623	673
1937	3 001	1 259	419	533	1 162	1 893	655
1938	3 033	1 514	510	642	1 220	2 158	594
1939	5 113	2 522	650	7 6	1 134	3 221	509
1940	5 818	3 239	775	804	839	3 938	384
1941	5 354	2 980	791	856	6 7	3 679	368
1942	5 980	3 4 6	889	843	673	4 205	247
1943	7 267	4 645	878	926	701	5 375	253
1944	7 23	4 865	806	1 019	912	5 597	330
1945	8 803	6 115	743	973	799	6 883	393

Źródło: Fed. Res. Bulletin VI. 1946.

¹⁾ Artykuł dra Z. Karpińskiego w *Ekonomiście Polskim* Nr. 7/1943, Londyn str. 81 — 84.

Trudno oprzeć się wrażeniu, aże wydaje się, że pośpiech Stanów Zjednoczonych w kierunku szeroko zakrojonej reformy stosunków pieniężnych świata jest wywołany przymusową okolicznością, w jakiej się one same w wyniku wojny znalazły.

Sytuacja dojrzała do pożądanej „redystrybucji” światowych zapasów złota i to zarówno z punktu widzenia techniki bankowej (wyrównanie sa'd) jak i wzrastających wielkości europejskich rezerw kruszczowych, zdeponowanych w Ameryce na tzw. rachunku „earmarked”.

§ 4. ZAGADNIENIE ZŁOTA

U podstaw tego problemu znajduje się dalszy nieprzerwany drenaż złota przez Stany Zjednoczone. Ruch jednostronny złota, w jednym kierunku, w stronę Ameryki, rozpoczął się jeszcze podczas pierwszej wojny światowej. Począwszy od 1934 roku przybrał on tak niesłychane rozmiary, że zjawisko nabrało charakteru bezprzykładnego bodajże w całej historii ludzkości.

Poniżej podaje się zestawienie, które wymaga bliższego rozpatrzenia:

Produkcja złota, jego ruchy i analiza rezerw kruszczowych U. S. A. (w milionach dolarów obiegowych)

Rok	Światowa produkcja złota (bez Rosji)	Rosja	Ruch złota do USA		Analiza zmian w rezerwie złota U. S. A.					Krajowa produkcja złota
			Ogólny import netto	import ze Zj. Król.	Stan rezerwy złota pod koniec okresu	Powiększenie rezerwy kruszczowej	Import netto złota lub eksport	Sterylizowane złoto zmniejsz. lub zwiększ. (—)		
									w mil. \$ po 35 \$ za czystą uncję	
1934	823	135	1132	500	8238	4203	1134	83	93	
1935	883	158	17.9	316	10125	1587	1739	.	111	
1936	972	187	1117	174	11258	1133	1117	— 86	132	
1937	1042	185	1586	892	12700	1503	1586	—200	144	
1938	1136	180	1973	12.9	14512	1752	1974	—334	149	
1939	1209	.	3671	1826	17644	3132	3574	—534	162	
1940	1297	.	4744	633	21995	4351	4745	—615	170	
1941	1289	.	982	4	22737	742	982	—408	169	
1942	.	.	316	2	2276	— 10	36	—458	125	
1943	.	.	69	.	21938	— 789	69	—804	48	
1944	.	.	—845	—695	20619	—1319	—845	—460	36	
1945	.	.	—106	.	20065	— 554	—106	—357	35	

Zródło: Fed. Res. Bulletin VI. 1946.

Przy produkcji światowej złota (bez ZSRR.) w 1940 r. wartości 1.297 mil. dolarów netto import do U.S.A. wyniósł 4.744 mil. dol. Celowo podaliśmy najdrastyczniejszy przykład tego drenażu kruszcu złotego, aby zwrócić uwagę czytelnika na uważne rozpatrzenie tej tabeli statystycznej, gdyż godna ona jest tego.

Koncentracja rezerw złota po pierwszej wojnie światowej w bankach biletowych oraz usunięcie z obiegu monet złotych — nie wyszły na dobre dla wskrzeszenia waluty

złotej. Następnie koncentracja złota w U. S. A. doprowadziła do paradoksalnej sytuacji—złota monetarnego jest dość dla wszystkich krajów świata i każdemu z nich w ogóle powinno przypaść tyle, ile wymagają potrzeby jego handlu, ale skupienie go w rękach jednego, jedyne go niemal kraju, zmusiło inne państwa, ubogie w żółty metal, podczas „wielkiej depresji“ lat trzydziestu do zorganizowania swego handlu zagranicznego na podstawie clearingu i kompensaty.

Upowszechnienie tego proceduru groziło, że złoto zostanie wyeliminowane z obrotów światowych jako ostateczny sposób regulowania salda między państwami, wynikającego z obrotu handlu zagranicznego. I to rzeczywiście częściowo zostało dokonane przed wybuchem drugiej wojny światowej, w tych krajach, które wprowadziły ograniczenia dewizowe lub prowadziły handel zagraniczny na podstawie clearingu.

Drugim przeciwnikiem złota monetarnego była w latach 1919/1932 tezauryzacja złota na Zachodzie. Różni eksperci monetarni po pierwszej wojnie światowej straszili ekonomistów tezauryzacją złota przez ludy Wschodu: Indie i Chiny. Badania statystyczne nie potwierdziły tych obaw, gdyż ludy wschodnie raczej wolą srebro niż złoto — zresztą są zbyt ubogie na to, aby nabywały wielkie ilości złota.

W rezultacie świat powoli zaczął się odzwyczajając od używania złota, w następstwie zagrażał złotu brak popytu. Ekonomista angielski Morgan-Webb przewidywał ten przebieg wypadków. Trochę się go obawiał prof. K. Rist.

W chwili obecnej popyt na złoto zależy prawie wyłącznie od tezauryzatorów prywatnych złotego metalu, nie i od względów psychologicznych, tak nierozdzielnie związanych z każdym pieniądzem. Ale jak to słusznie zauważa R. S. Hawtrey¹⁾, jeden niezgrabny krok ze strony administracji amerykańskiej może wywołać katastrofalny spadek ceny złota, a opinia amerykańska, jak wiemy, silnie do tej pory związana ze złotem, niechętnie widziałaby spadek wartości olbrzymich skarbów skupionych w forcie Knox.

Kto zastanawiał się nad powstaniem pieniędzy metalowych, ten wie, jak wielki wpływ wywarły na jego powstanie względy zdobnicze. Kobiety były przyczyną powstania tych pieniędzy. Trudno sądzić, czy popyt na złoto zdobnicze i przemysłowe jest tak silny, aby utrzymał cenę złota.

W 1941 r. Imperium Brytyjskie miało udział w światowej produkcji złota w wysokości 59% (w tym Afryka Połudn. 35%, Kanada 10%, resztę dawały inne dominia i kolonie brytyjskie). Kwestia demonetyzacji złota jest więc dla W. Brytanii problemem imperialnym. Z drugiej strony Stany Zjednoczone są największym posiadaczem rezerw kruszcowych. Konflikt między tymi dwoma mocarstwami na tym tle jest otwarty i jawny. Trudno przesądzać sprawę, gdyż ona jeszcze do tego nie dojrzała, która strona ma mocniejszą pozycję, czy największy posiadacz, czy największy producent.

Nie należy jednak zapominać, że od szeregu lat cena złota zależy tylko od swobodnej decyzji rządu Stanów Zjednoczonych. Demokraci amerykańscy, obecnie rządzący w U. S. A., od wielu dziesiątków lat są zakamieniałymi przeciwnikami „złotego cieca“, jak to barwnie wypowiadają w swych programach. Jednak opinia amerykańska w tej arcyważnej sprawie jest podzielona i zwolennicy złota stanowią bardzo zwarty blok.

Krzyżowy problem złota w chwili obecnej znajduje się w rękach polityków amerykańskich, a losy złota przestały być bezspornym problemem i „tabu“, którym zarządzali poprzednio ekonomiści, nie podlegający żadnym wpływom politycznym.

¹⁾ R. S. Hawtrey: „Economic Destiny“ London, Longmans. 1945, str. 240.

Ostatecznie rozwiązanie nie jest łatwe, gdyż znaczny głos w tej sprawie będzie miało Imperium Brytyjskie. Tymczasem Brytyjczycy zachowują się zagadkowo — nie podają do statystyk amerykańskich swoich rezerw kruszcowych, tuż po zawieszeniu broni podpisali parę długoletnich umów handlowych i płatniczych z innymi krajami i widać było, że montują blok sterlingowy, gdy zaś zaciągnęły pożyczkę 4 miliardową w Ameryce, to wśród różnych żądań w stronę Ameryki ani słowem nie wspomnieły umów poprzednio zawartych w Bretton Woods. Byłoby jednak lekkomyślnością sądzić, aby kraj o tak starych tradycjach finansowych i wielkim doświadczeniu w dziedzinie pieniądza, spokojnie przypatrywał się eksperymentom pieniężnym Ameryki — nie można wszak przypuszczać, że kopalnie południowo-afrykańskie nie wznowiły, wstrzymanej ponoć podczas wojny, produkcji złota.

Autor tej notatki nie pragnąłby, aby go posądzano, że jest przeciwnikiem złota, wprost przeciwnie jest jego zwolennikiem, ale przedstawia zagadnienie z różnych punktów widzenia i każdy z nich oświetla, co jest jego zadaniem.

Pozostaje do rozpatrzenia jeszcze kwestia, jak do problemu złota odniosły się umowy monetarne w Bretton Woods. Zarówno opinia angielska, jak i amerykańska określała te umowy, jako mające zbyt ambitne zamierzenia. Będę się starał udowodnić, że te umowy, nie mające zresztą nigdzie dobrej prasy za sobą, stanowią dziwnie niekonsekwentną mieszaninę różnych sprzecznych idei przewodnich.

I tak wprawdzie różne kraje wpłacają swe udziały złotem, ale również jednocześnie częściowo pieniądzem narodowym, co można wytłumaczyć chęcią dopuszczenia krajów niezasobnych w kruszec do udziału w Funduszu. Z tych różnych pieniędzy narodowych tworzy się w Międzynarodowym Funduszu Monetarnym wspólna „pula“, z której państwa — członkowie mają czerpać potrzebne im w handlu zagranicznym waluty obce.

Ala znów te waluty będą przydzielane tylko na bieżące transakcje handlowe. Wykup walut narodowych z Funduszu następuje za złoto z tym, że państwa dłużnicze mają w tym wykupie pewne ulgi, uzależnione od wysokości ich rezerw kruszcowych.

Słowem zachowuje się złoto, jako ostateczny sposób regulowania rozrachunków międzynarodowych, ale jednocześnie tworzy się międzynarodowy fundusz różnych walut krajowych. Jest to kompromis, który podważa istotę waluty złotej. Ma się chęć usunąć clearing, a więc bezsaldowe pokrywanie zobowiązań, ale jednocześnie powstaje wspólna „pula“ różnych walut narodowych. System ten dzięki różnym szczegółowym przepisom ma funkcjonować. Jednocześnie nie ma on obejmować wszystkich transakcji pieniężnych, wynikających z obrotu międzynarodowego, ale tylko transakcje bieżące i to tylko te, które będą przez Fundusz przechodziły. Zostawiona jest zatem luka dla innych bieżących transakcyj pozafunduszowych, oraz dla transakcji kapitałowych, które ostatecznie przepłyną jednak przez Fundusz, gdyż zapewne będą udzielone przez siostrzaną instytucję — Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju.

Złoto zatem ma spełniać jakieś bliżej nieznane funkcje, bo ostateczne salda wynikające z wymiany międzynarodowej będą pokrywane w sposób planowy, przepisany i wskazany przez Fundusz.

Zamiast więc clearingu stwarza się jakąś fikcję płacenia walutą krajową, Fundusz zaś ma dbać, aby nie było jej w obrocie światowym w nadmiarze.

Za czasów funkcjonowania waluty złotej, system bankowy każdego kraju był w stosunku do zagranicy jedną wielką izbą rozrachunkową. Gdy waluta krajowa znalazła się w nadmiarze za granicą, to s w o b o d n i e wracała do swego kraju macierzystego. Stąd nigdy jej nie było w nadmiarze. Handel surowcami światowymi odbywał się

w tratach funtowych poprzez kredyty rembursowe. Centralą tych kredytów był Londyn — on właśnie stanowił taki sam międzynarodowy Fundusz, jaki teraz sztucznie powstaje. Posiadacz traty funtovej, przy istnieniu wolnego rynku złota w Londynie, gdy kursy dla niego były korzystne, nabywał swobodnie w Londynie złoto, które mógł importować do swego kraju rodzinnego. Złoto wówczas stanowiło ostateczny sposób rozrachunku międzynarodowego.

Układy monetarne w Bretton Woods nie wskrzeszają bynajmniej dawnej międzynarodowej waluty złotej, tworzą nowy i inny system walutowy. Jest on mieszaniną waluty złotej i clearingu, mimo że się od tego odzęgkuje.

Dawna waluta złota była wynikiem bez mała 100-letniego doświadczenia wielkiego narodu handlowego — Anglików, którzy doświadczyli wielu eksperymentów pieniężnych w XVIII w. W wieku XIX trzydzieści lat toczyły się spory w Anglii między szkołą bankową i obiegową. Zbiór tych doświadczeń i sporów, prowadzonych przez wybitne umysły, złożył się na funkcjonowanie i powstanie waluty złotej. Ale eksperyment pieniężny dokonywał się w jednym — wprawdzie najbogatszym wówczas — kraju i dotyczył wyłącznie jego mieszkańców. W ostatecznym wyniku powstał system waluty złotej, oraz szereg urządzeń i zwyczajów handlowych, które tej walucie służyły.

Teraz odbywa się też wielki eksperyment pieniężny i też w najbogatszym kraju, ale losy jego dotkną nie tylko naród amerykański. W tym tkwi całe niebezpieczeństwo. Pozostałe narody nie wiedzą, jak ten nowy system będzie funkcjonował w praktyce, nie mogą przewidzieć rezultatów, ale nie mają innego wyjścia i poddają się dyrektywie amerykańskiej. Może liczą, że eksperyment z Funduszem Monetarnym jest tylko etapem, że później więzy krępujące zostaną zwolnione, że nastąpi dalsza faza reformy, tym razem ostatecznej, może wreszcie liczą na dopływ złota z jego „redystrybucji” — kto wie. A może są w przymusowym położeniu.

Kompromis w zasadach nie rokuje wielkich nadziei.

Stany Zjednoczone są predysponowane do ujęcia inicjatywy monetarnej w swoje ręce i od tego wcale się nie uchylają. Prawdopodobnie mają też najępsze chęci. Szkoda tylko, że brak im doświadczenia w sprawach monetarnych. Obdarzyli już świat najgorszą formą kredytu (kredyt ratalny), udzielali kredytów „psychologicznych” konsumentom, byli bezradni z nadmiarem złota europejskiego po pierwszej wojnie światowej, zresztą historia gospodarcza Stanów Zjednoczonych wykazuje, że jest to kraj okresowych silnych spekulacji (kołowej, budowlanej, osadniczej, naftowej i w końcu giełdowej).

Teraz ratują przyszość złota.

Podsekretarz Stanu w Departamencie Stanu Adolf A. Berle pisał w swej pracy wydanej w roku 1940 pt. „New Directions in the New World”) „...dziś jeszcze wydawać się może fantastyczną propozycja, abyśmy np. oddali część naszego nagromadzonego złota jako dar („free gift”) na cele uporządkowania międzynarodowych stosunków pieniężnych. Jednak myśl ta może nie wyda się już fantastyczna za parę lat... gdyż tylko w ten sposób będzie można zapewnić rozwój obrotów handlowych na zasadach wielostronności”.

Właśnie ta wielostronność handlu jest przewidziana w „propozycjach” amerykańskich, poprzednio już omówionych.

¹⁾ cytowane w art. Z. K. pt. „Poglądy amerykańskie na projekty międzynarodowej współpracy walutowej” — *Ekonomista Polski*, Londyn, Nr. 9/1944 str. 95.

„Najpotężniejszy Polak w naszej historii“, jak go w swoim czasie nazwał prof. Adam Krzyżanowski — prezes Mr. M. S. Szymczak, jeden z dyrektorów Federal Reserve Board'u, który ostatnio poświęcił umowom monetarnym w Bretton Woods specjalny artykuł, tak pisze o sytuacji monetarnej świata¹⁾: „the patient is very sick, and recovery, as best, can be only gradual“ — pacjent jest bardzo chory i najlepsza poprawa może być tylko stopniowa“.

Chociaż jesteśmy świadomi tego, że Bretton-Woods nie przywraca narazie waluty złotej, to wszystkie najlepsze nadzieje całego poza-amerykańskiego świata opierają się i opierać się będą na dwóch ostatnich cytatach.

Oby dobre losy pozwoliły te zamiary zrealizować i oby nowe doświadczenia pieniężne nie naraziły udręczonego i znużonego świata na zawody, troski i cierpienia, gdyż, jak to powiedział kiedyś Alb. Hahn, „niefortunna i nietrafna lub wprost zła polityka gospodarcza pociąga za sobą hekatomby ofiar“. Może jednak tego powiedzenia, trochę przesadzonego, nie należy brać dosłownie.

Na zakończenie tych uwag o zlocie przytoczymy powiedzenie Karoła Marksa: „aczkolwiek nie każdy pieniądz jest złotem, to jednak każde złoto jest pieniądzem“.

§ 5. UWAGI KONCOWE.

Ceremonia monetarna, którą się aktualnie celebryje w Waszyngtonie, ma dać na razie inną walutę niż złotą. I do tego, że to ma nie być złotą — przyznaje się wręcz Mr. Szymczak w powyżej cytowanym artykule. Narazie ufa się, że nowokreowany system monetarny może funkcjonować.

Umowy monetarne, ustalone ostatecznie na konferencji w Bretton-Woods zawierają cały szereg interesujących przepisów szczegółowych. Nie będziemy ich tutaj rozpatrywać, jeśli mają tylko techniczne znaczenie. Natomiast kilka słów należy poświęcić kwestiom zasadniczym.

Przede wszystkim ostateczna redakcja tych umów nie przewiduje wprowadzenia międzynarodowej jednostki obrachunkowej. Odpadł więc pierwotny projekt Keynesa o jednostce monetarnej nazwanej przez niego „Bancor“, nie wprowadzono też projektowanej przez Mr. H. D. White'a jednostki „Unitas“.

Waluty krajów członkowskich mają być oparte o określoną zawartość złota lub być w pewnym stosunku do dolara U. S. A.

Przewidywane są, dopuszczalne przez Fundusz, odchylenia walut narodowych od kursów parytetowych po 1% w górę i w dół dla transakcji gotówkowych. Dla transakcji terminowych odchylenia od parytetu będą ustalane przez Fundusz.

Cały ten przepis nie jest jasny. Przy swobodnych ruchach złota w obu kierunkach (w imporcie i eksporcie) w systemach dawnej waluty złotej giełdowymi odchyleniami kursu od parytetu rządziły tak zwane punkty złote, z reguły nie przekraczające 1% wartości kursu parytetowego.

Po co więc przepisy Funduszu Monetarne zajmują się tą sprawą — gdy Fundusz na ogół nie przewiduje ruchów złota, a przynajmniej tej kwestii nie omawia. Ta sama uwaga dotyczy tym bardziej kursów terminowych.

Nasuwa się podejrzenie, że przepisy Funduszu pomijają celowo milczeniem sprawę ruchów złota — pozostawiona jest jednak furtka wyjścia, w postaci przepisów o od-

¹⁾ Federal Res. Bulletin IV. 1946 str. 311.

chyleniach kursów od parytetów, dla ruchów złota, które w przyszłości nieokreślonej mogą wystąpić.

Przeprowadzona przez Fundusz zasada sztywnych kursów walutowych, wprawdzie eliminuje ryzyko walutowe, ale obala „reguły gry“ waluty złotej i stanowi cios dla wolnych ruchów złota.

Jak z powyższej wymienionych dwóch ustępów wynika, przepisy Funduszu nie są konsekwentne. można je tłumaczyć w obu kierunkach: zdławienie obecnie ruchów złota i jednocześnie — dopuszczenie do ruchów złota w przyszłości. Tego rodzaju zasadnicze sprzeczności w przeprowadzaniu zasad systemu nie wydają się fortunne i budzą wątpliwości.

Ograniczenia dewizowe mogą istnieć tylko jako pozostałość z okresu przed przystąpieniem do Funduszu Monetarnego. Stopniowo mają być one zniesione. Ale ponieważ Fundusz Monetarny służy do wyrównywania tylko sald z tytułu transakcji bieżących, to czy uda się krajom, zniszczonym przez wojnę, nie wprowadzać ograniczeń dewizowych dla transakcyj kapitałowych (splata pożyczek zagranicznych i odsetek od nich)? I w tej zatem dziedzinie widać luki w przepisach Funduszu Monetarnego.

Wreszcie pozostaje trzecia jeszcze kwestia zasadnicza. Państwa członkowskie, często ubogie w złoto, mają wpłacać swoje aporty częściowo w kruszcu. Czyli tłumacząc ten fakt na zwykły język, pozbawiają się na rzecz Funduszu części swych rezerw kruszcowych. Jest to przepis uciążliwy i raczej nas oddala, a nie zbliża do spodziewanej redystrybucji złota amerykańskiego, co jest centralnym problemem ekonomicznym naszych czasów.

Pierwotny projekt Keynesa przewidywał dla krajów wierzycielskich przymus eksportu kapitału, czyli zmuszał wierzycieli do inwestycji zagranicznych. Miało to znaczenie kapitałowe, zasadnicze, gdyż „ex definitione“ import powinien być spłacany eksportem, a jeśli to się nie uda, niedobór pokrywany musi być kredytem. Wynika to z ogólnych zasad ekonomicznych i z techniki wyrównywania bilansu płatniczego.

Ale to nie wystarcza. Po pierwszej wojnie światowej Stany Zjednoczone miały wysoką taryfę cełną, przez którą z ogromnymi trudnościami przeskakiwał eksport europejski. Wskrzyszona więc — niemal powszechnie — w 1925 r. waluta polączana była sztucznie podtrzymywana przez wielki eksport kapitału amerykańskiego. Kiedy zaś on ustał po kryzysie amerykańskim z 1929 r. waluta polączana runęła.

Tak więc projektowany przez Keynesa przymus eksportu kapitału dla krajów wierzycielskich był szczęśliwym pomysłem wyrównującym bilanse płatnicze krajów dłużniczych. Skoro on jednak był pominięty w umowach w Bretton-Woods, to chyba musi nastąpić redystrybucja złota w skali światowej? Gdyż innego wyjścia nie ma i kto wie czy być może w ogóle. Tak być powinno przy walucie złotej lub polączanej.

Wskazywaliśmy poprzednio, w paragrafie omawiającym sytuację Stanów Zjednoczonych jako kraju wierzycielskiego, że jego pozycja wierzycielska została osłabiona, a od 1941 r. — po wprowadzeniu Lend-Lease właściwie nie istnieje. W Brytanii po drugiej wojnie światowej też straciła swą pozycję wierzycielską. W tych warunkach wskrzeszenie waluty złotej na razie technicznie jest niewykonalne. Przy kolosalnych zaś zniszczeniach wojennych w Europie nawet sprawiedliwa repartycja zapasów złota monetarnego, skupione w rękach U. S. A., też może nie dać wyników, gdyż obdarowany złotem kraj, może złoto otrzymane rychło utracić, gdy z politycznych względów przyspieszy odbudowę, lub gdy zacznie się forsownie uprzemysławiać i wydatkuje swe złoto na opłacenie koniecznego importu zagranicznego.

Dlatego należy wiązać może większe nadzieje z kwestią przyszłej produkcji złota niż z samym Funduszem. Trafne zafiksowanie ceny monopolowej złota oraz stworzenie warunków rentowności produkcji tego kruszcu może mieć znaczenie rozstrzygające. Ostrożny przepis Funduszu przewiduje ogólną zmianę parytetów, a więc zmianę wartości złota w skali międzynarodowej. I to jest fundament, który zdecyduje o rozmiarach produkcji złota i o stałości walut w przyszłości.

Nie trzeba dodawać, że stała waluta jest podstawą kredytu długoterminowego, a wszak z jego rozwojem międzynarodowym wiążą się nadzieje całej niemal półkuli wschodniej na szybkie zaleczenie ran zadanych wojną w zakresie zniszczonych kapitałów rzeczowych.

Integralną część umów monetarnych w Bretton-Woods stanowi projekt Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rozwoju, o którym wspominaliśmy tylko nawiasowo, niejako na marginesie zagadnienia głównego. Przewiduje się, że będzie on wyposażony w kapitał 9,1 miliardów dolarów, z czego na bezpośrednią akcję kredytową ma przypadać zaledwie 2 miliardy dolarów — suma zgoła nikła, w stosunku do potrzeb światowych — reszta zaś kapitału ma służyć na pokrywanie strat, wynikających w kredytach międzynarodowych oraz na udzielanie gwarancji pod te kredyty.

Amerykańskie spółki kapitałowe (investment trusts) czekają wielkie zadania przy udzielaniu kredytów zagranicznych, a tymczasem Banki Federalnej Rezerwy mają bardzo zmieniony skład swych aktywów (na 300 milionów dolarów portfe'u wekslowego przypada około 20 miliardów dolarów państwowych) i to przy wysokim stanie długów wewnętrznych (przeszło 400 miliardów dolarów). Dlatego sanacja bankowości amerykańskiej jest sprawą bardzo piłą.

Praca tego Banku nie będzie wcale łatwa, gdy będzie zastosowana prywatno-gospodarcza zasada rentowności inwestycji, a inna przecież nie może być brana pod uwagę, gdyż, jak to powiedział Mr. J. Rovensky¹⁾, jeden z dyrektorów największego banku handlowego świata (The Chase National Bank of the City of New-York): „Jeżeli kapitał prywatny nie jest skłonny do udzielenia pomocy finansowej danemu państwu, stanowi to wyraźne wskazanie, że również kredyt ze źródeł publicznych nie powinien być temu krajowi udzielony“.

Zbliżyliśmy się do końca naszych rozważań. Kto wie czy spodziewana „redystrybucja“ złota nie będzie musiała być wzmocniona ujemnym bilansem handlowym Stanów Zjednoczonych, czyli dopuszczeniem na wielką skalę importu towarów europejskich do U.S.A. (zresztą zasadą Funduszu jest pokrywanie importu eksportem). Oby społeczeństwo amerykańskie oswoiło się z tą myślą, ale co eksportować do Stanów Zjednoczonych, kiedy one tak mało potrzebują z zewnątrz?

Rozważania powyższe, w swym całokształcie, wykazują jak trudne są problemy monetarne doby obecnej, ile mistrzowskich posunięć wymagają, o ile problemów się zająbają. Należy sobie życzyć, aby mogły one być rozwiązane trafnie i szczęśliwie. Wymagają one przy rozwiązaniu stosowania najwyższej sztuki gospodarczej.

Cytowany już w tej notatce prof. J. Viner²⁾ pochodzący z Polski zapatruje się na amerykańską inicjatywę monetarną dość sceptycznie. Oto jego pogląd: „światowy system pieniężny oparty na dolarze i kierowany przez Stany Zjednoczone mógłby może w teorii funkcjonować wzorowo. Jednakże na podstawie naszej polityki pieniężnej z ubiegłych 150, 25 lub nawet 10 lat, na podstawie naszego ustawodawstwa oraz naszej prywatnej dzia-

¹⁾ ibidem.

²⁾ l. c.

łałości w dziedzinie pieniężnej — trudno byłoby wzbudzić uzasadnione zaufanie do naszych zdolności w tym zakresie oraz do umiejętnego i właściwego kierownictwa — chociażby nawet tylko w naszym własnym interesie“.

Bądź co bądź klauzula złota odrzucona w U.S.A. zdaje się odzywać, ale upatrywanie, że Fundusz Monetarny sam w sobie stanie się czynnikiem uzdrowienia i restaurowania gospodarki światowej jest może przesadne. W każdym razie są próbą w tym kierunku.

Czy ten nowy system „menaged currency“ (waluty manipulowanej) w skali światowej będzie pożyteczny, przyszłość dopiero okaże.

Ale tak czy inaczej — „jakkolwiek może być system ekonomiczny, czy zasadniczo wolno-konkurencyjny, czy kolektywistyczny, albo coś pośredniego lub różnego od nich, stały pieniądź jest życiowym warunkiem ich działalności“ — powiada R. G. Hawtrey i nazywa to pieniężnym przeznaczeniem naszych czasów.

Roman Seidler

Międzynarodowy Fundusz Monetarny i Bank dla Rozwoju i Odbudowy

W najbliższych tygodniach rozpoczyna w Waszyngtonie swą działalność Międzynarodowy Fundusz Monetarny oraz Bank dla Rozwoju i Odbudowy, instytucje powołane do życia przez Konferencję Monetarną i Finansową Narodów Zjednoczonych w Bretton Woods w lecie 1944 r.

Konferencja Monetarna i Finansowa Narodów Zjednoczonych rozpoczęła w Bretton Woods w czerwcu 1944 roku doszła do przekonania, że odrodzenie ekonomiczne świata po wojnie wymaga rozwiązania dwóch problemów: po pierwsze jak zbudować mechanizm, który by umożliwił narodom osiągnięcie równowagi gospodarczej, oraz po drugie jak stworzyć stałe warunki walutowe i wymienne, aby każde państwo mogło nieskrępowanie i bezpiecznie wymieniać swe produkty na inne dobra, których samo nie może wytwarzać.

W celu wzbudzenia wzajemnego zaufania między narodami oraz stworzenia światowej pomyślności gospodarczej Konferencja w Bretton Woods postanowiła powołać do życia Międzynarodowy Fundusz Monetarny.

Państwa będą się porozumiewać w sprawie ustalenia kursów walut oraz unikać wszelkich zarządzeń szkodliwych dla gospodarki światowej.

Większość krajów Europy wskutek zniszczeń wojennych nie jest w stanie odbudować swej produkcji w takim stopniu, aby osiągnąć nadwyżki eksportowe. Bez tych nadwyżek nie ma możliwości otrzymania walut zagranicznych koniecznych na zakup nie tylko brakujących dóbr konsumcyjnych, ale przede wszystkim surowców niezbędnych dla przemysłu. Dlatego też konieczne było stworzenie instytucji, za pośrednictwem której kraje posiadające kapitał mogłyby inwestować go w krajach wyniszczonych wojną z pożytkiem dla obydwu stron. Zadanie to ma spełniać Międzynarodowy Bank Rozwoju i Odbudowy.

W celu ustabilizowania międzynarodowych stosunków walutowych, członkowie Fun-

dzuszu zobowiązują się nie zmieniać dotychczasowych parytetów swych walut określonych w złocie lub dolarach U.S.A. w/g wagi i próby z 1 lipca 1944 r. bez uprzedniego porozumienia się z pozostałymi członkami, oraz powstrzymać się od wszystkich dyskryminacyjnych zarządzeń walutowych.

Państwa członkowskie tworzą stały Fundusz Międzynarodowy wpłacony częściowo w złocie a częściowo w walutach państw członkowskich.

Państwa członkowskie będą mogły zakupywać z tego funduszu pewne ograniczone ilości walut obcych potrzebne dla wyrównania salda bilansu handlowego. Jako ekwiwalent będą wówczas wpłacać pewne kwoty we własnej walucie.

Wysokość Międzynarodowego Funduszu Monetarnego została ustalona na \$ 8 800 000 000, które mają być subskrybowane przez członków według systemu kwot. Każde państwo musi wpłacić w złocie jako minimum 25% swej kwoty albo 10% posiadanego zapasu złota i dolarów U.S.A. w zależności od tego, która pozycja jest mniejsza. Reszta należności ma być wpłacona we własnej walucie. Wysokość kwot państw członkowskich wynosi dla Stanów Zjednoczonych 2750 milionów dol., dla W. Brytanii 1300 mil., dla Z.S.R.R. 1200 mil., dla Chin 550 mil. i dla Francji 450 mil. Pozostałe 40 państw członkowskich posiada udziały wynoszące od 400 do 1 miliona dolarów. Wysokość poszczególnych kwot ma specjalne znaczenie przy określaniu wysokości sumy walut zagranicznych, jaką każdy członek ma prawo nabyć z Funduszu oraz przy oznaczaniu ilości głosów, jaką dysponuje każdy członek w zarządzie Funduszu.

Kwota Polski wynosi 125 mil. dol. Zasadniczo każdy członek Funduszu ma prawo nabyć w okresie 12-tu miesięcy w zamian za walutę swego kraju waluty obce na sumę nie przekraczającą $\frac{1}{4}$ swej kwoty.

Zarząd Funduszu pełni Rada Gubernatorów, składająca się z jednego gubernatora i jednego zastępcy, mianowanych przez każde państwo członkowskie. Bezpośredni nadzór nad działalnością Funduszu wykonuje 12 Dyrektorów. Pięciu z nich mianowanych jest przez 5 państw członkowskich, posiadających największe kwoty. Z pozostałych siedmiu — dwóch jest wybieranych spośród Państw Ameryki Południowej a pięciu spośród pozostałych członków. Rada Dyrektorów wybiera dyrektora naczelnego, którym nie może być ani gubernator ani dyrektor. Naczelnym dyrektorem będzie miał do swej pomocy wykwalifikowany personel, wybrany spośród możliwie największej ilości narodów, reprezentowanych przez członków.

Podobnie jak Międzynarodowy Fundusz Monetarny, Międzynarodowy Bank dla Rozwoju i Odbudowy jest instytucją o zasięgu wszechświatowym.

Każdy członek Narodów Zjednoczonych jest członkiem - założycielem, przy czym inne państwa mogą przystąpić w późniejszym czasie jako członkowie na specjalnych warunkach. Celem Banku jest ożywienie obrotów międzynarodowych oraz gospodarki światowej przez finansowanie produkcji krajów członkowskich, a w szczególności tych, które skutkiem zniszczeń wojennych nie są w stanie dokonać tego własnymi środkami.

Akcjonariuszami Banku są rządy państw członkowskich. Kapitał zakładowy Banku składa się ze 100 tysięcy akcji po 100 tysięcy dolarów każda.

Z ogólnej sumy 10 miliardów dolarów, 91% czyli 91 tysięcy akcji znajduje się w posiadaniu 44 członków — założycieli, reszta zatrzymana jest do późniejszej sprzedaży państwowemu neutralnemu i innym zwracającym się do Banku. W ten sposób Bank powinien posiadać początkowy kapitał 9.100 mil. \$ licząc jednak w tym udział Rosji, która narażenie nie przystąpiła do Funduszu i Banku. Ilość akcji Banku, jaką członkowie mają zakupić, oparla jest, podobnie jak w Funduszu, na systemie kwot, z tą różnicą, że kwota

Stanów Zjednoczonych wynosi 3.175 mil. \$ — Wielkiej Brytanii 1.300 mil. \$ — Z.S.R.R. 1.200 mil. \$ — Chin 600 mil. \$ — a Francji 450 mil. \$. Udział Polski i Czechosłowacji wynosi podobnie jak i w Funduszu po 125 mil. \$ Tylko część udziału każdego członka musi być wpłacona natychmiast. 20% wartości każdej akcji może Bank zażądać na bezpośrednie operacje gotówkowe. 80% może być zatrzymane przez członka do czasu zapotrzebowania danej sumy przez Bank. Ze wspomnianych wyżej 20% — 2% ma być wpłacone w złocie lub w dolarach Stanów Zjednoczonych.

Wpłata w złocie winna być dokonana w ciągu 60 dni od chwili rozpoczęcia działalności Banku. Od tej zasady przewidziane są wyjątki, w razie gdyby zapas złota jakiegoś kraju był unieruchomiony wskutek wojny, jak ma to miejsce np. z Polską. Resztę, tj. — 18% należy wpłacić w ratach trzymiesięcznych.

Struktura organizacyjna Banku i Funduszu jest bardzo podobna. Zarząd Banku znajduje się również w rękach Rady Gubernatorów, która ma się spotykać przynajmniej raz do roku, a uchwały jej, z wyjątkiem specjalnych przypadków, zapadają zwykłą większością głosów. Każdy członek rozporządza 250 głosami z tytułu swego członkostwa plus jeden dodatkowy głos na każdą posiadaną akcję Banku. Podobnie jak w Funduszu bezpośredni zarząd Banku sprawuje 12 dyrektorów oraz wybrany przez nich Prezydent. Do pomocy zarządu Banku stworzona jest Rada Doradcza, mianowana przez Radę Gubernatorów oraz Komitet Pożyczkowy.

Na zebraniu inauguracyjnym Funduszu Międzynarodowego i Banku Rozwoju i Odbudowy, odbytym w maju rb. w Wilmington Island w Savannah jednym z 12 dyrektorów Banku Rozwoju i Odbudowy został wybrany na wniosek delegata Czechosłowacji dr Leon Barański, naczelny dyrektor Banku Polskiego.

Janusz Jeżewski

Kronika techniczna

Współczesna technika ciekłych paliw napędowych

W ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat jesteśmy świadkami potężnego rozwoju komunikacji samochodowej i lotnictwa, i coraz to większego zastosowania traktorów w rolnictwie a czołgów w technice wojennej. W komunikacji wodnej silniki spalinowe powoli ale nieustępliwie wypierają maszyny parowe. Wszystkie te zjawiska wzmogły zapotrzebowanie na ciekłe paliwo napędowe do nieznanych dotąd rozmiarów.

Jedyną ciekłą paliwo naturalne — ropa naftowa — nie nadaje się bezpośrednio do napędu silników ze względu na niejednorodność swego składu i związaną z tym nieokreśloną charakterystyką fizyczną (wielka rozpiętość punktów wrzenia i zapłonu). Dlatego ciekłe paliwa napędowe są to wyłącznie paliwa sztuczne, otrzymywane drogą różnych technik uszlachetniających z paliw naturalnych lub ich przetworów.

Jako ciekłe paliwo napędowe w grę wchodzi przede wszystkim olej gazowy (olej Diesela) do napędu silników Diesela oraz benzyna do napędu silników wybuchowych. Obydwa produkty pierwotnie otrzymywano wyłącznie drogą zwykłej destylacji ropy naftowej. Frakcja, tworząca olej gazowy, stanowi około 40% wszystkich destylatów i dlatego wzrastające wydobycie ropy naftowej zdołało pokryć wzrost zapotrzebowania na oleje Diesela. Inaczej ma się rzecz z benzyną. Przy zwykłej destylacji ropy frakcja benzynowa stanowi tylko 10 — 12% destylatów. Co prawda początkowo, w epoce lampy naftowej, i ta ilość wydawała się rafineriom zbyt duża; benzyna bowiem w owym czasie traktowana była tylko jako nieunikniony balast przy produkcji ropy do oświetlania. Jednakże w miarę rozwoju komunikacji samochodowej, gdy popyt na benzynę zaczął gwałtownie wzrastać, wówczas, mimo wielokrotnego zwiększenia wydobycia ropy (55-krotny wzrost wydobycia od 1870 do 1910 r.), ilości benzyny otrzymywane drogą zwykłej destylacji okazały się niewystarczające. Wtedy to w całej ostrości wystąpiło zagadnienie zwiększenia produkcji benzyny innymi metodami.

Techniki stosowane dla uszlachetnienia paliw naturalnych są to bądź techniki zachowawcze, które nie zmieniają struktury chemicznej składników, zawartych w paliwie pierwotnym, bądź też techniki chemiczne, prowadzące do powstania nowych ciał. Przykładem pierwszych jest właśnie zwykła, zachowawcza destylacja ropy naftowej. Współczesne metody produkcji benzyn oparte są natomiast na technikach chemicznych, spośród których dwie zwłaszcza posiadają znaczenie dominujące: jedną

z nich stanowi krakowanie ropy naftowej („benzyna krakowa“), drugą — u wodornianie węgla i jego przetworów („benzyna syntetyczna“).



Krakowanie (ang. „cracking“ — rozszczepianie) czyli rozkładowa destylacja ropy naftowej ma na celu zwiększenie udziału frakcji benzynowej kosztem innych, mniej wartościowych, produktów destylacji, jak nafta, olej solarowy i gudron. Poddaje się krakowaniu bądź samą ropę po odpędzeniu benzyny, bądź też jej cięższe frakcje destylacyjne lub pozostałość destylacyjną. Istota krakowania polega na rozkładzie ciężkich węglowodorów zawartych w ropie na węglowodory o mniejszej cząsteczce, które w warunkach normalnych temperatury i ciśnienia pozostają w stanie ciekłym. Zjawiskiem nieuniknionym towarzyszącym właściwemu procesowi krakowania jest jednak również powstawanie pewnej ilości gazów („gazy krakowe“) i koksu naftowego, które oczywiście zmniejszają wydajność produktów ciekłych.

Proces krakowania odbywa się bądź pod wyłącznym wpływem temperatury i regulujących ją czynników (ciśnienie, czas trwania) i nosi wówczas nazwę krakowania termicznego, bądź też zachodzi przy użyciu katalizatorów (krakowanie katalityczne). Gdy rozkład odbywa się wyłącznie na drodze termicznej wówczas czynnikiem decydującym o charakterze produktów reakcji jest temperatura. W temperaturach poniżej 500°C (optimum 450 — 470°C) tworzą się głównie węglowodory typu benzyny, podczas gdy w temperaturach wyższych (700 — 800°C), prawdopodobnie na skutek towarzyszących reakcji kondensacji i polimeryzacji, powstają przeważnie węglowodory aromatyczne. Z pomocą temperatury regulować można w precyzyjny sposób również szybkość krakowania: tak np. w pewnym konkretnym wypadku na osiągnięcie określonego efektu w temp. 375° trzeba było 45 godz., podczas gdy w temp. 500° już tylko 20 sekund. Ciśnienie stanowi w procesie krakowania czynnik mniejszej wagi i rola jego polega przede wszystkim na możliwości utrzymania w fazie ciekłej produktów, których temperatura wrzenia pod ciśnieniem normalnym jest wyższa od temperatury krakowania. Dlatego to krakowanie pod ciśnieniem zwiększonym stanowi zazwyczaj krakowanie w fazie ciekłej, w odróżnieniu od krakowania w fazie parowej, które odbywa się przeważnie pod ciśnieniem zbliżonym do normalnego i w którym nie ciecza, a pary jej wystawione są na działanie temperatury krakowania.

Badania nad chemizmem krakowania są stosunkowo świeżej daty. Do najwybitniejszych należą systematyczne badania dokonane nad ropą rosyjską w latach 1927 — 1928 przez Sachanowa i Tiliczejewa. Ich to właśnie zasługą było stwierdzenie, że stopień tworzenia się benzyny krakowej zależy tylko od temperatury i czasu jej działania, nie zależy natomiast od ciśnienia. Stwierdzili oni również, że dla każdego produktu wyjściowego istnieje charakterystyczny stosunek wydajności benzyny i koksu, niezależny od temperatury. Przemysł benzyny krakowej powstał i rozwinął się w Stanach Zjednoczonych A. Póln., tj. tam, gdzie wydobycie ropy naftowej stanowi ok. 70%, a produkcja samochodów ok. 80% produkcji światowej. Pierwsze większe instalacje „crackingu“ termicznego, oparte przede wszystkim na licznych patentach Williama Burтона, powstały bezpośrednio przed pierwszą wojną światową. W latach dwudziestych przemysł ten rozrósł się do poleźnych rozmiarów przy czym ogromna większość instalacji pracowała w fazie ciekłej, pod ciśnieniem 5 do 80 atm. i bez katalizatorów. Już ok. 1930 r. krakowanie zaczęło odgrywać w amerykańskiej technice ropy naftowej rolę ważniejszą niż jej bezpośrednia destylacja,

a przed wybuchem drugiej wojny światowej zakłady krakowania termicznego produkowały połowę całej benzyny, otrzymywanej w Stanach Zjednoczonych. Zarazem doskonaliła się sama technika krakowania, wskutek czego średnia wydajność benzyny z ropy, która w 1913 r., tj. bezpośrednio przed zastosowaniem „crackingu”, wynosiła ok. 12%, już w 1918 r. przekroczyła 25%, a w 1938 r. — 48%!

Osiągnięcia powyższe rozwiązały w znacznej mierze problem benzynowy pod względem ilościowym. Jednakże nadal czekały na spełnienie coraz to większe wymagania jakościowe, stawiane paliwom napędowym do silników wybuchowych.

W pierwszym okresie swego rozwoju przemysł benzyny krakowej oparty był omal wyłącznie na metodach krakowania termicznego w fazie ciekłej, które pozwalały na względną łatwość regulacji procesu dzięki dobremu przewodnictwu cieczy oraz na dobrą regenerację ciepła. Braki „crackingu” termicznego — poza koniecznością stosowania kosztownej aparatury na wysokie ciśnienie — polegały na niecałkowitym wykorzystaniu surowca wyjściowego wskutek zbyt dużej wydajności produktów małowartościowych, przede wszystkim zaś na niskiej jakości benzyny.

Problem wysokogatunkowej benzyny zaostrzył się zwłaszcza w związku z rozwojem lotnictwa. Technika silników lotniczych rozwijała się mianowicie w kierunku uzyskania jak największej mocy silnika przy możliwie małej jego objętości, co można jednak osiągnąć tylko przez zastosowanie dużego stopnia sprężania, to znaczy stosunku całkowitej objętości cylindra do objętości sprężonej mieszanki benzynowo-powietrznej w chwili wybuchu. W danym silniku, stosując określone paliwo, można stopień sprężania dość dowolnie regulować, jednakże przy przekroczeniu pewnego stopnia sprężania następuje stukanie (detonacja) silnika, obniżające jego sprawność i zwiększające zużycie. Idealem paliwa dla silnika wybuchowego jest zatem paliwo, pozwalające na zastosowanie jak największego stopnia sprężania, bez wywołania stukania. Liczne badania stwierdziły, że istnieje wyraźna zależność pomiędzy charakterystyką chemiczną paliwa a jego własnościami przeciwstukowymi (antydetonacyjnymi). Wykazano, że najmniejszą odpornością na stukanie odznaczają się węglowodory nasycone o łańcuchu normalnym, największą zaś węglowodory o łańcuchu rozgałęzionym oraz węglowodory aromatyczne. Nafteny i olefiny zajmują stanowisko pośrednie. Fakty te posłużyły za podstawę do ilościowego określenia własności przeciwstukowych paliwa w postaci tzw. liczby oktanowej. Przyjmuje się mianowicie, że własności przeciwstukowe węglowodoru izooktanu charakteryzują się liczbą oktanową 100, podczas gdy łatwo ulegający detonacjom normalny heptan posiada liczbę oktanową 0. Liczba oktanowa danego paliwa określona jest przez zawartość procentową izooktanu w takiej mieszaninie izooktanu i n-heptanu, która w motorze wzorcowym detonuje przy tym samym stopniu sprężania, co paliwo badane. Stosowanie paliw wysokooktanowych, poza ich bezpośrednią zaletą, polegającą na możliwości osiągnięcia wysokiego stopnia sprężania, pozwala oczywiście również na dokonywanie znacznych oszczędności na paliwie. Tak np. wzrost liczby oktanowej z 72 do 95 daje już ok. 12% oszczędności benzyny. Większość benzyn, otrzymywanych drogą zwykłej destylacji ropy lub krakowania termicznego posiada niską liczbę oktanową, wahającą się w granicach 55 — 72. Liczbę oktanową można jednak wydatnie powiększyć przez nieznaczny dodatek (ok. 0,1%) tzw. środków przeciwstukowych (antydetonatorów), jak np. czteroetyłek ołowiu lub karbonyłek żelaza, przy czym podatność paliwa na środki przeciwstukowe również jest zależna od jego charakterystyki chemicznej. Olefiny posiadają mianowicie podatność najgorszą, parafiny najlepszą. Dlatego to benzyny pochodzące z „crackingu”

termicznego, wskutek stosunkowo dużej zawartości olefin, mało są podatne na środki przeciwstukowe. Obecność olefin wpływa zarazem ujemnie na trwałość benzyny.

Wszystkie wspomniane braki krakowania termicznego w połączeniu z coraz to bardziej palącą potrzebą otrzymywania wielkich ilości wysokooktanowej benzyny lotniczej spowodowały w dziesięcioleciu, poprzedzającym wybuch drugiej wojny światowej, szybki rozwój metod „crackingu“ katalitycznego. W metodach tych proces krakowania z reguły prowadzony jest w fazie parowej. Pary ciężkich frakcji ropy naftowej prowadzi się ponad katalizatorem o równoczesnych własnościach krakujących, izometryzujących i aromatyzujących, przy czym katalizator odznaczać się musi zarazem trwałą aktywnością. Ostatni warunek stanowi poważną trudność, ponieważ na powierzchni katalizatora szybko odkłada się cienka warstewka koksu, przerywająca kontakt katalizatora z katalizowanymi parami. Pierwsze instalacje przemysłowe do krakowania katalitycznego uruchomione zostały w 1927 r. na podstawie patentów inżyniera francuskiego Houdry. Metoda jego oparta jest na stosowaniu w charakterze katalizatora glinokrzemianów i na częstym periodycznym następstwie cykli roboczych, regulowanych tzw. cykloregulatorem, w trakcie których katalizator podlega regeneracji drogą wypalania odłożonego koksu. Szerokie wyzyskanie wymiany cieplnej obniża przy tym znacznie koszt przerobu.

W 1939 r. było czynnych oraz w trakcie budowy 15 przedsiębiorstw pracujących metodą Houdry, o łącznej zdolności produkcyjnej 27.000 ton na dobę; do końca 1943 r. dobową zdolność produkcyjną zakładów dla krakowania katalitycznego osiągnąć miała cyfrę 120.000 ton!

Benzyny otrzymywane przy normalnym procesie Houdry mają liczbę oktanową dochodzącą do 82, a po dodaniu czteroetyliku ołowiu nawet do 92. Są to doskonale benzyny samochodowe, które poddać jeszcze można uszlachetnieniu tj. powtórnemu procesowi krakowania katalitycznego w nieco niższej temperaturze, dzięki czemu uzyskuje się wysokooktanowe paliwo lotnicze o liczbie oktanowej dochodzącej — po dodaniu czteroetyliku ołowiu — do 98.

W 1943 r. w 17 zakładach pracujących metodą Houdry wyprodukowano 90% całej benzyny otrzymanej w Stanach Zjednoczonych drogą krakowania katalitycznego. Pozostałe 10% benzyny z krakowania katalitycznego przypada na tzw. metodę „termoflową“ oraz na krakowanie „z katalizatorem ciekłym“. Obydwie te metody, których opracowanie zakończone zostało dopiero w czasie wojny, odznaczają się niskim kosztem urządzeń i zastosowaniem ciągłego strumienia katalizatora, w odróżnieniu od procesu Houdry, pracującego z katalizatorem (nieruchomym) periodycznie regenerowanym.

Bogate w olefiny gazy krakowe, które pierwotnie obniżały tylko wydajność procesu krakowania, obecnie są źródłem cennego surowca dla otrzymania wysokooktanowej „benzyny polimeryzacyjnej“, a przede wszystkim czystego izooktanu. Ten ostatni otrzymuje się drogą katalitycznej izomeryzacji zawartego w gazach krakowych butanu na izobutan i następnej reakcji tzw. alkilenowania, tj. przyłączenia butylenu. Przez mieszanie w odpowiednim stosunku izooktanu z benzyną zwykłą lub krakową otrzymuje się tak cenioną obecnie „stuoctanową“ benzynę lotniczą.

Warto wreszcie zaznaczyć, że w 1943 r. Houdry ogłosił w „World Petroleum“ opracowaną przez siebie metodę „krakowania adiabatyicznego“. Według tej metody pracowała wówczas jedna tylko instalacja próbna. Metoda krakowania adiabatyicznego

prowadzić ma do otrzymania „paliwa nadlotniczego“ („superaviation fuel“), którego własności przeciwstukowe, tj. liczba oktanowa, mierzy się setkami punktów i które dlatego nie może być z całkowitym faktem wykorzystane w żadnym z dotychczas skonstruowanych silników.

Podczas gdy przemysł benzyn krakowych naturalnym biegiem rzeczy rozwijał się w obfitujących w ropę Stanach Zjednoczonych, metody otrzymywania paliw napędowych, oparte na uwodornianiu węgla, powstały i rozwinęły się przede wszystkim w Niemczech. Kraj ten niemal zupełnie pozbawiony jest ciekłego paliwa naturalnego: udział Niemiec w światowej produkcji ropy naftowej nigdy nie przekraczał 0,2%. Brak olejów smarowych i napędowych dał się Niemcom dotkliwie we znaki jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej i dlatego głęboko utkwiły im w pamięci słowa angielskiego męża stanu, który po wojnie przyznał, że Anglia „na spotkanie zwycięstwa popłynęła na falach ropy naftowej“. Jednakże dopiero w okresie pomiędzy pierwszą i drugą wojną światową problem ciekłych paliw napędowych oraz olejów smarowych zajął w gospodarce niemieckiej, żyjącej całkowicie pod znakiem odwetu, jedno z czołowych miejsc. W tym czasie Niemcom udało się stworzyć i rozwinąć na wielką skalę przemysł „benzyny syntetycznej“ w oparciu o znajdujące się w kraju w dostatecznej ilości stałe paliwa naturalne: węgiel kamienny i brunatny.

Uwodornianie węgla naturalnych i ich przetworów, prowadzące do „syntetycznej“ benzyny, odbywa się dwiema metodami: bezpośrednią i pośrednią.

Pierwsza z nich, od nazwiska wynalazcy niemieckiego Bergiusa, który już w 1913 r. ogłosił odnośne patenty, nosi zazwyczaj nazwę „berginizacji“ węgla. Metoda ta polega na rozkładowym uwodornianiu (hydrogenizacji) wysokocząsteczkowych ciał bogatych w węgiel i ubogich w wodór, które w obecności katalizatorów, w warunkach wysokiego ciśnienia i podwyższonej temperatury, prowadzi do powstania niskocząsteczkowych węglowodorów ciekłych. Jako produkty wyściowe stosować można bądź stałe paliwa naturalne jak węgiel kamienny i brunatny lub torf, bądź też ich przetwory, np. smołę z suchej destylacji, wreszcie ropę naftową i pozostałości z destylacji lub krakowania ropy naftowej. Wodór niezbędny do reakcji otrzymuje się zazwyczaj z gazu wodnego, powstającego z węgla, powietrza i wody, przy czym na 1 tonę benzyny potrzeba w tym celu ok. 3,5 tony węgla. Stosowane w technice uwodorniania ciśnienia wahają się od 200 do 300 atmosfer, a temperatura ok. 400° C. Przez długi czas centralne zagadnienie stanowił dobór katalizatora, który przede wszystkim odznaczać się musi tzw. odpornością na zatrucie. Jako czynniki „trujące“ wchodziły w grę głównie związki siarki, przede wszystkim siarkowodor. W licznych patentach opisane zostały sposoby uodporniania katalizatorów, np. drogą uprzedniego traktowania gazami reakcyjnymi lub naświetlania promieniami Roentgena. Ostatecznie jako najodpowiedniejsze katalizatory znalazły zastosowanie niektóre związki samej siarki, mianowicie siarczki wolframu i molibdenu.

Patenty Bergiusa przejęte zostały przez koncern I. G. Farbenindustrie i udoskonalone przez dra Piera. Na ich podstawie I. G. Farbenindustrie uruchomiło w Leuna, w pobliżu Lipska potężne zakłady hydrogenizacji węgla, w których produkcja benzyny „syntetycznej“ stanowiła ok. 35 proc. całkowitej niemieckiej produkcji olejów mineralnych.

Proces uwodorniania w Leuna i innych zakładach, stosujących berginizację węgla, charakteryzuje się kolejnym prowadzeniem reakcji w dwóch fazach: w tzw. „fazie

blotnistej" i w „fazie gazowej“. Ideą przewodnią tej metody jest oszczędzenie kosztownych katalizatorów (siarczków molibdenu i wolframu), których aktywność bardzo słabnie w miarę adsorbowania przez nie tworzących się w pierwszej fazie uwodorniania wysokowrzących olejów. Proces prowadzi się mianowicie w ten sposób, że w fazie blotnistej wysokocząsteczkowe surowce, np. węgiel, smołę pogazową, lub pak, zarobione na pastę węglową z pomocą olejów ciężkich, pochodzących z samego procesu, poddaje się w wielkich piecach „węglowych“ rozkładowi uwodorniającemu w obecności stosunkowo nieznacznych ilości sproszkowanego katalizatora. W tych warunkach powstają głównie wysokowrzące oleje ciężkie, przy czym katalizator po jednokrotnym zastosowaniu nie nadaje się do dalszego użytku. Składniki wrzące poniżej 325°C (olej średni) prowadzi się następnie w postaci par zmieszanych z wodorem („faza gazowa“) do pieca „benzynowego“, zawierającego nieruchomy katalizator, gdzie w temperaturze 420°C ulegają one dalszemu rozkładowi tworząc benzynę. Nerozłożoną resztę, składającą się z wysokowrzącego oleju średniego, zwraca się wraz ze świeżym surowcem do pieca „węglowego“.

Ciśnienie wodoru panujące w obydwu piecach wynosi, jak już wspomniano, 200 do 300 atmosfer. Gorące produkty, opuszczające przestrzeń reakcyjną, oddają swe ciepło w wymiennikach ciepła i chłodnicach zimnej pałcie węglowej i o'ejom idącym do katalizy. Ochłodzone produkty oddzie'a się od nadmiaru gazowego wodoru, po czym drogą destylacji rozdziela się je na benzynę i na nieprzereagowany olej średni, zwracany do reakcji. Podobnie zwraca się do pieca reakcyjnego nieużyty wodór, który w ten sposób pozostaje w obiegu zamkniętym. W ogólnym wyniku węgiel zostaje odbudowany w 96 proc., przy czym z 1 tony węgla otrzymuje się ok. 650—700 kg. olejów, w tym ok. 600 kg. benzyny. Benzyna ta po rafinacji stanowi dobre wysokooktanowe paliwo napędowe.

Przez manewrowanie poszczególnymi czynnikami, regulującymi reakcję uwodorniania, można dość dowolnie kierować przebiegiem procesu berginizacji węgla i otrzymywać dość różne i w różnej proporcji produkty końcowe. W grę tu przede wszystkim wchodzi surowiec wyjściowy, dobór katalizatorów o specyficznym działaniu oraz temperatura reakcji. Tak np. węgiel kamienny i brunatny uwodorniane w temperaturach wyższych dają do 50% ciężkiego oleju, przy czym, w przypadku węgla brunatnego olej ten przetworzony być może na cenne oleje smarowe. Podobnie w zależności od temperatury reakcji otrzymuje się benzynę z dużą zawartością węglowodorów nasyconych lub też z dużą ilością naftenów i ciał aromatycznych, mających tak duże znaczenie dla przeciwstukowych własności paliwa.

Coraz poważniejszym konkurentem berginizacji węgla, tj. metody uwodorniania bezpośredniego, jest równoległe się rozwijające pośrednie uwodornianie węgla. Polega ono na uprzednim zgazowaniu paliwa stałego (węgla, koksu, brykietów) pod działaniem pary wodnej, tj. na otrzymaniu gazu wodnego i na następnej reakcji zawartych w nim składników, tlenu węgla i wodoru, wobec specyficznych katalizatorów, w określonych warunkach temperatury i ciśnienia.

Mniej więcej w tym samym czasie co pierwsze patenty Bergiusa ogłoszone zostały wyniki prac, prowadzonych w BASF (Badische Soda-u. Anilin-Fabrik) nad katalitycznymi reakcjami tlenu węgla i wodoru. Doład wiadome było, że w obecności rozdrobnionego niklu reakcja pomiędzy tymi gazami przebiega w kierunku tworzenia się gazowego metanu. Tymczasem patenty BASF wskazywały, że w temperaturach 300°—400°C, pod

ciśnieniem ok. 100 atm., przez zastosowanie całego szeregu katalizatorów (m. in. Ce, Cr, Co, Mo, Os, Pd i w. in.) zawierających również alkalia, reakcja pomiędzy tlenkiem węgla i wodoru prowadzi do powstania ciekłej mieszaniny węglowodorów i związków tlenowych, takich jak alkohole, aldehydy, ketony i kwasy. W trakcie tych badań wykryto również warunki fizyczne, prowadzące do powstania czystego omal alkoholu metylowego. Reakcja ta stworzyła podstawę dla powstania nowego przemysłu syntetycznego metanolu, którego produkcja na wielką skalę uruchomiona została w Leuna-Werke, równocześnie do berginizacji węgla. Z 1 tony węgla otrzymywano w Leuna ok. 400 — 500 kg. syntetycznego metanolu, mającego w Niemczech szerokie zastosowanie jako paliwo napędowe.

Stosowane obecnie metody pośredniego uwodorniania węgla, prowadzące do syntetycznej benzyny, oparte są na słynnych patentach Fischera i Trop-scha. Pierwsze patenty, ogłoszone w 1922 r., charakteryzowały się prowadzeniem procesów w dwóch kolejnych stadiach. W pierwszym stadium reakcja tlenu węgla z wodorem, odbywająca się pod ciśnieniem i wobec wiórków żelaznych jako katalizatora, prowadzi w temperaturze 400 — 450°C do powstania skomplikowanej mieszaniny rozpuszczalnych w wodzie alifatycznych związków tlenowych (kwasów, alkoholi, aldehydów i ketonów) oraz wysokocząsteczkowych nierozpuszczalnych związków o charakterze oleju. W drugiej fazie procesu nierozpuszczalne składniki oleiste, tzw. „syntol“, zostają wydzielone z pierwotnego produktu reakcji i pod ciśnieniem, w wysokiej temperaturze, przechodzą w mieszaninę ciekłych węglowodorów, „syntinę“. „Syntina“ przy rektyfikacji daje benzynę.

Metoda Fischer-Tropscha zaczęła coraz bardziej zyskiwać na znaczeniu począwszy od 1925 r., gdy ogłoszone zostały patenty opisujące prowadzenie reakcji tlenu węgla i wodoru pod małym ciśnieniem, nieprzekraczającym 10 atm. Prowadzona tą metodą synteza benzyny nosi nazwę procesu „Kogasin“. W procesie tym jako katalizator stosuje się zazwyczaj kobalt osadzony na ziemi okrzemkowej i aktywowany małą ilością tlenu toru. Katalizator ten łatwo ulega zatruciu pod wpływem nawet śladów siarki, dlatego też pierwotny gaz wodny przed wprowadzeniem do pieca kontaktowego podlega dokładnemu odsiarczeniu. Reakcję w piecu kontaktowym prowadzi się pod ciśnieniem poniżej 7 atm. i w temperaturze poniżej 200°C, przy czym w tych warunkach powstają prawie wyłącznie węglowodory alifatyczne z dużą zawartością węglowodorów nienasyconych. Produkty powstałe w piecu reakcyjnym chłodzi się, przy czym wydzie'a się woda i oleje ciężkie, a następnie w płuczce olejowej oddzie'a się ciężką benzynę. Pozostały gaz prowadzi się nad węglem aktywowanym, adsorbuje z niego niskowrzące składniki, a więc lekką benzynę oraz „gazel“ tj. mieszaninę propanu i butanu, gazów łatwo skraplających się w temperaturze normalnej. (Analogiczna mieszanina znana jest w Polsce również pod nazwą „eteryny“). Resztę gazu bądź spala się dla uzyskania energii cieplnej lub mechanicznej, bądź też zawraca się do obiegu po uprzedniej przemianie zawartego w gazie metanu na tlenek węgla i wodór. Pierwotny produkt syntezy, odpowiadający wspomnianej wyżej „syntinie“, poddaje się uszlachetnieniu, np. krakowaniu, przy czym otrzymuje się z wydajnością 80% benzynę, odznaczającą się szczególną czystością, przede wszystkim zaś wolną od siarki. Pierwotne produkty syntezy służyć mogą ponadto jako punkt wyjścia dla innych ważnych ciał, mających zastosowanie przy napędzie silników, jak np. wysokowartościowe oleje smarowe, oleje cylindrowe itp. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że proces „Kogasin“ pozwala również na otrzy-

manie miękkiej parafiny, nadającej się dobrze do syntezy kwasów tłuszczowych o dużej czystości. Synteza kwasów tłuszczowych wymaga parafin o łańcuchu złożonym z 24 do 36 atomów węgla; proces Fischer — Tropscha można tak poprowadzić, że zawartość podobnych parafin stanowić będzie 50 proc.

Metoda Fischer — Tropscha w porównaniu z metodą Bergiusa przedstawia duże zalety pod względem aparaturowym. Ponieważ nie stosuje się w niej wysokich ciśnień oraz operuje się dokładnie oczyszczonymi gazami nie ma potrzeby stawiać wielkich wymagań aparaturze ani pod względem odporności chemicznej, ani wytrzymałości mechanicznej; nie ma tu zatem przede wszystkim potrzeby stosowania kosztownych stali stopowych.

W 1938 r. metodą Fischer — Tropscha pracowały w Niemczech 4 zakłady o łącznej zdolności wytwórczej 300.000 ton benzyny rocznie, a w budowie było 5 dańszych zakładów o zdolności wytwórczej 225.000 ton. Według metody Fischer — Tropscha pracować będą również pierwsze w Polsce zakłady benzyny syntetycznej, instalowane obecnie we Dworach koło Oświęcimia. Urządzenia potężnej fabryki „syntyny“ założonej tam w czasie ostatniej wojny przez Niemców, zostały prawie całkowicie zniszczone lub wywiezione. Obecnie, jak wiadomo, Polska w drodze reparacji, na podstawie umowy z ZSRR dostaje znaczną część aparatury znajdującej się w analogicznej fabryce na terenie okupacji radzieckiej w Schwarzwalde koło Drezna. Pozwoli to na uruchomienie w stosunkowo krótkim czasie instalacji o zdolności wytwórczej ok. 20.000 ton „syntyny“ rocznie. Projektowana jest ponadto budowa fabryki syntetycznego metanolu, analogicznej do zakładów w Leuna, o zdolności wytwórczej 30 000 ton rocznie.

Na zakończenie warto podkreślić wspólne cechy współczesnych technik otrzymywania ciekłych paliw napędowych. Wszystkie one odznaczają się łatwością w regulacji i kontrolowaniu warunków fizycznych i chemicznych procesu. Jako warunki te wymienić należy w pierwszym rzędzie temperaturę i ciśnienie panujące w przestrzeni reakcyjnej, czas trwania reakcji, naturę i postać katalizatora, wreszcie szybkość doprowadzania surowca. Jeden lub kilka tych warunków zmienione być mogą w pożądanym kierunku, pozwalając na zrealizowanie wielkiej liczby różnych procesów wytwórczych bez wprowadzenia jakichkolwiek zmian do aparatury. Rezultaty tych procesów różnią się pomiędzy sobą jakością i proporcją ilościową uzyskiwanych produktów przy zastosowaniu tego samego produktu wyjściowego. Z drugiej strony częstokroć jedna i ta sama aparatura pozwala na użycie różnych produktów wyjściowych, dzięki czemu w tych samych warunkach fizycznych uzyskać można produkty końcowe o różnym składzie przez stosowny dobór surowca.

Jan Szlaza

Kronika przyrodnicza

Rozdzielanie izotopów

Jak wiemy obecnie atom składa się z ciężkiego jądra o średnicy około 10^{-12} cm, wokół którego poruszają się elektrony o średnicy około 10^{-13} cm. (Promień jądra $r = r_0 \sqrt[3]{A}$, gdzie A — masa atomowa, r_0 — promień elektronu $= 1,42 \cdot 10^{-13}$ cm.) Wymiary atomu są znacznie większe od wymiarów jądra czy elektronów, gdyż średnica jego jest 10^8 cm. Masa atomu jest prawie całkowicie skupiona w jądrze. (Masa protonu, jądra wodoru, jest 1800 razy większa od masy elektronu). Jądro posiada całkowitą liczbę elementarnych ładunków dodatnich, gdyż składa się z pewnej liczby protonów, o ładunku elektrycznym dodatnim, i neutronów.

Liczba protonów w jądrze jest to tzw. liczba atomowa, jest ona równa liczbie elektronów otaczających jądro.

Każdy elektron posiada jeden elementarny ładunek ujemny, a więc atom jako całość jest elektrycznie obojętny.

Liczba atomowa Z , czyli liczba protonów w jądrze, określa liczbę zewnętrznych elektronów, od których zależą własności chemiczne atomu. Wszystkie atomy jednego pierwiastka posiadają tę samą liczbę atomową.

Atomy posiadające tę samą liczbę atomową, lecz różne masy — nazywamy izotopami. Jądra izotopów składają się z tej samej liczby protonów i różnej liczby neutronów. Są one pod względem mechanicznym identyczne.

Bardzo długo nie zdawano sobie sprawy z istnienia izotopów i dopiero w roku 1912 J. J. Thomson odkrył, że w neonie są atomy o masach 20 i 22, gdy tymczasem znany ciężar atomowy neonu wynosi 20,2. Wylumaczył to Thomson śmiałą hipotezą, że neon nie jest substancją jednolitą, lecz mieszaniną dwóch neonów.

Sprawa ta została ostatecznie wyjaśniona w r. 1919 przez F. W. Astona, który w wyniku swych badań doszedł do wniosku, że prawie wszystkie znane nam pierwiastki są mieszaninami kilku ciał prostych, izotopów, oraz że ciężary atomowe izotopów wyrażają się liczbami całkowitymi (jeżeli ciężar atomowy tlenu $= 16$).

Okazało się więc, że zgodnie z przypuszczeniem Thomsona neon jest mieszaniną dwóch izotopów o masach 20 i 22, a średni ciężar atomowy 20,2 wynika z tego, że ilość atomów ^{22}Ne wynosi $\frac{1}{9}$ ilości atomów ^{20}Ne .

Podobnie chlor o ciężarze atomowym 35,46 jest właściwie mieszaniną 2 izotopów chloru: ^{35}Cl i ^{37}Cl . Cyna posiada aż 11 izotopów.

Później okazało się, że ciężary atomowe izotopów nie są ściśle liczbami całkowitymi, ale bardzo mało się od nich różnią.

Izotopy posiadają prawie te same właściwości chemiczne. Właściwości ich są bardziej zbliżone niż właściwości chemiczne ziem rzadkich. Można jednak przez reakcję wymiany na drodze czysto chemicznej otrzymać częściowe rozdzielanie izotopów, gdyż wykazują one bardzo drobne różnice w równowadze mas w reakcjach.

Metody rozdzielania izotopów opierają się na wykorzystaniu drobnych różnic zależnych od masy danych atomów. Wiadomo, że cząsteczki gazu lub cieczy są w ciągłym ruchu i ich energia zależy jedynie od temperatury. Jeżeli więc gaz składa się z 2 izotopów, to średnia energia kinetyczna cięższych i lżejszych cząsteczek jest ta sama, a zatem prędkość średnia lżejszych musi być większa niż cięższych, gdyż energia kinetyczna równa się $\frac{1}{2}mv^2$, gdzie m = masa, v = prędkość cząsteczki. Wynika z tego, że proces zależny od średniej prędkości może być użyty do rozdzielania izotopów.

Siła ciężkości lub tzw. pozorne siły odśrodkowe, występujące w wirówkach, są proporcjonalne do masy, a więc również mogą być zastosowane do rozdzielania izotopów.

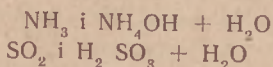
Atomy zjonizowane podlegają siłom elektrycznym i magnetycznym (w ruchu). Te siły są o wiele łatwiejsze do wytworzenia niż poprzednie i z dobrym skutkiem są stosowane do rozdzielania izotopów.

Oprócz tego są jeszcze siły międzycząsteczkowe lub międzycząsteczkowe, od których zależą szybkość reakcji chemicznych, szybkość parowania itp. Przeważnie zależą one głównie od zewnętrznych elektronów cząsteczki, a nie od jej masy. Gdy jednak siły te powodują powstanie nowych, cząsteczek, występuje pewien — zwykle bardzo mały — wpływ masy.

Mamy więc metody opierające się na następujących procesach: 1) reakcje wymiany, 2) elektroliza, 3) destylacja, 4) odwirowywanie, 5) dyfuzja, 6) termiczna dyfuzja.

Oprócz tego istnieją jeszcze 3 metody opierające się na rozdzielaniu elektromagnetycznym, ale o nich niewiele wiadomo. Polegają one na zastosowaniu 7) kalutronu, 8) wirówki jonowej, i 9) izotronu (używane były do rozdzielania izotopów uranu przy wytwarzaniu bomby atomowej).

W reakcjach wymiany otrzymuje się przeważnie tylko nieznaczne wzbogacenie mieszaniny w jeden z izotopów. Robione były np. doświadczenia z reakcjami wymiany:



lub reakcją katalitycznej wymiany H_2 i H_2O .

Różnice powodowane przez różne masy atomów są tak małe, że jedna reakcja nie może spowodować uchwytne rozdzielania, trzeba ją powtarzać wielokrotnie. Najlepiej się to udaje, gdy faza zawierająca trochę więcej lżejszego izotopu porusza się w jednym kierunku, a stale się z nią stykająca druga faza — w przeciwnym. W reakcjach stosowanych faza ciekła poruszała się na dół, a gazowa do góry.

Taka metoda została nawet zastosowana w Ameryce do oddzielania ciężkiego wodoru.

**
*

Przy elektrolizie otrzymuje się także częściowe rozdzielanie izotopów. Ta metoda jest skuteczna jedynie dla najlżejszych pierwiastków.

Stosowana była np. do litu i do wodoru. Zwykła woda jest łatwiej rozkładalna niż ciężka i przy przewlekłej elektrolizie w części nierozłożonej przeważa ciężka woda.

Jeżeli wykona się elektrolizę kilkuset litrów wody, tak że pozostanie zaledwie kilka cm^3 w stanie nierozłożonym, to będą one zawierały prawie czystą ciężką wodę.

Przed wojną jedynie tą metodą była stosowana do produkcji ciężkiego wodoru, głównie w Norwegii, gdzie znajdują się wielkie źródła taniej energii elektrycznej.

**
*

Jedną z pierwszych metod stosowanych do rozdzielania izotopów była metoda destylacji. Szybkość parowania zależy od masy atomów parującej cieczy. Jeżeli ciecz zawiera 2 izotopy, to cięższy pozostaje w cieczy, a lżejszy znajduje się w parze.

Hevesy przez destylację rtęci, a następnie potasu w próżni, otrzymał reszty wzbogacone w cięższe izotopy w sposób wyraźnie mierzalny.

W chemii często stosuje się destylację dla rozdzielania substancji o różnych temperaturach wrzenia, np. oddzielanie alkoholu i wody przez zwykłą destylację. Substancje, których temperatury wrzenia mało się różnią, można rozdzielić przy pomocy destylacji frakcjonowanej.

W deflegmatorze wytwarza się skierowany ku górze strumień gazu i skierowany ku dołowi strumień cieczy, oba te strumienie są stale w zetknięciu i cząsteczki przechodzą z jednego do drugiego.

Cząsteczki substancji o wyższej temperaturze wrzenia mają większą tendencję do przechodzenia do cieczy i odwrotnie.

Ta metoda, być może, była właśnie zastosowana w Ameryce do oddzielania zwykłej i ciężkiej wody, gdyż ich temperatury wrzenia różnią się o $1,4^\circ\text{C}$.

**
*

Pierwsze doświadczenia z wirówkami nie dały dobrych wyników. Później dopiero — po wytworzeniu bardzo szybkich wirówek — można było otrzymać przy ich pomocy rozdzielanie izotopów. W najszybszych wirówkach (do 6 milionów obrotów na minutę) część ruchoma, umieszczona bez osi w próżni, jest utrzymywana przez magnesy dla zmniejszenia tarcia. H. C. Urey zaproponował użycie długich cylindrów wirujących, ustawionych pionowo, w których jeden strumień gazu splywa w dół wzdłuż ścianek, a drugi wznosi się ku górze środkiem cylindra. Cząsteczki dyfundują z jednego strumienia do drugiego.

Sily, spowodowane ruchem obrotowym, działające na cząsteczki, są tego rodzaju, że cięższe cząsteczki mają tendencję do gromadzenia się przy ściankach, a lżejsze w środku cylindra. W tym wypadku rozdział zależy od różnicy mas izotopów a nie od ich stonku. Robione były próby rozdzielania tą metodą izotopów uranu, ale potem zostały one zaniechane. Rozdzielenie jest naturalnie tylko częściowe.

J. W. Beams używał specjalnej, bardzo szybkiej wirówki. Substancja była wprowadzana do części ruchomej w stanie gazu i w niej się skrapla, przy czym cząsteczki cięższe skupiały się bardziej po brzegach. Przy pomocy pompy wyciąga się daną substancję w czasie doświadczenia: najpierw otrzymuje się część zawierającą więcej izotopu lżejszego, a pod koniec część zawierającą więcej cięższego.

W ten sposób z $105 \text{ cm}^3 \text{ CCl}_4$ otrzymał on po 52 min. 1 g CCl_4 , dla którego stosunek izotopów chloru zmienił się o 12%.

**
*

Już w roku 1896 lord Rayleigh wykazał, że można rozdzielić mieszaninę gazów o różnym ciężarze atomowym w procesie dyfuzji przez ścianki porowate. Gaz lżejszy ma średnią prędkość cząsteczek większą i szybciej dyfunduje przez przeszkodę. Naturalnie pierwsza część gazu przechodzącego zawiera najwięcej lżejszego składnika.

Tę metodę zastosował Aston do pierwszego częściowego rozdzielania izotopów neonu. Później E. Hertz, stosując aparaturę wielostopniową, składającą się z szeregu pomp dyfuzyjnych rtęciowych, które zmuszały gaz do dyfundowania przez szereg ścianek porowatych, otrzymał całkowite rozdzielanie izotopów różnych gazów, jak np. neon i wodór.

Metoda ta została zastosowana w skali technicznej do rozdzielania izotopów uranu, przy czym używany był jako gaz fluorek uranu UF_6 . Wobec małej różnicy ciężarów atomowych (spółczynnik rozdziału wynosi $\sqrt{\frac{M_1}{M_2}}$, gdzie M_1, M_2 oznaczają ciężary cząsteczkowe fluorku każdego z izotopów uranu) konieczne jest przepuszczanie gazu przez kolejne ścianki porowate w wielostopniowej dyfuzji.

Spółczynnik wzbogacenia mieszaniny (po przejściu przez jedną ściankę wynosi 1,0043. Dla otrzymywania ilości znacznie większych potrzebne byłyby tysiące stopni tej dyfuzji.

**
*

Teoria kinetyczna gazów pozwoliła przewidzieć, że w gazie, w którym mamy obszary o różnych temperaturach, w miejscach o wyższej temperaturze znajduje się trochę więcej lżejszych cząsteczek, niż to wypadaloby z ich średniego stosunku w mieszaninie. Efekt ten jest bardzo mały i dlatego też, pomimo iż był dawno przewidywany, nie był prawie wcale badany.

To częściowe skupianie się jednego rodzaju cząsteczek zależy nie tylko od ciężaru cząsteczkowego, ale i od sił międzycząsteczkowych, które mogą odwrócić zjawisko.

H. Clusius i E. Dickel w r. 1938 po raz pierwszy użyli tego zjawiska do rozdzielania izotopów.

Mieszanina izotopów wprowadzona była do długiej rury szklanej ustawionej pionowo. W osi tej rury znajdował się drut rozgrzany, a ścianki były chłodzone, tak że różnica temperatur między osią a ściankami wynosiła $600^\circ C$. Występował tu efekt podwójny. Po pierwsze, środek rury był cieplejszy niż ścianki, więc w środku gromadziło się więcej lżejszego, a przy ściankach więcej cięższego izotopu. Po drugie, ogrzewanie to wskutek tego, że gaz rozgrzany ma mniejszą gęstość niż zimny, powodowało występowanie stałego prądu gazu w środku ku górze, a wzdłuż ścianek — na dół. Cały więc czas lżejszy izotop jest przemieszczany ku górze, a cięższy — ku dołowi. Po dłuższym działaniu tego aparatu w górze skupi się prawie czysty, lżejszy izotop, a w dole rury — cięższy.

Clusius i Dickel pracując przy użyciu rury długości 36 m., napełnionej zwykłym chlorowodorem, który zawiera 25% ^{37}Cl , wydobywali dziennie 8 cm^3 tego izotopu o czystości 99,4%.

Przy pomocy tej metody zostały rozdzielone inne izotopy w stanie gazowym, nawet izotopy uranu (naturalnie jako UF_6).

Metoda ta może być także zastosowana dla cieczy, ale współczynnik rozdzielania jest mniejszy niż dla gazów.

**
*

Z metod elektromagnetycznych najlepiej została opracowana metoda polegająca na zastosowaniu tzw. „kalutronu“ (California University cyclotron). Metoda ta opiera się na zasadzie spektrografu masowego.

Mieszanka izotopów, które mają być rozdzielone w stanie gazowym, zostaje zjonizowana; następnie jony są przyśpieszone przez pole elektryczne i nabywają przy tym tej samej energii kinetycznej. Przyśpieszone jony dostają się w pole magnetyczne, które zakrzywia ich tory.

Lżejsze jony poruszają się po wycinkach kół o mniejszym promieniu niż cięższe i w zbiornikach, umieszczonych w odpowiednich miejscach, skupiają się różne izotopy.

Badania nad tą metodą rozpoczęły się w r. 1941 w Berkeley. Pracowała tam cała grupa uczonych pod kierownictwem E. O. Lawrence'a. Największą wadą tej metody jest jej mała wydajność. Zwykły spektrograf masowy może rozdzielić najwyżej ułamki mikrogram/godz. Cały więc wysiłek był skierowany na zwiększenie tej wydajności.

Trudności były głównie powodowane koniecznością użycia bardzo wydajnego źródła jonów, gdyż szczeliny ograniczające strumień jonów sprawiają, że nie wszystkie jony są wykorzystane i wreszcie silne zagęszczenie jonów dodatnich w strumieniu powoduje powstanie ładunków przestrzennych, utrudniających rozdzielenie. Pierwsze próby robione były z elektromagnesem o średnicy 37 cali (92,5 cm), używanym poprzednio do cyklotronu.

Najłatwiej udało się zneutralizować szkodliwe działanie ładunków przestrzennych przez jonizację resztek gazu w komorze, znajdującej się w polu magnetycznym.

Jeżeli chodzi o źródło jonów, to problem ten jest bardzo skomplikowany i został rozwiązany głównie metodą doświadczalną. Wypróbowano wielką liczbę różnych źródeł jonów i sposobów ich przyśpieszania.

W celu zwiększenia wydajności trzeba było jeszcze zwiększyć ilość zużytkowanych jonów. Rozszerzenie szczelin ograniczających strumień jonów było możliwe bez zmniejszenia stopnia rozdzielania tylko wtedy, gdy udało się wypracować odpowiednie zmiany w rozkładzie przestrzennym pola magnetycznego.

Uruchomienie dużego elektromagnesu jest dość kosztowne, dlatego też dla lepszego wykorzystania postarano się w polu jednego elektromagnesu umieścić kilka strumieni jonów.

Już przed wojną rozpoczęto budowę olbrzymiego cyklotronu w Berkeley i po dokończeniu budowy w r. 1942 elektromagnes jego o średnicy 184 cali (4,6 m), ważący 4.500 ton, mógł być użyty do rozdzielania izotopów. Bieguny jego mogły być rozsunięte na 180 cm, co pozwalało umieszczać między nimi wiele aparatów.

Późniejsze badania doprowadziły do zupełnie zadowolających wyników i ta metoda elektromagnetyczna została zastosowana na miarę techniczną.

**
*

Jeżeli chodzi o wirówkę jonową, to wiemy tylko tyle, że ta metoda istnieje i jest modyfikacją magnetronu.

**
*

Izotron powstał według metody zaprojektowanej przez R. R. Wilsona. Jest to metoda elektromagnetyczna o źródle jonów znacznie bardziej rozciąglwym przestrzennie niż w zwykłym spektrografie masowym. Jony po wyjściu ze źródła są najpierw przyśpieszane przez silne, stałe pole elektryczne, a później przez słabe pole zmienne o częstotliwości radiowej.

Pierwsze pole powoduje wytworzenie się strumienia jonów o jednakowej energii kinetycznej, a więc o prędkościach odwrotnie proporcjonalnych do pierwiastka kwadratowego z ich mas. Pole zmienne wprowadza drobne, periodyczne zmiany prędkości jonów i powoduje zbieranie się jonów w „wiązki“ w pewnej odległości w rurze. Wiązki jonów o różnej masie poruszają się z różnymi prędkościami i przez to się rozdzielają.

W miejscu, w którym to następuje, jest zastosowane prostopadłe, skupiające pole elektryczne zmienne z częstotliwością radiową zsynchronizowaną z nadchodzeniem wiązek. Synchronizacja polega na tym, że w wypadku, gdy przechodzą wiązki jonów jednego izotopu, składowa zmienna pola elektrycznego jest zerem, a osiąga maksimum, gdy przechodzą wiązki jonów innego izotopu. W ten sposób strumień jednych jonów jest skupiany w odbiorniku, a drugi — odchylany.

Próbnny aparat zbudowany na tej zasadzie był wykonany w styczniu 1942 r. Izotopy litu i uranu mogły być rozdzielone. Metoda ta jednak, o ile wiadomo, nie była dalej rozwijana.

Na tym kończymy przegląd metod rozdzielania izotopów. Wobec wagi, jaką ma to zagadnienie przy fabrykacji bomb atomowych, bliższe szczegóły wyników osiągniętych są trzymane w tajemnicy i w niektórych wypadkach można się dowiedzieć tylko o najogólniejszych danych. Widzimy jednak, że różne metody mogą dać rezultaty pozwalające na zastosowanie ich w skali technicznej.

Jeżeli chodzi o rozdzielanie izotopów uranu, to metoda termicznej dyfuzji i kalutron zostały zastosowane w Ameryce przy badaniach nad bombą atomową.

Stanisław Rouppert

Kronika angielska

Stowarzyszenie pracowników naukowych A. Sc. W.

Mało jest u nas znane Stowarzyszenie Pracowników Naukowych (A. Sc. W.) rozwijające w Anglii bardzo ożywioną i różnorodną działalność. Powstało ono jako związek zawodowy pracowników naukowych w styczniu 1918 r.

Aby lepiej zrozumieć historię tego Stowarzyszenia, trzeba rozpatrzyć pokrótce warunki pracy pracowników naukowych i rolę nauki w społeczeństwie angielskim w latach poprzedzających powstanie Stowarzyszenia.

Można się było spodziewać, że rewolucja przemysłowa spowoduje bardzo szybki rozwój nauki. Tymczasem przemysłowcy XVIII i XIX wieku nie zdawali sobie sprawy z możliwości, jakie otwierały przed nimi badania naukowe. W pierwszej połowie XVIII wieku panował w Anglii zupełny zastój w nauce, dopiero w miarę rozwoju przemysłu nauka zaczęła się rozwijać, głównie w miastach przemysłowych, jak Leeds, Manchester, Birmingham i inne. Między nauką a przemysłem ustały się pewne związki; niektórzy przemysłowcy, choć jeszcze bardzo nieliczni, zaczęli używać naukowców jako doradców. Nauka pozostała jednak dalej zajęciem ludzi niezależnych finansowo lub żyjących z innych źródeł dochodu.

Instytut Królewski, który w I połowie XIX wieku stał się ośrodkiem badań i wynalazków, mających często zastosowanie w przemyśle, miał jeszcze za czasów Faradaya wielkie trudności przy znalezieniu odpowiednich funduszków dla prowadzenia badań. Większość przodujących uczonych tego okresu — to amatorzy i samoucy.

Rozwój przemysłu był tak szybki i rynki zbytu tak duże, że przemysł nie czuł potrzeby popierania nauki. Jest zrozumiałe, że w tych warunkach nie mógł powstać związek zawodowy pracowników naukowych. Ilość ich była zbyt mała. Grupowali się oni poza tym na podstawie możliwości do życia z własnych funduszków lub zdolności do znalezienia opiekunów dla swej pracy czy uzyskania poparcia z uniwersytetu.

Z początkiem XX wieku warunki zupełnie się zmieniły. Postęp techniczny, połączony ze wzrostem monopolu z jednej strony, a zwiększonym współzawodnictwem między wielkimi trustami — szczególnie w przemyśle elektrycznym i chemicznym — z drugiej, wymagał zwiększonej liczby ludzi zajętych rozwiązywaniem problemów naukowych, po-

wstałych przy produkcji w przemyśle. Ta tendencja była jeszcze wzmocniona przez fakt, że w II połowie XIX wieku przemysł w tych dziedzinach był właściwie wykorzystaniem już poprzednio dokonanych wynalazków i w początku XX wieku dalszy postęp techniczny zaczął zależeć od organizacji badań naukowych. Ilość pracowników naukowych zwiększa się bardzo szybko. Od kilkuset — w połowie XIX wieku — wzrosła prawie tysiącrotnie do połowy XX wieku.

Sumy wydawane przez przemysłowców na badania naukowe także wzrosły ogromnie. Dalszy postęp techniczny stał się niemożliwy bez wykształconych pracowników naukowych. Jednak w tym samym czasie postęp stał się niepożądany. Firmy czy trusty, które umieściły wielkie kapitały w maszynach, nie chciały zmieniać tych maszyn na nowe, choćby lepsze, jeżeli związane to było ze znacznymi kosztami. Trusty te często mogły kontrolować, a w pewnych wypadkach powstrzymywać nawet postęp techniczny.

Ponieważ w tym czasie doświadczenia naukowe zaczęły się stawać coraz kosztowniejsze i zależeć coraz bardziej od pomocy finansowej przemysłu, wielkie trusty mogły w coraz większym stopniu kontrolować badania nie tylko w swych laboratoriach, ale i w całym kraju. To jednak nie wszystko. Często trusty nie tylko powstrzymywały postęp, ale wprost powodowały cofanie się w rozwoju. Gdy trust niemiecki Osram wypuścił na rynek stosunkowo tanie lampy, okazało się, że palą się one zbyt długo i nie przynoszą odpowiednich zysków. Wobec tego pracownicy naukowcy otrzymali za zadanie obniżenie wytrzymałości lamp. Jest to jeden z licznych przykładów.

Widzimy więc, jak się przedstawiała w krajach kapitalistycznych sytuacja pracowników naukowych. Ilość ich szybko wzrasta. Większość ich staje się pracownikami zatrudnionymi przez koncerny przemysłowe. Wolność badań zostaje ograniczona do wymagań przemysłu. Tracą oni zupełnie kontrolę nad wynikami swej pracy. Nie są wynagradzani odpowiednio do pożytku z niej; często ich najlepsze wynalazki są niszczone. W dodatku zmuszani są do prac powodujących cofanie się, nie zaś postęp techniczny. Wobec rozpowszechnienia wiadomości naukowych pozycja ich pogarsza się. Obecnie pracownicy naukowcy nie zarabiają więcej niż wykwalifikowany robotnik. Nie byłoby w tym naturalnie nic złego, gdyby wykwalifikowani robotnicy byli odpowiednio wynagradzani. Planowanie badań naukowych może być bardzo dobre, można jednak mieć wielkie zastrzeżenie co do planowania badań dla prywatnego zysku i często przeciw ogólnemu dobru.

W takich to warunkach powstała myśl utworzenia związku zawodowego pracowników naukowych, jako wynik rozwoju społecznego i zmienionego położenia nauki i pracowników naukowych w XX wieku.

W czasie pierwszej wojny sytuacja ta zarysowała się jeszcze wyraźniej. Udoskonalona maszyna wojenna i wzrastająca produkcja nowych broni wymagała zatrudnienia coraz większej ilości pracowników naukowych w przemyśle wojennym. Proces ten przełamał wreszcie tendencję naukowców do izolowania się od życia.

W drugiej połowie okresu wojennego wielu pracowników naukowych dopiero zdało sobie sprawę ze zmiany swego położenia, która już zaszła dawno. Rozpoczął się ruch w kierunku tworzenia organizacji, mogącej skutecznie walczyć o lepsze położenie dla siebie i dla nauki.

W styczniu 1918 w Cambridge została ułożona przez grono naukowców odezwa, w której motywowano, że: „Jedną z głównych przyczyn, dla których nauka nie zajmuje

odpowiedniego miejsca w życiu narodowym jest to, że pracownicy naukowcy nie wywierają wpływu, odpowiedniego do ich znaczenia, na świat polityczny i przemysłowy. Główną zaś przyczyną, dla której nie wywierają tego wpływu jest to, że nie przyjęli formy organizacyjnej, koniecznej do tego". W kilka tygodni potem, w lutym 1918 odbyło się pierwsze zebranie Stowarzyszenia Pracowników Naukowych lub jak ono się wtedy nazywało — Związku Zawodowego Pracowników Naukowych. Za 5 miesięcy odbyło się pierwsze publiczne zebranie w Cambridge. Ilość członków wynosiła wtedy 600. Wydawało się, że rozpocznie się naturalny rozwój. Jednak związek miał jeszcze do przezwyciężenia trudności, raczej natury wewnętrznej. Wielu członków nie wiedziało właściwie jasno, jakie mają być cele związku i różne grupy wyobrażały je sobie odmiennie.

Związek Pracowników Naukowych powstał jako związek zawodowy, nie podobano się to jednak niektórym członkom. Rekrutowali się oni głównie z uniwersytetów, spośród pracowników państwowych i umysłowych. Pierwsi oponowali przeciw zajmowaniu się (w dostatecznej mierze) problemami przemysłu, pracownicy zaś przemysłowi byli za słabi, żeby nadać organizacji charakter bardziej czynny i sprawić, by zajmowała się ona położeniem materialnym pracowników naukowych, a nie tylko sprawami nauki.

W ciągu pierwszych 10 lat była wyraźna przewaga pierwszej grupy, nieprzemysłowej. Wielu członków zajmowało stanowisko, że pracownik naukowy nie jest ani robotnikiem, ani kapitalistą, tylko czymś „trzecim” i dlatego powinien trzymać się z dala od walki, jaką toczą pierwsi dwaj. (W Polsce, zdaje się, jeszcze dotychczas pokutuje ten pogląd wśród inteligencji).

W tym okresie Związek stał się instytucją uznaną w świecie i sekretarz Związku brał udział w pracach Parlamentu, ugruntowując stanowisko nauki, związek jednak nie starał się dostatecznie o podniesienie poziomu płac pracowników naukowych w przemyśle. Nie umiał zdobyć zaufania większości pracowników naukowych i ilość członków wzrastała bardzo powoli (w roku 1924 tylko 856 członków).

W lutym 1926 ogólne zebranie uchwaliło, że Związek Pracowników Naukowych przestaje być związkiem zawodowym. Czasopismo „Pracownik naukowy” przestało wychodzić, Stowarzyszeniu Pracowników Naukowych groził zupełny upadek. Lata 1930 — 1935 były okresem martwym w życiu organizacji. W ciągu następnych 3 lat można zauważyć powolną poprawę. Polepszenie ogólnych warunków ekonomicznych wraz ze wzrastającym uczuciem zależności i rozczarowania wśród pracowników naukowych (wynałazki będące własnością trzustów są często chowane bez użytku) powstanie faszystów, tego wroga nauki, a może także przybycie wielu uciekinierów naukowców z kontynentu z ich świeżym doświadczeniem, jaki jest los niezorganizowanej i „apolitycznej” nauki, to wszystko sprzyjało rozwojowi Stowarzyszenia. Zorganizowane zebrania poruszające zagadnienie życia realnego, jak obrona i odpowiedzialność uczonego, nauka i społeczeństwo itp. wskazują, że działalność Stowarzyszenia poszła w odpowiednim kierunku.

Mała grupa postępowych członków, energicznych i młodych pracowników naukowych, zabrała się do przekształcenia Stowarzyszenia i w styczniu 1938 roku jeden z członków tej grupy został jego sekretarzem. W tymże roku Stowarzyszenie rozpoczęło badanie tej grupy i warunków pracy wśród pracowników naukowych. W następnym roku rada Stowarzyszenia uchwaliła, że głównym jego zadaniem jest organizowanie pracowników naukowych, a nie nauki. W r. 1940 została zorganizowana samopomoc na wypadek bezro-

bocia. Członkowie należący i płacący składki na specjalny fundusz bezrobocia otrzymują, gdy są bez pracy, zasiłek przez 6 miesięcy.

W lipcu 1939 ilość członków doszła do 1319, w maju 1941 osiągnęła liczbę 2000, a w rok później przekroczyła 5000 członków.

Stowarzyszenie coraz bardziej zaczęło sobie zdawać sprawę ze znaczenia organizacji pracowników naukowych w przemyśle, nie zaniedbując także uniwersytetów.

Wojna nie tylko nie powstrzymała działalności Stowarzyszenia, ale przeciwnie bardzo je wzmożyła. Potrzeba organizacji zawodowej okazała się silniejsza w czasie wojny niż w czasie pokoju. Zaraz po rozpoczęciu się wojny Stowarzyszenie zaczęło organizować w głównych miastach przemysłowych konferencje dla pracowników naukowych w przemyśle. Konferencja w Liverpoolu przyjęła rezolucję, wskazującą na kierunek rozwoju Stowarzyszenia: „Nadszedł czas utworzenia ogólnej organizacji, która będzie pracowała nad poprawą położenia ekonomicznego i zawodowego wszystkich pracowników naukowych i technicznych“.

W roku 1940 Stowarzyszenie znów stało się związkami zawodowym i przystąpiło do Centrali Związków Zawodowych (TUC). Ogólna konferencja pt. „Nauka i wysiłek wojenny“ posłużyła podwójnemu celowi: zmobilizowała członków do większego wysiłku i zwróciła uwagę społeczeństwa na niewykorzystanie pracowników naukowych.

Obecnie Stowarzyszenie posiada 16000 członków. Są to pracownicy nauki i technicy w przemyśle, w służbie państwowej, na uniwersytetach i w rolnictwie oraz ich pomocnicy technicy (pracownicy laboratoryjni).

Ponieważ Stowarzyszenie jest związkiem zawodowym, więc przeprowadziło wiele rozmów z pracodawcami w celu otrzymania lepszych warunków płacy, godzin pracy, wakacji itp. przy zawieraniu umów zbiorowych i indywidualnych dla swoich członków. Uplłynęło wiele czasu nim Stowarzyszenie zostało uznane jako związek zawodowy przez pracodawców i przez inne związki zawodowe. Obecnie jest to już jednak faktem dokonanym.

Stowarzyszenie nie ustawało nigdy w swych wysiłkach, żeby zwiększyć zastosowanie nauki dla dobra społeczeństwa. Zajmowało się wykształceniem pracowników naukowych, sposobami zastosowania nauki do palących problemów w społeczeństwie (np. odbudowa, stan zdrowotny, żywność), sposobami organizacji nauki i jej finansowania, propagandy nauki itp. Różne metody były używane: propaganda przez broszury, zebrania i konferencje, pisma do komitetu naukowego w Parlamencie i wprost do Rządu. W lutym r. b. w Londynie odbyła się konferencja: „Nauka i dobrobyt ludzkości“. Były na niej reprezentowane związki pracowników naukowych z różnych krajów (z Polski — sekcja naukowa Związku Nauczycielstwa Polskiego). Rozpatrywano zagadnienia: nauki i potrzeb światowych, skutków ostatnich zdobyczy naukowych w dziedzinie biochemii, psychiatrii, fizyki jądrowej i innych, odpowiedzialności pracowników naukowych, organizacji nauki.

Powstanie światowej federacji pracowników naukowych było już dyskutowane między francuskimi, sowieckimi i angielskimi pracownikami naukowymi w Moskwie, w czerwcu 1945, na zjeździe w związku z 200-leciem Akademii Nauk. Później rozpatrywane było na konferencji „Nauka i dobrobyt ludzkości“ w Londynie.

W lipcu r. b. w Londynie, w obecności wielu uczonych, którzy przybyli z różnych krajów z powodu 300-lecia Newfona, została zwołana konferencja, która powzięła decyzję utworzenia światowej Federacji Pracowników Naukowych. Głównym celem Federacji jest „praca nad najpełniejszym wyzyskaniem nauki dla sprawy pokoju i dobrobytu ludzkości“.

Działalnością Federacji ma być: praca nad bezpośrednimi problemami światowymi dotyczącymi nauki: poprawa nauczania naukowego; wymiana międzynarodowa pracowników naukowych, informacji i przyrządów; poprawa położenia społecznego, ekonomicznego i zawodowego pracowników naukowych; wzbudzenie większego zainteresowania sprawami ogółu i problemami społecznymi wśród pracowników naukowych.

Prof. Joliot (Francja) został wybrany prezydentem, a wiceprezydentem — prof. Bernal (Anglia) i prof. Semenow (ZSRR). Polska i Czechosłowacja mają być reprezentowane przez prof. Belehradek. Tymczasową siedzibą Federacji jest Londyn, ale zapewne przeniesie się ona do Paryża, wobec zaofiarowania jej przez prof. Needhama lokalu w gmachu UNESCO w Paryżu.

W Polsce organizacja analogiczna do Stowarzyszenia Pracowników Naukowych nie istnieje, a potrzeba takiej organizacji zawodowej, grupującej pracowników naukowych z różnych dziedzin, pomimo innych stosunków społecznych bardzo daje się odczuwać.

Stanisław Rouppert

Kronika radziecka

Plan pięcioletni rolnictwa radzieckiego*)

Tereny, które w okresie wojny znalazły się pod niemiecką okupacją poniosły dotkliwe straty w gospodarce rolnej. Niemcy zdewastowali i rozgrabili 98.000 kolchozów, 1876 sowchozów, 2890 stacji traktorowych, rozkradli, wywieźli i wybili dziesiątki milionów sztuk żywca i zwierząt pociągowych. Skutkiem takiej rabunkowej gospodarki nastąpił upadek rolnictwa, ziemia uprawna zarosła chwastami, zaprzestano stosować płodozmian — toteż wydajność gleby znacznie się obniżyła. Rezultatem ogólnego zniszczenia terenów, okupowanych czasowo przez Niemców, był znaczny spadek produkcji rolnej w skali ogólnokrajowej.

Nowy plan pięcioletni przewiduje w dziedzinie gospodarki rolnej odbudowę i stworzenie warunków dla dalszego rozwoju rolnictwa i hodowli na tych terenach. Jednocześnie w ramach planu pięcioletniego przewiduje się w całym kraju podwyższenie produkcji rolnej do takich rozmiarów, by przewyższyć poziom przedwojennej produkcji ZSRR.

Ustawa o planie pięcioletnim podkreśla, że naczelnym zadaniem gospodarki rolnej w 1946 — 1950 r. jest mobilizacja maksimum wysiłku dla osiągnięcia jak najwyższej wydajności i jak najlepszych zbiorów. Ustawa wskazuje drogę do tego celu: stosowanie nowoczesnych środków uprawy z uwzględnieniem najnowszych zdobyczy naukowych.

W okresie nowej pięcioletki ogólna produkcja rolnicza powinna powiększyć się o 27% w porównaniu z 1940 r. i przewyższyć 2,3 raza poziom z 1939 r.

Ma tu szczególnie doniosłe znaczenie produkcja wysokogatunkowego ziarna na zasiewy; jest ona niezbędnym warunkiem dźwignięcia całej gospodarki. Trzeba w pierwszym rzędzie zapewnić sobie znaczne zwiększenie produkcji pszenicy, ryżu i roślin strączkowych dla lepszego niż dotąd zaopatrzenia ludności i zamagazynowania niezbędnych państwowych rezerw żywnościowych.

Przy końcu nowej pięcioletki produkcja zbóż powinna osiągnąć następujące rozmiary:

lata	1913	1940	1950
Obszar zasiewu	94,4	110,4	105,7
Wydajność (w centnarach z 1 ha)	8,5	10,7	12,7
Ogólna produkcja zboża (w milionach ton)	80,1	118,8	1127,1

*) Tłumaczenie z języka rosyjskiego.

Jak widzimy obszar zasiewu powiększy się o 12% w porównaniu z 1913 r. i będzie nieco mniejszy niż w r. 1940.

Jednocześnie dzięki racjonalnemu stosowaniu płodozmianu ogólna produkcja zboża w 1950 roku będzie o 7% wyższa niż w 1940 roku i prawie o 60% wyższa niż w 1913 r., przy czym powiększy się znacznie obszar uprawy pszenicy, ryżu i roślin strączkowych.

Zwiększy się również produkcja bawełny, jak to widać z następujących cyfr:

	lata	1913	1940	1950
Wydajność (cetnarów z 1 ha)		10,8	12,0	18,4
Ogólna produkcja w milionach ton		0,7	2,5	3,1

Tak znaczny wzrost produkcji bawełny pozwoli Związkowi Radzieckiemu jeszcze bardziej wzmocnić jego niezależność gospodarczą.

W Republikach Środkowej Azji, w Republikach Zakaukaskich i przede wszystkim w Uzbekkiej i Azerbejdżańskiej Socjalist. Republice — głównych ośrodkach produkcji bawełny — przewiduje się znaczne zwiększenie obszaru uprawy dzięki zakrojonym na wielką skalę robotom melioracyjnym.

Produkcja buraków cukrowych w 1950 r. osiągnie cyfrę 2 i pół raza wyższą niż w r. 1913 i o wiele wyższą niż w roku 1940. Oto co mówią cyfry:

	lata	1913	1940	1950
Wydajność (cetnarów z 1 ha)		168	171	190
Ogólna produkcja w milionach ton		10,9	21,0	26,0

Plan pięcioletni kładzie szczególny nacisk na uprawę roślin oleistych, jak np. słonecznik. Produkcja słoneczników wzrośnie z 0,7 miliona ton w r. 1913 do 3,3 mil. ton w 1940 r. i do 3,7 mil. ton w 1950 r.

Jednocześnie dzięki zwiększeniu obszaru uprawy wysokich gatunków słonecznika w jeszcze większym stopniu wzrośnie produkcja oleju słonecznikowego. Uprawa konopi osiągnie w 1950 r. poziom przedwojenny, a produkcja włókna lnianego wyniesie 0,8 mil. ton (0,3 mil. ton w 1913 r.) W okresie nowej pięcioletki wydatnie wzrośnie uprawa kauczuku naturalnego dzięki znacznemu powiększeniu obszaru zasiewów kauczukowca oraz dzięki wzrostowi wydajności.

Charakterystyczne są cyfry dotyczące urodzaju kartofli (w milionach ton)

1913 r. —	23,3
1940 —	84,5
1950 —	115,3

W pobliżu miast przewiduje się znaczną rozbudowę gospodarki inspektowo-cieplarnianej, mającej na celu zaopatrzenie ludności miast i ośrodków przemysłowych we wczesne owoce i jarzyny.

Jednocześnie będzie się rozwijać indywidualne i kolektywne ogrodnictwo wśród robotników i funkcjonariuszy, jak również hodowla bydła, drobiu i pszczelarstwo.

Wiele uwagi poświęca nowy plan pięcioletni sprawie zakładania ogrodów owocowych, winnic, plantacji cytrusowych*) i herbacianych. Specjalnie doniosłe znaczenie posiada

*) Cytrusy — pomarańcze, cytryny, mandarynki itp. (Przyp. red.)

opracowany w ramach pięcioletki plan dotyczący rozwoju hodowli. Jest dziś bardzo pilną sprawą odbudowa kolektywnej hodowli żywca, jak również sprawa jak najszybszego wzrostu pogłowia zwierząt w tych kolchozach, które znajdowały się pod okupacją.

Plan pięcioletni stawia zadanie doprowadzenia gospodarki hodowlanej do takiego poziomu, by pogłowie bydła osiągnęło i przekroczyło liczbę przedwojenną.

Pięcioletni plan odbudowy i rozwoju gospodarstwa narodowego przewiduje osiągnięcie takiego poziomu produkcji rolnej, który by zaspokoił podstawowe potrzeby spożycia całej ludności.

Pięcioletka stawia nie tylko wielkie zadania do wypełnienia wszystkim gałęziom gospodarki rolnej, ale i określa środki ich realizacji:

1. udoskonalenie metod uprawy, racjonalne wykorzystanie pastwisk, właściwe stosowanie płodozmianu;

2. dalszy wzrost mechanizacji gospodarki rolnej;

3. wzmocnienie kolchozów, stacji traktorowych i sowchozów pod względem gospodarczym i organizacyjnym, zapewnienie warunków dla wzrostu ich zamożności.

Jednym z najważniejszych zadań stalinowskiej pięcioletki jest niewątpliwie osiągnięcie większego urodzaju (wydajności z hektara), by uzyskać jak najlepsze zbiory. W tej dziedzinie plan pięcioletni przewiduje osiągnięcie wydajności z zasianego hektara:

zboża	do 12	centnarów	z 1 ha.
buraków cukrowych	„ 190	„	„
włókna lnianego	„ 4	„	„
surowca bawełny	„ 18,4	„	„

Jeśli wziąć pod uwagę wskaźniki wydajności osiągnięte przez przodujące kolchozy i sowchozy, to może się wydawać, że przewidywane cyfry wydajności nie są wcale wysokie. Ale należy pamiętać, że głównym zadaniem nowego planu w dziedzinie rolnictwa jest osiągnięcie w skali masowej we wszystkich sowchozach i kolchozach — takich rezultatów, jakie dotychczas były jedynie udziałem nielicznych przodujących, wzorowych gospodarstw rolnych.

By osiągnąć ogólną większą wydajność z hektara, plan przewiduje doprowadzenie do jak najkorzystniejszego stanu wszystkich terenów, które mogą być wyzyskane pod uprawę.

W tym celu zostaną zastosowane najnowsze zdobycze agronomii z uwzględnieniem specjalnych warunków lokalnych każdego okręgu. Doświadczenie agronomii mówi, że po to, by uzyskać wysoki urodzaj, dobre zbiory z całego obszaru zasiewu, należy stosować 1. racjonalny płodozmian, 2. głęboką orkę, 3. siew za pomocą najwyższych gatunków nasion selekcyjnych, przystosowanych do miejscowych warunków, 4. jak największą staranność przy zasiewach, 5. właściwe użycie nawozów, 6. sadzenie szkółek leśnych, ochraniających pola, 7. budowę tam i zbiorników wody w celu racjonalnego nawodnienia gleby. Do roku 1950 wszystkie kolchozy i sowchozy powinny już wprowadzić racjonalny płodozmian z uwzględnieniem roślin trawiastych, szeroko stosując zasiew mieszaniny traw (zwłaszcza koniczyny i lucerny) i roślin wieloletnich, wyzyskując do tego celu również odpowiednio przygotowane ugory.

Jednocześnie z wprowadzeniem racjonalnego systemu stosowania płodozmianu trzeba poświęcić wiele trudu, by nauczyć się stosować we właściwy sposób nową metodę.

Ogólny obszar skoszonej trawy powinien w roku 1950 wzrosnąć do 15,3 mil. hektarów (7,2 mil. ha w 1940 r.).

Kultury pastewne (a przede wszystkim kultury roślin wieloletnich) w warunkach stosowania dziewięciopolowego systemu płodozmianu będą zajmować w 1950 r. 1,25% całego obszaru uprawy. W 1950 r. zostanie zaorane pod siew najcenniejszych kultur ponad 7 mil. hektarów wieloletnich roślin trawiastych, co pociągnie za sobą znaczne podwyższenie urodzaju. Oznacza to, że szerokie stosowanie zasiewu traw, już w czasie obecnej pięcioletki, okaże się potężnym czynnikiem zwiększenia wydajności gleby.

Należy podkreślić, że wprowadzenie w całym kraju systemu racjonalnego płodozmianu wymaga wielkiego wysiłku ze strony władz radzieckich i organizacji partyjnych. Przecież taki albo inny system płodozmianu wprowadza się w kolchozach i sowchozach nie na jeden rok, lecz na dłuższy przeciąg czasu, a wprowadzenie w życie takich udoskonaleń wymaga wykwalifikowanego kierownictwa. Stosować racjonalny system płodozmianu trzeba jednocześnie z wprowadzeniem innych udoskonaleń w dziedzinie techniki uprawy, jak np. właściwy sposób przygotowania gleby, właściwe stosowanie naturalnych i sztucznych nawozów, sadzenie szkółek leśnych chroniących pola, budowa sadzawek i zbiorników wody w celu właściwego nawodnienia gleby. Tylko w tych warunkach stosowanie płodozmianu przyniesie już w pierwszych latach jak najlepsze wyniki. Stacja doświadczalna w Kamiennym Stepie, niedawno przekształcona uchwałą Rady Ministrów ZSRR w Instytut Rolniczy Pasa Środkowego Czarnoziemu imienia prof. Dokuczajewa, osiągnęła doskonałe rezultaty dzięki zastosowaniu wszystkich nowoczesnych metod w rolnictwie (siew traw, racjonalna uprawa gleby, stosowanie nawozów sztucznych, ochronne szkółki leśne). W ciągu ostatnich 5 — 7 lat urodzaj zbóż zwiększył się prawie dwukrotnie.

Rezultatem wprowadzenia systemu płodozmianu na zachodzie Europy była całkowita prawie likwidacja ugorów. Na stepowych terenach rosyjskiego czarnoziemu nie tylko nie może być mowy o likwidacji ugorów, przeciwnie jest rzeczą konieczną rozszerzenie ich obszaru. Jest to bowiem najskuteczniejszy sposób oczyszczenia gleby z chwastów. Tak np. w pierwszych latach nowej pięcioletki około 3/4 ziemi ornej zostanie zamienione w ugor. Stosowanie tej metody, jako przygotowania gleby do siewu kultur ozimych, posiada bardzo doniosłe znaczenie przede wszystkim w czarnoziemnych okręgach europejskich Związku Radzieckiego, natomiast znacznie mniej jest potrzebne na terenach zauralskich. Dlatego też na terenach Azji, w Kraju Syberyjskim, a także w północnych okręgach Kazachstanu nowy plan pięcioletni przewiduje stosowanie czystych ugorów przede wszystkim jako przygotowanie gleby do siewu kultur jarych, w pierwszym rzędzie jarej pszenicy. Metoda ta zwłaszcza przy uprawie jarej pszenicy daje tu doskonałe rezultaty, pozwalając na wydatne oczyszczenie pola z chwastów i zapewniając wysoką wydajność gleby. We wszystkich okręgach rolniczych doskonałym systemem zwiększenia wydajności gleby jest stosowanie orki zimowej.

Właściwe stosowanie wyżej wymienionych metod i staranna uprawa gleby stwarzają wybitnie korzystne warunki dla zwiększenia urodzaju, pozwalają stosować dalsze udoskonalenia metod, jak np. przejście na siew z użyciem wyłącznie najlepszych gatunków nasion, stosowanie nowych wysokoselekcyjnych gatunków i siew tych roślin, które najlepiej odpowiadają warunkom lokalnym. Należy tu wspomnieć, że Stacje Selekcyjne ZSRR zdołały już wyhodować i zastosować cały szereg niezwykle cennych gatunków ozimej pszenicy, której zbiór z hektara wynosi 5—7 cetnarów więcej niż przeciętnie

z dotychczas uprawianych gatunków. Wprowadzono również nowe gatunki słoneczników, które zawierają półtora i dwa razy więcej oleju niż dotychczasowe gatunki itd.

Możemy zresztą być pewni, że nauka nie stoi i nie będzie stała w miejscu i że przyniesie w tej dziedzinie wiele nowych osiągnięć.

Wielkie również znaczenie będzie miało przewidziane w planie pięcioletnim wzmoczone stosowanie nawozów naturalnych i sztucznych, a także i mechanizacja samego procesu nawożenia (siewnik do rozrzucania nawozu). Ogólna ilość nawozów zwierzęcych, stosowanych w rolnictwie, wyniesie w 1950 r. nie mniej niż 300 tys. ton, co stanowi równowartość 1,5 miliona ton azotu, 750 tys. ton soli fosforowych i 1,5 mil. ton tlenu potasu.

Ogólna ilość nawozów mineralnych wyniesie w r. 1950 — 5,5 mil. ton (3,1 mil. ton w r. 1940 i 188 tys. ton w r. 1913).

Jeden hektar uprawy krzewu bawełnianego (surowca bawełny) otrzyma np. 200 kg nawozów, czyli dwa razy więcej niż w 1940. Kultury buraków cukrowych, lnu, konopi, plantacje cytrusowe i herbaciane otrzymają taką ilość nawozów, jaka jest potrzebna do uzyskania najlepszych zbiorów.

W ten sposób zyskuje się jeszcze jeden potężny środek do podniesienia kultury rolnej i wzrostu wydajności z hektara.

Plan pięcioletni poświęca wiele uwagi sprawie sadzenia ochronnych szkółek leśnych i budowy nowych zbiorników wody w kolchozach. Ta praca wyda rezultaty w ostatnim okresie pięcioletki, ale jej celem zasadniczym jest stworzenie warunków dla dalszego rozwoju kultury rolnej i zwiększenia plonów.

Wszystko to razem zapewnia całkowitą osiągalność zadań nowej stalinowskiej pięcioletki i stwarza pomyślnie warunki dla dalszego zwiększenia wydajności gleby — tego zasadniczego środka produkcji rolniczej.

**
*

Jednym z zasadniczych warunków osiągnięcia wyższego poziomu kultury rolnej jest mechanizacja rolnictwa. Stosowanie traktorów i najnowszych maszyn rolniczych w kolchozach i sowchozach nie tylko oszczędza wiele ludzkiej pracy i kompensuje istniejący brak zwierzęcej siły pociągowej, ale jednocześnie pozwala stworzyć takie warunki pracy na roli, jakie są niemożliwe przy stosowaniu ludzkiej pracy i zwierzęcej siły pociągowej. Dlatego też nowy plan pięcioletni przypisuje ogromne znaczenie dalszemu wzrostowi mechanizacji produkcji rolnej.

W okresie nowej pięcioletki ilość traktorów osiągnie cyfrę 720 tys. Jest to znacznie większa ilość niż przed wojną. Jednocześnie w kolchozach, sowchozach i indywidualnych gospodarstwach chłopskich wzrośnie znacznie pogłowie koni, wołów i innych zwierząt pociągowych.

Praca traktorów w porównaniu z rokiem 1940 wzrośnie o 37%. Daje to możliwość zastosowania w 90% orki zwykłej traktorami, orki zimowej w 80%, siewu zbóż w 70%, zbioru zboża kombajnami w 60%.

Plan pięcioletni przewiduje również wzmoczoną dostawę różnych maszyn rolniczych. W okresie drugiej stalinowskiej pięcioletki, gdy przemysł maszyn rolniczych rozwijał się bardzo szybko i przemysł radziecki w tej dziedzinie wysunął się na pierwsze miejsce w Europie — rolnictwo radzieckie otrzymało maszyn na ogólną sumę 1,9 miliarda rubli, przy stosunkowo wysokich cenach 1926 — 27 r. W ramach obecnej pięcioletki rolnictwo otrzyma maszyn na ogólną sumę 4,5 miliarda rubli, czyli prawie 2,4 więcej niż w okresie drugiej pięcioletki.

Jednocześnie z wzrostem ilościowym następuje i udoskonalenie techniczne maszyn. Ustawa planu pięcioletniego przewiduje konstrukcję i stosowanie w rolnictwie nowych udoskonalonych traktorów, maszyn do uprawy gleby, do siewu, do zbiorów, zmotoryzowanych kombajnów, z urządzeniem pozwalającym na oddzielenie ziarna od słomy i zbierających je osobno, kombajnów do zbierania bawełny, maszyn do uprawy i zbiorów kultur owocowych itd.

Wszystko to świadczy o wielkim kroku naprzód w dziedzinie przekształcenia pracy na roli w gałąź wytwórczości przemysłowej.

W ostatnich latach w całym szeregu okręgów (Świerdłowski, Czelabiński, Mołotowski i inne) osiągnięto poważne sukcesy w dziedzinie elektryfikacji rolnictwa. Nowa pięcioletka stawia sobie za zadanie dalszą elektryfikację kolchozów, sowchozów i stacji maszynowych, budowę małych elektrowni wiejskich z wykorzystaniem energii wodnej, a tam, gdzie nie ma ku temu warunków — przy użyciu gazogeneratorów i lokomobil jako źródła energii.

Oznaczać to będzie nowy wielki krok naprzód w dziedzinie kultury rolnej i kultury w ogólności.

Innym, również doniosłym warunkiem racjonalnej organizacji rolnictwa, jest rozwój hodowli zwierząt. Hodowla przynosi bowiem tak ważne produkty, jak mięso, mleko, tłuszcz, wełnę itp. i dlatego posiada ogromne znaczenie dla całego gospodarstwa narodowego.

Toteż plan pięcioletni stawia sobie poważne zadania w tej dziedzinie. Chodzi tu nie tylko o zwiększenie pogłowia, ale o zwiększenie produktywności, powiększenie ogólnej produkcji gospodarki hodowlanej. W końcu pięcioletki każda krowa powinna średnio dać o 67% więcej mleka, strzyżenie wełny winno zwiększyć się o 30% w porównaniu z 1945 r. W tym celu trzeba organizować na wielką skalę hodowlę bydła rogatego i zakładać wielkie stadniny na terenach stepowych, rozwijając hodowlę owiec, zwłaszcza na północnym Kaukazie w Ukrainie i Kazachskiej SSR, Zachodniej Syberii i w Kraju Nadwołżańskim, trzeba również w szybszym niż dotąd tempie rozwijać hodowlę trzody chlewnej w kolchozach i sowchozach. Również indywidualne gospodarstwa kolchoźników powinny w większym niż dotychczas stopniu zająć się hodowlą nierogacizny.

Ważną tu będzie rzeczą organizowanie hodowli bydła rasowego, hodowli rasowych reproduktorów i państwowych hodowli zarodowych, zwiększenie płodności bydła poprzez dobór najproduktywniejszych zwierząt. W ten sposób w końcu pięcioletki pogłowie rasowego bydła w kolchozach i sowchozach powinno się bardzo znacznie zwiększyć.

Specjalną uwagę trzeba będzie poświęcić sprawie pokarmu dla zwierząt, zaopatrzenia ich w dobre siano, ziemiopłody, kiszonki i inną paszę. W tym celu w gospodarce rolnej trzeba uwzględnić produkcję paszy, dotyczy to szczególnie tych kolchozów i sowchozów, gdzie rozwinęła się hodowla zwierząt, oraz kolchozów w okręgach, gdzie znajdują się państwowe hodowle zarodowe.

Wiele jest jeszcze do zrobienia, aby osiągnąć gruntowne polepszenie systemu wyżywienia bydła. Należy tu m. in. pokreślić konieczność budowy studzien i gromadzenia zapasu paszy na zimę.

Uwzględnienie tych wszystkich spraw pozwoli stworzyć podstawy umożliwiające ludności lepsze wyżywienie, a to jest głównym celem radzieckiego rolnictwa.

W. Dimitriew

Recenzje

Lubelskie w dobie Sejmu Czteroletniego i Targowicy ¹⁾

Wśród powodzi popularyzacji na tematy historyczne, robionych pośpiesznie na zamówienie, a więc przeważnie nad wyraz lichych, przeszła niespostrzeżenie jedna z niewielu prac źródłowych, oparta na nader obfitym i bardzo sumiennie wyzyskanym materiale archiwalnym, czerpanym z rewindykowanego z Rosji „Archiwum Królestwa Polskiego“ oraz części „Metryki Litewskiej“, a dalej z Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie, z Archiwum Skarbowego, z bibliotek Krasieńskich, Zamojskich i Uniwersytetu Warszawskiego, z lubelskiego Archiwum Państwowego i Biblioteki im. H. Łopacińskiego, wreszcie z Biblioteki Poturzyckiej we Lwowie i Klasztoru OO. Kapucynów w Krakowie. Znalazły się w tych archiwach i bibliotekach akta Komisji Policji, Komisji Przychodów i Skarbu, Komisji Wojskowej, protokoły Rady Nieustającej, Komisji Boni Ordinis Lubelskiej, księgi miejskie, sądowe, wójtowsko-lawnicze, lustracje starostw, protokoły podatków, raporty wojskowe, protokoły Konfederacji Targowickiej, Trybunału Lubelskiego, akta Komisji Edukacji Narodowej itd.

Cały ten bezmiar materiału dr. Kermisz sumiennie przejrzał i wyzyskał do swej pracy doktorskiej, wykonanej pod kierunkiem prof. Tokarza. Po monografiach prof. Tokarza, poświęconych Warszawie w tej dobie, ²⁾ po studium dra Tadeusza Kupczyńskiego o Krakowie insurekcyjnym ³⁾, otrzymaliśmy obecnie pracę, poświęco-

ną Lubelskiemu w dobie Sejmu Wielkiego i Targowicy, stanowiącą nowy, cenny wkład do badań regionalnych. Wyszła pierwsza jej część (str. 240), z czego 13 arkuszy wydrukowano przed wojną, a dwa po wojnie. Natomiast druga część tego dużego tomu, obejmująca dzieje Lubelskiego w Insurekcji Kościuszkowskiej, uległa zniszczeniu podczas powstania warszawskiego. To, co wyszło, ma tym większy walor, że niemal cały materiał, na którym książka się opiera, uległ zagładzie. Praca została wydana sumptem Lubelskiego Zarządu Miejskiego.

Sejmik przedsejmowy województwa lubelskiego w 1788 r. poprzedzały luźne zjazdy ziemian w Puławach. Książę Adam Kazimierz Czartoryski, generał ziem podolskich, postawił swoją kandydaturę na posła sejmowego, jako rzecznik „partii pruskiej“, a przeciwnik polityki rosyjskiej, na Podole zaś wyprawił jako kandydata syna swego, 18-letniego ks. Adama Jerzego. W celu wzmocnienia prestiżu stronnictwa ściągnięto do Lublina 2.000 szlachty lukowskiej pod przewodem Dłuskiego. Byli to ludzie oddani całkowicie Czartoryskim.

Sejmik odbył się w kościele Dominikanów. Tłumy szlacheckie zalały korytarze, dziedzińce i ulice przyległe. Stronnictwo puławskie odniosło sukces zupełny. Wybrano samych Czartoryszczyków: ks. Adama, Stanisława Potockiego, starostę lukowskiego Dłuskiego, podsędką lukowskiego Rościszewskiego, ks. Eustachego Sanguszkę i stolnika Wybranowskiego.

Instrukcja wojewódzka, ułożona przez partię ks. Adama, zawarła program polityczny, w dużej mierze potem przez Sejm wykonany, a więc aukcję wojska i podniesienie podatków, utworzenie milicji prowincjonalnej i zniesienie Rady Nieustającej, zachowanie stroju polskiego, zakaz noszenia orderów, utrzymanie Sejmu do końca wojny rosyjsko-tureckiej i odwo-

¹⁾ Dr. Józef Kermisz, Lublin i Lubelskie w ostatnich latach Rzeczypospolitej (1788—1794). Lublin 1939. Wyd. Zarz. Miejsk. Lublin.

²⁾ W. Tokarz, Warszawa przed wybuchem powstania 17.IV. 1794 (Kraków 1911), tegoż — Warszawa za czasów Rady Zastępczej Tymczasowej („Bibl. Warsz.“ 1911); tegoż, Insurekcja warszawska 17 — 18 kwietnia 1794 (Lwów 1934).

³⁾ T. Kupczyński, Kraków w powstaniu kościuskowskim (Kraków 1912).

łanie posłów zagranicznych, cudzoziemców, a zastąpienie ich przez krajowców.

Aukcja wojska do 100.000 wymagała podniesienia podatków, toteż uchwalono dobrowolną ofiarę na potrzeby Ojczyzny, drugie podymne, z tym że dopłata obowiązuje dwory a nie chłopów, połowę pogłównego od Żydów, dwie kwarty od starostw, wreszcie 10-procentowy podatek dochodowy od dochodów stałych i dóbr ziemskich a 20% z dóbr duchownych. Tak tedy folwarki szlacheckie, które stałe wymykały się kontroli skarbowej, zostały po raz pierwszy oszacowane. Wykonanie tego dzieła Sejm powierzył wyznaczonym komisarzom, którzy mieli odebrać przysięgę od dziedziców i ekonomów co do rzetelności ich zeznań. Wreszcie Sejm nakazał powtórne oszacowanie dochodów stałych na zasadzie transakcyj a nie deklaracyj.

Na czele komisarzy województwa lubelskiego stał Tomasz Dłuski. Ogółem podatek 10 i 20 grosza z ziemi lubelskiej obliczyli komisarze na 187.356 zł., w czym 149.119 zł. z dóbr dziedzicznych a 38.237 zł. z duchownych, poza tym z powiatu urzędowskiego podatek ten wyniósł 79.319 zł.¹⁾

Komisarze dokonali też lustracji starostw. Prowent starostwa urzędowskiego oszacowali na 28.830 zł., a po odciążeniu 860 zł. na dziesięcinę kościelną, dwie kwarty oznaczyli na 14.015 zł.

24 listopada 1789 r. uchwalił Sejm ustawę o komisjach cywilno-wojskowych. W skład komisji wchodziło 16 ziemian, wybieranych na Sejmikach, 3 duchownych i jeden komisarz wojskowy.

Pracowali oni w kadencjach, po czterech, bezpłatnie. Praca w komisji była niezbędnym wstępem do wszystkich urzędów. Komisjom powierzono kwaterowanie oddziałów, rekrutację, zapobieganie dezercji, urządzenie magazynów dla wojska, sądenie spraw dotyczących niekarność żołnierskiej i przestępstw przeciwko cywilom, sporządzanie spisów ludności, utrzymywanie w porządku rzek, mostów, grobli, traktoów, nadzorowanie poboru podatków, zapobieganie chorobom i głodowi, ochronę towarów kupieckich, urządzenie szkół parafialnych, dbanie, aby każda wieś charała bakałarza „dla oświecenia ciemnej prostoty poddaństwa“, dozór nad szpitalami, kontrolę miar i wag.

Do komisji cywilno-wojskowej lubelskiej wybrano na sejmiku lubelskim w 1790 r. 16 ziemian z wojewodą Hryniewieckim, podkomorzym Dłuskim i sędzią Koźmiał-

nem na czele, 4 duchownych z biskupem-sufraganem Lewczowskim i reprezentantem wojskowości, podporucznikiem Mikułowskim. Pierwsze posiedzenie Komisji odbyło się 22.II. 1790 na Wielkim Ratuszu w przytomności licznie zgromadzonych obywateli. Spisano wszystkie domy i dopilnowano, aby były oznaczone numerami porządkowymi. Komisja wydała uniwersał, zalecający chwytnie włóczęgów i ludzi „luźnych“. Od szkół parafialnych domagano się sprawozdań o „wielości uczniów wyuczonych pisać, czytać i rachunków“. Nakazano też modły dziękczynne za „uratowanie od niedawno wszczętych przez poddaństwo buntów“.

Lublin cierpiał w tym czasie od „włóczęgów i hultajów“, którzy z okolic przybywali do miasta. Dla ułatwienia sobie kradzieży, wywoływali oni pożary w mieście. Pożar, wywołany przez nich w marcu 1790 r. na Krakowskim Przedmieściu, kilkanaście domów strawił. Posyłano strażę, rewidowano szynki, drogi i ścieżki, schwytyanych ludzi podejrzanych pakowano do turmy i zmuszano do robót publicznych. Niepoprawnym aplikowano 50 plag publicznych co tydzień, które wymierzał kat lub jego pomocnik — hycel, pod szubienicą. Wydatną pomoc w walce z przestępczością okazał gen. Tadeusz Kościuszko, dowódca grupy wojsk między Bugiem a Wisłą. Mieszkał on w domu stryja swego Jana Nepomucena Kościuszki, starosty krzemienieckiego, dziedzica wsi Sławinka, liczącej 17 domostw i przynoszącej 900 zł. intraty.

Na jego wniosek wprowadzono na rogatkach lubelskich szlabany, przy których legitymowano przechodniów.

Celem zbadania opieki lekarskiej Komisja nakazała zgłosić się 11.III 1791 wszystkim praktykującym lekarzom. Okazało się, że z 8 wolno-praktykujących tylko trzech miało odpowiednie dyplomy. Poddano również badaniu aptekarzy i zabroniono im leczenia chorych. Drogi publiczne poprawiono. Oddziałom przechodzącym dostarczano kwater, żywności i paszy.

Hultajstwo w Lublinie wytopiono, ale na prowincji nie ustawała „robota“. Dawali się szczególnie we znaki Cyganie, którzy latem 1790 r. gnieździli się w lasach koło Parczewa i Ostrowa. Rozbijali też i grabili w lasach lubartowskich, siedrzytowskich i drohiskich.

Kłeską społeczną były napady wilków na ludność włościańską. 9.VII 1790 r. zostali pożarci przez stado wilków chłopiec z Jastkowa i dziewczyna z Majdanu Krasieńskiego.

¹⁾ Autonomicznymi jednostkami przy ziemi lubelskiej były powiat urzędowski i ziemia sętycka.

go, oboje po 14 lat liczący. Urządzono na drapieżników wielkie obławy, przy czym Kościuszko do pomocy obywatelom ludzi swych przykomenderowywał.

Wiele trudu kosztowała reperacja dróg, mostów i grobli. Od magistratu miasta Lublina Komisja żądała, aby bramy kamienne były oświetlane latarniami. W maju 1791 r. zajmowała się Komisja rozszerzaniem gościńców o 10 łokci i sypaniem grobli.

Kościuszko co dzień ćwiczył oddziały swoje na przedmieściu Piaski, wojsko swe trzymał w wielkiej karności, dbając o jego utrzymanie i wyżywienie.

Pisarz polny koronny, Kazimierz Rzewuski, przeprowadził manewry między Lublinem a Dziesiątą, Kościuszko bronił pozycji i odparł ataki. Był bohaterem dnia i inspektor Rzewuski darzył go gorącymi oklaskami, a publiczność wiewatowała na jego cześć. Rychło jednak Kościuszkę przeniesiono na Wołyń.

Najglówniejszą czynnością Komisji był pobór rekruta kantonowego, po 1 rekrucie z 50 dymów królewskich i duchownych oraz po jednym ze 100 dymów dóbr i miast dziedzicznych. Każdy żołnierz, który wysłużył lat 12, miał zapewnioną wolność na wieczne czasy. W takiej proporcji można było zgromadzić ledwie 8.000 rekrutów, a więc podnieść liczbę piechoty z 14.000 do 22.000. Pobór odłożono do czasu sporządzenia mapy województwa, co nastąpiło dopiero pod koniec września. Lubelszczyzna miała w rezultacie dostarczyć 299 kantonistów oraz 16.320 zł. od powiatów granicznych, gdzie dozwolone było uwolnić się od poboru opłatą pieniężną, w obawie dezercji. Rekrutacja na ogół szła optymalnie. Niektóre dwory, jak hetmana w. kor. Branickiego i wojewody mazowieckiego Antoniego Małachowskiego zwlekały z oddaniem rekruta. Natomiast do wyjątków dodatnich należała ordynacja Zamojska.

Komisja lubelska nie potrafiła przełamać ciasnego egoizmu stanowego. Kurczowo trzymała się prawa, aby tury obywatelskie nie chodziły dalej niż 3 mile w obawie „uciemiężenia obywatelów”.

W 1791 r. założone zostały magazyny żywnościowe, do których składano zboże ze zsypek. Było wówczas w ziemi Lubelskiej 26.507 dymów, w czym 960 dworskich. Każdy dym miał dać po 2 garnce żyta i po 4 owsa, ogółem tedy miano zebrać 1.656 korcy żyta i 3.316 korcy owsa. Dziełem Komisji była szczegółowa taryfa dymów z dóbr dziedzicznych, królewskich i duchownych. Według lustracji dymów

dziedzicznych w ziemi lubelskiej i powiecie urzędowskim było 25.664 (z których rekrutów należało się 256), dymów królewskich 5.696 (rekrutów 113) i duchownych 2.417 (kantonistów 48), czyli że ogólną ilość kantonistów należało podnieść do 417.

Szpitali ogółem w ziemi lubelskiej było 18. Wszystkie one przysłały dokładne sprawozdania. W październiku 1791 wybuchł w nocy pożar w Lubartowie, który pochłonął połowę domów żydowskich.

Z inicjatywą podźwignięcia miast w czasie Sejmu Wielkiego wystąpiła stolica. Staraniem Magistratu Starej Warszawy znakomity prawnik, Michał Swiniarski, wydał broszurę, w której domagał się przywrócenia miastom dawnych praw, a wówczas na nowo zakwintował handel i rzemiosła, pomnożą się „dochody skarbowe i wzmocnią siły kraju”.

Broszurę przedłożył Magistrat warszawski Sejmowi w imieniu miast Rzeczypospolitej oraz rozesłał do najważniejszych miast celem przygotowania zorganizowanej akcji. Duszą ruchu był Jan Dekert, prezydent Starej Warszawy. Pozostawał on w ścisłym kontakcie w marszałkiem sejmowym Małachowskim i księdzem referendarzem litewskim Hugonem Kollątajem. Autor jednak nie docenia olbrzymiej gorączkowej działalności Kollątaja, który był faktyczną duszą akcji, jej głównym inspiratorem i organizatorem. Przy badaniu akt magistrackich z tych czasów, historyk zdumiewa się rozmiarami, zasięgiem i intensywnością tej akcji. Wszędzie widać jego rękę, wszędzie napotyka my na jego listy, oddziaływanie, wpływy.

Dekert rozwinął ożywioną działalność publicystyczną, w której brali udział znakomici prawnicy Swiniarski, Franciszek Bars, późniejszy wysłannik Kościuszki do rewolucyjnego Paryża, Antoni Winc, Mianowski, Adam Mędrzecki a wreszcie, pozostający na żoździe Starej Warszawy, utalentowany publicysta Jan Baudouin de Courtenay, który w szeregu broszur dowodził, że wystawienie armii stuzysięcznej jest niemożliwe bez rozwiązania sprawy mieszczańskiej. Głosy te były przeznaczone zarówno dla szlachty i stanów sejmujących, jak i dla miast. Kiedy już prowincja była odpowiednio nagrzana, 27 października 1789 r. Magistrat Starej Warszawy wystosował zaproszenie do miast królewskich na zjazd stołeczny w dniu 24 listopada.

Był to krok rewolucyjny, bo ustawy polskie na takie sejmy nie pozwalały.

Na wezwanie to odbyły się w Lublinie 7 sierpnia 1789 r. obrady trzech porządków miasta, w których przewodniczyli — po śmierci prezydenta Makarewicza — wiceprezydent Jan Steiger. Uchwalono wysłać do Warszawy na zjazd radcę Michała Lamprechta i ławnika Stanisława Trojańskiego. W rzeczywistości Lublin reprezentowali w sławetnej czarnej procesji nie wyżej wymienieni delegaci, lecz były prezydent Jakub Lewandowski i ławnik Maciej Greber. Stawili się do stolicy również przedstawiciele innych miast królewskich z ziemi lubelskiej: Kazimierza, Urzędowa, Wąwelnicy, Parczewa i Ostrowa.

Dokonany na ratuszu Starej Warszawy dnia 24 listopada 1789 r. wiekopomny akt zjednoczenia miast, wzorowany na podobnych związkach szlacheckich konfederacji, powoływał się na „prawo natury... prawo człowieka“. Po podpisaniu memoriału z żądaniami zjazdu czytany był akt zjednoczenia miast, po czym 2 grudnia odbyła się „czarna procesja“.

Sprawa miejska, która weszła na porządek dzienny obrad sejmowych w połowie grudnia 1789 r., napotkała na dwie trudności ze strony posłów konserwatywnych, działających pod wpływem posta pruskiego Lucchesiniego, który obawiał się, że w razie równouprawnienia mieszczan, ludność przemysłowa z miast pruskich znacznie emigrować do Polski.

Dekret 4 października 1790 r. zakończył życie a 18 kwietnia zostały uchwalone: „Zasady do prawa o miastach“, entuzjastycznie przyjęte przez miasta ziemi lubelskiej. Pamiętnikarz Ochocki przesadza, twierdząc, że prezydent Lublina zebrał wtedy 16.000 zł. na potrzeby państwa, a pani Makarewiczowa aż 92.000 złp.

Uroczysto świętowano w tym roku w Lublinie imieniny króla. Kanonada na wiwat, nabożeństwa, obiady, bale, fluminacje wzajemnie się uzupełniały. Na ścianie frontowej ratusza umieszczono napis:

„Niech inni królowie władną od
Wschodu do Zachodu,
Nad sercami król włada wolnego
narodu,
Czego jest oczywistym w Europie
dowodem,
Ze naród trzyma z królem, a król
zaś z narodem.
Wiwat król! Prawodawcze wiwat
z nim stany!
Za prawo i przywilej od nich
miastom dany“.

Entuzjastycznie została przyjęta przez mieszczaństwo Lublina konstytucja 3 ma-

ja. Od rana były armaty, w kolegiacie odbyła się uroczysta msza, na specjalnym posiedzeniu na ratuszu wznoszono okrzyki na cześć króla i stanów sejmujących.

W zgola innym nastroju przyjął wiadomość o uchwaleniu konstytucji 3 maja Lublin szlachecki. Na sejmiku wojewódzkim, trwającym od 16—19 listopada 1790 r., zdecydowane zwycięstwo odnieśli zelanci złotej wolności szlacheckiej, mimo najusilniejszych starań ks. Adama Czartoryskiego. Instrukcja wojewódzka zalecała: niedopuszczanie sukcesji tronu, przywrócenie edukacji jezuickiej, nieprzyopuszczenie Kollataja ani do ministeriów, ani do Senatu. Sejmik zgodził się jedynie na wybór następcy tronu. Spomiędzy 6 wybranych posłów — trzech najteższych, a mianowicie podkomorzy Dłuski, podkomorzy przemyski Starza Marcyjny i starosta dypultryki Suffczyński należeli do stronnictwa zachowawczego, trzej zaś inni — pisarz grodzki łukowski Zaleski, starosta janowski Lemnicki i szambelan Stoiński — do stronnictwa patriotycznego, z których pierwsi dwaj zostali później członkami „Zgromadzenia Przyjaciół Konstytucji Rządowej Fiat Lux“.

W dodatku bawiący w Lublinie stolnik litewski, ks. Józef Czartoryski, poseł wołyński, z chorążym Benedyktem Hullewiczem i wojskim włodzimierskim Pinińskim złożyli protest przeciwko konstytucji „wolność narodową obrażającej“. Protestacja zrobiła silne wrażenie, oddziałała demoralizująco na Trybunał Koronny Lubelski, tak że delegacja dziękczynna do króla wyloniona została w nim tylko większością głosów. Gdy wszystkie komisje cywilno-wojskowe przyjęły konstytucję z uwielbieniem, jedna lubelska, za podszuczeniem komisarzy Janiszewskiego i Kozmiana, tego nie uczyniła. Do protestu Dłuskiego i Suffczyńskiego przyłączył się jeszcze jeden poseł lubelski, Wybranowski. W Lublinie powstała dość silna opozycja z Dłuskim na czele, która na sejmiku wojewódzkim 1792 r. odegrała pewną rolę.

Według konstytucji Sejmu Wielkiego 22 większe miasta tworzą wydziały, wysyłające 22 plenipotentów na Sejm. Mieszczanie zostają uwolnieni od sądów ziemskich, tak trybunalskich jak i wojewódzkich, a przede wszystkim od najbardziej zniechęcających starościńskich. Przyznano również mieszczanom prawo nabywania ziemi i dostępowania dostojęństw kościelnych, piastowania urzędów i szarż, nadto zostawał szlachcicem każdy, kto kupił dobra ziemskie z opłatą co najmniej 200 zł. dziesięt-

go grosza. Poza tym każdy sejm obowiązany był nobilitować 30 mieszczan.

Jedną z najważniejszych zdobyczy było, to, że ustawy o miastach nosiły mozaikę przywilejów poszczególnych miast i miasteczek, stwarzając równe i ogólne prawa miejskie dla wszystkich miast królewskich i jednakowo je urządzając.

Powstały sądy apelacyjne miejskie, złożone z 5 sędziów i tyluż zastępców. Najwyższą instancją „dla wszystkich spraw cywilnych i kryminalnych“ były sądy nadworne w Warszawie i w Wilnie.

Miasta straciły wprawdzie wiele z dawnej autonomii, zostały poddane pod surową kontrolę Komisji Policji, ale konstytucja podniosła mieszczan do roli rzeczywistych obywateli państwa, uprawnionych do wysyłania plenipotentów.

Komisja Policji sprawowała energiczną kontrolę nad miastami, a zwłaszcza nad funduszami miejskimi.

Według nowej konstytucji województwo lubelskie, wybierające dotąd 6 posłów na jednym sejmiku, miało posiadać odtąd trzy sejmiki, wybierające po 2 posłów, a to w Lublinie, Łukowie i Urzędowie.

W województwie działać miały dwie komisje cywilno-wojskowe: w Lublinie i w Łukowie. Rezydujący w Lublinie sąd ziemski przybrał — na mocy konstytucji z 10.II.1792 r. — nazwę sądu ziemiańskiego, składającego się z 10 sędziów, wybieranych na sejmikach deputackich. Sądowi temu oddano wszystkie sprawy w pierwszej instancji (te, które należały uprzednio do ziemstwa, grodu i podkomorzego) dotyczące szlachty i tych, którzy mieli dobra ziemskie, choćby szlachtą nie byli. Sąd ziemiański urzędował przez cały rok.

Z sądów usunięto łacinę i zastąpiono ją językiem ojczystym. Sejmiki deputackie i gospodarskie dla cielekji deputatów, sądów ziemiańskich, sądów granicznych, lustratorów do starostw i pisarzy aktowych, które miały się odbyć 15.VII 1791 r., zostały z inicjatywy warszawskiego klubu „Zgromadzenia Przyjaciół Konstytucji Rządowej Fiat Lux“ odroczone na sesji sejmowej 26.V. 1791 r. do dnia 14.II 1792 r. Stronnicstwo rządowe zyskało na czasie i mogło odpowiednio przygotować prowincję do sejmików, aby poparła Ustawę rządową. Jednocześnie na sejmikach tych miano wypróbować wartość praktyczną prawa o sejmikach, stanowiącego część integralną konstytucji majowej, według którego tylko szlachta posesjonaci mieli dostęp do wotowania, hołsy zaś — nie. Stronnicy konstytucji z królem na czele

rozwinęli intensywną agitację. Przewodzący jej Ignacy i Stanisław Potocy oraz kasztelan lubelski Piotr Potocki, którego autor błędnie nazywa wnukiem hetmana Stefana Czarnieckiego: nie może oczywiście dziada od wnuka przedzielać 130 lat.

Sejmik lubelski odbył się pod łaską Tommasza Suchodolskiego, podczaszego lubelskiego. Aczkolwiek ogromna większość szlachty sejmikowej była za uchwaleniem podziękowania królowi i stanom za konstytucję majową, to jednak garstka malkontentów (Dłuski, podkomorzy przemyski Morski i starosta sieradzki Kossowski), mając wpływ na marszałka sejmikowego, nie dopuściła do uchwały. Dłuski nie był nawet zasadniczym przeciwnikiem reform, nie mógł jednak się pogodzić z sukcesją tronu. W ten sposób cztery tylko sejmiki w kraju (włodzimierski, miełnicki, ciechanowski i lubelski) nie poparły czynnie ustawy, ale gdy na poprzednim sejmiku zastrzeżono się przeciwko powołaniu na stanowisko kierownicze Kołłątaja, obecnie, przeciwnie, wyrażono królowi podziękowanie za powierzenie mu podkanclerstwa.

Wybory municypalne odbyły się w Lublinie w kwietniu. Prezydentem miasta został Niemiec aptekarz, Gretz Gruel, wiceprezydentem również Niemiec, kupiec Krzysztof Korn, ale obadwaj czynni bardzo działacze i lojalni patrioci polscy. Było to jeszcze to pokolenie Niemców niezjednoczonych, liberalnych, z którego się wywodził Lelewel, Pol i Grottinger. Przeszł do Rady Miejskiej sami młodzi, czynni, energiczni. — Makarewicz, Szaguna, Piaszkowski, a z dawnych i starszych tylko ustępujący prezydent Lewandowski. Nowy Magistrat zajął się przygotowaniem uroczystego obchodu rocznicy konstytucji majowej. Miasto było wspaniale udekorowane i iluminowane (myśmy w tym decorum zawsze gustowali). Na wiele z wierszowanych napisów na transparentach Stanisław August nie zasługiwał, ale popularność jego w tej dobie była tak znaczna, że do imienia jego dodawano przydomek: Wielki. Jaki to byłby cudowny król, gdybyśmy mieli inne położenie geograficzne.

Magistrat zabiegał o zachowanie porządku i czystości w mieście, o wzmocnienie bezpieczeństwa ogniowego, o oczyszczanie miasta z błota i śmieci, o czyszczenie rynsztoków, o niedopuszczanie do gier hazardowych w szynkach („trzy karty“ i „pasek“ już wtedy prawdopodobnie istniały), podejmował walkę z nierządami, zalecał gospodyniom opiekę nad ciężarnymi służącymi, czuwał nad obyczajnością, za-

pobiegał buntom, rozbojom i kradzieżom. Innowacją był urząd prokuratora wdów i sierot. Gospodarkę finansową prowadził nowy Magistrat nader oszczędnie. Fabryk jeszcze żadnych ówczesny Lublin nie miał.

Rozstrzygał Magistrat sprawy między rzemieślnikami chrześcijańskimi a żydowskimi, opiekował się rzemiosłem, a szczególnie przybyłymi z zagranicy fachowcami. Znika w stosunku do władz ziemiańskich dotychczasowa uległość, przeciwnie, Magistrat przemawia takim językiem, jakiego od niepamiętnych czasów nie używały władze miejskie. Również miasto żydowskie, przez jurysdykcję starościńską sobie przywłaszczoną, dziś wyłamywało się spod niej.

Dużo kłopotów sprawiała kwestia kwatery dla wojska. W maju—czerwcu trzeba było dać kwatery przechodzącym 1.600 ludziom pułku Wodzieckiego, potem 8-szwadronowym brygadam kawalerii narodowej Biernackiego i Mioduskiego, wreszcie artylerii. Przy wozie amunicyjnym zapaliła się oś, co spowodowało wybuch: 6 osób zginęło, 28 było rannych. Magistrat potrafił nawet zarekwirować na potrzeby wojska pałac Potockich.

Tymczasem 19 maja 1792 r. wybuchła wojna. Trzeba było się zająć zbieraniem wzmoczonych podatków i uzbrojeniem obywateli. Sejmiki przedsejmowe zostały wstrzymane. Sądy wyrokować miały jedynie w sprawach karnych. Kontrolę nad stanem umysłów objęła Komisja Policji.

Odpowiedź Sejmu na deklarację rosyjską, odezwa króla do wojska oraz uniwersał do narodu napisany przez ks. Piramowicza, a poprawiony przez Kollåtaja, wywarły wstrząsające wrażenie. Obywatele kraju wierzyli w tryumf sprawy.

W początku czerwca zjechał intendent policji Krajewski do Lublina. Urzędowanie swoje rozpoczął od osobistego zwiedzania kościołów oraz „schadzek politycznych“, donosząc komisji policji, że uniwersały wprawdzie są publikowane z ambon, ale księża najczęściej streszczają je tylko, często niedokładnie, że miasto znalazł „bez ochędóstwa i porządku“. Z powodu rekrutowania znaczna była „depopulacja“, zwłaszcza z miast i wsi nadgranicznych „wzrostką młodzież... poniechała“. Dobrowolnie ofiary nieliczne były: najwięcej dały Puławy, bo wraz z mieszczanami i Żydami miasteczek oraz gromadami kluczy żołwarcznych ofiarowały na obronę Rzeczypospolitej 10.082 złp., Lublin zebrał na armaty 3.000 złp., których nie zdołano zużyć, a

gdy Moskwa załała kraj, pieniądze te poszły na żywność dla najeźdźców.

O nastrojach szlachty konserwatywnej intendent Krajewski nadysłał nieprzychylnie wiadomości. Malkontentów wielu było. Pod koniec maja odbyła się „schadzka“ tych malkontentów u deputata Trypolskiego, potem zbierano się na schadzki i sesje u wojewody Hryniewieckiego i podkomorzego Dluskiego, który właśnie ukończył nowe pismo przeciwko konstytucji. Roilo się od szpiegów.

Ziemiańscy chełmscy, prerażeni rejteradą ks. Józefa, wyjeżdżali za kordon cesarski. Zaciąg szedł ospale. Jedyne młody ks. Adam Czartoryski uformował szwadron jazdy, który ruszył pod pułk Dobraczyński na Litwę. Zakładano magazyny dla cofającej się armii w Krasnymstawie, Chełmie, Dubience, Kazimierzu, Sandomierzu. Zjawiły się pierwsze jaskółki inwazji. 11 lipca przybył pułk. Aleksander Korycki z głównym lazaretem i rozlokował się w Wieniawie pod Lublinem. Użalał się na brak podwód, których zebrało się 600 zaledwie. Pułk. inżynierii Sierakowski stawił most w Puławach. Drugi stawiano w Łęcznej (a nie w Łącznej) na Wieprzu (str. 196). 14 lipca przybył do Lublina kapitan Golcz z główną kasą wojskową. Potem gen. Dzierżek z trzema szwadronami swej brygady i seciną „kozaków“ z pułku majora Perekladowskiego. Za nimi zjawiły się dywizje Kościuszki, ks. Józefa i generała Wielhorskiego oraz oddziały Przybyszewskiego i Krasieckiego. Sztabskapitan Karol Lichocki, mając 635 ludzi, rozłożył się z parkiem amunicyjnym pod Bronowicami na łakach za Bystrzycą (u autora błędnie „za Wisłą“, str. 135). Potem wszystkie te tyły armii ruszyły na Puławy i Koźienice. W Piaskach pod Lublinem połączyły się dywizje Kościuszki i ks. Józefa. Ks. Józef szykował się do bitwy obronnej naprzód pod Lublinem, potem pod Kurowem. Tu przyszło do ostatniej potyczki pod Markuszowem naszej jazdy z dwoma pułkami kozackimi, jęgrami, strzelcami i huzarami. Zginął tutaj generał Iliński, o czym autor nie wspomina. Tymczasem w liście ks. Izabelli Czartoryskiej przysłała do obozu pod Kurowem smutna wieść o akcesie króla do Targowicy. Król zlecał ks. Józefowi zdać komendę Kościuszcze, a samemu wracać do stolicy. Wojsko miało się wycofać za Wisłę do Koźienic dla spokojnego przemarszu Rosjan do Warszawy. Gdy ks. Józef pojechał z generałami Wielhorskim, Mokronoskim i Kościuszką do Puław, księżna podsunęła im śmiały pomysł porwania króla do obo-

zu i kontynuowania wojny, ale zamiar ten ostatecznie zarzucono. 25 lipca adiutant ks. Józefa, major Chomentowski, powoził Kachowskiemu do Lublina list Bułhakowa o zawartym zawieszeniu broni. 30 lipca ks. Józef przeprowił się przez Wisłę i stanął w Kozienicach. 27 lipca Rosjanie zajęli Puławę.

Targowica, jurgieltniczka Moskwy, obciążała rządu. Podkomorzego Dłuskiego, człowieka przewódę stronnictwa antykonstytucyjnego, usunięto poza nawias, jako człowieka względnie przyzwoitego. Sekretarz wielki koronny Michał Granowski przeferował na marszałka konfederacji lubelskiej postać czernihowskiego gen. Kąjetana Miączyńskiego, człowieka bez czci i wiary, znanego birbanta i szulera, wbrew prawu, gdyż Miączyński nie posiadał ani piędzi ziemi w Lubelskiem. Do konfederacji wojewódzkiej wszedł szereg konsyliarzy z Dłuskim i Józefem Suffczyńskim, starostą dypułyckim, na czele. Z patriotów Adam Radziwiński rzekł się godności z powodu „choroby“, natomiast poseł Stoiński został konsyliarzem, żeby przeciwdziałać i rękę trzymać na pulsie wypadków. Obok niego do przyzwoitszych należeli Dłuski, Wilczopolski, Lechnicki i Dederko. Ludzie ze stronnictwa królewskiego, tzw. „dworscy“, starali się robić konfederację na Podlasiu na własną rękę i w innym kształcie. Konfederacja ogłosiła, że kto do 20 sierpnia nie złoży przysięgi, ten będzie uznany za nieprzyjaciela Ojczyzny, a majątek jego ulegnie sekwestrowi. Nakazy te i groźby wywołały pójchów w obywatelstwie. Skłoniło to najbardziej opornych, jak kasztelana Potockiego, superintendenta Ignacego Zajączka i in. Ordynat Aleksander August Zamoyski wyjechał za granicę pod pretekstem choroby.

Szlachta masowo wycofywała podpisy z ksiąg miejskich. Przywrócono poprzednie władze miejskie Lublina z prezydentem Lewandowskim na czele. Obalono zasłużoną Komisję Cywilno-Wojskową, skompromitowaną obroną Ojczyzny.

Stany uchwały sprawozdanie kasowe od ustępującego Magistratu. Okazało się, że w czasie swojego krótkiego urzędowania Magistrat konstytucyjny miał 25.195 zł dochodów i 16.487 zł wydatków. Pozostało w kasie 8.707 zł. B. prezydent, wiceprezydent i czterej rady rzekli się pensji. Tak ustępował jeden z najlepszych i najuczciwszych zarządów miejskich w dziejach Lublina.

Ruinującym dla Lubelskiego był postój 40.000-nej armii alianckiej. Ucierpiał pola

slatowane i skoszone. Księżna Izabella kazała urządzić dla oficerów Rosjan osobny stół w pałacu, ale gdy hetmani Branicki i Rzewuski przybyli z wizytą, odmówiła ich przyjęcia, oświadczywszy „że z nieprzyjaciółmi zgodzić się potrafi, lecz ze zdradcami nigdy żyć nie może i nie umie“.

Tymczasem kozacy łupili gdzie mogli. Domy najcenniejsze zajęte były przez oficerów. Szkody były olbrzymie: po dwu latach kwaterek domy były zdezelowane, meble potłuczone. W październiku 1793 r. przymaszerował do Lublina na stały postój 7 pułk piechoty szefostwa Miączyńskiego. Okupanci palili grubą monetą swoją, żądając reszty w monecie krajowej. Nastąpił krach szeregu najpoważniejszych firm kupieckich. Złoto podskoczyło w cenę tak, że za dukata płacono w listopadzie 1793 r. 19 zł. Ucisk dozwanany usposabiał wrogo względem okupantów: oficerów obrażano, za co konfederacja ostro karała. Prosperował jedynie teatr, gdzie grała trupa krakowska: uczęszczali do niego liczni oficerowie rosyjscy. Lublin jednak wydulił się, gdyż jarmarki zostały przeniesione do Łęcznej a Trybunał został zalimitowany. Ulokowano tu wprawdzie najwyższy sąd konfederacki, ale skazany on był na wetecaniej wobec dyktatorskiej władzy Generalności.

Miączyński wyprawiał huczne bale dla obydwóch nacyj. Na jednym z nich młody i przystojny gen. Walerian Zubow, brat ówczesnego dyktatora carskiej Rosji, poznał a następnie uwiózł z domu rodziców do obozu młodą i piękną córkę podstarosty Trzcńskiego a narzeczoną Antoniego Radziwińskiego, późniejszego generała ziemiańskiego w Insurekcji. Dopiero po kilku dniach zrozpaczeni rodzice dowiedzieli się, gdzie ich córka przebywa.

„Wszystkie starania i modły do młodego rozpustnika były próżne, dopiero w parę niedziel odesłał ją rodzicom“ (Kozmian 218).

Ludność żywiła i furażowała armię zaborcy, a główny ciężar spadał na zwolenników konstytucji, miasta, duchowieństwo. Mieszkańcy województwa lubelskiego zmuszeni byli dostarczać żywności i paszy i do innych województw. Co gorsza, brano żywność i paszę nie tylko „za paletami“ ale i bez nich, gwałtem. Wycinano lasy na opał, nawet dęby grubości dwuokciowej (w kluczu lubartowskim 15 sierpnia 80 sztuk). Prócz furażów musiano dostarczać podwód, przy czym sprzężaje jednym pokradziono, drugim pomiszczono. Na największy ucisk wystawieni byli włoś-

cian, którzy żywić musieli rozkwatowanych u nich żołnierzy, a ci się odwdzięczali kradieżą bydła, świń i drobiu oraz niszczeniem ogrodów. Żydzi uskarżali się na zabór towarów i pieniędzy przez przechodzących mołojców, zwłaszcza kozaków. Wypróżnione zostały w kraju zapasy gospodarskie, zrujnowany i wybity inwentarz żywy, wypaszone łąny zbóż i łąki. Niektórzy włościanie opuścili domy swoje a w dodatku naokoło Lublina panowała zaraza bydła. Ziemia chełmska użalała się, że „od czasu wkroczenia wojsk rosyjskich... część znaczniejsza włościan, ogolocona z sprzężaju i chleba, wyzuta z wszelkiego utrzymywania roli i gospodarstwa, domy i grunta swoje opuszczać przymuszoną została“ (laudum na Sejm grodzieński).

Wysłano delegację do króla, do Bułhakowa, do Kachowskiego, ale nie wiele wskórano. Konfederacja wyrażała współczucie uciskanemu województwu, dodając, że „te dolegliwości osłodzi im... rząd republikański, który zabezpieczy ich od tych nieszczęsnych zdarzeń, które dzień trzeci mają sprowadził“.

Miesiącami starano się na próżno o pokrycie kwitów, wydawanych za żywność i paszę. Dopiero gdy Kachowskiego zastąpił Igelström a Bułhakowa Sievers, wojewódzwo lubelskie wraz z ziemią lukowską otrzymało drobną stosunkowo zapłatę w kwocie 20.300 rbl. Gdy rozdzielono tę sumę pomiędzy wszystkich petentów, przypadło na każdy dym czy to dworski czy wiejski po 6 złp. 10 groszy. Rujująca gospodarka wojska rosyjskiego wywołała powszechną nienawiść do Rosji i przygotowała grunt do Insurekcji Kościuszkowskiej.

Organizacją wyborów do sejmu grodzieńskiego zajmował się bezpośrednio ambasador Imperatorowej, Sievers, przy pomocy Kossakowskiego, Antoniego Pułaskiego i sekretarza w. kor. Granowskiego. Kierownictwo wyborami w Lublinie poruczone było Miączyńskiemu, pobierającemu 500 dukatów miesięcznie z kasy rosyjskiej. Granowski polecił marszałkowi lubelskiemu porozumieć się z wojewodą Hryniewieckim i podkomorzym Dłuskim, z sędzią Koźmianem i braćmi Trzciniński. W razie sprzeciwu gen.-major Wasyli Miłaszewicz obywateli do reszty zniszczy a imię Polaka zatracone zostanie. Co gorsze, województwa oporne dostaną się pod panowanie austriackie lub pruskie. Doniosłą rolę przy wyborach odgrywał gen. Miłaszewicz, Białorusin, uważający się

kulturalnie za Polaka. Zjechało się do Lublina obywateli 500. Sejmik odbył się w kościele Dominikanów. Posłami obrani zostali jednomyślnie: Miączyński i Stoiński z ziemi lubelskiej, Kazimierz Zaleski poseł na Sejm Wielki i członek „Zgromadzenia Przyjaciół Konstytucji“, oraz por. Antoni Brzeziński z ziemi lukowskiej, a wreszcie konsyliarz Obniski i regent Gałęzowski z powiatu urządowskiego. Z nich jedynie Stoiński należał na sejmie do opozycji i zaprotestował uroczyście przeciwko całemu dziełu sejmu grodzieńskiego, Miączyński zaś był kandydatem Sieversa na marszałka sejmowego. Nieczyste usługi musieli oddać Targowicy posłowie Obniski i Gałęzowski. Po wyborze posłów gen. Miłaszewicz wydał wspaniały obiad w ogrodzie pod namiotami, na którym obecnych było 200 osób. Przygrywała liczna muzyka wojskowa, armaty dawały salwy. Na sejmik lubelski nie przybyła cała lepsza, oświecześniejsza część ziemian. Sejmiki odbywały się pod bezpośrednim naciskiem wojsk, tak np. na sejmiku czerskim obradowało w końcu 60 szlachty, a dookoła stało 400 grenadierów z 2 działami pod dowództwem podpułk. Tołstoja. To samo było w Wyszogrodzie lub Zakroczymiu, gdzie szlachty było mniej jeszcze, a otaczała ją liczna piechota, kozacy i 2 działa.

Zwrócił się też Szczęsny Połocki do 10 najznacniejszych miast koronnych, między innymi do Lublina, aby po dwu delegowanych wysłały do Grodna. Sprawa ta znalazła się na wokandzie obrad trzech porządków Lublina. Obrano na prezydenta byłego wójta Lamprechta, na wiceprezydenta radcę Kurowskiego i na wójta Grebera. Na reprezentantów do Grodna wybrano radcę Staromiejskiego i ławnika Trojańskiego. Konstytucja grodzieńska ocalała wiele urzędzeń z czasów Sejmu Wielkiego, zachowując zniesienie jurydyk i utrzymanie zasady: *Neminem captivabimus nisi iure victum*. W marcu nastąpiły długotrwałe elekcje władz miejskich. Ustawa grodzieńska zniosła jurydyki szlacheckie i duchowne, ale nie królewskie. Potem odbyły się elekcje w miastach województwa lubelskiego.

Zmienione zostały granice województwa lubelskiego. Odpadła od niego część ziemi na prawym brzegu Wieprza i cała ziemia lukowska; przyłączona została w zamian część powiatu krasnostawskiego i cała ziemia stężycka. Wieprz miał być granicą między województwem lubelskim a nowokreowanym chełmskim, w skład

którego weszły ziemie: chełmska, parcewska i łukowska. Całe województwo lubelskie sejmikować miało w Lublinie w kościele pojezuickim księży Trynitarzy. Sądy ziemskie odbywały się w stolicy każdej ziemi: w Lublinie, Rykach i Krasnymstawie.

10 stycznia 1794 r. Rada Nieustająca wydała uniwersał na sejmiki elekcyjne, celem obioru urzędników ziemskich: deputatów trybunalskich, sędziów, komorników, komisarzy porządkowych. Sejmiki lubelskie i chełmskie odbyły się spokojnie i porządnie. Wbrew zaleceniom Rady Nieustającej, aby w pierwszym rzędzie wybierano na urzędy targowiczian, wśród nazwisk wybranych urzędników spotyka się przeważnie nazwiska obywateli uczciwych, czynnych niebawem w Powstaniu Kościuszkowskim.

Niedola gospodarza Lublina i województwa wzmogła się jeszcze od schyłku 1793 r. z powodu przybycia na te tereny licznych oddziałów wojska polskiego. Już w październiku 1793 r. dywizja wielkopolska została przeniesiona z lewego brzegu Wisły na prawy, a dowództwo jej odebrano nieudolnemu gen. Arnoldowi Byszewskiemu i oddano w ręce Miączyńskiego, mianowanego gen.-lejtanantem, potem pisarzem polnym koronnym po Kazimierzu Rzewuskim (następny kolejny stopień wojskowy po hetmanie polnym) a wreszcie szefem 7 pułku po Brodowskim. Pobierał w ten sposób trzy pensje. To przesunięcie wojsk było dziełem Rosji, która pragnęła wcielić ogół żołnierzy polskich do swoich wojsk. Tym wcieleniem zajmował się gen. Mikołaj Zubow, brat Platona i Waleriana, a wykonawcami jego byli pułk. Fabrycy i Miączyński. Już w grudniu 1793 r. nie wypłacono wojsku żołdu. Fatalnie przedstawiało się położenie oficerów, nie pobierających gaź.

Niebawem nowomianowany został przez Targowicę generałem majorem stolnik bydgoski i jeden z najwymowniejszych mecenasów Trybunału Koronnego Lubelskiego — Antoni Nałęcz Raczyński, człowiek młody, zdolny i przebiegły, któremu przydzielono dywizję wielkopolską w zastępstwie Miączyńskiego, używanego przez Igelströma do czynności politycznych. Korzon, Bartoszewicz, Tokarz utożsamiali go niesłusznie z gen. Filipem Raczyńskim, szefem 9 pułku piechoty, który będąc urlopowany, nie złożył przysięgi Targowicy a 17. IV. 1794 r., po wybuchu Insurekcji, wyjechał do

Wielkopolski, gdzie posiadał majątek ziemski.

Ustawa redukcyjna sejmu grodzieńskiego przewidywała zmniejszenie wojska koronnego z 23,000 na 10.000. Na żądanie Igelströma Rada Nieustająca zarządziła 21 lutego nagłą redukcję, postanawiając, że ma ona nastąpić przed 15 marca. Wobec groźby przymusowego wcielenia zredukowanego żołnierza do szeregów rosyjskich, gdy oddziały rosyjskie zaczęły się zbliżać do garnizonów polskich, nastąpiła panika a potem wybuch Insurekcji. Hasło do powstania dał wymarsz brygady Madalińskiego z Ostrołki 12 marca 1794 r. Igelström obawiał się marszu brygady na Warszawę lub Kraków. Ażeby uprzędzić ten ruch, Igelström rozkazał gen. Rachmaninowowi z garnizonem lubelskim i gen. Denisowowi z załogą łucką iść na Radom, gdzie miały się do nich przyłączyć załogi Opatowa i Krakowa. Garnizon Lublina miały zastąpić dwa bataliony pułku kozłowskiego z Słonima i dwa szwadrony strzelców konnych elisawetgradzkich z Brześcia. Oddział ten, pod dowództwem ppłk. Bibikowa, stanął w Puławach i strzegł brzegów Wisły.

Na wezwanie Madalińskiego, skierowane do dywizji wielkopolskiej, ruszyły do niego dwa szwadrony pułku IV straży przedniej szefostwa ks. Würtemburskiego z rotmistrzem Zborowskim i dwie kompanie pułku IX piechoty. W połowie marca przybył do Lublina Miączyński, objął komendę nad dywizją wielkopolską i otrzymał od Komisji Wojskowej 173.183 złote na redukcję korpusów.

Tymczasem Lublin stał się siedzibą najważniejszego koła rewolucyjnego. Miączyński, przerażony wybuchem Insurekcji w Krakowie, zdał komendę nad dywizją Raczyńskiemu, a sam udał się do Lubomla i Włodzimierza, gdzie adiutant Tyss ostrzegł go, iż brygada Biernackiego przystąpiła do Insurekcji. Wobec tego Miączyński, przez swój Radziwiłłów, otrzymany na darze od Targowicy, udał się do Lwowa, gdzie szpiegował Polaków na rzecz Rosji.

Pod koniec I tomu Dr. Kermisz stara się rozwikłać wstępne ruchy oddziałów wojskowych, przystępujących do Insurekcji, ale ta część pracy jest najsłabsza i mało przekonywująca. Dywizja Wielkopolska przeszła spod komendy Antoniego Raczyńskiego do rąk gen. Czapskiego, potem Grochowskiego, ale jaki był stosunek pierwszych dwóch do Insurekcji, nie zostało wyjaśnione.

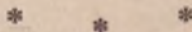
Te ostatnie kilka kart należą zresztą tematycznie do II części monografii opisującej Insurrekcję w Lubelskiem. Część ta uiegra niestety zniszczeniu podczas powstania warszawskiego 1944 roku. Wraz z tym pograżyła się w niepamięć piękna karta dziejów naszych.

W tej drugiej części Dr. Kermisz rehabilitował rolę Lubelskiego w Insurrekcji Kościuszkowskiej, które „niemiłosiernie oszkalował o brak patriotyzmu“ (słowa pamiętnikarza K. Koźmiana) gen. Zajączek, rozgoryczony własną przegraną pod Chełmem. Niesłuszne te pretensje powtórzył Niemcewicz, który zarzucił brak gerliwości województwu lubelskiemu, „stołicy trybunałów i pieniactwa“, a za nim poszedł Limanowski i inni historycy, na ślepo powtarzając wywody poprzedników. Słusznie stanął w obronie zasłużonej

insurrekcji lubelskiej Korzon, ale nie wyzyskał ani większości akt Komisji Porządkowej Lubelskiej, ani pamiętników Koźmiana, ani akt Wydziału Skarbowego Rady Najwyższej Narodowej. Mylnie też obliczył liczbę dymów i mieszkańców Lublina i województwa lubelskiego. Wreszcie błędnie utożsamił Piotra Potockiego, starostę szejnertwieckiego, postać do Stambułu, z Piotrem Potockim, kasztelanem lubelskim i gen.-majorem ziemiańskim województwa lubelskiego w r. 1794. Autor te błędy koryguje.

Praca wzorowa pod każdym względem. Pozwala ona nam wnikać w tryb życia szerokiego ogółu na prowincji w dobie Sejmu Wielkiego i Targowicy.

Włodzimierz Dzwonkowski



Uniwersał Połaniecki w świetle europejskich reform rolnych XVIII wieku. Kraków 1946. Nakład P.A.U.

Wśród licznych artykułów, jakie ukazały się w r. b. omawiając Uniwersał Połaniecki, na wyróżnienie zasługuje drukowany w oddzielnej broszurze odczyt prof. Rutkowskiego, wygłoszony w P.A.U.

Autor analizuje Uniwersał w porównawczym zestawieniu z reformami europejskimi podkreślając, że wysuwanie sprawy włościańskiej na porządek dzienny było w XVIII st. zjawiskiem powszechnym, wyrastającym ze wspólnego podłoża — ustroju feudalnego, który w zakresie gospodarczym a zwłaszcza agrarnym, odgrywał wówczas, szczególnie na terenie Europy środkowej, jeszcze poważną rolę.

Prof. Rutkowski przedstawia projekty reform i zmiany przeprowadzone w życiu Polski, motywy, zwłaszcza gospodarcze, które skłaniały do reform lub stały im na przeszkodzie, podkreśla tu brak głównego czynnika, jakim był przymus w formie odpowiedniego ustawodawstwa, stwierdza wreszcie, że przed wybuchem powstania Kościuszkowskiego w Polsce panowało powszechnie poddaństwo i pańszczyzna. Na tak zarysowanym tle autor podkreśla radykalizm Uniwersału, który traktuje jako „rewolucyjny krok“ w dziedzinie ustawodawstwa agrarnego polskiego. Genezę

Uniwersału autor znajduje w reorganizacji armii, koniecznościach natury raczej politycznej niż gospodarczej.

Wśród reform Uniwersału prof. Rutkowski wysuwa na plan pierwszy wzięcie chłopów pod opiekę rządu, nie wspominając o tym, że pod opiekę rządu i prawa brała chłopów Konstytucja majowa, dokonując właśnie „rewolucyjnego kroku“ przez wprowadzanie zasady ingerencji państwa w stosunki społeczne w danym zakresie, natomiast określając reformy włościańskie Konstytucji: „jakże skromne: wolność dla przybyszów z zagranicy i ochrona prawna dla formalnie zawartych umów“, twierdząc zarazem, że reformy te były korzystne dla włościan przybywających spoza granic państwa, przeważnie Niemców.

Na drugie miejsce wysunięte zostało zniesienie poddaństwa osobistego, „bez żadnych ograniczeń“. Nasuwa się tu nowa wątpliwość, czy pojęcie pełnej wolności osobistej godzi się z przymusem pracy?

Istotną reformę Uniwersału stanowiło zapewnienie chłopom nieusuwalności z gospodarstw i zmniejszenie wymiaru pańszczyzny, reformy czysto ekonomiczne. Sejm szlachecki nie przyjął by takiej reformy, ograniczającej prawa do gruntu właścicieli ziemskich; Kościuszkowski korzystał w danym momencie z uprawnień Naczelnika. Czy jednak słuszne jest zestawienie tej reformy z prawami demokra-

tycznymi ówczesnej Ameryki, rewolucyjnymi ówczesnej Francji (w r. 1794 a zatem po reformach Konwentu)? Czy Uniwersał Kościuszkowski nie jest raczej typowy dla Europy środkowej XVIII st., zbliżony do reform przeprowadzonych w krajach absolutyzmu oświeconego, pod kątem widzenia również interesów wojskowych. Czy „najwybitniejszy polski radykał“ ówczesny, Kollątaj, reprezentował istotnie w dziedzinie stosunków wiejskich reformę „demokratyczną“?

Autor twierdzi, że Uniwersał dawał największe ulgi mniejszym gospodarstwom, a najmniejsze największym, tymczasem ulgi zastosowane w wymiarze pańszczyzny, w punkcie reformy najistotniejszej, świadczą o tendencji wręcz odwrotnej, co wynikało zresztą również z uwzględniania przede wszystkim interesów wojskowych, podobnie jak umiarkowanie charakteryzujące całość reformy polanieckiej. Ze reforma ta szła cokolwiek dalej w niektórych punktach niż reforma józefińska czy pruska, to wynikało stąd, że powstała ona później i czerpała wzór z reform wcześniej przeprowadzonych, oraz że powstała nie w warunkach pokoju, lecz w momencie najwyższego napięcia walki powstańczej.

Wątpliwości budzi mimochodem podana ocena reformy włościańskiej we Francji rewolucyjnej. Czy istotnie przeważającą część dóbr sekularyzowanych i konfiskowanych emigrantom kupowali włościanie, zaś pewną tylko ich część nabyli mieszczańscy kapitaliści i czy słuszną jest ocena „znanego dobrobytu“ nowoczesnej wsi francuskiej, w której faktycznie przeważało zbyt drobne gospodarstwo i zbyt duże obciążenie świadczeniami, co zresztą i autor w innym miejscu stwierdza.

Ze Uniwersał Polaniecki „zajmuje porównywalne miejsce wśród europejskich reform rolnych XVIII w.“ to nie podlega niczyjemu zakwestionowaniu, podobnie jak i stwierdzenie faktu, że jego rola polityczna „trwa po dzień dzisiejszy“. Trudno jednak zgodzić się z poglądem, że Uniwersał „jest jedyną świetlaną nicią łączącą dzieje dawnej Rzeczypospolitej z dziejami nowoczesnej wsi polskiej“, nie jest bowiem jedynym świetlanym momentem w danym zakresie w danej epoce, z drugiej zaś strony słabe jest powiązanie Uniwersału, zachowującego poddaństwo i pańszczyznę chłopu, z nowoczesną demokracją chłopską.

Najcenniejsza w pracy prof. Rutkowskiego jest metoda, stosowana tu nie po

raz pierwszy przez autora, traktowania dziejów gospodarczych i społecznych Polski na gruncie porównawczym dziejów europejskich.

Roczniki dziejów społecznych i gospodarczych.

pod red. prof. Fr. Bujaka i prof. J. Rutkowskiego.

Tom VIII. Rok 1939/46. Zeszyt 2. Poznań 1946. Pozn. Tow. Przyjaciół Nauk. Kom. Histor.

Po 6 latach przerwy ukazał się zeszyt Roczników dz. sp. i g., jako zeszyt 2 tomu VIII, którego z. 1 został wydany w r. 1939.

Historia społeczno-gospodarcza rozwijała się w 20-leciu międzywojennym w tempie stale przyśpieszonym, zarówno na Zachodzie jak na Wschodzie; polska nauka usiłowała utrzymać się na powszechnym poziomie, pod względem ilości jak i jakości pracy. Wojna rozkwitła na tym, jak na wszelkich innych polach kultury zahamowała, straty w ludziach przede wszystkim są nie do powetowania. Zmiany w powojennym życiu społeczno-gospodarczym oddziałają z konieczności i na badania dziejów tego odcinka życia, na wzmocnienie zainteresowania w kierunku tego właśnie działu nauk historycznych.

O stanie nauki polskiej i zagranicznej dokładnie informowały pracowników w zakresie historii społeczno-gospodarczej i gałęzi pokrewnych od r. 1932 „Roczniki“. Wznowienie tego wydawnictwa w świetle naukowym z tego przede wszystkim względu będzie przyjęte z uczuciem ulgi, wobec niemal zupełnego braku wiadomości o ruchu naukowym, oraz z uczuciem nadziei, że informacje o ruchu wydawniczym, zwłaszcza zagranicznym, obecnie z konieczności niewystarczające, z każdym Rocznikiem będą się stawały coraz pełniejsze i bardziej dokładne. Odpowiada to nadziei wyrażonej przez wydawców, że Roczniki znajdą „chętnych współpracowników i czytelników“.

W dziale informacji sami redaktorzy stwierdzają, że „mniej niż skromnie“ przedstawiają się recenzje i sprawozdania z literatury obcej. Działalność wydawnicza w czasie wojny była bardzo ograniczona, nadto wydawnictwa te nie są jeszcze w Polsce znane. Wśród recenzentów z nielicznych prac polskich wybitnie przeważają historycy polityczni. Bibliografia obejmuje prawie wyłącznie wydawnictwa polskie i liczne niemieckie.

Wśród omawianych prac wybija się na plan pierwszy monografia raczej z dziejów politycznych Kieniewicz: Adam Sapieha; w końcowym jej rozdziale przedstawione zostały główne zagadnienia „pracy organicznej”, w innych rozdziałach wstawiony został szereg wzmianek z zakresu problemów gospodarczych i społecznych.

Praca Pazyry: Studia z dziejów miast na Mazowszu od XIII do XX w. — omawia genezę, lokację, ustrój, zaludnienie miast mazowieckich. Genezę i skutki traktatu handlowego polsko-pruskiego z r. 1775 omawia Wilder. Genezę reform skarbowych Sejmu Niemego zajmuje się Nycz. Obszerną recenzję pracy Assorodobraj: Początki klasy robotniczej — daje Kula.

W kronice poświęcono dział: „Pamięci Zmarłych”, wśród których znajdują się nazwiska spośród najwybitniejszych historyków społecznych i gospodarczych. W „Ruchu naukowym” umieszczono szereg wiadomości o warsztatach pracy, wiadomości jeszcze dość luźnych, niesystematycznie nagromadzonych. W rozdziale o Archiwach przedstawiony został przede wszystkim ogrom strat wojennych.

W dziale rozpraw prof. Rutkowski rozważa stosunek historii gospodarczej do historii kultury materialnej. Prof. Rutkowski ma tendencję do wyłączenia ze ścisłego terenu badań historyczno-gospodarczych wśród szeregu innych bliskich zagadnień także spraw technicznych, przy czym zakres i metodę badań historii techniczno-gospodarczej traktuje jako identyczną z zakresem badań historii kultury materialnej. Prof. Rutkowski projektuje stworzenie odrębnych katedr uniwersyteckich historii kultury materialnej celem doprowadzenia do nauki historycznej w tym zakresie jednolitej a wyodrębnionej od historii społeczno-gospodarczej, która zajmuje się dziejami „wzajemnych stosunków istniejących między ludźmi w celu gospodarowania”; autor stwierdza zresztą jednocześnie, że „w żadnej innej dziedzinie oddziaływanie materialnego podłoża nie jest tak silne i bezpośrednie, jak właśnie w obrębie ustroju społeczno-gospodarczego”. Postawienie takiej sprawy nadaje się oczywiście do dyskusji: czy historyk stosunków społeczno-gospodarczych istotnie ma się tylko ograniczyć do „czerpania wiadomości” z historii kultury mate-

rialnej, która ma być dla niego nauką pomocniczą; czy wystarczy, aby nie „kwestionować pożyteczności uwzględniania przez historyka stosunków społeczno-gospodarczych zagadnień odnoszących się do dziejów kultury materialnej”; czy historia techniki dla historii społeczno-gospodarczej ma takie samo znaczenie nauki pomocniczej „jak np. dla historii muzyki (instrumenty), wojskowości (uzbrojenia) itd.”; czy też należy traktować technikę, zarówno współczesną, jak i w przeszłości jako podstawę gospodarowania, określającą każde poszczególne stadium rozwojowe zarówno gospodarstwa jak i związanych z nim stosunków społecznych. Jeżeli przyjmujemy takie ściśle funkcjonalne powiązanie zjawisk w rozwoju techniki i stosunków społeczno-gospodarczych, w takim razie trudno byłoby przeprowadzić projektowany przez prof. Rutkowskiego podział między nauką historii społeczno-gospodarczej i historią kultury materialnej.

Prof. Tymieniecki w pracy: „Prawo czy gospodarstwo” zajmuje się sprawą aktualną, aczkolwiek w literaturze naukowej nie nową, odrębności zagadnień: kolonizacji niemieckiej i prawa niemieckiego w Polsce, rozróżniając w danej dziedzinie sprawę imigracji obcej, kolonizowania przestrzeni nieuprawnych, oraz prawa niemieckiego, jako zagadnienia ustrojowo-prawnego i społeczno-gospodarczego. Autor wykazuje, że punkt ciężkości ruchu i zmian leżał nie w procesach etnicznych, lecz ustrojowo-prawnych i społeczno-gospodarczych, przy czym podkreśla, że dalej postąpiła unifikacja form w zakresie urządzeń gospodarczych niż prawnych.

Reychman daje referat o zagadnieniu osadnictwa włoskiego w Karpatach w rumuńskiej literaturze naukowej lat ostatnich, stwierdzając wzrost zainteresowań w nauce rumuńskiej zagadnieniem włoskim w Polsce. Osadnictwo to traktowane było jako wyraz ekspansji żywiołu rumuńskiego, podczas gdy przedstawiało ono raczej kolonizację na prawie włoskim, analogicznie do kolonizacji na prawie niemieckim.

Natalia Gąsiorowska

* * *

Rutkowski Jan: *Historia gospodarcza Polski, Tom I, Czasy przedrozbiorowe*, Poznań 1946, Księgarnia Akademicka, str. X + 370 + 2 nrb.

Czy jest celowe, aby zarys historii gospodarczej został omówiony przez historyka ustroju?

Punktem wyjścia dyskusji nad nowym wydaniem podręcznika prof. Rutkowskiego może być umiejscowienie dyscypliny, którą reprezentuje on, w zespole nauk historycznych. Mimo podobieństwa nazw, historia gospodarcza nie stanowi odpowiednika historii politycznej. Gdy ta ostatnia przedstawia poszczególne, zindywidualizowane zdarzenia — polityczne, historia gospodarcza operuje spostrzeżeniami na zasadzie wielkiej liczby, interesującą ją zjawiska masowe, posługuje się pojęciem struktury gospodarczej i społecznej, pojęciem ustroju, przedstawia jego urządzenia. Do podobnej charakterystyki historii gospodarczej dochodzi i Rutkowski przez eliminację tych kategorii zjawisk, które stanowiły dotąd wspólny przedmiot historii gospodarczej i innych nauk. Jedynie ustrój społeczno-gospodarczy jest badany wyłącznie przez historię gospodarczą i (z tego powodu — według Rutkowskiego) musi być uznany za główny i właściwy przedmiot jej badań.

Ustrój państwa nie jest wartością integralną, samą w sobie, jak to niestety musi się wydawać tym, których wychowały podręczniki historii przedstawiające urządzenia ustrojowe w oderwaniu od życia i jego sił, jako coś nadrzędnego i pierwszego. W naszych oczach powstają i rozpadają się ustroje, mechanizm historii stał się widoczny, dogmatyzowanie historycznych form życia nie jest godne nauki.

Historia ustroju (państwa) nie znaczy nic, jeżeli ignoruje jego strukturę gospodarczą i społeczną; nie znaczy nic, jeżeli nie potrafi przeprowadzić w równoległych płaszczyznach zjawisk ekonomicznych, społecznych, prawno-politycznych; nie znaczy nic, jeżeli ustrój państwa w jej przedstawieniu nie wyraża ustroju społecznego i gospodarczego, jeżeli one oba nie stanowią jego podstawowej treści i organizacyjnego wątku.

Regułą jest w nauce specjalizacja, wyodrębnianie się węższych dyscyplin z wcześniejszych rozleglejszych, dążność do naukowej autonomii nowej specjalności,

doskonalenie metody badawczej przez wypracowywanie metody własnej, odpowiedniej dla wyodrębnionego zakresu zjawisk, umożliwiającej osiągnięcie nowych wyników. W ten sposób powstała też kiedyś (niedawno zresztą) i historia gospodarcza, a sama z kolei uległa dalszej tendencji specjalizacji. Użyteczność specjalizacji uwarunkowana jest jednak zbieraniem w jedno osiągnięć specjalistów, zużytkowaniem na własnym polu pracy wyników specjalnych innego działu wiedzy, wzajemnym kontrolowaniem rezultatów, dążeniem wreszcie do syntezy wyników, która dopiero racjonalizuje prace cząstkowe i sprawdza je.

Weszliśmy w okres, w którym konieczna okazuje się zasadnicza kontrola naszej wiedzy — przede wszystkim humanistycznej. Założenia metodyczne dotychczasowe zdyskredytowały się na wielu miejscach, wstrząs — polityczny! — jak przeżywamy, pozwolił nam dojrzeć, że nie raz punktem wyjścia pracy naukowej były dogmaty i aksjomaty tradycji, niepoddawane sprawdzaniu, a przesądzające cały tok myśli badawczej i charakter rezultatów nauki.

Tradycja i idealizm! — to rodzeństwo niepozabawione uroku, piękności i wartości społecznej. Ale na gruncie nauki muszą one wyrządzać szkody, z natury swojej bowiem są zaprzeczeniem tego, co jest istotą nauki: są zaprzeczeniem wolności obserwacji i metody sprawdzania jej wyników przy pomocy narzędzi obiektywnych tj. niezależnych, lub w małym stopniu zależnych od indywidualności badacza. Takim narzędziem jest m. i. także logika.

Konieczność zasadniczej kontroli naszej wiedzy prowadzi, według mnie, nieuchronnie do postulatu nauki na obecny czas, zrzeszania się dyscyplin, gdyż tylko w szerokiej ławie tyraliery przeciwko błędowi i głupstwu można spodziewać się pozytywnych osiągnięć.

Publikowanie w dwóch ostatnich latach prawie wyłącznie zarysów syntetycznych i przygotowywanie ich w czasie wojny, nie jest zjawiskiem przypadkowym. Autorzy i wydawcy musieli odczuć potrzebę nowych zasadniczych podstaw i ujęć. Dawniej dopracowywali się badacze szczegółowego wyniku na najwęższym wyścinku swej umiętności, a dopiero po latach włączany był ten wynik w zarys syntetyczny o charakterze kompilacji.

Inny jest typ syntezy koniecznej dzisiaj. Nie może ona oczywiście — jeżeli ma być syntezą naukową a nie publicystyką — ignorować w zakresie swego przedmiotu prac monograficznych i ich rzeczowych osiągnięć. Ale wymaga się od zarysu nie kompilacji, lecz podstawy twórczej, własnego nowego planu organizacyjnego materiału naukowego; oczekuje się, że właśnie zarys syntetyczny — przed monografiami jeszcze — przyniesie nam nowe hasło metodyczne, że on da im „pchnięcie“, wyznaczy im kierunek badania, sprowokuje je.

Jeżeli czytelnik sądzi, że wszystko to napisałem przeciwko nowemu zarysowi prof. Rutkowskiego, całkowicie omylił się. Nowy zarys jest właśnie nową syntezą. Jej autor łączy w sobie sumienność kompilatora, erudycję oryginalnego badacza, którego własne prace stanowią główny trzon monograficznej literatury naszej z zakresu historii gospodarczej Polski, oraz śmiałość syntetyka, organizującego materiał rzeczowy w jasny obraz historyczny.

Nie znaczy to, aby zarys ten nie wywoływał poważnych zastrzeżeń krytycznych, wątpliwości i sprzeciwów, zarówno co do konstrukcji ogólnej, jak i co do niektórych sformułowań szczegółowych.

Formalnie, nowy zarys jest drugim wydaniem „Zarysu gospodarczych dziejów Polski w czasach przedrozbiorowych“ (Poznań 1923). Stosunek obu wydań najlepiej oznacza sam autor w przedmowie: „W nowym wydaniu został uwzględniony bardzo bogaty dorobek naukowy z ostatnich dwudziestu paru lat. Nie więcej niż czwarta część dawnego tekstu mogła być użyta w dawnej formie. Wszystko inne musiało być napisane na nowo. Dodano szereg ustępów: o skarbowości kościelnej w średniowieczu, o gospodarczym tle walk narodowościowych i inne. Tylko w wyjątkowych wypadkach, jak np. przy pierwotnym osadnictwie, dawny tekst został skrócony“.

„Zmieniona została konstrukcja książki. Jaskrawiej niż poprzednio zostały wyodrębnione poszczególne epoki. Zamiast skrytykowanego „schematycznego i suchego“, identycznego dla wszystkich epok podziału treści, na plan pierwszy wysunięte zostały zjawiska szczególnie doniosłe dla poszczególnych okresów, a więc pierwotne osadnictwo dla czasów przedchrześcijańskich, feudalizacja ustroju gospodarczego dla wczesnego średniowiecza, rozkwit miast dla późnego średniowiecza, rozkwit gospo-

darki pańszczyźniano-folwarcznej dla lat 1500 — 1650, zniszczenie wojenne dla drugiej połowy XVII w., reformy gospodarcze i odrodzenie dla XVIII wieku. Wokół tych zjawisk zostały zgrupowane wszystkie inne, mniej lub bardziej silnie od nich uzależnione“.

Ta nowa konstrukcja książki powinna wywołać dyskusję.

Organizacja treści, podział na epoki i wyznaczenie reprezentacyjnych zjawisk każdej z nich ma znaczenie nie tylko dydaktyczne. W nich odzwierciedla się koncepcja historyczna autora, one wskazują drogę rozwoju dziejowego, jej kierunek i charakter, one stanowią niejako tę ostateczną, najbardziej zwartą, najbardziej lapidarną syntezę myślową, którą tekst książki rozbudowuje.

W pierwszym wydaniu podzielił prof. Rutkowski materiał na dwie części: wieki średnie i czasy nowożytne, a w każdej z nich umieścił w jednej i tej samej kolejności, rzeczowo uzasadnionej, rozdziały o ludności, o gospodarstwie wiejskim i ustroju rolnym, o miastach, o przemyśle i górnictwie, o handlu, o ustroju pieniężnym i kredycie, o skarbowości. „Schematycznie i sucho“ — jak sam cytuje swoich krytyków, w przedmowie do nowego wydania.

Podział historii według utartego obyczaju na średniowiecze i czasy nowożytne z cezurą na przełomie XV wieku na XVI spotyka się coraz częściej ze słuszną krytyką, a upatrywanie w dziejach Europy środkowej i wschodniej czasów nowożytnych już od XVI wieku nie ma rzeczowego uzasadnienia (w Polsce, mimo renesansu i reformacji). Chyba, że nie przypisuje się kolejnym epokom specyficznej treści ustrojowej i zadowala się mechanicznym podziałem dla ułatwienia wykładu.

Co sprawił nowy podział materiału w obecnym zarysie?

W obu wydaniach sam wykład historyczny został poprzedzony „Wstępem do gospodarczych dziejów Polski“, omawiającym przedmiot, metody i źródła do historii gospodarczej oraz dającym przegląd ważniejszych opracowań z tej dziedziny. Ten „wstęp“, obecnie rozszerzony, jest bardzo pożyteczny i bardzo interesujący. Po nim następują w obecnym wydaniu cztery rozdziały o tytułach zawierających rzeczowe określenie treści, a nie chronologiczne; dwa pierwsze hasła zacytowane przez autora w przedmowie (pierwotne osadnictwo i feudalizacja) pa-

tronują pierwszemu rozdziałowi, dwa kolejne dwu następnym (miasta, rozkwit gospodarki pańszczyźniano-folwarcznej), dwa ostatnie (upadek po wojnie XVII wieku i reformy stanisławowskie) — rozdziałowi ostatniemu. W istocie jest to jednak podział chronologiczny. Rozdział I, to czasy przedchrześcijańskie i wczesne średniowiecze (wyraźnie oznaczono to w podtytułach), rozdział II — późniejsze średniowiecze, III — wiek XVI i połowa XVII, rozdział IV zawiera w samym tytule określenie czasu.

W każdym z tych rozdziałów wysunięte zostało do pierwszych ustępów to, co zawierają tytuły pierwszych ustępów, w następnych ustępach zawarto zaś pozostały materiał danego okresu, wskutek czego w kolejnych rozdziałach powtarzają się te same hasła rzeczowe ale w różnym układzie, raz są hasłem czołowym, kiedy indziej ustępują miejsca innym. Tak dla przykładu, we wczesnym średniowieczu przodują materiałowi ustępy o własności ziemskiej, a przemysł i handel zajmują miejsca dalsze, w rozdziale zaś o późniejszym średniowieczu, przeciwnie, przodują miasta, a ustrój rolny zajmuje pozycję bardzo pośrednią (sic!). W następnym znowu rozdziale ponowny przewrót ważności tematów: na czoło wysuwa się folwark (i ten układ utrzymuje się na ogół i w rozdziale ostatnim. O nim później).

Trudno się zgodzić na taką konstrukcję. Podział gospodarczych dziejów Polski przedrozbiorowej na cztery kontrastujące ze sobą okresy nie ma wystarczającego uzasadnienia, jeżeli uznaje się — jak to czyni autor — że głównym przedmiotem tych dziejów powinien być ustrój społeczno-gospodarczy. Czyżby w przedrozbiorowych dziejach Polski ustrój ten zmieniał się aż cztery razy? A tylko wyraźniejsza zmiana ustroju i jego podstaw uzasadniałaby rozbięcie materiału na epoki.

Metoda podziału zastosowana przez Rutkowskiego wynikała z niesłusznej, moim zdaniem, oceny późniejszego średniowiecza, tradycyjnemu awansującej je społecznie kosztowne późniejszych (niekatolickich na zachodzie) czasów nowożytnych.

Rzecz sprowadza się do tego, co rozumiemy przez folwark, kiedy on powstał, a w dokładnym związku z tym, kiedy rozwinęło się to, co tradycyjnemu nazywa się poddaństwem włościan, a faktycznie miało wszystkie cechy niewoli chłopów, i w końcu, czy stosunki społeczne średnio-

wiecza odpowiadały teorematowi solidaryzmu katolickiego czy nie.

Spośród trzech form gospodarki wielkiej własności: drobnej dzierżawy, gospodarki pańszczyźnianej i przemysłowo-kapitalistycznej — pierwszą, nie wiadomo dlaczego, traktuje się oddzielnie, dwie następne — jako dwie odmiany gospodarki folwarcznej.

Przypatrzmy się dokładniej tej drobnej dzierżawie. Czym różni się ona od systemu pańszczyźnianego? W obu wypadkach chłop siedział na ziemi pańskiej, w obrębie wielkiej własności, w obu wypadkach zobowiązany był do świadczeń na rzecz wielkiej własności z tytułu posiadania ziemi prawnie biorąc pańskiej, w pierwszym wypadku główne świadczenie polegało na daninach (w naturze lub pieniądzu, zwykle w obu postaciach), w drugim — głównie na robociznie. Danina rzadko była naprawdę czynszem, jeżeli zgodzić się, że z reguły chłop nie był dzierżawcą w sensie kapitalistycznym, lecz poddanym pańskim, robocizna zaś, również z tytułu poddaństwa i użytkowania gruntu, była w istocie także daniną, taką samą daniną, tyle że w postaci siły roboczej, a nie owoców pracy, i również dobrze jak daniny można by i ją nazwać czynszem z działki chłopskiej. I szlachta tak ujmowała sprawę robocizny, jako odpłatę za posiadanie ziemi pańskiej.

Od strony instytucji wielkiej własności wszystkie trzy wymienione systemy gospodarcze miały za zadanie spełnienie jednego i tego samego celu: dostarczania przychodów dworowi pańskiemu, i pod tym względem zupełnie się nie różniły. Różna natomiast była technika osiągania przychodów: raz chłop dawał swoją pracę (pańszczyźnianą lub „wolno-najemną“ — formalnie) — a dwór sam produkował (i sprzedawał); kiedy indziej chłop był zobowiązany do dostarczania dworowi gotowego produktu (wytworzonego we własnym gospodarstwie chłopskim, a więc... również na ziemi pańskiej!), albo i — pieniędzy, które za to uzyskał. A więc trzy techniki gospodarowania: chłopska siła robocza — chłopski produkt — chłopski pieniądz dla dworu; i jako odpowiednik: chłopska produkcja i sprzedaż — gotowy produkt od chłopów — gotówka w pieniądzu. Wyraźne przesunięcia w organizacji pracy, w podziale pracy, ale cesury biegną nie tak, jak to w nauce tradycyjnemu się przyjmuje.

Trzeba dodać, że w rzeczywistości ry-sunek ten zacierał się, gdyż z reguły obok daniny w pieniądzu zobowiązany był chłop

i do daniny w naturze, a obok danin — do robocizny i na odwrót.

Mozna by domagać się innego podziału, a to z punktu nawoczesnej organizacji pracy: teoretycznej wolności rynku robotniczego. Wówczas musiałoby się przeciwstawić mu system feudalny świadczeń przymusowych, ale w takim razie cezurą bieglaby między folwarkiem, posługującym się siłą roboczą najemną, a folwarkiem korzystającym ze świadczeń przymusowych we wszelkiej formie, a więc danin w pieniądzu, w naturze, w robociznie.

Mam poważne wątpliwości czy nazwę folwarku należy wiązać tylko z systemem własnej produkcji rolnej wielkiej własności, czy nie należałoby ujmować instytucji folwarku inaczej, a mianowicie jako systemu gospodarczego wielkiej własności niezależnie od form organizacji pracy, a natomiast jako przysparzającego zysków wiejskiemu dworowi pańskiemu (feudalnemu — w płaszczyźnie oddziaływań społeczno-gospodarczych i kulturalnych bez względu na historyczną strukturę prawną), stanowiącemu władczy ośrodek danego majątku¹⁾.

Ale spójrzmy na sprawę z punktu tradycyjnej terminologii: folwark to gospodarka „własna“ wielkiej własności. Własna — oznacza tu w istocie związanie ryzyka produkcji w pierwszym rzucie z dworem; z kolei mogło być ono przerzucone na chłopów, a zatem ma się tu do czynienia z formalnym tylko związaniem ryzyka produkcji z dworem. Przy gospodarce wielkiej własności nie folwarcznej (wedle tradycyjnej terminologii) ryzyko produkcji związane jest bezpośrednio z chłopem.

Przyznaje się ostatnio, że folwarki (w tradycyjnym sensie) musiały istnieć już w okresie przed kolonizacją niemiecką. Większa gospodarka rolna przy pomocy niewolników miała oczywiście charakter gospodarki folwarcznej. Dokumenty lokacyjne ustanawiały obok czynszu (w pieniądzu i naturze) także robociznę, w wymiarze kilku dni w roku, z ustaw dworskich XIII wieku znamy robociznę sześciotygodniową w roku (w trzech porach); przy wysokiej z reguły liczbie projektowanych w dokumentach lokacyjnych gospodarstw chłopskich ilość robocizny z całej osady musiała być znaczna. Kolonizacja nie ogarnęła wszystkich wsi w Polsce, rozmiary jej nie-

wątpliwie przecenia się. (Postawa krytyczna wobec dotychczasowych poglądów w tym zakresie powinna być uwarunkowana nie antyniemieckim nastawieniem, ale rzeczowymi, a przede wszystkim gospodarczymi kryteriami; ale o tym gdzie indziej). Gdzież zatem wystarczające przesłanki, aby przynajmniej, że kolonizacja i okres kolonizacji stanowią przerwę w rozwoju folwarków?

Tradycyjne wiązanie rozwoju folwarków z drugą połową XV wieku dopiero jest stanowczo fałszywe. Przekładamy czasami cezurę między średniowieczem a czasami nowożytnymi w Polsce źle służy faktycznemu materiałowi historycznemu. Ani przeobrażenia społeczne, ani przeobrażenia gospodarcze nie miały u nas charakteru gwałtownego, nie ma żadnych powodów do tego, aby dopatrywać się w Polsce na umownym przełomie dwóch epok historii zachodnio-europejskiej (sic!) rewolucji, którą w istocie byłaby zmiana ustroju społeczno-gospodarczego taka, jaką tradycyjnie przyjmuje się.

Mimo renesansu i reformacji (tylko w górnych warstwach!) czasy nowsze w Polsce nie przeciwstawiły się dawniejszym — jak na Zachodzie — ani pod względem religii, ani pod względem układu społecznego i nowej roli poszczególnych warstw społecznych, ani wreszcie — co dośkądnie wiąże się z poprzednim — pod względem ustroju gospodarczego. Naturalnie, że ulegał on zmianom, ale zwyczajnym, łagodnym, „ilościowym“ zmianom. Zasadniczy typ ustroju pozostał właściwie ten sam i to nas różni od Europy.

Niezienna podstawą polskiego ustroju, jego instytucją elementarną była instytucja wielkiej własności ziemskiej (jak w średniowieczu wszędzie) i jej rola przetrwała bez większych zmian do rozbiorów. Wielką własność to baza egzystencjalna warstw rządzących w Polsce, a zarazem główna forma uzależnienia przeważającej części ludności przez cały ciąg dziejów Polski, co najmniej przedrozbiorowej. W tych warunkach dzieje wielkiej własności musiały być zwornikowym czynnikiem dziejów Polski w ogóle, a dziejów gospodarczych i społecznych Polski przede wszystkim. Należało by napisać taką historię Polski i mam przeświadczenie, że tylko taka historia Polski mogłaby być historią trzeźwą.

Gospodarczym dziejom Polski wyznaczą ją dzieje wielkiej własności nurt prosty, konsekwentny, oczywisty. Nadania ziemi

¹⁾ W 1934 r. ogłosił Rutkowski interesującą rozprawkę pt. „Co to były folwarki w dawnej Polsce“? (Roczniki dziejów społecznych i gospodarczych, tom III). Zajął w niej stanowisko tradycyjne.

i ludzi, immunitety i kolonizacja, dalszy rozwój folwarków, eliminacja innych klas gospodarczych, względnie eliminacja ich szans rozwoju, wręgnięcie ich w tryby ustroju wielkiej własności, wytworzenie nowej struktury społecznej, opanowanie ośrodków władzy państwowej przez dysponentów wielkiej własności i użytkowanie tej władzy po linii interesów wielkiej własności, polityka ekspansji agrarnej, eksportu rolnego, atomizacja terytorium państwa na suwerenne majątki — państwka, parlamentaryzm typu kongresowego, reguła: liberum veto i elekcji viritum, straszak: absolutum dominium i „nierząd“, aż po konsekwencje rozbiorowe — to logiczne, nieuniknione etapy dziejów gospodarczych i politycznych, wyznaczone przez rolę wielkiej własności w ustroju naszym.

Konstrukcja książki prof. Rutkowskiego rozбивa ten wątek faktów i następstw. Autor miał wprawdzie odwagę wprowadzić w tytule pierwszego rozdziału i jeszcze raz w tekście określenie, którego nauka nasza starannie się wystrzegająca: feudalizacja ustroju, ale tekst książki nawet w tym jednym rozdziale nie przedstawia wyraźnie tego procesu, a już następny rozdział o znamienym tytule: „Rozwój miast — informujący o całokształcie dziejów gospodarczych w późniejszym średniowieczu — ma służyć jako czynnik przeciw-wagi wobec dziejów późniejszych z wielką własnością ziemską i elementami feudalnymi na czele.¹⁾

W rzeczywistości feudalizacja ustroju gospodarczego (i politycznego) Polski nie została zahamowana ani w późnym średniowieczu, ani w tzw. czasach nowożytnych

i to ostatnie stanowi właśnie specificum historii Polski.

I podobna sytuacja powtarza się jeszcze raz u Rutkowskiego w czasach nowożytnych. Po epoce rozkwitu gospodarki pańszczyźniano-folwarczej, znamionującej wiek XVI do połowy XVII, następuje u niego epoka reform osiemnastowiecznych (nazwana przez autora tradycyjnie epoką stanisławowską, mimo że obejmuje i czasy saskie od 1717 r.), reform monetarnych, skarbowych i „włościańskich“, oraz „odrodzenie“ miast, przemysłu i handlu. Rozdział ten zamyka ustęp o gospodarczym podłożu rozbiorów Polski.

Taki był tradycyjny tok wywodów: było niegdys źle u nas, ale rozbiory spadły na nas wówczas, kiedyśmy już wstąpili w okres zbawiennych reform; rozbiory zahamowały rozpoczynające się już odrodzenie.

Nie wydaje mi się, aby fakty — w skali zjawisk mających rzeczywiste znaczenie narodowe — dość mocno podbudowywały taką koncepcję. Czy sytuację z XVIII wieku można określić mianem odrodzenia? Z pewnością tak, ale tylko w stosunku do poprzedzającego okresu upadku u gospodarczego z drugiej połowy XVII wieku. Mamy tutaj do czynienia z charakterystyczną odbudową gospodarczą (częściowo i polityczną) powojenną. Ale nie widzę w tych faktach nic prawie, co by kwalifikowało XVIII wiek czy tylko okres stanisławowski u nas jako przewrót ustrojowy. Nie tylko bowiem nie można przeceniać roli reform wiejskich i rozwoju przemysłu, skoro zasięg ich nie był powszechny; ważna jest sprawa należytego umiejscowienia ich w stosunku do wcześniejszej i współczesnej im struktury ekonomiczno-społecznej. Tutaj — moim zdaniem — popełnia się istotny błąd. Reformy te i „odrodzenie“ nie stanowiły odwrotu od tradycyjnej linii rozwoju dziejowego, nie przeciwstawiały się dotychczasowej treści zasadniczej ustroju, a przeciwnie, stanowiły kolejny, konsekwentny etap dalszego rozwoju tych samych sił społecznych i tych samych instytucji, których dzieje były trzonem historii Polski od wielu stuleci. Reformy na

¹⁾ W ogłoszonym w 1938 (P.A.U.) studium pt. Badania nad podziałem dochodów w Polsce w czasach nowożytnych tom I. — Rutkowski stwierdzał, że idzie „za zdaniem tych, którzy feudalizm agrarny widzą w rozdziale praw do ziemi na tzw. zwierzchnią własność i różne formy własności użytkowej względnie inne formy użytkowania ziemi, ograniczające prawa użytkującego na rzecz pana, to jest zwierzchniego lub pełnego właściciela ziemi. Drugą istotną rzeczą w feudalizmie agrarnym jest połączenie z tą pańską własnością ziemską pewnych praw i obowiązków w zakresie sądownictwa, administracji i innych uprawnień publicznych. W najściślejszym związku z tymi cechami ustrojowymi pozostają mniejsze lub większe ograniczenia w prawnym położeniu ludności włościańskiej, zwane zazwyczaj poddaństwem. Łącznym skutkiem tego ustroju jest istnienie systemu bezpośrednich i pośrednich ciężarów, zwanych zazwyczaj dworskimi. Ciężary dworskie obejmują całokształt życia gospodarczego i są z punktu widzenia podziału dochodu najważniejszym przejawem feudalizmu gospodarczego“.

A dalej: „Kwestia tej lub innej definicji feudalnego ustroju gospodarczego nie posiada dla całych dalszych rozmowań większego znaczenia. Chodzi nam o przeprowadzenie pewnych rozważań odnoszących się do ustroju rolnego, który był typowym dla krajów europejskich, a wśród nich i Polski, w średniowieczu i czasach nowożytnych przed reformami rolnymi w. XVIII i XIX. Jest rzeczą mniejszej wagi, jak ten ustrój zostanie nazwany“ (Rozdział I pt. „Rozważania teoretyczne o podziale dochodów w ustroju feudalnym“).

wsi — to były reformy wielkiej własności, chłop uszczknął tu i ówdzie trochę samodzielnosci, gdy to wynikało z nowej lepszej dla dworu organizacji pracy. (Częściej zresztą tracił na tej nowej organizacji, a sentymentalne słownictwo racjonalistów pokrywało istotną racjonalizację — z punktu gospodarki dworu, ostrą reglamentacją, z reguły bolesną dla tych, którzy stanowią jej przedmiot).

To samo na ogół z przemysłem. To nie była erupcja nowych sił społecznych jak na Zachodzie; przemysł stanisławowski stanowiącą nową formę rozwoju ekonomicznego wielkiej własności, pozostawał w ścisłym związku z nią, był jedną z odnóg gospodarki latyfundijskiej, służył tej samej klasie społecznej panów ziemskich, którzy i dotąd byli stale „na górze” w ustroju państwowym.

Układ materiału zastosowany przez Rutkowskiego, nietrafny rzeczowo, jest też kłopotliwy technicznie. Szereg elementów ustroju gospodarczego, można by powiedzieć większość, nie ulegała istotniejszym zmianom na przełomie i w ciągu poszczególnych okresów historii wprowadzonych przez Rutkowskiego. W szczególności ustrój miast, organizacja handlu i rzemiosła, ustrój skarbowy, a także szlaki komunikacyjne, charakter eksportu itd. przez cały ciąg historii (przynajmniej do rozbiórów, w niejednym i dłużej) — średniowiecznej, — jeżeli nazwać rzecz lapidarnie z niewielkim błędem — miały we wszystkich okresach wyznaczonych przez Rutkowskiego, lub co najmniej w kilku kolejnych, bardzo dużo tych samych elementów treściowych i autor książki zmuszony jest powtarzać je w kolejnych rozdziałach, względnie, chcąc tego uniknąć, zaznacza w wielu miejscach, że podane przez niego szczególnie odnoszą się nie tylko do epoki, w której o nich mówi, ale i do wcześniejszych lub późniejszych, gdzie indziej znowu, nie mogąc sztucznie rozzerwać ciągłości przemian pewnej instytucji, zamieszcza jej dzieje, chronologicznie należące do pewnego okresu, w innym, sąsiednim.

Do rozszerzonego i gruntownie zmienionego „Wstępu do gospodarczych dziejów Polski” wprowadził autor nowy obszerny ustęp, poświęcony tak podstawowemu dla zarysu dziejów, jakim jest omawiana tu praca Rutkowskiego, zagadnieniu syntezy historii gospodarczej. Niemal cały ten ustęp poświęcony jest marksizmowi, jako doktrynie materializmu historycznego.

„Wobec wzajemnej zależności wszystkich składników życia społeczeństwa —

pisze Rutkowski — moment ekonomiczny nie jest jedynym czynnikiem decydującym o całokształcie rozwoju dziejowego, ale jest on siłą «najpotężniejszą, najpierwotniejszą, najbardziej decydującą». «ostatnią przyczyną i rozstrzygającą siłą napędową wszystkich ważnych wydarzeń historycznych» (cytat z Engelsa)”. „W rozwoju dziejowym — pisze dalej Rutkowski — mamy stale do czynienia z bezpośrednim i pośrednim oddziaływaniem podstawy ekonomicznej na poszczególne elementy rozwoju dziejowego. Z oddziaływań pośrednich największe znaczenie posiadają te z nich, które idą przez tworzenie się klas i innych grup społecznych i ich walkę o interesy ekonomiczne”.

„Doktryna materializmu historycznego — cytuję w dalszym ciągu Rutkowskiego — miała poważny wpływ na rozwój historiografii od końca XIX w.; wpływ ten stał się szczególnie silnym po pierwszej wojnie światowej. Jeżeli chodzi o polską historiografię, to badania nad bezpośrednim oddziaływaniem techniki produkcji i komunikacji na różne sfery życia są dotychczas bardzo słabo rozwinięte”.

„Teoria materializmu historycznego — pisze Rutkowski — jest teorią uniwersalną w tym znaczeniu, że stara się ona w jednolity sposób wytłumaczyć całokształt rozwoju dziejowego ludzkości we wszystkich przejawach kulturalnej działalności człowieka. Może ona więc być podstawą do syntetycznego ujęcia całości dziejów”.

Od tego miejsca przestają rozumieć stanowisko autora. Pisze on bowiem w dalszym ciągu: „można powiedzieć, że posiada ona (tj. teoria materializmu historycznego) z tego punktu widzenia (tj. jako podstawa do syntetycznego ujęcia całości dziejów — ? por. zdanie ostatnie) z poprzedniego cytatu) większe znaczenie dla syntetycznego ujmowania nadbudowy aniżeli samej podstawy, tj. historii techniki i całej kultury materialnej oraz historii społeczno-gospodarczej. Rozwój stosunków gospodarczych posiada własną, bardziej niż wszystkie inne wycinki życia samodzielną dynamikę rozwojową. Zagadnienie syntezy w obrębie dziejów gospodarczych posiada wskutek tego pewną samodzielnosc”.

Pewną samodzielnosc — tylko! Obawiam się, że twierdzenie o posiadaniu przez rozwój stosunków gospodarczych bardziej samodzielnej dynamiki rozwojowej niż wszystkie inne wycinki życia spotka się z protestami ze strony badaczy tych „wszystkich innych wycinków życia”. Przecież „nawet” marksizm, jak to widoczne

chociażby z cytowanego przez Rutkowskiego sformułowania Engelsa, przyznaje nie tylko pewną samodzielność poszczególnym dziedzinom życia, ale owszem wcale znaczną, nie przyznaje im tylko samodzielności całkowitej, samodzielności w założeniu, samodzielności w sensie autonomizmu ich podstawy rozwojowej. Też o pewnej samodzielności tylko, nie można przeciwstawiać się materializmowi.

Nie wiem jak rozumieć naukowy akces do materializmu (jakim jest zacytowany powyżej w części tekst prof. Rutkowskiego), jeżeli równocześnie zastrzega się co do niezależności rozwoju stosunków gospodarczych, a więc tych, którymi zajmuje się ekonomia czyli nauka, która stanowi podstawę teorii materializmu w zakresie stosunków społecznych. Materialistyczna — według Rutkowskiego — nadbudowa (czytaj: rozwój innych dziedzin życia poza dziedziną gospodarczą), która by się wznosiła nad niematerialistyczną podstawą, jaką — jak chce Rutkowski — stanowi życie gospodarcze, to konstrukcja nie do przyjęcia.

Ale w dżungli tradycyjnego słownictwa, skojarzeń i sformułowań, przesłaniających rzeczywiste fakty i rzeczywiste ich związki, trudno być konsekwentnie rzeczowym, nie „idealizującym“, nawet temu, kto reprezentuje dziedzinę wiedzy społecznej tak rzeczowej, tak z natury sprzeczej ze skłonnościami do mitologizowania wszelkiego typu, jaką stanowi właśnie dziedzina zjawisk gospodarczych. Tak np. w rozdziale o wczesnym średniowieczu czytamy: „Państwo, absorbując siły pewnej liczby jednostek, zmuszone było zabezpieczać ich byt materialny; musiało się to stać kosztem narzucania ludności pracującej gospodarzo różnym ciężarów“.

„Zmuszeni oni byli (wolni dziedzice drobnej własności ziemskiej) ponosić różne ciężary potrzebne do funkcjonowania organizacji państwowej... co początkowo zupełnie nie zmniejszało ich praw do ziemi. Z biegiem czasu jednakże, gdy część tych dziedziców drogą nadań przeszła wraz ze swoimi gospodarstwami w posiadanie kościoła i świeckich wielkich właścicieli, a pozostali przydzieleni zostali do powyodrębnianych poszczególnych majątków panującego, gdy w obrębie wielkiej własności wszelkich kategorii rozpoczęła się praca gospodarczej ich reorganizacji, rozpoczęła się też proces wywłaszczania dziedziców.“

A więc: nadania, przydzielenie, wywłaszczanie.

„Gospodarze organizowanie się wielkiej własności nakładało na ludność różne usługi i robocizny“.

Gospodarze? Chyba bardziej społeczno-polityczne.

Autor uznaje niewystarczalność jurydycznej interpretacji powstania zależności drobnych posiadaczy od wielkiej własności, a jednak i sam przesłania rzeczywistość przemian społeczno-gospodarczych konstrukcją prawniczą. Cytuję cały ustęp:

„Trudniejsza do wyjaśnienia jest sprawa powinności dworskich dawnych wolnych dziedziców, włączonych obecnie wraz ze swoimi posiadłościami w obręb wielkiej własności. Dawniejszy pogląd, jakoby wszystkie te powinności, nawet w posiadłościach kościelnych i prywatnych świeckich, pochodziły z danin i posług publicznych, świadczonych pierwotnie na rzecz panującego, a później przekazywanych innym właścicielom i przystosowanych do ich potrzeb, obecnie nie da się już utrzymać. Być może, że w chwili powstawania państwowości, powinności publiczne na rzecz państwa i panującego były jedynym obciążeniem wolnej ludności wiejskiej; wkrótce jednakże, prawdopodobnie w związku ze zróżniczkowaniem sposobu ich poboru, musiał nastąpić podział na późniejsze daniny i usługi publiczne, dotychczas pobierane przez grody, i prywatne, pobierane przez dwory panującego. Nadania pierwotnie obejmowały prawdopodobnie tylko te drugie świadczenia, podczas gdy pierwsze, jako ciężary prawa książęcego, szły w dalszym ciągu na rzecz panującego, dopóki drogą osobnych przywilejów immunitetowych panujący ich nie zniosł, względnie nie przekazał właścicielowi danego majątku. Umożliwiło to tym ostatnim odpowiednią modyfikację tych ciężarów i przystosowanie ich do odmiennych własnych potrzeb“.

A więc znowu: nadania i przywileje immunitetowe. Wszystko się działo układnie, może z powołaniem odpowiednich paragrafów kodeksu, tylko nie wiadomo skąd, u licha, wzięły się nadania ziemi z ludźmi — wolnymi, a właśnie z faktu znalezienia się ich w obrębie wielkiej własności czy w orbicie potęgi wielkiej własności wynikały konkretne obowiązki małych wobec wielkich.

Wielką zasługą Rutkowskiego jest docenienie roli kościoła w Polsce. „Przyjęcie chrześcijaństwa — pisze on — było jednym z najdonioślejszych faktów w dziejach Polski. Spowodowany tym faktem przełom

w ustroju gospodarczym miał niemniejsze znaczenie niż w innych dziedzinach życia". „Kościoł... przyniósł ze sobą do Polski zupełnie ustalone pojęcie o własności ziemskiej, od samego początku swojej działalności w Polsce starał się uzyskać nadania, które by mu umożliwiały gospodarczą reorganizację odnośnych majątków, a na nadaniach na rzecz kościoła wzorowały się nadania na rzecz świeckich".

Znowu język prawniczy; ważna jest istota rzeczy: geneza powstania instytucji wielkiej własności w Polsce.

A jej skutki: „prawa do ziemi (wolnych „dziedziców“, którzy znaleźli się w obrębie wielkiej własności) musiały ustąpić wobec potrzeb gospodarczych tej ostatniej"; „organizacja gospodarcza wielkiej własności musiała się oczywiście odbić na uwarstwieniu ludności wiejskiej“, a gdzie indziej mówi już o bardzo silnym wpływie powstania wielkiej własności ziemskiej na całą strukturę społeczno-gospodarczą Polski.

Można by wskazać kilka poważnych luk treściowych w bogatym w fakty zarysie prof. Rutkowskiego. I tak nie znalazła omówienia sprawa Kozaczyzny i jej podłoża gospodarczego, mimo że autor poświęcił kilkanaście stronie przedstawieniu gospodarczego tła walk narodowościowych w Polsce w czasach nowożytnych; w istocie omówił na nich prawie wyłącznie sprawę żydowską. O ruchach chłopskich wspomniano dopiero w odniesieniu do XVIII w. Brak nam omówienia literatury politycznej w sprawie chłopskiej z XVI i XVII w.; literatury o obfitej treści ekonomicznej; znowu uwzględniona została literatura tego typu tylko z XVIII w. Nie spotykamy wiadomości o trybunale skarbowym i o sejmikach gospodarskich: Jako dotkliwy odczuwa się brak przedstawienia skarbowości kościoła w czasach nowożytnych; tłumaczy się on niedostatkiem odpowiednich opracowań, ale historyk tej miary co Rutkowski miałby z pewnością niejedno do powiedzenia w tym zakresie na podstawie własnej znajomości materiałów źródłowych, tak jak to czyni w wielu innych miejscach swego Zarysu. W ogóle obraz świadczeń ekonomicznych na rzecz kościoła i ich roli w całości ustroju gospodarczego Polski jest bardzo nieplastyczny.

Można też powiedzieć, że nie ma w

Zarysie gospodarczych dziejów „unii“, a więc gospodarczej, a także socjalnej treści ekspansji Polski na wschód; w kilku miejscach musiał oczywiście autor potrącić o tę sprawę, ale nie ma to nic wspólnego z obrazem tych przemian struktury gospodarczej Polski, które pokrywamy polityczno-prawnym mianem „unii“. Właściwie nie ma w zarysie w ogóle problemu samego rozprzestrzeniania się Polski na wschód — problemu tak doniosłego w dziejach naszych.

Nie została też — mimo obecnych specjalnych zainteresowań — uwypuklona rola Zakonu Krzyżackiego i Prus Książęcych w życiu gospodarczym Polski — rola niebanalna i niemało ważna. Wydało mi się, że od tej strony m. in. szukać należy przyczyn kierunku rozwoju gospodarczego (i politycznego) Polski.

(Przy okazji terminologia „Prusy“ bez bliższego oznaczenia czy idzie o Prusy zakonne, książęce czy królewskie, zaclera znaczenie określonych w ten sposób faktów).

Najslabszą może stroną Zarysu Rutkowskiego jest brak (niemał zupełny) powiązań obrazu stosunków i urządzeń polskich ze współczesną strukturą gospodarczą europejską; przedmiot został potraktowany w izolacji narodowej (wskazanie dróg eksportu i cyfr eksportu nie może wystarczyć!), a przecież ignorowanie splotu zależności zjawisk gospodarczych na całym obszarze ich działania się, musi deformować sens obserwacji poczynionych tylko w granicach jednego państwa.

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń nowy Zarys prof. Rutkowskiego powinien być przyjęty jak najzyczliwiej. Jak poprzednie jego wydanie z 1923 r. przez dwadzieścia lat pełniło funkcję właściwie jedynego w praktyce podręcznika dziejów gospodarczych Polski przedrozbiorowej, tak i to nowe wydanie, dojrzałe o dwadzieścia lat nauki polskiej w ogóle, a studiów samego autora w szczególności, dobrze będzie służyło obfitością rzetelnej wiedzy, którą zawiera.

Książkę zamyka imponujące rozmiarami (3½ arkusza druku!) i niezmiernie użyteczne zestawienie ważniejszych opracowań z historii gospodarczej Polski.

Stanisław Sreniowski

* * *

Maria i Zygmunt Wojciechowski: Polska Piastów, Polska Jagiellonów. (Poznań) 1946, Druk. Sw. Wojciecha, str. 479.

Praca Marii i Zygmunta Wojciechowskich uderza przede wszystkim piękną szatą zewnętrzną. Jest bodajże jedyną książką powojenną wydaną w Polsce w sposób tak staranny. Bogaty dobór ilustracji, opatrzonych szczegółowymi objaśnieniami, załączenie mapek ilustrujących poszczególne sytuacje wojenne i polityczne — przyjemnie działa na czytelnika rozpoczynającego lekturę tej książki.

Autorowie napisali swe dzieło dla szerokiego rzesz młodzieży (dodajmy starszej młodzieży) i dla dorosłych. Długo czekaliśmy na tego rodzaju popularyzację! Wyniki najnowszych badań historycznych ogłaszano w ciasnym świecie naukowym, brakło natomiast nowoczesnych „Wieczorów pod lipą” — odpowiadających wymogom dzisiejszego czytelnika, który pragnie odbajecznienia historii, a przedstawienia realnej treści życia.

Czy autorowie „Polski Piastów, Polski Jagiellonów” dali nam historię napisaną tradycyjnie? Skłonni jesteśmy twierdzić, że tak. By twierdzenie nasze nie było głoślowe wspomniemy o przewadze dziejów politycznych nad dziejami społecznymi i gospodarczymi, a także (o dziwo! przecież Zygmunt Wojciechowski jest przede wszystkim historykiem ustroju) nad dziejami ustroju. Autorowie przytłaczają czytelnika obfitością genealogii, którą musi znać historyk, nudną natomiast dla niefachowca. Czytelnik nie widzi społeczeństwa, ma tylko przez cały czas przed oczyma księcia, króla, dwór, biskupów. Z procesami społecznymi zaznajamia się tylko w krótkich stosunkowo charakterystykach poszczególnych epok.

Czy mamy prawo domagać się od tego rodzaju popularyzacji — stojącej niewątpliwie na bardzo wysokim poziomie — wprowadzenia nowości? — Dotychczasowa bowiem przewaga historii politycznej była w historiografii przytłaczająca. Spór między historią polityczną a społeczno-gospodarczą o równorzędne traktowanie — został od dawna przez tę ostatnią wygrany. Mimo to w historiografii polskiej chodziły sobie te dwie gałęzie tej samej dyscypliny luzno obok siebie i brakło nam syntezy.

Dziś mamy prawo się jej domagać, a żądanie to nie przesądza wcale konieczności stawiania zagadnień „na głowie“, konieczności jakiegś niezdrowej i niepożądananej „rewelacji“. Mamy przecież monografię i syntezy dziejów gospodarczych (gorzej ma się sprawa z dziejami społecznymi), wystarczy tylko po nie sięgnąć, by uzyskać całość obrazu historycznego.

Sredniowieczna historiografia za główny przedmiot swych opisów wybierała zdarzenia „godne pamięci“. I my dziś nie wypieramy się tego poglądu, tylko inną on dla nas zawiera treść. Dla dziejopisa średniowiecznego istotnie „godne pamięci“ były czyny przywódców narodowych, ludzi „dobrze urodzonych“ i z tego tytułu stojących na świeczniku społecznym. Pogląd ten wynikał ze średniowiecznej hierarchii ustrojowej, która prowadziła do hierarchii ważności człowieka. Dziś dla nas „godne pamięci“ z przeszłości jest to, co nam daje nasz własny rodowód, rodowód nas samych.

Nowy ton dźwięczący w niniejszej pracy, to podkreślenie stosunku Polski do Zachodu, w szczególności do Niemiec. Ton ten dźwięczy we wszystkich powojennych pracach Zygmunta Wojciechowskiego, zarówno w pracy „Polska — Niemcy“, jak i w „Zygmuncie Starym“. W omawianej przez nas pracy jest znacznie złagodzony, co wychodzi książce na korzyść. Natomiast zagadnienie stosunku Polski do Rusi i Moskwy jest zbyt wąsko potraktowane.

Wskutek kondensacji ogromu wiedzy historycznej — książka nie jest lekturą łatwą, a wiedza góruje w niej nad plastyką obrazu.

Na czym więc polega popularyzacja? — Na wyjaśnianiu przez autorów podstawowych pojęć historycznych, np. na zapoznaniu czytelnika z pojęciem źródła historycznego, przy czym źródło zostało pokazane w formie dobrze dobranych reprodukcji dokumentów i zabytków; dalej na urozmaiceniu rzetelnej wiedzy historycznej obrazami historycznymi, np. zjazd gnieźnieński 1000 r., bitwa pod Płowcami, pogrzeb Kazimierza Wielkiego, bitwa pod Grunwaldem, pogrzeb Jagiełły itd. itd.

Zaletą książki jest odbajecznienie przedmieszkowych dziejów Polski, przemawianie do czytelnika językiem trzeźwym, pozbawionym frazeologii. Przedstawienie chrztu Polski jako aktu politycznego przemawia do czytelnika. Przydałoby się może wy-

jaśnienie, że ożenki Piastów, które autorowie tak szczegółowo przedstawiają, może zasugerowani „Genealogią Piastów” Balzera—były koniecznym narzędziem ówczesnej dyplomacji.

Nie brak też nuty dumy narodowej i podkreślenia momentu umiłowania wolności przez Polaków. Np. Chrobry chciał utrzymać Czechy i nie zgodził się na propozycję cesarza Henryka, by zatrzymać je jako lenno cesarskie. Tu przeciwstawiają autorowie decyzję polityczną księcia czeskiego św. Wacława, który „w podobnych warunkach... zgodził się na uznanie zwierzchności nad sobą króla niemieckiego Henryka Ptasznika” (str. 34/35). Przykładów takich znajdujemy więcej. — Miłe są one sercu polskiemu, schlebiają mu, podnoszą jego samopoczucie. Ale... sprawą otwartej dyskusji byłoby, czy tego rodzaju przykłady działają wychowawczo dodatnio, czy nie usypiają samokrytycyzmu narodowego? Na romantycznym pojęciu honoru

polskiego nie zawsze dobrześmy wychodzili.

Mimo powyższych uwag, należy powitać pracę Wojciechowskich z pełnym uznaniem dla trudu autorów, którzy udostępnili najnowsze wyniki badań historycznych, dali lekturę rzetelną, której od dawna nam brakowało.

W latach przedwojennych słyszeliśmy ze strony historyków skargi na antyhistoryzm w społeczeństwie. Minął okres, kiedy w każdym niemal domu polskim były dzieła Sokolowskiego, Kubali, Szajnochy. Czy jednak wina była tylko po stronie społeczeństwa? Sądźmy, że raczej zawiniли tu historycy, nie dając odpowiedniej lektury. Dziś zainteresowania historyczne — szczególnie wśród młodzieży — są bardzo silne, a lektura książki Wojciechowskich niewątpliwie je pogłębi.

Krystyna Sreniowska

* * *

„La conjoncture mondiale”, nr. 1, 1946 r.

Z inicjatywy francuskiego Ministerstwa Gospodarki Narodowej został powołany do życia Instytut Narodowy Statystyki i Studiów Ekonomicznych. Instytut ten w ramach swej, szerszej zresztą działalności, przystąpił do wydawania całego szeregu periodyków, jak „Le Bulletin de l'Evolution Hebdomadaire Economique”, „Le Bulletin mensuel de la Statistique Generale de la France” tudzież „La Conjoncture Française” i „La Conjoncture—Economie Mondiale”.

Miesięcznik „La Conjoncture — Economie Mondiale” zaczął wychodzić w czerwcu br. Zadania, jakie stawia sobie redakcja tego czasopisma, sprowadzają się do przedstawienia — w sposób reasumujący — sytuacji gospodarczej na świecie, publikowania studiów z zakresu wytwórczości zarówno poszczególnych krajów jak i poszczególnych gałęzi produkcji, informowania o wydarzeniach mających międzynarodowe znaczenie, a wreszcie odzwierciedlenia ekonomiki światowej w tablicach statystycznych i graficznych wykresach.

W numerze pierwszym w dziale „zagadnień aktualnych” tego miesięcznika bardzo szczegółowo został przedstawiony pię-

cioletni plan (1946—1950) ZSRR. Zebrany materiał ujęty tu został w cały szereg tablic i zestawień cyfrowych w sposób niezwykle jasny i przejrzysty. Miesięcznik ogranicza się w omówieniu planu do krótkiego wprowadzającego wstępu, pozostawiając samą ocenę czytelnikowi.

„Zasobom kopalnianym USA” poświęcone jest studium M. Silbernera. W stosunkowo krótkim ale interesującym szkicu autor omawia kolejno rozwój amerykańskiej produkcji kopalnianej w latach 1880—1944, możliwości nowych odkryć geologicznych, stopień wyczerpywania się rezerw i stosunek posiadanych rezerw do konsumpcji. W konkluzji autor wypowiada swe przekonanie, że jeśli Stanom Zjednoczonym nie uda się dokonać jakichś nowych odkryć pokładów kopalnianych, ekonomika kraju będzie musiała ulec znacznym przemianom. Autor zastrzega się, że te przemiany nie oznaczają bynajmniej jakiejś groźby obniżenia się potencjonalnych możliwości gospodarczych.

Stany Zjednoczone są bowiem jednym z nielicznych krajów świata, które wystarczają sobie same w dziedzinie najważniejszych kopalin, zaś mangan, chrom i nikiel, niezbędne dla przemysłu USA, będą mogły Stany Zjednoczone importować jeszcze

przez długie dziesiątki lat, gdyż zapotrzebowanie tych metali w żadnym wypadku nie przekroczy możliwości ich wywozu. Za jakie lat dziesięć będą musiały też Stany Zjednoczone zacząć importować miedź i ołów skąpy, lecz w zamian za to będą one jeszcze ciągle mogły zaofiarować innym krajom w czterokrotnym rozmiarze (w stosunku do kopalni zapotrzebowywanych) cynk, ołów, kadm, rtęć, rudę boksytową, wanad, platynę i mangan. Również i ten szkic ilustrują ciekawe wykresy.

W czasopiśmie znajdujemy też interesujące dane, dotyczące „Kryzysu bawełnianego w Egipcie po wojnie”. W artykule omówiono znaczenie bawełny egipskiej na rynku światowym tudzież kryzys w dziedzinie produkcji zbytu bawełny egipskiej (nawiasem mówiąc rozróżnienie niezbyt szczególne). Artykuł sugeruje, że kryzys w zakresie bawełny egipskiej jest rezultatem braku tonażu i trudności płatniczych, wynikających z bardzo wysokiej ceny bawełny egipskiej, która ukształtowała się w czasie wojny w konsekwencji napływu pieniędzy i spekulacji spowodowanej wojną, tak iż ścisły związek jaki istniał z cenami amerykańskimi zanikł się zupełnie. W przeciwieństwie do innych eksporterów (USA, Brazylia) Egipt nie potrafił więc zmniejszyć swych zapasów bawełny. Daje się tu też we znaki brak dewiz wśród takich państw, jak Włochy, Rumunia czy Hiszpania, które mogłyby stanowić odbiorców dla egipskiej bawełny. Są propozycje, by Egipt pokrywał swe zobowiązania w stosunku do UNRRA w bawełnie, istnieją też projekty ze strony rządu egipskiego premij wywozowych i niższych taryf kolejowej dla bawełny. Są to jednak tylko paliatywy (jak wyznaje sam artykuł i zmiany mogą zajść tylko w wyniku zmian w skali światowej).

Pod względem materiału statystycznego i informacyjnego artykuł przynosi wicie — trudno się jednak zgodzić z jego konkluzjami w ocenie przyczyn kryzysu egipskiej bawełny; widać, że autorzy artykułu zbyt hołdują szkole neoklasycznej w ekonomii, a zwłaszcza niedziele równowag cząstkowych, która wyodrębnia z całości układu gospodarczego rynki dla poszczególnych dóbr.

W artykule „Teoretyczne możliwości wywozu przemysłu włoskiego w 1946 roku” podano przedstawiony przez rząd włoski plan, mający stanowić bazę dla handlowych negocjacji z innymi państwami. Plan ten daje, rzecz prosta, co najwyżej możliwości porównań z eksportem przed-

wziętym, jak i rzeczywistych odchyłań przy jego realizacji. Artykuł ten ma charakter informacyjny i nie usiłuje dać jakiegokolwiek oceny.

Takiż charakter informacyjny posiada i następny artykuł omawiający „Przemysł czekoladowy w Szwajcarii”, który ilustruje rozwój, warunki produkcyjne i wydajność tego przemysłu.

W dziale drugim, ujętym w nagłówku „Rozwój sytuacji gospodarczej”, znajdujemy najpierw „Ogólny przegląd gospodarczej sytuacji na świecie”.

W przeglądzie tym redakcja stwierdza, że rozwój aktywności przemysłowej w Europie nie postępuje tak szybko, jak się tego spodziewano po kapitulacji Niemiec. Najgorzej przedstawia się tu sprawa, jeśli idzie o niedostatek węgla. Produkcja węgla w Zagłębiu Ruhry i Saary osiągnęła 38 procent z 1938 roku, w Belgii 78%, w Holandii 57%, tylko Francja osiągnęła poziom z r. 1939, ale i to w rezultacie faktu, że górnicy francuscy pracują obecnie sześć dni w tygodniu, a nie jak przed wojną tylko pięć. W Anglii srożący się po 1940 roku kryzys węglowy zaznaczył się znowu. Produkcja brytyjska uległa zmniejszeniu. W dostawach światowych pozycja Anglii wynosi zaledwie 10%, w tym czasie, gdy USA dostarczają 41%. W dziedzinie surowki i siłki, z wyjątkiem Anglii i Szwecji, żadne z państw nie osiągnęło poziomu przedwojennej produkcji. Artykuł porusza w związku z produkcją również i zagadnienie transportu. W przeglądzie tym uderza fragmentaryczność danych i niemal ich całkowity brak w odniesieniu do Polski.

Przeгляд szczegółowy obejmuje kraje europejskie takie, jak Belgia i Finlandia, Anglia, Grecja, Włochy, Holandia, a następnie Stany Zjednoczone, Argentyna i Australia.

W Belgii rozwój gospodarczy ma tendencje zwykłe. W maju 1946 poziom produkcji podniósł się do 70% przedwojennego. Kryzys w dziedzinie węgla, wywołany w pierwszym rzędzie brakiem rąk do pracy, został przewyżczony dzięki modernizacji kopalni i zatrudnieniu górników z zagranicy — zwłaszcza Włochów. Belgii udało się też opanować groźbę inflacji i frank belgijski mający 53% pokrycia w złocie jest dzisiaj bodajże jedną z najsolidniejszych walut świata. W roku 1946 Belgia preliniuje swój import w wysokości 50 miliardów franków, zaś eksport w wysokości 20 miliardów. Niedobór bilansu handlowego zostanie pokryty dawnymi saldami i należnościami

Powierzchnia uprawy rolnej w Belgii skurczyła się z 1.765,171 ha w 1943 do 1.706,117 ha w 1945 w wyniku braku rąk roboczych, rozminowywania, tudzież zaniechania obecnie uprawy ze strony drobnych działkowiczów.

Sytuacja żywnościowa poprawia się tam jednak stale. Ilość kalorii z 2073 na osobę w sierpniu, wzrosła w grudniu 1945 do 2:60. Odczuwa się jednak brak mięsa; racje żywnościowe w maju 1946 wynosiły, jeśli idzie o podstawowe artykuły żywnościowe, miesięcznie 12.400 g chleba, 1000 g cukru, 600 g margaryny, 150 g czekolady, 670 g mięsa, 225 g konserw, 200 g sera, 125 g ryb, 6 kg kartofli plus cały szereg pomniejszych.

Poważną pozycję w dziedzinie przemysłu belgijskiego stanowi przemysł diamentowy (produkcja w tej dziedzinie Konga belgijskiego wzrosła). Także produkcja przędzy i tkanin zarówno bawełnianych jak i lnianych odgrywa w Belgii nieposłednią rolę. Wynosi ona obecnie 71% produkcji 1938 roku. Wzmogła się produkcja energii elektrycznej nawet w porównaniu do stanu z 1939. Podczas gdy w 1939 miesięcznie produkowano 430 milionów KW, to w styczniu 1946 wyniosła ona 487 milionów KW.

Ilość bezrobotnych wynosiła w lutym 1945 — 309.000, liczba ta spadła w grudniu tegoż roku do 103.085 a w marcu 1946 cyfra ta maleje do 83.659. Brak kwalifikowanych robotników spowodował, że indeks płac, jeśli przyjąć maj 1940 za 100, wzrósł na 210, przy czym należy zauważyć, że jesienią 1945 poziom wyżywienia robotnika osiągał stan z lat 1936 — 1938.

Dla charakterystyki cen przegląd podaje tabelę zestawień cen z lipca 1938 i stycznia 1946. Ceny chleba wzrosły z 1.97 fr. na 3.67, mięsa z 11.93 — 20.67 fr. (w zależności od rodzaju) na 22 — 46 fr., cukru z 4.06 fr. na 8.25 fr., mleko z 1.50 fr. na 3 fr., cena kartofli z 0.68 fr. na 1.50 fr.

Sytuacja gospodarcza w Belgii ulega więc, jak wynika z podanego przeglądu, stalej poprawie.

Z kolei omawia „La Conjoncture“ sytuację gospodarczą Finlandii. W artykule podkreślono, że w związku z reparacjami na rzecz ZSRR Finlandia będzie napotykać dość długo na pewne trudności i dlatego Finlandia zabiega o prolongatę terminów płatności. Jak wynika z deklaracji fińskiego ministra finansów, Tuomioja, Finlandia może liczyć na poważne kredyty.

Produkcja przemysłowa Finlandii w roku 1945 wynosiła około 60% produkcji z 1935. Na czoło tej produkcji wysuwa się przemysł drzewny. Przemysł ten wyprodukował w 1945 r. 2.569.000 m³ w porównaniu do 4.695.360 m³ w 1935 i 3.924.480 m³ w 1938.

Dla Finlandii niemałe znaczenie ma też produkcja sztucznego jedwabiu.

Jak cały szereg innych krajów po wojnie Finlandia została ogarnięta inflacją. Jeśli przyjąć rok 1938 za sto, to w październiku 1945 koszty utrzymania wzrosły na 330, wzrosły też znacznie długi państwa.

Z trudnej sytuacji usiłuje Finlandia wybrnąć zawierając szereg umów handlowych, na ogół dla siebie korzystnych.

Kolejno omówiona została w miesięczniku sytuacja gospodarcza Wielkiej Brytanii. W latach od 1944 do 1945 można tam stwierdzić lekki wzrost dochodu społecznego, ale w dalszym ciągu widzimy w Anglii reglamentację spożycia zarówno w dziedzinie szeregu artykułów żywnościowych jak i odzieżowych. W lutym 1945 było w Anglii 355.578 bezrobotnych. Ceny zasadniczych produktów rolnych wskazują tendencje zwykłe, wzrosło też znacznie zapotrzebowanie na rynku wewnętrznym takich artykułów, jak odzież, umeblowanie i naczynia.

Omawiając sytuację gospodarczą Grecji „La Conjoncture“ podkreśla, że powierzchnia uprawna na skutek okupacji i działań wojennych skurczyła się w Grecji do 1/4 z roku 1938 i nie przekracza obecnie 600.000 ha i Grecja skazana jest w wysokim stopniu na dostawy UNRRA. Koszty utrzymania wzrosły w Grecji w porównaniu z przedwojennymi 166 razy. Miesięczny koszt utrzymania w Grecji jednej osoby wynosił w lutym 1946 1.143 495 drachm tzn. 57 funtów szterlingów. Usiłowania stabilizacji waluty, przedsięwzięte już dwukrotnie, nie były w stanie zapobiec katastrofalnej inflacji.

Nie lepiej przedstawia się sprawa we Włoszech. Zapasy zboża we Włoszech są bardzo niskie i wynoszą zaledwie 75% stanu przedwojennego, jeśli idzie o produkty rybne i mięsne procent ten wynosi nawet tylko 60%, również procent ziemniaków zmalał do 35% a cukru do 25%. Płace robotników ulegają co trzy miesiące zmianie w zależności od zmian kosztów utrzymania. Przemysł i ceny w przemyśle są reglamentowane. Z przeglądu wynika, że sytuacja Włoch jest zgoła nie do pozazdroszczenia.

Omawiając sytuację Holandii autorzy przeglądu stwierdzają, że kraj ten, znieszczonej przez wojnę w wysokim stopniu, chcąc uzyskać przedwojenną swą pozycję, musiał rzucić hasło: eksportować za wszelką cenę.

Zbiory zboża w 1945 wyniosły w Holandii 245.700 ton w porównaniu do 416.500 ton w roku 1939, jeśli idzie o kartofle, to i tu mamy do zanotowania spadek w porównaniu z rokiem 1939 — w roku 1939 zbiór ten wyniósł 1.350.000 ton, gdy w 1945 tylko 800.000. W gospodarstwie mlecznym spadek liczby krów mlekojących wynosi 24% (z 1.566.000 w 1939 na 1.184.000 sztuk w 1945). Wydolność przemysłu holenderskiego stanowi — jak czytamy — wedle enuncjacji ministra handlu i przemysłu (w sierpniu 1945) tylko 30% przedwojennej.

Dla uzdrowienia stosunków monetarnych, które przedstawiały się po wyzwoleniu Holandii katastrofalnie, przeprowadzono tam wymianę i blokowanie biletów skarbowych, co doprowadziło we wrześniu 1945 do skurczenia się obiegu pieniężnego do 600 milionów florenów w porównaniu do 5.518 milionów w maju 1945. Tendencje inflacyjne nie zostały jednak opanowane.

Szeroko omówiona została też gospodarka USA, ujawniająca w oświetleniu „La Conjoncture” między innymi takie zjawiska, jak istnienie „czarnego” rynku, kryzys w dziedzinie węglowej, konieczność kontroli cen, a wreszcie tendencje strajkowe.

Z państw Ameryki Płd. autorzy przeglądu naświetlają jedynie gospodarkę Argentyny i wskazują, że po dojściu do władzy Perona sytuacja finansowa Argentyny stała się bardzo ciężka (do czego przyczynili się też w dużej mierze lokauty) jakkolwiek dochód narodowy Argentyny wzrósł z 7.160.000 pezów w 1939 do 15.060.000 pezów w 1945.

W końcu wreszcie omówiona została gospodarka Australii, którą „La Conjoncture” uważa za całkowicie zdrową. Rekonwersja przechodzi tam całkiem — zdaniem pisma — spokojnie i Australia gotowa jest przyjąć nawet 70.000 imigrantów rocznie. Teza o spokojnej rekonwersji jednak dziwnie nie harmonizuje z informacją podaną w następnym zdaniu, że w grudniu 1945 strajkowało 500.000 robotników portowych, górników i hutników.

Koszty utrzymania, jeśli przyjąć czerwiec 1939 za 100, wzrosły w Australii w 1945 roku na 123.

Reasumując można stwierdzić, że „La Conjoncture” jest czasopismem niezmiernie pożytecznym, jakkolwiek poszczególne opracowania nie pozostają na jednakowym poziomie. Przegląd jest nadto niezbyt pełny, brak tu omówienia gospodarki chociażby takich państw, jak Polska, Czechosłowacja, Szwecja, Brazylia itp. Brak też najczęściej syntetycznego ujęcia danych, wbrew zapowiedzianemu na wstępie planowi. Niemniej wydawnictwo tego rodzaju należałoby powitać z wielką radością i u nas.

Seweryn Żurawicki

* * *

„Planowoje choziajstwo” 1946 (nr. 1—3)

Państwowa Komisja Planowania przy Radzie Ministrów ZSRR wydaje ciekawy polityczno-ekonomiczny periodyk pt. „Planowoje choziajstwo”.

W numerach, które pojawiły się w roku bieżącym na uwagę zasługuje cały szereg artykułów. I tak Zielenowski w szkicu „25 lat Gosplanu” kreśli rozwój tej instytucji od jej początków w lutym 1921 roku, kiedy to Lenin podpisał projekt o Państwowej Komisji Planowania, do chwili bieżącej. Autor wskazuje, że uspo-

łecznienie środków produkcji w Związku Radzieckim umożliwiło dopiero zastosowanie planowej gospodarki. Wraz z utwierdzeniem się ustroju radzieckiego rozwijała się i pogłębiała także gospodarka planowa. Zielenowski wskazuje, że koncepcje planowej ekonomiki, jako immanentnej części składowej gospodarki socjalistycznej były rzutowane przez Lenina jeszcze w zaraniu rewolucji październikowej. Jako pierwszy etap planowego organizowania produkcji przyjęty został plan elektryfikacji Rosji (GOELRO), który odegrał doniosłą rolę mo-

bilizującą. Plan ten określił Lenin mianem drugiego programu partii komunistycznej. Na gruncie skrupulatnej analizy planu GOELRO została stworzona Państwowa Komisja Planowania (GOSPLAN), przed którą postawiono następujące zadania: opracować plan gospodarczy dla całego państwa, tudzież wskazać środki i porządek jego realizacji rozpatrzyć i zsynchronizować plany produkcyjne poszczególnych przedsiębiorstw i gospodarczych instytucji, wreszcie zaprojektować drogi wiodące do realizacji i upowszechnienia tych koncepcyj oraz wychować odpowiednie kadry planowników.

Praca nie poszła na marne. Od 1925 roku pojawia się już cyfrowe ujmowanie zasadniczych gałęzi produkcji, zaś od 1927 roku te liczby kontrolne stają się wiążącymi normami dla wszystkich komisarjatów ludowych ZSRR. Z biegiem lat obejmowano planem coraz to szerszy zasięg narodowej gospodarki. Od roku 1928 pojawiają się już plany pięcioletnie, które zakładają fundamenty pod socjalistyczną ekonomikę. Rezultatem realizacji pierwszego planu pięcioletniego było stworzenie potężnej bazy ciężkiego przemysłu tudzież kolektywów w dziedzinie gospodarki rolnej. Problem, który z sektorów zwycięży — uspołeczniony czy prywatny, problem, który widniał w dobie NEP'u, został rozstrzygnięty zdecydowanie na korzyść odcinka społecznego. Ciężar gatunkowy tego ostatniego wzrósł bowiem z 44% na 93%. Stosunek produkcji przemysłowej w odniesieniu do rolnej wzrósł z 48% na 70%. Z kraju agrarnego Związek Radziecki przedźwignął się w kraj przemysłowo-rolniczy. W rezultacie zrealizowania drugiej pięcioletki, która zmierzała do rekonstrukcji całej gospodarki narodowej na bazie najnowocześniejszej techniki, zwycięstwo socjalizmu w ZSRR stało się faktem dokonanym. Za okres drugiej pięcioletki dochód narodowy wzrósł o 116%. Wydajność pracy wzrosła w przemyśle o 82%, a fundusz płac roboczych dwa i pół razy.

Trzeci plan pięcioletni rzucił śmiało hasło: doścignąć i prześcignąć pod względem ekonomicznym najsilniejsze kraje kapitalistyczne. Zadanie to było skutecznie realizowane w latach dowojennych ZSRR z kraju zafanego gospodarczo przemianiał się w kraj przodującego industrializmu. Wojna przerwała ten proces ale nie na długo.

Dzięki swej planowej gospodarce, która wyeliminowała kryzysy i wzmogła potencjał kraju, Związek Radziecki potrafił też wyjść obronną ręką z odmetów wojny.

Wojna ostatnia wykazała jednocześnie wyższość planowej gospodarki radzieckiej nad kapitalistyczną. Z zadań, jakie postawiła przed GOSPLAN'em wojna, instytucja ta wywiązała się całkowicie.

Zagadnienie rekonwersji gospodarki narodowej na tory pokojowe postawiło przed GOSPLAN'em zadanie wypracowania nowego planu pięcioletniego, ustalenia nowych proporcji między poszczególnymi działami produkcji. Autor podkreśla, że rola GOSPLANU nie ogranicza się tylko do planowania, ale również i do kontroli wykonawstwa planu, a praca tej instytucji oparta o wieloletnie doświadczenia rokuje jak najlepsze wyniki.

**
**

Ciekawym uzupełnieniem artykułu Zielenowskiego jest skreślony przez Gładkova stosunek Lenina do organizowanego Gosplanu. Autor wskazuje w artykule zatytułowanym „Lenin i organizacja Gosplanu” na aktywne zainteresowanie Lenina dla konkretnej pracy tej instytucji i wytyczanie jej przez wielkiego wodza rewolucji praktycznych zasad postępowania, zawierających się w takich postulatach, jak jednolitość planu, oparcie się na naukowej analizie, praktyczne podejście, szczegółowe rozpracowanie i kontrola. Autor podkreśla, że Lenin uczył, iż ekonomista musi umieć patrzeć przed siebie w kierunku postępu techniki, co lapidarnie wyrażało się w powiedzeniu „Komunizm

to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju“

**
*

Artykuł Sorokina poświęcony jest z kolei „Stalinowskim planom pięcioletnim“, w którym autor podaje krytycznej analizie wszystkie dotychczasowe pięcioletki i ich wyniki. Sorokin dochodzi do konkluzji, że wszystkie plany gospodarcze ZSRR są związane organicznie ze sobą jednością celu — budowy socjalistycznego społeczeństwa. Autor wykazuje na realnych cyfrach, że cel ten nie wręcz przeciwnie, że zakreślone plany znajdują potwierdzenie w życiu i że są faktycznie instrumentem budownictwa coraz lepszego jutra.

Akademik Bajkow w artykule „Zagadnienia techniki w planie perspektywicznym“ wskazuje, że planowanie rozwoju techniki w gospodarce narodowej staje się obecnie nieodzownym ogniwem planu gospodarczego. Techniczna rekonstrukcja gospodarki narodowej powinna też odegrać niezmiernie doniosłą rolę w przyspieszeniu tempa odbudowy. Gospodarka socjalistyczna otwiera szeroko wrota nowym metodom pracy i doskonalszej technice adekwatnej socjalistycznym stosunkom wytwórczym. Zaczątki planowania także i w dziedzinie techniki są już obecnie w stanie usunąć nierównomierność technicznego rozwoju, tak właściwe kapitalistycznemu ustrojowi, i zapewnić niezwykle szybkie tempo socjalistycznej reprodukcji. Autor wylicza cały szereg gałęzi produkcji, które będą wymagały zastosowania nowych metod i środków technicznych wyrażając jednocześnie nadzieję, że nauka radziecka podola w ciągu lat najbliższych tym zadaniom, ma bowiem w warunkach socjalizmu wszelkie dane, by dogonić, a nawet prześcignąć osiągnięcia nauki na szerokim świecie.

W numerze drugim omówiony jest szczegółowo plan pięcioletni odbudowy i

rozwoju gospodarki narodowej w latach 1946 — 1950 tudzież cytowany jest referat Woźniesieńskiego na Sesji Rady Najwyższej ZSRR 15 — 18 marca 1946.

Gospodarka radziecka w okręgach objętych niemiecką okupacją doznała kolosalnych zniszczeń i to zarówno w dziedzinie przemysłu, transportu jak i rolnictwa. Zniszczenia te wyrażają się cyfrą 679 milionów rubli, a obejmują 32.000 przedsiębiorstw, które zatrudniały łącznie około 4 milionów pracowników, 65.000 km. dróg żelaznych, 13.000 mostów kolejowych itd.

Nowy pięcioletni plan radziecki, uchwalony w marcu br., stawia sobie za zadanie odbudowę i dalszy rozwój gospodarki ZSRR.

Gospodarkę powojenną Związku Radzieckiego charakteryzują zgoła odmienne cechy niż ekonomikę powojenną krajów kapitalistycznych. W Stanach Zjednoczonych punktem szczytowym produkcji przemysłowej był październik 1943 roku i od tego czasu poziom produkcji stale się tam obniża prowadząc nieuchronnie do bezrobocia.

Również w Anglii, która przeżywa obecnie gospodarczą depresję, zagadnienia surowca i żywności nabierają znowu zapalnego charakteru. Natomiast gospodarka Związku Radzieckiego rozwija się nieustannie. Rozwój ten dokonuje się na bazie socjalistycznej reprodukcji, niezajęcej kryzysów, depresji i bezrobocia. Toteż tempo odbudowy ZSRR nie znajduje odpowiednika w żadnym z kapitalistycznych krajów. Rozszerzona socjalistyczna reprodukcja w ZSRR oznacza jednocześnie nieprzerwany wzrost socjalistycznej akumulacji, a więc wzrost inwestycji w narodową gospodarkę. Jeśli w dobie pierwszej pięcioletki wkłady kapitałów w gospodarkę narodową wynosiły około 50 miliardów, w drugiej 115 miliardów, to w obecnej wynoszą one aż 250 miliardów rubli.

Realizacja planu 1945 — 1950 przewidywany w 1950 poziom funduszu narodowego

ZSRR z okresu przedwojennego o 0,8%. Dochód społeczny będzie również znacznie wyższy niż dowojenny. Jeśli dochód ten w roku 1913 ustalimy na 21 miliardów, w roku 1928 na 25, w 1932 na 45,5 w 1937 na 96,3, a w 1940 na 128,3 to dochód społeczny w 1950 roku wyniesie 177 miliardów rubli.

Wzrost wydatków na cele wojenne uszczuplił w latach wojny standard życiowy ludności ZSRR, toteż nowy plan pięcioletni przewiduje, że część dochodu społecznego przeznaczonego na cele konsumpcji wzrośnie do 73%, fundusz nagromadzenia zaś zostanie ograniczony do 21% a rezerwy państwowe do 6%.

Nowy radziecki plan pięcioletni przywiązuje szczególne znaczenie do odbudowy i dalszego rozwoju ciężkiego przemysłu tudzież transportu. Jest to całkowicie zrozumiałe, gdyż bez tych czynników niemożliwy jest szybki rozwój całej gospodarki. Już poprzednie pięcioletki kładły na produkcję tego działu szczególny nacisk, nowy, czwarty z kolei plan pięcioletni przewiduje produkcję surowki i s. ali wzmoczoną o 35%, wydobycie węgla zwiększone 1,5 razy, produkcję elektrycznej energii w zakresie o 70%, zaś chemiczną 1,5 razy wyższą niż przed wojną.

Nowy plan przewiduje nadto, że jeszcze w roku 1946 nastąpi całkowite przesławienie gospodarki radzieckiej na tory produkcji pokojowej.

Plan nakreśla również poważny wzrost produkcji w zakresie przedmiotów spożycia i to w stopniu znacznie wyższym niż w planie trzeciej pięcioletki. Rozwój przemysłu lekkiego i spożywczego w ramach planu pięcioletniego wykazuje również niezwykle szeroki zasięg.

Jako jedno z ważnych swych zadań pięcioletni plan radziecki wysuwa nadto postulat dalszego rozwoju technicznego następstwa we wszystkich gałęziach narodowej gospodarki.

Gospodarka powojenna krajów kapita-

listycznych natrafia na poważne trudności w związku ze spadkiem produkcji wojennej, niemożnością wykorzystania siły roboczej itp., a więc na trudności, które są wynikiem wzrostu potencjału produkcyjnego w krajach przodującego kapitalizmu. Trudności natomiast Związku Radzieckiego sprowadzają się jedynie do konieczności wydzielenia poważnych zasobów dla leczenia ran zadanych hitlerowskim najazdem.

Wykorzystując w sposób planowy siły wytwórcze, zasoby surowcowe i siłę roboczą Związek Radziecki ma w swym ręku wszelkie atuty dla szybkiej odbudowy.

Plan pięcioletni przewiduje dalszą mechanizację, automatyzację i elektryfikację gospodarki narodowej tudzież rozwój nowych dziedzin techniki i przemysłu.

Pod koniec nowej pięcioletki liczba zatrudnionych w narodowym gospodarstwie powinna dosięgnąć 33 i pół miliona. Również wydajność pracy winna pod koniec tej pięcioletki przekroczyć poziom dowojennej o 36%.

W zakresie rolnictwa plan pięcioletni przewiduje dalszy rozwój, który, jeśli rok 1930 przyjąć za 100%, winien dać w roku 1950 — 225% wytwórczości. Dużą wagę przywiązuje plan do uprawy roślin tzw. technicznych. By przyspieszyć rozwój w zakresie rolnictwa, plan przewiduje znaczne zwiększenie dostaw dla gospodarstw rolnych traktorów, maszyn rolniczych tudzież nawozów sztucznych. W nowej pięcioletce ilość wyprodukowanych traktorów ma wynieść 720.000 sztuk w porównaniu z 512.000 w drugiej. Również tereny, które wymagają nawodnienia, wzrosną do 656 tysięcy hektarów, zaś tereny osuszone do 615.000. Wsie radzieckie otrzymają małe hydroelektrownie o ogólnej mocy miliona kilowatów.

W dziedzinie transportu plan przewiduje nie tylko odbudowę zniszczonych w czasie wojny linii kolejowych ale też budowę szeregu nowych magistral, które

ulegną nadto w znacznym stopniu elektryfikacji. Także i transportowi wodnemu udziela plan pięcioletni wiele uwagi.

Transport samochodowy także w stosunku do przedwojennego podnosi się. To samo dotyczy w dużej mierze i awiacji.

Fundusz płac zarobkowych ulegnie znacznemu zwiększeniu i w stosunku do roku 1940 z 162 miliardów rubli wzrośnie na 252 miliardów w 1950. Średnia płaca wzrośnie w stosunku do roku 1940 o 48%.

Liczba szkół powszechnych i średnich osiągnie w 1950 roku stan dowojenny, tj. 198.000. Wzrośnie nadto znacznie ilość żłobków i ogródków dziecięcych. Liczba kin wyniesie 46 700 w porównaniu z 28.000 z roku 1940. Wzrośnie też sieć teatrów, klubów i bibliotek.

Fundusz mieszkalny zapewni do 1950 roku zabudowę 72.400.000 metrów kwadratowych.

Obrót towarowy w ramach przewidywanych planów wzrośnie w stosunku do przedwojennego o 28%.

Warto zaznaczyć, że w Związku Radzieckim już w 1946 roku został zniesiony system kartkowy w odniesieniu do takich towarów jak chleb, mąka, a do 1947 ulec ma likwidacji system kartek i w odniesieniu do innych towarów spożywczych.

Plan pięcioletni przewiduje nadto właściwe rozmieszczenie sił wytwórczych w poszczególnych republikach związkowych z uwzględnieniem potrzeb zbliżenia przemysłowych centrów do źródeł surowca i rejonów zapotrzebowania.

W ten sposób produkcja RSFRR wzrośnie w porównaniu z rokiem 1940 o 56%, Ukrainy — najbardziej zniszczonej działaniami wojennymi — uzyska poziom przedwojenny, na Białorusi produkcja wzmoże się o 16%, w Republice Uzbeckiej o 89%, w Kazachskiej dwukrotnie, w Gruzińskiej o 50%, a Azerbejdżańskiej o 18%, w Litewskiej o 80%, w Mołdawskiej o 78%, w Łotewskiej o 80%, w Kirgiskiej dwukrotnie, w Tadyżkiej o 56%, w Ormiań-

skiej dwukrotnie, w Turkmeńskiej o 76%, w Estońskiej trzykrotnie, a w Karelo-fińskiej o 11%.

Dla przyspieszenia rozwoju gospodarki ZSRR szczególne znaczenie ma obecne przemysł Uralu i Sybiru.

Jeśli dla zlikwidowania skutków pierwszej wojny światowej i wojny domowej Związek Radziecki potrzebował lat sześciu i to aby uzyskać zaedwie ten niski poziom, na jakim znajdowała się Rosja carska 1913 roku — to zgodnie z nowym planem pięcioletnim Związek Radziecki uzyska wysoki niewątpliwie poziom gospodarczy z 1940 roku już w roku 1948.

Nowy plan pięcioletni nie jest planem papierowym. Doświadczenia poprzednich pięcioletek dowodzą niezbicie, że plany gospodarcze Związku Radzieckiego opierają się na trzeźwej analizie obiektywnych możliwości.

Wykazują też te plany znaczną wyższość gospodarki planowej nad gospodarką kapitalistyczną.

W tym samym czasie, gdy świat kapitalistyczny będzie się jeszcze niewątpliwie borykał z powojennymi trudnościami, wstrząsany kryzysami i inflacją, z wieczną zmorą bezrobocia, Związek Radziecki będzie rozwijać swą gospodarkę w zawrotnym wprost tempie.

Pamiętać nadto należy, że tylko w warunkach socjalistycznych staje się możliwe pełnowartościowe wyzyskanie zdobyczy najnowszej techniki, że tylko w warunkach takich, gdzie nie pogoń za zyskiem, lecz interes społeczny jest bodźcem gospodarczej działalności — tworzą się prawdziwe przesłanki postępu i wspaniałego rozwoju sił wytwórczych. Tylko tam, gdzie stosunki wytwórcze przestają być hamulcem dla sił produkcyjnych, możliwe staje się szybkie dźwiganie się ludzkości na wyższy poziom techniczny i społeczny.

Nowa pięcioletka posunie niewątpliwie naród radziecki o daleki krok naprzód na drodze nieprzerwanego postępu ludzkości.

Szczegółowej analizie poddają nowy plan pięcioletni Panow w artykule pt. „Przemysł węglowy w planie pięcioletnim“, Galicki pt.: „Powojenna pięcioletka transportu kolejowego“, Jeremienko pt. „Odbudowa i rozwój czarnej metalurgii w nowej piącioletce“, Demidow pt. „Odbudowa i rozwój gospodarki rolnej w nowej pięcioletce“, Kosiaczenko p. „Podniesienie materialnej i kulturalnej stopy życiowej narodu w nowej pięcioletce“, Bajbakow pt. „Przemysł naftowy“ tudzież Korobow w artykule pt. „Program budownictwa w nowej pięcioletce“.

Jako pendent do tych artykułów znajdujemy w numerze 2 „Planowe choziajstwo“ interesujący artykuł i dane statystyczne o „Przemysle krajów kapitalistycznych w dobie powojennej“, pióra Wiszniewa. Autor wskazuje na zmiany, jakie pod wpływem drugiej wojny światowej zaszły w gospodarce krajów kapitalistycznych, a które pogłębiły jeszcze sprzeczności właściwe dla kapitalistycznego systemu. Nierównomierność rozwoju, jak wykazuje Wiszniew, wzmogła się zarówno w poszczególnych krajach jak i poszczególnych gałęziach przemysłu. Wzrost produkcji dokonywał się przy tym nie tyle dzięki proporcjonalnemu narastaniu zatrudnienia, ile dzięki przedłużaniu i intensyfikacji dnia roboczego tudzież wzrostowi wydajności pracy.

Wolumen produkcji wzrósł szczególnie w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, słabiej przedstawia się ten wzrost wytwórczości w Anglii, Australii, Indiach, Meksyku i Argentynie, pewien spadek w produkcji ujawniły Szwecja, Szwajcaria i Irlandia, a wręcz gwałtowny upadek produkcji cechuje takie kraje jak Francja, Belgia, Holandia i Włochy.

Na równi z nierównomiernym rozwojem produkcji wojna doprowadziła do zmian i w rozmiarach kapitału stałego w poszczególnych gałęziach przemysłu. Wojna niwecząc centra przemysłowe powodowała jednocześnie, że musiały znaleźć zastosowanie najnowsze zdobycze nauki i techniki, umożliwiające szybką regenerację mocy produkcyjnej.

Na podstawie wnikliwej analizy autor dochodzi do wniosku, że jeśli przed wojną stosunek wszystkich krajów kapitalistycznych do USA układał się w dziedzinie światowego przemysłu, jak 3:2, to po wojnie układ ten uległ zmianie na 3:2 na korzyść Stanów Zjednoczonych. Anglia po wojnie zeszła na plan drugi w świecie kapitalistycznym (zajmując w gospodarce przemysłowej świata trzecie miejsce po USA i ZSRR), wzmogła się natomiast rola angielskich dominiów, zwłaszcza Kanady. Wzrósł też przemysł w takich dotąd agrarnych krajach jak Indie, Meksyk, kraje Ameryki południowej, Egipt, Turcja itp. Wyliminowany został (przynajmniej czasowo) przemysł Niemiec i Japonii oraz obniżyła się (z wyjątkiem Austrii i Czechosłowacji) moc produkcyjna krajów objętych niemiecką okupacją.

Jednostronny rozwój państw wojujących spowodował, że szybko rósł przemysł zbrojeniowy a kurczyła się produkcja dla celów pokojowych. Liczba robotników zatrudnionych w przemyśle wojennym w USA wynosiła ponad 8 milionów, w Kanadzie milion, a w Anglii 4 miliony. Od wykorzystania zdolności produkcyjnej tego przemysłu w dobie pokojowej zależą dziś losy milionów ludzi.

Problem rekonwersji przedstawia się w poszczególnych dziedzinach produkcji bardzo rozmaicie. Cały szereg powstałych w czasie wojny przedsiębiorstw nie pracowało dla celów pokojowych i po przestawieniu się na tory pokojowe, albo będą musiały wyprzeć swych konkurentów z

dotychczasowego rynku, albo zdobyć nowe rynki.

W związku z trudnościami rekonwersji widzimy zwłaszcza w USA usiłowania przerzucenia przez monopole ciężarów na barki robotników. Wywołuje to z kolei fale strajków. Przejście na tory pokojowe dokonuje się więc w przodujących krajach kapitalistycznych w atmosferze konfliktów gospodarczych i socjalnych.

W krajach kontynentalnej Europy widzimy znowu poważny kryzys żywnościowy tudzież inflację.

Tak więc w Ameryce i Anglii wyłania się problem pełnego zatrudnienia zarówno ludzi jak i wykorzystania wzmożonej wydolności maszyn, problem, który nie może znaleźć tam rozwiązania. W krajach zaś, które były objęte okupacją niemiecką, trudności rosną w związku z problemami odbudowy. Bezplanowość gospodarki kapitalistycznej znajduje w obu wypadkach swój jaskrawy wyraz.

„Sytuacją żywnościową krajów kapitalistycznych po wojnie“ zajmuje się Lewina, która wskazuje na fakt pojawienia się po wojnie ciężkiego kryzysu żywnościowego w całym szeregu państw kapitalistycznych. Zmniejszyło się tam znacznie pogłowie bydła, a okres okupacji zniewolił te państwa skutkiem pozbawienia importu zaoceanicznego do wzmożenia uprawy kartofli kosztem zbóż.

W roku 1945/46 chcąc utrzymać w zachodniej Europie (bez Anglii) poziom o 25% niższy od przeciętnego minimum trzeba było importować 15.600.000 ton zboża (przed wojną kraje zach. Europy importowały zaledwie 3.700.000 ton). Indie, Chiny i francuska Afryka płn. importowały 10.700.000 ton w stosunku do przedwojennej liczby 4.000.000.

Brak rąk roboczych, ziarna pod zasiew, maszyn rolniczych, bydła, a także zniszczenie transportu utrudniają w znacznym stopniu w krajach europejskich odbudowę gospodarki rolnej, zniszczonej wojną.

W konkluzji jednak autorka dochodzi do wniosku, że kryzys agrarny nie zagraża obecnie już światu, jakkolwiek położenie w 1946/47 na rynku światowym będzie jeszcze ciągle naprężone. Ceny zboża będą bowiem w dalszym ciągu wysokie. Obszerne dane cyfrowe, przytoczone w artykule odnośnie produkcji rolniczej poszczególnych krajów, każą przypuszczać, że dopiero za jakie 3—4 lata ceny poczną spadać i na rynku światowym pojawi się nowa fala agrarnego kryzysu.

„Systemem krótkoterminowego kredytu w sowieckiej ekonomice“ zajmuje się Usoskin zaś Kowalenkow i Chramoj „Automatyzacją procesów wytwórczych w przemyśle“.

„Planowe choziajstwo“ przynosi nadto w dziale „Krytyka i bibliografia“ ciekawy przegląd literatury zagranicznej, dotyczącej stosunków w Związku Radzieckim. Sosiencki recenzując książki D. Cartera: *Russians Secret Weapon*, A. L. Stronga: *The Soviets expected it*, A. R. Williamsa: *The Russians*, H. Johnsona: *The secret of Soviet Strength*, M. Dobba: *Soviet Economy and the War*, tudzież tegoż autora: *Soviet Planning and Labour in Peace and War* — ukazuje nam ciekawy snop światła rzucony przez pisarzy świata kapitalistycznego na „sekret mocy radzieckiej“. Są to niewątpliwie pisarze postępowi, którzy zgodnie dochodzą do wniosku, że moc Sowietów — to 250.000 kolchozów wyposażonych w najnowocześniejszą technikę, jej potężniejący z dnia na dzień przemysł, rozbudowany system powszechnej oświaty i planowa gospodarka.

W dziale „Nowości z zagraniczne z zakresu ekonomiki i techniki“ znajdujemy relacje o „Rekonwersji przemysłu i wroście bezrobocia w USA“ o „Niemieckich kapitalach w Argentynie“, o „Ekonomicznym położeniu w Anglii“, jak również

o stosowaniu najnowszych zdobyczy technicznych w dziedzinie produkcji w krajach kapitalistycznych.

W bogatym piśmiennictwie radzieckim z zakresu ekonomiki i polityki „Plano-woje choziajstwo“ stanowi poważną pozycję. Materiał zamieszczany na łamach tego periodyka jest żywy i wielostronny, jakkolwiek artykuły dotyczące planowa-

nia siłą rzeczy wysuwają się na plan pierwszy.

Dla czytelnika polskiego, w dobie, gdy kraj nasz coraz odważniej wchodzi na tory planowania, zaznajomienie się z tym czasopismem staje się ze wszech miar wskazane.

Seweryn Żurawicki



Walter Lippmann: U. S. Foreign Policy and U. S. War Aims (Zagraniczna polityka Stanów Zjednoczonych) Overseas Editions Inc. New York 1944 str. 269.

Przede wszystkim uwagę czytelnika zwraca wydawnictwo tej książki: Overseas Editions Inc. (Związek wydawnictw zamorskich). Jest to organizacja założona w okresie wojny przez amerykańskich wydawców, bibliotekarzy i księgarzy. Jej celem nie jest zysk, lecz jedynie dostarczanie najnowszych, reprezentacyjnych książek amerykańskich na rynki księgarskie Europy i Azji aż do czasu, gdy będzie przywrócona normalna działalność wydawnicza przerwana agresją państw osi. W szeregu naszych księgarń możemy się spotkać z kilkunasoma pozycjami tego wydawnictwa.

Walter Lippmann jest zaliczany do najprzedniejszych publicystów ostatniej doby w Stanach Zjednoczonych. Trzy razy tygodniowo jego artykuły zjawiały się w setkach czasopism w całym kraju. Wywierał on swymi poglądami znaczny wpływ nie tylko na opinię publiczną, lecz i na kierowników navy państwowej. W r. 1943 ukazała się mała książka autora pod nazwą „U. S. Foreign Policy“, w rok później pojawiła się druga „U. S. War Aims“. Po raz pierwszy wszyscy te książeczki razem w tym wydawnictwie.

W przerażających dniach wojny sądziliśmy, że jeśli „Demokracje Zachodu“ wypowiedziały wojnę Niemcom to, chociaż narazie boleśnie odczuwaliśmy los naszego kraju, prędzej czy później, raczej skłonni byliśmy przynuszać że prędzej sprawiedliwość i bezpieczeństwo przywrócić zostanie z całkowitą pewnością. Sukcesy niemieckich i japońskich wojsk staraliśmy się tłumaczyć tym, że dzieje się to wszystko

w granicach z góry przygotowanego przez aliantów planu, który przewidywał utratę terenów dla uzyskania koniecznego czasu na mobilizację i koncentrację sił armii sprzymierzonych. Wszystko przewidującą Opatrzność zastąpiliśmy dalekowszoczną polityką Angli i Ameryki.

A oto dowiadujemy się z książki Lippmanna, że takiego planu nie było, że Stany Zjednoczone w ogóle nie miały przyjętej ustalonej polityki, że nie miały jej nieomal przez cały wiek XIX, że nie były przygotowane ani do pierwszej, ani do drugiej wojny światowej.

Pokolenie Amerykanów, żyjące na przełomie wieku XIX i XX, przeżywało „okres niewinności“, myśląc, że walka o byt już się od dawna szczęśliwie zakończyła. Owcześni młodzi Amerykanie byli na ogół obojętni na problemy, które są głównym przedmiotem historii. Nie myślano o bezpieczeństwie państwa i jego obronie. Myślano tylko o handlowych kontaktach z resztą świata. Nie zajmowano się wewnętrznym porządkiem kraju.

Dziś, po drugiej wojnie światowej z Niemcami, dokonały się w postawach i zainteresowaniach obywateli amerykańskich poważne zmiany. Dokonały się one pod wpływem zmian natury cywilizacyjno-technicznej i układu stosunków ekonomiczno-społecznych.

Zasadnicza różnica między przeszłością i przyszłością Ameryki leży w tym, że Amerykanom skończyło się bezpieczeństwo osiągnięte bez wysiłku. „Do niedawna nikt z żyjących Amerykanów nie przypominał sobie, by Stany Zjednoczone miały jakiegokolwiek nieprzyjaciela“ (243). Naród amerykański taką miał pewność swojego bezpieczeństwa, że nie potrzebował myśleć o kosztach zbrojenia, o strategicznych bazach, o przy-

mierzach. Owo zwolnienie z tyłu kłopotów spowodowane było mitem, bardzo popularnym w Ameryce: „Ocean Atlantycki zbyt jest szeroki, by jakikolwiek nieprzyjaciel przekroczył go“. Stanom Zjednoczonym pozostawało tylko nie mieszanie się w politykę przekraczającą oceany. „Dopiero w drugiej z dwóch wielkich wojen tego stulecia nasz naród uznał ten fakt, że okres naszego jedyne go w swoim rodzaju, osiąganego bez wysiłku bezpieczeństwa zakończył się, i że Stany Zjednoczone muszą być teraz broni one, tak jak wszystkie inne wielkie państwa historii, środkami dyplomacji, polityki i bronią“. (244).

Ponadto Stany Zjednoczone od swoich kolonialnych czasów aż do XX wieku były zarówno importem europejskich towarów, jak i wierzycielem zagranicznego kapitału. Jako takie nie mogły i nie potrzebowały prowadzić zagranicznej polityki gospodarczej. Zagraniczni wierzyciele uprawiali politykę, do której dłużnik musiał się stosować. Aż do pierwszej wojny światowej, kiedy to Stany Zjednoczone stały się wierzycielem niemal całego świata, odpowiedzialność za utrzymanie i regulowanie terminów międzynarodowego handlu była w Londynie i w innych europejskich stolicach finansowych. Nie w Waszyngtonie czy Nowym Jorku. Konta bankowe były wyrównane przez londyńskie biura finansowe, które operowały tym, co nazywano „gold standard“. Amerykanom zdawało się, że ów „gold standard“ działał bezosobowo i automatycznie bez ludzkiej interwencji. Przekonanie to znalazło swoje miejsce w mitologii amerykańskiej obok wiary w wojenną nieprzekraczalność oceanów.

Wewnątrz kraju od początku tego stulecia nie było rozległych, wolnych przestrzeni do zagospodarowania. Rozpoczęły się kryzysy bezrobocia, bankructwa, których dostatnia generacja amerykańska nie uważała za dzieło Boga lub za niezbadane prawa ekonomiczne będące poza wszelką ludzką kontrolą. Przestano wierzyć tym, którzy zaprzeczali możliwości publicznej odpowiedzialności za utrzymanie równowagi gospodarczej w kraju. Porzucono ducha i zasady *laissez-fairyzmu*. Ograniczono system wolnego przedsiębiorstwa. Sprawami masowego zatrudnienia i dobrych warunków pracy zajął się rząd. Akcja ta przybrała nazwę Social Security (Społeczne bezpieczeństwo).

Zapatrywania owych ludzi wyzwolonych z czaru mitologii „oceanów“ i „gold stan-

dard“ wyraża Lipmann twierdząc, że „bezpieczeństwa, powodzenia i dobrobytu Stanów Zjednoczonych nie można zostawić ślepe mu losowi wydarzeń, że zasadnicze problemy narodowej egzystencji muszą być traktowane świadomie i pozytywnie“ (246). Owi „nowi“ Amerykanie za hasło i kierunek orientujący w wypracowywaniu zrębów realnej polityki przyjęli słowa Jerzego Waszyngtona z 1796 roku: „Czy my mamy wybrać wojnę czy pokój, decydować będzie nasz interes, kierowany sprawiedliwością“.

Autor, czując się współwinnym za błędy swojego narodu, podejmuje wysiłek wykazania, że warunki historyczne, jakie zaistniały dla Ameryki od ogłoszenia doktryny Monroe'a aż do końca wojny z Hiszpanią zdeprawowały polityczną orientację jego kraju. Zapomniano wtedy o zasadzie, że w zagranicznych stosunkach, jak i we wszystkich innych, polityka tylko wtedy przybiera realne kształty, gdy istnieje równowaga między zagranicznymi zobowiązaniami (commitments) a siłą zbrojną. Historia amerykańskich uchwał i deklaracji ubiegłych 50-ciu lat rzadko jest świadkiem stosowania tej zasady przez amerykańskich mężów stanu.

Też autora jest, że polityka zagraniczna polega na wprowadzeniu równowagi z poważną nadwyżką sił w rezerwie między zagranicznymi zobowiązaniami państwa a jego siłami gospodarczo-militarnymi. Zadaniem polityka jest osiągnąć i utrzymać tę równowagę. Gdy określi owe zobowiązania, które są życiową koniecznością jego kraju, pozostaje mu tylko planowanie mobilizacji odpowiednich sił.

Autor stwierdziwszy, że amerykańskie zobowiązania mieszczą się w prawach jak np. obrona strefy kanału Panamskiego, w układach np. o Filipiny, w oficjalnych deklaracjach jak doktryna Monroe'a, zakreśla granice dla obszaru, gdzie te zobowiązania muszą mieć pełną gwarancję zbrojną ze względu na żywotne interesy Ameryki. Na Atlantyku granica ta przebiega od Grenlandii do Brazylii wzdłuż 35 południka. Na Pacyfiku granica biegnie 120 południkiem od Alaski po Filipiny. Północną granicę stanowi Kanada, a południową Argentyna.

Lata 1898 — 1941 są okresem całkowitego bankructwa zagranicznej polityki amerykańskiej. Na nic zdały się wysiłki Teodora i Franklina Rooseveltów. Senat w swym izolacjonizmie i poczuciu bezpieczeństwa był niewzruszony. Jaskrawymi objawami całkowitej niekompetencji amery-

kańskiego narodu w prowadzeniu zagranicznej polityki było dopuszczenie, nieomal własne przyczynienie się do wzrostu potęgi militarnej Niemiec i Japonii. Już w roku 1937 sytuacja wymagała natychmiastowych militarnych decyzji. Lecz opinia publiczna była jak najdaśza od atmosfery przygotowań wojennych. Dopiero po upadku Francji, po śmiertelnym zagrożeniu Anglii, po zajęciu Chin, po ataku na Singapoorę prezydent Roosevelt mógł zażądać sum na zwiększenie zbrojeń.

Zdaniem autora całkowita odpowiedzialność spada tu na „zwyczaję trwające od stulecia, powodujące przesady i iluzje, które skazyły naszą zdolność do efektywnego myślenia o zagranicznych stosunkach. Elementarne środki, jakimi wszelka polityka musi być prowadzona, są siły zbrojne narodu, organizacja strategicznych pozycji, wybór aliantów. We współczesnej ideologii amerykańskiej te sprawy uważane były za militarystyczne, imperialistyczne, reakcyjne i archaiczne; jedyną właściwą sprawą statecznych i sprawiedliwych mężów było utrzymanie pokoju, rozbrojenie, wybieranie między nieinterwencjonizmem i zbiorowym bezpieczeństwem“ (32). Owymi „mirażami“ — „pokojem“, „zbrojeniem“, „nie mieszaniami się“ (no-entangling alliances) i „zbiorowym bezpieczeństwem“ rzekomo, według słów autora, miała być wyznaczona linia postępowania w zagranicznej polityce Stanów. Tymczasem w rzeczywistości jest prowadzona polityka imperialistyczna w interesie potęg przemysłowych, usiłujących opanować coraz nowe rynki i źródła surowców, poza Europą przez nacisk polityczny, a w Europie przez hojne kredyty (udzielane przede wszystkim Niemcom). Roman Dyboski pisze w Encyklopedii Nauk Politycznych: „Patrząc z wyżyn swego odosobnienia i swego powojennego dobrobytu na poważną Europę, Ameryka z właściwym swej protestanckiej psychice ferworem misjonarsko-moralizującym nie przestaje pełnić wobec tejże Europy funkcji mentora politycznego. A więc choć Stany Zjednoczone nie należą do Ligi Narodów, jednak ich obywatele zajmują 80% stanowisk w jej komisjach, ich „obserwatorzy“ biorą udział we wszystkich wielkich konferencjach międzynarodowych; ich eksperci pracują nad uzdrowieniem finansowym, a pośrednio i politycznym, pojedynczych krajów i całego kontynentu; plany — według amerykańskich autorów — nazwane są: planem Dawesa i Younga oraz paktem Kelloga“ (149).

Nie świadczy to co prawda o konsekwentnej, rzeczowej polityce bezpieczeństwa, lecz przecież podaje w wątpliwość ową jagnięcą dobroć i naiwność, jaką przypisuje autor ogółowi ludności amerykańskiej i jej kierownikom. Analizując strukturę amerykańskiej pozycji geopolitycznej, wyznacza Lippmann jej zasadnicze elementy, w ramach których mieszczą się zyciowe interesy kraju. Tym sposobem otrzymuje podstawową koncepcję, na której musi być stworzona zagraniczna polityka Stanów Zjednoczonych.

Zasadniczym przedmiotem polityki zagranicznej jest ustosunkowanie się kraju do największych potęg militarnych świata. Wynika stąd praktyczny problem: jakich aliantów i na jakich warunkach muszą sobie szukać Stany Zjednoczone. Jeśli to pytanie otrzyma właściwą odpowiedź — mężowie stanu będą mogli określić poziom zbrojeń, stopień przygotowania wojennego i wybór strategicznych pozycji.

Gdy w wieku XIX gwarancja angielskiej potęgi morskiej była wystarczająca dla Stanów Zjednoczonych, plany obrony biernej, ograniczonej do linii brzegowej Ameryki Północnej, spełniały całkowicie postulat przygotowań wojennych. Początek XX wieku jednak przyniósł pojawienie się militarnych potęg Niemiec i Japonii. Doświadczenia wojenne podyktowały upadek koncepcji obrony biernej. Linie obronne trzeba było poszerzyć przez znalezienie odpowiednio silnych i strategicznie dobrze położonych sprzymierzeńców.

Autor, wychodząc z założeń żywotnych interesów swojego kraju i nowocześnie pojętego regionalizmu politycznego, wysuwa projekt stworzenia „Społeczności Atlantyku“, obejmującej w swym zasięgu całą Amerykę i kraje zachodniej Europy, których interesy bezpośrednio związane są z basenem Oceanu Atlantyckiego. Naruszenie terytorium jednego z tych państw byłoby bezpośrednim zagrożeniem Stanów Zjednoczonych. Atlantyk, który dotychczas dzielił Amerykę od Europy, w nowej koncepcji społeczności atlantyckiej stał się morzem wewnętrznym. Ołbrzymie przeszerzenie Pacyfiku z najważniejszymi punktami strategicznymi przez skoordynowanie polityki Stanów z Wielką Brytanią staje się potężnym systemem obronnym. Nie jest to projekt bezpodstawny; ma on swoje faktyczne istnienie w kulturalnej tradycji tych społeczeństw.

Bezpieczeństwo tej społeczności opiera się zasadniczo na stosunku Stanów do

Wielkiej Brytanii. Na tym obszarze i w tej fazie historycznego czasu kraje te mają arsenały i militarne formacje konieczne do prowadzenia wojny, przeto ich układ jest jądrem, wokół którego musi się organizować bezpieczeństwo całego regionu. Jak autor zaznacza, pozostałe kraje tego regionu dla własnego interesu chętnie będą partycypować w tym zbiorowym systemie politycznym.

Osobny rozdział poświęca autor stosunkom Stanów Zjednoczonych z Rosją Sowiecką, stwierdzając dobitnie, że historia stosunków tych państw jest wyśmienitym dowodem, jak w wyznaczaniu polityki nieważna jest ideologia, a jak wiążącym jest interes narodowy. „Historyczne doświadczenia wykazują, że Rosja i Stany Zjednoczone umieszczone po przeciwnych stronach globu zawsze były antagonistycznie nastawione w politycznej ideologii i przekonane o tym, że ścisły kontakt będzie zgubnym dla obu stron. Jednakże każde z tych państw przeciwstawiało się osłabieniu drugiego. Każde z nich żyło sobie, żeby drugie było silne. Nie mieli sporu, który by zrobił z nich nieprzyjaciół. Uważali siebie za potencjalnych przyjaciół, stojących na straży swych potencjalnych nieprzyjaciół”. (92)

Rosja Sowiecka ma utworzyć osobne jądro bezpieczeństwa, wokół którego skupić się będą sąsiadujące z nią państwa z wyjątkiem Chin i narodów muzułmańskich.

Najistotniejszy problem dla rodzącej się nowej epoki wyrasta ze stosunku między Rosją i Społecznością Atlantycką. Autor krytykuje plany wersalczyków, prowadzące do stworzenia „Cordon sanitaire” między Rosją i resztą Europy. Taka granica nie miałaby sensu. Przesforsowali ją łatwo Niemcy, przekroczyłyby ją również latwo i Sowieci. Zachęcanie narodów Centralnej i Wschodniej Europy do organizowania się przeciwko Rosji Sowieckiej znaczyłoby dawanie zobowiązań bez pokrycia ze strony Stanów Zjednoczonych. Wynika z tego, jak utrzymuje autor, że egzystencja państw granicznych: Polski, Węgier, Czechosłowacji zależy od ich „neutralizacji” w rejonie politycznych potęg. „Prawo a nie siła jest obroną małych państw. Wydaje się, że nadzieja układu na zachodnim pograniczu Rosji Sowieckiej zależy od tego, czy państwa graniczne przyjmą politykę neutralizacji i czy Rosja Sowiecka będzie ją respektowała”. Autor nie precyzuje, jak rozumie ową „neutralizację”. W każdym bądź razie pewną wymowę ma

fakt, że nie wspominał o niej przy ustalaniu stosunków państw Społeczności Atlantyku z Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią.

Pokonanie Japonii będzie początkiem wielkich przeobrażeń na Wschodzie. Autor spodziewa się stabilizacji stosunków w Chinach, Indiach i krajach muzułmańskich na wzór atlantycki.

„Ogólny ład między narodami wynika z przymusowego warunku sprzymierzenia Anglii, Rosji i Ameryki. Są one aliantami nie przez świadomy wybór, lecz pod naciskiem ich wspólnych nieprzyjaciół. Im większe niebezpieczeństwa z zewnątrz, tym ściślejszy ich związek — im większe ich bezpieczeństwo, tym więcej pojawi się różnic” (108). Toteż autor przewiduje, że w miarę upływu czasu powojennego pojawią się w łonie sprzymierzonych kwestie raczej drugorzędnej natury, które doprowadzić mogą do konfliktów politycznych. Rozbicie systemu regionalnego grozi ze strony państwa dążącego do imperializmu. Nieugięta logika przymierza „wielkiej trójki” wymaga od niej respektowania wolności ludów, będących poza jej przymierzem. „Doświadczenie historii — pisze Lippmann — popiera konkluzję, że siła może się utrzymać tylko jeśli daje i gwarantuje prawa, w ramach których ludzie mogą mieć wolność”.

Ci, co uratowali życie z wojny, mają kończyć dzieło, o które walczyli i za które padło wiele milionów ludzi. Dziełem owym jest „rozkoszowanie się wolnością w ramach prawa, za którym stoi siła”. Zrealizowanie tego planu — to powinność polityków państw sprzymierzonych. Szerokie masy zaś mają ujrzeć, skąd szył się zamach na ich bezpieczeństwo i przekonać się, w spełnieniu jakich warunków leży gwarancja przyszłej wolności.

Naród Stanów Zjednoczonych przystąpił do wojny dla zrealizowania celów, które mu wytknęła nowo ustalona polityka. Tymi celami było, że Stany Zjednoczone:

1. powinny skonsolidować strategiczne i dyplomatyczne związki już istniejące w Społeczności Atlantyckiej, tzn. z Wielką Brytanią, z Pan-Ameryką, z Francją, z Belgią, Holandią, Luksemburgiem, Norwegią, Danią i Islandią i poczynić usiłowania, by rozszerzyć je na Portugalię, Hiszpanię, Włochy, Grecję, Irlandię i Szwecję.
2. Powinny uznać jako wartościowy i słuszny strategicznie system orbity

- Rosji, obejmującej państwa na wschód od Niemiec. Następnie dać poznać rządowi sowieckiemu swój pogląd, że współpraca w ogólnej światowej organizacji będzie prawdziwa i szczerza lub ograniczona i niepewna, zaезnie od tego, jak dalece zjednoczone państwa utrzymają wewnętrzną wolność demokratyczną.
3. Powinny uznać, że Chiny będą centrem trzeciego strategicznego systemu, który ma włączyć cały kontynent Wschodniej Azji między granicami Unii Sowieckiej i Indii.
 4. Powinny uznać, że z czasem narody muzułmańskie i hinduskie stworzą swoje własne regionalne systemy.
 5. Powinny uznać, że pierwszym celem unormowania stosunków na dalekim Wschodzie ma być niedopuszczenie Japonii do utrzymywania równowagi między Unią Sowiecką i Stanami Zjednoczonymi, zaś zasadniczym celem rozprawy z Niemcami — niedopuszczenie ich do utrzymywania równowagi między Społeczeństwem Atlantyku i Orbitą Rosji.

6. Powinny uznać, że ogólnym celem zlikwidowania wszelkiej wojny agresyjnej ma być wyłączenie partii wojennej i popieranie partii pokojowej przez doprowadzenie do bezwarunkowej kapitulacji i do pożądanego pokoju.

Jeśli te warunki wystarczą do utrzymania długotrwałego pokoju, posłużyć one mogą za podstawę dla stworzenia uniwersalnego społeczeństwa, w którym regionalizm światowy znajdzie swój pełny i skuteczny wyraz.

W zakończeniu autor przeżywa wizję, w której widzi Amerykę w roli starożytnego Rzymu, jednoczącego w jeden system prawno-państwowy cały ówczesny cywilizowany świat. „Nie jest to przypadek — pisze autor — jest to logika historii i wola opatrności, że formowanie pierwszego uniwersalnego porządku od czasów starożytnych rozpocznie się od łączenia rozdzielonych części Zachodniego Chrześcijaństwa“ (258). Cywilizacyjne centrum ma się przenieść z Morza Śródziemnego na Ocean Atlantycki.

Zygmunt Pióro

* * *

Hamilton Basso: Mainstream. (Główny nurt). Overseas Editions, Inc. Nowy Jork. 1943. Str. IX — 211.

J. C. Furnas: How America lives? (Jak żyje Ameryka?). Overseas Editions, Inc. 1945. Str. XI — 141.

David E. Lilienthal. T. V. A. Democracy on the March (Urząd dla Do'iny Tennessee. Puchód demokracji). Overseas Editions. 1944. Str. IX — 208.

Ukazała się na rynku polskim cała seria książek dotyczących Ameryki. Jest to wydawnictwo Overseas Editions, Inc. przeznaczone dla Europy i Azji. Wydawnictwo to, pomyślane jako instytucja niedochodowa, zawiązana przez wydawców, bibliotekarzy i księgarzy, postawiło sobie za zadanie udostępnienie zagranicy najważniejszych książek lat ostatnich po cenach bardzo niskich. Książek tych w tej taniej edycji, w małym formacie, nie sprzedaje się w Stanach Zjednoczonych A. P. ani w Kanadzie. Książka o pięciuset bitych stronicach, jak np. interesująca rzecz B. Jaffe: „Ludzie nauki w Ameryce“ (Man of scien-

ce in America) kosztuje 150.— zł. W serii tej ukazało się szereg cennych pozycji, z których wyjęliśmy trzy uzupełniające się w swojej tematyce, gdyż dotyczą różnych stron życia Ameryki współczesnej.

I. Wśród wielkiej ilości propagandowych wydawnictw Overseas Editions książka Hamiltona Basso wyróżnia się. Tu Amerykanin patrzy krytycznie na swą ojczyznę. Widzi i podkreśla wszystko, co jest dodatnie, ale jest bardzo czuły na wszystko, co jest negatywne.

„Główny nurt“ nazwał autor swą książkę, bo ma ona pokazać to, co stanowi główny nurt życia amerykańskiego, zasady życia politycznego, gospodarczego, duchowego, ma nam uwidocznić to, co można nazwać „amerykanizmem“, to trudno uchwytnie coś, co stanowi jądro duszy narodu. Poprzez charakterystykę i biografię najwybitniejszych Amerykanów ilustruje nam autor, jak się powoli nawarstwiły pewne cechy i przekonania w tej duszy. Postacie te, to jak gdyby dopływy, które spływają się wszystkie razem w głównym prądzie

rzeki. Sylwetki ludzi, którzy odegrali większą rolę w różnych dziedzinach życia narodu, pozwalają nam rozumieć coraz lepiej postać fikcyjnego Johna Applegate — przeciętnego, typowego Amerykanina.

Na początku występują dwie postacie: Cotton Mather i John Smith. To są ci, którzy byli tu na początku, którzy pierwsi położyli podwaliny pod dzisiejsze Stany Zjednoczone. Mamy tu dwa typy ludzi: jeden — fanatyczny purytanin, drugi — walczący zdobywca. Ci pierwsi, którzy tu przyszli, to byli Anglosasi, protestanci. Dlatego do dziś dnia w duszy obywatela U.S.A., kraju, gdzie jest największa mieszanina narodowości, podświadomie za prawdziwego, czystego Amerykanina uchodzi tylko Anglosas, protestant. To nie jedyny atawizm, który odzywa się w Johnie Applegate. Odziedziczył po swych przodkach pionierach, którzy zapuszczali się coraz głębiej w tę krainę niekończących się możliwości, wielką wiarę w jutro i wiarę w przyszłość swego kraju. Oni porzucali starą Europę w pogoni za nowym życiem. I on stale dąży do nowego i z łatwością odrzuca, co stare. Pewność siebie, jaka cechuje pionierów, ludzi energicznych i zaobcywanych, cechowała też purytan, chociaż tu się inaczej objawiała. Oni wierzyli, że słuszne są tylko ich drogi i życie, reszta jest na fałszywym tropie. I w to wierzył John Applegate, który patrzy z wyższością na wszystkie inne kraje i zachwyca się doskonałością swojej ojczyzny.

Nie posiada jednak już dzisiejszy Amerykanin żarliwej religijności swych przodków purytańskich. Wierzy w Boga, ale praktyk uprawia mało, nie rozmyśla też wiele o duszy. Dla niego świat jest prosty, nieskomplikowany, bezpieczny, wygodny. Nad nim czuwa dobrotliwy Bóg.

Następna postać — dopływ do głównego nurtu — to Jefferson, twórca demokracji amerykańskiej. Do dziś dnia głoszą Amerykanie to samo prawo wszystkim do życia, wolności i dążenia do szczęścia. I tak jak Jefferson uważają, że demokracja opiera się na prywatnym posiadaniu.

Przeciwnictwem Jeffersona był Calhoun, Amerykanin z południa, który nie uznawał naturalnej równości ludzi i bronił praw mniejszości wobec większości. Walka polityczna w Ameryce, to w gruncie rzeczy walka poglądów Jeffersona i Calhouna. Patronem Ameryki nazywa Basso Lincoln. W nim ucieleśniają się marzenia Amerykanów. Idealizują jego postać i on kompensuje ich potrzebę ideału, który tak mało

znajduje urzeczywistnienia w ich materialistycznym światopoglądzie. Lubią go podświadomie nie tylko za jego wielką miłość dla ludzi, ale i dlatego, że był inny od nich: w młodości leniwy i nieobrotny, żył niezbyt solidnie, stale robił to, co nie wypadalo.

Postacią, nie odwołującą się do sentymentu, marzycielstwa i do skrytych zakamarków duszy dzisiejszego Amerykanina jest ten, który pierwszy stworzył typ bogacza, któremu majątek daje polegę, pozwala mieć wpływ na warunki — król stali, Carnegie. To bohater realny, to wzór do naśladowania, a nie do wewnętrznego idealizowania. On ucieleśnia filozofię życia Johna Applegate, tę filozofię, która uważa, że życie to robienie pieniędzy, to dążenie do sławy i majątku. Miarą wartości życiowej człowieka, miarą tego, że w życiu dopiął czegoś, jest wielkość jego majątku. Nie chodzi tu o francuskie ciułanie, o cieszenie się pieniędzem. Amerykanin ma ośst w wydawaniu, potrafi być wielkim filantropem. Pieniądz mówi mu tylko, że i on coś potrafi w życiu, podtrzymuje uczucie własnej wartości. Charakterystyczne zdanie kładzie Basso w usta Johna Applegate: Gdyby nie było milionerów, biedak nie mógłby marzyć o tym, by zostać jednym z nich.

Jest jednak różnica między Johnem Applegate, a jego dziećmi, reprezentującymi dojrzewające pokolenie amerykańskie. Johna Applegate emocjonują walki Carnegiego z innymi kapitalistami, dzieci uważają go już za grabieżcę. Młode pokolenie chce już, by majątek mógł być udziałem wszystkich, a nie żeby mała grupa przeschadzała startowi i rozwojowi reszty. Mimo wszystko postać Carnegiego — to symbol dążeń Ameryki: wielki bussiness.

Basso wspomina bardzo poczytnego w jego ojczyźnie autora powieści. To Horatio Alger, którego bohaterowie nie zaprzatają sobie głowy problemami kulturalnymi, a zawsze po wielkich trudach i tarapatach osiągną sukces życiowy. Ci bohaterowie powieści, to białe charaktery, ich przeciwnicy — czarne. Dobry Pan Bóg nie pozwoli przecież, żeby powodzenie w życiu osiągnęli ludzie niemoralni. Jeśli ktoś osiągnął powodzenie, to widoczna jest nad nim opieka Boska!

Nie byłby pełnym obrazem Johna Applegate, gdyby nam autor nie pokazał, jak odziedziczył po Barnumie zmysł reklamny. Reklama jest jednym z zasadniczych elementów życia amerykańskiego. Ona nauczyła Amerykanina pragnąć coraz więcej

i dążyć coraz dalej. Ona wpłynęła na rozwój standardu życiowego.

Nowe horyzonty wskazują Stanom Zjednoczonym Adams i Bryan: dosyć izolacjonizmu, trzeba brać udział w życiu całego świata; trzeba myśleć nie tylko o szczęśliwych milionerach, a'e i o świecie pracy. Błyska przełom.

Po tym przełomie występuje Theodore Roosevelt, który wprowadza kontrolę państwa do życia gospodarczego. Amerykanie rozumieją demokrację, jako system, gdzie każdy może dojść do majątku, a nie ma monopolizacji. Basso twierdzi, że Amerykanin z głębi duszy przywiązany jest do demokracji, gdzie i opozycja ma głos, że ma demokrację we krwi.

Autor pokazuje jeszcze faszystę amerykańskiego, jako typ demagoga. To Long, którego hasło brzmiało: „Podziel nasze bogactwo“. Tym hasłem, które żądało podziału każdego majątku powyżej 4 milionów dolarów, chciał zwerbować sobie zwolenników i wprowadzić rządu totalistyczne. Baso twierdzi, że miał on tylko przez krótki czas powodzenie, a mianowicie podczas depresji gospodarczej.

Ostatnią osobą w korowodzie wybitnych postaci jest Franklin Roosevelt, który wystąpił przeciwko potędze bankierów z Wallstreet.

Basso rozważa, czy demokracja nadal się nadaje dla narodu amerykańskiego. Uważa, że związki zawodowe w Ameryce nie występują zasadniczo przeciw kapitalizmowi jako systemowi, ale żądają udziału w zyskach kapitalistów. Nowy podział bogactwa narodowego poprzez ubezpieczenia i różne reformy — to według autora droga nowej Ameryki, nadal wiernej ideałom demokracji.

Książka pisana jest inteligentnie i bardzo żywo. Czyta ją się z zainteresowaniem. Dużo w niej swady i obrazowości. Basso, charakteryzując swe postacie, opiera się głównie na pamiętnikach, listach i mowach. Cylaty z nich ożywiają bardzo książkę. Autor nie daje suchych biograficznych faktów, ale postacie podmalowane psychologicznie i literacko.

II. Temat drugiej książki jest węższy. Chodzi tu o przeciętnego Amerykanina, Johna Applegate. Jak żył w okresie pokoju i wojny?

Książeczka zawiera opisy życia szeregu rodzin amerykańskich. Autor wybrał swoich bohaterów spośród różnych sfer i zawodów. Spotykamy ludzi bogatych i niezamożnych, przemysłowców, inteligentów,

farmerów, cow-boy'ów, dozorców, kuchark. i Występują mieszkańcy miast i wsi, północy i południa. —

Opisy te ukazały się najpierw w latach 1940 — 44 w amerykańskich wydawnictwach kobiecych. Większość rozdziałów została napisana zanim Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny i pokazują życie w czasie pokoju. Rozdziały ostatnie dają już obraz innej Ameryki, znającej kłopoty, które przynosi wojna. Poszczególne opisy zostały potem zebrane i wydane jako oddzielna książeczka przeznaczona dla cudzoziemców, stykających się z żołnierzami amerykańskimi na kontynencie europejskim.

Autor zaznacza we wstępie, że chciałby dać cudzoziemcom obraz prawdziwego życia amerykańskiego, pokazać, jak Amerykanie „jedzą, piją, ubierają się, o czym rozmawiają“ i jak wychowują dzieci. Książeczka daje nam dość plastyczny obraz życia amerykańskiego, jest to jednak wydawnictwo propagandowe, nie pokazuje więc prawie, z wyjątkiem rozdziałów pisanych po przystąpieniu U.S.A. do wojny, ciemnych i przykrych stron życia amerykańskiego. Wszystkie typy, a szczególnie kobiece (co jest zrozumiałe wobec pierwotnego wydrukowania opisów w piśmie kobiecym), są wybitnie dodatnie. Wszystko owiane sielankowością. Problemy drażliwe, w rodzaju kwestii murzyńskiej itp., są zupełnie pominięte. Nie wiemy też, czy faktycznie zapaf Amerykanów do wstąpienia do służby wojskowej był tak wielki, jak autor chciałby nam wmówić, czy też pragnął, pisząc o tym w piśmie przeznaczonym dla kobiet, spopularyzować zaciąg do służby wojskowej.

Mimo jednak zbyt różowego naswielenia opisów książeczka daje ciekawy wgląd w życie Amerykanów. Nas, Polaków, uderzają szczególnie takie momenty, jak ciężka praca kobiet. Większa część opisanych Amerykanek prowadzi bez żadnej pomocy gospodarstwo domowe i to w szerszym zakresie z praniem, szyciem, łataniem, przyrządzaniem zapasów domowych i całym szeregiem ręcznych robot. Ponieważ mieszkania amerykańskie nawet klas biedniejszych są bardzo obszerne (kilka pokoi z kuchnią i wygodami stancwi regulę) utrzymanie czystości zajmuje więcej czasu. Kobiety poza tym pomagają pracą zarobkową podtrzymać budżet rodziny. Pracują też czynnie w różnych stowarzyszeniach o charakterze społecznym, towarzyskim lub kościelnym. Zony farmerów i plantatorów, podobnie jak nasze wieśniac-

czki, starają się nic nie kupować i pracą swych rąk być samowystarczalne. Gospodarstwa rolne są zmotoryzowane. Farmerzy konserwują wiele swych płodów, jak owoce, jarzyny i mięso, mając do dyspozycji odpowiednie aparaty i chłodnie. Farmerzy mają na ogół kilka klas szkoły średniej, a czasem i jakieś wyższe kursy za sobą. Uderza nas, że mimo ciężkiej pracy na roli znajdują czas na przesyłanie korespondencji lokalnej do pism, prowadzenie wypożyczalni książek, słuchanie radia, czytanie gazet. Dlatego dziwi nas, że obok tych farmerów, występują w książce inni Amerykanie, ludzie o często uniwersyteckim wykształceniu, którzy stosunkowo mało czytają. Książeczka nie wspomina nic o zwiedzaniu w miastach muzeów, czy wystaw malarskich itp.

Autor stale podkreśla wybitny zmysł oszczędności kobiet amerykańskich, dostosowanie się do najskromniejszych budżetów, zaradność i dobry humor.

Mężowie tych kobiet, o ile nie mają swych własnych przedsiębiorstw, pracują na ogół za skromnym wynagrodzeniem. Wyjątek jest charakterystyczny: zarabia dobrze trener sportowy. Wynagrodzenie innych po większej części jest takie, że kupno odzieży sprawia wiekie trudności. Wiele rodzin nosi latami tę samą odzież. Amerykanki noszą w domu taniutki, ładne sukieneczki kupione na wyprzedaży, albo uszyte przez nie same. Wielkim ciosem dla budżetu rodzinnego są też wydatki na lekarza, szczególnie na wsi. Autor, który wszystko opisuje z uśmiechem zadowolenia, zapewnia nas, że Amerykanie nie odczuwają tego tak bardzo, bo są zarowni z natury, a w wypadku zachorowania nawet bez lekarza odzyskują zdrowie.

Zarówno mężczyźni jak i kobiety starają się możliwie robić wszystko samą, unikając wydatków na rzemieślników; są pracowici i mają zamiłowanie do majsterki. Charakterystyczna jest ich zaradność, chwytanie się w potrzebie różnych zawodów. Większość młodzieży przygotowuje się do tego zawczasu, kończąc szereg praktycznych kursów, zorganizowanych przy szkołach wyższych. Ale już w szkołach średnich młodzież uczy się buchalterii i innych praktycznych umiejętności. Studenci na ogół pracują zarobkowo, żeby się utrzymać podczas studiów.

Wszyscy oszczędzają, żeby móc kupić sobie przynajmniej używany samochód, ewentualnie własny mały domek i elektryczne przyrządy gospodarskie.

Prawie wszyscy Amerykanie są ubezpieczeni na życie. Główną rozrywką większej części ludności jest słuchanie radia, gry towarzyskie oraz sporty, szczególnie niekosztowne, ewentualnie wycieczki autem. Do kina chodzą ze względu materialnych rzadziej, niż to na ogół się w Polsce przypuszcza. Ważną rolę w życiu stanowią różne kluby, które poza działalnością cząsteczkową społeczną czy polityczną stanowią bazę życia towarzyskiego. One ułatwiają organizowanie rozrywek i uprawianie sportów. Autor podkreśla doniosłą rolę klubu „4 H” wśród młodzieży wiejskiej. Są to inicjały wyrazów oznaczających zdrowie, serce, głowę i rękę (health, hear., head, hand). Klub ten urządza stale konkursy w zakresie prac wiejskich, domowych i sportów. Wpływa na podniesienie poziomu uprawy ziemi, hodowli bydła, galunków przetworów, estetyki otoczenia, racjonalności odżywiania etc. —

Z dodatnich stron życia amerykańskiego rzuca się naturalnie od razu w oczy wysoki standard życiowy, jeśli chodzi o warunki mieszkaniowe, odżywianie, komfort nowoczesny, wyrażający się w posiadaniu auta, radia, odkurzacza, lodówki elektrycznej i wielu elektrycznych przyrządów gospodarskich. Ciekawe, że jak już wyżej podkreślono, nie imponuje standard życiowy, jeśli chodzi o odzież. —

Wojna nie interesowała mieszkańców Ameryki tak długo, póki Stany Zjednoczone do niej nie przystąpiły. Autor pisze o tym raczej z zadowoleniem. Pensje wypłacane żonom żołnierzy podczas wojny były tak małe, że nawet najoszczędniejsza Amerykanka nie zawsze jadła obiad.

Ten fakt, jak i brak węgla podczas wojny i ograniczenie w użyciu gazołiny są to prawie jedyne przykre strony życia w Ameryce, o których autor wspomina.

Taka jest Ameryka Johna Applegate'a. Ameryka codzienna, zwyczajna i — bezmysłna.

III. A teraz Ameryka wielka. Ameryka konstruktywizmu i nowoczesnej techniki.

T. V. A. to inicjatywa Tennessee Valley Authority czyli Urząd d'la Doliny Tennessee. Na południu Stanów Zjednoczonych powstała instytucja, której celem jest gospodarczy rozwój Doliny Tennessee, krainy dotychczas zamiebania, nieuprzemysłowanej i biednej. W r. 1933 powołano do życia T. V. A., którego ojcem był prezydent Franklin Roosevelt. Chodziło tu o kolosalny eksperyment, o zupełnie nową próbę rozwiązania problemów gospodarczych. Eksperyment był pomyślany na skalę do-

tychczas w świecie nieznaną. Wystarczy powiedzieć dla porównania, że materiału do konstrukcji zapór na rzece Tennessee trzeba było 7 razy więcej, niż dla budowy słynnego Dnieprostroju. Przedsięwzięcie gigantyczne, ale nie na tym tylko polega jego znaczenie, tu po raz pierwszy wprowadzono nowe metody do gospodarki narodowej.

T. V. A. jest instytucją państwową bezpośrednio zależną od kongresu i prezydenta. Instytucja ta jest odpowiedzialna przed kongresem za całość swoich prac, nie może zrzucić winy na inne instytucje czy urzędy, bo do niej należą wszystkie sprawy techniczne, wykonawcze, personalne, zdrowotne etc. Nie zajmuje się, jak dotychczas inne państwowe urzędy, jednym jakimś działem gospodarki, ale jej całokształtem, nie działa w granicach jednego stanu, ale obejmuje krainę, stanowiącą całość pod względem gospodarczym, a leżącą w obrębie 6 różnych stanów. Instytucja ta otrzymała od państwa ogólny plan i ogólne dyrektywy postępowania. Jeżeli chodzi o wykonanie ich, jest samodzielna T.V.A. posługuje się w wykonaniu swoich zadań zarówno własnymi urzędnikami, jak i inicjatywą prywatną i spółdzielczością. Jest to więc polityka gospodarcza nie oparta ani jedynie na kapitale prywatnym, ani jedynie na upaństwowieniu. Zasadnicze decyzje i planowanie wychodzą od państwa, wykonanie zaś w terenie rozdziela się między państwo, kapitał prywatny, spółdzielczość i zrzeszenia społeczne... Tylko część zasadniczą robót, a więc budowę systemu tam i zapór wykonuje T. V. A. we własnym zakresie. Z jednej strony więc wykorzystuje się inicjatywę prywatną, lokalną, i wzbudza się zainteresowanie miejscowej ludności. z drugiej strony, przez wyznaczenie ogólnych dyrektyw, dba się o to, by interesy całego społeczeństwa nie ucierpiały ze względu na korzyści prywatne kapitału, względnie klasy społecznej czy grupy zawodowej. W swojej pracy T.V.A. stawia sobie dwa zasadnicze zadania: 1) by rozwój gospodarczy był równomierny we wszystkich dziedzinach bez uprzywilejowania żadnej, by liczył się z przyszłością, a więc, by nie było gospodarki łupieskiej, 2) żeby nie był programem narzuconym z góry, ale by w jego wykonaniu brało czynny udział i chętny udział całe społeczeństwo. W ten sposób nie pozwala się kapitałowi prywatnemu na nadmierne eksploatowanie pewnych surowców lub na nastawienie się produkcji na pewien tylko

typ, o ile przynosi to szkody gospodarce ogólnej. Z drugiej strony czyni się wszystko, by szary człowiek czuł, że to, co się dokonuje, jemu osobiście przynosi korzyść, i że w swoim własnym interesie powinien współpracować. Autor ilustruje te metody ciekawym przykładem. Ołóż stworzono 20.000 pokazowych gospodarstw wiejskich. Rolnicy zgodzili się dobrowolnie, by z ich gospodarstw stworzyć pokazowe. Za udzielenie zrodę otrzymali gratisowo sztuczne nawozy, ale koszty inwestycji ponoszą sami. W takich pokazowych fermach fachowcy T. V. A. zaprowadzają nowoczesne gospodarstwo nie tylko pod względem uprawy ziemi, chowu bydła i drobiu, ale i pod względem zabudowań, urządzeń gospodarstwa domowego, konserwowania, higieny itp. Bezpośredni sąsiedzi, a potem i dalsi interesują się ulepszeniami w takim gospodarstwie i zachęteni wynikami zaprowadzają je powoli u siebie. Fachowcy z T. V. A. działają w terenie, a nie w centrali; w ten sposób poznają wszędzie lokalne potrzeby i możliwości i mogą się do nich dostosować, a nie opracowują jakiegoś ogólnego, niezyciowego schematu. Ludność komunikuje swoje uwagi i spostrzeżenia fachowcom, którzy je użytkują. Powstają Zjednoczenia i Ubezpieczenia Ferm, których członkowie dzielą się doświadczeniem i wprowadzają w życie różne wynalazki. Ferm pokazowe uzyskały taką sławę, że jeżdżą do nich wycieczki z całego kraju, a nawet z zagranicy. Olbrzymie znaczenie dla rozwoju gospodarki mają prace ekspertów T. V. A., których osiągnięcia pomagają nie tylko przy większych robotach, ale i jednostkom. Tak więc np. eksperci badają skład gleby i jakie nawozy są potrzebne w każdej części terenu. Z tego korzystają zarówno poszczególni farmerzy, jak i fabryki nawozów sztucznych. Takie same dane zbiera T. V. A. we wszystkich innych dziedzinach życia gospodarczego; opracowuje plany nowych maszyn i urządzeń oraz nodaje szereg sugestii, które ludność potem wykorzystuje, jak np. plany urządzeń zdrowotnych czy portowych w miastach.

Przetworzenie energii wodnej na prąd leży w rękach T.V.A., ale rozproszony tego prądu oddano już w ręce prywatne. T. V. A. zawiera moc kontraktów z prywatnymi przedsiębiorstwami czy instytucjami, w których podaje pewne ogólne dyrektywy, popierając równomierną i nierabunkową gospodarkę, a czasem też wytyczne cen. Swoim przykładem i sugestiami

mi doprowadza T. V. A. przedsiębiorstwa prywatne do zrozumienia zasady „mały zysk — duży obrót“, co wpływa na zwiększenie konsumpcji i unowocześnienie techniczne życia ludności.

Dołina Tennessee, dawniej *mutatis mutandis* podobna do naszej „Polski B“ o ludności biednej i kulturalnie upośledzonej, jeszcze wedle autora w roku napisania książki (1944), więc w dziesięciolecie powstania T. V. A., nie zdołała osiągnąć przeciętnego dochodu każdego mieszkańca w reszcie kraju, ale wzrost dochodu okazał się dużo wyższy niż gdzie indziej. Kraj się coraz więcej elektryfikuje i uprzemysławia.

Starając się o rozwój gospodarki, nie zapomina T. V. A. o ochronie zdrowia mieszkańców, jak np. przeciwdziałanie malarii, o wglądzie estetycznym brzegów rzeki i o umożliwieniu przyjemnych czasów przez dbanie o krajobraz nadbrzeżny, urządzenie parków, żeglugi rozrywkowej etc.

Szkolił się potrzebnych techników i innych fachowców.

Przez budowanie odpowiednich domków dla swoich robotników, urządzenie dla nich czytelnicy etc. T. V. A. pociąga inicjatywy prywatną do naśladownictwa.

Przez kooperację ekspertów z różnych dziedzin uczy ciasnych specjalistów myślenia o całości.

T. V. A. pierwsze wprowadziło angażowanie personelu na zasadzie egzaminów i testów. Wyklucza w dziale personalnym wszelkie względy polityczne. Personel nie może brać czynnego udziału w polityce. Kwestie płacy i warunków pracy zostają wspólnie opracowane przez zarząd T. V. A. i związki zawodowe.

Metody pracy T. V. A., a więc centralna państwowa dyrektywa przy zdecentralizowanym kooperacyjnym wykonaniu przez czynniki państwowe, spółdzielcze i prywatne, bez przymusu, ale drogą rady, pouczenia i zachęty — nazywa autor metodami demokratycznymi. One powinny przyświecać USA i światu w szukaniu nowych dróg na przyszłość. Należy wyszukać nowoczesną technikę w kierunku uzyskania dobrobytu dla całej ludzkości. Niestuszną jest obawa, że przez podniesienie gospodarcze jednych krajów inne stracą rynki zbytu, gdyż większa zamożność podnosi standard życiowy i podnosi konsumpcję.

Dane cyfrowe i przytoczone w książce przykłady robią wrażenie na ogół przekonujące. Nie wolno jednak zapominać o tym, co zastrzega na wstępie sam autor, naczelny dyrektor T. V. A., a mianowicie, że pisze pełen entuzjazmu, a nie z zimnym, obiektywnym krytycyzmem.

Eugenia Sowińska

* * *

W połowie września ukazał się podwójny, okazałej objętości, numer **WIEDZY I ŻYCIA** za sierpień — wrzesień.

Zakres tematyczny zeszytu jest obszerny. Zagadnienia socjologiczne uwzględnia przede wszystkim praca Jana Szczepańskiego — o poznawaniu faktów społecznych. Autor podaje definicję faktu społecznego, analizę tego pojęcia i sprowadza'ność do panujących dziś teorii socjologicznych, jak behavioryzm, psychologizm i determinizm. W zakończeniu swego artykułu przedstawia autor stanowisko naukowej socjologii w określaniu i zaszeregowaniu faktów społecznych.

Psychologiczne problemy rozważane są w artykule St. Ossowskiego pt. Pod znakiem Ormazda i Arymana o integralnym dualizmie psychiki ludzkiej; w pracy B. J. Gaweckiego

o kształceniu charakteru i częściowo w przyczynku T. Czyżowskiego o pożyteczności błędu, gdzie autor analizuje jedną z podstawowych metod ścisłego rozumowania, tzw. dowodzenie nie wprost, oraz ukazuje nam modyfikacje tej metody w zakresie ogólnej kultury i wychowania w szczególności.

Do dziedziny problemów społecznych należy artykuł St. Kowa'skiego o typach migracji. W pracy tej autor zajmuje się analizą i wycechowaniem znamion społecznych rozlicznych typów migracji.

Tematykę publicystyki politycznej wypełnia artykuł J. Strzeleckiego o socjalistycznym humanizmie. Jest to dłuższe studium, w którym autor podkreśla humanistyczny sens socjalizmu, wykazuje jakby głęboką atrakcyjność tego właśnie motywu (humanistycznego)

w jedności socjalistycznej oraz podaje przyczyny nasilenia humanizmu w światopoglądzie socjalistycznym.

O polskim socjalizmie w wieku XVIII i XIX, jego ówczesnej ideologii i roli politycznej w zwartym a niezmiernie interesującym szkicu mówi dr Henryk Jabłoński, kontynuując rozpoczęty w poprzednich zeszytach WIEDZY I ŻYCIA cykl artykułów z historii polskiego socjalizmu.

Sprawy ekonomiczne, a mianowicie zagadnienie pieniądza i kredytu, analizę historyczną tych obu czynników życia gospodarczego znajdzie czytelnik WIEDZY I ŻYCIA wyczerpująco przeanalizowane w opracowaniu A. Bardacha w artykule pt. Pieniądz i kredyt.

Jak już na początku wspomnieliśmy ogromnie urozmaicona treść omawianego zeszytu WIEDZY I ŻYCIA obejmuje ponadto artykuł M. Wallisa z historii sztuk plastycznych, a mianowicie epizod tzw. martwej natury oraz kolejny artykuł N. Samotyhowej z cyklu, jak rozumieć dzieła sztuki pt. Co to jest obraz. Muzyka została naświetlona w pracy J. Reissa zatytułowanej: Polska Kultura Muzy-

czna: jest to piękny artykuł o zasadniczych składnikach polskiej muzyki w jej historycznym rozwoju.

W tymże numerze M. Grotowski daje krótki ale pouczający szkic o znaczeniu i zasięgu teorii Descartes'a i Newtona. Obok znajdują się prace D. Szymkiewicza o wyższej matematyce. Znajdzie tam czytelnik popularny wykład o zasadniczych problemach z pogranicza elementarnej i wyższej matematyki.

Zakres przyrodniczy potraktowała redakcja WIEDZY I ŻYCIA z niemniejszą troskliwością. Składają się na niego prace J. Fudakowskiego — o naszych ptakach wędrownych, dokąd od nas odlatują i gdzie zimują; J. Mergentalera — o energii słonecznej i plamach na słońcu oraz ich wpływie na życie ziemi, K. Waltera — o roli dwutlenku węgla w życiu ludzkości i wreszcie szkic o roli zakwaszenia w organizmie ludzkim.

Zagadnieniami z zakresu medycyny zajął się A. Handelzalec w dwóch przyczynkach — o zagadce gruźlicy i jej leczeniu.

Sprawy życia bieżącego wyczerpująco zostały potraktowane w kolejnych kronikach literackiej i teatralnej; nadmienić przy tym należy, że oba te przeglądy nie ograniczają się bynajmniej do suchego notowania faktów, lecz rozważają zasadnicze elementy twórczości i ich odzwierciedlenie w konkretnych dziełach twórczości artystycznej.

Przegląd polityczny L. Przemskiego analizuje wewnętrzną strukturę toczących się obecnie z takimi trudnościami i przeszkodami wysiłków międzynarodowych ku zorganizowaniu i ugruntowaniu pokoju światowego.

W dziale zagadnień bieżących jest ponadto artykuł informacyjny o samorządzie funkcjonalnym, pióra J. Hochfelda oraz wyczerpująca nota o kształceniu społeczno-politycznym we Francji w opracowaniu J. Wierzbickiej.

Zeszyt zamyka świeżo wprowadzony dział pracy oświatowej z dwoma artykułami o organizacji bibliotek i życia artystycznego w świetlicy.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA”

Sierpień — Wrzesień — 1946

Ekonomia — Filozofia

K. Kautsky

Nauki ekonomiczne Karola Marksa
zł. 80,—

J. Plechanow

Materialistyczne pojmowanie dziejów

A. Szaff

Pogadanki ekonomiczne wyd. II.
zł. 26,—

K. Marks i F. Engels

O materializmie historycznym wyd. II.
zł. 25,—

Fr. Engels

Ludwik Feuerbach i zmierzch klasycznej filozofii niemieckiej wyd. II.
zł. 30,—

„KSIĄŻKA”

St. Turczyński



Ukazał się numer 8 czasopisma prawniczo-ekonomicznego

„PAŃSTWO i PRAWO”

Skład Komitetu Redakcyjnego: Prezes Izby Karnej S. N. Kazimierz Bzowski (przewodniczący), wiceprezydent KRN Wacław Barcikowski, dr Remigiusz Bierzanek, prof. dr Konstanty Grzybowski, dr Jerzy Jodłowski, prof. dr Edward Lipiński, Jan Jakub Litauer, Józef Litwin, prof. dr Julian Makowski, Kazimierz Mamrot, prof. dr Roman Piotrowski, prof. dr Emil Stanisław Rappaport, Mieczysław Siewierski, Witold Święcicki, prof. dr Czesław Znamierowski, Wacław Zylber.

Redaktor: dr Stanisław Ehrlich.

TREŚĆ NUMERU 8:

Mieczysław Piekarski — O reformę samorządu gospodarczego
Miroslaw Orłowski — Obroty gospodarcze Królestwa Polskiego
z Cesarstwem Rosyjskim na początku XX wieku

Jerzy Stefan Langrod — O tzw. prawie sędziowskim

Andrzej Leśniewski — Zakres działania tzw. veta wielkich mo-
carstw w ONZ

Stefan Rozmaryn — Fundusze obrotowe przedsiębiorstw państwo-
wych w ZSRR

Mieczysław Güntner — „Program koszycki” rządu czechosło-
wackiego

Stanisław Giżycki — Potajemne gorzelnictwo

Dokument norymberski

Varia

Krytyka i sprawozdania

Orzecznictwo karne Sądu Najwyższego

Dodatek cywilistyczny

Biuletyn Informacyjny Warszawskiej Rady Adwokackiej

Adres Redakcji i Adm.: Łódź, ul. Piotrkowska 179, tel. 180-18

Adres Administracji: Warszawa, Aleja 3 Maja 36

Cena egz. zł. 55.— Pren. kwart. zł.— 150. Konto PKO Nr VII - 858

Kurs Korespondencyjny Języka Międzynarodowego
E S P E R A N T O

Związek Esperantystów w Polsce, Oddział w Warszawie, zorganizował korespondencyjny kurs języka Esperanto, opracowany na podstawie słynnego podręcznika „P e t r o”, wydanej przed wojną przez Międzynarodowy Związek Robotniczy Esperantystów w Paryżu.

Wszystkim zainteresowanym wysyła bezpłatnie prospekt
Sekretariat Kursu, Warszawa, ul. Dworkowa 5 m. 22

Nowy tom „Przeglądu Socjologicznego”
za 1946 rok
ukaze się w połowie grudnia br.

Zawiera prace:

J. Chałasińskiego, Goodfellowa, Al. Hertza, L. Krzywickiego, B. Malinowskiego, J. Obrębskiego, St. Rychlińskiego, J. Szczepańskiego, Cz. Znamierowskiego i innych, oraz bogaty dział recenzji.

Cena całego tomu objętości około 200 stron wynosi w przedpłacie do dnia 15 grudnia br. 180 zł.

Pieniądze można wpłacać na rachunek czekowy w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddział w Łodzi, konto nr. 181. Łódź, Al. Kościuszki 47 z określeniem przeznaczenia wpłaty, albo przez pocztę na adres: Polski Instytut Socjologiczny Łódź, Uniwersytecka 3.

Po 15 grudnia cena numeru będzie znacznie podwyższona.

S P I S T R E Ś C I

ARTYKUŁY

- | | |
|---|-----|
| 1. Dr Józef Chałasiński, prof. UŁ
Tworzenie legendy i naukowe zadania historii | 126 |
| 2. Dr Kazimierz Ajdukiewicz, prof. UP
O tak zwanym neopozytywizmie | 155 |
| 3. Dr Jan Szczepański
Interpretacja i rozumienie ludzkiego zachowania | 177 |
| 4. Dr Stefan Jędrychowski, min. Żeglugi i Handlu Zagr.
Polityka gospodarcza Polski w dziedzinie handlu zagranicznego | 190 |
| 5. Mgr Janusz Jeżewski
ZSRR jako potęga przemysłowa | 202 |
| 6. Dr Kazimierz Wyka
Czas jako element konstrukcyjny powieści | 220 |
| 7. Dr Jerzy Teissier, prof. Sorbony
Mechanizm ewolucji (część I) | 246 |

KRONIKI

Kronika ekonomiczna

- | | |
|---|-----|
| Mgr Roman Seidler
Ocena umów monetarnych w Bretton-Woods | 266 |
| Mgr Janusz Jeżewski
Międzynarodowy Fundusz Monetarny i Bank dla Rozwoju i Odbudowy | 280 |

Kronika techniczna

- | | |
|---|-----|
| Inż. Jan Szlaza
Współczesna technika ciekłych paliw napędowych | 283 |
|---|-----|

Kronika przyrodnicza

- | | |
|---|-----|
| Mgr Stanisław Rouppert
Rozdzielanie izotopów | 291 |
|---|-----|

Kronika angielska

- | | |
|--|-----|
| Mgr Stanisław Rouppert
Stowarzyszenie pracowników naukowych A. Sc. W. | 297 |
|--|-----|

Kronika radziecka

- | | |
|---|-----|
| W. Dimitriew
Plan pięcioletni rolnictwa radzieckiego | 302 |
|---|-----|

RECENZJE

- | | |
|--|-----|
| Dr Włodzimierz Dzwonkowski, prof. UŁ
Józef Kermisz: Lublin i Lubelskie w ostatnich latach Rzeczypospolitej | 308 |
| Dr Natalia Gąsiorowska, prof. UŁ
Jan Rutkowski: Uniwersał Połaniecki w świetle europejskich reform rolnych XVIII wieku. Pod redakcją prof. Bujaka i J. Rutkowskiego: Roczniki dziejów społecznych i gospodarczych | 317 |

Dr Stanisław Sreniowski, prof. UŁ	
Jan Rutkowski: Historia gospodarcza Polski	320
Mgr Krystyna Sreniowska	
Maria i Zygmunt Wojciechowscy: Polska Piastów, Polska Jagiellonów	328
Mgr Seweryn Żurawicki	
Miesięcznik: La Conjoncture-Economie Mondiale	329
Miesięcznik: Planowe choziajstwo	332
Zygmunt Pióro	
Walter Lippmann: US Foreign Policy and US War Aims	339
Dr Eugenia Sowińska	
Hamilton Basso: Mainstream	
J. C. Furnas: How America lives?	
David E. Lilienthal: T.V.A. (Urząd dla doliny Tennessee)	
„ Democracy on the March	343
St. Turczyński	
Miesięcznik: Wiedza i Życie	348

781/25 S.M.

w
Gdańsku

1946

nr. 1, 3-7.

ZAKŁADY
GRAFICZNE
„KSIĄŻKA”
ŁÓDŹ
G-011122

Prenumerata kwartalna zł. 150 — roczna zł. 600

Prenumerata ulgowa dla pracowników naukowych i nauczycieli, kwartalna
zł. 75 — roczna zł. 300 (Konto PKO VII/995 Myśl Współczesna)

Cena ogłoszeń: za całą stronę zł. 7000, za $\frac{1}{2}$ str. zł. 3500, za $\frac{1}{4}$ str. zł. 2000

Adres Redakcji: Łódź, Półrkowska 86, tel. 254-20.

Adres Administracji: Warszawa, Aleja 3 Maja 36.

CENA NUMERU ZŁ. 110